

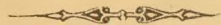
Tom 154.

Nr. 460.

PRZEGLĄD
P O L S K I.

ROK TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY.

Zeszyt IV. Miesiąc Październik 1904 r.



W KRAKOWIE,
EKSPEDYCYA W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1904.

21/
1939

PRZEGLĄD
P O L S K I.

Rok XXXIX.

Kwartał II.

(Październik, Listopad, Grudzień).

Ogólnego zbioru tom 154.

(Zeszyty od 460 do 462).



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“.
1904.

~~C 686/3~~
~~11~~
4501 II, R. 39 t. 2

W-03/0212/15
17.10.15
Biblioteka
ślaska *

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Dr. Jerzy Mycielski.**

SPIS RZECZY

zawartych w tomie II rocznika XXXIX.

	Str.
Anatol France. Studium literackie, przez Dr. Tadeusza Grabowskiego	1, 232, 472
John Ruskin. Studya nad powiazaniem i uzasadnieniem jego głównych pomysłów (dokończenie), przez Dr. Witolda Rubczyńskiego	42, 501
„Moje przepawy“. Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoy- skiego o czasach Powstania Listopadowego (1830—1831) (ciąg dalszy), z autografu wydał Alkar	77
Unie Kalmarska i Jagiellońska, przez Antoniego Prochaskę	193
Rolnictwo i jego funkcyje w gospodarstwie społecz- nym, przez Dr. Zygmunta Gargasa	213
Z dziejów Stolicy św. za pontyfikatu Piusa VII. — III. Martyrologium (ciąg dalszy), przez X. Franciszka Starowieyskiego	268
Z ostatnich dni Polski i Kurlandyi. Pamiętniki bar. Karola Henryka Heykinga (1752—1796), przez Teresę z Potockich Wodzicką	401
Leon XIII i papiestwo w objawach zewnętrznych (ciąg dalszy), przez Dr. Pawła Popiela	439
Sprawy krajowe. XXI. W kwestyi parcellacyi, przez Dr. Stanisława Grabskiego. — XXII. Reforma wy- borcza, przez Michała Garapicha. — XXIII. Po Sej- mie. I. Sprawy finansowe, przez Dr. Józefa Milew- skiego	99, 318, 535
Kronika literacka	130, 328, 551
S. Koźmian: Rzeczy teatralne. — L. Belmont: Lew Tolstoj.	
P. J. Möbius: Ausgewählte Werke. Band V. Nietzsche. — J. J. Hollitscher: Friedrich Nietz- sche. — J. Vaibinger: Filozofia Nietzschego. — A. Chevrillon: Terres mortes. — E. Pineyro: El Romanticismo en Espana.	

Z literatury powieściowej. C. Viebig: Das schlafende Heer. — H. Hesse: Peter Camenzind. — G. Geijerstam: Nils Tufvesson und seine Mutter. — G. Geijerstam: Frauenmacht. — De Flagny: Pour l'honneur.

A. G. Bem: Studya i szkice literackie (z przedmową J. Chrzanowskiego).

L. Geiger: Goethes Leben und Werke. — H. Parigot: Alexandre Dumas père. — A. Reggio: Au seuil de leur âme.

Z literatury powieściowej. K. Gliński: Boruta. — M. Gawalewicz: Dla ziemi. 2 t. — S. Sierosławski: Okno naprzeciw.

T. Sierzputowski: Romantyzm polski, jego fazy, istota i skutki. — Z. Wasilewski: Śladami Mickiewicza.

F. Funck-Brentano: La mort de la reine. — Dom Du Bourg: Le frère Gabriel (1835—1897). Du champ de bataille à la Trappe. — D. Mantovani: Letteratura contemporanea.

Z literatury powieściowej. P. Rosegger: I. N. R. I. Frohe Botschaft eines armen Sünders. — P. et V. Margueritte: Le Désastre. — R. Bazin: Le guide de l'Empereur. — P. de Coulevain: Sur la branche. — Gyp: Pervenche.

Teatr krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego.		
Muzyka w Krakowie, przez Witolda Noskowskiego	165, 351,	583.
Przegląd polityczny, przez * * *	173, 386,	598
Z powodu wojny obecnej myśli kilka, przez X. X.		178
Apolinary Jaworski. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego		394

Anatol France.

STUDYUM LITERACKIE.

I.

Człowiek i pisarz. — Sądy krytyki o nim.

Jeden z zdolniejszych krytyków nadsekwańskich lat ostatnich Pellissier zauważył, że Anatol France nie da się jako osobistość literacka oznaczyć żadnem określeniem, wstawić w żadną kategorię, określić żadną etykietą, mającą uznanie i kredyt u krytyki zawodowej. Wszędzie wydaje się intruzem, zawsze brak mu tej lub owej cechy, mającej stanowić o jego istotnym charakterze i kierunku. Był i jest osobistością odrębną, był i jest sobą i tylko sobą. I choć znać w nim ślady oddziaływania dawniejszych i współczesnych myślicieli i artystów, jak to bywa zwykle w świecie sztuki, nie był i nie jest podobnym do żadnego z nich. Nie jest podobnym zwłaszcza w dziełach lat, w których dojrzał a talent jego rozrósł się i wybujał niepospolicie. Dojrzał z wolna i wolniej jeszcze a bez pomocy tak częstej dziś w cywilizacyjnych środowiskach reklamy zwrócił na siebie uwagę ogólną.

Indywidualność tak złożona, że aż trudna do rozwikłania rękoma zbyt brutalnemi, człowiek tak współczesny i odbijający w sobie stan dusz w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku, talent tak samorodny i delikatny, że mało równie jak on szczerych i bez cienia pozy, sztuczności, gestów, kuglarstwa. Wszędzie, gdzie dotarł powiew idei Renana, Schopen-

hauera i innych, spotyka się ludzi do niego zbliżonych. Niemniej człowiek i pisarz to czysto francuski, którego poprzednikami Montaigne, La Fontaine, Voltaire. Otwarty i dowcipny zawsze dyskretnie, artysta zręczny i cierpliwy, temperament trzeźwy i nieco zmysłowy, wirtuoz o ręce pewnej i doświadczonej, sceptyk nie bez bólu czasem i przygnębienia, roman-sopisarz w ogóle kapryśny i dostosowujący formę do chwilowego nastroju, tonu, poglądu. Nie ma w nim stałości, dna, dogmatu. Uczucia są tylko zmienne i przelotne, idee tylko wyrazem uczuciowości, niepewność stanem stałym i ciągłym. Zaprzeczając niejednokrotnie sobie samemu, nie ma żadnego systemu, nie odczuwa niechęci do żadnej szkoły. Wielkie literackie odczytanie jest na usługach artysty, nie popisuje się nim jednak jak naturaliści wiedzą i okazuje je ukradkiem, od niechcienia, z miarą i taktem cennym i rzadkim. Wyobraźnia średniego lotu, uczuciowość mało napięta, ale widoczna i skłonna do ironii, inteligencya bystra i sięgająca daleko i głęboko — składają się na artystę niepośledniego, który najświetniej zabłysnął w romansie, choć jego poezya i krytyka nie są również do pogardzenia. A jego romans, to istna kaskada paradoksów, błyskotliwe soliloquium literackie, dziwaczny kaprys ze stanowiska uświęconej techniki, szereg najbardziej przedmiotowych spostrzeżeń przeplatających gęsto wynurzeniami osobistemi.

Zarzuca mu się często brak naiwności w opowiadaniu, ale zapomina się, jak przedziwnie umie spowiadać się z najmniej dojrzanych poruszeń serca, jak rozprawia tonem salonnego *causeur*, jak upaja i ołśniewa potokiem niespodzianych zwrotów myśli i odkrywa się tak wyraźnie, że trudno go rozróżnić od jego bohaterów. Wyrzuca z siebie bogatą treść duszy, bardzo rozkochanej w rozmyślaniach filozoficznych, w pięknie także, co zawsze odczuć się musi, choć kryje się ona pod pozorami romansowej fabuły. Żyje sercem i wyobraźnią, żyje bardziej jeszcze myślą, lubi piękno wszędzie i szuka go wszędzie. A wszędzie wysłuchuje zasadniczego tonu, śledzi za odcieniami i harmoniami, sam wygląda jak coś bardzo świetlanego i barwnego na tle nieco wysiłonej i mało osobistej twórczości lat bieżących. Naturalistą nie był za czasów największego nawet wybijania tego kierunku,

gdyż był i jest poetą w duszy, ma pewną wytworność, nieznaną Zoli i jego szkole, skłonność do zajmowania się przeszłością obojętną naturalistom, a jednocześnie zamilowanie rzeczy i ludzi współczesnych, rosnące obecnie i interpretujące komedię życia z właściwego mu filozoficznego stanowiska. W jego obrazach przeszłości, od której odwracali się z niesmakiem Zola, Maupassant, Daudet i inni, znać twórcę, związanego z terażniejszością spletem węzłów i sympatyj, widać rysy współczesne, niezatarte umyślnie i pełne prawdy. A że romans ma jako swe główne składniki opis, dyalog, ruch, więc tego drugiego jest u niego najwięcej, w gatunku najlepszym i tryskającym wdziękiem i swobodą. Albowiem France jest mistrzem dyalogu.

Biegnie on szybko jak życie Paryża, mieni się splątana grą słów jak Sekwana w promieniach słońca, świeci się błyskami dowcipu jak bulwar w nocy. Drga w nim krew galicka żywa i gorąca, tętni temperament namiętny, choć spętany wiekami kultury, iskrzy ironia ostra, przeszywająca, tradycyjna w narodzie i literaturze. Nie da się naśladować jak dystynkeya damy światowej, przeskakuje od przedmiotu do przedmiotu, niepostrzeżenie i z wprawą dziennikarza, odsłania horyzonty dalekie i czarujące, a nie zaniedbuje ich przesłonić od oczu zbyt ciekawych gazą sceptycyzmu, który przechodzi czasem w pesymizm, niezbyt jednak krańcowy i daleki od cechującego zwłaszcza Maupassanta. I tu uwydatnia się jego przeciwieństwo z najbardziej typowym z naturalistów i zaznacza pokrewieństwo z grupą współczesnych idealistów, skłonnych bardziej do tak zwanej analizy psychologicznej. Jak oni, ma on większą zręczność w analizie, niż w syntetycznem odtworzeniu życia; ma potrzebę wynurzeń osobistych, jest niespokojny i lubi złudzenie mimo niewiary w nie. Umie analizować subtelniej, lepiej, wykwinniej, niż Maupassant. W tej jego analizie czuć jednak często jego samego, coś oderwanego i mało plastycznego, coś, co trąci jednocześnie wyrafinowaniem i literaturą w znaczeniu, jakie temu wyrazowi nadawał Verlaine. Nie jego osoby, świat, sytuacje, opisy, ale *jego* pamięta się najlepiej w romansie, która to okoliczność zbliża go do Bourgeta, mimo różnic w formie i treści. To myśliciel, który

zadaje sobie tyle doniosłych zagadnień, żyje tak ściśle związany z intelektualnym bytem epoki, wielbi wiedzę i wątpi w nią jednocześnie, że nie trudno odszukać go wszędzie i odczuć jego wrażliwość i zmienność, stanowiące bodaj jedną z większych klęsk naszej epoki. Jednocześnie, poeta, romansopisarz, krytyk, miał i ma znacznie mniej dogmatyzmu, niż Bourget, długo zresztą wahający się i niepewny niekiedy aż do przesady.

Obchodzi go, jak tego ostatniego, najwięcej dusza, którą rozbiera starannie i z intuicyą zadziwiającą. Zagląda w jej tajnie z sympatyą obcą naturalistom i odczuwa jej ruchy z wprawą i metodą nieznaną Zoli i jego naśladowcom, redukującym życie ludzkie do czynności fizyologicznych. Tworzy intelektualistów, jak Bourget, ale unika snobizmu i zamiłowania drobnostek, wystrzega się pretensyj naukowych w przeciwieństwie do naturalistów i Bourgeta, podziela niewątpliwie zdanie ostatniego, że nasza dusza podlega przemianom nieustannym i stałym, które nie pozwalają na tworzenie charakterów określonych i zamkniętych. Filozofuje jak Bourget, ale inaczej niż on. Z żadnej z swych postaci nie robi czystej abstrakcyi, manekinu wygłaszającego te lub owe teorye, tworu bez krwi i kości, co zdarza się zwłaszcza w ostatnich latach tamtemu. I gdy tamten wahał się długo między zbrodniczym powabem przeczenia a świętością wiary, i popełniał sprzeczności nie do darowania, ten, nie przechylając się nigdy na żadną stronę, nie gorszył zbyt doniosłemi sprzecznościami przynajmniej. Stanowił, mimo paradoksów, typ jednolity, zrównoważony, samodzielny, choć nie bez związku z pokoleniem, wśród którego spłynęła jego młodość. Nic dziwnego, że tak nieuchwytny i nader splełany temperament pisarski począł zajmować krytyków od czasu, gdy świat współczesny poznał się w jego romansach mimo obsłonek, często nader dyskretnych i ludzących mniej wprawne oko.

Dziwił ogół i krytyków wszystkim, co przynosił, pociągał i drażnił treścią i stylem, odświeżał duszną atmosferę literacką i dawał zapominać o płaskościach naturalizmu, który raził i zohydzał wszelki romans naturom więcej wyrafinowanym i nie pozbawionym pewnej tęgości moralnej. Nie będąc nigdy płytkim i ogólnikowym, jak bywał Mau-

passant mimo całego realizmu natężonego i aż okrutnego w swym wyrazie, miał uczuciowość, uśmiech, swobodę, wykwintność prawie zanikłe wtedy. Nie o ciałach, nie o funkcjach zwierzęcych, nie o zjawiskach newrozy, nie o mechanice brutalnej życia mówił, ale o duszach i stanach dusz. Był istotnie idealistą, mimo zmysłowości, często bardzo wyraźnej a zawsze wytwornej. Smutnym był niejednokrotnie, ale stronił od pesymizmu złowrogiego i rozpaczliwego, który u Maupassanta wywoływała neurastenia, potężniejąca ciągle i wiodąca śmierć duszy rozstrojonej od dawna. France jest smutny, ale nie zna prawie pesymizmu. Upaja się formami życia, ale i wielbi piękność moralną; ta wielkość przybiera u niego pozory cnoty cichej i bohaterskiej. Tego nie było u naturalistów. Zrozumiano go, a że równocześnie objawił się zwrot nieśmiały zrazu do wiary, moralności, czystości duchowej, więc bankructwo naturalizmu otworzyło drogę nowemu romansowi. Ten romans był podmiotowym, ale w miarę, nie umiał zapomnieć o sobie, ale nie ograniczał się na tworzeniu romansów własnej duszy.

Krytyka zwłaszcza, która z naukowej przedzierzgnęła się w literacką i podmiotową i głosiła przez usta Lemaitre'a, że czytając książkę podziwiamy to tylko, co sami tam włożyliśmy, zajęła się pisarzem, nazywając go najpiękniejszym kwiatem geniuszu łacińskiego. Więc Lemaitre analizował mistrzowsko jeden z jego najzmysłowszych romansów, *Rod* widział w nim erudyta i artystę w jednej osobie, Pellissier podkreślał jego dar obserwatorski, Deschamps podnosił w nim bibliofilstwo i styl pełen odcieni, Wyzewa chwalił go bezwzględnie za jego prostotę i kapryśny układ romansów. Młodszy i najmłodszy krytycy, jak Charles, Huret, Lazare, Reggio, Renard prześcigali się też w uznaniu, które jednakże nie przeszło na prawdę do kół tak zwanej szerokiej publiczności. France był i jest dla niej zbyt wyrafinowany, dyskretny, mało dogmatyczny, sceptyczny, nieuchwytny. Niezrównany narrator, wyborny stylistą, wróg wydwarzania i szarlatanizmu, podziwiany bywa przez świat wybranych, ale to, co nazywamy zwyczajnie sławą, omijało go długo, nie towarzyszy mu i dziś zbyt otwarcie. Jest on na nią zresztą dość obojętny. Bo choć sława jest czynnikiem wcale

potężnym życia społecznego, składa się na nią często zbyt wiele okoliczności, nie przynoszących wcale zaszczytu jej posiadaczowi. Jest ona kapryśną i spada na tych, którzy skądinąd nie zasługują na szacunek. Cechą bowiem naszej kultury jest, że wielu mamy sławnych, mało szanownych. Jeżeli rozejrzemy się w tem, co ją stanowi, sława wyda się niekiedy hańbą. W jej rozszerzeniu prasa odgrywa rolę pierwszorzędną, ale i sławy prasy mają trwałość średnią. W podziwie dla talentu pisarza tej miary nie ma nic ślepego, konwencyonalnego, modnego.

Tłum komentuje najczęściej żywo drobne anegdoty z życia sławnych, choć nie rozumie tego, co w nich bywa istotnie niepospolitego; tanie efekty bawią więcej, niż wielkie czyny, niezbyt jednak jaskrawe i przemawiające do średniości umysłowej ogółu. To zjawisko psychologiczne odnosi się w pełni do naszego pisarza. Czy może jego stan umysłu, treść jego myśli nie odpowiada ogółowi? Być może. Naturalizm zbyt poniżył godność natury ludzkiej, zanađto mówił o instynktach i widział w świecie tylko brutalne apetyty, gonienie za rozkoszą i zadowoleniem materyalnem, by ten goryl złośliwy i lubieżny, za którego Maupassant uważał człowieka, mógł smakować w podobnej indywidualności. Idealizm torował sobie z trudem drogę wśród społeczeństwa, które filozof Fouillée radby prowadzić przez mgły do świetlanych szczytów podniosłych idei moralnych i które sceptycznie patrzyło na mówiących mu o wewnętrznym postulatcie konieczności ideału. France wydał się zbyt pogrążonym w własnem marzeniu, zbyt zajęтым rzeczami obojętnymi ogółowi. Jego ceni głównie świat intelligentny, wrażliwy, delikatny paryskiej stolicy, który nie rozpiera się buńczucznie i nie peroruje hałaśliwie na tłumnych balach prezydenckich w Pałacu Elizejskim. Szara demokracja, która nie dawno nauczyła się czytać, ale na prawdę nie czyta lub czyta tylko rzeczy mocno cuchnące, nie zna go. Zna go świat zamknięty, który istniał za Peryklesa, za Medyceuszów, za Rewolucyi nawet i wielbi jego półtony i styl miękkki i ruchliwy, półświatła i mięszaninę ironii i uczuciowości, narratortwo i głębię myśli niepoprawnego sceptyka.

Dla tego świata France jest półbożkiem. W tym świecie panuje przełom, którym nie ośwładnął nikt genialny, a w którym odrzucono wszelkie więzy, hasła, doktryny. Życia płaskiego i niskiego, które rozsiadło się za panowania naturalizmu, ten świat unika. Lubi analizować, choć nie zawsze umie tworzyć ludzi, którzy działają, albo działać sam. Wszystko lubi i ciągle coś nowego a wszystkiego po trosze. A w tym romansie znajdzie wszystko, co było już i jest, ale w formie świeżej, wyszlachetnionej, wysubtelnionej. U wybranych pozostało coś zawsze z dawnej pseudoklasyckiej elity, która znała sztukę naśladowania i lubiła ją. Dwuznaczność, ironia, sceptycyzm, brak życia, nieco monotonii cechują ten świat i jego literaturę. Jego pisarz pozostał nieco odosobnionym choć dużym artystą, o cele społeczne dbał mało, uprawiając przynajmniej do niedawna sztukę dla sztuki. Zamknął się w swej odrębności i streścił w sobie pogląd pewnego okresu, kierunku, dążenia, dziś już zamkniętego, ale godnego podziwu.

II.

Wiedza i poezya. — Pierwsze występy literackie.

Że France jest pisarzem bardzo podmiotowym, wiadomo od dawna. Ale mało który z romansopisarzy umiał tę podmiotowość utaić tak zręcznie i dyskretnie. Kto zna jego romanse, zna i jego dokładniej niż kogokolwiek z dawniejszych lub nowszych. Jeden z ostatnich jego biografów p. Roger Le Brun odtwarza go na tle jego otoczenia, z czego wnosić należy, że niektóre postacie jego romansów są właściwie autoportretami twórcy. Wysoki, barczysty, o wąsach i włosach siwych, wyrazie poważnym i zapatrzonym niejako w siebie, spędza czas wolny od zajęć bibliotecznych, które są jego zawodem, w gabinecie pełnym książek, obrazów, statuetek, marmurów, rycin, rzeźb różnych epok i pochodzenia często odległego¹⁾. France jest małomowny, nie cierpi napuszysto-

¹⁾ *Anatole France*, par Roger Le Brun. Biographie. (Paris, 1904, str. 6 — 7).

ści i deklamacyi, a gdy mówi, słowo jego jest giętkie i budzi tysiąc myśli. Wyraża się jasno, przejrzysto, wytrawnie, z ironią nieco ukrytą i wyznaje zawsze ze wzruszeniem weale nie ukrywaniem, że jest Paryżaninem duszą i ciałem. Każdy kamień stolicy jest mu znany i drogi i szczęśliwym się czuje, że się urodził nad Sekwaną, w cieniu renesansowego Luwru Walezyuszów i gotyckich wież Pałacu Sprawiedliwości, które żywo przywodzą na pamięć czasy Ludwika Świętego i pełnią średniowiecza.

W młodości otaczały go książki i pomniki sztuki, jakie zdobią tę część Paryża, w której ujrzał świat w r. 1844. Ojciec jego, Noël Thibault był księgarzem, których pełno w tej dzielnicy i używał jako księgarz przydomka „France“. Znano go jako bibliofila w kołach erudytów i konserwatyście, który odznaczał się słodyczą charakteru i uprzejmością. Z pochodzenia Andegawenczyk, dał może synowi ten rozsądek, miękkość i czar w obejściu, które znamionują mieszkańców tej prowincyi, by przytoczyć choćby przykład jej poety, najszczerzego z liryków renesansowych, Du Bellay'go. Jak ten ostatni, ma France dużo szczerości, smutek, marzycielskość, śmiałość w wyrażaniu poglądów i sam wygląda na artystę renesansowego w swej prostocie i wdzięku niezrównanym. W dzieciństwie czytał już wiele, bardzo wiele i ta lektura, na którą pod wpływem nabożnej matki składały się też książki duchowne, oderwała go i odrywa od otoczenia. Stał się naturą kontemplacyjną, marzącą i żyjącą marzeniem, czytającą wiele, czytającą ciągle i najwięcej pewnie z romansopisarzy francuskich.

W księgarni starego Thibault zgromadzali się lubo wnicy rzadkich dzieł i dziecko wchłaniało te rozmowy i wyrabiało w sobie tę religię książek, która odznaczać będzie dojrzałego człowieka. Zamiast bawić się jak inni, pochłaniał książki i sam myślał pisać nowe. Zwłaszcza historia, mająca tak świetnych przedstawicieli nad Sekwaną, pociągała go i w młodym umyśle rodził się zamiar napisania historii Francyi na wzór czytanego właśnie Micheleta. W kollegium przykladał się do nauk humanistycznych i zatapiał w Wergiliuszu i Sofoklesie. Na lekeyach marzył ku zgorszeniu naczycieli i popełniał błędy w zadaniach łacińskich, choć

rozumiał lepiej niż którykolwiek z rówieśników piękność poezji klassycznej. Podziwiał siłę rzymską, ale ukochał poezję grecką i nie ukrywał swego podziwu. Wreszcie po skończeniu lat przepisanych nie uznał się za zdolnego do twórczenia. Spędził lat wiele jeszcze, jak to zdarza się rzadko w jego wieku, na pracy nad sobą i prowadził życie kontemplacyjne i samotne. Był nieśmiałym, niezgrabnym, mało odpornym na wdzięki niewieście, których wpływ musiał zacierać czytaniem książek rozłożonych przez przekupniów na kamiennych wybrzeżach Sekwany. Odczytanie jego stawało się wszechstronnem a metodę w poznawaniu przeszłości zdobywał na historycznych konferencyach w przytulonej wtedy do zbiorów archiwalnych państwowych zacisznej *Ecole des Chartes*.

Z okresu, w którym przejmuje się głównie wrażenia, wchodził w okres twórczy, noszący zrazu ślady wzorowania się na poprzednikach. Zaczął od krytyki, choć równocześnie tworzył poezje. Zaczął od krytyki, gdyż od dzieciństwa przebywał z wielkimi duchami, wchodził na szczyty i unikał nizin, żył w sztuce i dla sztuki. Dużo słuchał, mówił mało, a stare książki, piękne oprawy, cisza pracowni, marzenia na tle lektury stanowiły jego umiłowanie, namiętność, życie. Bibliofil stał się krytykiem, krytyk poeta, poeta romansopisarzem. Poznawszy wszystkie epoki sztuki, zrozumiał, że wszystko jest zmienne, podległe wpływom, idące ku zniszczeniu; pesymizm filozoficzny przeważający wtedy dodał, że wszystko jest złudzeniem, a temperament nieco epikurejski uzupełnił, że trzeba zachować spokój i używać życia. Czas użyty przyjemnie jest dobrze użyty, ale lepiej użyć go na rozważaniu piękna w jego kolejnych objawach. Nie trzeba poświęcać zbyt wiele czasu kobiecie, która jest cudem świata, ale nie może zapełnić życia. Współczesność jest niewdzięczną i pospolitą, trzeba szukać wdzięku i oryginalności w dawnych wiekach i wyczuwać ich niepokoje, rojenia, popędy. Trzeba wnikać w dusze wielkich i być mnichem filozofującym, żyć po za ludzkością i wiekiem, żyć nauką i sztuką.

A był to czas wszechpotężnego wpływu Taine'a i jego idei. Ten, który miał być kiedyś jednym z filozofów krytyki impresjonistycznej, nie wydawał się teraz zbyt nowatorem.

Wyznawał pewne zasady i nie był podobnym do późniejszego. Nie znać w nim jeszcze tego, który zwalczać będzie krytykę bezosobistą i głosić, że krytyk nie może wyjść z siebie i że mówiąc o innym wyraża się tylko własną duszę w zetknięciu z inną. Kult dla wiedzy, silny wtedy, kazał mu ją cenić wysoko, a zwalczać metafizykę, co zbliżało go do filozofów wieku XVIII i skłaniało czerpać z literatury owego wieku natchnienia i wzory. Filozofia pozytywna przypominała mocno zasady Condillaca i była tylko jej ewolucją widoczną i postępową. Rozprawiano ciągle o duchu ludzkim, który jest właściwie wiązką vibracyj nerwowych, ważności doświadczenia, potrzebie zbierania dokumentów, a romansopisarz sądził, że tworzy wiedzę, gdy tworzy obraz duszy jednostek lub społeczeństw. Wszystkie nasze idee i wrażenia zależą od ruchów molekularnych ośrodków nerwowych, a źródłem wszystkiego — wrażenie zmysłowe. W człowieku istnieją tylko wrażenia zmysłowe i instynkty. Każda istota jest ogniwem w łańcuchu zmian, wszystko przetwarza się i przeistacza, życie, to szereg narodzin i śmierci bez przerwy i końca. Pessimizm tkwił na dnie tej doktryny, która była wyrazem duszy wyjątkowej, zamkniętej w sobie, rozumującej chłodno i nieco rozpaczliwie.

Reakcyja przeciw romantycznemu idealizmowi dokonała się najzupełniej, a niosła z sobą, prócz kultu wiedzy, także pessimizm. Taine protestował wprawdzie przeciw zarzutowi pessimizmu, ale mimo to jego filozofia była ponurą, zabraniała spodziewać się czegokolwiek, żądała zniszczenia wszelkich złudzeń w zapatrywaniu na człowieka i jego dążenie. Nie przypuszczała względności wiedzy i stwierdzała w świecie tylko fakta i prawa, które wypływają z faktów. Sentymentalna filozofia romantyków upadła w gruzy, a psychologia stanowiła ulubiony przedmiot romansopisarzy, jak Flaubert, lub filozofów, jak Taine. Jego teorii wpływu środowiska zawdzięcza swój rozwój naturalizm, jego teorii pogląd, daleki od optymizmu, który widzi w człowieku istotę złą, egoistyczną, nawet przewrotną najczęściej i rozwiozłą, co widzimy u Maupassanta. Im bardziej postępujemy naprzód, rozwijamy naszą wrażliwość lepiej i trwalej. Taine uznawał doniosłość religii, która jest wielką parą skrzydeł, koniecz-

nych dla podnoszenia człowieka nad siebie samego, nad życie ziemskie i horyzonty ograniczone, do wyżyn oddania i poświęcenia się, ale sam był pesymistą a przynajmniej stoikiem pełnym prostoty i przekonania o wielkości zła, które nas otacza¹⁾. Ten stoicyzm smętny i uroczysty zdaje się leżeć na dnie filozofii France'a.

Krytyk Lanson dodaje, że Renan nie był też bez wpływu na jego bogatą indywidualność. I sąd ten, nie poparty wprawdzie argumentami, ma wiele słuszności. Jak Renan, zapożycza France swój pogląd od wiedzy i ma, obok wybitnego poczucia religijnego, sceptycyzm stały i nieublagany. Czy wierzy w wiedzę, która ma odrodzić wychowanie, moralność, politykę, społeczeństwo, wątpić należało aż do lat ostatnich. Na to trzeba być zbyt optymistą, a France nie był nim dawniej, nie jest nim w zupełności i dziś, choć wyszedł z biernej roli myśliciela i artysty. On, jak Renan, nie jest w istocie pozytywistą, jest zbyt poetą, zbyt toleranckim, zbyt ogarniającym całość umysłowości ludzkiej, by sympatyzować z ciasną doktryną. Wszakże sam Comte próbował stworzyć religię a Renan rozumiał dobrze, jak wiedza wie mało o wszechświecie. I France też myśli jak on, że im więcej wiedza oświeca rzeczy koło nas, tem bardziej zaciemnia nasze przeznaczenie. Ona nie odpowiedziała na najwyższe zagadnienie celu istnienia, moralności w wszechświecie, dążeń ludzkich, życia, cierpienia, śmierci. I stąd wnioskuje Renan i jego uczeń, że każdy rodzi się z swą filozofią, że prawda jest tylko w głowie twórców poszczególnych systemów, ale nie ma bytu bezwzględnego, że Bóg jest kategorią ideału, że człowiek jest nieśmiertelny o tyle, o ile na to zasługuje, przenikając w świat prawdy, dobra, piękna.

Stąd do pesymizmu Schopenhauera krok jeden. Jesteśmy igraszką bytu i nie znamy swego celu i przeznaczenia. Renan wiedział, że popelnia sprzeczności, ale, popelniając je, był tylko sobą, był zawsze wykwintnym i delikatnym, nie bronił ani nie atakował. Poddawał poglądy, ale ich nie narzucał. Jego filozofia zmieniła się w spowiedź umysłu kapry-

¹⁾ J. Bourdeau: *Les maîtres de la pensée contemporaine*. (Paris, 1904, str. 34).

śnego i zmiennego. Same zygzyki, same paradoksy, same olśniewające sofizmata wypełniły jego dyalogi filozoficzne lat ostatnich życia. W moralności nie pożytku szukać trzeba, gdyż piękno i dobro to jedno, a moralność jest częścią estetyki. Trzeba mieć duszę piękną, by być moralnym, a wychowanie może dokonać wiele. Gdy ujrzemy prawdę rzeczy, upadniemy moralnie na wieki. Renan czuł, ile jest złudzeń w tej lub owej formie rządu i był surowym w ocenie demokracji, w której widział czynnik rozkładu, zazdrość jako przyczynę, ogólne osłabienie jako skutek. Sztuka i wiedza jest wedle niego tylko dla ludzi o wyższej kulturze, światem rządzi siła szczęśliwa, która bywa czasem zbrodnią. I konając był Renan w niepewności jak życie całe, a niepewność, to treść jego i jego pokolenia.

Ale oprócz tej niepewności jest pierwiastek inny, który ma już wartość czysto zewnętrzną. Jest nim kult pięknego słowa. France rozwinął właśnie swą indywidualność w czasie, gdy wielkie namiętności romantyczne ustąpiły miejsca nastrojowi bardziej trzeźwemu, chłodnemu, obcemu uniesieniem i przesadzie. Poezya starała się odtworzyć pojęcia filozoficzne, była bezosobistą a przynajmniej chciała nią być, lubowała się w prostocie nieco wymuszonej, lubiła słowa i rytmy pełne, wyraziste, dotykalne prawie. Była często sztucznym odtworzeniem dawnych wieków, odtworzeniem wiernym choć zimnym, odtworzeniem w duchu realizmu opanowanego romans. Leconte de Lisle, mistrz kierunku, był erudytem i miłośnikiem pięknego słowa, i France nim będzie zawsze. Jak tamten, będzie się zwracał do starożytności, jak tamten, uprzedmiotawiał uczucie i szukał w erudycyi tematu życia całe, a zawsze patrzył na świat ze stanowiska filozofa, dla którego wszystko jest złudzeniem. Jak u Leconte de Lisle'a nuta osobista drga u niego wszędzie, ale zawsze ukryta i po za niepewnościami i goryczami innych. Jak wszyscy poeci owych lat z mistrzem parnassizmu na czele, ukocha France plastykę słowa, czystość linii, poprawność i prostotę stylu, wijącego się niby srebrna nić strumienia na zielonym dywanie traw i iskrzącą tysiącem odcieni. A jeżeli zapytamy, kogo brał za wzór w romansach, to chyba Voltaire mógłby wyjaśnić tę zagadkę. Sceptyk France zwrócił się do wieku, który

posiadał geniusza ironii w patryarsze fernejskim. Jak tamten, jest France narratorem pierwszego rzędu. On zamyka długą ich linię, ciągnącą się od wieków średnich do dnia dzisiejszego.

Taine, Renan, Leconte de Lisle a z dawniejszych Voltaire uformowali tedy duszę młodego parnassisty, który wstąpił do koła poetów, kupiących się koło *Gazette rimée*, wydawanej przez Lazarche'a w r. 1867. I rzecz charakterystyczna: pierwsze poezye jego czerpią tematy z starożytności klasycznej. Nie ma w nich zresztą nic, coby różniło je od innych. Były w nich alluzye polityczne, wycieczki satyryka, idee nieco rewolucyjne, pochodzące wedle zapewnienia wymienionego już biografy z dużego przejęcia się hasłami wieku oświeconego. Satyryk pisał także recenzye teatralne, fantazye prozą, poezye, przeniknięte całkiem wonią starożytności. Wraz z innymi z cechu bywał w literackim salonie pani Niny Callias, z którą miał nawet napisać sztukę odrzuconą przez Komedye Francuską. Teatr nie był tedy gruntem, na którym zabłysnął jego talent. Wabił go i wabi dziś jeszcze, choć zyskiwał w nim powodzenie słabe. Oczytany niezmiernie i o smaku wyrobionym, pisał krótkie studia krytyczne i pierwszym z nich była monografia Alfreda de Vigny'ego. Czyżby czuł się pociągniętym do tego poety pesymizmu? Niewątpliwie, skoro, jak tamten, był indywidualistą, myślał i czuł wiele, odznaczał się tym samym stoicyzmem, który jest filozofią de Vigny'ego. Myśliciel przeważał w nich obu.

Raz pierwszy tedy — gdyż o *La légende de Sainte Ra-degonde, reine de France* z r. 1859 ze względu na jej rzadkość bibliograficzną mówić trudno — wystąpił w dłuższej pracy jako krytyk. Duszę i dzieło poety przenikł intuicyą tem łatwiej, że sam dzielił jego gorycze i upadki. Wyznawał wtedy pewne zasady, których trudno szukać u późniejszego krytyka impresyonistycznego. Był jeszcze innym czyli, nie był sobą w istocie. Cenił wiedzę, zwalczał wszelką metafizykę, wyznawał poglądy filozoficzne pozytywizmu. Badać zjawiska i prawa, oto zadanie, które wedle zdania młodego krytyka winny dążyć do prawa najwyższego. Rozum pojmuje prawdę, a choruje, gdy nie ma pewności. Zapożyczone te idee wyrażał efektownie i z pewną emfazą, nie domyślając się zape-

wne, że teorya Taine'a wyjaśnia tem mniej, im większy jest artysta, którego pragnie wyjaśnić. Zamilowanie do filozofowania znać jednak w całym studyum. Renan lubił je również a ślady jego poglądów odnajdą się i u ucznia. Świat, to system sił działających jedne na drugie, wszystko dąży z nieświadomego do świadomego a tej dążności najwyższym wyrazem: człowiek. Ale ten człowiek jest świadomym siebie, ale nie wszechświata, którego jest częścią. Człowiek jest moralny w przeciwieństwie do natury; ta moralność jest wynikiem nieskończonego postępu, którego wecieleniem i ideałem: Bóg. On jest celem bytu i wysiłków ludzkości; człowiek ma w sobie o tyle wyższości, o ile żyje z nieskończonością.

Wszystkie doktryny miały roztopić się w tym poglądzie. Żadna nie miała wedle Renana za sobą tyle prawdy, by mogła panować długo, co było sceptycyzmem ukrytym i groźnym w skutkach. Demokracya jest złudzeniem, gdyż nie umie wybierać najlepszych, a literatura, to strata czasu. Cenną jest w niej tylko myśl, która potrafi zastąpić wszystko. Podobnie myśli France i podobnie jak Renan unika retoryki i ma styl osobny, własny, pełen odcieni i różnaitości prawie arabeskowej. Obaj mają intuicyę i zmysł psychologiczny i historyczny, który skłania ich do poznania epok najbardziej oddalonych. Ani jeden ani drugi nie unikają pewnej kokieteryi, bawią się ideami, u obu brak dogmatyzmu, miąższości, tęgości. Jest pewna bezsilność, bezprzedmiotowość i tolerancya dla wszystkiego w ich rozumowaniach i wnioskach. Oni są twórcami tego nastroju intelektualnego, który paraliżuje wszelką wiarę i zaufanie w dany system lub kierunek; w kołach o tym nastroju France znajduje najwięcej zwolenników. Widać to w jego studyum, choć eżci w nim Taine'a jeszcze bardzo i stara się zgodnie z jego teorią wykazać, na jakim gruncie wyrosły smętne kwiaty pesymizmu de Vigny'ego. Podobał sobie widocznie w tych kwiatach, jak w wszelkiej poezyi wewnętrznej, osobistej, filozoficznej. Wedle niego poeta miał religię godności ludzkiej i powagę, która nienawidziła retoryki i gestów szerokich i prorocznych takiego Wiktora Hugo. Cierpiał spokojnie, bez pozy, po stoicku, w ciszy i samotni. Kto lubi grymasy i deklamacye, nie może polubić de Vigny'ego. Ale i on umiał płakać, a choć z tych łez

rodziły się takie perły, jak poemat o Eloï, nikt tych łez nie widział.

Młody krytyk opowiada zajmująco o rodzinie poety, charakterze ojca i matki, zamiłowaniach przyszłego romantyka, jego talencie i mistycyzmie wyanielonym i bolesnym. Mimo otwartych skłonności romantycznych de Vigny jest poetą czasów dzisiejszych, gdyż umiał być bezosobistym i wyrażać to, co ogólne i wspólne. Jego życie, to serya rozczarowań, a poezya jest ich echem artystycznym. Jego moc, to liryzm ukryty a silny, a jego bohater, Chatterton, to on sam w walce z światem egoistycznym i materialistycznym. Pokazać istotę ludzką w walce z przeznaczeniem, oto cel jego poezyi. Unikał rozgłosu, który utożsamiał z profanacją i zyskał sławę dyskretną, którą daje podziw wyższych umysłów. Trudno lepiej określić człowieka i poetę. Krytyk nie pominął jednego rysu i dał postać smętną, cierpiącą, mizantropijną i jedynie myślącą na prawdę wśród romantyków. Czyta się studyum jednym tehem i pamięta każdy szczegół, uwagę, porównanie. Wytworność, głębia, artyzm widnieją tu już wydatnie, a także ten nastrój niepewny, zagadkowy, dwuznaczny, który stanowić będzie urok pisarza.

Talent czyni cuda i za szczere klejnociki krytyki uważać musimy, obok omówionego *Alfred de Vigny, étude* (1868), artykuły o awanturce miłosnej Bernardina de Saint Pierre w Polsce, o poezjach Juliusza Breton, o Lucyli Chateaubriand, o stosunkach Racine'a z jansenistą Nicole. France studyował literaturę wszechstronnie i czy to kreśli portret kochanki słynnego romansopisarza, która była wesola jak kotka, biała jak mleko, a miała oczy jak gwiazdy i dowcip horacjuszowski, czy charakteryzuje liryka, którego bohaterowie wyrażają radość człowieka zjadacza chleba na widok bujności pól zbożowych a natchnienie jest czyste jak oddech wsi, czy zatapia się w duszę Racine'a, który wychowany surowo przez jansenistów, uważa się później za truciciela publicznego nie ciała ale dusz wiernych, czy roztacza bolesne dzieje uroczej Lucyli — erudycya, przecieńczona przez filtr fantazyi, stwarza istne cacka krytyczne. Szczególnie ostatni owoc jego młodzięcej analizy pociąga swą treścią. Każdy zna z lektury Chateaubrianda tę siostrę, która była towarzyszką, radością,

miłością życia pisarza, a odznaczała się usposobieniem nerwowem, gorączkowem, żądnem nadzwyczajności, wrażeń i nowości ciągle świeżych i rozmaitych. Ta siostra kocha brata, który był artystą wielkim i fantastykiem jak ona. Między temi naturami było pokrewieństwo dziwne. Oboje żyli tylko marzeniem, ale gdy on uwielbiał siebie, ona ubóstwiała jego i gorzała zawsze pragnieniem wzruszeń, które przynosiły rozczarowanie. Wiadomo, do jakiego stopnia Chateaubriand umiał dramatyzować swą młodość. On pierwszy wynalazł poetycki czar w potwornościach moralnych, a jego siostra postępowała nie inaczej, choć nie miała jego talentu. Była starszą od brata, wątłą i nikłą. Kochali się i wspierali wzajemnie, dopóki studya nie rozdzieliły ich na czas jakiś. Zamek Chateaubriandów był dziwnie ponury i w jego starych murach żyła Lucile w marzeniach nieustannych. Miewała sny i widzenia, które rzucała na papier. A tymczasem monarchia padała w gruzy i krwawe sceny rewolucyjne napełniały świat grozą niesłychaną. Tylko ofiary zachowywały spokój i ona także, choć uwięziono ją i zagrożono śmiercią. Uwolnienie wyzwoliło ją od śmierci, ale nie od melancholii. Nie chciała poślubić nikogo i pozostała samą do śmierci.

Jej poezye prozą, któremi France uzupełnia swe studyum, przypominają bardzo samego Chateaubrianda, który poświęcił siostrze dużo uwag w swych wspomnieniach, choć pozwolił pochować ją w grobie wspólnym. Skończyła się egzystencya samotnicy, a charakterystyka jej dowodzi, że autor urodził się krytykiem. Dar wejścia w duszę inną, sposób rozumowania, smak wytworny dowodzą, że to jego siła i zdolność. A ta zdolność jest jak jego natura głęboką i nawskróś artystyczną. Nie ma w jego wywodach jednego frazesu. Znać w nich człowieka, który pisze czując głęboko i nie umie liczyć na czyjąś naiwność. By podobać się, krytyk nie używa żadnego efektu, a przecież czyta się jego *Lucile de Chateaubriand* (1879) jak poemat prozą najpłynniejszą i pełną tajonego zapału... Ale France lubi zajmować się w ogóle ludźmi niepospolitymi, którzy interesują go mocno i których umie pokazać mistrzowsko. To wahanie się pojąć, te niepewności duszy, to kształcenie się charakteru i rozwijanie zamiłowań artystycznych, ta przewaga jednej

skłonności nad drugimi, które obserwujemy u jednostek wyjątkowych, pociągają go i skłaniają do uwag niepoślednich. Z tego powodu zapewne usłuchał wezwania księgarza Lemerre'a i nakreślił szereg przedmów do klassycznych wydań wielkich pisarzy, jak Racine, Molière, La Fontaine, Lesage, Bernardin de Saint Pierre, Palissy, Benjamin Constant. Są to raczej rozprawy, świadczące nie tylko o wielkim kulcie krytyka dla własnej literatury, ale i o jego wyrobionym smaku i pewności sądu. Wszędzie rozlewa France swój czar stylu, wszędzie obchodzi się z swymi pisarzami z całym pietyzmem, wszędzie szuka przyczyn ich rozwoju, rodzaju ich otoczenia, nastroju chwili, w której powstali. A nie tylko umie wyjawic, co dany pisarz wziął od otoczenia, on stara się określić i to, co przyniósł nowego i oryginalnego. Rachuje się zawsze z indywidualizmem twórczym i studyje go nie tylko na gruncie wzrostu i dojrzewania, ale i w nim samym, w jego wysiłkach i upadkach twórczych, a zawsze sumiennie i z sympatyą miłośnika sztuki.

III.

France parnassistą. — Pierwsze romanse.

Poezyę uprawiał jednak od młodości. Była ona wtedy, jak wiemy już, wykwintną i uczoną, harmonijną i przedmiotową, choć brakło jej życia, lotności i w ogóle tego, co jest niewypowiedzianem a co czaruje zmysły i ujarzmia uczucie. France był intelektualistą, podobnie jak Leconte de Lisle, ale ślepo ulegać mistrzowi nie chciał, co było przyczyną zerwania dość głośnego między ludźmi tego samego kierunku i poniekąd nastroju. Naśladował go przecież, choć miał pewną giętkość, wdzięk, lotność, nieznaną mistrzowi. Piękności plastycznej poszukiwał jak tamten, ale miał więcej uczucia i temperamentu. Jak tamten był erudytem i poganinem, ale erudycya nie wydobywała się u niego bez potrzeby, choć duszę miał przesyconą lekturą poezyi wszystkich epok i wieków. Obrabował z nich wiele, ale przetopił je w ogniu własnej osobowości. Własnych wywnętrzeń unikał na razie,

w czem szedł za mistrzem i szukał wszędzie dusz cierpiących, mając zawsze nostalgię czasów najbardziej oddalonych.

To też wpływ mistrza, który odwracał się od teraźniejszości szarej i płaskiej i uciekał do słonecznej Hellady i gorących Indyj. Uczucia osobiste należało taić usilnie i głęboko; romantyczna melancholia odzywała się czasem, ale bez gestów i przesady. Banalnym nie był nigdy i formą nie stał bardzo niżej od wodza szkoły, która koło r. 1867 rozwijała się pod jego opiekuńczemi skrzydłami. Zwalczano w niej ostro proroczy ton i frazesy głowy romantyzmu francuskiego i przeciwstawiano mu dyskrecyę, prostotę, bezosobistość. Studywano dawną poezję i tworzono bez natchnienia często i naśladowczo. Niektórzy z młodego grona przerzucili się potem do romansu, jak Daudet, ale wdzięk poetycki pozostał im na zawsze. Odcienia, miara, delikatność, nieokreśloność zostały im jako pamiątka tych czasów, a zwłaszcza takim poetą wygnanym w krainę prozy jest France. Na razie by jednak jednym z przedstawicieli szkoły, która od antologii, nazwanej *Parnasse contemporain*, przybrała miano parnasyjskiej.

Leconte de Lisle nie chciał żyć nigdy życiem wspólnem, we wszystkim widział złudzenie, pokochał śmierć, gdyż nie daje on ani wzruszeń, ani bólów, ani myśli. Jego uczeń nie okazał się tak krańcowym i nie był wulkanem, pokrytym lodem, jak określił mistrza historyk poezyi współczesnej Mendès. Leconte de Lisle wielbił starożytność i gardził życiem, jego uczniowie szli za nim ślepo w tym kulcie i przesadzali mocno. Dowodzi tego choćby antologia parnasyjska, w której trudno znaleźć poetów pojmujących inaczej sztukę. Ale znaleźli się i dyssydenci. Ani Sully-Prudhomme, ani Verlaine, ani Mallarmé, ani Coppée nie byli chyba utworzeni wedle owego szablonu. Wszyscy wyróżnili się od mistrza i zaczęli żyć z swą epoką. Urządzali w tym celu poetyckie turnieje po teatrach, ale prasa usposobiona niechętnie dla poezyi przyjęła je ze śmiechem. Nawet wielki krytyk Sainte Beuve z zazdrości może, że jako poeta nie miał wcale powodzenia, edwracał się od młodych. Mimo to zdobyli oni sympatyę wielu, a France nie był jednym z ostatnich.

Był szczerym naprzód, prostym, czułym, smętnym zawsze i wszędzie. Najwięcej cenił w życiu kobietę i miłość, i umiał je malować z sympatją, naiwną i ciepłą. Nieskończoność i tajemniczość bytu, walka ludzi z przeznaczeniem, bezsilność człowieka wobec nieszczęścia, wszystko to budziło mocne echo w jego duszy, a poezya zamykała je w formach plastycznych. Odtwarzając czasy przeszłe, starał się być przecież współczesnym, a rezonując filozoficznie, nie tworzył rzeczy oderwanych. Pisał naiwnie, kojąco, melodyjnie, a rytmy śpiewały nie tylko dla elity. Poeta-filozof lubił ważenie się dwóch doktryn, starcie się dwóch światów, zdobywanie poganizmu przez nową naukę, która weszła w skromnej i dalekiej Judei. Wielbił też światło, które upiększa świat i sprawia, że kobiety nas czarują, a gdy śmierć nas złamie, przychodzi z naszych cząstek tworzyć nowe ciała. Od takich myśli poczynają się *Poèmes dorés* (1873).

Szereg to obrazów plastycznych w duchu i na wzór mistrza parnassizmu, któremu poświęcony jest zbiorek. Każdy zawiera jakąś myśl, co wskazuje, że wpływ pierwszego był wtedy jeszcze decydujący. Gdzieś w puszczy dziewiczej walczą dwa jelenie o łanię i słabszy ginie, a za silniejszym idzie łania, gdyż miłość, to „bóg, który tworzy nieustannie świat, ojciec życia i przyszłych przeznaczeń“. Wszystko rodzi się z miłości a życie jest jedynem dobrem:

La vie, unique bien et part de toute chose,
 Divine volupté des êtres, don des fleurs,
 Seule source de joie et trésor de douleurs,
 Sous leur rigide écorce est cependant enclose,
 Et répand dans leur corps ses secrètes chaleurs.

Wszystko musi jednak ginąć zżarte wiekiem i wpływami otoczenia. Ale malarz dziewiczej natury nie gardzi i miniaturami rękopisu, które budzą w nim roje wspomnień, tem bardziej, że wątpi czasem, czy warto szukać uśpienia naszych nieskończonych tęsknot na kruchem łonie kobiety i w ogóle w miłości. Ale kobieta jest bądź co bądź tworem najpiękniejszym bytu. Z niej płynie życie, w naszej duszy budzi się potrzeba jej miłości. Gdyby nie było śmierci, nie

byłoby pocałunku, gdyż tylko nieśmiertelnych łono nie zapala się żądzą. Takie myśli snują się na tle obrazów biblijnych, wynikają ze scen życia helleńskiego, wykwitają z legend wschodnich, malowanych jaskrawo i z natężeniem. Są i obrazki paryskie, przepojone tęsknotą i myślą o śmierci tak częstą u wodza parnassizmu. Zazdrości w nich poeta dawnym wiekom, które ginęły z myślą, że przebudzą się, by żyć wiecznie. Dla tej myśli odbiegały od życia, gdy dzisiejsze biegną do niego.

O *Noces corinthiennes* (1876), które nastąpiły w trzy lata po pierwszym zbiorku, mówi Lemaitre, że jest w nich żywe zrozumienie historyi, obfite sympatyje, forma, godna takiego hellenisty, jakim był Andrzej Chénier. Zakochanie w życiu ziemskim z jednej strony, mistyczne niepokoje z drugiej, składają się na obraz pełen prawdy i poezji. Poeta odnosi się z całą sympatyą do religii i nie wierzy, by „wiedza mogła kiedy zastąpić wiarę“. Czyżby zwątpił w Renana, który upatrywał w wiedzy odrodzicielkę ludzkości? Prawda, że ten ostatni zwątpił w nią później, gdyż nie tłómaczyła, dlaczego się coś dzieje, i przyznawał, że całe życie rządziła nim wiara, której nie posiadał. I jego zwolennik zdaje się być tego zdania. Może widok strasznych scen Komuny rozdarł jego złudzenie i kazał mu szukać odrodzenia przez zwrot do przeszłości, w rodzaju kwietyzmu ironicznego i transcendentalnego, w filozofii pełnej smutku i zniechęcenia. I France podzielał prawdopodobnie ten pogląd, może pod działaniem dyalogów Renana, które wywoływały współcześnie okrzyki zgorszenia wśród jego wielbicieli. Niemniej sceptycyzm objawiał się już wyraźnie i miał wzrosnąć później.

Dramat nie przypomina jednak filozoficznych dyalogów jednego z wodzów myśli współczesnej. Rzecz odgrywa się w okolicy Koryntu, w domu starego Hermasa, gdzie zjawia się Hippiasz i pyta o dawno ukochaną Dafne. Ona wita go z radością, choć dzieli ich wiara przyniesiona z Judei. Hippiasz woli starych bogów, których uważa za lepszych i stoi w sprzeczności nie tylko z Dafne, ale i jej matką, oddaną całkiem sprawom zaziemskim i sądzącą, że miłość ziemską jest miłością kruchą. By godną okazać się Chrystusa, oddaje córkę wbrew jej woli w dziewictwo, choć ojciec dawno

ją przyrzekł Hippiaszowi. I Dafne ulega po ciężkiej walce, a raczej przyrzeka uleść, rzucając swój pierścień do źródła nimf. A ponieważ biskup Theognis sądzi, że Dafne chce poświęcić się dobrowolnie, więc czyni wszelkie przygotowania, by wprowadzić ją wśród modłów do świątyni. Wtedy Hippiasz zjawia się w domu Hermasa i zasypia w komnacie tego, którego uważał już za ojca, a który nie wie nic o przygotowującej się ofercie. Ujrawszy Dafne, która zjawia się w nocy, by pożegnać kąt rodzicielskie, odepchnięty jest od niej zrazu z przestraczem. Ale zwolna umie podzielać na nią żarem słów namiętnych i upoiwszy ją obrazem przyszłego szczęścia zmusić złamaną do gorącego wyznania:

Eh bien, cher Hippias! tu m'as vaincu, écoute:
 Je t'aime et suis à toi. Prends moi donc, prends moi toute,
 Emporte moi. Fuyons, cache moi dans tes bras.
 Je te suis. Je ferai tout ce que tu feras.
 Oh! que couchée au dos d'un cheval par la plaine,
 Les yeux clos, dans l'air frais je boive ton haleine!
 Je veux brider moi-même un cheval aux pieds prompts,
 Oh! viens, ne tarde pas; nous irons, nous fuirons,
 Jusqu'au golfe où ta nef balance ses antennes,
 Je ne crains ni les vents, ni les mers incertaines,
 Pour votre épithalame, ami, nous entendrons,
 La chanson des marins au bruit des avirons,
 La nef, fendant les eaux sous les astres sans nombre,
 M'emportera plongée à tes pieds, dans ton ombre.

Wtedy zjawia się matka i wypędzając Hippiasza, wzywa Dafne, by się opamiętała.

Nieszczęsnej pozostaje teraz śmierć lub ucieczka. Wybiera pierwszą i ginie pod działaniem zażytej trucizny, by nie zdradzić Boga ani narzeczonego. Zapóźno poznaje matka, że popełniła błąd ciężki, a Hippiasz płonie na stosie wraz z narzeczoną. Że dramat nie jest arcydziełem, nie ma wątpliwości. Jest jednak bardzo tragicznym i szczerze poetycznym. Ta poezya jest w pojęciu i odtworzeniu miłości, czuć ją w namiętnych ustępach wyznań Hippiasza i Dafne. Figury fanatyczki matki, świętobliwego biskupa Theognisa,

nieśmiałej i uczuciowej Dafne, mają piękność antyku i skreślone są z wielką prostotą i intycją. Nie jest to dramat dla sceny, której trzeba ruchu, życia, pędu unoszącego wszystko, instynktu scenicznego, który każe zapominać o niedoskonałościach szczegółów. Akcja wlecze się zbyt powolnie, wypadki posuwa raczej ręka twórcy, charaktery rysują się jednak wyraźnie i zostają w pamięci. Jest zmysłowość, ale tak dyskretna i szlachetna, że nie psuje niczem wysokiego i uroczystego nastroju całości. Potoków zmysłowej wymowy takiego d'Annunzio lub niewyczerpanej frazeologii Rostanda nie ma nigdy u wytwornego a pełnego zwięzłości i miary parnassisty. Dramat jest wypracowany widocznie i to znak czasu, w którym poezja nie płynęła jak dziś, ale sączyła się tylko. Poeta, jak France, ma więcej zmysłu historycznego, niż wyobraźni. On jest też filozofem i wygłasza przez usta swych bohaterów dużo pojęć osobistych o bóstwie, ludziach, naturze. Jego bezosobistość parnassyjska, to lekka gaza, za którą widać poetę renanistę, filozofa ironizującego, stan i rodzaj umysłu, który wzmoże się i rozwinie u niego niebawem na dobre i który zwalczać będzie nawet Nietzsche.

I oto zjawiają się pierwsze romanse, które nie odrazu stanowią jednak wypadek w świecie literackim. Ich twórca był już w pełni męskiego wieku, gdy o nich pomyślał. Gdy się ma lat trzydzieści pięć, pogląd na świat zaczyna istotnie, dojrzewać i można już znaleźć swą drogę. On znalazł ją a był umysłem dość bogatym, by odrazu nie zadziwić i nie stanąć wśród pierwszych. Jego lenistwo, jak mówi Rod, było pracowite, przygotowujące, wypracowujące dzieło. Czytał, szukał, marzył, wchłaniał, aż dokonał swego wychowania umysłowego. Stworzył sobie filozofię, obrał formę swobodnego opowiadania tak naturalną w romansie, z uśmiechem ironii wysuwał bohaterów, z których każdy był nowym i współczesnym mimo pozorów. A że naturalizm panował wtedy niepodzielnie, więc i jego romans miał z nim punkta styczne, choć szedł poniekąd własną drogą. Nie tworzył szkoły, choć był zapewne bliższym prawdy, niż Zola. Gdy tamten tworzył ludzi, on ich tylko fotografował. Nie miał o nich wysokiego wyobrażenia, ale spotykał ludzi wyjątkowej czystości ducha. I o nich mówił z przekonaniem, siłą, prostotą, plastyką. Zola

stosował wszystko do swej doktryny, miał temperament po-
tężny, ale sztywny jakiś i chłodny — on obserwował bez po-
glądów naprzód powziętych i cieniował delikatnie, subtelnie
i z smakiem wyrafinowanym. Analizował ludzi, ale nie za-
wsze umiał dać im życie, ruch, temperament. Jego psycholo-
gia była głębszą niż naturalistyczna i obejmowała ludzi
wszelkich stanów, co nie zawsze zdarzało się Bourgetowi.
A Bourget nie był też nigdy tak dowcipnym, bywał zaś nieco
nudnym i rozwlekłym, co nie zdarzyło się naszemu romanso-
pisarzowi. Miał on dowcip niezmierny, dowcip rzadki, swo-
bodny i niezrównany, dowcip nie naciągnięty, wymęczony,
ale samoderśny i miły w epoce przeważającego pesymizmu.

Te myśli nasuwają się już po przeczytaniu *Jocaste et le Chat maigre* (1879). Gdyby porównania nie były rzeczą
przestarzałą, możnaby zestawzić te opowiadania z romansami
Voltaire'a lub szkicami Dickensa. Przypominają one wiek
złoty francuskiego narratorstwa o charakterze satyrycznym.
Znali tę sztukę niegdyś Noël du Faÿl, Désperiers, potem
Montesquieu, Mouhy, Duclos, Voisenon, Diderot, Crébillon
młodszy, a szczególnie i świetnie Voltaire. Romans France'a,
to także opowiadanie bezpretensjonalne, widowisko satyryczne
i prawie karykaturalne komedii ludzkiej, zbiór głupstw i na-
iwności spotykanych często w świecie paryskim. Twórca nie
odczuwa na ich widok odrazy lub wstrętu. Jest zrezygno-
wany i pobłażliwy. Świat zmienić trudno i lepiej go obser-
wować z uśmiechem, niż nad nim rozpaczać... Jakiś pan
Longuemarre, lekarz z zawodu, męczy żaby, by przekonać
się, co to jest boleść określana mylnie przez stoików. Cier-
pienie jest istotnie pięknem i najintelligentniejsi cierpią naj-
więcej. Świat paryski nie podoba mu się wcale, więc ucieka
do kolonij, choć wie, że kocha i jest kochany przez córkę
zbożanego małomieszczanina. Ten ostatni oszukał już mnó-
stwo klientów i myśli z kolei wydać córkę za starego ale
mającego dziwaka Anglika. Zwolna stara się ją przekonać,
że bogactwo jest wszystkim na świecie, a ona zgadza się
tem łatwiej, że tamten pojechał daleko i lubił tylko swe
książki, lekarstwa, skalpele i szczypczyki. Pamiętała, że była
kiedyś biedną bardzo, że matka jej umarła z nędzy, i po-
chowała dawną miłość, gdyż lubiła zbytek i była łagodną,

leniwą i wrażliwą. Chciała też mieć niebieski pokój i czytać romanse na choiselongu. Wyszedłszy jednak za pana Haviland spostrzegła, że mąż jej był skąpy i nudny. Liczył nieustannie, nie miał wyobraźni, odtrącał sztywnością, choć kochał ją namiętnie. Miał nadto służącego, którego ona nie lubiła i przeczuwała w nim zbrodniarza. Gdy po dłuższej nieobecności w obleganej przez Prusaków stolicy znalazła się nad Sekwaną, ojciec jej był zrujnowany wojną i wyludzał nieuczciwie pieniądze od zięcia. Angielski gentleman przestał mu więc podawać rękę. A lekarz wrócił i zastał ją płaczącą i zdruzona mężem, który chorował ciągle, zbierał stare pamiątki, i by się uleczyć, przyjmował z rąk sługi jakieś tajemnicze lekarstwo, które wprawiało go w rodzaj szalu.

Ona spostrzegła to i zażądała odprawienia służącego, który czyhał na obiecany mu spadek. Mąż usłuchał, ale po zażyciu ostatniej dawki uczuł się chorym śmiertelnie. Wtedy ją ogarnął strach, gdyż, choć nie życzyła sobie jego wyzdrowienia, odpychała ze zgrozą myśl uczestnictwa w zbrodni. Po śmierci Anglika cała dzielnica uważała ją jednak za truciicielkę. Nie wiedziała o tem, ale odczuwała dziwną bojaźń i czuła, że tylko ten niegdyś ukochany może dać jej spokój i szczęście. I w chwili, gdy to ostatnie zbliża się już, wieszka się w kabinie kąpielowej, a lekarz kończy życie w samotności i smutku. Rod nazywa romans fejetonowym, ale nie popiera swego zdania żadnym dowodem. Nie można przecież zapomnieć o dwóch świetnych typach: komedyanta, który ma zawsze gotowe frazesy na ustach a duszę podłego spekulanta i dziwaka Anglika. Bohaterka jest nakreśloną niewątpliwie trafnie i z odczuciem nadzwyczajnem. Najslabiej przedstawia się lekarz, ale i on ma wiele rysów wziętych z natury i przypomina wiele figur znanych i spotykanych. France współczuje jak Dickens z swymi bohaterami, choć nie rozprawia i nie peroruje jak Bourget. Jego złudzenia rozwiały się już gdzieś w ciągu odbytej drogi życia i nie spotkał na niej widocznie dużo enotliwych. Nie jest „snobem“ i miłość umie malować z wdziękiem i znawstwem. Nie gra ona jednak w jego romansie roli tak znaczącej, jak u Bourgeta. Ona jest, ale romans nie służy za ramy dla niej. Daleko żywiej analizuje France charaktery i osiąga efekt zupełny.

Melancholiczne zakończenie nie ma w sobie nic pedantycznego. Przychodzi samo, jest prawdopodobne, budzi współczucie dla nieszczęsnej, której słaby system nerwowy wstrząsł widok konającego męża, nie dość energicznie bronionego od zatrucia. Człowiek interesuje w tym romansie, człowiek w działaniu, w stosunku do innych, mający obok stron płaskich zawsze coś, co go podnosi, uszlachetnia, opromienia.

Drugie opowiadanie ma ton inny, bardziej swawolny i sceptyczny. Mulat z Haiti, były minister egzotycznej republiki, zaprasza starego franta pana Godet Laterrasse na śniadanie i proponuje mu udzielanie lekcyj małoletniemu synowi. Nauczyciel, pyszny typ uroczystego komedyanta o górnych frazesach, mało dba o swe obowiązki. Chce z potomka mulata zrobić człowieka i obywatela i w tym celu daje mu czytać pisarzy rewolucyjnych. Pelen temperamentu uczeń wchodzi tymczasem w towarzystwo ludzi lekkich obyczajów i tonie w ramionach tłustej restauratorki Wirginii. Postanowiwszy zostać malarzem, zdaje się spadać na samo już dno społeczeństwa, gdy ratuje go miłość pięknej sąsiadki, którą poślubia za przyzwoleniem dostojnego rodzica. I tu figury występują wyraźnie z tła paryskiego, które France zdaje się znać wybornie. Każda ma swą fizyognomię odrębną, choć naszkicowaną tylko kilku rzutami, każda jest typową, każda rusza się nieustannie, a dowcip tryska bujnie i wywołuje uśmiech nieustanny. Niekiedy zdaje się, że to karykatury, ale po jakimś czasie przypomina się, że niektóre figury spotykało się na bruku paryskim, na zgromadzeniach publicznych, w kawiarniach i w stowarzyszeniach. Z podobnych poliszyneli jak Godet składa się większość prasy, otwarcie głoszącej wielkie hasła a w istocie upadłej moralnie, ludzi politycznych, artystów, nawet uczonych. Wytwarza ich kultura bez moralności, przeniknięta sceptycyzmem do szpiku kości, goniąca za rozkoszą i nie mająca poszanowania dla niczego i nikogo. I France traktuje swych bohaterów jak poliszyneli, gdy charakteryzuje fałszywego filozofa Godet, podejrzanego moralistę Branchut, proletariusza rzeźbiarza Lalanne. Całość ma rozweselać i w istocie pełna jest ustępów komicznych niesłychanie, ale w istocie nasuwa tylko

poważne obawy o przyszłość narodu, najbardziej może kulturalnego a w swych szczytach nadgniętego od dawna.

Przeciwnie *Le crime de Silvestre Bonnard membre de l'Institut* (1881), wprowadza nas w świat inny. Stary historyk i bibliograf Bonnard spędził życie całe wśród książek. Życie, które go otacza, wydaje mu się snem a istotnym bytem poszukiwania naukowe. Widok nieszczęścia ludzkiego wzrusza go jednak wiele. Wszystko przecież, co ma związek z nauką, entuzjazmuje go wprost, choć rozumie, że serce pragnie czegoś innego jeszcze i że pustka źle ukrywana sprawia mu czasem ból bezprzykładny. Może to wspomnienie młodzieńczej miłości, może instynkt ludzki i wrodzony. W pogoni za ciekawym manuskrypcem jedzie aż na Sycylię, widzi wszędzie wrzące życie zmysłów, gdy on trawi dnie nad starymi tekstami i przychodzi niekiedy do gorzkiego przeświadczenia, że „człowiek jest raczej dla jedzenia lodów, niż dla porównywania starych tekstów“. W Sycylii nie znalazł upragnionego manuskrypcu i dopiero w Paryżu udaje się mu go zdobyć dzięki pomocy księżnej, którą kiedyś jako żonę biedaka wyrwał z ostatniej nędzy. Niepokój wzmagają się w nim, jakieś wizye przesładują biedaka, a choć wie, że wszystko jest złudzeniem i że to, co żyje, służy za pokarm nowym bytom, truje się myślą, że i wiedza może być snem i jego wysiłek może być daremny. Wtedy dowiaduje się, że córka jego niegdyś ukochanej jest w biedzie. Zajmuje się nią tedy gorąco i choć zdolność kochania niknie z wiekiem, żyje tą miłością dla biednego dziecka. Raz w ogrodzie publicznym słyszy, jak młodzi krytykują złośliwie jego prace, i wpada w zwątpienie bolesne. Tem bardziej opiekuje się pupilką, ale w tych staraniach staje mu na przeszkodzie stara panna Préfère, pragnąca koniecznie wydać się za niego, a gdy to przedsięwzięcie nie udaje się zupełnie, zabrania mu widywać się z pupilką pod pozorem moralności.

I wtedy zrozpaczony dowiaduje się ze zgrozą, że jego dziecko krzywdzą i używają do posług najniższych. Zdobywa się więc na krok nadzwyczajny. Porywa Joannę i mógłby być oskarżony o zbrodnię porwania małoletniej, gdyby szczęśliwym trafem urzędowy opiekun nie obrał w tym właśnie czasie po spełnieniu jakiegoś szantażu drogi do Ame-

ryki. Joanna zakochuje się w młodym uczniu Bonnarda, prze-
niaga opór starca i wychodzi za mąż, otrzymawszy w posagu
dochód uzyskany z sprzedaży cennej biblioteki przybranego
ojca. Ten ostatni żyje odtąd z przyrodą, z kwiatami, z owa-
dami i cieszy się szczęściem młodych. Życie odzyskało swe
prawa... Romans kończy się melancholicznie i poważnie.
Gdy się go porówna z ówczesnymi tworcami naturalistyki,
jest się zdziwionym prostotą i czystością moralną całości. Ma
się wdzięczność dla twórcy, a uczucia, jakie budzą niektóre
sytuacje, należą do najszlachetniejszych. I tu ironia rozlewa
się niekiedy, ale pod jej powłoką czuje się serce bijące żywo
i uczciwie. Jest i smutek w romansie, ale smutek nie gorzki
i nie krańcowy. France mniema słusznie, że powinniśmy naj-
pierw być ludźmi i nigdy o tem nie zapominać. Inaczej ży-
cie pomści się srogo na nieopatrznych. A że jest myślicie-
lem, więc od myśli podobnych roi się w jego romansie, co
bynajmniej nie wpływa na rozwój akcji, tego niezbędnego
warunku romansu. Umie zjednać dla swego bohatera i zna
ludzi, ich charaktery, słabości i nizezmości.

Nie jest nigdy nudnym, nie przekształca rzeczywisto-
ści, unika brudów mimo zamiłowania do realizmu. A nizez-
mników, jak panna Préfère lub opiekun urzędowy Joanny, trak-
tuje bardziej humorystycznie, niż na to zasługują. Nie ma
niby nic jednostajniejszego nad życie uczonego, ale France
zna je zbyt dobrze i umie okazać jego radości i tryumfy
tak powabnie i poetycznie, że znać, iż maluje z miłością
i znawstwem. Bonnard jest człowiekiem wielkiej piękności
duszy, kocha wiedzę gorąco, żyje cały przeszłością, póki ży-
cie nie dopomina się o swe prawa. Paryż, to dla niego śro-
dek kultury, cud piękna architektonicznego, muzeum wspom-
nień dziejowych. Gdyby Bóg dał kiedy Joannie dzieci, byłby
szczęśliwy zupełnie i uczyłby je tego, co sam wie i zna.
W kwestyi wychowania ma nawet poglądy bardzo orygi-
nalne. „Naucza się — mówi raz do panny Préfère — bawiąc.
Sztuka nauczania jest sztuką budzenia ciekawości młodych
dusz, które się zadowolnia następnie, a ciekawość jest praw-
dziwa i zdrowa tylko w umysłach szczęśliwych. Wiadomo-
ści, któremi się obarcza przymusowo intelligencye, zaskle-
piają je i przytłumiają. By strawić wiedzę, trzeba ją połknąć



z apetytem“. Chciałby Joannę wykształcić fizycznie i moralnie, a ponieważ życie jest pełne nędz, chce ją mimo swego sceptycyzmu nauczyć też tej mądrości chrześcijańskiej, „która nas wznosi nad wszelkie nędze i użycza piękności samemu cierpieniu“. Tego nie wyrzekł nikt z naturalistów, dla których wiedza stanowiła religię. France, jak Bonnard, otrzymał bowiem wychowanie katolickie, które nigdy nie wstrzymuje rozwoju umysłu. Ma poczucie wartości religii, którego brakło zupełnie Encyklopedystom, a które mieli Sainte-Beuve, Taine, Renan. Poczucie religijne i sceptycyzm splotły się u niego w chaos dziwny i nieznanym dawniej. Czyżby zwątpił w wiedzę, której Zola przepowiadał za Renanem promienną przyszłość? Stracił może pewność początkową, która cechowała pozytywistów. Rzucił sondę w ocean bez dna, marzył o tem, co nieświadome, i jak Renan nie rozdzielał dobra i piękna, twierdząc, że się jest moralnym, gdy się ma piękną duszę. Widział, że ruina moralności jest następstwem upadku wiary i wyznawał to śmiało, tak śmiało, że oddzielił się tem wyznaniem od ogółu ówczesnego romansopisarstwa, tonącego w najgrubszej zmysłowości i poganizmie.

Les désirs de Jean Servien (1882) są również dokumentem pewnego nastroju dusz współczesnych, które France znał widocznie do dna. Jest nieco rozwlekłym w opowiadaniu i niezręcznym w układzie, co wskazuje, że data napisania wyprzedziła bardzo datę ogłoszenia. Przyznaje to sam autor i dodaje, że przerobił ją nieco, choć „pierwotna treść dzieła została“. Dawniej pociągały go stare formy życia, dziś, przekonany o trudności ich wskrzeszenia, bada terażniejszość. Więc Servien jest synem rzemieślnika i straciwszy wcześniej matkę wychowuje się sam. Jakiś zbankrutowany włoski margrabia Tudesco, podobny nieco do znanego nam już Godeta, daje mu lekye łaciny, a w osobie swej łączy dziwnie powagę kapłańską z lekkością błazna. Ohok łaciny nie zapomina wszczepiać uczniowi zasad filozofii transcendentalnej. Marzyciel w duszy, otoczony prozą najbardziej brutalną, goni młody Servien za marami obcemi jego ciasnemu światu. U jednego z kolegów widzi nieznanym sobie zbytek, który uwielbia, odsuwając się z wstrętem od tego, co go otacza. Zaczyna czytać romanse sentymentalne, w teatrach ołśnie-

wają go piękne ciała kobiet, zakochuje się w aktorce i zapomina o pracy i obowiązkach. Narzuca się swemu ideałowi, który wprawdzie nie wart tej nazwy, ale stanowi przedmiot rojeń biedaka. Napróżno tłumaczy mu margrabia, nie bity snąc w ciemię, że aktorka to zwierzę przyjemne z pozoru, zawsze źle wychowane, zepsute przez biedę a potem przez zbytek, coś w rodzaju stróżowej, która została księżniczką i łączy zawiści poddasza z kaprysami budoiru.

Servien nie zdaje egzaminów, nie może nigdzie zagrać miejsca, goni za swemi wizjami, w czasie Komuny przekonywa się o moralnej nicości ukochanej i ginie z rąk rozwścieklonych komunardów. Słusznie zauważył jeden z krytyków współczesnych, że idee nie mają wartości, jeżeli nie wspiera ich obserwacya. Co wart myśliciel, który nie jest psychologiem? France łączy zalety jednego i drugiego i stara się zgromadzić szereg spostrzeżeń, by z ich treści wydobyć myśl. Jego osoby nie są manekinami, mają życie prawdziwe, są prawdopodobne. A romans ma znaczenie społeczne, gdyż wykazuje, jak indywiduum o bardzo średniej inteligencji może się wypaczyć przez złe wychowanie, które daje otoczenie, literatura, teatr. To, co zdarzyło się Servienowi, dotyka tysiące osobników i dostarcza nowych zastępów zwolennikom społecznego przewrotu. Czyta się rzecz nie bez dużego wrażenia, choć napięcie opowiadania jest mniejsze i brak mu ruchu i kompozycji. Rzecz szczególna, jak poeta zeszedł w niem na niziny z wyżyn parnasyjskich i poruszał się na nich tak swobodnie, że zwrócił uwagę ogółu. Nie starał się o podobanie mu i wydawał się dość wyodrębnionym od reszty.

To sprawiło, że poczęto go cenić bez entuzjazmu. Nie miał zresztą wyobraźni, którą Zola porywał tłumy. Był zbyt sceptycznym i nie uwielbiał swego czasu i pokolenia. Stronił od frazesów i unikał tego, co daje powodzenie materialne. Jego Servien nie mógł podobać się, gdyż takich jak on było wielu i liczba ich wzrastała stale. Wynik to nadmiernego rozwoju industrializmu, upadku moralności, rozszerzania wiedzy podejrzaney jakości, pochlebiania masom przez polityków i dziennikarzy. W takim środowisku oszust Tudesco łowi ryby w mętnej wodzie, aktorka pędzi egzysten-

cyę świetną, Servien zazdrości zbytku tym, którzy zyskali go kosztem własnej hańby. Wynik to też romansu, który czytają ludzie najbardziej ograniczeni i wchłaniają truciznę tem łatwiej, że podaną jest zręcznie i w małych dawkach.

Czytać romans musi każdy i dlatego tworzy się go na zamówienie, by zrobić majątek za każdą cenę, koniecznie i prędko. Reklama czyni wysiłki, podobnie jak w każdym przemyśle, a w tym jest ona może najwięcej przemyślną i najbardziej kłamliwą. To wynik moralności ogólnej, w której France jest świetnym wyjątkiem. On jest jednym z nielicznych, którzy pracują dla sztuki i są dalecy od ogólnej dążności, która doszła do szczytu za panowania naturalizmu. On też świadczy o żywotności romansu, który wie dzie dziś żywot mniej pomyślny, niż dawniej. Mimo swego parnassizmu, zna ludzi i świat, najzupełniej obcy wysokim wzlotom poezyi. Sam wybija się w każdym swem dziele, co świadczy, że przedmiotowość jego jest względna i że Bonnard z swemi zamiłowaniem, to on po części, a pobłażliwość, z jaką traktuje bohaterów i ich zdrożności, to jego ironia sceptyka, nie pozbawionego zresztą pewnej naiwnej i rzewnej uczuciowości. Ta ostatnia stanowi właśnie jego czar i różnicę od innych.

IV.

Erudycja i romans. — Indywidualizm twórczy.

Bonnard był erudytem i France jest nim w każdym dziele. Urodził się, wychował i żył wśród książek, zwłaszcza od chwili, kiedy został urzędnikiem w bibliotece Senatu. Spotkał w niej również dawnego mistrza, Leconte'a de Lisle, ale długo na tem stanowisku pozostać nie mógł ze względu na drobiazgowość i czezość zajęć biurokratycznych i rzucił się na pole krytyki literackiej w jednym z najpoważniejszych czasopism stolicy. Mógł teraz, zabezpieczony materialnie, poświęcić się zupełnie czytaniu, szukać w starych manuskryptach i drukach wątku do legend i romansów historycznych, stworzyć romans erudycyjny, który rozślawi go

daleko i pozwoli mu spełnić dawno żywione marzenie spokojnego spędzania czasu *in angulo cum libello*. Z namiętnością oddawał się teraz studyom nad literaturą dawną i nową, pogrążał w wiekach całkiem zamierzchłych i starał się z starych opraw, miniatur, kamei, rzeźb, odtworzyć zgasłego ducha pokoleń. Jest bowiem między temi tworcami dawnego arcyzmu a literaturą związek ścisły. Kto zna francuskich prymitywów, nie może nie być uderzonym dziwnem podobieństwem pojęcia przyrody, przeszłości, ludzi, życia do tego, jakie panuje w średniowiecznych poematach i romansach. France zagłębiał się też dalej, w czasy upadającego państwa rzymskiego, w epokę Tebaidy i pierwszych Świętych średniowiecza włoskiego i francuskiego i wydobywał z niej prawdziwe skarby zachwycającego wdzięku i naiwności uczuć i myśli. Traktował te tematy z lubością, interpretował je mistrzowsko, rozsiewał w swych opowiadaniach kwiaty poezji czystej i dyskretnej. Umiał być zajmującym, choć o układ nie dbał wcale, nie nużył nigdy i z nikłej pozornie treści wysnuwał nieskończony wątek romansu przeplatane go ciągle refleksjami filozofa.

Te ostatnie uwydatniały się już dawniej, a teraz zajęły tyle miejsca, że romans mógł być śmiało nazwany filozoficznym. Erudyty i filozof mówili od siebie, a czasem jakby dla siebie i bywali zawsze nowi i oryginalni. Tworzyli postacie na pozór stare i mające woń wieku, a w istocie nowe i podobne do sceptyka w rodzaju Bonnarda. Czasem zdaje się, że romans jest obrazem namiętności dawno zagasłych, ludzi dawno minionych. Jest to złudzenie, obok którego nie mniejszą rolę gra humor satyryka. Obrazki rodzajowe, małe epizody legendowe udają mu się w ogóle lepiej, niż całość wielka i obejmująca masę charakterów i sytuacji. Ludzie, których on wywołać zdoła, są istotami, zbyt rządzonemi refleksją, świadomemi siebie, roztropnemi, intelektualistami w ogólności; obok nich jest świat drobnych, ruchliwych, ciasnych umysłem i naiwnych do głupoty, bardzo średnich albo mierzonych zupełnie, na których obserwator patrzy z pobłażaniem, których maluje z werwą, ale którzy są zbyt mali, by ich spamiętać i wspomnienie utrwalić. A za tym światem jest już sfera inna, w której fantazya idzie o lepsze z erudycją, świat

prawie nadzmysłowy, legendowy, oblany światłem poezyi a czasem błyskami ironii, oddany z prostotą średniowiecznego miniaturzysty lub kronikarza. Mówiąc o nim, wyowiada autor swe własne myśli o świecie i interesuje czasem więcej, niż jego legendy. Romans filozoficzny „wieku oświeconego“ był optymistyczny mimo pozorów mogących zmylić wielu — tu jest gorycz, mizantropia, smutek, melancholia sceptyka skłonnego do pesymizmu. Okropna rzecz pomyśleć, jak jesteśmy daleko od pogodnego poglądu na świat dawniejszych przedstawicieli myśli europejskiej. Pesymizm tkwił już na dnie romantyzmu, wzmógł się później, mimo obiecujących przyrzeczeń wiedzy, postępu techniki, środków komunikacyjnych, sposobów miłego spędzania czasu. Życie współczesne rzuciło cień na literaturę, ta ostatnia odesłała go społeczeństwu, jedno i drugie nie należą do najweselszych. Jest w tym nastroju pewna przesada, jest i jądro prawdy. Jaki wynik podobnego kierunku, gdzie koniec owego upadku ducha, dokąd stoczy się myśl nieufna w dogmat, w siebie, w życie? Otwiera się przepaść, której dna nie widać, przepaść groźna i ziejąca przeraźliwie i smętnie.

To bilans ewolucyi myśli wieku. Niegdyś potępiano przeszłość dla mirażu przyszłości, dziś czuje się braki i nędze obecne, a miraż ludzi tylko masy bez kultury i wiedzone ręką ambitnych. Niepewność ogólna, nieufność wzajemna, obawa przed wszystkim i wszystkimi unoszą się nad światem, który drży na wspomnienie chimery socjalnych i potwornych rojeń anarchii. Jedni oskarżają drugich o wyzysk, chciwość, kult złota i zbytku; wszędzie podnoszą się utyskiwania na przeciążenie fizyczne i umysłowe, brak uczuć podnioślejszych i filisterstwo, dziwaczność smaku i upadek powszechny moralności. Wiek dopiero zastygły dokonał rzeczy niesłychanych, miał chwile bardzo malownicze i wielkie, wślawił się dramatami i procesami głośniejszemi, niż dawniejsze. Zdemokratyzowanie społeczeństw dobiegło kresu i zdaje się, że lud poczyna mieć te same kaprysy, które obaliły niegdyś stary porządek i chce dostosować wszystko do swego poziomu i miary. Na tem tle wyrosła literatura, której brak dojrzałości klasycznej. Zbyt spieszenie wybujała, za nadto zajęta zagadnieniami przejściowemi, obliczona na

efekt chwilowy, często sztuczna i pełna pozy, odznacza się różnaitością, odcieniami, barwnością, nigdy jednak ogólnie nie uznanemi i nie ocenionemi. Romans, to jej rodzaj królewski, to synteza wszystkich innych rodzajów, to forma ulubiona i mająca odpowiedzieć na wszystkie zagadnienia, zamknąć wszystkie strony życia, zadowolnić wszelkie wymagania. I im więcej życie współczesne komplikuje się i składa, tem bardziej się rozrasta, pełni i jałowiej zarazem. Zrazu malował życie dawne i nowe, potem stał się apostołem filantropii, potem głosił pogardę mieszczaństwa, wreszcie oświadczył, że nie ma nic poza instynktami zwierzęcemi i że wszystko jest złudzeniem i snem. I okazało się, że formy namiętności złagodniały, ale postęp moralny, głoszony dumnie przez Rousseau i jego następców, jest dalej, niż kiedykolwiek. Uczuciowość wydelikatniała, zwiększyły się jednak wymagania i zarazem możność ich zadowolenia. Poczucie zadowolenia stało się rzadszem niż kiedykolwiek, to poczucie podmiotowe i osobiste, ustępujące dziś miejsca chorobie ducha ogarniającej jednostki i całe grupy. Walka sprzecznych prądów stała się tak natężoną, że wyczerpując słabe siły rozgoryczyła głębsze umysły, wywołała krzyki rozpacz, rozszerzyła pesymizm najczarniejszy i złowrogi. Współczesny myśliciel Bourdeau uznaje te braki czasu, ale pociesza się, że nasz wiek był najbardziej żyjącym z wszystkich. Czy żył źle, czy dobrze, osądzi potomność.

Co myśli o nim France? Gdy podobne oznaki występowały już bardzo wyraźnie, był człowiekiem czterdziestoletnim. Doszedł do wieku, w którym poczynamy się starzeć, skupiać w sobie, myśleć o tem, co było i o tem, jak się spędzi resztę lat życia. Z tęsknotą zwracał się do lat dziecięcych, z pewnym strachem konstatował brak dogmatu, niezdolność twierdzenia czegokolwiek, sceptycyzm bezwzględny i stały. Zateśknił do kraju lat dziecinnych. Nie wiedział, czy jest sobą czy stanowi tylko zbiór pojęć obcych, czy zna siebie do dna czy stanowi sfinks nierozwikłany, czy ma miejsce pobytu czy jest niesiony falą, która zamieszkuje morza. Czuł w sobie coś, co poznać trudno, i metafizyk .odzywał się czasem w sceptyku, przejętym doktrynami pozytywizmu. Obserwował panoramę rzeczy otaczających, więcej interesował się

jeszcze sobą. Wiedział, że istnieje, że myśli, a reszty nie był pewnym, jak Sully-Prudhomme. Dna, treści, przyczyny rzeczy zbadać nie umiał i nie mógł. Sądził się częścią całości nieskończonej, ogromnej, wchłaniającej nas jak ocean, a czem jest to wszystko, nie wiedział. Znał siebie jednak, czuł siebie, chwytął się na uczynku, jeżeli nie w pełni, to w części. Hipotezą nie był dla siebie, a świat był nią dla niego. Rozumiał, że światem rządzą prawa stałe, niezłomne, określone, ale nie wyjaśniają tego, co przechodzi zjawiska naturalne i ich prawa. I schylony nad temi przepaściami pokochał swe dzieciństwo i młodość, które najsilniej wnikły w duszę i utworzyły niejako warstwę pierwszą i zasadniczą. Z tego dzieciństwa wyrastały jak z bujnej gleby drzewo marzeń podlewane wodą żalu za niem i opromienione blaskiem prawie legendowym. Dusza jego otwierała się dopiero wtedy i wyslizgiwała jak ślimak z skorupy, patrząc w około ciekawie i nabywając pojęcia o świecie, którym były na razie ojciec i matka, biblioteka ojcowska, święte obrazy, cudowne opowiadania. Wtedy napływały łzy do oczu dojrzałego męża, którego dusza marząca poczęła wylewać na papier siebie i tworzyła romans życia własnego, upoetyzowany może, ale skrzący jak mozaika i mimo rozprysnięcia na epizody jeden i cały.

Taką była geneza *Livre de mon ami* (1885), na której wstępie zaznaczył już twórca, że jest jak Dante na środku drogi życia, z kądem jak ze wzgórza widać w blasku opalonym postaci dalekie i zamierzchłe. Dawniej kochał życie i czekał jutro, dziś spodziewa się od niego tylko niepokoju i smutku, jak od jedyne go swego nieprzyjaciela. Dziwne wyznanie, a zwiastujące poetę w tym prozaiku, odzianym w togę filozofa. Czy nie inaczej odzywa się Sully-Prudhomme i inni marzyciele? A dalej snuje się barwna nić wspomnień, jak nieskończona a srebrna struga wody po zielonym stepie. Pierwszy pokój, łóżeczko, opieka matki, znajomości, zabawki, miłość dla białej damy, która została potem ambasadorką, zbiory historii naturalnej, koledzy, chrestna matka o awanturniczej przeszłości i złotych oczach, lektura *Żywotów Świętych*, rojenia o zawodzie pustelnika lub żołnierza, których życie jest tak określone, że nie pozostawia za-

dnej próżni, żadnego pragnienia. Chciano go oddać na pensję, co było ciężkiem przejściem, ale wola ojca była świętą a ten ojciec był człowiekiem niepoślednim. Żmudną pracą zdobył poważne stanowisko i utrzymywał, że szlachetność myśli mamy od Boga, a dobrą kulturę zdobywamy przykładem i ustalamy dziedzicznie. Człowiek dziki rozwinął się zwolna i każde pokolenie pracuje nieświadomie nad udoskonaleniem następnego. Rodzice winni pracować, by stworzyć lepszą przyszłość dzieciom, a w tym celu trzeba te dzieci znać i kochać. Z kolegą, który okazywał dążności dość rewolucyjne, przedsięwziął teraz dzieło wielkie, historyczne i ugrzązł już na wstępie znudzony trudnościami. „Mam wam opowiadać o tem — mówi bohater romansu — co mnie przypominają każdy rok, ruchliwe niebo jesieni i pierwsze obiady przy lampie i liście, które żółkną na drzewach drżących; mam wam opowiadać o tem, co widzę, gdy przechodzę ogród Luksemburski w pierwszych dniach października, gdy jest nieco smutny i bardziej uroczy, niż zwykle; albowiem jest to czas, gdy liście spadają po jednemu na białe ramiona posągów. Wtedy widzę w tym ogrodzie małego człowieka, który z rękami w kieszeniach, z ładownicą na ramieniu idzie do kolegium, skacząc jak wróbel. Myśl ma widzi go tylko, gdyż ten mały człeczek jest cieniem; to mój cień z przed laty dwudziestu pięciu“.

Ten mały człeczek lubił już wtedy odwiedzać księżarzy nadsekwańskich i u nich widział tyle starością strawionych dzieł, że to wpoilo mu głębokie poczucie zmienności rzeczy i nicości wszystkiego. Smutku, łagodności, litości nauczył się z tej lektury, a każda tragedia grecka budziła w nim poezję nieszczęścia. Przyszedł do wniosku, że jeżeli pragnienie upiększa wszystkie rzeczy, których pożąda, żądze nieskończoności ubarwia wszechświat. I dziennik rwie się zwolna, zamykając zapiskami o córeczce bohatera, który daje czytać dziecku książki dla dojrzałych przeznaczone. Żle czynimy, gdy podsuwamy dzieciom książki niby naukowe, by je oddalić od poezyi; dziecko musi marzyć i śpiewać, jak ludy, póki mają serce wesołe i młode. Starzejąc się, wydają poetów-retorów. Prawdziwa zaś poezya polega na szczęśliwym kojarzeniu rzeczy i winna towarzyszyć nam od ko-

łebki... Mimo że wątek opowiadania toczy się dość powolnie, nie męczy nigdy, a dowcip czyni ten obraz lat młodych zajmującym do końca. Nie ma tu czułościowości, jest lekkość i swoboda, obca Zoli lub Bourgetowi. Kreśląc własny pamiętnik, zadowalał France potrzebę swego umysłu, opisując siebie przeżywał raz jeszcze niejako młodość. Obchodzi go jednak nie tylko on sam, ale i świat dziecięcy, jego zamiłowania, wrażenia, motywy postępowania. Zajmuje się również innemi dziećmi, studjuje ich, a zawsze na tle własnego pojęcia życia i jego celu. Indywidualność pisarza widać wszędzie, jego rodzaj umysłu, uczuciowość, marzycielskość, które żywo rysują się w jego wyznaniach. Nie ma tu ścisłości, pedantyzmu, a przeważa sceptycyzm łagodny i delikatny. Ironia, ta cecha twórczości France'a, mniej tu widoczna i wyraźna. Ta ironia uwydatni się silniej w romansach następnych.

Już *Balthasar* (1889) stanowi jako cykl opowiadań jeden z najwyborniejszych okazów tej właśnie ironii, która stanowi wydatne znamię filozoficznego romansu „wieku oświeconego“, objawia się później u Stendhala, Flauberta, Maupassanta. Król Baltazar udaje się w odwiedziny do cudnej królowej Saby i postanawia dać jej dowód swej miłości. Poszli tedy w przebraniu do obrzydliwej nory włóczęgów i nie posiadając przy sobie pieniędzy, musieli się bronić przeciw całej chmurze napastników. Baltazar obronił królowę, ale schwytyany wraz z nią przez zbiegów podczas romantycznego noclegu za miastem, musiał doczekać chwili, w której Balkis zdradziła go nikizemnie. I poznał król, że mądrość tylko czyni szczęśliwym i wróciwszy do Etyopii badał gwiazdy. A wtedy nowa gwiazda kazała mu jechać do Betleem, a Balkis, opuszczona przez nowego kochanka i tęskniąca za królem Etyopii, przekonała się, że serce jego wypełnia jedynie mądrość boska. Następuje opowiadanie o księdzu bardzo ascetycznym, ale lubiącym rezedę, potem romans egiptologa z amerykańską milionerką, dalej wizyta u księdza maniaka, który wierzy w zgodę wiedzy z religią, znów scena z pierwszych czasów chrześcijaństwa, wreszcie opowieść o szalonym koledze, które dowodzą sztuki opowiadania skończonej i swobody wprost trudnej do naśladowania. Ta mozaika obrazków

z różnych epok i krajów wskazuje na erudycję, której dopomaga wyobraźnia drugorzędna wprawdzie, ale władająca stylem, na pozór łatwym a w istocie kunsztownym i wywierającym wrażenie renesansowej kamei lub miniatury. W tym stylu jest urok trwały, bo to styl najbardziej wykwintny wieku. Baltazar, to niby sam France, widoczny i w innych opowiadaniach czasem bez osłony z swym sceptycyzmem, wiecznie bolejącym nad marnością rzeczy ziemskich i ukrywającym się tylko pod osłoną fikcyj przemyślnie wprowadzonej. Nie ma życia w tych opowiadaniach, jest natomiast ironia i pozorna niedbalość o układ, akcję, wszystkie sposoby i sposobiki romansu, które zmierzają do wywarcia wrażenia najpierw akcją najbardziej urozmaiconą a potem dialogiem i opisem. To jest nowa forma romansu, która nikłą treść zamyka w najkapryśniejszej z form. Streszcza ona małe momenty bytu, nie dba o jedność i harmonię całości i wyraża pewien stan umysłów, które nie chcąc znać żadnego dogmatu odrzucają też wszelkie konwencje dotychczasowej techniki.

Pod tym względem *Thais* (1890) zdaje się zaprzeczać podobnej metodzie. Jest ona harmonijna, spójna, skreślona niby wedle starej techniki, a urocza jak piękny sen. Stanowi opowiadanie, które stopniuje wrażenie do miary niepospolitej i wieje również ironią bardzo wykwintną. Jest smutna zarazem, nieco rozwiązła niekiedy, ale i ciepła i nie podobna wcale do chłodnych i cynicznych romansów „wieku oświeconego“. Psychologiczną podstawę romansu stanowi walka dwóch skłonności: ascetyzmu i zmysłowości, walka wściekła i niszcząca, walka przenikająca do głębi. Jak w romansach Balzaca, jedna namiętność opanowuje bohatera i wzrasta do rozmiarów przerażających. France nie stawia żadnej teorii, jak naturaliści lub Bourget, opisuje duszę, jej zmiany, przewroty, upadki, wzloty, targania się najbardziej wewnętrzne i bolesne. A analizuje tak subtelnie, jak tamten, i maluje tak delikatnie, jak miniaturzyści średniowieczni. Zajmuje się głównie duszą, ale nie pomija kolorytu historycznego i puszcza też wodze poetyckiej wyobraźni. Jego troska o prawdę czyni z jego romansu twór erudyta, ale i artysty, niezbyt dalekiego od Flauberta, a mniej ciężkiego i dydaktycznego. Gdy się

myśli o jego romansie, przychodzą na pamięć malarze angielscy, Millais a też Madox-Brown, dowcipny i wzruszający, namiętny i uczony, głęboki i jasny. Również Burne-Jones miał tę poezję subtelną, którą wkładał w swe legendy barwne, ten sam talent w rysunku i harmonii kolorów. Romans jest jednak raczej akwarellą niż obrazem olejnym, obrazem malowanym akwarellą i posiada jej subtelność i powietrzność. Znać w nim, pod względem wykończenia formy, przechylenie się do epikurejskiego pojęcia życia, ironia ostrzejszą jest niż dawniej. Jego twórcy imponuje chrześcijaństwo, ale go ani pociąga ani entuzjazmuje. Jest tu ten sam pogląd, który widzieliśmy w dramacie koryneckim, a który powtarzał się będzie niejednokrotnie.

Pustynie nadnilowe są tedy pełne anachoretów, którzy mieszkają w celach i odmawiają sobie wszystkiego. Piekło i niebo wydzierają ich sobie uporczywie, ale pierwsze zawsze ulega, gdyż post, modlitwa, umartwienie przemagają złe potęgi. Nawet źli ludzie drżą przed anachoretami, którzy mieli moc niezwykłą i dokonywali, zwłaszcza przez ręce najsurowszego z nich Pafnucego, cudów niesłychanych. Pafnucy był kiedyś hulaką, przepadał za poezją i sztukami, ale w końcu rozdał mienie ubogim i wiódł żywot najtwardszy z twardych. Znał w Aleksandryi słynną rozpustnicę Thais, która niekiedy ukazywała mu się w snach; widział w nich ją w pozach mitologicznych, błyskającą wilgotnemi oczyma i nęcącą ustami na pół otwartemi. Widział ją też mocno cierpiącą i wtedy litość wzbierała w wychudłych piersiach ascety, gdyż i Thais była technieniem ust Pańskich. Postanowił ją więc wybawić z grzechu i po niejakiem wahanii, które rozprószyło symbolicznie tlómaczone zjawisko przyrody, opuścił uczniów i podążył do egipskiej metropolii, zasłaniając po drodze oczy, by nie widzieć piękności rzeczy. W drodze spotkał człowieka, który w Indyach zapoznał się z buddyzmem i nie potrafił go nawrócić. W duszy jego wrzał ogień miłości Bożej, ale i on nie mógł oddziałać na sceptyka Nikiasza, do którego Pafnucy udał się po przybyciu do celu wędrowki o przyjacielską pomoc i poradę. Nikiasz, niegdyś towarzysz hulanki ascety, dał mu piękną tunikę i złote sandały, namaścił perfumami i obdarzył tysiącem draehm, bez których

trudno było przestąpić progów willi hetery. Ostrzegwał wprawdzie przyjaciela przed gniewem Wenery, ale nieugięty asceta poszedł odważnie do teatru, by ujrzeć Thais i z pogardą odpędzał od siebie słyszane tu i ówdzie poglądy epikurejskie.

Znalazł się wreszcie w willi słynnej aktorki. Pochodziła ona z biednych rodziców i wcześniej poznała religię Chrystusa, ale mając złe skłonności szybko dała się unieść prądowi życia i rozdawała miłość tym, którzy jej żądali. Wystąpiwszy na scenie, pozyskała publiczność Antyochii, ale choć miała licznych i możnych wielbicieli, nie czuła się szczęśliwą, szukała wróżb u magów i czytała filozofów, tęskniła do wiary i niekiedy myślała o powrocie do życia prostego i uczciwego. Była smutną wśród pochwał i ponurą na łonie rozkoszy. I nagle ujrziała przed sobą szkielet prawie, o oczach płomiennych, brodzie źle uczesanej, w szacie bogatej. On rzekł jej, że kocha ją więcej niż życie i obiecywał szczęście niewymówione i nieskończone. Domyśliła się, że to mag, ale gdy chciała mu się już oddać, on zachował nieruchomość. Wtedy usłyszała jego imię i rzuciła mu się do nóg, a on kazał opuścić jej świat i jego powaby. Prosiła, by jej nie dał umrzeć, gdyż boi się śmierci, a on rzekł jej, że gdy tak żyć będzie, umrze na wieki. Ukazał jej życie wieczne i znalazł owieczkę zbląkaną. A ona ujrziała na jego obliczu odbicie świętości Bożej. Poszli razem na ucztę do przyjaciół, na której zgromadzili się poeci, świat modny, kobiety i toczyły się rozmowy pełne smaku. Jeden z poetów wypowiedział apoteozę Thais, ale ona w odpowiedzi wróciła do willi i spaliwszy ją wraz z wszystkimi skarbami sztuki uszła mimo próśb Nikiasza z Aleksandryi. „Jeżeli porównyвам moje życie do twego — mówił do Pafnucego towarzyszący obojgu do bram miasta Nikiasz — nie umiałbym rzec, które lepsze samo w sobie. Idę wziąć łaźnię, którą mi przygotowują Cza-tyle i Mirtale, zjem skrzydło bażanta z Phase, potem będę czytał po raz setny jakąś bajkę Apulejusza lub traktat Porfira. Ty wrócisz do celi, gdzie klęcząc jak uległy wielbłąd będziesz przeżuwał formuły inkantacyi od dawna żzute i przeżute a wieczorem zjesz rzepę z oliwą“. Napróżno. Thais poszła za Pafnucym wśród spieki pustyni, a on na wspomnie-

nie jej zbrodni, i by powiększyć jej cierpienie, plunął jej w twarz.

Zaprowadził ją do klasztoru, gdzie czekało ją łożo, dzban i radość nieskończona, a sam wrócił na pustynię. Ale nie znalazł tam tego, co zostawił. Obraz pokutnicy stał mu przed oczyma, a pewnej nocy wizya była tak silną, że ośm szakałów, w których ciałach kryją się zwykle szatani, weszło do celi, gdy dotąd nie śmiało przekroczyć jej progu. Świętobliwy Palemon radził mu unikać samotności, prowadzić życie czynne, urządzać klasztory, ale Pafnucy wołał zamieszkać na słupie, około którego gromadzili się licznie pobożni pielgrzymi. Ale choć czynił cuda i otaczała go cześć i uwielbienie tłumów, nie przestał myśleć o Thais. Dla Rzymian z Aleksandryi był ciekawym przedmiotem dla studyów, a pewien lekarz przyznawał nawet, „że są siły nieskończenie potężniejsze niż rozum i wiara“. Aż dnia pewnego Pafnucy znikł z kolumny. Zamieszkał w opuszczonym grobie, ale pokusy następowały jak fale podczas przyływu. Owładła nim duma, zwątpienie, namiętność, i dowiedziawszy się o bliskiej śmierci pokutnicy, chciał ją pożegnać, wołając po imieniu, ale ona umarła w chwale... France, sceptyk na wzór Renana, objawił się tu otwarciem i bez zastrzeżeń. Nie twierdził ani nie przeczył niczemu, ale sympatya jego przechylała się widocznie na stronę Nikiasza. Nikiasz, to France, utrzymujący, iż nie ma prawdy bezwzględnej i prawda jak bogowie nie ma bytu realnego. Prawda, to kategoria ideału, a Renan i France zbadali tak wszystkie doktryny, że nie trzymają się żadnej. Pangloss z romansu Voltaire'a był innym, bronił uparcie swej idei, gdy Nikiasz dumnie chlępi się, że zna wszystkie prawdy a nie wierzy w żadną. Na żadną nie uderza, nie broni też żadnej. Gdyby France miał jakieś ustalone przekonanie, Pafnucy na uczcie w Aleksandryi wystąpiłby w obronie wiary; nie czyni tego, gdyż France nie chce i dlatego szkodzi charakterowi stworzonemu przez siebie samego. Jak Renan, zdaje się nie przypuszczać również rozdziału piękna i dobra. Przyjmuje tylko piękno i prawdę, a moralność wedle niego, to część estetyki. Rod myli się, gdy mówi, że Pafnucy przedstawia smutek chrześcijański i pogardę życia; wszakże inni anachoreci cieszą się na pustyni wraz

z św. Antonim, który gromi Pafnucego za jego dumę i zmysłowość, zupełnem szczęściem i spokojem. Pafnucy przedstawia tylko siebie i swe wady.

A również przedstawia tych, którzy bez powołania obierają stan nieodpowiedni. France czuje piękność religii i wychowany jak Renan pobożnie wie, że rozszerzyła ona dusze niepospolicie. Burzy się tylko przeciw pogardzie życia, a w duszy jego ważą się wpływy dwóch kultur i doktryn. I jego dręczy zagadnienie bytu, a sceptycyzm nie zniszczył w nim potrzeby wiary. Ona śpi w nim i szepcze, że jest pustka w duszy świata obecnego. I dlatego tylko anachoreci i Thais są szczęśliwi — Nikiasz żyje bez nadziei, podobnie jak reszta Rzymian. Miłość wydaje mu się najpotężniejszym czynnikiem bytu i dlatego Pafnucy, który nie jest stworzony dla życia pustelniczego, ulega pokusie. Jego miłość jest czysto zmysłową, jak wogóle starożytna, nie ma w sobie mistycyzmu średniowiecznego lub idealizmu romantycznego Musseta lub de Vigny'ego. Jako całość, jest romans jednym z najlepszych pisarza, choć brak mu efektów plastycznych. France używa słów najprostszych, opowiada z dziwną naiwnością i delikatnością, stwarza nastrój istotnie czarujący, ale nie obrazy. Kolorystą nie jest, wyobraźnia czytelnika rzadko uderzona jest jakimś żywszem porównaniem, dobitnością wyrażenia, wizją dotykającą i zmysłową. On ma w wysokim stopniu zmysł psychiczny w nakreśleniu przejść duchowych, ale malarzem, który widzi rzeczy niewidzialne dla oka innych w rysunku postawy i ruchu, w półświatłach i półcieniach, w harmoniach tonów i liniach pejzażu, nie jest i nie będzie. To jest mieszkaniec Paryża, który natury wielkiej, pustynnej, dzikiej z jej pomnikami z czasów zamierzchłych Egiptu wywołać nie umie. Ale choć nie jest malarzem jak Loti, rozwija dar niesłychany opowiadania, ma pewną głębię sceptycyzmu, ma indywidualizm bardzo osobisty i dowcip najwykwintniejszy z wykwintnych. Jego romans jest raczej dziełem poezji realistycznej swą intuicją przeszłości i delikatnością pendzla.

Dr. Tadeusz Grabowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

John Ruskin.

Studia nad powiązaniem i uzasadnieniem jego głównych
pomysłów.

(Ciąg dalszy).

Tensam ruch artystyczny Prerafaelityzmu, który zawdzięczał tyle zarówno natchnieniom pomysłów od Ruskina płynących, jak i jego ojcowską pieczę kierowanym i ożywianym krytycznym przestrogom, wywołał, jak się zdaje, a przynajmniej przyspieszył i w nim samym, drogą wzajemnego, odwrotnego działania nową dobę w życiu jego idei. Wiele przejść musiało bolesnych, gorączkowych szamotań się, zanim nowe gwiazdy zapalające się na tym wewnętrznym widnokregu ducha, przeniknęły światłem swem cały jego strop, podporządkowały sobie i rozszerzyły odpowiednio dawniejsze jednostronne a uporcezywe wierzenia i upodobania. Przełom, jaki się odbył w tej naturze o wyjątkowo bogatej, żywej i subtelnej zdolności wrażeń, należy do najciekawszych w drugiej połowie XIX wieku, a wyczerpujące przedstawienie jego wielorakich sprężyn, komplikujących się pobudek i doświadczeń, które działać tu mogły pod wpływem okalającej widowni ruchu umysłowego, zdarzeń politycznych i prądów społecznych, jest bardzo trudnem, acz na-

Zob. *Przegląd Polski* z listopada 1901 r.

der pouętnem zadaniem. Dalecy od nadziei zadowolniającego rozwiązania go w całości, musimy przynajmniej unaocznić sobie główny problem, a następnie zebrać w myśli te wszystkie luki i pozorne, czy rzeczywiste niezgodności w dotychczasowych spostrzeżeniach i refleksjach Ruskina, które niejako wewnętrzną siłą pędziły go do uzupełnienia tych myśli, a nawet do wyjścia po za ich ramy.

Dotąd przedstawiał się Ruskin niemal wyłącznie jako żarliwy miłośnik piękna w naturze i sztuce, analizujący je zarazem niestrudzenie wszelkimi dla organizacji jego dostępnymi sposobami bądź to bezpośrednich zmysłowych spostrzeżeń, bądź pośrednich psychologicznych obserwacji. Całej tej estetyki swej nietylko nie starał się — ale świadomie i jawnie nie chciał oprzeć na jednolitej metafizycznej podstawie poglądu na świat, któryby wychodził z zasad rozumowych. Swą odrazę do reguł (*rules*) w sztuce przeniósł na wszelkie takie ogólne i stałe środki pomocnicze dla orientowania się umysłu, stronił od nich, jako od raf, o które rozбивa się pogoń ludzka za świeżą, nieskalaną, niezmaconą prawdą. Żywa wiara religijna wystarczała mu do nabrania

utrzymania pewności o rządach rozumnego i dobrego Boga w przyrodzie. Widzieliśmy wprawdzie, jak zastosowywał i rozwijał pewne pojęcia filozoficzne, wywodzące się bądź od Arystotelesa, jak o specyficznej energii i szczęśliwości lub o cechach (rysach) istotnych, bądź od Locke'go, jak o pierwszorzędnych i drugorzędnych własnościach rzeczy, że nie obcemu też było znaczenie idei w pięknie, ich wielość i ścisłość stosunków między nimi. Jednakże te przesłanki dla swojej estetyki przyjmował i przyswajał sobie bez dalszego rozstrząśnięcia ich podstaw, poprostu jako najlepiej odpowiadające jego subiektywnym doświadczeniom i przekonaniom, jako empirycznie dlań najprawdopodobniejsze. Czy idee oponowują *całą* rzeczywistość, w jakim kierunku ją przekształcają i jak się to dzieje, tych żywotnych dla systematycznego, filozoficznego idealizmu pytań nie zadawał sobie Ruskin w pierwszej dobie swojej działalności, gdy umysł jego (oprócz niektórych kwestyi przyrodniczych, jak o formacji gór) zaprzętała prawie wyłącznie estetyka na krytyce dzieł sztuki i psychologicznych rozbiórach oparta. Zadawałniał się stwierdze-

niem, iż na dnie tych rysów naturalnego piękna, które budzą najżywsze upodobanie, i tych zalet w tworach wyobraźni, w których objawia się jej największa zdolność poruszania głębin duszy i intuicyjnego przenikania prawd, tkwi wybitny pierwiastek ideowy, że przy odczuciu piękna musi obok samego pochwycenia nagiej, zmysłem dostępnej *prawdy*, uświadomić się mniej lub więcej jasno, ale zawsze silnie, jej szczególniejsze *znaczenie*. Zresztą sam ów płomienny kult dla prawdy, który pozostał właściwością Ruskina na całe życie i był mu źródłem zawsze świeżych i oryginalnych natchnień, dawał jemu i w tej pierwszej, mniej ochoczej do rozszerzenia refleksyi na wszystkie dziedziny życia dobie jego myśli do ręki pewnik, obdarzony olbrzymią rozciągłością w konsekwencyach i tem poniekąd zastępował mu brak filozoficznego systemu i w ogóle jednolitego poglądu na świat. Prawda tylko może stale uszczęśliwić ducha, podnieść i utrzymać go na wyżynie, byle jak najpełniej, jak najwierniej uchwycona i oddana, a tylko w przewrotnem zaślepieniu, na pochyłej drodze do duchowej próżni, płaskości, skostnienia wszystkich gorętszych tętn można sądzić, iż zatajaniem części tej prawdy lub jej upiększaniem da się ominąć coś złego, lub osiągnąć coś dobrego. Dobrem albo złem (*noble art — bad art*) jest dzieło sztuki ludzkiej w myśl tego pewnika stosownie do tego, czy w niem objawia się pełna oddania się wierność dla prawdy (*faithfulness*), czuła i wrażliwa na każdy jej odcień, czy też tylko chęć popisu, wystawianie na pokaz *swojej* głównie *zręczności*, znajomości reguł, tajemnic techniki, albo, co także nie jest rzadkością, pozowanie z własnymi szlachetnymi uczuciami. W takich wysileniach osobistych pobudek upatrywał Ruskin już od początku swej działalności objaw ujemny, dotąd jednak oceniał go zarówno, jak przeciwległe mu, miłością dla prawdy w rzeczy samej kierowane porywy, tylko z punktu widzenia estetyka, t. j. w duchu wymagań swojej krytyki artystycznej.

Stanowczy przełom w jego widnokręgach i ich niezmiernie rozszerzenie się w czasie między r. 1855 a 1863 polegały na tem, że podstawę do oceny działań ludzkich dotychczas czerpaną przy rozważaniu zakresów twórczości artystycznej i upodobania w pięknie natury z ograniczaniem

się do tych działań, przeniósł i z odpowiednimi modyfikacjami zastosować się starał do całości życia społeczno-duchowego ludzi, tak do zabiegów ekonomicznych o utrzymanie i spotęgowanie egzystencji, jak do wszystkich czynników mogących wpłynąć na jej etyczne uszlachetnienie, a gdy takimi czynnikami są w pierwszym rzędzie, jego przekonaniem, wszystkie stale uorganizowane związki między ludźmi, począwszy od rodzinnych, a skończywszy na państwie i Kościele, do zasad, jakimi te ustroje kierować się winny przy spełnianiu swoich naczelných zadań, do kształcenia harmonii w stosunkach ludzkich, do chronienia pracy, podejmowanej w imię konkurencji, dla wywyższenia się kosztem innych, ale dla miłości jej samej i jej przedmiotu, w imię idealnej wartości każdego po ludzku, a więc nie mechanicznie wypracowanego dzieła.

Dla wytlómaczenia tego rozwoju i ujęcia jego wytycznych linii, niezbędne są trzy rzeczy: Przedewszystkiem zastanowienie się nad tem, jak w dobie owego decydującego przełomu ukształtował Ruskin swoje poglądy estetyczne, jak z myśli swobodnie i nieco luźnie rzuconych w pierwszych tomach *Malarzy nowożytnych*, w *Siedmiu pochodniach* i w artykułach o Prerafaelityzmie starał się wobec czynionych mu zarzutów, iż jest w sprzeczności ze sobą samym, chwalać jednocześnie Turnera i Prerafaelitów, urobić pewną syntezę, a w szczególności zasadę ścisłej prawdy pogodzić z poezją i pięknem wyrazu w sztuce. Następnie musimy się rozejrzeć w tych postulatach jego estetyki, których spełnienie ukazało mu się zależnem od pewnych warunków w życiu społecznem, a mianowicie od przełamania bezwzględnej i niesumiennej konkurencji, którą współcześni ekonomiści pojmowali jako konieczny objaw powszechnego prawa popytu i podaży, a której działanie szkodliwe, w ich oczach naturalne i nieuniknione, na wewnętrzną wartość tworów ludzkiego ducha i ręki, obniżaną ustawicznie mnożeniem ilości i oszczędzaniem pracy za pomocą maszynowego sposobu wyrabiania, odsłoniło się Ruskinowi w pełniejszej mierze właśnie wtedy, gdy zrozumiawszy w badaniach swych nad architekturą gotycką doniosłość artystycznego wykształcenia rękodzielników dla postępu sztuki w ogóle, postanowił oso-

biście dać impuls do poparcia tej sprawy w swej ojczyźnie i udzielał przez lat kilka z bezinteresownym nakładem pracy i kosztów lekcji rysunków robotnikom w *Workings men College* w Cambridge. Wreszcie wyjaśniwszy i rozwinięszy następstwa tego ciekawego faktu, iż społeczne poglądy Ruskina wyszły od politycznej ekonomii sztuki, będzie należało wziąć w rachubę inny czynnik: etyczny, wylaniający się i potęgujący w duszy Ruskina wśród toku dalszych przeżyć jego żywota, gdy ta natura w najwyższym stopniu szlachetna i czuła na cierpienia jednostek ludzkich i narodów, na kataklizmy socyalne i polityczne, oburzająca się na barbarzyństwa wojny nowoczesnej wobec zabytków przeszłości i niewinnych nią dotykanych egzystencji, dosłuchiwała się w sobie coraz natęższego głosu posłannictwa, który ją wzywał, by w miejsce dotychczasowej zacisznej pracy pisarskiej żywym słowem i czynami, prelekcjami wobec mass słuchaczy i śmiałym inicjowaniem humanitarnych przedsięwzięć i związków wykazywać możność skutecznej walki przeciw duchowi kupieckiego sobkostwa, przeciw ubóstwieniu dla pieniądza i nietykalnej swobody w rozrządzaniu nim, wreszcie przeciw lekceważeniu praw ludzkiego serca, ludzkiej wyobraźni i ludzkiej ręki przed olśniewającymi dziełami techniki maszynowej. Większość płodów literackich Ruskina z tej późniejszej epoki, a nawet już z wyżej wspomnianych czasów przełomu w jego życiu da się ocenić sprawiedliwie jedynie przy nieustannem uwzględnianiu współczesnych jego praktycznych usiłowań, eksperymentów, zawodów i — nieodstępnych dla tak wrażliwej organizacyi — rozprzężeń całego ustroju. W takim oświeceniu nawet na pozór wręcz chorobliwe lub dziwaczne wybuchy jego temperamentu, jak wycieczki przeciw wszelkiej produkcji maszynowej, kolejom żelaznym, przeciw najniższemu nawet procentowi od pożyczek, a zwłaszcza przeciw rentom publicznym, obciążającym budżety państwowe na długi szereg lat, a na innym znów obszarze jego ducha, w dziedzinie uczuć owa mistyczna miłość i kult dla męczenniczki św. Urszuli, zrodzone pod wpływem fresków Carpaccia, a urastające aż do wiary w bliski, nieustanny wpływ udzielanych mu przez nią dobroczynnych natchnień, na podobieństwo jakoby Sokratesowego demona, przyczyniają tylko

wyrazistej mocy i plastyczności tej postaci i odsłaniają nam rozgałęzioną szeroko sieć związków jego myśli z pobudkami uczuciowymi i etycznymi, które sprawiały, iż on każdą swą donioślejszą ideę nietylko przemyślał, ale i *przeżywał* we wszelkich choćby najjaskrawszych jej konsekwencyach moralnych i w ogóle praktycznych, że wzbogacał ją treścią swych osobistych doświadczeń, zabarwiał wprawdzie swemi emocjami nieraz dowolnie logiczny wątek rozumowania, ale też nie zatajał żadnego konfliktu między swemi ideami a siłą nieprzychylnych im faktów, owszem, niepohamowanemi wyrazami goryczy i bólu odpowiadał na te przeciwieństwa.

Estetyczne poglądy Ruskina z czasów poprzedzających bezpośrednio zwrot ku zagadnieniom społecznym, zawierają się głównie w III tomie *Malarzy nowożytnych* i w *Elementach rysunku*. W pierwszym dziele wychodząc od krytyki zdań Reynoldsa o wielkim stylu i wykazując, że poezya nie polega na abstrakcyi, gdyż rzekome upraszczanie prawdy prowadzi do jej zubożenia, ale na podawaniu szlachetnych motywów dla szlachetnych wzruszeń, wyprowadza następnie trzy typowe formy ideału artystycznego, purystyczną, naturalistyczną i groteskową z rozmaitych pobudek i kierunków działania wyobraźni. W drugim dziełku, acz wedle intencji pierwotnej przeznaczonem dla amatorów i zakrojonem na popularny podręcznik nauki rysunku, wchodzi autor w miarę, jak mu pod ręką rodziły się i mnożyły problemy, bardzo głęboko i wielostronnie w podstawowe zagadnienia techniki artystycznej, stosunków między konturem liniowym, światłowocieniem i kolorytem i praw kompozycyi, od których przestrzegania zawisło naprężenie uwagi i zajęcia, względnie utrzymanie ich u widza i wywiązująca się stąd przyjemna dlań gra jego władz spostrzegawczych.

Zapowiadając samym tytułem, iż w dalszym tomie swego głównego dzieła *Malarze nowożytni* traktować będzie „o wielu rzeczach“ (*of many things*), chciał głównie Ruskin, jak się zdaje i co przy jego śmiałej a kapryśnej indywidualności jest prawdopodobnem, rzucić wyzwanie swoim krytykom, którzy mu zarzucali brak jednolitości: jednakże przytem zarazem może i bezwiednie wyraziła się konieczna dążność każdego wszechstronnego umysłu ku sprężnieniu wielu, róż-

norakich, w dotychczasowych przedstawieniach z osobna rozwijanych poglądów i punktów widzenia. Takie na pozór zgola rozbieżne i do siebie nieprzynależne pierwiastki estetyki napotykał się dotąd w młodzieńczych publikacjach Ruskina: najpierw w samym wyjściu od obrony Turnera domaganie się przedewszystkiem *prawdy* w jej istotnych rysach, następnie szukanie *piękna* typicznego i żywotnego w *tworach natury* i kształtowaniach *wyobraźni* kojarzącej, przenikającej i kontemplacyjnej, w traktatach znów o architekturze tłumaczenie wartości dzieł sztuki szczęśliwym *wyrazem* bądź potęgi ducha, bądź sympatii dla wszystkiego, co żyje, bądź innych jego podnioslejszych dążeń, wreszcie w uwagach o Prerafaelityzmie wywyższenie znaczenia, *symbolu*, byle był niewymuszonym, swobodnym wykwitem samoistnie i sumiennie odtwarzanych wrażeń. Jakkolwiek Ruskin sam nie był systematykiem, a do spekulacji filozoficznej, dbalej przedewszystkiem o jedność naczelnej zasady, głośno nawet objawiał swoją odrazę i nieufność, jednakże samą siłą rzeczy narzucało mu się zadanie, ażeby te różne spostrzeżenia psychologiczne i wzrosłe wraz z nimi przekonania estetyczne doprowadzić do jakiejś zgodności. Ta potrzeba zdobycia sobie jakiegoś ogólniejszego stanowiska, umożliwiającego przegląd objawów piękna z wyżej położonego punktu, musiała tem bardziej dać się odczuć Ruskinowi, że był on dobrze świadom tego, iż dotychczasowe wyniki osiągał przeważnie niemal wyłącznie drogą indukcji z dziedziny plastycznej, t. j. sztuk wzrokowych. W jakim stosunku do nich pozostaje poezya? Banalnemi i powierzchownemi ogólnikami okazały mu się wnet takie utarte, a wciąż jeszcze kursujące przeciwstawienia, jak że w poezyi wielką rolę odgrywa fikcyja, podczas gdy zadaniem sztuk wzrokowych ma być przedewszystkiem naśladowanie natury, z tem malomówiacem a samowolnem wyróżnieniem potroszę krzyżowała się, ale w gruncie także rozrywała pierwiastki ściśle do siebie przynależne inna antyteza, z którą rozprawia się autor *Malarzy nowożytnych* zaraz na początku III tomu, mianowicie między *historycznem* a *poetycznem* traktowaniem przedmiotu, upatrująca swoje uzasadnienie w tem, że każdy artysta-poeta w wielkim stylu uwzględnia tylko prawdy stałe, niezmienne, a więc przecię-

tne, typowe rysy każdego gatunku lub zdarzenia, gardząc szczegółami, których utrwalanie może przedstawiać interes tylko dla tego, komu chodzi o historyczną wierność.

Polemika z tymi to poglądami, wypowiedzianami przez niewiernego im na szczęście w praktyce słynnego portrecistę Reynoldsa w czasopiśmie *Idler* w r. 1759 p. t. *O wielkim stylu* (*Touching the grand Style*), stanowi punkt wyjścia dla bardzo rozległej i doniosłej próby syntezy, w której Ruskin stara się swe poprzednie dość luźne, a nawet nieco dorywcze teorie oprzeć na bardziej jednolitej podstawie psychologicznej, a zwłaszcza zgłębić stosunek między różnymi wewnętrznymi duchowymi czynnikami powstawania piękna artystycznego, a podtrzymywanem nadal żądaniem prawdy przedmiotowej, między uczuciami i wyobraźnią a subtelną wiernością dla wrażeń.

Taranem swej ognistej i niestrudzonej krytyki godzi najpierw w dwa uprzedzenia, szczególnie jego przekonaniem szkodliwe, gdyż najwięcej błędów za sobą pociągają. Pierwszem jest radykalne „przeciwstawianie poezji malarstwu, gdy w gruncie poezya polega na szlachetnem użyciu albo kolorów, albo słów“¹⁾. Autor nasz zdaje sobie doskonale sprawę z niezmiernie dalekich konsekwencyj tego wewnętrznego pokrewieństwa wszystkich sztuk. Słowo jest dla poety takim samym środkiem do wywołania żywych wyobrażeń, jak nim jest kolor dla malarza, a jak niema poezji bez takiego daru widzeń i ich wielania, tak naodwrot nie jest sztuką żadne przedstawienie jakiegokolwiek rzeczy dostępnej zmysłom, pozbawione czucia poetycznego, t. j. poczęte bez pewnych szlachetnych wzruszeń i nie obdarzone zdolnością udzielenia ich widzowi. Zwalczając zresztą poglądy Reynoldsa, uznaje Ruskin wielką zasadniczą prawdę w jego twierdzeniu, iż wielki styl stwarzają tylko ludzie w stanie entuzjazmu, „t. j. ludzie, którzy czują poetycznie“²⁾.

1) *M. P.* III, I, § 15. „Infinite confusion has been introduced by the cerneless and illogical custom of opposing painting to poetry... poetry consisting... in a noble use whether of colour or of words“.

2) *M. P.* III, I, § 17.

„Sztuka historyczna, czyli poprostu opowiadająca, jest bardzo cenną na swej właściwej drodze i w swoim miejscu, lecz nie jest *nigdy wielką sztuką* tak długo, dopóki nie dotknie jej poetyczna, czyli imaginacyjna potęga, a w miarę coraz silniejszych tej potęgi objawiań się, sama staje się coraz większą“¹⁾.

Drugie źródło zбочeń od prawdy i zapoznania istotnych zadań sztuki u estetyków, którzy, jak Reynolds, każą artystę o wyższych aspiracjach szukać jedynie rzeczy niezmiennych, widzi Ruskin w błędnym mniemaniu, jakoby szczegóły (*details*), jako takie, t. j. bez jakiegokolwiek między nimi różnicy, były dla poetyczności (*poetry*) dzieła sztuki czemś obojętnem, a temsamem ich opuszczanie wskazaniem. Przyznaje wprawdzie, iż nie każde mnożenie szczegółów wytwarza poetyczność i stanowi o niej, jednakże na przykładzie wiersza z Byronowskiego *Więźnia w Chillonie* stara się wykazać, że poetyczne przedstawienie dalekie od pomijania szczegółów, polega raczej na ich dodawaniu, że nie jest bardziej ogólnikowem, lecz przeciwnie, bardziej ima się cech specyficznych²⁾. Odrzuciwszy następnie różne definicje poetyczności, jak: „wyraz (*utterance*) duszy“, „wylew (*effusion*) Bóstwa“, „głos natury“, gdyż nie dają ściśle określonego wyjaśnienia (*definite explanation*) jej charakteru, będąc terminami w równej mierze wyniosłymi i ciemnymi, wypowiada wspomiane już wyżej twierdzenie, iż poetyczność zasadza się na poddawaniu (sugestyi) szlachetnych pobudek (lub powodów, dosłownie „podstaw“ (*gronuds*) dla szlachetnych wzruszeń, t. j. emocyi, do których zalicza miłość, uwielbienie, podziw i radość, tudzież ich przeciwieństwa. Na potwierdzenie tego poglądu przytacza fakt, iż żadne ze wzruszeń, którym zbywa na pobudkach szlachetnych, n. p. smutek człowieka

1) *M. P.* III, III, § 22. „Historical or simply narrative art is very precious in its proper place and way, but it is never great art, until the poetical or imaginative power touches it and in proportion to the stronger manifestation of this power it becomes greater and greater“.

2) *M. P.* III, I, § 8. „Instead of finding omission of the details, we find it (poetical statement) consists entirely in the addition, not more vague but more specific“.

chciwego z powodu utraty mienia, nie nadaje się do traktowania poetycznego. Zastosowując zaś ten powszechny, przez się sformułowany, etyczno-duchowy warunek poetyczności do kwestyi, jakie mogą mieć w sztuce znaczenie szczegóły, dochodzi do ogólnego negatywnego wniosku, będącego zarazem przestrogą przed wszelkiem z góry ich lekceważeniem: „jest rzeczą zgoła niemożliwą przepowiedzieć, jakie szczegóły wielki malarz zdoła uczynić poetycznemi przez użycie ich kwoli wywołaniu szlachetnych emocyj“¹⁾. Tak więc prawdziwie „wysoki“ artyzm, mając do czynienia nie z martwemi regulami, ale z duszą ludzką, z jej wzruszeń silnych i pierwotnych zrodzony i do budzenia ich w innych duszach powołany przez moc swych koniecznych wylewów i bezwiednych pociągów ogólnej sympatii, nie może żadną miarą poprzestawać na ogólnikowych i niezmiennych typach; gdy płynie z życia jednostek i w życie to swem działaniem się wdziera, musi posługiwać się żywemi szczegółami, a te mu tylko wierne uchwytywanie natury dać może. W praktyce²⁾ i najtwardsi teoretycy wyluszczający zasady idealnego piękna i delektujący się objawami fantazyi, gdy mają opisać dany obraz i uprzytomnić wrażenie jego nadzwyczajnych zalet, rozwodzą się nad ludzaczem jego podobieństwem do rzeczywistości.

Gdy tak nasz autor z jednej strony zbija twierdzenia Reynoldsa, iż malowanie zgodne z naturą (*naturally*), a w ogóle sztuka naśladowania, jest łatwą rzeczą, i że wierne oddawanie natury jest zajęciem, w którym najociężalszy (*slowest*) umysł ma najlepsze szanse powodzenia, z drugiej zaś strony tuż obok wyraża przekonanie: iż mistrz w wielkim stylu „musi malować postać ludzką w jej najwyższej sile i piękności“³⁾ nie mógł i nie chciał też wymknąć się przed py-

¹⁾ *M. P.* III, I, § 14. „Is altogether impossible to say beforehand, what details a great painter may make poetical by his use of them to excite noble emotions“.

²⁾ *M. P.* III, II, § 1. „Explaining principles of ideal beauty and professing great delight in the evidences of imagination, definitely described impression of extraordinary excellence in similitude to reality“.

³⁾ *M. P.* III, I, § 17. „Must paint the human form in its utmost strength and beauty“.

taniem, na czem właściwie polega różnica między wielkością a popolitością w sztuce, czy i o ile zawisła ona od wyboru tematów, czy od jakiejś mniej lub więcej trafnej metody w ich traktowaniu, albo od czysto technicznej zręczności, czy wreszcie i jedynie od zalet i skłonności ducha objawionych w przejęciu się przedmiotem i opanowaniu go. Jakiś wynik prawdy musi być podany w dziele sztuki — ale jaki, t. j. jakiego potrzeba stosunku między poszczególnymi cząstkowymi prawdami i do duszy twórcy?

Pierwszą ogólną odpowiedzią, którą daje Ruskin, jest, iż owa różnica zasadza się na *szlachetności celu*, a nie na jakiejś określić się dającej metodzie, ani na wyborze tematów ¹⁾. Malarz jest wielkim, jeżeli roztoczył szlachetne prawdy lub zbudził szlachetne wzruszenia ²⁾. Nawet na dnie największych błędów co do podstaw wielkości artystycznej, jak u tych, którzy je widzą w rozmiarach obrazu, w predylekcyi dla nagich ciał, w malowaniu rzeczy niewidzianych (n. b. nie tylko oczyma, ale i wyobraźnią, t. j. i dla wewnętrznej wizyi niedostępnych) lub w poprawianiu mądrości Bożej, kryje się głuche przecucie prawdy, iż istnieją głębiny i obszary w ujęciu rzeczy w przeciwieństwie do płytkości i ciasnoty duchowej ³⁾. Pierwszą jednak, kardynalną dźwignią dla wyzwolenia sztuki z upadku, względnie ustrzeżenia jej przed nim, musi być rzetelna cześć dla sztuki samej i wielkie poczucie własnej godności i zadań przy wykonywaniu tej sztuki ⁴⁾.

Po tych zastrzeżeniach uznaje Ruskin także pewien wpływ doboru tematów na rozwój wielkości stylu, jednakże nie takiego doboru, któryby płynął z jakichkolwiek osobistych pobudek, a najmniej z próżności i ambicji, ani też nawet z t. zw. dobrych chęci tylko, ale owej energii twór-

1) *M. P.* III, II, § 2. „The difference between great and mean art in nobleness of end not in definable methods (nor) choice of subjects“.

2) *J. w.* „Painter great, if has laid open noble truths or aroused noble emotions“.

3) *M. P.* III, III, § 2.

4) *J. w.* „By honest reverence for art itself and by great self — respect in the practice of it“.

czej, która jest wyborem przedmiotów myśli, w wyrobionych i ustalonych skłonnościach ducha ugruntowanym, i to takim, co obejmuje rozległe widnokresy pragnień i głębokie namiętności, *jeżeli wybór jest szczerzy i mądry*, t. j. godny umysłu prawdziwie wielkich ludzi¹⁾. Jako odstraszący przykład podaje tu autor wybory tematów u Overbecka, objaśnia zaś bliżej powyższe swe twierdzenie następującą antytezą: Artysta obierający sobie temat szczerze i z odpowiednią doń zdolnością, wybierze sobie także do przedstawienia głównie to, co czyni ten przedmiot szlachetnym, mianowicie różnoraki heroizm lub inne szlachetne emocje przedstawiane²⁾; natomiast, kto stara się o to tylko, żeby obraz zrobić przyjemnym zapomocą układu mass i koloru, dowodzi tem, iż każdy inny przedmiot byłby równie dla niego stosownym. Chodzić więc powinno o to, aby wniknąć w najgłębsze znaczenie przedmiotu, aby *pogłębić i wydoskonalić wrażenie, sprawiane odczuciem przedmiotu tego wrażenia*³⁾.

Te myśli i hasła zajmują wybitne w rozwoju nowszej estetyki stanowisko, zwłaszcza ze względu na naczelną zasadę, będącą ich krystalizacyjnym jądrem i na ich daleko rozgałęzione konsekwencye. Przyglądając się bliżej ich podstawom, dostrzegamy przedewszystkiem szczęśliwe wylamanie się od suchego formalizmu, który piękno chciał tłómaczyć i drogi dla twórczości wytyczyć jakimiś oderwanemi, martwemi proporcjami rozmiarów, czy kształtów — to, co w duszy naszej najżywiej drga, podnosi ją i raduje, kusił się sprowadzić do schematów, do szablonów, zdolnych jedynie przyprawić o odrętwienie i zubożenie tych, coby się im poddać chcieli. Powtóre przyjęciem emocyi, jako źródła upo-

1) J. w. „In the habitual choice of subjects of thought, which involve wide interests and profound passions if the choice be sincere and wise (i. e. able to) enter into the minds of truly great men“.

2) *M. P.* III, III, § 9. „Will also choose chiefly to represent, what makes that subject noble, namely the various heroizm, or other noble emotions represented“.

3) J. w. „Enter into deepest meaning of subject, to deepen and perfect the impression made by the sentiment of his subject“.

dobań i tworzeń, wznosił się Ruskin ponad ciasną wyłączność tych spekulacyj estetycznych, dla których istota piękna zamykała się w objawach idei, zaprzatających jedynie umysł, dla niego jedynie przystępnych i uchwytnych, bez względu na to, czy cała duchowa istność człowieka zdolną byłaby od tych objawów rozgorzeć, niemi się wstrząsnąć i przejąc do szpiku. Jeżeli w nowszej sztuce i estetyce pierwiastek wzruszeń, tego, co my dziś nazywamy „targaniem za nerwy“, dobił się tak wielkiego, tylekroć aż do odrażających ostateczności dochodzącego znaczenia, to około uznania jego wiecznych praw, około wyblysku świadomości, iż jest on nieodzownie potrzebnym dla nadania tętn gorętszych wszystkiemu, co w duszy się rodzi i do duszy ma przemówić, niewątpliwie pierwszorzędne zaskarbił sobie Ruskin zasługi. Idea wcielona w pięknie musi mieć naturalną siłę poruszania wewnątrz ludzkich, nie może być samą tylko myślą, ale czy to w jej śladach, czy w sposobie wyrażenia się, czy w ogóle w danem ovladnięciu materji przez nią mieścić się muszą zarzewia dla uczuć i woli, coś, co pociąga ku sobie, co objawia i obudza miłość (*lovely*). Ale działać silnie na duszę może tylko to, co się jej nie przedstawia ani jako złudzenie, ani jako fikcyja, co nie jest ani udaniem rzeczywistości, idącym tak daleko, ażeby aż mózdz wprowadzić w błąd, ani przekręcaniem jej praw i stosunków samowolnem a temsamem wyowiadaniem błędnych twierdzeń o niej. Stąd wynika nieublagane żądanie, aby każde piękno było zgodne z prawdą i to bardziej z jej wewnątrzniemi, istotnemi, aniżeli powierzchownemi, przypadkowemi składnikami i na tem też polega wartość zalet technicznych, bo one nie są w gruncie niczem innym, jak urzeczywistnieniem znamion prawdy w utworze, jak połączeniem i ustaleniem odpowiedniemi do środków każdej sztuki. Potrzebę harmonijnej równowagi między temi zaletami a wyrazem stanów duszy pojmował Ruskin jasno i zaznaczył dobitnie, ubolewając nad tem, iż dwójakie błędy są w sztuce najczęstsze, t. j. albo wyraz obniża technikę, albo odwrotnie¹⁾, i nad tem, że grupa filozoficznych malarzy

¹⁾ M. P. III, III, § 9. „Superseding technical excellence by expression and viceversa“.

przypuszcza, jakoby wyrazowi wrogie były wszelkie inne przymioty artystyczne. „Ktokolwiek władza kolorytem, nie gardzi nim nigdy“¹⁾.

Jedna strona jeszcze w tej teorii wzruszeń rodzących odczucie i oddanie piękności domaga się tu szczegółowszego rozbioru. Gdy Ruskin twierdzi, iż takie wzruszenia i podstawy do nich muszą być szlachetnej natury, nie należy tego warunku rozumieć w ten sposób, iżby zapomocą tego bliższego określenia poczucie piękna miało być podporządkowane pociągom etycznym, i takie tylko wzruszenia, które nie grożą przelaniem granic przez nakazy moralności wytkniętych, mogły dodatnio działać jako zdroj upodobań i kreacyj piękności. „Szlachetnem“ zdaje się być w rozumieniu Ruskina to, co jest dla ducha ludzkiego *pierwotne*, od samej istoty jego dążeń nieodłączne, to, czego się nie nabywa przyzwyczajaniem, ani czego nie narzucają nam potrzeby i warunki życia, jako środek ku osiągnięciu innych rzeczy, zatem to, co nie jest specjalną własnością ani umysłowego, ani etycznego życia, ani też uciech estetycznych, ale tych wszystkich form energii ducha wspólną jest podstawą, jakoby korzeniem jednym, z którego wyrastają, lub pnem, z którego się rozgałęziają. Tam, gdzie nasz autor odróżnia przykładowo wzruszenia szlachetne, jak miłość, podziw, uwielbienie i radość z ich biegunowemi przeciwieństwami, od nieszlachetnych, jak działania chciwości i innych nałogów, widocznem jest, że szlachetność obejmuje w przyjętym przez niego sensie *wszelką samorzutność duchową*, t. j. tę wolność w najwyższem rozumnem znaczeniu, która w zachowaniu się osoby wobec przedmiotów jej świadomości się nasuwających kieruje się nie względem na to, czy te przedmioty w danej chwili lub miejscu zwiastują jej przyjemność albo przykreść, pożytek albo szkodę — ale na to, *czem one są same w sobie*, czy własności ich czynią je godnymi ukochania, podziwu lub uwielbienia i uciechy z ich bliskości, czy raczej przeciwne wywołać mogą wzruszenia, a więc rządzi się własnem po-

¹⁾ J. w. „Philosophical painters, who suppose artistical merits of other parts adverse to expression. No man ever despised colorit who could produce it“.

znaniem ich istoty bądź przez intuicyę, bądź przez zupełnie jasne i świadome zdanie sobie sprawy z ich cech istotnych.

Ta to żywiolowa pierwotność, ta samorzutność w połączeniu z możliwością powodowania się czystymi widzeniami ducha, składają się razem na ów przymiot „szlachetności“, który jest w przekonaniu Ruskina nieodłącznym od wzruszeń stanowiących duszę poezyi i wszelkiej w ogóle wielkiej sztuki. Jak na prawdzie, t. j. zgodności kształtowań z widzeniem i czuciem opiera się realna siła wyrazu wzruszeń, a temsamem wydobywa dla nich i oddźwięk, jaki we współczuciu otoczenia znaleźć mogą, tak w owym swobodnym a naturalnym i przez władzę idei opromienionym wyblysku pierwotnych potęg ducha, w szlachetności jego drgnień, tkwi moc wzruszeń estetycznych, tak twórczych, jak biernych, wewnętrzna, idealna, to ich rodzicielka: ich piękność, co im daje ogień i rozmach.

Że powyższe tłómaczenie i powiązanie Ruskina teoryi wzruszeń nie polega na dowolnych uzupełnieniach, ale postępuje ściśle i wiernie w duchu i kierunku jego wywodów, zaznaczonym już po części dawniej w *Pochodniach architektury*, gdy mówił o *Życiu i Karności*, dowodzą także niezmiernie ważne rozstrząsania jego o stosunku prawdy do piękności w III tomie *Malarzy nowożytnych*, tem usilniejszej godne uwagi, iż na ich wyniku buduje autor swoje rozróżnienie trojakiich ideałów artystycznych i stawia z pośród nich ideał „naturalistyczny“ najwyżej.

„Przestronna zasada kształcenia artyzmu wprowadza w pojęcie przedmiotu sztuki tak wysoki stopień piękności, jaki tylko jest możliwym bez naruszenia prawdy“¹⁾, i nieco niżej: „Szkoły artystyczne wznoszą się jedna ponad drugą w ściślejszej proporcji do stopnia, w jakim dostrzegają i kochają piękno“²⁾. N. p. wielkość Fra Angelica tkwi w napięciu jego miłości piękna duchowego. Jednakże zepsucie i upa-

¹⁾ *M. P.* III, III, § 12. „Great school of art introduces in the conception of its subject as much beauty, as is possible consistently with truth“.

²⁾ *J. w.* „Schools of art higher in exact proportion to the degree, in which they apprehend and love the beautiful“.

dek takich szkół rozpoczynają się już z pierwszą chwilą poświęcenia prawdy dla piękności¹⁾. To też jakkolwiek logicznie piękno od prawdy oddzielić się daje, a nawet, jak to nasz autor w dopisku do późniejszych wydań energicznie podkreśla, prawda i piękność są to rzeczy zupełnie odmienne, acz w częstych ze sobą pozostające relacjach, gdyż jedna jest własnością twierdzeń („ustalań“ stosunków), a druga własnością rzeczy, i to, co niczego nie ukazuje, nie może być pięknem, a to, co niczego nie twierdzi, nie może być fałszem²⁾, jednakże źle jest oddzielać je od siebie w praktyce tworzenia, powinno się szukać ich w takim porządku, w jakim po sobie następuje ich wartość, to znaczy prawdy najpierw, a potem piękności. Wysoki artyzm wyróżnia się od niżej stojącego tem, iż posiada nadwyżkę piękności *przydaną* do prawdy, a *nie* tem, iż ma taką nadwyżkę piękności, któraby była z prawdą *niezgodna*³⁾.

Przeciw oddzielaniu piękności od prawdy przytacza następnie szereg argumentów, które są o tyle ciekawe, iż odślaniają nam pewne subtelniejsze odcienie jego spostrzeżeń i poglądów. I tak wydaje mu się najpierw piękność obrona z prawdy podobną do odartej z liścia (*deprived of its proper foil and appoints*) rośliny — i taką stawszy się, przestaje nas radować, tembardziej, że do jej umocnienia i podniesienia w działaniu potrzeba koniecznie rysów mniej pięknych, których nie widząc w najbliższym okoleniu piękności i w połączeniu z nią, zatracamy w naszym wrażeniu jej „prawdziwą siłę“. Podobnie zatracamy „prawdziwą ilość piękności“, jeżeli odwykamy od wiernego przedstawiania wszyst-

¹⁾ J. w., § 13.

²⁾ *M. P.* III, III, § 12. „Truth and beauty are entirely distant, though often related things. One is a property of *statements*, the other of *objects* that which *shows* nothing cannot be fair and that which *asserts* nothing cannot be false“.

³⁾ J. w. „It is wrong to separate them; they *have to be* sought in order of their worthiness, that is to say, truth first and beauty afterwards. High art differs from base art in possessing an excess of beauty *in addition to its truth*, not in possessing excess of beauty *inconsistent with truth*“.

kich rzeczy, przy takim bowiem tylko przedstawianiu możemy się prawdziwie *nauczyć*, co jest pięknem, a co nie, i stawiamy się w możności wykrywania *piękności niespodzianych*, wyszukiwania ich wszcz i wgląd całej natury — w przeciwnym razie grozi nam zacieśnienie. Wreszcie, po trzecie, charakterystyczną cechą wielkiej sztuki jest, że obejmuje możliwie najobfitszą ilość prawdy w możliwie najdoskonalszej harmonii¹⁾. Wprawdzie dla jej uzyskania musi być czynionym wybór między prawdami — jednakże już tasama konieczność wybierania, nieodzowna potemu, aby stworzyć piękno, oparte niewątpliwie, także zdaniem przeciwników, na pewnej harmonii, mieści w sobie nieubłagane żądanie, ażeby się liczone z obiektywnymi stosunkami prawd, „poddając wszystkie moce, impulsy i gry wyobraźni rozsądkowi bezlitośnej sprawiedliwości i posłuszeństwu dla niezniszczalnej prawdy“²⁾.

Z tych wszystkich dowodzeń widnieje pogląd, iż piękno jest, że użyjemy terminu scholastycznego, potencjalnie, na sposób zarodkowych bodźców dla naszych spostrzeżeń i uczuć złożone i ukryte na dnie samej rzeczywistości, samej prawdy przedmiotowej, z której wykwita i jaśnieje nam, ilekroć naszym obserwacyom uda się — a tem lepiej im niespodzianie — wydobyć z tego dna czy to harmonijne w zbiegu swym a treścią bogate związki faktów, czy też fakta odbijające od innych sąsiednich większą pełnią objawów życia lub rozumnej organizacyi, a na pierwszy pozór tamtemi przysłonięte i przez nie zamacone, w gruncie jednak obdarzone wewnętrzną, samodzielną, wytrwałą energią swego odrębnego bytu.

Prostą i jasną konsekwencyą tego patrzenia na rzeczywistość, jak na jedną wielką żyzną niwę, na której rozległych obszarach wszędy kiełkuje piękność, w pędzie swych

¹⁾ *M. P.* III, III, § 16. „The next characteristic of great art, that it includes the largest possible quantity of Truth in the most perfect possible harmony“.

²⁾ *J. w.* „Subduing all his powers, impulses and imaginations to the arbitrament of merciless iustice and the obedience of an inconsumptible verity“ (w przykładowem zastosowaniu do Pawła Veronese).

soków jedynie opieszalemu wzrokowi niedostrzegalna, są trzy znamiona, które Ruskin przypisuje każdemu wyższemu artyzmowi, wysnuwając je z poprzednich swych wywodów w formie wieńczących konkluzyj *corollariów*, a mianowicie wyrazność (*distinctness*)¹⁾, pewne sposoby objęcia, raczej mass i głębin, aniżeli powierzchni rzeczy, i delikatność.

Co rozumie Ruskin przez zaletę „wyrazności“? Na to dają nam odpowiedź dwa jego twierdzenia: „Każdy szlachetny rysunek tem się wyróżnia od nieszlachetnego, że w sposób subtelny wyraża i stanowczo afirmuje *coś*“²⁾ — i nieco niżej: „Pierwszą rzeczą, która powinna być uważaną za oznakę szlachetnej sztuki, jest jasna świadomość tego, co narysowano, a co nie“³⁾. Taka jasna świadomość w dziele sztuki objawiona, bynajmniej nie wyklucza zmysłu dla odwrotnej niewyraźnej strony rzeczywistości, owszem obejmuje w sobie także wrażliwość i poczucie dla tajemnic. „Najwyższa wiedza mieści zawsze wydoskonalone zdawanie sobie sprawy z tego, co nieznanne (percepcyę dziedzin ciemności)“⁴⁾.

Drugie znamię wyższej sztuki upatruje Ruskin w pewnych właściwościach objęcia przedmiotu, w czystym i zwinnym chwytniu rzeczy tam, gdzie się zaczynają i kończą, ukazaniem w jednym rzucie i to raczej w ich rozciągłości i głębokości, aniżeli na powierzchni⁵⁾. Objawiać się mogą te właściwości najrozmaiciej za pośrednictwem innych przymiotów, n. p. tego, co nazywamy szerokością, miąższością

¹⁾ *M. P.* III, III, § 17. Słowo „wyrazny“ zdaje się być stosowniejszem na oddanie angielskiego *distinct*, aniżeli „wyrazisty“, z którym łączy się znaczenie „ekspresyji“ lub „charakterystyki“.

²⁾ *J. w.* „All noble drawing is separated from the ignoble by its distinctness, by its fine expression and firm assertion of *something*“.

³⁾ *J. w.* „A first of thing to be looked for as a sign of noble Art is a clear consciousness of what is drawn and what is not“.

⁴⁾ *J. w.* „The highest knowledge involves always a more advanced perception of the fields of the unknown“.

⁵⁾ *M. P.* III, III, § 18. „Sweeping manner of getting the beginnings and ends of things shown at once and the squares and depths rather than the surfaces“.

i wagą¹⁾, jednością, śmiałością i t. p. Wszystkie te przy-
mioty są wielkimi zaletami, ale *tylko wtedy*, gdy są osa-
dzone na fundamencie prawdy, a więc jeżeli nie znaczą co
innego, jak tej prawdy „szerokość“, „wagę“, „jedność“, „od-
ważną afirmację“. Tych istotnych zalet jednak wykrzywie-
niem i natrząsaniem się z ich podstawy jest to, co się pra-
wie powszechnie pod ich miano podszywa i błędnie w ich
miejsce bywa przyjmowanem: szerokość, która niema treści,
waga pozbawiona wartości, jedność, pod której skrzydłami
knuje się oszukaństwo i śmiałość, która jest tylko maską
uwodzicielstwa²⁾. O ogarniającej władzy artystycznego du-
cha może świadczyć także stała skłonność do patrzenia ra-
czej na wielkie massy, niż na rzeczy drobne, połączona z boj-
nem szafowaniem fizycznymi, t. j. technicznymi zasobami
i ochotą do pracy na szeroką o ile możności skalę — gdy
jednakże większe wymiary przestrzenne takiej skali wyma-
gają z reguły umieszczenia się w znacznej odległości od
przedmiotu, a ta przyprawia o utratę wielu delikatnych szcze-
gółów, uważał tu Ruskin za potrzebne zastrzedz się, iż ów
objaw panowania nad materiałem zapomocą rozległej skali
wymiarów, nie jest powszechnym, ani jedynym i właśnie mi-
strzowie celujący w oddaniu delikatnych szczegółów i ludz-
kiego wyrazu (Fra Angelico, Rafael, Leonardo, Turner) prze-
kładają skalę drobną.

„Wielką bowiem sztuka jest zawsze delikatną“, a „nie-
okrzesana zawsze liczbą“³⁾, wedle mocnego przekonania Ru-
skina, które i w późniejszym o kilkanaście lat dziele *Prawa
Fiesolańczyka (Laws of Fiesole)* wypowiada, i ta to delika-
tność jest trzecim znamieniem artyzmu istotnem, czyli nie-
zbędnem dla wyższych postępów tegoż. Także i przy tem
żądaniu przyświeca autorowi naszemu przedewszystkiem ideał
prawdy, popiera je bowiem tylko argumentem, iż sumę prawd

¹⁾ J. w. „Breadth“, „massing“, „unity“, „boldness“.

²⁾ J. w. „Have correlative errors and mockeries almost uni-
versally mistaken for them: breadth, which has no contents,
the weight which has not value, the unity, which plots
deception and the boldness, which faces out fallacy“.

³⁾ *M. P.* III, III, § 20. Coroll: 3. „Great art is always de-
licate — all coarse art is bad art“.

można zawsze powiększyć zapomocą delikatnego traktowania („dotknięcia ręki“).

W osobnym rozdziale, poświęconym kwestyi *Wykończenia* (*Finish*), zastanawia się autor nad tą sprawą szczegółowiej i zwróciwszy najpierw usilnie uwagę na radykalną różnicę, jaka zachodzi między pozornie zbliżonemi i pokrewnemi własnościami dzieł sztuki, wykończeniem, potrzebnem a zbędnem n. p. wygładzaniem (*Polish*), stara się następnie zapomocą wysnutych na tej drodze spostrzeżeń psychologicznych rozjaśnić stosunek „wykończenia“ do „delikatności“ w traktowaniu.

Gdy widzimy w jakimkolwiek dziele ludzkim większy nakład pracy, odczuwamy szacunek dla niej, podniesienie na duchu i sympatyę ze sprawcą wobec osiągniętych przezeń owoców; jednakże tylko wtedy, gdy ilość wyłożonej pracy i jej rodzaj odpowiadają widocznie rozumnemu celowi i gdy zarazem pobudki, powodujące tę usilność i zazwyczaj bezwiednie w naturalnym toku działania wyjawiane, zdolne są obudzić oddźwięk naszych uczuć sympatycznych. Wydatek pracy ponad potrzebę, czy to skutkiem nieobliczenia się z siłami, czy przez zapoznanie istotnego celu, czy też — i to najbardziej — przez gonitwę za okazaniem swojej sztuki lub swojej skrupulatności, musi zawsze i wszędzie wywołać wrażenie ujemne. W najlepszym razie żałować będziemy takiego pracownika, a częściej zrazi nas on i odepchnie dbałością o drobiazgową dobroć swojej roboty, lubowaniem się we własnym wirtuozostwie lub pilności i wszystkiemi innemi tego rodzaju przejrzystemi poznakami miłości własnej i próżności. Takie cechy ma każda sztuka, która swój materiał wygładza, „poleruje“. Ale i innemi sposobami i własnościami może się objawiać wykończenie zbędne („nieużyteczne“, *useless*), w ogóle przy każdej subtelności i dokładności, które, o ile nie przyczyniają nowych rysów prawdy, same przez się nie są jeszcze środkiem zaradczym przeciw konwencyonalności.

Z tych zastrzeżeń wynika jasno, że tak wykończenie, jak wszelka zgoła delikatność w traktowaniu przedmiotu dzieł sztuki, nie miały w oczach Ruskina wartości absolutnej, t. j. nie dawały mu same przez się, niezależnie, rękojmi co do pełnego oddania i obudzenia wzruszeń szlachetnych, ale jedynie

wówczas, gdy są one osobnym, doskonałym w małych na pozór szczegółach wyrazem gorącego zainteresowania się dla prawdy widzeń, trafnej intuicji i odczucia ich przedmiotu, bacności na *wszystko to, co w pewnej całości* widząc lub wyobrażając sobie plastycznie, ulegamy wzruszeniu. Tak więc „zupełność w wyrażeniu idei“¹⁾, a nie „wykończenie dla wykończenia“²⁾, winna być hasłem — a bardziej i lepiej wykończonem nie musi być to, co uwidoczniło zapomocą cieńszych linii, ale to, co jest uleglejsze dla głosu wrażeń, co nam mówi więcej prawdy i na podobieństwo przyrody zapełnia przestrzeń, mnożąc życie i myśl, zamiast gładzić powierzchni³⁾.

Wielce charakterystyczne i ciekawe jest uzasadnienie tych myśli przy zastosowaniu ich specjalnem do zadań konturu liniowego. „Prawdziwe wymuskanie czyli wykończenie linii nie polega na jej cienkości, lecz na wiernym biegu za konturami drzewa (n. p.), które ta linia konwencyonalnie (w porozumieniu z widzem) przedstawia, powiadam konwencyonalnie, ponieważ w rzeczywistości niema takiej linii wokół drzewa i umieszczono ją nie kwoli naśladowaniu formy, lecz *jako granicę* tejże⁴⁾; gdy jednakże dodamy cień, musimy natychmiast uczynić ów zarys proporcjonalnie (w odpowiednim stopniu) *delikatnym*, musi on bowiem służyć także za część cienia i być o tyle delikatnym, ażeby się nie odrywał od reszty tego cienia“⁵⁾.

1) M. P. III, IX, § 7. „Completeness of the expression of ideas“.

2) J. w. „Not finish for the finish sake, but for the impressions sake, not to show their skill“.

3) J. w., § 18. „Where does Nature pause in her finishing? Which consists not in the smoothing of her surface, but the filling of space and the multiplication of life and thought“.

4) J. w., § 8. „The real refinement or finish of the line depends not on its thinness, but on its truly following the contours of the tree, which it conventionally represents, conventionally I say, because there is no such round the tree in reality and it is set down not as an imitation, but a limitation of the form“.

5) J. w. „Out line must instantly be made proportionately delicate, so delicate as not to detach itself from the rest of the shadow“.

Ścisłą wzajemną zależność zalet delikatności i wykończenia, a zarazem ich zupełne poddanie celowi głównemu, pełnej, żywej, jednolitej prawdzie, mieści w wynikach swoich także inny ważny ustęp, w którym Ruskin porównując drobne szczegóły rysunku gałązek i kory u Turnera z takimiż szczegółami u Claude Lorraine'a i Constable'a, wykazuje i uzasadnia istnienie rysów prawdziwie delikatnych i wykończonych w utworach pierwszego, a brak ich u obu ostatnich malarzy. Tych wyobrażenia tworzyła przedmioty „sztywne a bez siły, zakrzywione a bez giętkości, monotonne a bezładne, nienaturalne a przecie nieobjawiające daru wynalazczego“. Przeciwnie, Turner, jakkolwiek pozornie niedbały, spokojny, nie starający się pociągnąć, umie uderzyć czemś *niespodzianem*, jego gałęzie brzydkie z osobna stają się pięknymi w połączeniu, a ich „zagięcia na pierwszy wygląd nieznaczne i chropawe, okazują się przy dłuższem patrzeniu *drżącemi, wiecznie falującemi* wzdłuż każdej krawędzi w *nie skończoną melodyę zmian*. Oto jest wykończenie linii w tem samem ścisłe znaczeniu, w jakim delikatnie piękna melodia jest wykończoną przez skojarzenie swych tonów!“¹⁾.

Zestawienie obu tu przytoczonych ustępów nie będzie zmarnowanym trudem, odsłania bowiem jedną z najdonioślejszych stron estetycznego poglądu Ruskina. Przekonany o tem, iż piękna nie można tworzyć dowolnie, że polega ono na pewnym stosunku naszych spostrzeżeń do prawdy, którego żadną sztuczną kompozycją ani regułą się nie wywoła, gdy we wzruszeniach naszych niema ścisłego i żywego a szczerzego odczucia jakiejś rzeczywistości, która na nie działa i je kształtuje, a widząc, że w ogólnych, stężonych już poniekąd i oderwanych formach i stosunkach, z którymi dotąd łączono określenia piękności, owo odczuwanie już jest przyblakłe, jakoby przysłonięte jakąś mgłą, ogołocone ze swych pierwotnych żywiołowych sił wiary i pewności, poświęcił Ruskin całą usilność śledzeniu pierwszych jego wytrysków i rzucił

¹⁾ J. w., § 10. „Tremulous, perpetually waving along every edge into endless melody of change. This is finish in line in exactly the same sense, that a fine melody is finished in the association of its notes“.

światło na rodzenie się estetycznych wzruszeń u samego progu dostrzegalności bodźców je wywołujących. W samym ujęciu wielkiego problemu z tej właśnie strony tkwiła wskazówka do posunięcia niezmiernie naprzód dociekań nad nim. W spostrzeżeniach i wyobrażeniach plastycznych *całych*, zwłaszcza większych przedmiotów, zлана już jest tak znaczna ilość pierwiastkowych wrażeń o tak różnych natężeniach i tak rozmaitym stosunku do naszych uczuć, że o ostatecznym wyniku tego skojarzenia się, t. j. czy całość sprawi przyjemność lub przykrość przez swą formę w naszych stanach świadomości, mogą nieraz decydować powody niemające nic wspólnego z naturą zmysłu dla piękna, przynajmniej skutkiem wielkiej komplikacji współdziałających czynników wysuwa się ocena ich psychicznego, czy też tylko fizyologicznego źródła z pod naszej kontroli. Przeciwnie, na owych punktach niepozornych, gdzie często jedno wygięcie linii lub samo wzmocnienie cienia przyczynia się do wzbogacenia charakteru całości i daje osobny ton dla owej „melodyi zmian“ co przyświecała Ruskinowi, każdy minimalny ruch tak w wydoskonalaniu się formy wyglądu rzeczy zewnętrznych, jak i najdrobniejszy dostrzegalny postęp w zaostrzaniu się poczucia dla tych delikatnych piękności, a wreszcie i w wykończeniu prac artysty, odtwarzających takie subtelne rysy, następują się na przedmiot namacalnych spostrzeżeń i porównań bez obawy o to, iżby jakieś postronne, nie wciągnięte w rachubę wpływy subiektywnych pobudek mogły spowodować uszczerbek w ścisłości wyników. Zrażony i nieufnie usposobiony dla rozpraw o pięknie *widocznem dla wielu*, gdy nie tak przeciwnem nie było jego naturze, jak powtarzać ogólniki przytępiające świeżość i szczerłość czucia, wybrał się *w poszukiwaniu za pięknem ledwie dostrzegalnem* i tu odnalazł ścisłe stosunki *między tem* wszystkim, co w poczuciu piękna objawia *delikatność*, zaś w technice artystycznej *wykończenie* (dwie odwrotne strony jednakiej grupy zjawisk życia estetycznego) a *trafnem ujęciem znaczenia* każdego drobnego *rysu*, tak, iż tenże staje się wymownym; *wyraża udział*, jaki poszczególne cząstki z ich własnościami i siłami mają w jednolitym żywocie większej całości, a więc zarówno ich charakterystyczną energię, jak i obejmujące ją granice, węzły

i szersze cele, temsamem zaś *pomnaża zasób prawdy dostrzeżonej bez pośrednictwa rozumowań w samej zmysłowej postaci przedmiotu.*

Te objawy wrażliwości na piękno ledwie dostrzegalne są tem ciekawsze i ważniejsze, iż zbliżają się już do tego punktu, w którym się zaczyna wyłącznie badawcze, *umysłowe* zainteresowanie dla przedmiotu, a kwestya, czy i *jak* jego wygląd wyraża bezpośrednio jakiś fakt, jest już obojętną. Rozległe też to i wdzięczne pole dla psychologicznych i estetycznych rozbiorów, byle ten, kto się im oddaje, starannym był w wyróżnianiu uciech *czysto umysłowych*, opartych na wykryciu pewnych faktów lub praw, *od przyjemności* znajdujących w *samym wyrazie* prawdy. Ruskin nie zważał na te linie demarkacyjne i to sprawiło wielki uszczerbek w ścisłości jego pojęć, a przytem zwracając uwagę wyłącznie na *prawdziwość treści* w każdym delikatnym rysie piękna i w każdym wykończeniu artystycznym, zaniedbał inną stronę tych objawów niemniej doniosłą dla istoty piękna i sztuki i nie wyprowadził wniosków, które się prawie narzucały. Objawienie się prawdy w małym i niepozornym szczególe ma dlatego tak wielką wartość dla naszego ducha, że widzi on w niem przebłysk naturalny energii górującej niezmiernie nad nikłym materyałem i że odczuwa jej podobieństwo a nawet pokrewność z mało świadomymi a potężnymi, trwałymi lub przenikliwymi poruszeniami własnego wnętrza. Nawet taki szczegół, który dopiero bardzo wybredne oko zdoła na sobie zatrzymać, jak delikatność przejść n. p. od światła ku cieniom, tak sławiona w dziełach Turnera przez Ruskina i uzasadniająca jego zdaniem żądanie innych delikatności rysunkowych, mianowicie co do cienkich kresek i linii, działa na uczucia nasze nietylko dzięki temu, iż mieści się w nim bogactwo prawdy, faktów niedających się wyczerpnąć, t. j. cała nieprzejrzana skala stopniowań, ale pociąga też, i to może jeszcze silniej, układem tej treści, jej formą płynną, w której natężenie jednego znamienia, jasności, cienia lub barwy rośnie ciągle na pewnej przestrzeni i nasuwa wyobraźni naszej podobne stałe, niezakłócone i nieprzerywane żadnymi przeskokami, wzmaganie się pewnych stanów duszy, jak nadziei, zadumy lub tęsknoty, z ich cichemi, łagodnymi

ucieczkami i smutkami. Ta to strona delikatnych rysów piękna i odpowiednich im wzruszeń dopraszała się podkreślenia w przenikliwych zresztą i subtelnych uwagach Ruskina.

Na tych tu szczegółowo wyłożonych przesłankach opiera się następnie odróżnienie fałszywych ideałów sztuki od prawdziwych. W tej części III tomu *Malarzy nowożytnych* dał się jego autor najsilniej porwać swojej wojowniczej werwie. Śmiałe rzucenie rękawicy nietykalnym dotąd powagom w traktowaniu tematów religijnych, Rafaelowi i jego najbliższemu poprzednikom Francei i Peruginowi, musiało wywołać wielką wrzawę, to też poglądy te dotarły do szerszej wiadomości ogółu artystów i krytyków. Przekonaniem Ruskina paczą sztukę religijną i sprowadzają ją na tory fałszywego, nieszczerego idealizmu ci wszyscy, którzy z pogwałceniem ścisłej prawdy historycznej przedstawiają główne osoby działające w Nowym Testamencie jako mocarzy tego świata i opływających w jego dostatki. Oburza go to, iż zamiast żeby zgódnie z tradycją religijną i duchem Ewangelii u Chrystusa Pana, Bogarodzicy i Apostołów podnieść duchową wielkość ich wśród ubóstwa, artyści folgujący ogólnemu ubóstwianiu doczesnej potęgi i blichtru, przystrajali te postacie w bogate szaty, układali na nich majestatyczne fałdy, kazali im przybierać pozy klassycznych, pogańskich bohaterów lub bóstw. Tak n. p. zarzuca, że w postaci św. Pawła, opierającej się na mieczu, pomieszano jego energię cierpliwą, nieustanną, ale wątłą i subtelną z ideałem zadumanego Herkulesa ¹⁾, a owe wyobrażenia Matki Bożej jako Kochanej Pani (*Lovely Lady*) na złotym tronie, o ile nie są czystym wyrazem entuzjastycznych uczuć, ale odtwarzać mają dokładnie i skrupulatnie jakąś rzeczywistość, wiodą do obniżenia prawdziwego ideału zarówno u twórcy, jak i patrzącego, zaciemniając rzeczywiste wypadki nieprawdopodobnymi pozorami i oplątując je gmatwaniną słodkich marzeń, subtelnych uroków, zdrowych nauk i niedorzecznych podań ²⁾, a wreszcie

1) *M. P.* IV. § 18. „The feeble, subtle, suffering, ceaseless energy of S. Paul were confused with ideal of a meditative Hercules“.

2) *J. w.*, § 19. „Confusing sweet fancies with sound doctrines, throwing subtle endearments round foolish traditions,

wymuszając wiarę dla fałszywych twierdzeń zapomocą miłych szczegółików.

W niejednej z tych wycieczek przebija się niechęć protestanta dla sztuki religijnej, tkwiącej na łonie potrzeb kultu i uzmysławiającej dogmat szerokim massom, okazuje się też może i brak zmysłu historycznego w nieuwzględnieniu faktu, iż na Włochów epoki odrodzenia sztuka nieśmiejąca się do nich hojnemi dary pogodnej fortuny lub przynajmniej jakąś i fizycznie uwydatnioną potęgą, jak w dziełach Buonarrotiego, nie mogłaby była działać, ani nawet wpośród nich się zrodzić, jednakże zupełnie trafną zdaje się być naczelna myśl tej krytyki idealizmu, który już albo przestał być szczerym, albo tak konwulsyjnie i gorączkowo otacza się przyborami i ponętami swoim pierwotnym pobudkom i źródłom swej właściwej mocy obcemi, że sam nie będzie wiedział, kiedy resztę szczerości i zgodności ze swemi hasłami zatraci. „Fatalny pociąg do pięknej bajeczności i do dobrze skomponowanych niemożliwości“¹⁾ wtrąci go bezwiednie w tę otchłań, a z wysokich aspiracyj pozostanie tylko albo upodobanie we własnej świątobliwości i podniosłości (tu robi Ruskin przytyk współczesnemu niemieckiemu malarstwu Nazareńczyków), albo zainteresowanie się wyłącznie takimi pięknymi rzeczami i w takim stopniu, w jakim ich kształt ukazać może wielkość tego, co je odda²⁾.

Zapobiedz takiemu zacieśnieniu sympatyj i zatwardzeniu serc dla wartości rzeczy samej, nad czem tak, często i gorąco ubolewał Ruskin, może tylko sztuka stale wierna prawdzie, a to rozwijając się w jednym z trzech głównych kierunków. Jak długo ustrój ducha jest dziecięcy, naiwny, t. j. nie zdaje sobie sprawy z odstępów między prawdą w ma-

obscuring real events with unlikely semblances and enforcing false assertions with pleasant circumstantiality“.

¹⁾ J. w., § 18. „Fatal sense of fair fabulousness and well composed impossibility“.

²⁾ *M. P.* III, V, § 6. „A tendency to narrow the sympathies and harden the heart, deminishing the interest of all beautiful things by familiarity, found pleasure not in the worthiness of the thing, but in the degree, in which indicates some greatness of their own“.

rzeniach a na jawie i tworzy instynktownie, dzieła jego będą szlachetne, gdy z nich wzleci powiew idealny, jak piękny sen w brzasku porannym, zanim się wszystkie władze zbudziły do ruchu¹⁾, będą też w pewnej mierze prawdziwe, o ile wypływają z prawdziwych tęsknot poważnej duszy, jakkolwiek z konieczności pozostaną w nich pewne braki i słabe strony do zgaśnięcia i zawsze słabość umysłu do pewnego stopnia w nich się odbije²⁾. Jestto ideał „purystów“, z których tu nasz autor wymienia jako klasyczne przykłady Fra Angelica i Stotharda. Kto nim dla jego niedostatków pogardza, dowodzi tem o wiele większych próżni w sobie samym, jestto sztywność ze sztuki, której głębin nie może się wysondować³⁾. Jednakże naodwrot warunkiem wielkości w tym kierunku jest nie uważać się za wyższą istotę, przeciwnie, cała rękojmia leży w pewnym poczuciu niższości i w dążeniu do rozwarcia delikatnych cieśnin ducha w stronę wielkiego naturalistycznego ideału⁴⁾. Czytelnik, który sobie przypomni wyżej podany opis *kontemplacyjnego* działania wyobraźni, dostrzeże z łatwością, że między taką właśnie pracą wyobraźni a powstaniem i wcielaniem ideału purystów zachodzi w duchu estetyki Ruskina ścisły związek przyczynowy. Instynktowny popęd uczuć wytwarza i utrwała zadumę nad pewnemi stanami i własnościami, a w dalszym rezultacie ich wywyższenie, otoczenie osobnym urokiem i oddzielenie od reszty rzeczywistości.

Gdy ideał naturalistyczny jest według Ruskina najwyższym i ku niemu, jako swemu naturalnemu celowi i rozpo-

1) *M. P.* III, VI, § 3. „As a fair dream in the dawn of the morning, before the faculties are astir“.

2) *M. P.* III, VI, § 8. „Purist ideal, though, in some measure tone, in so far as it springs from the true longings of an earnest mind, is yet necessarily in many things deficient or blameable and always an indication of some degree of weakness in the mind“.

3) *J. w.* „Entire scorn of this purist ideal sign of a far greater weakness, mock at the art, whose depths they cannot fathom“.

4) *J. w.* „Only safety in knowing himself to be on the contrary less, than his fellows and striking to extend his delicate narrowness towards the great naturalist ideal“.

starciu wszystkich zasobów ducha zmierzają wszystkie inne skłonności twórcze — należy najpierw zastanowić się nad znaczeniem „idealnego grotesku“, chociaż uwagi o nim następują w rozstrząsanem dziele dopiero po omówieniu dwóch innych ideałów artystycznych, tembardziej, iż autor nie wyobraża w nim sobie bynajmniej jakiegoś spóźnionego owocu kultury, któryby miał koniecznie znamionować jej nadechodzący rozkład lub upadek. Istotną cechę grotesku stanowić ma jego zdaniem „igrająca energia myśli, która lubuje się w różnych warunkach rzeczy niemożliwych“¹⁾. Bliższe wyjaśnienie, jaka to może być gra myśli, czy wyobraźni i jak należy „warunki niemożliwości“ rozumieć, daje nam wstęp na początku osobnego rozdziału, traktującego o grotesku. Ruskin wylicza tu trzy sposoby powstania tego rodzaju sztuki: 1) ze zdrowej lecz nieracjonalnej gry wyobraźni w porach wytchnienia; 2) z nieregularnego i przypadkowego rozważania (kontemplacyi) rzeczy strasznych; 3) ze zmieszania się wyobraźni wobec prawd, których nie może całkowicie objąć²⁾. Nieco niżej określa szlachetne groteski jako „wyraz prawd, których wysłowienie zabrałoby więcej czasu, zapomocą momentalnie rzuconej seryi *symbolów*, śmiało i bez ulęknienia powiązanych“³⁾. Przy tej sposobności broni symbolizmu i skłonności do uosobień (personifikacyj) w malarstwie, twierdząc, że im większym i bogatszym w myśli jest artysta, tem więcej lubuje się w symbolizmie i że potęga personifikacyi, olbrzymia i niewyczerpana, jest źródłem szczególnych uciech dla malarza, któremu pozwala wprowadzać do swych dzieł element „malowniczości i lotności pomysłów“ (*picturesque*

¹⁾ *M. P.* III, VI, § 1. „Playful energy of thought, which delights in various conditions of the impossible“.

²⁾ *M. P.* III, IX, § 1. „Art arising A. from healthful but irrational play of the imagination in times of rest, B. from irregular and accidental contemplation of terrible things C. from the confusion of the imagination by the presence of truths, which it cannot entirely grasp“.

³⁾ *J. w.*, § 5. „Noble grotesques the expression in a moment by a series of symbols thrown together in bold and fearless connexion of truths, which it would have taken a long time to express in any verbal way“.

elements and flights of fancy). Zaleca wszakże pewne ograniczenie się w symbolice albo do środków kolorystycznych, albo do wrażeń linii lub cienia, zapewne w interesie przejrzystości i wyrazistości symbolu.

Gdy porównamy te wszystkie ustępy, okazuje się, iż Ruskin wyróżniając ideał grotesku od dążeń do czysto uczuciowego, dziecięco naiwną wiarą natchnionego ideału „purystów“ i od ogarniania całej prawdy wytkniętego za cel w ideale naturalistycznym, miał na myśli pewną pośrednią a przytem odrębną co do ukształtowania woli, uczuć i myśli postawę ducha wobec form zjawisk, w której tenże odczuwa już ich pewną odporność i przeciwieństwo ze swojemi subiektywnymi pragnieniami i nie zamyka oczu na wszystko, co mu jest niemiłym lub trudnem do ujęcia, dostrojenia i rozświecenia intuicyą artysty-mysliciela, jednakże z trudnościami temi woli igrzać, aniżeli gruntownie z niemi się rozprawić, woli stawiać zagadki i uwydatniać wszystkie sprzeczności, grozy i powikłania, któremi najeżoną być zdaje się dla wrażeń naszych i potrzeb osobistych rzeczywistość, aniżeli przezwyciężyć te wszystkie indywidualne kąty widzenia ukochaniem całości prawdy, obejmującej w sobie i godzącej te różne kontrasty jako poszczególne strony i stopnie ogólnego życia. Widząc w symbolu skrócony wyraz wielorakich pokrewieństw i analogii między naszym życiem wewnętrznem a objawami potęg przyrody, przywiązywał Ruskin do tego środka artystycznego osobliwszą wagę przy owym właśnie stanie postępującej dojrzałości ducha. Będąc bowiem owocem żwawej, lekkiej i przyjemnej ery wyobraźni i narzucając się zazwyczaj za bezpośrednią, żywą pobudką jakiegoś uczucia, wytryska z reguły każda udatna symbolika wprost z natury ludzkiej niemal bezwiednie i wolna od wszelkiego przymusu, a gdy bogactwem swych skojarzeń otwiera wzrok duszy na najbardziej sobie przeciwległe strony rzeczywistości, na janusowe oblicze natury, raz macierzyńskie, a raz srogie dla człowieka, gdy wyraża nieubłagane walki żywiołów i ich zdumiewające sojusze, stwarza nowe dziedziny energii dla wyobraźni, umożliwia i pobudza gorące zajęcie się takimi objawami, które przedtem były uczuciu ludzkiemu obce, obojętne lub nawet odrażające. W ten sposób i groteskowa forma

twórczości, jakkolwiek wyrosła z pierwotnie czysto osobistych wrażeń i oryentowała się według ich samowolnych wstrętów i pociągów, znajduje swoje ostateczne ujście i wyzwolenie od zacieśniających ją granic w ideale naturalistycznym prawdy wolnej od wszelkich zastrzeżeń i predylekcyi ze strony patrzącego, a więc możliwie wszechstronnej.

Ruskin czuł dobrze, że w samem połączeniu pojęcia „ideal“ z cechą „naturalistyczny“, mieścić się będzie sprzeczność dla większej części jego czytelników i sam sobie zadaje pytanie, „jak może sztuka, która przedstawia rzeczy poprostu tak, jak są, być nazwana idealną“¹⁾. Odpowiada na to, iż *idealnem* w takiej sztuce *jest działanie wyobraźni*, która przyjmując wszystkie słabości, błędy, niesprawiedliwości we wszystkich rzeczach, które widzi, *tak je umieszcza i harmonizuje, że tworzą szlachetną całość*, w której niedoskonałość każdej poszczególniej części jest nietylko nieszkodliwą, ale bezwzględnie istotną, a w której przytem i pomimo to wszystko, cokolwiek jest dobrego w każdej poszczególniej części, wykwita i roztacza się najzupełniej²⁾. „Thersytes jest tak samo idealnym, jak Achilles... cała szlachetność pięknego ideału polega na tem, iż jest on w ściśle tejsamej mierze prawdopodobnym i naturalnym, co brzydki (przedmiot idealizacji)“³⁾. Następnie wyjaśnia nam autor ową — przekonaniem jego tylko pozorną sprzeczność określić: *naturalistycznym* jest ideał, bo go śledzono z natury, a *idealtem*, bo mu nadano umysłowy ład“⁴⁾. To tłumaczenie ogólnikowe i niewystarczające, bo możnaby się zaraz zapytać, jakim musi być ów ład, aby odpowiadał zarówno prawdzie wystudyo-

¹⁾ *M. P.* III, VII, § 2.

²⁾ J. w. „Accepting all weaknesses, faults, wrongnesses in all things, that it sees, it so places them and harmonises them, that they form a noble whole, in which the imperfection of each several part is not only harmless, but absolutely essential and yet in which what ever is good in each several part, shall be completely displayed“.

³⁾ J. w., § 4.

⁴⁾ *M. P.*, III, VII, j. w. „Naturalist because studied from nature, and ideal because it is mentally arranged in a certain manner“.

wanej w naturze, jak idealnym potrzebom ducha, jest tylko wstępem do głębiej sięgającego rozbioru stosunków między idealną a realną stroną tworzenia. Stosunki te są przekonaniami Ruskina, w sposób doskonały zacieśnione i zjednoczone w każdej prawdziwie wielkiej artystycznej wizyi, która jest *bierną*, instynktowną i pod wielu względami, a w każdym razie przynajmniej co do prawideł swego powstania i działania *bezwiedną*. „Wszyscy wielcy ludzie *widzą pierwszej to*, co namalują, widzą w doskonale bierny sposób, nie mogą oprzeć się widzeniu, choćby chcieli, i nieśmieliby odmienić go na jotę ani o jedną kropeczkę przed wszechwładną potęgą jego obecności¹⁾. Dla takiego opanowującego całą istotność duchową widzenia nie jest za wielkiem — ale też i nie za małym lub pospolitem. Przedmiot widzenia jest im równocześnie siłą realną i bodźcem dla idei. Wizya spływa na artystę w porządku *dobranym dla niego, ale nie przez niego*²⁾, tak, „jak sen słodki i doskonały zdejmuje słodką i doskonałą osobę“. Widzenie przedstawiło się tak a nie inaczej i wobec tej racyi na małą chwilę nawet wola, (samo)wiedza i osobowość tracą swą władzę — mistrz stał się prostym przepisywaczem i czuje tylko, że między nim a regułami niema nic wspólnego³⁾. Wielcy ludzie bowiem — twierdzi tu nasz autor — nie wiedzą nigdy, jak lub dlaczego spełniają swe dzieła. W chwili, gdy ktoś zaczyna mówić o regułach w jakiegokolwiek sztuce, można go uważać za drugorzędnego, a jeżeli mówi wiele, za trzeciorzędnego lub za niebędącego artystą wcale⁴⁾.

1) J. w., § 5. „All the great men see, what they paint, before they paint it — see in a perfectly passive manner — cannot help seeing it, if they would — not daring under the might of its presence to alter on jot or tittle of it“.

2) J. w., § 10. „Vision comes in its chosen order, chosen for him not by him“.

3) J. w. „Presented it self so and his will, and knowledge, and personality, for the moment went for nothing, he became simply a scribe — feels only, that between him and rules is nothing in common“.

4) J. w., § 11. „The great men never know, how or why they do things, the moment any man begins to talk about rules in whatsoever art, you may know him for 2-d rate

Przyjąwszy taki na ogół bierny czyli instynktowny charakter trafnych artystycznych pomysłów (inwencji), nie przypuszcza Ruskin możliwości (ani też zbawienności) kontroli nad sobą samym wywieranej za pośrednictwem poszczególnych wyobrażeń — ale jedynie *samopoczucie całości* swego istnienia wraz z *władzą porzucania swej własnej osobistości i wnikania kolejno w serca* i myśli każdej osoby, a te w wyższej części wyrażającej (ekspresywnej części) dzieła, mogą służyć do stosownego zużytkowania instynktów, które zresztą w zasadzie kierować się nie dają¹⁾. Przenosić się jednak prawdziwie w serca osób szlachetnych potrafi tylko ten, kto sam jest odpowiednią szlachetnością uczuć obdarzony, „ogólny charakter jego snu o nich“ musi być w zgodzie z jego własnym charakterem.

Z tych wszystkich psychicznych warunków wizyi żywej, w której działanie instynktów sprzęga się z akcją wyobraźni i wrażeń zmysłowych, a realizm wstrząsającej jestestwem duchowem energii ma iść w parze z idealizmem szlachetnych pobudek, wysnuwa wreszcie Ruskin ważne dwie wieńczące, przeciwległe pozornie, a w istocie dopełniające się wzajemnie konkluzye. A to: po pierwsze, iż wielki idealista nie może być nigdy samolubem (*egotistic*), gdyż cała jego potęga zawisła od wyzbywania się widoku i czucia własnej egzystencji i od stawiania się czystem świadectwem i zwierciadłem prawdy²⁾, powtóre, iż dzieło wielkiego idealisty ma wartość powszechną nie z tej rzekomej przyczyny, jakoby

man and if he talks much, he is a 3-d rate man or not an artist at all“.

1) J. w., § 15. „Being the generally passive or instinctive character of right invention — how the immanageable instincts are to be rendered practically serviceable? Simply by the sense and self control of the whole man, not by control of the particular fancy or vision — in the higher or expressive part of work; the whole virtue of it depends on his being able to quit his own personality and enter successively into the hearts and thoughts of each person“.

2) M. P. III, IV, § 16. „A great idealist can never be egotistic — the whole of his power depends upon his losing sight and feeling of his own existence and becoming a mere witness and mirror of truth“.

nie było portretem, ale owszem dlatego, że jest *portretem kompletnym głębi serca*, która jest jednakową i tą samą *poprzez wszystkie wieki*, podczas gdy przeciwnie u idealistów tuzinkowych górują maniery, powierzchowność i strój, a nie serce¹⁾. Jaskrawa idea portretu kompletnego unosi jednak w tem miejscu Ruskina za daleko, dalej niż, jak to zaraz zobaczymy, sięgały jego poważniejsze rozstrząsania i intencye, i tracąc z oczu ową co dopiero przyznaną stałość i powszechność pewnych cech natury ludzkiej, które pozwalają przecie odgadywać także i serce pokoleń minionych, rzucił on tu swój głośny paradoks, iż jedynem historycznym malarstwem, zasługującym na to miano, jest portretowanie ludzi i zdarzeń współczesnych.

Jeżeli się chce być dla Ruskina sprawiedliwym, nie należy do tych wyskoków jego temperamentu przywiązywać wagi większej, aniżeli do takich zdobyczy jego zmysłu spostrzegawczego, które mu się wyłoniły z sumiennego i usilnego rozważania faktów, posiadających dla niego największe znaczenie. Śledząc, na czem polega natężenie siły twórczej i jakim sposobem jej owoce wywierają urok na innych ludzi, doszedł na podstawie psychologicznych rozbiorów i historycznych porównań poczucia piękna, a to tak objawiającego się czynnie, w kształtowaniu, jak biernie, t. j. we wrażliwości, do dwóch głównych pewników. Mianowicie widzeniom pewnym przypisujemy wartość bezwzględną, czyli orzekamy o nich, że są piękne, z dwóch nieodzownych a nieodłącznych od siebie powodów. Najpierw forma ich musi ukazywać lub odtwarzać pewną prawdę, a im głębszych i szerszych powiązań rzeczywistości prawda ta dotyczy, tem wyższą cenę ma dla nas jej objawienie się i tem silniejszej uciechy doznajemy przy jej oglądaniu. Rozległość dostrzeganych związków, ich bogactwo, przejrzystość i zgodność z tem wszystkim, co zkadinaąd przedstawia nam się jako realne, rozstrzygają o wartości ukazanej nam prawdy, t. j. o tem, czy rysy,

¹⁾ J. w., § 20. „Universal, not because it is not portrait, but because it is complete portrait down to the heart, which is the same in all ages; mean idealists paint outside manners and dress not heart“.

w których nam odsłoniła się, ocenimy jako silne, pełne i znaczące, czy też tylko ujrzymy w nich luźne i powierzchowne odłamy rzeczywistości. Z drugiej strony tylko samoistny ruch duszy może te prawdziwe rysy wydobyć dla niej na jaw, oddać je i ocenić, mianowicie gra wyobraźni nie krępowanej żadnymi zewnętrznymi granicami, nie zmuszanej przez żaden ślepy fakt do czynienia swych wyborów. Wyobraźnia bowiem musi mieć swój rozpęd wewnętrzny, ożywiany i kierowany naturalnymi wzruszeniami uczucia. Twory jej muszą wytryskiwać swobodnie i lotnie, aby duch w widzeniach swoich zapomocą ukształtowanych przez nią związków wyobrażeń miał poczucie własnej potęgującej się żywotności, nie doznawał żadnego zacieśnienia, nie napotykał żadnej tamy dla ekspauzy swoich idei. W przeciwnym razie zamiast radości z oglądania piękna, powstawałaby przykrość tem większa, im większą była samodzielność duchowa, którą w ten sposób przytłumiano. Wolnym w poruszeniach wyobraźni powinien pozostać nietylko ten, kto sam tworzy i kogo ona szczęśliwym rzutem do odgadnienia i wyrażenia jakiejś znaczącej prawdy zawiodła, ale i ten, kto w utworze cudzego pomysłu lub w naturze ma znaleźć prawdziwą uciechę oglądania, t. j. estetyczną.

Jak spełnić razem dwa żądania tak odmienne, tak trudne do pogodzenia? Widzenie prawdy, przy którego dojściu do skutku wyobraźnia wcale nie brała udziału, albo już tak skryształizowane, dokładne i zupełne, że dla gry wyobraźni, nawet u widza trzeciego, nie zostawia wolnego pola, jest według Ruskina ogołocone z uroku piękna, ale przekonaniem jego „wyobraźnia szlachetną jest jedynie wtedy, gdy wyobraża lub pojmuje prawdę“¹⁾ i wtedy tylko stwarza piękno. Jakimże więc sposobem można ograniczyć samowolę wyobraźni, a nie odejmować jej swobody, jak kazać jej się oryentować, stosować do czegoś, jeśli ona sama ma „wynajdywać pobudki dla szlachetnych wzruszeń“, jak wreszcie żądać „kompletnego portretu“ rzeczywistości, skoro właśnie ta kom-

¹⁾ *M. P.* III, X., § 8. „Imagination noble only. if it imagines or conceives truth“.

pletność będzie musiała przygnieść wolną grę wzruszeń w duszy każdego, kto ją ujrzy?

Ruskin szamotał się w walce z temi przeciwieństwami, które przypominają Kantowskie antynomie wolności i konieczności, świata rzeczy w sobie i świata zjawisk, a że miłość prawdy nie pozwalała mu być jednostronnym w celu zyskania większej konsekwencji, nie chciał sprzeniewierzyć się własnym żywym, bezpośrednio dlań pewnym doświadczeniom w dziedzinie piękna i porzucić jeden z obu nabytych na tej drodze punktów widzenia z tej racji, iż zdawał się być w sprzeczności z drugim. W tym stanie rzeczy pozostawało jedyne takie wyjście z trudności, ażeby pierwiastki wykluczające się na pozór podporządkować jakiemuś wyższemu ogólnemu pojęciu i w świetle takiego stosunku podporządkowania określić bliżej i odpowiednio ich treść i obręb, w którym je stosować można. Na stanowczo i jasno wypowiedzianą syntezę filozoficzną tego rodzaju nie odważył się jednakże Ruskin — a z jakichkolwiek powodów tego nie uczynił, zdaje się, iż zapewne z obawy, aby się nie zacieśnić — wynikła stąd dotkliwa luka w całokształcie jego estetyki. Natomiast stwierdzić da się niewątpliwie, że ku owej syntezie umysł jego dążył i stawiał kroki w tym kierunku tem cenniejsze i godniejsze obejrzenia, gdy się zważy wrodzoną mu powściągliwość na punkcie budowy systemów i w wysnuwaniu wniosków ogólniejszych.

Dr. Witold Rubczyński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MOJE PRZEPRAWY.

PAMIĘTNIK ANDRZEJA Hr. ZAMOYSKIEGO

o czasach Powstania Listopadowego.
(1830—1831).

Z autografu wydał

Alkar.

(Ciąg dalszy).

XXI.

Przybycie do Wiednia. — Wizyta u ks. Konstantego. — Ks. Jabłonowski. — Datek Gentzowi. — Zagubione bony. — Dla kancelaryi Metternicha. — Nieco szczegółów o Gentzu. — Spotkanie w Pfaffenstetten. — Ks. Lichnowsky o ks. Metternichu. — Wątpliwe środki skaptowania księcia. — Mapa Polski Chodźki. — Następstwa jej publikacyi.

Do Wiednia z księciem zajechałem jako jego sekretarz. (Aleksander Zebe), dnia 6 sierpnia, w sobotę rano. Wysiedliśmy istotnie obok arsenału w domu pani Zichy Ferraris — mieszkanie miało okna na dziedziniec, wchód przez kuchenkę, tam stanął służący księcia, Fend'l, w stancyjce obok — ks. Lichnowsky, a ja, za nim, w salce, gdzie stał bilard, sypiałem na kanapce.

Przebrawszy się, zaraz wsiadłem do fiakra z biletem do ks. Konstantego i do niego pojechałem. Landstrasse, Ungergasse, Schiffnerisches Haus (mieszkaliśmy w tym domu 1839 r.). Wziąłem był z sobą lokaja starego Andres. Dawny sługa ks. Lichnowsky'ego, który po zwinięciu dworu w Wiedniu pozostał i do usługi w mieście przyszedł. W bilecie do ks. Konstantego prosiłem go, aby do mnie przyszedł na przejazd fiakrem po Praterze. Służący bilet oddał, odprawiłem go do domu. W domu ks. Konstantego nie śmiałem się pokazywać, aby nie być wydanym. Książę wsiadł do fiakra także nieco pomięszany, bo go familia badała, co to za spacer i t. p. Dałem mu do czytania moje instrukcje, on zaś bileciki różne od ks. Ludwika Jabłonowskiego, który, jako h. minister austriacki w Neapolu, czasem wiedział nieco więcej od drugich. Przed pięciu dniami ks. Konstanty widział był ks. Metternicha, który mu pierwszy raz o mnie mówił, dość pochlebnie — o liście moim z Krakowa nie wspomniał — ale zapewne chciał wybadać, czy ks. Konstanty wiedział co o mnie. Między bilecikami ks. Jabłonowskiego były bileciki od p. Gentz, któremu 500 dukatów posłał był ks. Konstanty, aby czasem o wiadomościach donosił. Po długim spacerze, zawsze fiakrem, zwróciliśmy sobie wzajemnie nasze papiery, odwiozłem księcia do początku jego ulicy i powróciłem do domu. Tam spostrzegłem, że mi książę nie oddał instrukcyi i bonów ks. Adama. Zrazu myślałem, że je w fiakrze upuścił — pamiętałem numer, służący poszedł szukać, nie; bardzo niespokojny byłem, napisałem natychmiast do ks. Konstantego, pytając o nie — odpisał, że mi je z pewnością oddał. Okrutnie zacząłem na moją nieuwagę narzekać, aż mi przyszło na myśl, że te papiery książę pewno wraz z biletami Gentza odesłał ks. Jabłonowskiemu, co też się prawdą pokazało, a zatem niepodobne już było ukrycie mego pobytu przed Jabłonowskim. — Tem bardziej się na siebie gniewałem, ale napróżno. Pewny będąc, że się będzie chciał ze mną poznać, gotowałem się na spotkanie, wiedziałem bowiem, iż miał żal do mnie, że za pierwszą bytnością z nim się nie widziałem, że nie mają w nim zaufania, że za złego Polaka uważają i t. p. Nazajutrz ks. Jabłonowski odniósł moje papiery ks. Konstantemu, wyrzuty powtórzył, papiery do mnie

wróciły. Dnia 8 ks. Lichnowsky zażądał stu dukatów dla kancelaryi ks. Metternicha, aby sobie wstęp zrobić i donieść mi o tem, co słyhać. — Dałem. Pojechał do Baden, gdzie był i ks. Metternich.

Dnia 9. Deszcz lał, nie wychodziłem — spisałem bez porządku myśli do listu do ks. Metternicha. Odebrałem od ks. Lichnowsky'ego wezwanie, abym przyjechał nazajutrz do Pfaffenstetten pod Baden, dla poznania się z Gentzem. Gentz był długo prawą ręką Metternicha, teraz zestarzały, obyczajów niedobrych, potrzebnicki także, mniej był używany do interesów, jednakże zausznik ks. Metternicha. Dla śladu, wypisuję tu wiadomość o Gentzu, po jego śmierci, r. 1837 w *Journal des Débats* podaną:

„Gallerie ¹⁾ de portraits — tirés de la Correspondance de Rachel et de ses relations, publiée par Varnhagen d'Ense. Leipzig. Gentz... il y avait en lui une facilité d'entraînement et une sève de raison, qui se contrariaient sans cesse. La révolution de 1789 l'enthousiasme; elle avance, il la quitte. Les puissances du Nord l'appellent à Elles — il prend position sous leur drapeau. Eveillé par Kant, formé par l'exemple de Burke, il achève son éducation d'homme d'état sous le second Pitt. Pensionné par l'Angleterre, admis à l'intimité du Comte Stadion, de Wyndham, et de Monsieur de Metternich, sa plume rédige la plupart des proclamations, qui attaquaient Napoléon Bonaparte; enfin ce dernier passe sur l'Allemagne et l'abat. Gentz tombe fracassé, sans fortune et sans

¹⁾ „Galerya potretów, dobytą z korespondencyi Racheli i jej stosunków, wydana przez Varnhagena von Ense. Lipsk. Gentz... Tkwiła w nim pewna łatwość do uniesień i odcięcia rozwagi, które w ciągłej ze sobą pozostawały sprzeczności. Rewolucya 1789 r. entuzjazmuje go: postępuje — on ją porzuca. Mocarstwa północne przyzywają go do siebie — zaciągają się pod ich sztandary. Rozbudzony przez Kanta, ukształtowany przykładem Burkego, uzupełnia swą edukację męża stanu pod drugim Pittem. Pensyonowany przez Anglię, dopuszczony do poufałości przez hr. Stadioną, Wyndhama i pana de Metternicha, oddał swe pióro w usługi proklamacyj, miotających się przeciwko Napoleonowi Bonapartemu. Wreszcie ten ostatni rzuca się na Niemcy i powala je. Gentz pada zdruzgotany, bez ma-

crédit... Monsieur de Metternich le rappela aux affaires, lorsque la formidable union du Nord vint à se former, ligue, dont Gentz avait conçu la pensée et qui est aujourd'hui même quelque chose de plus, qu'un souvenir. Frédéric Gentz, notre ennemi, dont nous pouvons aujourd'hui parler sans haine et sans colère, sonna contre la France la trompette de 1813. Il rédigea le manifeste de l'Autriche, et sa déclaration de guerre des puissances du Nord. Tous les congrès l'eurent pour témoin et pour acteur... La révolution de Juillet, détruisant d'un souffle son oeuvre de 40 années, lui donna une leçon de modestie“.

Dnia 10. Spotkałem się z ks. Lichnowskym w Pfaffenstetten. Następujący mi zdał raport:

„L'homme ¹⁾ d'affaires du Prince Metternich m'a dit, que le Prince avait des affaires fort dérangées — que le seul moyen serait de racheter ses quittances et de les lui remettre — mais c'est risquant. Il a reçu des dons de la Russie et autres, mais après coup — pour des affaires faites — il n'est pas pensionné par la Russie, et celui, qui lui offrirait de l'argent, serait fort mal reçu. J'ai vu le Prince de Metternich, Gentz et Meyendorff, le bras droit de Tatischeff. Les deux premiers sont bien disposés en faveur des Polonais — faisant

jątku, bez kredytu. Przyzwał go na nowo Metternich do urzędu, gdy straszliwy sojusz północy się uformował, sojusz, którego myśl powziął Gentz, a który jest do dziś dnia czemś więcej, aniżeli wspomnieniem. Fryderyk Gentz, nasz wróg, o którym dziś bez nienawiści i gniewu mówić możemy, pierwszy uderzył w dzwon przeciw Francji w r. 1813. Zredagował on manifest Austrii i wypowiedzenie wojny ze strony mocarstw północy. Wszystkie kongresy miały go za świadka i aktora... Rewolucya Lipcowa zniszczywszy jednym podmuchem jego czterdziestoletnie dzieło, dała mu nauczkę skromności“.

¹⁾ „Prowadzący interesy ks. Metternicha mówił mi, że interesa księcia są bardzo zawiklane... że jedynym środkiem byłoby wykupienie jego kwitów i wydanie mu ich... lecz to jest ryzykownem. Otrzymał on datki od Rosyi i od innych, ale *po fakcie* — za sprawy załatwione — nie jest on jurgielnikiem Rosyi, i ten, ktoby mu ofiarować chciał pieniądze, źle byłby przyjętym. Widziałem ks. Metternicha, Gentza i Meyendorffa, prawe ramię Tatischeffa. Dwaj

eux mêmes, au besoin, entrevoir la différence entre l'insurrection polonaise et celle de France et de Belgique“.

„La carte de Pologne, récemment publiée par Chodźko à Paris, carte du temps de Boleslas Chrobry, a fait mauvais effet. La mort de Giełgud a frappé le Prince de Metternich — „on retrouve dans ce trait — a-t-il dit — le peuple nomade“. En parlant de la carte, le Prince de Metternich répétait: „quelles folles prétentions! que faire?“ Le Prince Lichnowsky remarqua, que les Polonais sensés certes parleraient d'inféremment, souscriraient à des conditions honorables, acceptables. „Les Polonais, oui — dit le Prince Metternich — mais le Prince Adam, non; Vous ne le connaissez pas; d'ailleurs, il périrait comme Giełgud“.

„On a été persuadé ici, que le Prince Adam voulait se faire Roi de Pologne. Au sujet de la non réussite du changement de forme du Gouvernement, on dit: il paraît donc, qu'il n'est pas si facile d'avoir le dessus du jacobinisme“.

„Meyendorff a ajouté: „Dans tous les cas, le Prince Adam ne pourra être — qu'Adam II“.

„Meyendorff a fait entendre, que la Russie désire ardemment la fin de cette guerre; et que si ce n'était l'idée de la

pierwsi są dobrze usposobieni dla Polaków, wykazując sami, w razie potrzeby, różnicę między powstaniem polskiem, a powstaniem francuskim i belgijskim“.

„Mapa Polski, świeżo wydana w Paryżu przez Chodźkę, mapa z czasów Bolesława Chrobrego, nie dobre zrobiła wrażenie. Śmierć Giełguda uderzyła ks. Metternicha. „Odnajduje się w owym rysie — rzekł — naród koczowniczy“. Mówiąc o mapie, ks. Metternich powtarzał: „Co za szalone uroszczenia! Co czynić?“ Ks. Lichnowsky zauważył, że Polacy rozważni inaczejby przemawiali, podpisaliby warunki zaszczytne, możliwe. „Polacy, tak — rzekł ks. Metternich — lecz ks. Adam, nie. Nie znasz go zresztą. Zginąłby, jak Giełgud“.

„Było się przekonany, że ks. Adam chciał się uczynić królem Polski. W przedmiocie nieudania się zmiany formy rządu, mówiono: „Zdaje się, że to nie łatwo mieć górę nad jacobinizmem“.

Meyendorff dodał: „W każdym razie ks. Adam mógłby być tylko — Adamem drugim“.

„Dał się słyszeć Meyendorff ze zdania, że Rosya gorąco pragnie końca tej wojny i że gdyby nie myśl o końcu

fin de son Père et grand Père, l'Empereur Nicolas aurait déjà peut-être cédé. Le Prince Metternich a dit la même chose à une autre occasion, car les Polonais sont presque le seul sujet de conversation. On a un grand respect pour les Polonais et l'armée nommément. On a l'air de ne pas redouter pour les Polonais la marche du Maréchal Paszkiéwitsch sur Varsovie, car l'Empereur Nicolas craint de perdre ses 18 mille hommes de Gardes. Les Russes marcheront jusqu'à 5 ou 6 milles de Varsovie et feront des propositions. Mais en attendant, les Polonais seront exterminés, observa-t-on“.

— Eh non — reprit le Prince de Metternich — les Russes sont trop faibles, les Polonais les batteront.

„On a dit à Varsovie, que si l'Autriche rend la Gallicie à la Pologne, Elle demandera une frontière militaire; il n'y a qu'un Gallicien, ou un Employé autrichien, qui ait pu dire cela“.

„On s'accoutume peu à peu à cette idée. On a encore reparlé de la révocation de l'acte de déchéance, comme unique moyen de mettre fin à ce débat sanglant“.

Prosiłem ks. Lichnowsky'ego, aby na ks. Metternicha nacierał i wybadał, co by też radził nam robić, jakie przewiduje możliwe wypadłości.

Ks. Lichnowsky dodał jeszcze:

swego ojca i dziada, cesarz Mikołaj możeby już był ustąpił. Ks. Metternich toż samo przy innej oświadczył okoliczności, gdyż Polacy są prawie jedynym jego rozmów przedmiotem. Mają tu wielki szacunek dla Polaków, dla armii zwłaszcza. Nie obawiają się pochodu marszałka Paszkiewicza na Warszawę, gdyż cesarz Mikołaj nie chce wystawić na szwank 18 tysięcy gwardyi. Rosyanie zbliżą się na 5 lub 6 mil do Warszawy i rozpoczną układy. Tymczasem — zauważono — Polacy będą zniweczeni.

— Eh nie! — odrzekł ks. Metternich. — Rosyanie zbyt są słabi, Polacy ich pobiją.

„Mówiono w Warszawie, że gdyby Austria oddała Galicyę Polsce, zażąda wówczas granicy wojskowej — tylko Galicyanin, lub urzędnik austriacki, mógł coś podobnego powiedzieć“.

„Oswajają się z wolna z tą myślą. Na nowo podniesiono, że odwołanie aktu detronizacyi byłoby jedynym środkiem zakończenia owej krwawej walki“.

— On parle ¹⁾ de guerre entre la Hollande et la Belgique; au moins, dit-on, l'Est de l'Europe se reposera...

— Non — dit le Prince de Metternich — la France mettra tout en feu; ah! si on avait pu prévoir tout cela il y a 16 ans!

— Peut être, ajouta le Prince Lichnowsky, aurait-on réparé l'acte de 1772⁴ — et on reparla de la Gallicie.

Ks. Lichnowsky z Gentzem się jeszcze nie rozmówił o mnie. Powróciwszy do Wiednia, natychmiast ks. Konstantemu o tem wszystkim doniosłem, bo on z Warszawą korespondował.

XXII.

Powrót ks. Lichnowsky'ego z Badenu. — Jego rozmowa z Tatiszczewem. — Wieści z Paryża. — Apponyi i Périer. — Sztafeta z Warszawy. — Ks. Adam do cesarza Franciszka. — Rząd narodowy za monarchiczną formą przyszłych rządów. — Klucz cyfrowany. — Skrupuły Zamoyskiego. — Kilka notatek. — List Zamoyskiego do Metternicha.

Dnia 11. Ks. Lichnowsky wrócił z Badenu — widział ks. Metternicha, ale nie chcąc go o Polskę pierwszy zaczepić, o nas mowy nie było. Widział także Tatiszczewa — ten powiedział:

„On ²⁾ a fait des fautes, c'est vrai; ce, qui rend aujourd'hui la fin hors de notre pouvoir, c'est, que l'Empereur a voulu rendre cette guerre nationale en Russie — aujourd'hui, on ne

1) „Mówią o wojnie między Holandją a Belgią; przynajmniej wschodnia Europa wycocznie nieco“.

— Nie — odrzekł ks. Metternich. — Francya rozпали wszędy ogień. Ah! gdyby to można było przewidzieć przed szesnastu laty!

— Być może — nadmienił ks. Lichnowsky — że naprawionoby akt 1772 r., i na nowo zaczęto mówić o Gallicyi“.

2) „Popelniono błędy, to prawda, to, co czyni dziś koniec niezależnym od władzy naszej, jest następstwem woli cesarza, by wojnę tę uczynić w Rosyi narodową. Dziś już powiedzieć nie można, że nią nie jest. Ganią nas... lecz

peut pas dire, qu'elle ne l'est plus; on nous blâme... mais, citez un précédent pareil... y a-t-il une Monarchie qui ait à faire à un pays dans les rapport de la Russie à la Pologne(?) Une province conquise — car elle s'est rendue elle-même. Ce même Prince Adam à Kalisz (1813), demandait à l'Empereur Alexandre de joindre à jamais la Pologne à la Russie; mais l'Empereur Alexandre par sa magnanimité, qui au reste nous fait tout ce mal, en a jugé autrement. En fin de compte, le droit le meilleur, est celui du plus fort; vous le voyez — la Belgique est indépendante — la Pologne ne le sera pas. A la prise de Varsovie, il n'y aura ni pillage, ni sang versé — l'Empereur Nicolas veut entrer à Varsovie, et étonner l'Europe. Il laissera tout sur l'ancien pied, même la Constitution; au lieu de forcer ces Messieurs de Volhynie etc. à vivre de leurs terres, il les refoulera dans le Royaume — confisquera leurs terres, qui seront données aux Russes, qui se sont distingués dans cette guerre — et aux enfants innocents de ces messieurs, l'Empereur donnera les terres nationales en Pologne“.

W Paryżu była konferencya między hr. Apponyi, ambasadorem austriackim i p. Kazimierzem Périer, pierwszym ministrem Ludwika Filipa, na której p. Périer oświadczył:

wskażcie mi precedens inny. Czyż jest monarchia, któraby uczyniła inaczej w stosunku Rosyi do Polski? Prowincya podbita, gdyż sama się poddała. Tenże sam ks. Adam prosił (w r. 1813) w Kaliszu cesarza Aleksandra, o przyłączenie raz na zawsze Polski do Rosyi, lecz cesarz Aleksander we wspaniałomyślności swojej, która zresztą jest przyczyną wszystkiego złego, sądził inaczej. W rezultacie ten ma za sobą prawo, kto jest silniejszym. Spójrzycie, Belgia jest niezależną, Polska nią nie będzie. Po wzięciu Warszawy nie będzie ani rabunku, ani krwi przelewu. Cesarz Mikołaj pragnie wejść do Warszawy i zdziwić całą Europę. Pozostawi wszystko w dawnym trybie, nawet konstytucyę; zamiast zmuszać owych panów wołyńskich etc. do utrzymywania się ze swych ziem, skonfiskuje im dobra i odda je Rosyanom, którzy się w tej wojnie odznaczyli, a dzieciom niewinnym owych panów odda dobra narodowe w Polsce“.

„Que¹⁾ l'Autriche soit tranquille; quand même il y aurait en France un changement dans le personel du Ministère, c'est toujours par mon influence et dans mon esprit; le Roi Louis Philippe, les larmes aux yeux, m'a demandé, si je résigne la présidence, de rester son conseiller. Mais, sur la question polonaise, il faut que la France parle hautement — elle ne peut plus rester indifférente; quant à la Cour d'Autriche, il faut qu'Elle se décide à agir, ou bien à se taire.“

Ks. Metternich zdaje się nakłaniać do ostatniego — żałuje podobno, że przy otwarciu Izb we Francyi i w Anglii, w mowie od tronu, nie oświadczone jawnie zdania. Wyglądał, spodziewał się tego.

Dnia 12. Wypracowałem list do ks. Metternicha, dla oznajmienia mu mego przyjazdu, oraz pismo do odczytania za widzeniem się, jeżeli mnie przyjmie. Wieczorem, jak zwykle, spotkałem ks. Konstantego — odebrał był sztafetą od ks. Adama list do cesarza Franciszka, jutro ma odwiedzić ten list ks. Metternichowi do Baden — dał mi kopię tego listu, oraz i pismo, w którym nasz rząd oświadcza się wyraźnie za formą rządu monarchicznego. Wróciwszy do siebie, odczytałem te pisma — robotę moją ks. Lichnowsky'emu komunikowałem, podobała mu się, uwag kilka podał, użytek z nich zrobiłem. W notatkach, które sobie porobiłem, a które (mam) między papierami, napotykam:

Z Warszawy kazano mi ofiarować księciu (*par galanterie!*) wydanie mu klucza do pism cyframi pisanych rosyjskich, w depeszach używanych, w biurze Wielkiego Księcia Konstantego znalezione — *le chiffre bigram et le chiffre carré.* — Wyznaję, że wstręt wielki czując do tych zdradzieckich środków postępowania, zaniechałem zupełnie myśli, tak działania przez pieniądze, jako i przez powyższą grzeczność. Nie chcia-

¹⁾ „Niech Austrya będzie spokojną. Choćby nawet zaszła we Francyi zmiana w osobach ministryum, to także za moim wpływem i w moim duchu. Król Ludwik Filip ze łzami w oczach spytał mnie, czy ustępuję z prezydencyi i prosił o pozostanie w Radzie. Lecz w kwestyi polskiej należy Francyi przemówić wyniosłe — nie może ona pozostać obojętną nadal. Co do dworu austryackiego, trzeba, by się zdecydował na działanie, lub też, by siedział cicho.“

łem kalać naszej sprawy niecenami środkami. Będę za to potępiony...

Ks. Adam, na mój list z Krakowa, zgodził się na następną propozycję:

Gdyby nam Austria Galicyę oddała, na króla otrzymała księcia z Europy, a nie z Azji, zrzeklibyśmy się nawet naszej teraźniejszej konstytucyi, na dowód, że nam nie idzie o wyuzdany liberalizm, ale bądź co bądź — o byt.

Gdyby Polskę w dawnych granicach ukonstytuowano w jedno Królestwo, przyjąlibyśmy nawet za króla cesarza Mikolaja, na zasadzie takiej, jak król angielski jest królem hannowerskim. Czy w takim razie Austria odda Galicyę, Prusy — Poznań?

Jeżeli Gabinety nie chcą Rosyi tym sposobem wzmocnić, niechże nam to oddadzą, co nam wydarli, niepodległą Monarchię ogłoszą i króla dadzą.

Austria boi się, że jeżeli Polska stanie, wesprze Węgry i do odłączenia się od Austrii pomoże.

Niechby przez wspólny protokół Gabinety wymogły zawieszenie broni, później kongres.

„Ni l'Empereur Nicolas ¹⁾ — ni nous, ne pouvons nous exécuter. Que l'Autriche s'interpose d'autorité, pour sévir contre celle des deux parties, qui voudrait prolonger la lutte“.

Przeciw niechęci, zlej chęci, choć o niej zbyt przekonany — *et* ²⁾ *il n'y a pas de moi leur sourd, que celui, qui ne veut pas entendre* — ale jakbym takiej zgrocie wierzyć nie mógł, sililem się na marne argumenta, między innymi i na te kilka peryodów trafiam:

„Toute ³⁾ nation, comme tout être organisé, possède en soi une *force vitale*, qui lui sert à sa *propre conservation*.“

¹⁾ „Ani cesarz Mikolaj, ani my sami nawet nie jesteśmy w stanie wykonać na sobie samych wyroku. Niech Austria całą powagą swej siły wda się w tę sprawę, by zwrócić się przeciwko tej ze stron obu, któraby pragnęła kontynuować walkę“.

²⁾ „Nie ma bardziej głuchego nad tego, kto słyszeć nie chce“.

³⁾ „Każdy naród, zarówno jak i każde jestestwo organiczne, posiada w sobie *siłę żywotną*, służącą mu do *własnej konserwacji*. Bez owej siły nie byłoby ani życia, ani trwa-

Sans cette force, il n'y aurait ni vie, ni durée. C'est par cette force vitale, qu'une Nation lésée dans ses droits fondamentaux, sentant son existence attaqué — s'insurge, se défend. Donc, une Nation, qui n'est pas détruite, anéantie (et qui peut anéantir une Nation, à moins de la massacrer ou de la corrompre?) se trouve dans un état *d'insurrection incessante* — dans un état de lutte sans relâche, contre la violence, qui lui a été, ou est, faite. Comment une Nation peut-elle aimer ses oppresseurs, ses bourreaux? Où il y a haine, la guerre est aux portes. Une Nation, privée de son existence politique, par l'abus de la force, milite, se défend, pour ne pas succomber; tous les moyens de défense personnelle lui sont bons, permis, d'us — en vertu même du droit de la nature. *Pia arma, quibus nulla, nisi in armis, relinquatur spes.* (Tacit.)“.

„Nous nous sommes insurgés, mais ce n'est pas par nous que l'insurrection a été allumée. Ceux, qui ont déchiré la Pologne, ont organisé, fomenté l'insurrection à demeure. Ils nous ont placé depuis un demi siècle dans cet état d'insurrection chronique; depuis un demi siècle nous abhorrons les auteurs de cet acte antisocial, qui nous poussent à tous les

łości. Mocą tej właśnie siły żywotnej naród krzywdzony w swoich zasadniczych prawach, czując swój byt zagrożonym, powstaje, broni się“.

„Otóż naród, który zniweczonym nie jest (a któż jest w stanie zniweczyć naród inną drogą, aniżeli przez wytępienie go i korrupcyę?), znajduje się w stanie *rokoszu nieustannego*, w stanie walki ustawicznej przeciw gwałtowi mu zadanemu. Jakże może naród kochać swych ciemiężycieli, swych oprawców? Gdzie jest nienawiść, tam wojna jest u progu. Naród pozbawiony bytu politycznego, skutkiem nadużycia siły, walczy, broni się, by nie uledez; wszystkie środki obrony osobistej są dobre, dozwolone, musowe, nawet w duchu prawa przyrodzonego. *Pia arma, quibus nulla, nisi in armis, relinquatur spes.* Tacit.“.

„Powstałiśmy, lecz to nie przez nas powstanie wznieconem zostało. Ci, którzy rozszarpali Polskę, uorganizowali i zasiali ziarno buntów. Postawili oni nas od pół wieku w stanie buntu chronicznego; od pół wieku nienawidzimy sprawców owego aktu antyspołecznego, popychającego nas do wszystkich zbrodni, najslabsi ulegamy,

crimes; les plus faibles — nous nous soumettons, mais en jetant les yeux sur nos armes, suspendues à la muraille. Tout le mal qui leur arriva est pour nous un sujet de réjouissance horrible, antichrétienne; au moindre espoir, le moins fondé, nous nous soulevons, nous abandonnons nos foyers, nos femmes, nos parents, nous laissons nos enfants orphelins, et au désespoir courons chercher une patrie, dans les régions même étrangères; périodiquement il émigre une génération. Ces contrées nous paraissent souvent plus aimables, que notre terre natale, souillée par l'esclavage. L'injure faite à la Nation pesait sur la conscience d'un chacun. Tous souffraient, espéraient. Le coup parti le 29 Novembre 1830 a été l'étincelle qui a allumé la poudre, semée partout; personne n'avait prévu ce moment. Les hommes sensés le reculaient de tous leurs vœux. Ce mouvement paraissait insensé, impossible. On le dit aujourd'hui — amené par l'ambition des grands seigneurs! Il éclata, qu'arriva-t-il? Les Russes lâchent pied de suite, tant eux-mêmes comprennent leur crime; quant à nous, le moment, où nous courûmes aux armes, n'est que celui, où creva l'abcès, dont chacun portait le venin dans son cœur. Ceux là, par conséquent, qui ont été

z wzrokiem zwróconym na zawieszony na ścianie oręż. Każde niepowodzenie, jakie nieprzyjaciół naszych spotyka, jest dla nas źródłem okrutnej niechrześcijańskiej radości i najłżejsza, najbezpodstawniejsza nadzieja, budzi nas do powstania, porzucamy wtedy nasze ogniska, nasze żony, naszych rodziców, osierocamy dzieci nasze i w rozpaczynie szukać Ojczyzny, w sferach nawet obcych. Peryodycznie emigruje od nas pokolenie. Strony te wydają nam się nieraz miłszemi, aniżeli kraj rodzimy, splamiony niewolą. Obraza zadana narodowi ciążyła na sumieniu każdego. Wszysey cierpieli, snuli nadzieje. Wybuch 29 listopada 1830 r. był iskrą, która zapaliła rozsiany wszędzie proch; nikt owej chwili nie przewidział. Ludzie rozważni odsuwali ją z całem przeświadczeniem. Ruch ten wydawał się być bezmyślnym, niemożliwym. Dziś mówią o nim, że to dzieło wywołane ambicyą wielkopańską! Wybuch nastąpił, cóż zaszło? Rosyanie opuszczają pole natychmiast, na tyle do zbrodni się poczuwają. Co do nas, chwila, w której chwyciliśmy oręż, była chwilą pęknięcia wrzodu, którego jad każdy z nas nosił w sercu. Ci zatem, którzy

les auteurs de toutes les injustices déversées sur nous, ont amené l'insurrection; ceux là ont amené et perpétuent les révolutions en Europe; ceux là ont semé la discorde entre les trônes et les peuples. Que l'on cesse donc de nous accuser! La loi non écrite, mise au fond du coeur des hommes par la Providence, cette loi, sur laquelle repose la conscience des hommes, le repos, l'existence du monde entier — a précédé toutes les lois écrites; contre la première — toutes les lois écrites ne peuvent rien; on aura cent fois écrit, qu'il n'y a plus de Pologne: cent fois nous protesterons, et la Nation polonaise ne cessera pas d'exister, et par ses malheurs Elle ne cessera de peser comme un remord rongeur sur la conscience timorée de nos oppresseurs. Elle leur sera une entrave perpétuelle à tout progrès. Notre cause est sainte. Elle est une question de droit, de justice. Qu'on nous rend notre propriété, et qu'on cesse de toujours proclamer le triomphe du droit du plus fort — si l'on ne veut invalider l'ordre social, et les bases de tous les Trônes, si l'on ne veut pousser les peuples à étouffer dans leur conscience tout sentiment, autre, que celui de la vengeance. Serait-ce que la Providence, en punition de leurs crimes, aveugle tous ces gouvernements? "

byli sprawcami tylu niegodziwości nam wyrządzonych, sprowadzili powstanie; ci tylko sprowadzili i uwieczniają rewolucye w Europie; ci rozniecili niezgodę między tronami, a ludami. Niech więc zaprzestaną nas oskarżać! Prawo nie pisane, zaszczerpione w głębi serca ludzi przez Opatrzność, to prawda, na której się wspiera sumienie ludzkie, spokój, był całego świata — poprzedziło wszelkie prawa pisane; przeciw pierwszym wszelkie prawa pisane są bezsilnymi; można stokroć napisać, że Polska nie istnieje, stokroć protestować przeciwko temu będziemy, a naród polski istnieć nie przestanie i nieszczęściami swemi nie przestanie ciężać jak zmora na sumieniu nieczystem naszych ciemnościeli. Będzie ona ciąglą zaporą wszelkiego postępu. Jest ona kwestyą prawa, sprawiedliwości. Niech nam powrócą własność naszą i niech zaprzestaną ciągle głosić przewagę prawa mocniejszego — jeśli nie pragną wzruszyć porządku społecznego i podstawy wszystkich tronów, jeśli nie chcą stłumić w sumieniach wszelkiego innego nad zemstę uczucia. Czyżby Opatrzność dla ukarania zbrodni zaślepila wszystkie owe rządy? "

Mój list do ks. Metternicha. Dnia 12 sierpnia.

„Mon Prince ¹⁾, ainsi que j'ai eu l'honneur de le mander à Votre Altesse de Cracovie, en date du 8 Juillet, je pris la résolution, après quelques jours d'attente sur la frontière, de me mettre en route pour Vienne. En conséquence, j'entrai aulustôt sur le territoire autrichien, dans le but de prolonger ensuite mon voyage, pour ne point réveiller de crainte, à mon arrivée ici, quant à mon état sanitaire. Mon voyage depuis Cracovie a en effet duré 25 jours, près d'un mois. J'ai d'ailleurs, pardonnez moi cette plaisanterie mon Prince, subi une ablution complète, grâce à la hauteur des eaux de la Vistule, que j'ai traversée à gué, et quelques brasses à la nage, par une forte rosée de nuit, et après avoir bivouaqué sur le bord pendant plusieurs nuits, pour guetter un moment favorable. Arrivée ici, dans le but unique de voir encore une fois Votre Altesse et dans l'espoir que les éclaircissemens importans dont je suis porteur, et les garanties, les propositions que je suis en droit d'offrir, pourront peut-être coopérer à un prompt et heureux résultat dans nos affaires — je m'empresse de m'annoncer à Vous, mon Prince, en me berçant de l'idée, que Votre Altesse n'aura pas la cruauté de me refuser une

¹⁾ „Mości Książę! Jak już miałem zaszczyt donieść Waszej Wysokości z Krakowa pod datą 8 lipca, postanowiłem po kilku dniach wyczekiwania na granicy udać się w drogę do Wiednia. W skutek tego wstąpiłem coprędzej na terytoryum austryackie, by kontynuować podróż moją, nie budząc obaw po przybyciu tutaj, z racyi mego stanu sanitarnego. Podróż moja, poczynając od Krakowa, trwała istotnie dni 25, prawie że miesiąc. Zresztą proszę mi wybaczyć ów żarcik, Mości Książę, użyłem ablucyi zupełnej, dzięki wysokości wód Wisły, którą przebyłem wbród i nieco pływając wśród odwilży nocnej, po biwakowaniu na wybrzeżu podczas wielu nocy, w oczekiwaniu sprzyjającej chwili“.

„Przybywszy tutaj, w jedynym celu widzenia raz jeszcze Waszej Książęcej Mości i w nadziei, że wyjaśnienia ważne, które posiadam, i rękojmie i propozycye, które mam prawo przedstawić, będą mogły być może współdziałać do sprowadzenia szybkiego i pomyślnego w sprawach naszych rezultatu. Spieszę meldować się Wam, Mości Książę, w nadziei błogiej, że Wasza Książęca Mość nie

audience. Il me vient une crainte: Votre Altesse m'en veut peut-être pour un sot article, de la plus sottise de nos gazettes; je Vous dois un éclaircissement. — La coincidence de mon retour à Varsovie, au moment où l'on présentait à la Diète le projet de changement de forme pour notre Gouvernement, donna l'idée à quelque mauvais plaisant du parti contraire, qu'en Vous proclamant, mon Prince, l'auteur de ce projet, c'était un sûr moyen de le rendre impopulaire. Dois-je Vous le dire? On Vous regarde comme l'avocat de l'arbitraire, égoïste, et notre ennemi acharné.... Aussi ce bruit a-t-il produit son effet dans les galleries. Quant aux raisons, qui ont motivé le rejet de la proposition par les Chambres, je pourrai les soumettre à Votre Altesse“.

„J'ai dû par discrétion, bien contre mon gré, me garder de relever cette sottise. Aussi n'en a-t-il plus été question; et je puis assurer Votre Altesse, que, malgré quelques désagrémens, que je me suis attiré par là, mon rapport par écrit, très succinct et très général au reste, n'a été lu, que par le Prince Adam seul, ainsi que Votre Altesse me l'avait demandé. J'aurais une grâce à solliciter de Votre Altesse, c'est qu'Elle veuille bien ne pas rechercher ma demeure ici. Je

raczy odmówić mi posłuchania. Jedna przejmuję mnie obawa: czy Wasza Książęca Mość nie ma do mnie żalu, z powodu głupiego artykułu jednej z najgłupszych gazet naszych? Winienem więc dać Waszej Książęcej Mości wyjaśnienie. Zbieg okoliczności, a mianowicie powrót mój do Warszawy, właśnie w chwili, gdy przedstawiano Sejmowi projekt zmiany formy naszego Rządu, poddał pewnemu żartownisiowi ze stronnictwa przeciwnego myśl, iż mianując Was, Mości Książę, autorem owego projektu, będzie go można najłatwiej zdepopularyzować. Czyż potrzebuję nadmienić, że uważają Was, Mości Książę, za adwokata samowoli, egoistę, naszego zaciętego wroga? Jakoż owa pogłoska sprawiła skutek na galeryi. Co do racyj, które spowodowały odrzucenie propozycyi przez Izby, mogą je przedłożyć Waszej Wysokości“.

„Ze względów dyskrecyi, jakkolwiek wbrew mojej woli, nie mogłem działać przeciw owej głupocie. Jakoż mowy o tem więcej nie było, a mogę zapewnić Waszą Książęcą Mość, że pomimo kilku przykrości, jakie na siebie ściągnąłem, raport mój piśmienny, bardzo treściwy

suis secrétaire chez un particulier. — Si je venais à être découvert, la personne se croirait compromise à Vos yeux. Ma discrétion timorée à Votre égard, mon Prince, m'est un garant, que Vous ne craindrez pas de me recevoir et sans délai — *notre temps est cher, Votre Altesse le sait*“.

„Permettez moi donc, mon Prince, de me présenter au plus tôt chez Votre Altesse, sous mon nom de guerre. Je crois pouvoir donner des éclaircissemens importants, des garanties. J'attends avec impatience le bonheur de me présenter chez Votre Altesse. Un mot de réponse de Votre part mon Prince, m'indiquant le lieu et l'heure, adressé à Monsieur F. Baum, poste restante à Vienne, ou par l'entremise du Prince Constantin, me parviendra sans faute. Je prierai ce dernier d'aller à la poste Dimanche, ou Lundi. Veuillez, mon Prince, avec bonté, agréer etc.“

i ogólny zresztą, był tylko przez ks. Adama czytany, jak tego Wasza Księżęca Mość życzyłeś sobie. Radbym prosić Was, Mości Księżę, o jedną łaskę: nie chciaj starać się odnaleźć miejsca mego pobytu tutaj. Jestem sekretarzem u pewnej osoby prywatnej; gdyby mnie wykryto, osoba ta uważałaby się za skompromitowaną wobec Ciebie. Dyskrecya moja względem Ciebie, Mości Księżę, jest rękojmią, że nie będziesz się lękał mnie przyjąć jak najspieszniej. Czas nam jest droгим, o tem, Mości Księżę, wiesz sam najlepiej“.

„Pozwól mi więc, Mości Księżę, stawić się przed Tobą jak najrychlej, pod moim pseudonymem. Będę w możności przedstawić Ci wyjaśnienia ważne, rękojmię. Oczekuję niecierpliwie szczęścia być dopuszczonym do Ciebie. Słówko odpowiedzi, wskazujące mi miejsce i godzinę, adresowane do p. F. Bauma, *poste restante* w Wiedniu, lub też za pośrednictwem Księcia Konstantego, dojdzie mnie niechybnie. Uproszę tego ostatniego, by się udał na pocztę w niedzielę, lub w poniedziałek. Racz przyjąć, Mości Księżę, łaskawie etc.“

XXIII.

Rozmowy Księcia Konstantego z Metternichem. - Upoważnienie cesarskie do odpisu Skrzyneckiemu. — Widziadło jakobinizmu. — Wieści z kraju. — Lichnowsky wzywa Zamoyskiego do Badenu. — Poznanie się Zamoyskiego z Gentzem. — Austria i Rosya. — Rady Gentza.

Dnia 13. Ks. Lichnowsky pojechał do Baden pod Wiedniem. — Przepisałem powyższy list i posłałem go do pałacu ks. Metternicha. Wypracowałem jeszcze moją rozprawę. — Wieczorem, o umówionej godzinie, ks. Konstanty przyszedł do mojej ławki na bastyonach, powiedział mi, że ks. Metternich w Wiedniu, że go właśnie widział po południu i oddał mu do rąk list ks. Adama do cesarza Franciszka. Ks. Metternich bardzo był znużony konferencyami, które miał z ministrem pruskim, francuskim i sardyńskim; w złym był humorze, przyjął ks. Konstantego stojący — powiedział mu, że go cesarz upoważnił do odpisania na listy Skrzyneckiego, Naczelnego Wodza, że z tego odpisu i ks. Adam się dowie, jak rzeczy stoją.

„Le Prince Metternich ¹⁾ a reparlé de jacobinisme (car il traite toujours notre insurrection de révolution jacobine).

— Je sais bien, continua-t-il, que Votre frère n'est pas un jacobin, ni le Général en chef non plus, mais ils seront obligés de céder aux jacobins — on les étouffera, et nous aussi. Je le sais bien, Vous voudriez que mon Empereur déclarât l'émancipation de la Pologne. — Jamais Il ne le fera, c'est impossible. Il n'a pas envie de perdre son trône. Vous voyez cette intervention de la France et de l'Angleterre... j'ai ris

¹⁾ „Ks. Metternich znowu zaczął rozmowę o jakobinizmie (zawsze bowiem mianuje powstanie nasze rewolucyą jacobiną)“.

— Wiem dobrze — rzekł — że brat pański nie jest jakobinem, ani też nie jest nim Wódz Naczelnny, lecz zmuszeni zostaną uleść jakobinom, zgniotą ich i nas również. Wiem dobrze, że radbyś, by mój cesarz ogłosił niepodległość Polski. Nie uczyni tego nigdy, to niemożliwe. Niema

au nez de ces Français, quand ils m'ont parlé de leur intervention... ils ont peur pour eux-mêmes... Leur Roi Philippe va descendre de son trône, un de ces jours. Toute Votre affaire est un roman. Jamais il ne faut en faire en politique“.

„Le Prince Constantin objecta: mais on s'extermine, c'est du positif, et ce sang rejaillira sur Vous.

— Pourquoi... pourquoi — demanda le Prince Metternich — d'ailleurs cela va finir d'un moment à l'autre, que voulez-Vous que l'on fasse? A propos, Votre neveu est ici, je suis bien aise, je l'avais prié de revenir, je le verrai avec plaisir — il m'a écrit ce matin, sous un nom quelconque, je ne sais pas où il loge, c'est égal; au nom du Ciel, qu'on n'apprenne pas, qu'il est ici“.

Le Prince Constantin répondit: „Il Vous a donné ces preuves“.

— Oui, oui, je Vous ferai savoir le moment, où je pourrai le recevoir; je retourne à Baden ce soir — lundi ou mardi je serai peut-être de retour — l'Empereur revient aussi“.

on ochoty utracić tron. Widzisz pan, jaką jest owa interwencya Francyi i Anglii... W nos roześmiałem się owym Francuzom, gdy mi o swej interwencji mówili... sami się o siebie obawiają. Król ich Ludwik Filip zleci z tronu wkrótce. Cała wasza sprawa jest romanssem; nie należy go stosować do polityki“.

„Ks. Konstany zarzucił: lecz wytępiąją się, jest to fakt, a krew owa spadnie na Was“.

— Czemu to? czemu? — zapytał ks. Metternich. — Zresztą skończy się to niebawem. Cóż chcecie, by tu zrobić można było? *A propos*, siostrzeniec pański jest tutaj, z czego jestem zadowolony; prosiłem go, by powrócił, z przyjemnością go powitam — pisał mi dziś rano, pod jakimś nazwiskiem. Nie wiem, gdzie mieszka? Zresztą wszystko jedno — na miłość Boską, niech się nie dowiedzą, że jest tutaj“.

Ks. Konstany odrzekł: „Dał już Wam, Mości Książę tego dowody“.

— Tak, tak, powiem panu, kiedy go będę mógł przyjąć. Powracam dziś wieczorem do Badenu. W poniedziałek lub we wtorek będę z powrotem. I cesarz powróci“.

Ks Konstanty dał mi całą garść polskich gazet i nadmienił, że ks. Adam mu pisał, że pod d. 5 sierpnia spotkano się z nieprzyjacielem. — Nie umiał mi powiedzieć gdzie, ani jaki wódz. Jakaś mi się dobra nadzieja w sercu budziła, bo i za pierwszym moim przyjazdem (30 marca) pod Dębem zaszła bitwa z dobrym skutkiem; teraz, pod Sochaczewem nad Bzurą, korzystne dla naszego wojska mogą się okazać pozycye.

Dnia 14. Gazety nasze przeczytałem — rozprawę przepisałem, aby na wszelki wypadek była gotową. Ks. Lichnowsky z Baden dwa do mnie pisał bilety — w drugim namawia mnie, abym do Baden do niego przyjechał nazajutrz. Obok mojej rozprawy, napisałem projekt protokołu do konferencyi „o naszej sprawie“, między ministrami austryackim, francuskim i angielskim, na wzór 18-tu artykułów, dla Belgii właśnie uchwalonych. W tych dniach, o ile słyhać było, przyjechał kuryer z Petersburga od hr. Ficquelmont, austryackiego posła tamże, a drugi z Paryża. Petersburski przyniósł wiadomość, że się Francya nakłania do interwencyi za nami; że generał Martemart do Petersburga wysłany *dresse ses batteries*; że Matuszewicz, poseł rosyjski w Londynie, pisał, iż lord Palmerston dał się słyseć „que désormais, ni la Pologne, ni la Lithuanie, ne pourront appartenir à la Russie“. P. Gentz komunikował nam w kopii notę bardzo krótką, w której p. Flahaut z Paryża bardzo delikatnie dworowi pruskiemu nadmienia, „que la France se décide à intervenir dans l'affaire de la Pologne“¹⁾.

Dnia 15. Pojechałem do Baden i u ks. Lichnowsky'ego poznałem p. Gentz. — Przepisuję tu notatkę o tem:

„Monsieur Gentz²⁾ a tout à fait pris les manières du Prince Metternich. — Il a pourtant l'air de nous vouloir du bien. Il m'a dit, que mon voyage à Vienne était parfaitement inutile; que le Prince Metternich était décidé dès le com-

¹⁾ „Że Francya *decyduje się* interweniować w sprawie Polski“.

²⁾ „P. Gentz w zupełności przejął się manierą księcia Metternicha — zdaje się wszakże nam sprzyjać. Powiedział mi, że podróż moja do Wiednia była zupełnie bezowocną, że ks. Metternich od samego początku walki naszej był zdecydowanym nie dla nas nie uczynić; że przeciwnie, gdyby

mencement de notre lutte, à ne rien faire pour nous; que tout au contraire, si la Russie avait seulement dit un mot, il aurait agi contre, qu'il voulait même, sans attendre, la prévenir, et aider la Russie à nous écraser“.

— Le Prince Metternich a-t-il pu Vous donner quelqu'es poir?

Je répétais les paroles du Prince au printemps.

— Cela m'étonne beaucoup, ce sont de ses finesses.— Le Prince Metternich sait grand gré à l'Empereur Nicolas d'avoir donné son appui moral à l'expédition d'Italie, au moment de Votre insurrection, en donnant ordre, sans explication aucune, à Monsieur Pozzo di Borgo à Paris, de demander ses passeport, si la France faisait mine de vouloir s'opposer à la marche des Autrichiens en Italie — Gentz citait ce fait comme liant à jamais l'Autriche envers la Russie, par reconnaissance. Au fond, disait Gentz, c'est le seul exemple que l'on puisse citer de dévouement du Cabinet russe en faveur du Cabinet autrichien — „et encore, l'ai-je dit au Prince Metternich dans le temps, cela ne compromettrait en rien le Cabinet russe et ne l'engageait à rien“. L'Autriche, je puis

Rosya pisnęła słówko, byłby działał przeciw nam, że nawet pragnął ją uprzędzić i pomódz Rosyi do zgniecenia nas“.

— Czyż mógł ksiązę Metternich dać wam jakąkolwiek nadzieję?

Powtórzyłem słowa księcia na wiosnę do mnie wy-rzeczone.

— To mnie mocno dziwi, to tylko jego faramuszki... Ksiązę Metternich wdzięcznym jest wielce cesarzowi Mikołajowi za pomoc moralną, jakiej udzielił wyprawie włoskiej w chwili wybuchu waszego powstania, dając rozkaz, bez jakiegobądź usprawiedliwienia się, panu Pozzo di Borgo w Paryżu, w razie gdyby Francya miała chętkę sprzeciwienia się pochodowi Austryaków na Włochy“.

„Zacytował Gentz ów fakt, jako dowód łączności Austrii z Rosyą przez wdzięczność. W gruncie rzeczy, nadmienil Gentz, jestto przykład jedyny życzliwości Gabinetu rosyjskiego dla Gabinetu austryackiego — „a przytem powiedziałem to księciu Metternichowi swego czasu, nie naraża to w niczem Gabinetu rosyjskiego i do niczego go nie obowiązuje“. Austrya, mogę za to ręczyć, nie dozwoli

le garantir, ne fera pas marcher, contre Vous, un soldat, au cas, que la France et l'Angleterre interviennent en Votre faveur, par mer; c'est là, qu'est Votre salut. L'Angleterre peut terrasser la Russie, en reproduisant en Votre faveur les notes russes, écrites en faveur des Grecs, et toutes les raisons pour la guerre d'alors contre la Turquie. Le Prince Metternich prétend savoir, que, si la Pologne était émancipée, les Hongrois feraient avec les Polonais une aillance offensive et défensive contre l'Autriche, pour émanciper la Hongrie; je crois, moi, que les Hongrois feront une révolution, si Vous êtes écrasés. Ne perdez pas Votre temps ici; s'il y avait une victoire marquante sous Varsovie, que Vous puissiez bien battre les Russes, il est probable, que le Prince Metternich ferait une note en Votre faveur, sous forme d'intercession... bien faible.

„Je répondis à cela, ce que je pensais — entr'autres: que peut changer une victoire à notre question? — est-ce qu'un succès passager peut trancher une question qui se traite depuis 1772?

Gentz me regarda étonné.

— Je croirais faire tort au Prince Metternich, dis-je, en supposant, qu'il soit assez faible pour n'être que le serviteur

wystąpić ani jednemu żołnierzowi przeciw wam, na wypadek interwencji Anglii i Francji na waszą korzyść morzem. Tutaj to wasze zbawienie. Anglia może zmiążdżyć Rosyę, ogłaszając na korzyść waszą noty rosyjskie, pisane na korzyść Greków i wszystkie pobudki ówczesne za wojną z Turkami“.

„Książę Metternich sądzi, że gdyby Polska się wyzwoliła, Węgrzy zawarliby przymierze zaczepne z Polakami przeciw Austrii, w celu wyzwolenia Węgier. Ja twierdzę, że Węgrzy powstaną, gdy wy zostaniecie zduszeni. Nie trać czasu tutaj. Gdyby szasło zwycięstwo walne pod Warszawą, gdybyście mogli pobić Rosyan, możliwe jest, że ks. Metternich napisałby notę na korzyść waszą w formie intercessyi... dosyć miękkiej“.

„Odpowiedziałem na to, com myślał — między innymi: cóż może zwycięstwo mieć za wpływ na sprawę naszą; czyż powodzenie przejściowe może rozwiązać kwestyę agitującą się od r. 1772?“

Gentz spojrział na mnie zdziwiony.

d'un succès, dans une affaire de principe — et que, dans le cas d'un insuccès, il veuille donner raison au plus fort, parcequ'il aura été le plus fort, et tort au faible, auquel, dans le fond de sa conscience, il ne saurait dénier justice. J'ajoutai, que je n'étais venu à Vienne, que pour revoir le Prince Metternich et l'entendre à 4 mois de distance — et que, s'il persiste dans son obstination, à vouloir *attendre* que nous soyons détruits, je partirai pour Paris.

— Très bien, me dit Gentz, faites la navette entre Paris et Londres — voilà Votre place“.

— „Mniemam — odrzekłem — że skrzywdziłbym księcia Metternicha, przypuszczając, że jest na tyle bezsilnym, by być sługą powodzenia w sprawie zasad i by w razie niepowodzenia przyznać słuszość silniejszemu, dlatego, że jest silniejszym, na niekorzyść słabszego, któremu w głębi sumienia nie mógłby odmówić sprawiedliwości. Dodałem, że przybył do Wiednia jedynie w celu widzenia się z księciem Metternichem po czteromiesięcznej niebytności i że, jeżeli trwa w uporze swoim, pragnąc nas widzieć pokonanymi, udam się do Paryża.

— „Wyśmienicie — odrzekł Gentz — żegluj sobie między Paryżem i Londynem. To dla pana miejsce właściwe“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sprawy krajowe.

XXI.

W kwestyi parcelacyi.

Naczelnem dziś zjawiskiem społeczno-gospodarczego życia wsi polskiej we wszystkich trzech zaborach — jest parcelacya.

Nietylko bowiem przybiera ona z każdym rokiem coraz większe rozmiary, lecz, co ważniejsze, dąży ona wprost do zupełnego przeobrażenia współczesnych naszych stosunków agrarnych.

Do niedawna jeszcze patrzano u nas powszechnie na fakty parcelacyi większej własności ziemskiej, jako na specyficznego rodzaju tylko tranzakcyje handlowe ziemią, zazwyczaj bardzo dla sprzedającego korzystne.

Jedni chwalili przytem parcelujących majątki swe właścicieli, ciesząc się, że zwiększa się w ten sposób w kraju liczba drobnych właścicieli ziemskich, inni z przykrością mówili o dewastacyi starodawnych siedzib szlacheckich, a najliczniejsi zdanie swe od tego uzależniali, wiele sprzedający zyskał na tem, iż zamiast w całości folwark „obywatelowi“, czy żydowi odstąpić, rozparcelował go wśród chłopów.

Oczywista, że póki fakty parcelacyi z tego właśnie prywatno-gospodarczego punktu widzenia, czy też nawet ze stanowiska indywidualnych sympatyj socyalnych i upodobań estetycznych oceniano — nie odczuwano też zgoła potrzeby gruntowniejszych nad zjawiskiem tych badań.

I w ten sposób doczekaliśmy się tego, że rozwinął się i spotężniał u nas prąd ekonomiczny pierwszorzędnej wagi, który niesie z sobą całkowite przeobrażenie społeczno-rolniczej budowy naszego narodu, a którego dotychczas zgola prawie nie znamy.

Dość powiedzieć, że nie wiemy nawet, wiele się u nas ziemi parceluje i wiele na ogół dotychczas jej już rozparcelowano.

Dla Królestwa posiadamy jeno cyfry dokonanych za pośrednictwem Banku włościańskiego rozsprzedaży większych majątków, oraz ogólnego przyrostu po dziś dzień drobnej własności ziemskiej od chwili uwłaszczenia włościan. Ale drobna własność zyskała tam bardzo wiele ziemi przy regulacyi serwitutów. Więc nie sposób całego jej przyrostu — na karb parcelacyi złożyć. Z drugiej zaś strony ilość rozparcelowanych gruntów jest niewątpliwie znacznie większą, niż wykazują sprawozdania Banku włościańskiego, bo w wielu razach parcelacya bez pośrednictwa tego Banku bywa dokonywaną.

Jeszcze mniej danych cyfrowych posiadamy dla Galicyi. Sprawozdania Banku parcelacyjnego we Lwowie, sprawozdanie Banku krajowego, oraz sumaryczna bardzo ankieta krakowskiego Towarzystwa rolniczego z r. 1902 — oto i wszystkie źródła, z których dotyczące parcelacyi cyfry czerpać możemy. Jak niedostateczny to materiał — nie trzeba chyba tłumaczyć!

Ale gdybyśmy nawet drogą rozmaitych kalkulacyj zdolali dojść do mniej więcej wiarogodnej liczby rozparcelowanych za ostatnie lata morgów ziemi, to jednak w gruncie rzeczy nicbyśmy stanowczego na zasadzie tej cyfry nie mogli jeszcze o kierunku i dążnościach rozwojowych parcelacyi powiedzieć.

Bo przecież znaczenie parcelacyi zależy nietylko od tego, ile ziemi wielka własność odstąpiła drobnej, lecz również od tego, jakiego to rodzaju majątki ziemskie przede wszystkim się parcelują, kto je rozkupowuje, oraz jakie na ich miejscu gospodarze jednostki powstają.

Dla odpowiedzi zaś na wszystkie te pytania — brak nam zupełnie jakichkolwiek bądź danych statystycznych. Ze

sprawozdań banków dowiedzieć się możemy jedynie o rozmiarach parcel, na które sprzedane folwarki były dzielone. Wiadomość ta wszakże na nic się nam przydać nie może, póki tajemnicą jest dla nas, wiele miały gruntu gospodarstwa włościańskie, do których parcele te zostały przyłączone.

W tych warunkach trzeba tymczasem zrezygnować zupełnie z jakiegokolwiek bądź ilościowej analizy zjawiska parcelacyi, odkładając ją *ad feliciora tempora*, gdy statystyczne biuro krajowe uzyska dostateczne na to środki, by przynajmniej najważniejszych naszego społecznego życia objawów stały przegląd dawać mogło.

Ale nie sposób przecież z tego względu, że ścisłych cyfr statystycznych nie mamy, czekać spokojnie z poznaniem i oceną parcelacyi, aż póki badań naszych nie będziemy w stanie z całą metodyczną ścisłością przeprowadzić.

Bo życie nie czeka. Proces parcelacyi idzie wciąż na-przód coraz szybszym krokiem. Wskazuje nam na to codzienna obserwacya. I jednocześnie obserwacya ta mówi nam, że nie rozchodzi się tu o jedną z wielu konsekwencyj współczesnego naszego społecznego życia, rozwijających się na jego peryferyi tylko, lecz że mamy do czynienia ze zjawiskiem sięgającym do najgłębszych socyalnej naszej budowy podstaw, by podstawy te całkowicie zmienić.

Bierne zachowanie się wobec niego — byłoby niepowetowanym błędem. Raz już w pierwszej połowie XIX wieku zaniedbaliśmy kwestyę włościańską i to nie tyle przez brak dobrej woli, co z powodu niedostatecznej jej znajomości. Socyologicznemi ogólnikami rozstrzygnąć się ona nie dała, a na dokładne jej poznanie zdobyliśmy się wtedy dopiero, gdy już było zapóźno. Dziś, gdy zjawia się ona powtórnie w całej swej pełni, choć w nowej postaci, powinniśmy się ustrzedz powtórzenia błędu, za który tak strasznie drogo naród nasz już zapłacił.

Istota kwestyi włościańskiej w pierwszej połowie ubiegłego stulecia leżała w tem, że włościanin nasz stopniowo w ciągu XVI, XVII i XVIII stulecia został sprowadzony do roli robotnika tylko, właściwą funkcją którego było uprawianie ziemie folwarczne; gospodarstwo zaś, na którym siedział, było wynagrodzeniem za tę jego na folwarcznych polach pracę. Go-

spodarstwo to nie miało więc samoistnej swej racji bytu, lecz istniało wyłącznie ze względu na potrzeby folwarku. Zarówno rozmiar jego, jak i przywiązane doń powinności pańszczyźniane obliczone były wyłącznie na to, by folwark dostateczną miał ilość rąk roboczych. Czy zaś w warunkach tych osada włościańska będzie mogła samodzielny byt gospodarczy posiadać — było obojętnem. I rzeczywiście były na ogół pańszczyzny zbyt wielkie w stosunku do rozmiarów osady, względnie rozmiar jej zbyt małym w stosunku do ciężających na niej powinności — by włościanin mógł jakiegolwiek korzyści gospodarza posiadać. Ale posiadał wszystkie kłopoty i ponosił całe ryzyko samodzielnego gospodarza.

Pozornem na razie załatwieniem kwestyi włościańskiej było uwłaszczenie włościan w Galicyi w r. 1848, w Królestwie w r. 1864 przez rządy państw zaborczych przeprowadzone.

Pozornem mówimy było to rozwiązanie, bo ograniczyło się do orzeczenia, że ziemia, na której włościanie siedzą, staje się ich wyłączną własnością i że dziedzic traci prawo do wszelkich dotychczas otrzymywanych z gruntów włościańskich danin i powinności.

Niezaprzeczenie pewna część gospodarstw chłopskich, zwolniona od ciężarów pańszczyźnianych, uzyskała odrazu przez to wystarczające dla normalnego bytu ekonomicznego warunki. Lecz olbrzymia większość osad włościańskich cierpiała nie tyle nawet w skutek nadmiernych pańszczyzn, co z powodu niedostatecznego ziemią nadzielenia. To też wszyscy nasi poważniejsi pisarze, w kwestyi włościańskiej głos zabierający, żądali byli, ażeby oprzeć reformę włościańską przede wszystkim na odpowiedniej regulacji stosunków własnościowych rolników, by więc nasamprzód oznaczyć pewne minimum osady włościańskiej, skomasować i odseperować grunta chłopskie od dworskich, a potem dopiero przystąpić do oznaczenia należnych dziedzicom powinności i uwłaszczenia włościan. Tak radził Surowiecki w r. 1806, w ten sam sposób wypowiedziała się większość ekspertów urządzonej w r. 1814 przez tymczasowy rząd Księstwa ankiety włościańskiej, a później Tomasz Potocki w r. 1858.

Austria i Rosya jednak przeprowadziły uwłaszczenie wyłącznie z politycznych, a nie ze społeczno-gospodarczych

względów. Rządowi państw tych chodziło wówczas tylko o efekt natychmiastowy, jaki na włościan wywra, o pozyskanie ich dla siebie, a nie o stałą ich bytu poprawę.

W pierwszych po uwłaszczeniu dziesięcioleciach mogło się mimo to utrzyć powszechnie przeświadczenie, że kwestya włościańska, choć może nie zupełnie tak, jakby tego sobie naród nasz życzył, choć wbrew politycznym jego interesom, została jednak ostatecznie już załatwioną, że więc przeszła ona do przeszłości i społeczno-gospodarcze życie nasze, a specjalnie społeczne życie wsi polskiej uzyskało nareszcie trwałe podstawy, na fundamencie których rozwijać się ono nadal bez żadnych większych wstrząśnień będzie.

I istotnie, aż do końca ośmdziesiątych lat ubiegłego wieku wszystko zdawało się sąd ten potwierdzać. Zamożniejsi w ziemię włościanie stopniowo, choć powoli, gospodarstwa swe ulepsza. Małorolni zaś dorabiali na życie, którego im własne ich zagrody zapewnić nie mogły, najemną pracą na folwarkach i u zamożniejszych włościan.

Aż oto przed piętnastu mniej więcej laty powstał naraz wśród włościan naszych we wszystkich trzech dzielnicach silny prąd emigracyjny. Poczeli oni tłumnie opuszczać swe rodzinne wsie i szukać już to ziemi w Brazylii, już to większych zarobków w Ameryce, Saksonii, Westfalii i nadreńskich prowincjach Niemiec, oraz w przemysłowych miastach własnego kraju. A jednocześnie z tem zjawił się tenże chłop na miejscowy rynek ziemi, jako kupiec nad wyraz hojny, gotowy za ziemię płacić zawsze więcej, niż jest kto bądź inny dać w stanie.

Mimo, że oba te zjawiska emigracyi i parcelacyi wystąpiły niemal jednocześnie z równie żywiołową siłą, traktowano je powszechnie w publicystyce naszej aż do ostatnich czasów zupełnie oddzielnie, nie zauważając głębszego w nich związku. I dziś jeszcze najczęściej tak się je właśnie traktuje.

Emigracyę zarobkową objaśniają jedni, więcej pesymistycznie na nasze społeczne stosunki patrzący lub demokratyczniej usposobieni, nędzą i brakiem zarobków w kraju, inni zaś bliżej sfer większych właścicieli ziemskich stojący, tłumaczą ją, wskazując na coraz dotkliwiej dający się odczu-

wać folwarkom brak robotnika rolnego w kraju, żądzą nowych wrażeń, po które jakoby włościanie wędrują zagranicę, i bezrozumnym jakimś pędem naśladowczym. A inni jeszcze, powołując się na fakt, że na ogół z krajów mniej bogatych robotnicy w mniejszym lub większym stopniu emigrują do bogatszych krajów o wyższej stopie zarobkowej, że w ten sposób wysyłają wschodnie prowincye Niemiec robotników do zachodnich, te ostatnie zaś do Szwajcaryi i Francyi, dokąd również przybywają liczne zastępy robotników rolnych z Belgii i t. d. — uspakajają opinię publiczną, wyjaśniając, że mamy tu do czynienia z powszechnem prawem ekonomicznem, ze zjawiskiem nawskróś normalnem w dzisiejszych warunkach kapitalistycznej gospodarki społecznej, a które ma ten dobry dla społeczeństwa naszego skutek, że zwiększa zasób gotówki w kraju, podnosząc dobrobyt najliczniejszej warstwy włościańskiej.

Niezapreczenie emigracya zarobkowa nie jest czemś po za granicami Polski nieznanem. Istnieje ona wszędzie. Ale z wyjątkiem Włoch nigdzie chyba nie przybiera ona tak olbrzymich, jak u nas rozmiarów. Jeśli istnienie emigracyi tej jest zjawiskiem normalnem — to zgoła anormalnem jest to, że obejmuje tak wielkie massy ludności, że rok rocznie paręset tysięcy włościan polskich opuszcza ojczyznę, by w obcych krajach szukać zarobku.

Cóż pcha te rzesze chłopskie do wędrowki za zarobkiem? Czy istotnie brak chleba i pracy w domu?

Niezapreczenie pewna część emigrujących robotników sezonowych nie znalazłaby stałego zatrudnienia na miejscu. Ale nie da się tego powiedzieć o ogóle wychodźców. Toć niemniejszą jest emigracya zarobkowa z Królestwa, wcale pokaźny przemysł posiadającego, jak z Galicyi, zgoła prawie pozbawionej przemysłu. A co ważniejsza emigracya ta szerzy się zarówno tam, gdzie włościanin jest stosunkowo za możniejszy w ziemię, jako to na Żmudzi i na Kujawach, jak i tam, gdzie przeważają gospodarstwa karłowate, niezdolne wyżywić rodziny włościańskiej.

Więc wychodźstwo zarobkowe rozwija się u nas zgoła niemal niezależnie od tego, jaki stosunek między zaofiarowa-

niem i zapotrzebowaniem rąk roboczych na miejscowym rynku pracy istnieje.

Zresztą fakt to stwierdzony, że brak folwarkom na całym obszarze Polski robotnika rolnego. Nie absolutny więc brak zarobków wypędza z kraju co roku setki tysięcy ludu wiejskiego, lecz chęć większych zarobków, niż te, które może mieć on na miejscu.

Skąd jednak ta tak gwałtowna w najszerszych kołach włościańskich żądza większych zarobków?

Że wszędzie w każdym narodzie i w każdej jego warstwie jest pewna ilość jednostek, które nie zaspakajając się tem, co przeciętnie ludzie najbliższego ich otoczenia mają, rzucają utarte tradycyjne drogi życiowe i idą w świat daleki szukać szczęścia — to rzecz znana dobrze i zrozumiała. Ale zgoła przecież jest niezwykle w historii zjawiskiem, by ogół jakiejś warstwy, i to najliczniejszej w narodzie, dla większych, niż może mieć w domu zarobków, dążył tłumnie w nieznane kraje, języka których nie zna, nazwę których często nawet po raz pierwszy słyszy, gdzie będzie na wszelakie bezprawie i potyranie wystawiony, bez żadnej możności obrony od krzywd, jakie go spotkać mogą, bez wystarczającej nawet zazwyczaj gwarancyi, że ten zarobek, po który wędruje, z pewnością tam dostanie.

Do rzeczy codziennych widzianych człowiek łatwo się przyzwyczaja, tak, iż go one nie zdumiewają, choćby były najdziwniejsze. W ten sposób przywykliśmy do widoku idących za zarobkiem w nieznaną świat tysięcy chłopów i nie pomyslimy nawet zazwyczaj skąd się w tak wielkich massach bierze tyle niezwykłej energii, tyle determinacyi, na jaką mało kto z warstw intelligentnych by się zdobył, choć mu te obce kraje lepiej są przecież choćby tylko z książek znane.

Dla kogo chłop nie jest socyologicznem jeno pojęciem, lecz żywym człowiekiem z normalnemi pożądaniami i obawami ludzkimi, ten żadną miarą w to nie uwierzy, by zwykła chęć lepszego bytu mogła pchnąć tak wielkie tłumy ze wszystkich okolic Polski do emigracyi zarobkowej. I tem trudniej w to uwierzyć, że przecież na ogół nie widzimy, by się skala potrzeb życiowych ludu naszego podnosiła, by się on lepiej odziewał, odżywił, dogodniej mieszkał niż przed

laty. Raczej możnaby na niejednym punkcie większą oszczędność n. p. w ubraniu skonstatować.

Więc musi pchać lud nasz wiejski do emigracyi jakieś niezwykle silne dążenie, które całkowicie duszę jego opanowało, dążenie do jakiegoś pierwszorzędnej wagi życiowej celu, o wiele większego niż lepszy przydziewek i sutsza strawa codzienna.

Celem tym jest właśnie — nabycie ziemi, dokupienie gruntu, by rozmiary swego gospodarstwa powiększyć.

I dlatego to emigruje za zarobkiem przedewszystkiem ludność włościańska, a nie proletaryat bezrolny, i dlatego również tak stosunkowo nieznaczną jest nasza emigracya osadnicza, a tak wielką zarobkowa nawet do Ameryki. Bo nie o zdobycie poprostu większej ilości gruntu włościaninowi naszemu chodzi, lecz o powiększenie swej własnej osady, o dokupienie kilku czy kilkunastu morgów do odziedziczonego po ojcach gospodarstwa. To też znikomą małą jest u nas parcellacya osadnicza w porównaniu z sąsiedzką.

Dla objaśnienia tej żądzy ziemi, którą od kilkunastu lat tak potężnie chłop nasz ujawnił — nie wystarcza wszakże stwierdzić fakt tylko, że znaczna u nas jest ilość małorolnych, że ogromna większość osad włościańskich nie jest w stanie wyżywić rodziny gospodarzy.

Procent małorolnych włościan większy jest znacznie w Galicyi, gdzie wszyscy bez wyjątku chłopci pańszczyźniani zostali uwłaszczeni, niż w Królestwie, gdzie od uwłaszczenia byli wykluczeni ogródnicy i zagrodnicy mniej niż 3 morgi gruntu posiadający. Gdy w Królestwie stanowiły w r. 1900 gospodarstwa mające poniżej 3 morgów gruntu 15%, ogólnej ilości gospodarstw włościańskich, od 3 do 15 morgów — 44.5%, powyżej 15 morgów — 40.5%, to w zachodniej Galicyi, wedle dochodzeń krakowskiego Towarzystwa rolniczego ¹⁾, było w r. 1903 — 40% mniej niż 3 morgowyh gospodarstw, 53% gospodarstw wielkości od 3 do 15 morgów i 7% większych niż 15 morgów.

¹⁾ Ankieta dotychczas nie opublikowana, dotycząca włościańskich stosunków własnościowych.

A przecież jednak, o ile z tych skąpych danych statystycznych, jakie posiadamy, sądzić możemy, ruch parcelacyjny nie jest bynajmniej słabszym w Królestwie, raczej jest on tam silniejszy jeszcze, niż w Galicyi. Wedle ankiety krakowskiego Towarzystwa rolniczego, opublikowanej w sprawozdaniu za rok 1902, zostało od r. 1889 po r. 1902 rozparcelowaniem 9% bezleśnego obszaru własności tabularnej. Wedle zaś XVII rocznika *Prac warszawskiego komitetu statystycznego*, gospodarstwa włościańskie „na gruntach nabytych“, t. j. zakupionych przez chłopów od wielkiej własności, obejmowały w r. 1899 — 491 tysięcy dziesięcin, czyli przeszło 900 tysięcy morgów. Gdy zaś bezleśna przestrzeń wielkiej własności ziemskiej wynosiła w r. 1894 — 2,983.000 dziesięcin, zatem rozparcelowana ilość gruntów wynosiła przeszło 13% tejże przestrzeni. Oczywista cyfry te ani nie są zupełnie ściśle, ani nawet do ścisłego porównania się nie nadają. Prócz bowiem tej ziemi, którą folwarki odstąpiły w Królestwie nowym „na gruntach nabytych“ tworzącym się osadom włościańskim, odsprzedały one jeszcze nie mało gruntu „osadom ukazowym“, które dokupując ziemię od folwarków, rozmiary swe zwiększały. Również ankieta krakowskiego Towarzystwa rolniczego nie zdołała wykazać tych wszystkich drobnych sprzedaży ziemi po kilka morgów sąsiednim włościanom, które jednak, choć za każdym razem nieznaczne na pozór, w ciągu lat nie jeden już folwark więcej niż do połowy zmniejszyły. A co ważniejsza, gdy cyfra rozparcelowanych w Galicyi zachodniej gruntów odnosi się do okresu czasu między 1889 a 1902 r., przytoczona dla Królestwa cyfra odnosi się do czasu między 1870 a 1899 r.

W każdym razie jednak z porównania liczb tych ogólnikowy ten wniosek jasno wypływa, że ruch parcelacyjny w Królestwie bynajmniej nie jest słabszym, niż w Galicyi, mimo, że procent karłowatych gospodarstw jest znacznie mniejszy w Królestwie.

Więc przyczyna parcelacyi nie może wyłącznie w tem leżeć, że pewien znaczny procent gospodarstw włościańskich ma zbyt mało dla samodzielnej swej egzystencyi ziemi. Zresztą cały szereg faktów wyraźnie temu przeczy, by włościanie nasi na ogół dążyli świadomie do zdobycia warunków

samoistnego gospodarczego bytu, by świadomie starali się o takie gospodarstw swych powiększenie, ażeby bez dorabiania pracą najemniczą wyżyć z nich mogli, by jednym słowem ciążyła im rola podproletaryuszów i nad wydobyciem się z niej pracowali.

Gdyby tak było — nie dzieliliby oni powszechnie między dzieci swych gruntów i nie ceniliby sobie tak bardzo każdego, choćby najmniejszego kawałka ziemi. Wielką by wtedy dla nich wartość miała kilkunastomorgowa zagroda, żadnej zaś prawie morga lub pół morgi ziemi. Tymczasem zarówno przy działach rodzinnych, jak i przy parcelacy, wykazują włościanie nasi równie silne pożądanie drobnych zupełnie, jak i większych kawałków ziemi. Raczej nawet płacą oni wyższe ceny, kupując mniejsze parcele, niżli wtedy, gdy nabywają grunta większych nieco rozmiarów.

Ale może, choć nie ma u włościan naszych świadomego dążenia do samodzielności gospodarczej, mimo to jednak w ciasno im na ich szczyplym zagonie i dążą oni żywiolowo do rozszerzenia granic swej posiadłości? Czy więc ruch parcelacyjny nie jest w gruncie rzeczy odruchowym protestem mas włościańskich przeciwko wadliwemu rozkładowi własności ziemskiej u nas, który zbyt mało wyznaczył ziemi drobnym osadom chłopskim, a zbyt wiele folwarkom?

Istotnie w porównaniu z większością zachodnio-europejskich krajów, wielka własność ziemska zajmuje u nas nieproporcjonalnie wiele miejsca. Majątki powyżej stu hektarów liczące, zajmują w Bawarii 2.3% ogólnej ilości ziemi w kraju, w Alzacyi i Lotaryngii 7.3%, w Saksonii 14.1%, na ogół zaś w całych Niemczech 24.4%. Tymczasem wielka własność w Poznańskim zajmuje 55.3% ogólnej przestrzeni kraju, w Królestwie 46.5%, w Galicyi 39%.

Ale na Pomorzu należy do niej 57.4% ziemi, w Meklemburg Schwerin 59.9%, w Prusach wschodnich 38.6%, w Brandenburgii 36.3%, w Czechach 36.7%. Widzimy więc cały szereg krajów, w których wielka własność ziemska zajmuje więcej nawet stosunkowo niż w Polsce obszaru, a jeśli mniej, to mało co. W krajach tych mimo to jednak nie ma parcelacyi.

Nie koniecznie więc tam, gdzie większa własność powyżej trzeciej części kraju zajmuje, musi koniecznie już rozwinąć się parcelacya. A zresztą gdy głębiej się nieco zastanowimy nad tem zdaniem, jakoby ruch parcelacyjny był koniecznym protestem drobnej własności ziemskiej, której z ciasno, przeciwko zbyt niemu rozwieleniu się wielkiej własności ziemskiej — łatwo dostrzeżemy, że polega on po prostu na podstawieniu pod pojęcie przyczyny parcelacyi rezultatu oceny jej skutków.

Wszystko jedno bowiem, czy na ogół drobna własność zajmuje 50^o/_o czy 80^o/_o powierzchni kraju, ciasno jest na swym zagonie tym, którzy mają zbyt mało roli, by mogli z niej wyżyć, a dość przestrzennie tym, którzy mają wystarczająco gruntu.

Otóż na ogół w Prusach było 61.4^o/_o gospodarstw poniżej 2 hektarów gruntu mających, a w Westfalii aż 69.9^o/_o, w prowincyi nadreńskiej 68.1^o/_o, w prowincyi Saskiej 66.5^o/_o, na Pomorzu 65.3^o/_o, w Brandenburgii 63^o/_o, w Hannoverze 59.4^o/_o, w Poznańskim zaś tylko 56.8^o/_o. I nie tylko w państwie pruskiem znajdujemy znacznie większą niż w Polsce ilość małorolnych. W Saksonii stanowią oni 60.2^o/_o właścicieli ziemskich, w Brunszwiku 63.8^o/_o, w Alzacji i Lotaryngii 58^o/_o, w Badenie 54.4^o/_o. Najmniej z całych Niemiec mają ich Bawarya, mianowicie 38.5^o/_o. Jest to w każdym razie dwa razy przeszło więcej niż w Królestwie, a tyleż prawie co w Galicyi.

Wszędzie więc, w całej Europie, jest wiele bardzo, więcej nawet niż u nas ludzi niedostatecznie w ziemię uposażonych, którzyby niewątpliwie chętnie bardzo rozmiar swych posiadłości zwiększyli na tyle, by się stać samodzielnyimi gospodarzami... gdyby tylko oczywista mogli.

Tymczasem parcelacya w tych co u nas rozmiarach jest specyficzną polskich stosunków własnością.

Widocznie więc tem się od innych krajów różnimy, że gdzieindziej drobni właściciele ziemscy nie mogą, jakby sobie tego może i życzyli, odkupywać na większą skalę od większych właścicieli ich grunta, a u nas mogą. A gdy mogą, to i wszystkich sił po temu dokładają, by życzeniu swemu zadość uczynić.

Skąd się to bierze, że włościanin nasz może z łatwością rozkupywać większe majątki ziemskie, a włościanin zachodnio-europejski nie może?

Czyż włościanin polski zasobniejszy jest w gotówkę? Nie!

Ale przecież na to, by parcelacya do skutku przyjść mogła, nie dość ochoty u włościan do kupowania ziemi, trzeba jeszcze, żeby właściciele większych majątków gotowi byli zawsze włościanom ziemię swą sprzedać, gdy tylko ci się z propozycją odnośną zgłoszą.

Na całym świecie ta i owa większa posiadłość ziemska, wystawiona na sprzedaż, zostaje rozkupioną przez drobnych właścicieli ziemskich.

Lecz nie o to u nas chodzi, że stosunkowo często na rynku ziemi zwyciężają włościanie, jako lepiej za nią płacący nabywcy. Myśmy doszli dziś już do tego, iż z reguły każdy średni majątek ziemski jest w zasadzie przeznaczony na parcelacyę, że włościanie nasi nie tylko są w stanie ofiarować zawsze wyższą za ziemię cenę, niż kto bądź inny, tak, iż parcelacya jest niewątpliwie najkorzystniejszą dla każdego większego właściciela formą sprzedaży jego majątku, lecz, że — co ważniejsza — *każdy musi zadać sobie pytanie, ażali nie korzystniejszym byłoby dlań rozparcelować swój majątek, niż na nim w dalszym ciągu gospodarzyć.*

A zadaje on sobie to pytanie, ponieważ włościanie ofiarowują u nas powszechnie taką cenę za ziemię, jakiej żaden większy majątek ziemski oprocentować nie jest w stanie.

Tu leży bezpośrednie źródło parcelacyi i jednocześnie naczelnym punktem różnicy naszych stosunków agrarnych od zachodnio-europejskich.

Wszędzie indziej istnieje jedna przeciętna wartość ziemi i jedna jej cena, którą szacuje mniej więcej jednakowo drobny i wielki właściciel ziemski. U nas natomiast istnieją dwie zgoła różne oceny wartości gruntu, włościańska i większego przedsiębiorcy ziemskiego. I pierwsza jest nieskończenie wyższą od drugiej.

Większy przedsiębiorca rolny szacuje u nas ziemię tak, jak się dziś ona w całej Europie szacuje, a mianowicie jako kapitał, przynoszący pewien określony procent w dochodzie. Jeżeli majątek daje 5 tysięcy reńskich *netto* dochodu, to przy

przeciętnej stopie procentowej 10⁰/₀ będzie on wart 50 tysięcy, przy stopie procentowej 5⁰/₀ uzyska on cenę 100 tysięcy, przy stopie 3⁰/₀ oszacujemy go na 166 tysięcy i t. d. Przy tejże samej wszakże stopie procentowej wartość jego w dwójnasób się powiększy, jeśli czy to w skutek korzystnej zmiany konjunktur rynkowych, czy też w skutek podniesienia się przeciętnego wykształcenia technicznego rolników, czy wreszcie dzięki upowszechnieniu się intensywniejszych kultur w kraju, normalny dochód danego majątku wzrośnie z 5 na 10 tysięcy.

Wprawdzie na ogół stopa procentowa, według której dokonywane jest ocena majątków ziemskich, jest niższą, niż istniejąca powszechnie w danym kraju stopa zysków w przemyśle i handlu.

Składa się na to cały szereg przyczyn, których tu bliżej wyliczać nie będziemy. Wskażemy tylko na fakt, że większość transakcyj handlowych ziemią dokonywane jest z okazji działów rodzinnych i one to przede wszystkim na określenie przeciętnej w kraju ceny majątków wpływają. Przy transakcjach tych zaś pozostający na majątku ma zawsze na widoku spłacenie po czasie z dochodów majątku sum współspadkobierców, przez co by się stał wyłącznym właścicielem całego do działu idącego majątku, gdy reszta zadowolnić się będzie musiała równemi pewnej tylko jego części spłatami. Jest on więc niejako uprzywilejowany i z tego względu godzi się łatwo na możliwie najwyższe oszacowanie ziemi. I wysoki ten szacunek wydaje się tem bardziej sprawiedliwym, że cena ziemi idzie przecież wciąż w górę, gdy na odwrót stopa procentowa spada.

Więc cena ziemi jest powszechnie w Europie wyższą od skapitalizowanego dochodu, jaki dają majątki ziemskie. Wszakże jest pewna jej maksymalna granica, powyżej której żaden przedsiębiorca rolny, liczący na dochód ze swego kapitału, za ziemię płacić nie będzie.

A mianowicie nie zapłaci on za nią nigdy sumy, która, złożona w banku, przyniosłaby mu większy dochód, niż wynosi spodziewany z odnośnego gospodarstwa dochód.

Tak rozumuje, szacując wartość ziemi, rolnik zachodnio-europejski. I w tenże sam sposób rozumuje u nas również każdy większy przedsiębiorca rolny.

Całkiem inaczej wszakże sądzi nasz włościanin.

Ziemia nie jest dlań kapitałem. Nie liczy on procentów, jakie przynosi mu gospodarstwo jego od poczynionych na nie wydatków.

Zresztą olbrzymia większość włościan naszych nie prowadzi żadnych zgoła rachunków. A jeśli który i rachuje ściśle, to bynajmniej nie kapitalistycznie. Rachuje on po to, by wiedzieć: 1) czy nakład obiegowego kapitału mu się wraca; 2) czy zwiększenie wydatków na sztuczne nawozy, dokupienie paszy, sprawienie lepszych narzędzi podniesie o tyle wydajność pracy jego, by nietylko ten dodatkowy nakład kosztów się wrócił, lecz i jakiś nadatek pozostał; 3) jakich roślin uprawa i jakich zwierząt hodowla największy mu daje dochód. Czy jednak kapitał zakładowy, użyty na kupienie ziemi, wystawienie budynków, a nawet zakupno inwentarza w jakikolwiek bądź sposób mu się oprocentuje — to go zgoła nie obchodzi. Traktuje on bowiem gospodarstwo swe wyłącznie jako warsztat pracy.

Cena więc, jaką włościanin daje za ziemię, zależy od dwóch przedewszystkiem warunków: 1) od ilości gotówki, którą może zdobyć w celu zakupienia gruntu; 2) od siły jego pożądania tego gruntu.

Otóż pożądanie to wzrasta szczególnie w następujących warunkach:

a) Niska skala zarobków ludności wiejskiej w kraju, względnie niska jej stopa życiowa.

Im bowiem mniejsze ma przeciętny wieśniak nasz wymagania życiowe, tem mniejszy warsztat pracy rolniczej wystarczy dla zapewnienia mu utrzymania, względnie polepszenia jego pozycji socyalnej, a zatem tem większe znaczenie gospodarcze przedstawia dlań każda pojedyncza morga i tem więcej lat swej pracy zarobkowej gotów on za nią ofiarować. Lecz ta przeciętna skala życiowa wzrasta wraz ze wzrostem miejscowych płac roboczych. Choć więc każde podwyższenie się stopy zarobków w kraju zwiększa zasób gotówki, jaką włościanie mogą rozporządzać, to jednak, podnosząc jednocześnie wymagania ich życiowe, zmniejsza z drugiej strony odpowiednio ich szacunek wartości ziemi. To też z miejscowych zarobków wyjątkowo tylko może lud nasz

wiejski odoszczędzić na parcelacyę. Potrzebne dla kupowania ziemi pieniądze zdobywa on na wychodźstwie lub w miastach.

A zatem tem wyższą jest cena ziemi, jaką włościanin płacić jest gotów, im ceteris paribus większa istnieje różnica między stopą miejscowych jego zarobków a dostępnych dlań zarobków zamiejscowych.

b) Mały rozmiar gospodarstw włościańskich.

Im bowiem mniej ma w danej chwili ziemi włościanin, tem wężej ceni on sobie dokupienie każdej nowej morgi gruntu. Zazwyczaj starają się włościanie dokupić drugie tyle, wiele dotychczas posiadali, jednym słowem podwoić swój majątek. Otóż ten, co ma sześć morgów, widzieć będzie podwojenie swego majątku w dokupieniu drugich sześciu morgów, ten zaś co ma trzy w dokupieniu trzech, i za te trzy morgi ofiaruje tyleż co pierwszy za sześć.

Włościanie ofiarowują zatem tem wyższe ceny za ziemię, im ceteris paribus więcej jest wśród nich małorolnych i przeciętny rozmiar ich osad jest mniejszym ¹⁾.

A to tem bardziej, że im mniejsze są na ogół osady włościańskie, tem więcej jest wśród włościan skłonności do dzielenia ich między dzieci. Włościanin, który, siedząc na sześciu morgach, musiał pracą najemniczą dorabiać na życie, nie widzi powodu, czemuby nie miał osady swej podzielić na trzy

¹⁾ Obserwacyę tę potwierdza następujące zestawienie cyfr, zaczerpniętych ze sprawozdania warszawskiego Banku włościańskiego za rok 1903.

Gubernia	Procent gospodarstw mniej, niż 3-morgowych.	Cena ziemi kupowanej za pośrednictwem Banku wzrosła od 1883 do 1902 r. w %.	a mianowicie na morga dłużej o rubli.
Płocka	22.3 ⁰ / ₀	57 ⁰ / ₀	26
Kaliska	22.1 ⁰ / ₀	31 ⁰ / ₀	21
Kielecka	19.1 ⁰ / ₀	74 ⁰ / ₀	56
Łomżyńska	17.0 ⁰ / ₀	78 ⁰ / ₀	38
Suwalska	16.0 ⁰ / ₀	12 ⁰ / ₀	40
Radomska	15.7 ⁰ / ₀	93 ⁰ / ₀	45
Warszawska	14.9 ⁰ / ₀	28 ⁰ / ₀	11
Piotrkowska	13.2 ⁰ / ₀	33 ⁰ / ₀	27
Siedlecka	9.2 ⁰ / ₀	50 ⁰ / ₀	28
Lubelska	8. ⁰ / ₀	55 ⁰ / ₀	42

n. p. dwumorgowe gospodarstwa. Zawszeć będzie miało w ten sposób każde z dzieci dach nad głową. Natomiast tam, gdzie przeważają osady pół włótkowe i większe, jak na Kujawach, w Księstwie Łowickiem, w Siedleckiem, na Żmudzi — włościanin, który istotnie był samodzielnym u siebie gospodarzem, niechętnie podzieli swą osadę, przez co by wszyscy jego spadkobiercy do niższej sfery społecznej spadli. Niech choć jeden się na stanowisku ojca utrzyma!

To też w okolicach tych powszechnie panuje zwyczaj spłacania rodzeństwa przez jednego ze spadkobierców, który obejmuje po rodzicach ziemię. I gdy tak każe opinia powszechna we wsi, stosują się do niej również i małorolnicy, gdy naodwrot w Galicyi, gdzie wobec olbrzymiej przewagi małorolnych, opinia włościańska za sprawiedliwy dział uznaje tylko dział w ziemi, grunta swe dzieli i najbogatsi gospodarze. Każdy jednak ze spadkobierców, który otrzymał w sukcesyi parokrotnie mniejszą osadę, niż mieli jego rodzice, dąży oczywiście następnie ze wszystkich sił do powiększenia swego majątku przez dokupienie ziemi, by zająć w wiejskiej hierarchii społecznej także miejsce, jakie mieli rodzice.

c) Brak dostatecznych warunków samoistnego gospodarczego bytu gospodarstw włościańskich.

Brak łąk i pastwisk, zhytnie rozrzucenie pól włościańskich, niski stan technicznego wykształcenia włościan, zmuszając gospodarzy, zamożniejszych nawet w grunt, do dorabiania pracą najemniczą na swe utrzymanie, względnie do odrabiania folwarkom za korzystanie z ich pastwisk, wyrabia w nich mimo woli psychologię małorolnego chłopca, który łąkanie pożądliwie każdego kawałka ziemi, choćby najdrobniejszego.

d) Korzystniejsze warunki handlowe dla zbytu produktów rolniczych. Tem mniejsza bowiem ilość gruntu może wtedy zapewnić włościaninowi utrzymanie, zdaniem jego dostatnie.

Otóż gdy zważymy, że handlowe warunki coraz korzystniej się u nas dla rolnictwa kształtują, że jednak postęp technicznego wykształcenia włościan naszych jest nadzwyczaj powolny, dalej, że gospodarstwa włościańskie są prze-

ważnie pozbawione zupełnie łąk, a pastwiska gminne są strasznie zaniedbane, że przeciętnie wypada u nas 19 parceli na jedną osadę, a nie rzadkie są gospodarstwa sześciomorgowe z 40 kawalków złożone, że przeciętny rozmiar gospodarstwa chłopskiego w Galicyi wynosi 6 do 7 morgów, t. j. mniej niż jest niezbędnem dla wyżywienia rodziny włościańskiej, wreszcie, że różnica między miejscowymi zarobkami ludności wiejskiej a dostępnymi jej zamiejscowymi zarobkami wynosi od 75% (zarobki w Prusach) do 600% (zarobki amerykańskie) — musimy dojść do przeświadczenia, że chłopski u nas szacunek ziemi może się podnosić do tak wysokiej granicy, że jej zgoła dziś nawet zakreślić niepodobna.

Jeśli całokształt naszych stosunków rolniczych pozostanie bez zmiany, włościanie będą w stanie nietylko przelicytować każdego innego kupca na ziemię, lecz i skłoni ogół średnich właścicieli folwarków swemi coraz wyższemi ofertami do rozparcelowania całego folwarków tych obszaru. Bo nie zatrzymają się oni w swem dążeniu do płacenia coraz wyższych cen za ziemię — aż chyba zbraknie już zupełnie gruntów do parcelowania.

Skąd się to jednak bierze, że u nas włościanin zgoła odmiennie niż wielki przedsiębiorca rolny szacuje wartość ziemi, a na zachodzie mniej więcej jedna przeciętna cena ziemi istnieje? Toć i tam nie brakuje drobnych właścicieli ziemskich, którzy na oprocentowanie swych parceli rachować nie mogą? A jednak, jak to choćby dowodnie ankietą szwajcarskiego sekretaryatu włościańskiego, rentowności gospodarstw różnej wielkości dotycząca, wykazuje — nawet najdrobniejszy właściciel ziemski w Szwajcaryi potrafi się nad tem zastanawiać, czy nie byłoby dlań korzystniej, sprzedawszy swą posiadłość, uzyskane pieniądze złożyć w banku i żyć z procentu, oraz pracy najemniczej.

Więc może cała różnica między polskimi a zachodnioeuropejskimi stosunkami agrarnymi na tem tylko polega, że włościanin nasz gorzej się w nowoczesnych kapitalistycznych warunkach gospodarczego życia orientuje, że nie umie rachować, a specjalnie nie umie obliczać procentu i nie posiada jeszcze wyraźnego pojęcia kapitału?

W takim razie owa podwójna u nas cena ziemi: kapitalistyczna i włościańska, oraz w konsekwencji tej podwójnej oceny rozwijająca się parcelacya, byłyby przejściowemi tylko zjawiskami, które wraz z dalszem uprzemysłowieniem kraju i ogólnym jego kultury ekonomicznej postępem ustać będą musiały.

Temu wszakże przeczy ta okoliczność, że bez żadnej zgoła różnicy, na terenie całej Polski, chłop nasz w jednokowy zupełnie, że tak powiemy chłopski sposób, szacuje ziemię, czy to będzie przyuczony do dokładnej rachunkowości i nie mniej od północno-niemieckiego bauera gospodarzo wyrobiony włościanin wielkopolski, czy też mieszkający w przemysłowej okolicy Łodzi, Zgierza, Pabianie mazurski gospodarz, czy wreszcie galicyjski chłop z gmin podkarpackich.

Bynajmniej nie cała Polska pod względem swego rozwoju przemysłowego i gospodarczego uświadomienia włościan stoi na szarym końcu Europy. Ale cała Polska tem się od zachodniej Europy różni, że posiada ona dwie tylko skrajne formy własności ziemskiej, drobnej i wielkiej, że brak w niej zupełnie pośrednich ogniw między drobnymi chłopskimi gospodarstwami a folwarkami, właściciel czy dzierżawca których jest wyłącznie tylko kierownikiem przedsiębiorstwa, sam ręki do pracy na roli nie przykładając.

W Prusach zajmują gospodarstwa poniżej 10 morgów liczące 12.6% rolniczej przestrzeni kraju, gospodarstwa 10 do 40 morgów gruntu mające 22.9%, od 40 — 200 morgów posiadające — 32.8%, a większe niż 200 morgów — 31.7%.

W Bawaryi gospodarstwa średnie od 40 — 200 morgów mające zajmują 32.3 obszaru kraju, w Saksonii 30.5, w Brunszwiku 49.8%, w całych Niemczech 31.1%.

W Belgii zajmują gospodarstwa mające poniżej 10 morgów gruntu 35% rolniczej przestrzeni kraju, gospodarstwa od 10—40 morgów 22.6%, od 40 — 100 morgów 18.3%, powyżej 100 morgów 18.5% i t. d. i t. d.

Na ogół w całej niemal zachodniej Europie średnie gospodarstwa, właściciel których nie jest wyłącznie kierownikiem i administratorem, organizującym pracę najemnych robotników, lecz nie jest też już robotnikiem tylko na własnym

zagonie — zajmują mniej więcej trzecią część rolniczej przestrzeni kraju.

W Polsce natomiast tych właśnie gospodarstw nie ma prawie wcale. Parowłokowe osady włościańskie spotykają się u nas częściej w niewielu tylko okolicach, a dwu lub trzech-włokowy folwarczek jest zgoła wyjątkowem zjawiskiem. Zresztą drobny taki folwarczek to zazwyczaj tylko resztką większego już przeważnie rozparcelowanego majątku i niezadługo doszczętnie zostanie rozsprzedany kawałkami wśród włościan.

Gdy zaś brak nam tych pośrednich ogniw, które na zachodzie łączą najmniejsze gospodarstwa z największymi przedsiębiorcami rolnymi, gdy mamy albo tylko drobne osady włościańskie, rzadko 20 morgów obszaru przekraczające, a przeważnie od 6 do 10 morgów gruntu mające, albo folwarki, w zachodniej Galicyi powyżej 300 morgów, a w Królestwie i w Poznańskim powyżej 600 morgów przeważnie liczące, musi też podwójny, zgoła rozbieżny szacunek ziemi istnieć.

Tymczasem w zachodnio-europejskich krajach kontynentalnych zasobny w ziemię kmieć (*grossbauer*), łączący w sobie cechy zarówno przedsiębiorcy rolnego, który musi z tem się poważnie liczyć, by włożony przezeń w gospodarstwo kapitał odpowiedni mu procent przyniósł, — bo kapitał ten jest już zbyt na to wielki, ażeby procent od niego mógł w rachubę życiową nie wchodzić, — jak i samodzielnego robotnika rolnego, który dbać musi o to, by w gospodarstwie swem jak najpełniej własną i rodziny pracę zużytkować — bo nakład tej osobistej jego i jego rodziny pracy przede wszystkim o dochodzie stanowi — szacuje ziemię z kapitalistycznego wprawdzie stanowiska, lecz jednocześnie też jako niezbędną dla się warsztat swej pracy. Więc nie odda on jej każdemu, kto mu ofiaruje cenę, aniżeli ta, jakaby wprost ze skapitalizowania czystego dochodu, jaki ma z niej, wynikała. Ale też odwrotnie nie będzie za wyższą od tak kapitalistycznie wyrachowanej ceny gruntu kupował.

Co najwyżej więc, o ile większa zagroda kmiecia z innych jakichś powodów wystawioną jest na sprzedaż, rozkupią ją raczej najdrobniejsi paromorgowi chłopi, ofiarowu-

jąc nieco wyższą cenę, niżby chciał za nią dać kmięć kilkudziesięciomorgowy. Stąd widzimy na zachodzie stały niewielki przyrost tych najdrobniejszych zagród. Na ogół jednak utrzymuje się jednolita mniej więcej w kraju cena ziemi, taka, jaka w szacunku średniego właściciela ziemskiego, kmięcia, wyraz swój znajduje. I nie może też być wobec tego mowy o massowem wykupywaniu ziemi przez jedną kategorię rolników od drugiej.

Natomiast my przez to, żeśmy w XVI i XVII wieku zniszczyli zupełnie stan kmięcy, żeśmy wyrabiającego dochód sobie a intratę dziedzicowi rolnika, w robotnika dla folwarku pracującego, a w używalności z niewielkiego, byle na życie starczącego kawałka gruntu wynagradzanego, zamienili, żeśmy nie zdołali w pierwszej XIX wieku połowie doprowadzić włościan do samoistnego gospodarczego bytu, mamy dziś dwie różne, stanowe ceny ziemi, włościańską i szlachecko-kapitalistyczną, mamy zatem na rynku ziemi współzawodniczą o jej posiadanie walkę nie jednostek, lecz stanów społecznych, mamy jednym słowem w całej pełni, mimo uwłaszczenia, nadal kwestyę włościańską. I jak w pierwszej połowie XIX wieku, gdy chodziło o to, czyj ma być grunt rustykalny, czy dziedzica, który prawo własności doń posiadał, czy chłopa, co na nim gospodarzył, chłop ostatecznie zwyciężyć musiał, tak samo i dziś, gdy chodzi o to, czyj będzie cały rolniczy obszar kraju, czy większych kapitalistycznie rachujących właścicieli, czy włościan, patrzących na ziemię, jako na warsztat swej pracy, niechybnie musi zwyciężyć stan włościański — jeśli znów nie potrafimy ująć całokształtu kwestyi włościańskiej, a ograniczać się będziemy do radzenia poszczególnym na peryferii jej tylko zarysowującym się niedomaganiom, jako to spekulacji parcelacyjnej, wyzyskowi emigrantów sezonowych i t. d.

Czy jednak w rzeczy samej nie należy ograniczyć się do łagodzenia tylko niewątpliwych niedomagań tego procesu przeobrażania się naszych stosunków agrarnych, który dziś się na korzyść drobnej własności włościańskiej dokonytuje? Czy można go w całości swej potępić? Przecież istnieją kraje zgoła niemal wielkiej własności pozbawione, ziemia których wyłącznie prawie w ręku włościan się znajduje, jako to:

Szwajcarya, Baden, Bawarya, Wirtemberg, a które są nie-kończenie od nas zamożniejsze i szczęśliwsze?

Lecz nie o to tu chodzi, czy korzystniejszą jest dla kraju drobna, czy wielka własność ziemska, ani też o to, jaki między obu temi kategorjami gospodarstw winien istnieć stosunek.

Żadnej w tym względzie bowiem stałej reguły postawić się nie da. Gdy oświata w kraju na pewnym już wyższym stopniu stanie — drobne przedsiębiorstwa rolne, właściciel których sam do spółu z robotnikami pracuje, mają zazwyczaj bogatsze z tej samej ilości gruntu plony. U nas natomiast włościańskie gospodarstwa gorsze mają urodzaje i gorsze inwentarze, niż folwarki. Z podniesieniem się oświaty wszakże różnica ta zniknąć musi. I istotnie nie brak już w Polsce poszczególnych gospodarstw włościańskich, wyżej stojących pod względem techniki rolniczej od przeciętnego naszego folwarku. Nie ma zaś żadnej racji nie wierzyć w to, że z czasem ogół naszych drobnych przedsiębiorców rolnych potrafi również kierować się w rolniczej swej pracy nabywaną z książek, czasopism i szkół wiedzą, a nie rutyną odwieczną. Co się zaś tyczy kapitału, niezbędnego dla postępowego gospodarstwa, to już dziś bodaj więcej go w stosunku do rozmiarów swego przedsiębiorstwa posiada włościanin, niż wielki właściciel ziemski. Bo przecież nie ten rolnik zasobniejszy jest w kapitał, który bezwzględnie ma go więcej, lecz ten, który jest w stanie więcej nakładów na morgę posiadanej przez się ziemi łożyć.

Lecz jeśli nawet włościańskie gospodarstwa mają u nas tymczasem niższe plony w każdej poszczególniej gałęzi produkcji, to przecież jednak dochód całego przedsiębiorstwa włościańskiego wyższym jest zazwyczaj w stosunku do rozmiarów jego, niż folwarku. A to z tego względu, że gospodarstwo włościańskie 1) wszechstronniej może ziemię wyzyskać, 2) większy procent ziemi oddać pod produkcję najwięcej wartościowych wytworów rolniczych.

Ośmiomorgowy włościanin trzyma zazwyczaj 2 krowy, parę świń, około 200 prętów oddaje pod sad i warzywa. Proporcjonalnie musiałby 320 morgowy folwarek trzymać z 80 krów, ze 120 świń, mieć sad i ogród 26 morgowy. Lecz

sama już obora taka, lub chlewnia, czy też sam ogród tej wielkości tak dalece musiałyby pochłaniać czas i siły kierownika folwarku, że prowadzenie w tych rozmiarach jednocześnie wszystkich tych działów gospodarstwa, a obok tego i gospodarstwa rolnego, zazwyczaj jest zgoda niemożliwym.

Więc nawet dziś folwark, podzielony na drobne gospodarstwa, daje z reguły większy w sumie dochód, niżli dawał poprzednio.

I dlatego to coraz częściej widzimy w zachodniej Galicyi fakty parcelacyi dzierżawnej dóbr, które czy to sprzedanemi być nie mogą, jako n. p. dobra duchowne, albo których właściciel nie chce z rodowych jakichś względów ostatecznie się wyzbyć.

Włościanie bowiem płacą chętnie takie czynsze dzierżawne, jakich nie dadzą nawet żydowscy dzierżawcy. W zachodnich powiatach Galicyi czynsze te wynoszą średnio 20 złr. z morgi; nierzadko jednak, nawet w odległości kilkunastu kilometrów od Krakowa, dochodzą one do 30 złr. z morgi. Znamy zaś wypadki rozdzierżawienia włościanom folwarku po niebywalej cenie 40 złr. z morgi.

A przecież włościanin nasz, który wtedy, gdy o kupienie na własność ziemi chodzi, jest nad wyraz aż do lekkomyślności hojny, namyśla się długo i pilnie rachuje, gdy ma się ugodzić o czynsz dzierżawny. Więc widocznie dochody jego są tak wielkie, że płacąc nawet po 20 do 30 złr. czynszu z morgi, ma on po za tem jeszcze jakiś dochód, większy niż gdyby pracę swą na wydzierżawionej roli zużywaną sprzedawał folwarkom.

Nie sposób zatem brać na seryo biadań tych publicystów, którzy czując w sobie specjalne powołanie bronić wielkiej własności ziemskiej, piętnują jako przestępców narodowych tych, co swe dobra chłopom rozsprzedają, wszelką parcelacyę z niemiecka *Güterschlichterei* zowiąc. Tego, by podzielenie folwarku na drobne gospodarstwa niszczeniem majątku być miało — przyznać nie możemy. I nie możemy również zbyt wiele przywiązywać wagi do zdania, tak bardzo zresztą utartego, że postęp rolniczy możliwy jest tylko na folwarkach i że choćby już po to, by mieli od kogo włościanie racjonalnej gospodarki się uczyć, koniecznem jest zacho-

wanie średnich folwarków od zupełnej zagłady, jaką im dzisiejszy ruch parcelacyjny grozi.

Czynnikami postępu rolniczego są właściwie szkoły i pola doświadczalne, a nie prywatne folwarki. I szkoła może doskonale trafić wprost bez pośrednictwa folwarku do drobnego rolnika. Dowodem tego Szwajcarya, gdzie nie ma zupełnie większej własności. Tak się przedstawia sprawa czysto teoretycznie postawiona. A praktycznie ma się ona u nas też nie inaczej. W nadsyłanych na konkursu sekcji rolnej warszawskiego towarzystwa popierania przemysłu i handlu sprawozdaniach wzorowych gospodarstw włościańskich, stale podają opisujący swe gospodarstwa włościanie, że lepszej uprawy roli nauczyli się nie od folwarków, lecz z książek i gazet, lub w Pszczelinie. Zresztą dość sobie uprzytomnić, jak dalece różnią się warunki gospodarze dla osady włościańskiej, a dla folwarku, mniej posiadającego obronika, zmuszonego oszczędniej z nakładem pracy ludzkiej się obchodzić, a natomiast mogącego łatwiej się w doskonale narzędzia uprawy roli zaopatrywać, wreszcie liczącego się wyłącznie z dochodem *netto* nieraz mniejszym przy wzroście dochodu *brutto*, gdy natomiast jedynie ten ostatni obchodzi włościanina, nie rachującego kosztu swej pracy — by zrozumieć, że istotnie włościanin bardzo mało może się od folwarku choćby najlepiej zagospodarowanego nauczyć.

Oczywista nie znaczy to, by postęp rolniczej gospodarki folwarczej był bez wszelkiego na gospodarstwa włościańskie wpływu. Wręcz przeciwnie. Gdzie właściciele większych przedsiębiorstw rolnych lepszymi są rolnikami, jak n. p. w Poznańskim — tam i włościańskie gospodarstwa lepiej stoją. I bodaj czy fakt ten, że nie znajdujemy w Galicyi zgoła niemal tych wzorowych racjonalnie prowadzonych gospodarstw włościańskich, których przybywa wciąż w Królestwie, a więcej jeszcze w Poznańskim, nie jest skutkiem tego, że tak bardzo zaniedbane są w Galicyi w porównaniu do Królestwa, a szczególnie do Poznańskiego, średnie folwarki, właściciele których na ogół żadnego zamiłowania zawodu rolniczego nie mają i synów na fachowych rolników w akademiach nie kształcą.

Lecz wpływ ten lepszej gospodarki folwarcznej na postęp rolnictwa włościańskiego nie jest bezpośredni, jak to sobie zwykle wyobrażamy. Włościanin nie uczy się podpatrując gospodarkę folwarczną. Ale tam, gdzie większy jest postęp rolnictwa folwarcznego, tam jest też więcej inteligentnych rolników, ludzi o gruntownej wiedzy rolniczej i umiłowaniu rolnictwa. A wtedy więcej też jest ludzi, którzy w codziennem swem z włościanami stosunku dobrymi są im doradcami, rozumnych działaczy w kółkach rolniczych i spółkach włościańskich, oraz autorów popularnych książek i artykułów rolniczych.

Zważywszy to, nie sposób oczywiście uznać za rzecz zupełnie obojętną dla kraju byt średnich folwarków, ze spokojem na zanik ich patrzeć i odmawiać wszelkiej ku wzmocnieniu ich skierowanej akcji społecznego znaczenia. Ale starania o utrzymanie ich przy życiu o tyle tylko rację bytu mają, o ile przez to zapewnia się społeczeństwu posiadanie liczniejszego zastępu naukowo wykształconych, pracowitych i zawód swój kochających właścicieli-rolników.

Natomiast wszelkie zabiegi czynione po to, by zachować byt folwarków, które zostaną wydzierżawione żydowi, lub dzierżawnie rozparcelowane, właściciel których będzie w pierwszym rzędzie wyborcą w kurii wielkiej własności, a w drugiej tylko rolnikiem, i które od bankructwa ratować będzie jedynie gorzelnia, lub młyn, albo propinacya — istotnie byłyby zgoła bezcelowe.

Gdy tak jest jednak — to stratą społeczną możemy nazwać zaniedbywanie rolniczego zawodu przez właścicieli średnich folwarków, wydzierżawianie ich każdemu, kto nieco większy czynsz daje, nadmiernie pohożną ich sprzedaż i konsekwentnie z tem musimy myśleć nad sposobami wzmocnienia gospodarczej ich energii, lecz nie możemy widzieć w tem szkody, że większe przedsiębiorstwa rolne rozpadają się u nas na drobniejsze. A choćby i całkiem miały średnie nasze folwarki zaniknąć, rozkupione przez włościan, to widząc grożącą im zagładę, myśleć należy nie o tem, jak temu zapobiedz lub parcelacyę ograniczyć, jeno o tem, by zapewnić rolnictwu krajowemu możność postępu i w tych warunkach, jakie w skutek zaniku owych folwarków powstaną.

A przecież jednak mówiliśmy o jakowychś niebezpieczeństwach, któremi ma ruch parcelacyjny społeczeństwu polskiemu grozić, o potrzebie zapobieżenia w czas tym niebezpieczeństwom.

Jeśli zechcemy dać najogólniejszą definicyę parcelacyi, głosić ona będzie: parcelacją jest podzielenie większego przedsiębiorstwa rolnego na mniejsze części, które już to stanowić będą następnie odrębne przedsiębiorstwa rolne, już też do innych drobnych przedsiębiorstw zostaną włączone.

Określenie to nie nam wszakże nie mówi o tem, co to są za przedsiębiorstwa, które przez podzielenie większego przedsiębiorstwa powstają.

A przecież dla osądzenia społecznych skutków parcelacyi, trzeba przedewszystkiem wiedzieć, jakiego rodzaju gospodarstwa z rozkładu folwarków życie biorą, względnie je w siebie wchłaniają.

Więc sąd nasz o tem, czy korzystniejszem jest na ogół istnienie drobnych lub większych przedsiębiorstw rolnych, względnie do jakich granic przewaga pierwszych nad drugimi może być bez szkody dla postępu bogactwa narodowego — nie przesądza nic o tem jeszcze, jak mamy istniejący u nas ruch parcelacyjny oceniać.

Otóż jak to już powiedzieliśmy, parcelacya jest u nas skutkiem spowodowanego brakiem średnich przedsiębiorstw rolniczych istnienia dwóch różnych stanowych cen ziemi i polega na wykupywaniu ziemi przez jeden stan od drugiego. Nie jest to ekonomiczne zwycięstwo jednej formy przedsiębiorstw rolnych nad drugą, żywotniejszych mniejszych gospodarstw nad mniej żywotnymi średnimi folwarkami, lecz zwycięstwo włościańskich właścicieli ziemi nad szlachecko-kapitalistycznymi.

A pojęcie włościanina nie jest bynajmniej identycznym z pojęciem tego drobnego przedsiębiorcy rolnego, który zdolny jest podnieść dochód z ziemi do normy większym przedsiębiorcom niedostępnej.

Drobnym takim przedsiębiorcą jest tylko włościanin dostateczną ilość ziemi posiadający, by z niej się wraz ze swą rodziną utrzymać i całkowicie rodziny swej siłę roboczą we własnem gospodarstwie zużytkować.

Małorolny pół-proletaryusz natomiast jest z konieczności złym rolnikiem i im dalej, tem będzie on gorzej rolę swą uprawiał. I jakżeż może być inaczej, gdy nie ma on własnego inwentarza pociągowego, z uprawieniem więc pola musi czekać, aż zamożniejsi jego sąsiedzi, od których wynajmuje konia, skończą roboty u siebie, gdy żyjąc w znacznej, albo nawet przeważnej części z zarobku pracy najemnej, już to wysyła on najlepsze swe siły robocze na wychodźstwo, już też pracując w sąsiednich folwarkach, czy też u zamożniejszych włościan, w czas najpilniejszych właśnie robót polnych musi pracować w obcym przedsiębiorstwie, by sobie swych pracodawców nie zrazić. A im więcej się ogólny dobrobyt kraju zwiększa i wraz z tem płace robocze podnoszą, tem większą rolę odgrywają w życiu jego zarobki postronne i tem więcej poświęca on im czasu i siły swej, oraz swych dzieci, coraz gorzej własne gospodarstwo zaniedbując.

Tymczasem ci to właśnie małorolni podproletaryusze przedewszystkiem rozkupowują u nas folwarki i co ważniejsze, *dalsza ewolucya parcelacyjnego ruchu, jeśli wczas o jego regulacji nie pomyślimy, będzie coraz więcej odsuwać od udziału w niej samodzielnich gospodarzy włościańskich na rzecz najdrobniejszych właścicieli włościańskich.*

Jak to już bowiem wiemy, im drobniejszy włościanin, tem większą gotów on płacić cenę za ziemię.

Cena zaś ziemi wzrasta coraz szybciej w skutek właśnie rozwoju parcelacji. Im więcej bowiem majątków zostało po wyższych od normalnych cenach sprzedanych, tem i normalna cena staje się większą. Ale wśród włościan zawsze znajdują się nabywcy, którzy dadzą za ziemię więcej, niż może ofiarować najzasobniejszy choćby w kapitał wielki przedsiębiorca rolny. Jeno że nabywcy ci rekrutować się będą z coraz drobniejszych włościan ¹⁾.

¹⁾ W r. 1901 kupowali włościanie za pośrednictwem Banku włościańskiego przeciętnie w gubernii kieleckiej po 120 rubli za mórg, na osadnika wypadło tam po 6 morgów, w gubernii warszawskiej po 94 ruble i na osadnika wypadło po 12 morgów, w gubernii radomskiej i siedleckiej po 86 rubli, przyczem przypadło na osadnika 11 morgów, w gubernii piotrkowskiej po 69 rubli, wobec czego też na osadnika wypadło po 13 morgów.

A przytem gdy cena ziemi dojdzie do takiej już wysokości, jak to ma obecnie w zachodniej Galicyi miejsce, że oprocentowanie jej według bankowej choćby tylko stopy procentowej, staje się możliwem tylko dla wyjątkowo utalentowanych gospodarzy — wtedy zjawiają się już zawodowi spekulanci parcelacyjni, kupujący drogo majątki po to, by je z jak największym zyskiem odsprzedać włościanom.

Spekulanci ci starają się oczywiście parcelować możliwie drobnymi działkami, bo wtedy wyższe otrzymują ceny!

Ale nie dość tego. Całym szeregiem praktyk zręcznie obmyślanych, że wspomniemy tu tylko o pozornem na razie powstrzymywaniu zaofiarowania ziemi, o sztucznem zaostrzeniu współzawodnictwa wśród włościan za pomocą specjalnych do tego agentów, o zawieraniu nieobowiązujących nasamprzód prawnie umów i wprowadzanie na ich już zasadzie włościan w posiadanie odnośnych parcel, by następnie z innymi nabywcami o teżsame parcele pertraktując, pierwotnych nabywców do podwyższania ugodzonej już ceny skłaniać i t. d. i t. d. — starają się spekulanci parcelacyjni ciągle wzrost cen ziemi przyspieszać. Bo im szybciej idą ceny te w górę, tem większe do kieszeni ich zyski z pośrednictwa parcelacyjnego wpływają. Z drugiej strony wszakże — tem trudniej wtedy nabywać ziemię samodzielnym gospodarzom włościańskim, tem wyłącziej kupują ją małorolni półproletaryusze.

Nie mało jest u nas majątków, które od lat kilkunastu w ciągłej znajdują się parcelacyi. Początkowo odsprzedał właściciel część swych gruntów dla umorzenia długów, następnie, zachęcony dobrym rezultatem pierwszej tranzakcyi, odsprzedał dalszą część, by, zmniejszywszy obszar folwarku, intensywniej przy pomocy uzyskanego z parcelacyi kapitału gospodarować. Po paru latach jednak, gdy cena ziemi wzrosła już znacznie, sprzedał on cały folwark pierwszemu nabywcy, który się zjawił z korzystną ofertą. Ten, opatrzywszy się, że majątek za drogo kupił, znów część rozparcelował, by w ten sposób powetować sobie poniesioną stratę, a przekonawszy się o korzyściach tej manipulacyi, rozparcelował wkrótce i resztę, albo sprzedał ją spekulantowi parcelacyjnemu. To jest prawdziwa historia większości rozparcelowanych w Galicyi zachodniej majątków.

Otóż bez wyjątku w każdym z nich stwierdzić można, że przy pierwszej parcelacyi kupowali najzamożniejsi gospodarze sąsiedniej wsi i kupowali po 6, 8 a nawet i kilkanaście morgów, kupując oczywiście po stosunkowo niskich cenach. Za każdym jednak następnym razem parcelowano coraz drobniejszymi kawałkami, które coraz mniejsi gospodarze po coraz wyższych cenach nabywali.

Czy jednak może nie jest to właśnie z powszechną korzyścią, że małorolni, dokupowując ziemię od folwarków, doprowadzą swe zagrody do rozmiarów potrzebnych dla samostannego gospodarczego bytu?

Niezawodnie gdyby tak było, byłoby to bardzo korzystnym zjawiskiem. Ale nasamprzód stwierdzić należy fakt, że dziś już nieznaczny tylko procent parceli sprzedawanych przy parcelacyi wynosi w zachodniej Galicyi powyżej 3 morgów, że więc najwięcej kupują ziemię 2 do 6 morgowi gospodarze. Doprowadzenie zaś 3 lub 4 morgowej zagrody do 6 lub 8 morgów obszaru, nie czyni z niej jeszcze bynajmniej samodzielnego przedsiębiorstwa rolniczego.

Ale co ważniejsza, spowodowywany obecnym ruchem parcelacyjnym, nadmiernie szybki wzrost cen ziemi skłania powszechnie włościan do dzielenia ziemi, uniemożliwiając niemal zgoła spłaty rodzeństwa.

Błędem jest bowiem twierdzenie, jakoby włościanin nasz od wieków ziemię między dzieci dzielił. Za poddaństwa nie dzielił on jej z reguły. A i potem po zniesieniu poddaństwa i uwłaszczeniu długie czasy jeszcze obok dzielenia ziemi również częste były i spłaty współspadkobierców. Dopiero w ostatnich trzech dziesięcioleciach dzielenie ziemi stało się powszechnem w tych okolicach, gdzie przeważają małorolni.

Ale i w tych miejscowościach, gdzie przeważają 10 do 20 morgowe gospodarstwa, jako to n. p. w północnej części powiatów krakowskiego i bocheńskiego i gdzie jeszcze kilkanaście lat temu chętnie godzono się przy działach rodzinnych na spłaty, dziś istnieje wyłącznie dzielenie ziemi. A to dla tego — bo ta ziemia jest już nadto droga.

Obecny więc nasz ruch parcelacyjny, o ile nie jest żadnej regulacyi poddany, nie sprrowadza powiększenia liczby

samodzielnych gospodarstw włościańskich w kraju, lecz przede wszystkim zwiększa stan posiadania zagród pół-proletaryuszów, którzy coraz więcej dewastować ziemię będą.

Jako taki — jest on zjawiskiem ujemnem. I nie może być innym — bo jest on tylko niezbędną konsekwencyą z gruntu wadliwych naszych stosunków włościańskich. Nie zdołaliśmy bowiem w swym czasie sprowadzonemu w XVII i XVIII wieku włościaninowi do roli robotnika folwarcznego nadać wystarczających ekonomicznych podstaw dla samodzielnego gospodarczego bytu.

I dziś, w dalszym ciągu, ogół włościaństwa naszego, a nie najniższa tylko, jak na zachodzie, warstwa jego, nie ma warunków rzeczywistej samodzielności gospodarczej.

Główną siłę drobnej własności ziemskiej stanowią na zachodzie gospodarstwa od 20 do 200 morgów obszaru liczące. To też jeśli nawet w niektórych krajach tamtejszych procent małorolnych gospodarstw jest nie mniejszym, a nawet większym niż u nas, to przecież jednak stosunek rozmiaru zajętych przez nie gruntów i siły ich ekonomicznej, a tem samem i znaczenia ich w wytwarzaniu się pojęć i dążeń gospodarczych ludności wiejskiej, do rozmiaru gruntów zajętych przez samoistne gospodarstwa włościańskie, jest nieskończenie mniejszym niż u nas, gdzie tych parowłókowych kmieci brak niemal zupełnie, a włościanie 10 — 15 morgowi, choć się zazwyczaj już wyłącznie z gospodarstwa swego utrzymują, zawdzięczają to przede wszystkim swym minimalnym potrzebom i żyją mało co lepiej od ordynaryusza na folwarku. To też jeżeli mają licniejszą rodzinę, albo gorsze grunta, nie gardzą i zarobkami z pracy najemnej, a zawsze wolą wziąć na odrobek pastwisko lub sprzętać na kupki łąki sąsiednich folwarków, w braku paszy, niżli ją za pieniądze kupić.

Oczywista o sztuczne wytworzeniu u nas teraz licniejszego stanu zasobnych w ziemię kmieci, mowy być nie może.

Lecz tem ważniejszym jest dla nas wobec tego, by możliwie jak najwięcej wzrosła ilość gospodarstw 10 — 20 morgowych w stosunku do pół-proletaryackich i by gospodarstwom tym możliwie najlepsze samodzielnego gospodarczego bytu zapewnić.

Parcelacyjny ruch dzisiejszy zwiększa z ogromną szybkością stan posiadania gospodarstw włościańskich.

Zatrzymać ruchu tego nie sposób.

Ale należy go tak skierować, by te liczne tysiące morgów, które przechodzą rok rocznie od folwarków do włościan, szły na zwiększenie ilości samoistnych gospodarstw włościańskich.

Osiągnąć wszakże celu tego nie da się, jeżeli nie ujmie się w karby ruchu cen ziemi.

Oceniając więc w zupełności znaczenie wszelkich proponowanych dotychczas środków ograniczenia spekulacji parcelacyjnej¹⁾ i zachęcenia do parcelacji racjonalnej²⁾, oraz uregulowania prawnych jej form i konsekwencyj³⁾, sądzymy wszakże, że nie należy na nich jedynie poprzestać, że koniecznym jest sięgnąć głębiej do jądra sprawy.

Koniecznym jest mianowicie utworzenie krajowego kredytu na jak najdogodniejszych warunkach dla włościan kupujących parcelacyjnie ziemię. Krajowe władze staną się bowiem przez to najsilniejszym kształtowania się cen ziemi czynnikiem, tak jak jest nim rosyjski bank włościański. Przytem winny się one kierować następującymi zasadami:

Kredyt zostaje udzielonym zgłaszającym się o niego włościanom⁴⁾, o ile cena, za jaką kupują ziemię, nie jest zbyt wygórowaną.

Włościanie dokupujący tyle ziemi, by gospodarstwa swe do potrzebnych dla samodzielnego ich bytu gospodarczego doprowadzić rozmiarów, otrzymują kredyt tańszy i większy w stosunku do wartości kupowanego gruntu, niż mający już wystarczającą ilość ziemi, a tańszy niż małorolni, dokupujący niedostateczną ilość gruntu.

Kredyt udzielany jest nie pojedynczym gospodarzom, lecz włościańskim spółkom parcelacyjnym lub grupom włościan, solidarnie za dotrzymanie warunków ręczącym.

¹⁾ Makarewicz: *Walka ze spekulacją parcelacyjną*.

²⁾ Milewski: *Przeгляд Polski*, 1904, str. 599.

³⁾ Jaworski: *Parcelacja ze stanowiska prawnego*.

⁴⁾ W żadnym razie, jak się za tem niektóre głosy wyrażały, pośrednikom parcelacyjnym, bo w takim razie władze krajowe nie miałyby żadnego na kształtowanie się cen ziemi wpływu, o co przecież w pierwszym rzędzie chodzi.

Grupa taka otrzymuje kredyt zawsze tylko pod warunkiem skomasowania swych gruntów, choćby cała gmina jeszcze nie przystępowała do komasacyi.

Może być postawiony dodatkowy warunek zmeliorowania gruntów do danej grupy należących i przez nią zakupionych. W zamian za nałożenie na daną grupę tego dodatkowego obowiązku, otrzyma ona odpowiednio większy kredyt.

Kredyt ten służy celom tylko parcelacyi sąsiedzkiej. Potrzebom parcelacyi osadniczej czyni już bowiem zadość ustawa o dobrach rentowych. A przytem, udzielając powyższego kredytu na parcelacyę osadniczą, sprowadziłoby się tem nadmierny w parcelacyi udział bezrolnego proletaryatu, tak, jak to widzimy w Królestwie, gdzie w r. 1901 na 7.822 osadników, którzy przy pomocy banku włościańskiego ziemię kupili, było aż 3.725 bezrolnych. Mając tyle tylko, by wymagany zagadek w wysokości mniej więcej 25% wartości kupowanego gruntu zapłacić, nabywcy ze służby folwarcznej i wyrobników wiejskich się rekrutujący, nie są w stanie ani porządnych budynków sobie wystawić, ani się jak należy zagospodarować i prowadzą nader mizerny żywot, brnąc w coraz większe długi. Zresztą ludzie ci nabywają rzadko więcej niż po 10 morgów. A tworzenie tego rodzaju osad nie zwiększy ilości gospodarstw samodzielnych, o co przecież chodzi.

Regulując w ten sposób ruch cen ziemi, popierając dokupywanie przez włościan ziemi w celu doprowadzenia swych gospodarstw do samodzielnego bytu gospodarczego, przyspieszając proces komasacyi i melioracyi gruntów włościańskich, tem samem jednocześnie powstrzyma się dzielenie osad włościańskich, które składając się z kilkunastu, często kilkudziesięciu drobnych, rozrzuconych na obszarze paru kilometrów kawałeczków, wprost się o podzielenie proszą, i z powodu nadmiernej ceny ziemi, dzielone być muszą.

A w ten sposób uregulowana parcelacya może się stać z ostrego wybuchu zadawnionego od wieków niedomagania naszych stosunków włościańskich, czem jest dzisiaj, środkiem do ich uleczenia.

Stanisław Grabski.

Kronika literacka.

— Stanisław Koźmian: *Rzeczy teatralne*. (Kraków, księgarnia Fabiana Himmelblaua, 1904, 8-o, str. 411). — Starzy ludzie lubią czasem robić porządek w swoich starych papierach. Przeglądają nagromadzone przez całe życie stopy listów, kartek, rachunków, i drą, rzucają w ogień, choć im się nieraz łąza w oku zakręci na widok żółkłej kartki, która jest pamiątką po drogich ludziach lub po dobrych chwilach. Taką robotą wydaje się zajęty Stanisław Koźmian od lat kilku: porządkuje swoje stare papiery, przebiera w nich co godne przechowania, a co nie. Ale nie rzuca w ogień tego, co ma za potrzebne, tylko owszem zabezpiecza to od zatracenia i zapomnienia. Robi przegląd pracy całego życia i pyta sam siebie, co z tego zniszczyć, a co może się przydać. Chce sam uregulować tę literacką spuściznę, jaka po nim kiedyś zostanie, bo sam najlepiej wie, sam jeden wiedzieć może, co w jego przekonaniu jest dobre i pożyteczne, a co może zaginać bez szkody: ktoś inny jużby tego nie wiedział i przy najlepszej woli mógłby ogłosić rzeczy, do których autor nie przykłada wagi, wyrzucić takie, które on właśnie chciałby zachować. Zapewne ma Koźmian słusność, kiedy tak robi. Da Pan Bóg, że literacki spadek po nim nie prędko będzie otwarty, ale nic nie szkodzi, że on będzie w porządku i nie da powodu do literackich wątpliwości, pytań, sporów lub postanowień z zamiarem autora niezgodnych. W tej myśli wydał Koźmian *Listy* swego ojca (nie dość przez siebie samego przebrakowane i do druku przygotowane) i zrobił bardzo dobrze, bo w tych listach jest bogate źródło informacji do lat 1857 — 1863. To zrobiwszy, wziął się do pism własnych. *Rzecz o roku 1863* była pracą w całości i w zupełności z nowego podjętą i dokonaną. Ale *Bismarck* i *Pisma polityczne*, to prace dawne, urywane, niektóre zupełnie luźne, teraz razem zebrane tylko, uzupełnione i poprawione. W tych trzech dziełach objął i wyczerpał całą swoją pracę jako pisarza politycznego. Ale sprawy

polityczne nie były jedynem zajęciem ani pisarza, ani człowieka. Koźmian występował i na innych polach, w innych kwestyach głos zabierał, a to, co się do tych odnosi, zebrał znowu w osobny tom i wydał jako *Rzeczy teatralne*.

Inny przedmiot, inne i znaczenie tej nowej książki. Tamte, czy się kto ze zdaniem i stanowiskiem Koźmiana zgadza, czy nie, mówiły o najważniejszych kwestyach polskiej historii i polityki przez całe prawie pół wieku; ta książka mówi o kwestyach literatury i sztuki, i o jednej tylko części tych kwestyj. Ale w swoim zakresie jest ona i nauczająca bardzo, i świetna. Inne też i wrażenie. Tamte książki czytały się z boleścią, jako przypomnienie i rozpamiętywanie nieszczęść przebytych, popełnionych błędów; tę czyta się w usposobieniu pogodnem, ale jednak trochę melancholicznem, z tęsknotą łagodną, ale nie pozbawioną rzewności, choć nie pozbawioną wesołego uśmiechu. Przypominają się dawni znajomi, dawne przedstawienia w teatrze, ich wrażenia, krytyki, rozgłosy, uniesienia nad jedną grą, krytyki drugiej, często zapalczywe i uporeczywe dyskusye: gdzie to wszystko? *Où sont les neiges d'antan?* Tam gdzie i te czasy, i ten teatr, i jego wrażenia, i młodsze lata tych, którzy dziś już starzy.

Znowu nie jedna, z góry zamierzona i z planem wykonana całość, tylko zbiór sprawozdań, recenzyj powstałych w różnych czasach, i każda dla siebie, bez względu na poprzedzające i następujące, bez związku z niemi — nie historia teatru (choćby krakowskiego tylko) w przeciągu lat trzydziestu. Nawet nie paniewnik byłego dyrektora o tym teatrze, o jego różnych losach, artystach, wystawianych sztukach. Szkoda, że nie pamiętnik! W takim mielibyśmy wizerunki, sylwetki przynajmniej, wielu aktorów i ich kształcenia. Moglibyśmy widzieć naprzykład, jak p. Modrzejewska przyszła odrazu z niezwykłym talentem, z wyobraźnią poetyczną, z inteligencyą, z wdziękiem i z całym blaskiem swojej sławnej piękności — ale przyszła bardzo młoda, nie wyrobiona jeszcze, a jej wrodzone przymioty wyrabiały się stopniowo, aż z bardzo obiecującej zrobiła się artystka naprawdę wielka. Moglibyśmy widzieć Rapackiego talent tak niezwykły, tak wielostronny, tak rozległy, że nie mu niedostępnem nie było i głęboki tragiczny Hamlet, przerażający Ryszard III, rozśmieszał ludzi do łez w rolach komicznych, albo wprawiał ich w podziw subtelnym wykwinnym dowcipem w komedyi wyższej. Takiej galeryi wizerunków, takiego ciągu zdarzeń, niema; są pewni ludzie lub pewne teatralne zdarzenia w osobnych przygodnych szkicach czy sprawozdaniach. Ale nie mniej książka jest zajmująca, ciekawa, a dla niektórych, dla aktorów, dla dyrektorów teatru, dla teatralnych krytyków bardzo nauczająca, bardzo przydatna — byleby z niej tylko uczyć się i korzystać chcieli!

Pierwsze kilka artykułów czy rozdziałów, to nie teatralne tylko sprawozdania czy krytyki; to kwestya literatury i krytyki literackiej w całem znaczeniu słowa, to znakomici ludzie i znakomite dzieła, z teatrem w związku, ale w charakterystyce, która tak, jak jest, mogłaby wejść w jaką historję literatury polskiej, albo w jakie studyum o Szekspirze lub Arystofanesie.

Do historyi literatury polskiej mógłby wejść *Aleksander Fredro*, na pierwszym miejscu w książce położony, i słusznie. Ze wszech miar jemu ten zaszczyt należy. Napisany zaraz po śmierci wielkiego pisarza, a pisany przez człowieka, który go znał dobrze a rozumiał i przenikał bystro, artykuł nie jest ani życiorysem, ani rozbiorem dzieł, ale jest jędrnem i doskonalem wytlómaczeniem wartości tych dzieł, wykrywa trafnie pierwiastki i tajemnice tej wartości, wreszcie daje poznać, daje uczuć i wdzięk i czcigodność tej w swoim rodzaju jedynej u nas postaci.

Fredro oddzielony jest od innych *rzeczy teatralnych* nawet materyalnie: ma swoją osobną paginację rzymskimi cyframi. Po nim dopiero następują artykuły, którym Teatr krakowski służy za punkt wyjścia, za podkład, czasem za całą treść, czasem za pretekst tylko, a które wchodzą w zakres polskiej, niekiedy i powszechnej literatury.

Tak zaraz: *Komedia polska XVIII wieku*. Kraków, przez Uniwersytet, przez Akademię Umiejętności, może być, powinien być ogniskiem nauki, oświaty, wykształcenia w Polsce. Czuje to powołanie, tę swoją powinność — a w swojej mierze do spełnienia tych zadań przyczyniać się, do tego powołania dociągać się powinien i teatr. Teatr musi wystawiać nowości, ale musi także, jeżeli ma być przedsięwzięciem artystycznym i kształcącym, a nie finansowem tylko przedsięwzięciem, wystawiać znakomite dzieła z przeszłości obce, a własne, jeżeli znakomitych brak, przynajmniej charakterystyczne, ciekawe. W tem powołaniu stoją mu na przeszkodzie rzeczy różne, ale najbardziej może podwójna *parafiańszczyzna*. Jedna jest ta, która się popisuje, imponuje sobie i drugim tem, że widziała wielkie teatra francuskie i niemieckie; do nich przymierza to, co widzi w Krakowie i tanim kosztem dowodzi swego znawstwa, kiedy mówi, że teatr krakowski jest zły, bo nie jest taki, jak paryski lub wiedeński; o to zaś nie pyta, czy krakowski w swoich warunkach może być takim, jak tamte. Druga parafiańszczyzna, unosi i rozplywa się bezrozumnie, bezkrytycznie, nad tem, co ma, bo to ma u siebie. Jedna i druga sprzeciwia się postępowi sztuki, a jedna, jak druga, płynie ze źródła wielu ludzkich uczynków i błędów, z próżności. Uwagi o *Fircyku w zalotach*, odegranym na scenie krakowskiej, są bardzo trafne i ładne, ale nie wyczerpują zapowiedzianego tytułem tematu: *Komedji polskiej z XVIII wieku*. Szkoda, że autor nie dołączył do tego sprawozdania

choćby ze *Statysty* Krasieckiego, którego także wystawił, i dobrze, i nie bez powodzenia. Stary bulwarowy dramat *Maryja Joanna* jest pretekstem do uwag o dwóch wpływach, złym i dobrym, które w każdym teatrze walczą, a teatr wtedy tylko może być dobrym, jeżeli ten wpływ dobry daje się widzieć, opiera się, stara się przemódz zły. Zły bożek, Aryman teatralny, to zakulisowe ambicje, współzawodnictwa, walki, którym nie o sztukę chodzi, tylko o własną próżność lub korzyść; dobry, to artystyczny zmysł i sąd, który choćby był w aktorach i dyrektorach, nie potrafi tamtego przemódz, jeżeli go niema w widzach, w publiczności, jeżeli w jej wymaganiach i sądach nie znajdzie punktu oparcia i pomocy. Miasto, które niema wykształconej publiczności, nie może mieć dobrego teatru.

Wiele hałasu o nie, odegrane na krakowskiej scenie, dało pochop do ślicznego i głębokiego studyum, które bodaj czy nie jest perłą całego tego zbioru. O przedstawieniu, o aktorach bardzo mało: tylko krótka, zasłużona wzmianka pochwalna. Ale to, co o komedii samej, to byłoby ozdobą każdego najgłębszego studyum o Szekspirze. Nikt o niej nigdy tak ładnie, i tak mądrze nie napisał; nikt tak nie uczył jej subtelnie poetycznego wdzięku, nikt się tak nie bawił jej głupstwami (*Dogberry*), nikt tak nie używał rozkosznie na jej wykwintnym dowcipie. Ale to wszystko łatwiej. Psychologiczne zgłębienie, rozróżnienie dwóch par zakochanych, miłości samorodnej i głęboko prawdziwej, i miłości konwencyonalnej, ułożonej i wskazanej różnemi względami, różnica tych uczuć, tych charakterów, tych temperamentów, to jest najpiękniejsza i głęboka strona rozprawy nie wielkiej, ale świetnej; i to jest nowe, tego (ile wiemy) nikt tak nie dostrzegł, przynajmniej nie wytłómaczył. A ślicznie to napisane także, tak lekko, tak dowcipnie, że *Benedykt* i *Beatrice* czytaliby z wielką przyjemnością.

Druga komedya Szekspira, *Poskromienie Złośnicy*, od tamtej oczywiście daleko niższa, ale nie pozbawiona ani komicznych scen, ani dowcipu, ani głębszego rozumu i prawdy, scharakteryzowana jest krótko, ale bardzo trafnie. Przypomina się doskonale przedstawienie ówczesne: zwłaszcza biedna „złośnica“ głodna, patrząca łakomie na przyniesiony obiad, kiedy złośliwy mąż kazał go sprzątnąć, bo nie dość dobry, niegodzien służyć jego żonie. Mina pani Hoffmanowej kiedy jej ten obiad zabrali jest nie do zapomnienia dla kogoś, co ją widział.

Dwie komedye polityczne, to literatura francuzka: to *Rabagas* i *Oncle Sam* Wiktoryna Sardou. Pod pozorem krytyki teatralnej, to artykuł polityczny prawie. Przed Rewolucyą francuzką kiedy Figaro pytał: „A cóż zrobił Pan Hrabia, żeby na to zasłużyć“, wystawić na scenie przywileje szlachty i ich nadużycia było na czasie. Ale czas nie stoi, a teatr został na miejscu, i zawsze wysmiewał, wyszydzał czasem, z błotem mieszał tych

samych uprzywilejowanych, którzy swoje przywileje dawno potracili. Nie spostrzegał zaś, że są inne przywileje, inne nadużycia, inne despotyzmy, nie mniej uciążliwe i uciskające, wartości osobistą nie lepiej uzasadnione, jak tamte. *Rabagas* jest satyrą na kuglarstwo i szalbierstwo polityczne, a zwłaszcza demokratyczne, na demokratyczną hipokryzję, satyrą, głęboko pomyślaną, świetnie napisaną. Nożyce się odzywały, gdy Sardou uderzył w stół, i gwizdały w wielu teatrach — w naszym między innymi. Dowodziły tem, że uderzenie trafiło w sam środek redakcyjnego stołu *Latającej Ropuchy*. Prawda w figurze Rabagasa i w jego klubie jest wielka; a członkowie tego klubu z korzyścią byłiby wmięszani w sprawę Panamy, z rozkoszą w sprawę Dreyfusa i kongregacyj religijnych, gdyby występowali na scenie szerszej, jak księstwo Monaco. Rabagas sam mógł być tak nieśmiertelnym, klasycznym typem obłudy politycznej, jak Tartuffe obłudy religijnej, i ogólnej, samej w sobie. I trzeba, żeby rzecz tak głęboko pomyślaną, prowadzoną tak zręcznie, autor samochcąc pogmatwał i zepsuł dwoma romansami, zazdrością księcia o oficera, zakochanego nie w jego Amerykance, tylko w jego córce, degradacją tego nieszczęśliwego oficera, który nie może powiedzieć, że nie z Amerykanką miał schadzki, niesprawiedliwością małego tyrana na księstwie Monaco, którego tyrania, nie mogąc się wydać bardzo groźną, musi się wydać śmieszna. Rozbiór *Rabagasa* w książce Koźmiana jest świetny. Rozbiór *Wujaszka Sama* jest naszym zdaniem zbyt łaskawy; komedia bardzo zajmująca, niezaprzeczenie bardzo zabawna, nawet bardzo rozumna, ale karykatura Ameryki raczej, jak satyra na nią. Przed widzem staje, o Washingtonie nie mówiąc, bo Ameryka zmieniła się bardzo od jego czasów, ale Lincoln, Mac Kinley, ale i dzisiejszy Roosevelt, i pytają: „Czy my tacy? popatrz, porównaj, i powiedz potem, czy to Ameryka czy jej wybiorci, nie gorsze może od waszych, chcę inne“.

Komedia polityczna polska, to Fredry syna *Obce Żywioły*. Czy Koźmian dał się w tym razie cokolwiek unieść i zaślepić przyjaźnią, czy też tylko nią wiedziony, był jeszcze bardziej delikatnym jak zwykle? Wytknął wszystko, co się da *Obcym Żywiołom* wytknąć i zarzucić; a jednak, sądząc po jego recenzji, możnaby myśleć, że to dobra komedia, choć ma znaczne błędy. W rzeczywistości jest bardzo wdzięczny przedmiot, doskonały materiał na komedię polityczną: polityczny i demokratyczny kuglarz czy szalbierz jest i u nas, i wiele znaczy, i wiele szkodzi, a komedia o nim należała się słusznie i jemu, i społeczeństwu. Ale trzeba było pojąć go inaczej, postawić na szerszej scenie, dać mu większe sprawy i większy wpływ, i na takim tle dopiero rozwinąć jego rolę i jego charakter. Pan Szmucer Fredry, sekretarz jakiejś biednej rady powiatowej, grający na jej prezesie jak na pozytywku, ma za mało pola działania i za

mało rozumu, sprytu, zdolności. Rozumu ma tak mało, że odrazu bez pytania uwierzył w podrobiony list, zapowiadający mu jakąś sukcesyę; przecież żeby był najgłupszy, musiał trochę wiedzieć, jak się rzeczy na świecie dzieją, i czekać wiadomości urzędowej. Przytem jest demoniczny! Romansuje ze starą żoną prezesa na to, żeby ją skompromitować, a przez to zmusić do małżeństwa jej córkę, w której się szalenie kocha. Jakoż udaje mu się ten plan piekielny: panna, żeby ratować sławę matki gotowa się poświęcić, i trzeba dopiero interwencji starego wojskowego, żeby pistoletem tchórzliwego łotra z domu wystraszyć. Ten cały domowy dramat zaśłania i psuje akcyę Szmucera polityczną czy społeczną, a sam nie jest ani dramatyczny, ani nawet zajmujący. Uboczne, epizodyczne figury, udały się dobrze (prezes rady powiatowej safandula — burmistrz z miasteczka) — ale główna treść i główna figura jest chybiona.

Politycznym artykułem jest także poniekąd recenzya *Emigracji chłopskiej* Ancyca. Rzecz, o treści niezaprzeczenie głębokiej i ważnej, zrobiła widocznie silne wrażenie na Koźmianie, który z jej powodu, pod tytułem *Nasze stosunki*, zwraca uwagę na element najważniejszy naszego stanu i naszej przyszłości, na kwestyę agrarną. Jak wyjdzie całe to społeczeństwo ze swoich groźnych niebezpieczeństw? Szlachcic w długach, chłop w długach, jeden i drugi wynosi się w świat, a na jego ziemi osiada żyd czy prekursor Niemca, czy stały właściciel. Recenzya komedyi jest doskonała: nikt nigdy tak Ancycowi nie oddał sprawiedliwości; ale jest bardzo smutna, smutniejsza od komedyi. W komedyi może się zjawiać w ostatniej chwili jakiś opatrnościowy *deus ex machina*; tu jest nim młody szlachcic, który i emigrantów w Ameryce i własnego ojca w Galicyi ratuje od zguby. Ale w rzeczywiście świecie nie bywa takich cudownych interwencyj Opatrzności. Trzeba szukać innych środków ratunku; a zkąd ich wziąć? jakich?

Po śmierci Ancyca znowu jego wspomnienie, bardzo słuszne i bardzo sympatyczne ocenienie jego zasług i talentu, to *Pisarz ludowy*.

Najgłębsza z politycznych komedyj, nieśmiertelna, prawdziwa przed dwoma tysiącami lat tak samo jak dziś, nieśmiertelny typ demokratycznego szalbierza i przez niego oszukanego ludu, *Rycerze* Arystofanesa, w tłumaczeniu Szujskiego wystawione w teatrze. Znowu sprawozdanie, i znowu uwagi ogólne, spostrzeżenia bystre, głębokie, dotkliwe dla Kleona, pobłażliwe i pełne dobrego serca dla Masarza i Demosa.

Z dziełów teatru krakowskiego, to wspomnienie o jednym aktorze właściwie; ale ten jeden tak był przez całe życie z temi dziejami złączony, tyle w nich znaczył, że jego życiorys jest zarazem dużą kartą z historii polskiego, a przynajmniej krakowskiego teatru. Umarł Feliks Benda, przedwcześnie, w sile

męskiego wieku i swego talentu, a Koźmian kreśli charakterystykę tego talentu i tego dobrego, miłego, sympatycznego człowieka. Jego wielkie rzadkie przymioty stawia niejako za wzór aktorom, ale nie robi go większym jak był. Przechodzi wszystkie jego ważniejsze role, i wykazuje, że świetny, znakomity nie raz w wyższej czy niższej komedyi, na prawdę lekki, na prawdę dowcipny, na prawdę swobodny i naturalny a dobrze wychowany, cywilizowany, nie miał tyle poetycznej wyobraźni ile trzeba na tragicznego heroicznego bohatera. Grywał takie role, bo w krakowskim teatrze każdy prawie musi występować w rolach, do których nie jest stworzony -- palił się do nich, marzył o nich przez całe życie, ale był w nich tylko niezłym, przyzwoitym, wyżej nie wyszedł.

Drugi taki wizerunek aktora, jego talentu i jego zawodu, to Rychter (*Stara Gwardya*). Wizerunek podobny, sprawiedliwy, z sympatją a bez przesady. Ale między doskonałemi rolami Rychtera był Baron w *Ostrożnie z ogniem* (*On ne badine pas avec l'amour*) Musseta: i ta rola daje pochop do rozbioru sztuki, do charakterystyki Musseta, tak trafnej, tak subtelnej, że wtrącony o nim ustęp należy do najładniejszych. O drugim Francuzie, o Dumasie synu, sąd słuszny, nawet surowy, tylko naszym zdaniem nie dość wyczerpujący. Prawda, że i sam rozdział krótki; ale można było go przedłużyć, a wskazać, że pisarz o wielkich technicznych zaletach (układu sztuk i dialogu), na wstępie samym do swego zawodu posiadał w jeszcze wyższym stopniu sztukę reklamy i efektu, a na starość w postawie reformatora Francyi, apostoła paradoxalnych tez, był także efektywnym fanfaronem, choć wtedy zapewne już bezwiednie. Z całą swoją techniczną zręcznością zaś obniżył nie tylko moralną, ale i artystyczną stronę francuzkiego, a pośrednio europejskiego teatru, przez to, że zgwałcił na długo (choć zapewne nie zdołał zmienić na zawsze) naturę komedyi.

Świat szlachecki na scenie zapowiada więcej, niż obejmuje. Mowa tylko o *Wicku i Wacku* Przybylskiego (czy nie zbyt pochlebna cokolwiek?). Tu, w tym świecie szlacheckim, było miejsce na komedję Blizińskiego, które z niego są wzięte, a powodzenia miały tyle, że ich gruntowny rozbiór byłby i zasłużony i potrzebny.

Wreszcie dwa rozdziały treści ogólnej, zasadniczej: stosunek publiczności do teatru, jej na niego wpływ, względem niego powinność. Jeden, to odpowiedź na uwagi Anczyca o teatrze krakowskim, ogłoszona w *Czasie* w r. 1878. Koźmian odpowiada, przyznaje słuszność wielu uwagom i zarzutom. Ale broni teatru i dowodzi, że gdzie co tydzień jakaś nowość na scenie ukazać się musi, gdzie publiczność więcej jest ciekawa nowości, niż wymagająca doskonałości, gdzie sztuka nawet całkiem dobrze grana nie zwabi widzów więcej nad dwa lub trzy razy, gdzie wresz-

cie aktorowie zbyt często grają przed pustemi ławkami, tam teatr dobrym być nie może. *Circulus vitiosus*: publiczność żąda dobrego teatru, a nie robi dosyć, robi stanowczo za mało, żeby mu tę dobroć ułatwić. Sztuki głupie, albo złe, dyrekeya wystawia wbrew swojemu smakowi, chęci, przekonaniu, a nie może ich nie wystawiać, bo publiczność chce widzieć te nowości, o których słyszy i czyta. Gdyby ich nie zobaczyła, oskarżałaby dyrekeyę, że ignoruje nowszy dramat i ducha czasu. Prócz tego, każdy dyrektor, zrazu dobrze przyjęty, przejada się publiczności prędko, i publiczność znajduje się prawie stale w usposobieniu niechętnem, w głuchej wojnie z dyrekeyą. Na to, żeby teatr mógł być dobrym, dyrekeya prawdziwie artystyczną, trzebaby niezależności od łask, upodobań, czasem i od kaprysów widza, czyli: mieć dochody oparte nie na samej tylko kasie teatralnej, czyli: być teatrem rządowym, którego deficyta pokrywa państwo.

Artykuł drugi napisany był z okazji otwarcia nowego teatru w Krakowie w r. 1893. Koźmian, wtedy już oddawna nie dyrektor, stał na boku, i tem swobodniej, tem śmielej mógł mówić, że nie mówił *pro domo sua*. Po ironicznym wstępie o różnych pertraktacjach, o budowie gmachu, o jego zewnętrznym kształcie, o napisie i o tańczących figurach z *Pana Tadeusza* (!) na frontonie, przechodzi Koźmian do kwestyi zasadniczej, i dowodzi, że samo założenie jest błędne, dla teatru szkodliwe, bo poddaje go dwom władzom, dyrekeyi i komisji teatralnej, bo kontrakt stawia warunki tak uciążliwe, że tylko bogaty człowiek może się podjąć dyrekeyi — jeżeli zechce ze swojej kieszeni dokładać do koniecznych wydatków teatru. Na zakończenie sympatyczne, bardzo korzystne zdanie o pierwszym przedstawieniu, o początkach dyrekeyi p. Pawlikowskiego, i doskonałe, na doświadczeniu i szczerem zamilowaniu oparte upomnienie dla aktorów, i dla publiczności. „Dobra publiczność“ — wykształcona i zamilowana w teatrze — „to także szkoła dramatyczna i może brak jej zastąpić“.

Ostatni ustęp książki, to przedstawienie Męki Pańskiej w Ober-Ammergau — bez sielankowego czy lirycznego poetyzowania, owszem ze szczerem przyznaniem słabych stron przedstawienia i niektórych aktorów, z obawą, że znika, może z czasem zniknąć zupełnie naiwny, prostoduszny charakter tych przedstawień, a jednak nie bez poważnego wrażenia, nie bez przejęcia i wzruszenia.

Taka jest treść tej książki. A jej wartość?

Jej wartość, to doświadczenie długoletniego dyrektora teatru; to wrodzony zmysł artystyczny, wyostrzony wysokiemi wykształceniem, doprowadzony do niezwykłego znawstwa; to głębokie i szczerze zamilowanie sztuki, wsparte znajomością wielkich teatrów i wielkich literatur; to bystry umysł, który umie i sądzić, i radzić; to wskazówki, przestrogi, jakie od niechcienia,

nie uprawiając nauk, daje i aktorom, i dyrektorom, i teatralnym krytykom, i wreszcie spektatorom. Wartość wreszcie, to wysoki, szlachetny duch, dbały i o godność sztuki, i o stopień cywilizacji w Polsce.

A wdzięk książki? Wdzięk jest w tej bystrości i subtelności rzadkiej, w rzadszej jeszcze prostocie, w delikatnej ironii, połączonej ze zdrowym, jasnym rozsądkiem, które są cechą tego autora w myśleniu, jak w pisaniu, jak w życiu i stosunkach z ludźmi.

St. Tarnowski.

— Leo (*sic!*) Belmont: *Lew Tołstoj. Życie i dzieła. Zarys biograficzno-krytyczny.* (Kraków, nakład księgarni D. E. Friedleina, 1904). — Jakie stanowisko wyznaczy kiedyś L. Tołstojowi historia literatury powszechnej? Mniemamy, że zasadniczo będzie się ono różnić od tego, jakie mu przypisuje terazniejszość. Od czasów *Kreutzerowskiej sonaty* aż do ostatniego upomnienia *Zastanówcie się!* świat przyzwyczaił się widzieć w genialnym pisarzu rosyjskim nie tylko przedewszystkiem, ale i wyłącznie apostoła, zapominając coraz bardziej o artyście, co prawda idąc w tem za samym Tołstojem, który odtrąca od siebie wspomnienie dawniejszych czasów, dawniejszej twórczości. A jednak już dzisiaj spostrzegać się daje szybkie cofanie się dopiero co aktualnych dzieł i broszur w dal rzeczy coraz bardziej obojętnych. Kilka lat zaledwie minęło od *Zmartwychwstania*, wywołującego wówczas tyle wrzawy, a już książka pokrywa się w szafach bibliotecznych pyłem, żyjąc tylko w dramatycznej przeróbce, po barbarzyńsku efektownej, mimo, że ręką francuską dokonanej, a tymczasem *Wojna i pokój* dzisiaj, jak przed laty, ma to samo historyczne i artystyczne znaczenie. O Tołstoju, jako apostołe, pisano i w Rosyi i u nas i za granicą wiele, może aż za wiele; o Tołstoju, jako artyście, mało, napewne za mało, chociaż on co najmniej trwalszym od tamtego nam się wydaje. Zwłaszcza należy go przypomnieć młodszemu pokoleniu, które *Anny Kareniny* już nie czyta, a o dawniejszych utworach niemal nic nie wie.

Kto tego szukał w omawianej obecnie książce, dozna poniekąd przykrego rozczarowania. P. „Leo“ (po polsku mówi się i pisze: „Leon“) Belmont oczywiście ani o *Wojnie i pokoju*, ani o *Annie Kareninie* nie zapomina, lecz zastanawia się tylko nad ich ideową treścią, o artystycznej stronie problemu nie mówiąc ani słowa, jak w ogóle ani tu, ani nigdzie zresztą nie stawia bohatera swej pracy na tle rosyjskiej lub powszechnej poezyi; o *Władzy mroków* zaś wyraża się tylko, że jest to „dramat przerażający realizmem ciemnych barw a uderzający niesłychanie prawdziwą obserwacją ludu“, i ani słowa więcej. Ten brak jest w naszym sądzie największą wadą książeczki, zresztą z wielu względów godnej czytania. Przedewszystkiem biograficzna część zadania znalazła w p. Belmontcie sumiennego i po-

wolanego pracownika. Autor podając z zewnętrznych kolei losów Tolstoja tyle, ile potrzeba i wystarcza, opiera o ten szkielet dat żywe ciało organicznego rozwoju ducha, pokrótce charakteryzując przemiany jego od dzieciństwa aż do starości, podkreślając zwłaszcza te rysy, które w młodzieńcu już pozwalają przeczuć późniejszego starca z Jasnej Polany. (W rozdziale VII słowa o „znajomości z Froeblem“ wymagają koniecznie objaśnienia, że Tolstoj poznał nie sławnego twórcę ogródków dziecinnych Fryderyka, ale jego bratanka Juliusza Froebła, literata i polityka; sprostujmy jeszcze przy sposobności błędną pisownię panińskiego nazwiska żony pisarza Bers, zamiast Behrs). Najżywiej i najpiękniej pokazany Tolstoj za kaukaskich czasów, na tle zarówno tamtejszej natury, pełnej dzikiej poezyi, a i ówczesnych wypadków wojennych. *Wojna i pokój* po za zaznaczonym już powyżej niedostatkiem określona trafnie jako epopea narodowa z tendencją obniżenia znaczenia woli jednostki na rzecz roli masy narodu. *Anna Karenina* ogromnie powierzchownie zbytek, chociaż p. Belmont powinien był przynajmniej jej ideowej treści dokładniejszy rozbiór poświęcić, nie mówiąc o wspaniałych objawach czysto artystycznego talentu twórcy. Odkąd w Tolstoju artysta schodzi na drugi plan zepchnięty przez apostoła, p. Belmont staje się wymowniejszym, co jego książki bardzo na korzyść wychodzi. Jednej kwestyi jednak i tu nie porusza, być może, że kępowany w tem cenzurą, o ile moralno-religijno-społeczne poglądy Tolstoja wiążą się ściśle—choćby negatywnie—z religijnem (prawosławnem) i narodowem (rosyjskiem) środowiskiem, wśród którego żyje. Tej kwestyi polski krytyk nie wyjaśnia, jak nie wytlómaczył jej przed kilku laty p. E. Zabel, niemiecki literat, autor omawianej tu we właściwym czasie illustrowanej monografii o Tolstoju; a zdaje nam się, że wobec powodzi pism i dzieł o sławnym Rosyaninie z lat ostatnich, to tylko zagadnienie jeszcze czeka na odpowiedź. Końcowe syntetyczne określenie Tolstoja, jako umysłu na wskrós i w pierwszym rzędzie paradoksalnego, jest zapewne słusznem; tylko w takim razie, skąd dalszy wniosek, że mimo to „wart, aby był mistrzem swojej epoki“, i że nim jest. Co do tego ostatniego śmiemy być innego zdania: Tolstoj może wywierać na współczesnych urok (p. Belmont między przyczynami trafnie wymienia i oryginalność życia, rzecz dzisiaj bardzo wpływową), ale o istotnem reformowaniu obecnego społeczeństwa pod działaniem idei i pism Tolstoja nie ma mowy; nawet najgłośniejsza pod tym względem *Kreutzerowska sonata*, prócz mnóstwa broszur, artykułów i t. p., w rezultacie — całkiem naturalnie — skutku żadnego nie miała. Więc mistrzem epoki Tolstoj nie jest. Czy zaś być nim „wart“? To już zagadnienie przekraczające rozmiary sprawozdania z książki p. Belmonta, mimo wszystko cennej. W zewnętrznej formie razi rozsiekanie drobnego w całości dziełka na mikroskopijne roz-

działki, pomiędzy którymi uwaga wciąż się rwie. W stylu nie zaszkodziłaby większa powściągliwość. *Dr. J. Flach.*

— *Ausgewählte Werke*, von P. J. Möbius. Band V. *Nietzsche*. Mit einem Titelbilde. (Leipzig, Verlag von Johann Ambrosius Barth, 1904). — *Friedrich Nietzsche*. Darstellung und Kritik von Jakob J. Hollitscher, phil. doctor. Mit einem Titelbild: M. Kleins Nietzsche-Statue. (Wien und Leipzig, Wilhelm Braumüller, 1904). — Dr. Jan Vaihinger, prof. Uniwersytetu w Halle: *Filozofia Nietzschego*. Z drugiego wydania oryginału przełożył z upoważnienia autora Dr. Kazimierz Twardowski, prof. Uniwersytetu lwowskiego. (Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga, 1904). — W r. 1900 śmierć zakończyła Nietzschego nędzne życie, do wegetowania podobniejsze, a rok ten był także mniej więcej kresem namiętnych okolo jego doktryny krzyków, krzyków namiętnego uwielbienia i namiętnego potępienia. Zniknęły zwłaszcza tłumy karykaturalnych, niewiadomo, czy więcej śmiesznych, czy bardziej szkodliwych „nadludzi“, nie rozumiejących zazwyczaj nic a nic filozofii samotnika z Sils-Maria, ale za to tem zuchwalej nadużywających jego aforystycznych wyrzeczeń, zarówno tam, gdzie niebezpieczeństwo nadużycia w ich treści tkwiło, jak i tam, gdzie chcąc ich nadużyć, trzeba było przedtem wyrwać je z związku, przeinaczyć, przekreślić, pozbawić ich właściwego sensu, a gwałtem ściągnąć do własnego bezsensu. Ale i poważniejszy wpływ Nietzschego na literaturę i sztukę, na kulturę współczesną w ogólności istniejąc do dziś dnia, stracił swój charakter roznamietniający. Słowem Nietzsche przeszedł do historii, przestawszy być aktualnym sztandarem namiętnych walk, stał się przedmiotem badań spokojnych, chłodnych, równie zdala od bezkrytycznego bałwochwalstwa, jak i od odsądzania od wszelkiej wartości się trzymających. Każdy rok, ba niemal każdy miesiąc przynosi rozprawy, broszury, książki poświęcone roztrząsaniu to całości problemu autora *Also sprach Zarathustra*, to poszczególnych jego zagadnień, postępuje nieustannie wydobywanie na jaw nieznanych dotychczas pism lub listów zmarłego, dokonywane przeważnie przez siostrę, która, jak pani Cosima Wagner, jest niezmordowaną strażniczką duchowej spuścizny genialnego krewnego, a ponadto pracuje nad ogłoszeniem wyczerpującej jego biografii.

Z trzech książek o Nietzschem, zebranych w niniejszem sprawozdaniu, najpierw mówić należy o tej, która zajmuje się osobą twórcy filozofii. P. Paweł Juliusz Möbius, uczony i uznany w medycznym świecie patolog, chętnie wkracza w dzierżawy historyków literatury, nie dbając o ich krzyk obu-

rzenia i protestu. Tak było ze znaną naszym czytelnikom książką o Janie Jakóbie Rousseau, potem w stopniu jeszcze silniejszym z dwutomowym dziełem o Goethem, a teraz rzuca na księgarski targ powtórne wydanie ogłoszonego w r. 1902 studjum o *Nietzsche*. Jak poprzednie tomy i ten pozyska niewątpliwie rozgłos, ale może mniej od tamtych wywoła opozycyi. W patologiczność Nietzschego bowiem nikt wątpić nie może, bo dowodzi jej samo życie nieszczęśliwego człowieka. Co najwięcej więc spór może się toczyć o szczegóły psychiatrycznej i patologicznej dyagnozy. Podpisany absolutnie nie ma prawa zabierać w tej sprawie głosu, jego zadaniem jest obecnie streścić medyczne wywody p. Möbiusa, a oświetlić je krytycznie tam tylko, gdzie autor poczyną mówić o kwestyach literacko-estetycznych, w których znowu z kolei on nie jest kompetentnym.

P. Möbius zaczyna oczywiście od rozpatrzenia zdrowia rodziny, z której Nietzsche pochodził. O rzekomem wywodzeniu się z rodziny polskiej, od hrabiów Nieckich, mówi tylko krótko i widzi w fakcie, że Nietzsche uparcie i z upodobaniem o tem powtarzał, raczej arystokratyczne pretensye jego i pyszałkowość. Daleko dłużej zastanawia się nad charakterystyką jego ojca, pastora, człowieka zawsze chorego, sporadycznie cierpiącego na epileptyczne napady, po przykrym upadku tem boleśniej skarżącego się na niedolegliwości mózgowe, wreszcie na parę dni przed zgonem ociemniałego. I matka, z domu Oehler, której twarz zresztą z dołączonego portretu ogromnie mile przemawia, pochodziła z psychopatycznej rodziny, chociaż sama była zapewne zdrowa. Młody Fryderyk, wcześniej muzykalny i poetycki talent objawiający, a za to szczególnie mało uzdolniony w matematyce, od początku był anormalnym. Za symptom wyraźnej chorobliwości p. Möbius poczytuje przede wszystkim jego brak miary, widoczną skłonność do przesady, do superlatywów, fanatyzmu. W szkole już cierpi na krótkowzroczność, ból głowy, migrenę, reumatyzm w twarzy, a jako jednoroczny ochotnik i wnet potem w czasie wojny niemiecko-francuskiej zmuszonym jest szukać ulgi w coraz większych dozach bardzo gwałtownych środków lekarskich. Rzecz pogarsza się wobec tego, że jego, chorego na głowę, nieumiejężni lekarze leczą na żołądek. Tylko pobyt na południu, w Szwajcaryi i Nicei, przynosi przemijające ukojenie. Ale to dopiero stan chorobliwy, nie choroba sama w ostrej postaci. Kiedy ona wybuchła, odkąd można ją dawać? P. Möbius pyta o odpowiedź pism Nietzschego i znajduje, że pierwsze filozoficzne rozprawy były wprawdzie pełne namiętności i przesady, ale tak porywające, iż budziły jak najlepsze nadzieje. Książka o *Narodzinach tragedyi* wrywa z ust Ribbecka określenie *holder Wahnsinn*, uczony filolog jednak bynajmniej się o to nie gniewa, owszem, sądzi, że taka rozprawa odświeży strupieszalą i skostniałą filologię. P. Möbius swoją drogą zapał

dla Dyonizosa uważa za charakterystyczny objaw chorobliwości, bo Dyonizos jest „właściwie bogiem histeryi“, a upodobanie w nim Nietzschego stwierdza prawdziwość zdania *les nerveux se recherchent. Menschliches, Alkzumenschliches* już bardziej współczesnych gorszy, a poczciwy Ribbeek załamuje ręce z rozpacz i przyjaciela za zgubionego uważa. P. Möbius zaś z ubolewaniem notuje aforystyczny charakter dzieła, uważając tę formę za dowód braku stateczności i panowania nad sobą. „Zrazu podobnym był Nietzsche do badacza przyrody w dziewiczym lesie. Ten bierze wszystko, co mu w rękę wpadnie, ile możności jak najwięcej, zawsze w tej myśli, że w domu bogatą zdobycz uporządkuje i opracuje. I Nietzsche, gdy najróżnorodniejsze myśli z trudem z siebie wyładowywał i nagromadzał, miał zamiar uformowania z nich kiedyś wielkiego, pragmatycznego dzieła. Ale poszło mu tak, jak gdyby przyrodnik paki za pakami do domu posyłał, a o powrocie zapomniał“. W zasadzie Möbius oczywiście ma słuszość, chociaż w ocenieniu faktu dopuszcza się sam przesady. Prawda, że i on sam stanowczo chorobie przysądza dopiero ostatnie rozdziały *Wesołej wiedzy* i napisane w r. 1885 *Jenseits von Gut und Böse*. Kardynalnym symptomem jest jego zdaniem ujawniająca się tu t. zw. euphoria, t. j. niezasadniona radość, tryumf, wybuch dumy i pychy. Ze słowami *incipit tragoedia*, kończącemi czwartą księgę pierwszego z wymienionych dzieł, zaczyna się istotnie tragedia Nietzschego. *Zarathustra* to już zupełny twór chorego na umyśle: „bez chorobliwego podrażnienia mózgowego“ byłby niemożliwym, a wywołany został m. i. chloralizmem filozofa, który w tych czasach w strasznie nadmiernych dawkach środków usypiających widział jedyne lekarstwo na codzienne udręczenie. Autor omawianego studium dla tego dzieła jest najsurowszym, pogardliwie wyraża się o jego filozoficznej wartości, piętnuje aż zbyt dobitnie niewątpliwie istniejącą brutalność i chorobliwy niesmak obrazowania, a już wprost błędnie lubowanie się w parach wyrażen podobnych brzmieniem a sprzecznych w znaczeniu, kwalifikuje jako objaw patologiczny; przecież używanie zwrotów, jak n. p. „*bessern und bösern, Leisetreter und Leisebeter*“ i t. p., to rzecz dobrego lub złego smaku estetycznego, a nie zdrowego lub chorego mózgu. Inaczej ma się rzecz z wściekłymi wybuchami niewąsności, często gminnymi i bezwstydnymi, na szczególniejszą zaś uwagę zasługuje głośne potępienie przez uczonego patologa niesłychanie namiętych wycieczek przeciw chrześcijaństwu. „Poniekąd pociechą jest fakt, że najszeptniejszy rys w obrazie Nietzschego, jego ulicznikowskie wyzywanie chrześcijańskich nauk i urzędzeń, całkowiec można zapisać na rachunek mózgowej choroby“. W Sils-Maria i Nicei następuje pewne uspokojenie i trwa jakiś czas, aż koło r. 1886 znowu stan się pogarsza i zbliża się krytyczny rok 1888 z rzuceniem się na Wagnera

i na chrześcijaństwo. W przetłómaczonych niedawno przez p. Stanisława Wyrzykowskiego *Dytyrambach dyonizyjskich* jest jakby mgliste przeczucie nadciągającego końca:

Radości, złota ma, przyjdź!

Tyś jest śmierci

poprzedniczką najmilszą, najśłodszą.

Katastrofa postępowego paraliżu przypada na czas między 28 grudnia 1888 r. a 9 stycznia 1889 r. Nietzsche wyszedł z domu i padł na ulicy. Zawieziony do mieszkania w letargicznym śnie jest, potem budzi się, mający o Dyonizosie i Pasiyi ewangelicznej, pisze gwałtowne urywkowe listy przeciw Bismarkowi, Wagnerowi, szwagrowi, siostrze, podpisuje je „Dyonizos“ albo „Ukrzyżowany“... Przewieziony do Bazylei do zakładu obłąkanych, jest tam tydzień, raz spokojny, to znowu hałaśliwy i rozanimowany; gdy matka go odwiedzała, wita ją radośnie, aż nagle w toku rozmowy staje i woła: „Jam jest tyran Turynu“. W połowie stycznia dostał się do zakładu w Jena, potem był pod opieką matki w Naumburg, po jej śmierci pielęgnowała go w Weimarze siostra, p. Elżbieta Förster-Nietzsche; 25 stycznia 1900 r. śmierć położyła kres jego życiu... Sekcyi zwłok nie dokonano, jak p. Möbius dodaje: „niestety“...

Czytać tego bez szczerzego wzruszenia niepodobna. A gdy się dowie, że medyczna strona wywodów p. Möbiusa bądź co bądź w fachowych kołach protestu nie wywołała, że nawet siostra filozofa nie tając, jak ta książka jest przykrą dla jej uczucia rodzinnego, za fałsz jej nie podała, gdy się o tem pamięta, to przyjmie się jako uzasadnione dwie przestrogi, któremi p. Möbius zamyka dzieło: jedną zwraca do uczonych, by tłómacząc pisma Nietzschego i widząc w nich sprzeczności, nie usiłowali ich wyrównać gwałtem, z pomocą podejrzanych sztuczek komentatorskich, bo one tam być muszą; a drugą do czytelników: „Gdy znajdziecie perły, nie sądzcie, że całość jest jednym sznurkiem pereł. Bądźcie niedowierzający, bo ten człowiek jest chorym umysłowo“.

Krytycznie patrzy na przedmiot swego studyum i p. Jakob Hollitscher. Jego książka daje całokształt materiału: najpierw biografię, potem streszczenie pism filozofa po kolei, wreszcie ich krytykę. Pierwszy rozdział wcale dobrze orientuje, chociaż tu i ówdzie nasuwają się poważne zarzuty. Tak n. p. nie sądzimy, aby można było tak silny kłaść nacisk na pastorskie pochodzenie Nietzschego i niem wyjaśniać jego nieumiarkowanie, zapaleczywość. Gdy p. Hollitscher skarży się na trzymanie w ukryciu źródeł biograficznych przez rodzinę zmarłego, to ma nas po swojej stronie, a taksamo chętnie wierzymy, iż zbadanie stosunku Nietzschego do Burkhardta wykazałoby uleganie

wplywom sławnego historyka renesansowej kultury (p. Hollitscher umie nawet już teraz udowodnić to na drobnym a charakterystycznym przykładzie), natomiast mniemane uleganie Goethemu za pośrednictwem znanych *Rozmów* z Eckermannem, wydaje się i nam, jak wielu innym krytykom, hipotezą śmiałą a ostatecznie nie wiele mówiącą. Drugi rozdział, streszczający w chronologicznym porządku dzieła i rozprawy filozofa, ma niejako dwa oblicza: temu, kto samodzielnie przeczytał to wszystko, p. Hollitscher jest tu niepotrzebnym, może nawet szkodliwym, bo odzierając aforyzmy Nietzschego z ich bezpośredniej siły i świeżości, niejednokrotnie odbiera im to, co jest ich istotą; ale kto z Nietzschego czytał sam bardzo mało — a takich jest wiele, więcej niż się mniema — temu streszczenia, aczkolwiek suche i trochę drewniane, bardzo się przydadzą. W trzecim i czwartym rozdziale autor odrzuca określenie Nietzschego jako optymisty, określa go jako „pessimistycznego idealistę w odzieniu... dyonizyjskiego hedonizmu“, wreszcie szczegółowo, jak z natury rzeczy wynika, ocenia jego etykę. Ustęp o Nietzschem jako „barokowym artyście niemieckiej prozy“, z ram tego rozdziału występuje, ale jest trafny i doskonale uzupełnia i prostuje odpowiednie wywody Möbiusa.

Książka p. Hollitschera powstała z wykładów: podobnym jest i początek daleko mniejszej pracy pióra p. Jana Vaihingera, która weszła do lwowskiego wydawnictwa *Wiedza i Życie*. Jej tłómacz, prof. Kazimierz Twardowski, powagą swego naukowego imienia ręczy poniekąd za jej użyteczność. Książeczka niewielka może się znaleźć w rękach każdego wykształconego czytelnika w Polsce, a znajdzie ich zapewne tem więcej, że inne i większe i może cenniejsze, tłómaczów polskich dotychczas nie zyskały. W stosunku do p. Hollitschera najprzychylniej wita się tu skromną wprawdzie próbę oznaczenia historycznego stanowiska Nietzschego w dziejach filozofii, a nie nowe zresztą spostrzeżenie, że przed nim tacy mężowie, jak Laroche Foucauld, Pascal lub Lichtenberg, używali także aforystycznej formy, będąc przecież niepodejrzanie zdrowymi na umyśle, przydałoby się p. Möbiusowi. Krytyczna i komentatorska strona dziełka nie jest bez zarzutu. Naprzód samo traktowanie materii w siedmiu ściśle rozdzielonych punktach wydaje się szkolarskiem i mechanicznem, powtóre zaś te siedem określeń filozofii Nietzschego jest wyłącznie negatywną etykietą: antipessimistyczna, antichrześcijańska, antidemokratyczna, antisocyalistyczna, antifeministyczna, antiintelektualistyczna, antimoralistyczna. Czy nie za dużo tych „anti“? W krótkiej przedmowie p. Twardowski oświadcza, że „tłómacząc, starał się nie wykroczyć przeciwko duchowi języka polskiego“. Dążność zaista chwalebna, lecz czy na tem ścisłość naukowa nie ucierpiała, to inne pytanie. *Wola do potęgi* to oczywiście barbaryzm językowy,

lecz czy tłómacz kładąc zamiast niego *Żądzą mocy* jako równoważnik niemieckiego *Wille zur Macht*, oddaje dokładnie sens oryginału, o tem pozwolimy sobie wątpić.

Pierwsze dwie z wymienionych w nagłówku książek przynoszą podobizny Nietzschego. Klingera biust, zdobiący dzieło p. Möbiusa, cennym jest nie tylko dla artystycznej swej wartości. Robiony według maski pośmiertnej, ma wagę dokumentu.

Dr. J. Flach.

— *Terres mortes*, par André Chevrillon. (Paris, Hachette & Cie.). — Najłatwiejszy — na pozór — dział piśmienniczy: podróże, do najniewdzięczniejszych zaliczyć wypada, tak w nim trudno uniknąć banalności i... nie znudzić czytelnika. Szkopuł leży poniekąd w samym przedmiocie. Czemże bowiem jest podróż, jeśli nie przejażdżką po nieznanym miejscowościach, w której brak czasu na obejrzenie dokładniejsze tysiąca pod oczy nasuwających się przedmiotów, a cóż mówić o poważnym onych zbadaniu. Wyjąwszy specjalistów, prowadzących raczej studia, niż odbywających podróż w wyż-określonym pojęciu, wszystkie owe, jakim bądź ochrzczone mianem „wrażenia, listy, wspomnienia z podróży“ są pobieżnie skreślonym szkicem pobieżnie oglądanych przedmiotów i powierzchownym, niejednokrotnie błędnym sądem, zwłaszcza gdy idzie o zewnętrzne życie narodowe. Z drugiej znów strony jakiś powszechny brak perspektywy w ocenie własnych przygód, podniesienie błahych zdarzeń do rozmiaru zajmujących wypadków, które, co prawda, dotkliwsze są wśród obcych ludzi i krain, niż na własnych śmieciach, ale żadnej wagi nie mają dla czytelnika, dodają nudnego balastu do lekkiego naukowego bagażu i wytwarzają jeden z tych bezbarwnych rodzajów piśmiennictwa, który ani zająć ani nauczyć niczego nie zdoła. Traf szczęśliwy, jeśli styl lub opisy przyrody, z rzeczywistym poczuciem jej czaru, ratują sytuację.

P. Andrzej Chevrillon, siostrzeniec H. Taine'a, stanawszy na podnioślejszym gruncie, uniknął tej swego rodzaju Scylli i Charybdy: płytkości i nudów. Prawda, że te *Ziemie umarłe*, które zwiedza, to kraje wielkiej dziejowej przeszłości, Egipt i Judea, i że wpływ cywilizacyjny tej ostatniej tętni do dziś w całym świecie. Więc dostarczają mu one wtku do rozmyślań, tem bardziej, że autor myśleć umie i lubi. W piramidalnych grobowcach Gizeh, Sakkarah, Dahur, Meidum i w drobniactwach codziennego życia umie on dojrzeć coś takiego, co obchodzi wszystkich, a wielka wrażliwość na przyrodę kusi go do oddania słowem malarskich efektów, tak, że czytelnik zainteresowuje się pustynią.

Opis swój, rodzaj dziennika czy pamiętnika (dat jest mało i w długich od siebie odstępach, ale kartki są podzielone na krótkie, niby dorywczo dzień po dniu spisywane notatki) rozpoczyna p. Chevrillon z tą chwilą i od tej granicy, na której

rozstał się z dzisiejszą cywilizacją europejską, a stanął wobec starego Egiptu nad rudemi wodami Nilu przewalającemi się ku morzu z siłą nieznaną naszym rzekom. Zachwyca go ta żywiołowa potęga rzeki, jej łożysko szerokie, jak odnoga morska głęboko w ład wżarta, parcie masy wodnej pomarszczonej w niezliczone łuski goniące jedna drugą i woła: *Cela n'est pas européen, c'est trop vaste et trop fort! On sent le fleuve d'un très grand continent.* Piramidy, sterzące na pustych równinach, nie schodzące z widnokregu przez dzień cały, przygniatają go jak zmora, ale porywa go ich znaczenie, „protest ducha przeciw śmierci i nicości; godność ludzka w nich się odzywa“.

Lubuje się w monotonii egipskiego krajobrazu, w fantasmagoryach przezczystego suchego powietrza przepalonego podzwrotnikowym słońcem, dopatruje się w nich treści i mówi: *Les lignes et les formes du pays parlent de l'éternité... Vraiment ici le divin est visible dans cet élat, dans cette cristalline pureté de l'air allégé, où les choses semblent se sublimer.*

Rankiem, niebo, acz blade, zieje takim blaskiem, że się mrużą oczy. Liście palm lśnią metaliczną zielenią, po której przebiegają połyski złote, pasmo wzgórza, za którym wschodzi słońce, przeobraża się, wydaje się przejrzystem, rzekłbyś, że słońce prześwieca przez ciężką materję i czyni ją nieważką. Nil zaczyna błyszczeć, jak gdyby na dnie jego rozpałały się ognie i wydobyć chciały na powierzchnię, fala się rumieni, drga, rozświeca i już nie rzeka, ale jakiś szlak blasków toczy wspaniale, mieniając się purpurą i złotem, cieniując fioletem i bronzem o gorących tonach. Słowacki wybornie to określił zwieżłym jednym wierszem: „Tęcza blasków promienista“, i mimowoli, czytając dłuższe opisy prozaika, przypominają się treściwe a tak przedziwnie piękne strofy poety.

O zmierzchu nowe cuda i dziwy. Krajobraz uduchowil się, wyżyny przybierały eteryczną lekkość, ciągnęły się jak pasmo obłoków różowych i złotych, cieniowanych błękitem i szafirem i rozwiewały się u stropu. Gdy słońce zapadło za widnokrug, wszystko blade i ciemniało, *et une ombre inquiétante de nuit, large comme un arc-en-ciel, se mettait à monter vers le zénith avec des allures furtives*; przez chwilę wszystko w mroku i na nowo noc się zaczyna nasycać odblaskiem różowym bledziuchnym i dzień świta w czarodziejskich zorzach.

Parowiec sunie w głąb kraju, brzegi Nilu zlewają się z łądem, zapelniając niemal całą widomą przestrzeń. Rozmaitości mało. Czasem łódź przemknie o prastarym kształcie Ozirisowych łodzi, trójkątny żagiel błysnie pod słońcem, ptak drapieżny kołuje w powietrzu, a im dalej, tem światło dzienne wydaje się lotniejszym, cisza głębszą, samotność bezbrzeżniejszą. Autor zatapia się w niej z niewysłowioną jakąś rozkoszą.

Czasem parowiec zatrzymuje się przy jakiej nędznej wioszczynie fellahów, *petite végétation humaine qui s'est mise à pousser là comme ces dattiers, comme ces orges qui, le long du Nil, font une trainée verte à travers le désert, simplement parceque le fleuve est là*. Pośród pni palmowych, prostych jak kolumny, chatki ulepione z mułu, podobne do skarłowaciałych piramid, przechowują dotąd kształty najdawniejszej architektury. Na widok przybyszów ludność wybiega z lepianek: dziatwa o zbronzowanej skórze, kobiety o zwiędłej cerze, zasuszonej jak pergamin, ale poważnie w draperyi sztywnej tkaniny; za ludnością ciągnie domowa chudoba, osły zwawe i dzielne jak rasowe konie, bawoly o bezmyślnych oczach, głupowate wielbłądy i żółte psy. Uradowani z przybycia Europejczyków krajowcy spieszą sprzedać swe zapasy; rozpoczyna się targ zgiełkliwy, wrzaskliwy, namiętny, a na zaimprovizowanym rynku: „Jedno jajo, jeden serek, trochę mleka, cztery cebule i trzy kawałki trzciny cukrowej“!

Parowiec daje sygnał odjazdu, świst przeraźliwy piszczałki płoszy wszystkich, dziatwa pierzcha z krzykiem jak strwożone stado wróbli, a na pokładzie sternik milczący kieruje uważnie statkiem, wydaje zwięźle rozkazy i o naznaczonej na modlitwę porze klęka, bijąc pokłony w stronę Mekki. *Voilà la vie primitive, où l'individu n'existe pas encore; tout rêve, toute pensée, toute action enserrés, fixés dans des formes invariables et simples, les mêmes pour tous les membres d'un groupe humain, faisant les vies toutes semblables, comme celles d'un groupe de fourmis*.

„Sto mil od brzegu i sto mil za brzegiem“ autor spotyka pierwszą świątynię egipską, nawpół zasutą piaskiem. Stupieje na jej widok. Jestto coś niskiego — pisze — coś krępego, rodzaj bastionu o kształcie trapezu ciężko osiadłego na szerokiej podstawie. *L'émotion est grande: cela décoconcerte*. Otóż to — filozofuje w dalszym ciągu — wyraz zewnętrzny uczuć i pojęć religijnych, jakimi się karmiła cywilizacya dziś zamarta, ale której część jakaś nieświadomie przedostała się i do nas, tylko z tak daleka i z tak dawna, że nie umiemy powiązać ogniw wspólnie nas łączących. Jakie to poważne, ponure, jednolite, *terriblement absolu et simple!*

Schodzi do tej świątyni odgrzebanej z pod wiekowego pyłu i na widok czterolicej, jak naszego Światowida, twarzy Hatora, wyrzeźbionej na każdym czworoboku 24 kolumn — jednakiej, poważnej, tajemniczej, z jakimś spokojem wyższym nad wszystkie burze żywota, woła z podziwem, przypominającym podziw Jakóba, gdy się zbudził ze snu na pustem polu z kamieniem pod głową: *Vraiment cela sent l'Eternel!* „Zaiste był tu Bóg, a ja o tem nie wiedziałem!“

Widok Karnaku potęguje to wrażenie. „Jak go opisać? jak o nim mówić? To się nie da wyrazić słowem ani odmalować pendzlem, podobnie jak Alpy i ich lodowce. Jest w nim ten

pierwiastek artystyczny, którego wypowiedzieć nie podobna, coś przechodzącego zwykłą skalę naszych pojęć. Karnak, to ruiny miasta zamieszkiwanego nigdy przez bogi, miasta z głazów granitowych, olbrzymich, tak ciężkich i tak jednakiej miary, iż położone jeden na drugim trzymały się własnym ciężarem tak szczelnie, iż potrzeba było trzęsienia ziemi, by je rozspoić. Nieco cyfr da choć trochę pojęcia o tych ogromach. Oś świątyni mierzy pół kilometra długości. Od północnych do południowych drzwi 700 metrów; niektóre odrzwi są wysokie na sto stóp, „pylon“ zachodni mierzy 113 metrów szerokości na 15 metrów grubości. W sali „hypostylowej“ kościół Notre Dame paryskiej zmieściłby się z łatwością, a kolumna Vendôme zginęłaby wśród innych niepostrzeżenie; architrawy są złomami granitu o 25 stóp długości. *On rôde là-dedans avec stupeur*“.

Najciekawsze z ustępów są te, w których autor stara się odgadnąć z rzeźb, płaskorzeźb, mytów, symbolów, zasadniczą myśl religii Egipcyan. *Au total* — powiada — *c'est ce mystère de la vie, de sa transmission, de sa continuité, qui fait le fond commun de toutes ces vieilles religions objectives de l' Orient*. W końcu dodaje: „Symbole ich głębokie mają znaczenie i ani jedno z wielkich podstawowych pojęć naszych nie jest w nich pominięciem“.

Judea, odmienna od Egiptu, odmienne budzi wrażenia, ale autor, poeta i myśliciel, wszędzie znajduje materiał dla rozumu i uczucia. W Egipcie zachwycał się samotnością obszarów pustynnych, gdzie spojrzenie, niczem niekrępowane, sięgało do możliwych granic wzroku; w Judei ujmuje go wdzięk ubogiego krajobrazu z klasycznymi oliwnymi drzewami, z równiną Saronu puszystą jak perki kobierzec, z horyzontem zamkniętym siniejącym pasmem wyżyn. Grunt wzgórkowaty, *une terre à cantons, à tribus séparées, à légendes locales*. Bawi go zgłębienie na rynku w Jaffie, ludność zmieszana ze zwierzętami: psy, owce, osły, kozy, wielbłądy są wszędzie jak u siebie; zachwycają go typy semickie o przedziwnej nieraz czystości linii, postaci beduinów poważnych jak magi, kobiet zakwefionych, powolnym krokiem idących czerpać wodę ze studni, a z wąwozu wysuwa się stado wielbłądów i sielanka biblijna, Rebekki i Eleazara, staje przed oczyma jak żywa...

W synagodze, w dzień sobotni, podczas modłów, czuje się samotnym i odosobnionym, jak natręt, który wtargnął do obcego domu i podpatruje tajemnice rodzinne. Na trybunie, młody Izraelita o bladej twarzy i myślących oczach, góruje nad tłumem i spogląda nań głębokim i łagodnym Chrystusowem spojrzeniem, a tłum wybladły, wychudły, jak gdyby zużyty własną tyłowiekową egzystencją, miota się w modlitwie nerwowo, woła, płacze, jęczy, krzyczy... Naród to inny, różny od nas, zapalczywy, „twardego serca“, krewki, dziś taki, jak przed laty. Autor pa-

mięcią cofa się o dziewiętnaście wieków wstecz, i zdaje mu się, że się dłoń odwarza

Kalwaryjskiego przytomność cmentarza,
 Że z po za wieków upłynionych tyła
 Powraca znowu zobecniona chwila,
 W której wśród niebios i ziemi stworzenia
 Zmarł Wszechstworzyciel wobec wszechstworzenia.

Patrzac na gwałtowność modłów i ruchów, na zaognione twarze i oczy, pisze: *On comprend qu' autrefois, libre et maître chez lui, ce peuple ait massacré l' infidèle qui touchait à la loi, on comprend toutes les tragédies sanglantes et sacrées de la Bible.* I przewodnik Syryjczyk odczuwa to instynktowo, zaczyna się niepokoić, *l' antique effroi du chrétien devant le juif lui revient*, chce wyjść coprędzej z synagogi, szepcąc, że niebezpiecznie przebywać w niej długo, że mogą się pokusić o przelanie krwi im nienawistnej...

„Przelania krwi“ — dodaje z ironią autor — obawiać się nie trzeba, ale w istocie wszystko, co go otacza, oddziałują nań w jakiś dziwny sposób. Wychodzi, błąka się po mieście, wydostaje po za mury, w „dolinę śmierci“, dolinę Jozafata, po za ogród Gethsemani i przejęty wspomnieniami szepce: *Toute la douleur de la Passion s' est enfoncée dans cette campagne où la nature a pris des aspects de désespoir, de deuil morne, qu'elle ne peut pas avoir ailleurs. Pour se rapprocher sûrement de Jésus, qu'est ce que peut valoir la lecture de son agonie devant ce paysage dont son regard a certainement suivi les lignes et qui se reflète en ce moment dans mes yeux? Ces silhouettes de montagnes, là-bas, derrière la ville, l' ondulation de ce plateau pierreux où va tomber ce soleil de Palestine, tout cela est éternel: rien ne peut avoir changé. Ce pays est vraiment triste jusqu' à la mort.*

I nagle, w te pamiątki wielkie, święte, uroczyste wpada, jak nuta zgrzytająca w muzykę Jankła, scena z powszedniego życia europejskiego: otwarcie kolei żelaznej w Jaffie. Dworzec cały we flagach czerwonych, zahaftowanych w półksiężycy, paszowie nadęci, imany uroczyści, lokomotywy pomalowane jaskrawo i trzy barany o pozłoconych rogach, które mają paść pod nożem, przy modłach imanów, na ofiarę Allaha *pour que les locomotives Baldwin fonctionnent sans accidents!*

Rzecz jest napisana ładnie i zajmująco. Wprawdzie wołałoby się trochę więcej siły, gdzieś tam więcej jasności i precyzji, ale za zasługę wielką autorowi policzyć trzeba, że stara się postawić na miejscu innych, wejść w myśl i uczucia ludzi obcych sobie cywilizacją, zejść ze swego punktu widzenia, a stanąć na punkcie widzenia drugich, by wytlómaczyć, wyjaśnić fenomena ich życia społecznego, politycznego i religijnego.

U ogółu książka ta powodzenia wielkiego nie znajdzie, ale czytelnik wykształcony przeczyta ją raz jeden i drugi.

Ledjan.

— *El Romanticismo en Espana* par Enrique Pineyro. (Paris, Garnier Hermanos, librerros editores 1904). Epoka romantyczna w Hiszpanii przedstawia dla badaczy pole bardzo wdzięczne i godne głębszej uwagi i zastanowienia. Jest ona jedną z kart historii wzajemnego oddziaływania na siebie literatur z obu stron Pirenejów, ale dotąd mimo względnej łatwości zadania, teren tak obfity nie został wyzyskany przez badaczy ani francuskich, ani hiszpańskich. A jednak zadanie jest piękne i przedstawia momenty europejskiego znaczenia i powszechnej doniosłości. W wiekach średnich Francya przesyłała za Pireneje płody swej liryki, potem znów Hiszpania udzielała jej swych romansów, dramatów, opowiadań realistycznych, z których jak ze złotej rudy wydobywano arcydzieła literackie francuskie, kształtujące obcy metal zgodnie z prawidłami smaku, aż wreszcie zmieniły się role i Encyklopedyści stali się znów wzorem dla Hiszpanów. Upadały stare tradycje literatury kastylskiej i nowe rodzaje literackie, nowe idee i kierunki przetworzyły treść i formę literatury tak dotąd konserwatywnej i obcej wszelkim wpływom i naśladowaniu. Taki charakter posiada w pierwszym rzędzie cały szereg pisarzy wieku XVIII a następnie i nowi, którzy świt romantyzmu zapowiadają za czasów wojen o niepodległość narodową. Są nimi rycerski i namiętny Quintana, piorunujący gromko na najeźdźców zagórskich i Gallego, szczerzy i wytworny mimo tonu nieco patetycznego i wieszczego. A jednak czuć było w nich jeszcze woń wieku oświeconego, pewną sztywność poruszeń i mechanizm wierszowy, brak plastyki i słabość wyobraźni, co znać wyraźniej jeszcze u poetów grupy sewilskiej jak Arjona lub walenckiej jak Reinoso. Zwolna przecież wnikał do kraju prąd romantyczny, który przedstawiają czytani z zajęciem Byron, Chateaubriand i poeci niemieccy. Jeden z współczesnych historyków literatury hiszpańskiej Fitzmaurice Kelly widzi w Martinezie de la Rosa jednego z najlepszych wyobrazicieli wczesnego romantyzmu, co jest błędem niewybaczonym, gdyż ten ostatni niższym był niezmiernie pod względem poetyckiego natchnienia od poetów patryotów, jak wymienieni już Quintana i Gallego. Wszystko, co pisał jest naśladowaniem, wszędzie retoryka i napuszoność rażą ogromnie i przypominają typowe okazy zamierającego pseudo-klasycyzmu. Prawdziwym romantykiem, którego natchnień trzeba szukać u Byrona, jest dopiero epik de Rivas, barwny jak stara kastylska legenda a płomienny jak słońce andaluzyjskie. On dał pierwszy program romantyzmu i wzory tyle oryginalne, że mogły torować drogę następcom. Za nim idą dopiero demoniczny Espronceda, pesymista Cabanyes, patetyczny i religijny Zorrilla,

błyskotliwy Tassara, fantastyczny i dowcipny Herrerros, smętny Larra i wielu, bardzo wielu innych.

Z prawdziwą tedy radością otwiera dziś każdy interesujący się literaturą hiszpańską książkę, która naprawdę pierwsza porządkuje tak bogaty materiał literacki i w sposób systematyczny i przedmiotowy traktuje każdy z objawów bardziej wybitnych prądu, który, podobnie jak w innych literaturach, nie przeszedł bez głębokiego śladu w umysłach i kulturze Hiszpanii. To, co wiedziało się o nim, było zbyt ogólnikowem i dostosowanem do rozmiarów całości literackiego dorobku półwyspu, albo zupełnie przestarzałem i niewyczerpującem. Krytyk, którego książkę omówić mamy, zna tę całość olbrzymią i różnorodną, ale z umiłowaniem poświęca się głównie literaturze współczesnej a także tej, która rozwija się daleko od metropolii, w krajach używających języka hiszpańskiego czyli w środkowej i południowej Ameryce. Sam zaznacza skromnie w przedmowie, że pragnie dać tylko szereg portretów wybitnych romantyków i nie myśli powtarzać tego, co o romantyzmie wypowiedziano już wszędzie i co stosuje się też do hiszpańskiego. Był on liberalizmem w literaturze, jak dobrze wyraził się o nim Hugo, był zwrotem do tego, co poprzedziło panowanie Burbonów w Hiszpanii i odrzuceniem wszystkiego, co trąciło obcością i sztucznością. Zapomniani i pogardzeni Lopez de Vega i Calderon zostali uznani ponownie szczytami natchnienia kastylskiego tem łatwiej, że wielkość ich głosili w Niemczech Schleglowie a za nimi inni krytycy europejscy. Znakomity krytyk Lista, wychowany cały w tradycjach klasycznych, nie zwalczał przecież nowego kierunku, ale owszem popierał go gorąco na wykładach w madryckiem Ateneum, w czem pomagał mu również żarliwy miłośnik starego teatru Duran. Pierwszym więcej może chronologicznie ale nie pod względem uzdolnienia wyobrazicielem nowych idei jest Larra, dramaturg, nowelista i krytyk romantyczny. Dzieciństwo spędził we Francyi, potem wiódł ruchliwe życie wśród młodych literatów madryckich, którzy znali go z jego wrodzonej sarkastyczności, miał wiele awanturek miłosnych, w pisma swe prznosił siebie i swe przejęcia duchowe. W swych komedjach szedł za wzorami francuskimi, następnie zapalił się, jak wszyscy romantycy, dla Walter-Scotta i ballad Goethego i Schillera a także poezyi Wiktora Hugo. Mimo naśladowania obcych form wkładał w nie przecież treść własną i czerpał z bogatego skarbcza legend narodowych. Arcydziełem jego nowel romantycznych jest *El Doncel de Don Enrique*, napisana stylem malowniczym i namiętym, dramat *El Macias* jest nieco szary w kolorycie i deklamacyjny mimo niewątpliwej prawdy historycznej i intuicji. Poeta rymował z trudem, oraz więcej miał inicjatywy niż geniuszu. Otworzył drogę innym jak Gutierrez i Hartzenbusch a jako krytyk oceniał plody swych towarzyszków nie tylko z sympatją, ale i znaw-

stwem niezrównanem. Powaga krytyki w literaturze datuje się dopiero od niego a wykonywał ją z godną podziwu bezstronnością i niezależnością. Dla literatury dawnej miał cześć niekłamana a nie lubił tylko epoki niewolniczego naśladownictwa Francuzów i kosmopolityzmu w literaturze.

Książę de Rivas wystąpił na widowni nieco później, ale przewyższył swego poprzednika nie tylko siłą ale i rozległością twórczego talentu. Zakrój miał epicki i pod wpływem zwyciężającego romantyzmu francuskiego snuł swe legendy historyczne, w których bogata treść nie szła w zawody z mistrzowską formą. Ta ostatnia okazywała zawsze pewne zaniedbanie i obok pięknych ustępów spotykało się wiele słabych i niewykończonych. Dramaty okazują pewne pokrewieństwo z francuskimi i obfitują w sceny nader energiczne i liryczne. Najwyżej stawia z nich krytyk *El desengano en un sueño* (Napomnienie we śnie), symboliczny i wcale głęboki w pomyśle a godny stanąć obok twórców Byrona. W ostatnich latach życia, spędzonych w Neapolu, wrócił znów poeta do ukochanych legend historycznych i opiewał wielkie dziejowe wypadki, jak wzięcie Grenady i inne. Natomiast Gutierrez i Hartzenbusch nie mieli nigdy wiele popularności, choć obaj nie są wcale słabsi zdolnością od takiego Larry. Nie umieli jednak dać dojrzeć swym utworom, tworzyli gorączkowo i szybko, co zaważyło bardzo w ich literackiej karierze i nie dozwoliło stworzyć doskonałego dzieła. Jednakże *Los Amantes de Teruel* drugiego odznaczają się szeregiem figur nader żywych i pociągających a cały dramat technicznie szczera poezją i uczuciem. Hartzenbusch, mający za ojca Niemca, lubił też bardzo poezją Schillera, którego przekładał niejednokrotnie. W końcu życia został erudytem i jako dyrektor Biblioteki Narodowej ogłosił wiele cennych prac filologicznych. Typem romantyka jest w całej pełni jednak Espronceda. Osobisty, krańcowy, namiętny, zgorzkniały, nosi słusznie nazwę hiszpańskiego Byrona a lirycznym tekstem przewyższa wszystkich, nie wyjmując Tassary, Zorilli i Campoamore. Życie jego stało w zupełnej harmonii z dziełami i jedno wyjaśnia drugie.

Charakter miał śmiały i nieugięty, co ściągnęło na niego wielokrotne prześladowanie i uwięzienie. Nieszczęśliwa miłość rzuciła na te prochy zarzewie wiecznie płonące, Byron, Shelly, Keats, Musset, Hugo, rozplomienili gorąco już od dzieciństwa wyobraźnię. W czasie powstania listopadowego marzył o wzięciu udziału w walce przeciw wrogowi wolności Mikołajowi, całe życie podzielał gorąco sympatyje dla Polski wraz z najszlachetniejszymi ludźmi Europy. W r. 1840 wydał szereg utworów, w których prawda uczuć, siła plastyki, rozmaitość form była istotnie zadziwiająca i przewyższała wszystkich dotychczasowych liryków hiszpańskich. Rytmy naginały się w nich cudownie do treści, ironia bezlitośna i ostra stwarzała klejnoty satyry, obrazy

olśniewały. Niestety, upadek talentu przyszedł szybko i piękne nadzieje w przyszłość poety rozwiały się niepowrotnie. Zorilla był już więcej monotonnym i gadatliwym, choć dramaty jego miały rozgłos duży a ograniczały się wedle trafnego określenia Meriméego do modernizowania wzorów dawniejszych. W istocie Zorilla dawał mało od siebie, choć płodnym był niezmiernie i łatwość pisania posiadał niepowszednią. Z innych romantyków poświęca wreszcie krytyk dłuższe uwagi poetce Avellaneda. Gdy wystąpiła około r. 1840 z pierwszym tomem poezyi w Madrycie, skupiała w swej osobie wszystkie dary natury: młodość, piękność, talent. Przedstawiała w swej liryce dziwne zjednoczenie się harmonii klasycznej takiego Quintana lub Gallego z liryzmem czysto romantycznym a paleta jej była niewyczerpaną w barwach i efektach. Melancholia przeważała w jej nastroju a w pojęciu miłości była zawsze, co zdarza się najrzadziej, tylko i wyłącznie kobietą:

Te amé, no ta amo ya, piénsolo al menos ;
 Nunca si fuere error, la verdad mire !
 Que tantos anos de amarguras llenos
 Trague el olvido ; el corazon respire !

Lo has destrozado sin piedad : mi orgullo
 Una vez y otra vez pisaste insano ;
 Mas nunca el labio exhalarà un murmullo
 Para acusar tu proceder tirano .

No era tuyo el poder que irresistible
 Postro ante ti mis fuerzas vencedoras
 Qui solo Dios y fué : gloria a su nombre

* Todo se terminó : recobro aliento ;
 Angel de las venganzas ! ye eres hombre
 Ni amor, ni miedo al contemplarte siento .

Akcent tkliwego rozmarzenia cechuje jej wynurzenia, których rozgłos był niemalą a szczerłość i wdzięk niezaprzeczone. Ani Campoamor, ani inni jak Carrasca, Tassara, Sanz, Hurtado, Castelar nie dosięgli szczerością i siłą natelnienia swych poprzedników. Są to, jak trafnie ich określa krytyk, bogowie mniejsi a znaczenie ich nie jest bynajmniej takie, by interesować mogło, zwłaszcza cudzoziemców.

Obszerniejszych uwag nie poświęcił romantyzmowi hiszpańskiemu dotąd nikt w tej mierze i stopniu. Ani Garcia, Cardenas, Rio ani inni zajmujący się tą epoką nie wypowiedzieli tyle cennych myśli i nie objęli tak szerokich i dalekich horyzontów. Książki dopiero omówionej oczekiwano w świecie miłośników tej

epoki dawno i nie zawiodła ona nikogo. Może bowiem nietylko obudzić zainteresowanie europejskiego ogółu dla niezastężenie lekceważonych poetów, ale i zachęcić wielu do pogłębienia jeszcze naukowej znajomości tak wybitnych talentów jak Larra lub de Rivas, których twórczości ze względu na rozmiary dzieła krytyk nie mógł oczywiście ocenić wyczerpująco i na sposób monografisty. Dał szereg pysznych sylwetek, na portrety muszą czekać jeszcze czas jakiś.

Dr. T. Grabowski.

Z literatury powieściowej.

— *Das schlafende Heer*. Roman von C. Viebig. (Egon Fleischel & Co., Berlin, 1904). — W sferze stosunków niemiecko-polskich poezyi niemieckiej nie małe przypadło w udziale znaczenie. Od stu lat i więcej bywa ich wiernym odbiciem, ba raz po raz nawet w ich ukształtowaniu się czynny bierze udział. Pamiętną jest sentymentalna *Polenhyrik* Lenau'ów, Mosenów, Platenów i t. d., rozczulających się nad nami nie z miłości dla nas, lecz bądź z nienawiści naszych i własnych wrogów, bądź z wrodzonej sentymentalności, bądź wreszcie z krzykliwej a w Niemczech zazwyczaj nieszkodliwej, bo bezpłodnej rewolucyjności. Odezwie się jeszcze i dziś nieraz cyniczne szyderstwo Heinego; świeżo śmierć sędziwego epika, Wilhelma Jordana, przypomniała jego gwałtowne wystąpienie przeciw *Polenschwärmerei* wobec Narodowego Zgromadzenia w Frankfurcie nad Menem 1848 r.; nazwiska zaś Freytaga w Niemczech, Sacher-Masocha, Franzosa (przed rokiem zmarłego) w Austrii wystarczają same, by wywołać widmo polonofobii niemieckiej belletrystyki, za naszych dni tak często i hałaśliwie się ponawiające w odnowionej szacie. Stałe sprawozdania z niemieckiej literatury powieściowej i dramatycznej, w których dokładniej niż kto inny zaznajamialiśmy czytelników z najnowszymi płodami obecnej *Polendichtung*, stwierdziły niejednokrotnie dwa fakty, jeden bardzo naturalny i oczekiwany, drugi dziwny i niespodziewany. Oto ten dział piśmiennictwa w ostatnich czasach rozrósł się ogromnie w miarę tego, jak t. zw. polska kwestya — mniejsza o to czy własną siłą, czy cudzym przymusem — stała się ważną, jeśli nie najpoważniejszą sprawą narodu niemieckiego; lecz gdy na polu politycznym i narodowym szaleje huragan, osłepiający i brudzący tumanami pyłu, tu w literaturze nastrój jest i spokojniejszy i sprawiedliwszy, cośmy usiłowali może nie bez słuszności wytłómaczyć wpływami t. zw. sztuki rodzimej, opartej na szczerym realizmie, ożywionym serdecznym uczuciem. W szeregu pisarzy, których niemieckie o Polsce i Polakach powieści i dramaty rozpatrywaliśmy, nie brakło i nazwiska najgłośniejszej dziś autorki w Niemczech, twórczyni świetnej *Wsi*

babskiej p. Klary Viebig. Jej tomik nowell p. t. *Rosenkranzjungfer* dowiódł, że nie ograniczając się do malowania stosunków w rodzinnej ziemi nadreńskiej i w literacko-dziennikarsko-artystycznym świecie berlińskim, zainteresowała się wschodnimi kresami państwa niemieckiego z mięszaną polsko-niemiecką ludnością, patrzy na nie z ciekawością i bezstronnością, która cechuje prawdziwy realizm. To też te opowiadania o parze kochającej się i czubiącej ustawicznie, o Jędrku i Michalińcu, o Kasi Giezmiance, biednej ofercie polskiej emigracji za chlebem, mogły się i u nas spotkać z przyjazną oceną. Lecz niemniej niepokój nas ogarnął, gdy się dowiedzieliśmy, że p. Viebig stwierdziwszy niedawno patryotyzm niemiecki w romansie o charakterystycznym tytule *Strasz nad Renem*, pisze powieści na tle kolonizacji niemieckiej w Poznańskim. Obawy o artystyczną wartość nowego dzieła nie trzeba było mieć; autorce przyzna każdy na podstawie dawniejszych świadectw zdolność opanowania problemów szerszych rozmiarów. Ale co będzie z polityczną i narodową myślą utworu? Czy będzie spokojną, sprawiedliwą, czy też przyłączy się do namiętnego chóru hakatystów? Bo tamte drobne obrazki były raczej akademieznym studjum, ale tutaj sytuacja bez porównania drażliwsza: *hic Rhodus, hic salta*. A miało się tem większą obawę, że na pewne można było przewidzieć, że książka autorki nie minie bez wrażenia i to silnego, bez względu na to, jaką wypowie tendencję, dla nas przyjazną, czy wrogą. Nie darmo p. Viebig jest w Niemczech tak popularną, nie darmo ma na swe usługi jedną z najruchliwszych firm nakładowych niemieckich, która znowu rozporządza najbardziej rozpowszechnionem czasopismem literackim...

Z niepokojem więc bierzemy do ręki duży tom, wpatrujemy się w jego tytuł i naczelną rycinę, przedstawiającą zadumanego pasterza wśród owiec, a pod wierzelnią warstwą ziemi wojsko śpiących rycerzów rękę na ryszunku wojennym trzymających. Z niepokojem rozpoczynamy czytanie. Pierwsza chwila powieści nadzwyczaj szczęśliwie i pomyślana i przeprowadzona. Oto z nad Renu przybywa rodzina osadników Bräuerów do kraju polskiego, do rozparcelowanej przez komisję wsi Pocięchy. Przybysze patrzą ciekawie na wszystkie strony, wzajem podejrzliwie przez tubylców oglądani; tym sposobem autorka ma sposobność odmalować pobieżnie lecz charakterystycznie kraj i ludzi. W miarę postępu akcji poznajemy i inne osoby: więc rodzinę baronów von Doleschal, od dłuższego czasu osiadłą w Niemczech, przewanych „Deutschau“, więc państwa Garczyńskich, dziedziców Chwaliborzyce, więc znowu Niemców Kestnerów w Przyborowie. Już z tego zestawienia widać, że autorka wbrew faktycznemu stosunkowi liczebnemu obu narodowości odrazu oddaje pierwszeństwo swoim rodakom. Górują oni w powieści nad Po-

lakami nietylko liczbą, lecz i różnaitością typów, wzajem się dopełniających. Obok przybysza Bräuera są dwaj przedstawiciele starszej ludności niemieckiej, doskonale zróżniczkowani: Doleschal, żarliwy wyznawca hakatyzmu, *Germania militans* z przekonania (choć nazwisko raczej na czeskie pochodzenie wskazuje), bez osobistych interesów, i Kestner, Niemiec oportunistyczny, nie lubiący Polaków drażnić, przekładający własny spokój i dobrobyt nad sprawę narodową. Ostatecznie więc kilka bardzo ciekawych postaci, niezłe wyobrażających stan niemieckich posiadaczy ziemi w Poznańskim, z wyjątkiem typu podobno jednak coraz bardziej do legendy nieprawdopodobnej schodzącego, zwłaszcza w sferze właścicieli dóbr: Niemców, którzy z przekonania, dla idei, są przeciwnikami hakatyzmu. Natomiast po stronie polskiej jest tylko jeden obywatel ziemski, lekkomyślny, aczkolwiek bardzo elegancki Garczyński, układający się przez cały czas powieści — niewiadomo z jakim rezultatem — z komisją kolonizacyjną o sprzedaż Chwaliborzyc, przyjmujący u siebie sąsiadów niemieckich i urzędników niemieckich, wznoszący toast na ich cześć, jako „podpór“ prowincyi. Czy ten Garczyński — mniejsza o to: prawdziwy czy nie, a niestety nie zupełnie zapewne skłamanym — może być uosobieniem całej szlachty polskiej w Księstwie? Chyba nie, a p. Viebig albo nieco za pospiesznie wzięła się do pisania powieści na tle niemiecko-polskiem, zanim je dokładnie i wszechstronnie poznała, albo też chwytały ją tu na pierwszej niesprawiedliwości wobec Polaków i na pierwszej — pomyłce artystycznej. Bo, jeśli polskość reprezentowana jest przez Garczyńskich i jemu podobnych, to Doleschal, walczący wściekle z takim wrogiem, jest Don Kichotem, rzucającym się na stado baranów, nie zaś rozumnym bohaterem, za którego go p. Viebig podaje.

Ale prawda, obok obywatelstwa są jeszcze dwa inne stany (że pominiemy bezpleciowego pod narodowym względem nauczyciela wiejskiego, Rudę, wszechstronnie marne indywiduum): jest lud polski i duchowieństwo polskie. Pierwszy przedstawiony jeszcze stosunkowo najuczciwiej, z tą prawdą realistyczną, jaką miały i wspomniane powyżej nowelle, chociaż w temperaturze uczuciowej odczuwać się już daje w porównaniu z dawniejszą książką pewien nieznaczny chłód. Może ci ludzie trochę za dużo piją, a podpici popełniają gwałty, ale co do pierwszego, to z całym przekonaniem twierdzimy, iż my sami i nasza dawniejsza literatura, o chłopie polskim pisząca, winną jest, że za granicą, a szczególnie w Niemczech, nie mogą sobie wyobrazić polskiego wieśniaka bez wódki; dalsza zaś swawola to tylko naturalny skutek opilstwa. Zresztą nawet i tutaj krzywdzącej niesprawiedliwości p. Viebig nie popełniła, a gdy opowiada, jak polscy chłopci turbują po nocy kandydata na posła, hakatystę Doleschala, i nie czyniąc mu zresztą nic złego, biją go tam i tak,

gdzie i jak się niesforne go chłopaka bije, to polski czytelnik tak bardzo znowu na tych Maćków i Jędrków się nie gniewa. Z masy polskiego ludu wiejskiego autorka wyodrębnia Kubę Dudka, starego pasterza, w głębi duszy szczerze Niemców nienawidzącego i przepowiadającego, że śpiący pod Łysą Górą rycerze kiedyś się obudzą i najeżdżcom ojczyznę odbiorą. Postać to bardzo ciekawa, owiana romantyczną poezją i, jak słusznie zauważył jeden z polskich krytyków, niewątpliwie wywodząca swój ród od tajemniczego Harfnera z *Wilhelma Meistra* Goethego; jeśli ją za realną będziemy mieć, to dowodzi nie tylko narodowej świadomości ludu polskiego, ale i serdecznego u niego związku z narodowymi tradycjami przeszłości. Inaczej jest z polskiem duchowieństwem. Tu autorka wylała całą złość protestancką i niemiecką na obu księży polskich, starszego proboszcza Stachowiaka, a zwłaszcza młodego wikarego Górkę, skupiającego w sobie nici tej bajecznej „intrygi polskiej“, o której dotychczas prócz polityków, jedynie trzeciorzędni powieściopisarze niemieccy majaczyli. Zdaniem autorki niemieckiej lud polski byłby dobrym (t. j. dalby się zgermanizować), gdyby nie ksiądz, który go podburza do oporu, nienawiści i gwałtów. Wszak pijana dziewczęta chłopka rabując śpiewa „pieśń tryumfu, pieśń wesela“:

Brüder, nehmt die Sensen in die Hände!
 Auf, zum Kampfe lasst uns eilen!
 Polens Knechtschaft hat ein Ende,
 Länger wollen wir nicht weilen.
 Sammelt scharenweis' euch alle,
 Unser Feind, der Deutsche falle!
 Plündert, raubet, brennet, senget,
 Lasst die Feinde qualvoll sterben!
 Wer die deutschen Hunde hänget,
 Wird sich Gottes Lohn erwerben.
Ich, der Propst, verspreche euch
Fest dafür das Himmelreich!

Nietylko w tem p. Viebig idzie utartym szlakiem polonobii germańskiej; wzorem hakatystów przedstawia na całej linii Polaków, jako żywioł zaczepny i nigdy ani słówkiem nie poruży tej kwestyi, że Polacy w Poznańskim przecież tylko bronią swego kraju. Co więcej wydaje się nam, jakoby autorka pragnęła *Śpiącym wojskiem* podniecić do walki za niemieckość już nietylko ludność niemiecką, lecz nadto i sfery rządowe, którym bądź bezpośrednio od siebie, bądź za pośrednictwem barona Doleschala wyrzuca ospałość, obojętność dla interesów narodowych, ustępliwość. Polaków zaś gromi, oskarża i potępia, układając materyał dowodowy z fantazją iście powieściopisar-

ską. Jeśli jednak takie postępowanie trzeba nazwać fałszywym i niesprawiedliwym, to czemś znacznie gorszem, wprost niegodziwością jest podejrzywanie Polaków o zbrodnie nawet tam, gdzie sama powieść, kierowana przeciw własną ręką autorki, nie dostarcza dowodu, nawet najmniejszego. Tak n. p. czyta się o tragicznej śmierci Bräuera, który zrozpaczony tuła się w nocy po bagnach i trzęsawiskach, aż w nich tonie. O kilka kart niżej żyd Löb Scheftel opowiada pani Doleschalowej o tem zdarzeniu, powtarza, że to nieszczęśliwy wypadek, ale zaraz dodaje półsłówkami: „A kto wie, może go te niedobre Polaki ubiły“... Metoda autorki, dalibóg, bardzo zręczna, ale trąci nieuczciwością...

Fabula czysto powieściowa obchodzi nas tutaj oczywiście daleko mniej — zważywszy, że powieść brana pod sąd czysto artystyczny ze znakomitą *Babską wsią* równać się nie może — i o tyle tylko, o ile ujawnia się w niej obraz środowiska polsko-niemieckiego. I tu trzeba przyznać autorce, że przedstawiając Polaków bądź niedokładnie, bądź błędnie, Niemców pokazuje wszechstronnie, a zapewne prawdziwie. Wadliwym jest pod względem artystycznym porzucenie w dalszym ciągu romansu Garczyńskich i Kestnerów, a ograniczenie się do Bräuerów i Doleschalów. Młody Walenty Bräuer żeni się z Polką, lekką Stasią Frelikowską, córką leśniczego i jest z nią nieszczęśliwy, w co tem głębiej wierzymy, bo małżeństwa mięszane, jeśli gdzie, to z pewnością w Poznańskim nie mają warunków trwałego szczęścia. Po śmierci syna, zaszłej wśród zaznaczonych powyżej tragicznych okoliczności, starzy Bräuerowie wracają nad Ren, na co chętnie się godzimy. Doleschal, zawzięty obrońca niemieckości, ulubieniec autorki, niezrozumiany i odepchnięty przez własnych rodaków, przepadły kandydat poselski, umiera zniechęcony z ręki samobójczej, wdowa jednak postanawia wytrwać w Niemczech, a autorka kończy nastrojowo i ufnie, że dzieci barona kiedyś spełnią to, czego ojciec nie zdołał dokonać.

A tak ostatecznie ta powieść, dla nas niemiła, a jednak mogąca być gorszą, niż jest, często przykra i bolesna dla polskiego uczucia, chociaż w narodowym niemieckim jakaś chwiejna, niezdecydowana, budzi w nas właśnie dlatego raczej otuchę, niż gniew. Bo cóż jest rezultatem tych kilkuset stron? Kolonista z nad Renu wraca do swojej ojczyzny, przeklinając chwilę, kiedy się dał skusić komisyi kolonizacyjnej; hakatysta ginie, odtrącony przez rodaków — a polski zywioł jakoś żyje przy końcu tomu taksamo, jak na początku. Więc, jeśli tendencją *Śpiącego wojska* miała być przestroga dla Niemców, dla jednych, by niemieckich krajów dla osadnictwa nie porzucali, dla drugich, by życia na daremną „obronę“ niemieckości nie marnowali — jeśli to ma być mądrością najnowszego utworu p. Klary Viebig, to doprawdy Polacy powinni go bezpłatnie po całych

Niemcezech rozpowszechniać. Jeśli bowiem autorka pokłada nadzieję w synach Doleschala, to my na dzieciaków patrzymy spokojnie, pomni przysłowia: „Nim słońce wszędzie — rosa oczy wyżre“.

Dr. J. Flach.

— *Peter Camenzind* von Hermann Hesse. Fünfte Auflage. (Berlin, 1905, S. Fischer, Verlag). — Szwajcarya zapisała w księdze dziejów literatury niemieckiej kartę piękną i ważną. Cokolwiek się z bezwzględnego artystycznego stanowiska sądzi dzisiaj o działalności wycofanych z obecnej aktualności postaciach Bodmerów i Breitingerów, Hallerów i Gessnerów, musi się im przyznać dużą historyczną zasługę i stwierdzić, że zaczątki reformy poezyi niemieckiej gdzieś w Zurychu i Bernie się pojawiają. A w sto lat potem wydaje Szwajcarya Gottfrieda Kellera i Konrada Ferdynanda Meyera, dwóch mistrzów nowelli, godnych uznania i zagranicy. Zwłaszcza pierwszy jest postacią wszechstronnie ciekawą, doskonale wyobrażającą charakterystyczne właściwości niemieckiej ludności Szwajcaryi, a przytem i jako indywidualność wybitną. Autor romansu o *Zielonym Henryku* i nowell o *Ludziach z Seldwyla*, jest doskonałym okazem swojskiego realizmu, który realizmem jest nie z abstrakcyi i teoryi, ale z ustawicznej wspólności z rodzimym gruntem; poważny i skłonny zarazem do rubasznego wesoleści, niezbyt głęboki, a przytem lubujący się w moralizowaniu, bystro na świat patrzący i do ironii popopny, obdarzony wielkim darem plastyki, chociaż często rozpraszający się na drobne, luźnie z sobą spójne epizody — takim jest Keller, takimi są jego uczniowie, naśladowcy, takim jest i p. Herman Hesse, którego zręsztą raczej uczniem, niż naśladowcą mistrza nazwać należy.

Na fikcyjnej mapie geograficznej gdzieś koło Seldwyla znalazłaby się i miejscowość Nimikon, miejsce urodzenia Piotra Camenzinda. Z góralskiej chaty wyszedł, syn prostego chłopa, zbyt w winie rozmiłowanego, siostrzeniec wuja Konrada, wiecznie pracującego nad wynalazkami, zawsze szpetnie się nudałymi, Piotr uczy się, studjuje filologię w Zurychu, rychło zaczyna pisać wiersze, potem jest dziennikarzem na szerszym świecie, aż wreszcie wraca do rodzinnego Nimikonu, do prostej góralskiej chaty i niema innych widoków na przyszłość, jak ten, żeby kiedyś objąć po starym Nydeggerze winiarnię wiejską, a prócz tego chyba tylko o zaczętem poemacie myśli... Oto początek i koniec lat wędrówki i nauki. Między temi dwoma punktami wije się linia czasem lekko i prawie niedbale zaznaczona, częściej nakreślona ręką silną i świadomą siebie. Rozbicie Kellerowskiego *Der grüne Heinrich* na nowelle, nanizane na jeden sznurek, powtarza się i w *Peter Camenzind* p. Hesse. Każdy etap życia bohatera, każda miłość i każda przyjaźń są przedmiotem osobnej nowelki, którą łatwo możnaby z całości wyodrębnić. Więc n. p. dziennikarska działalność, szkoda, że

nico pobieżnie pokazana, bo zresztą charakterystyka tych ludzi, szeroko a bezpłodnie, świadomie bezowocnie rozprawiających o poprawie świata, jest i trafną i w ironicznym tonie bardzo zajmującą. Więc dalej miłość do malarki Erminii Aglietti, której Piotr tak długo swe uczucie wstydzi się wyznać, aż w chwili, gdy się na odwagę zdobywa, dowiaduje się, że artystka kocha innego, a jemu jest tylko szczerze, po przyjacielsku życzliwą; więc dalej jakby *pendant* do tego obrazu prosta miłość pani Annunziaty Nardini, poczciwej handlarki owoców, która daremnie kochając się w Camenzindzie, z zalem, oczywiście dalekim od egzaltacji, idzie za mąż za jakiegoś poczciwca Menotti, także handlarza owoców. Może wyraźniejszym jest Piotr w przyjaźni, naprzód z muzykiem Ryszardem, potem zaś i szczególnie z Boppim, cichym kaleką sparaliżowanym, którego poznaje w domu skromnego stolarza. Ten rozdział książki jest jej najpiękniejszą ozdobą, tyle prostej poezji jest w nim, serdecznej a nie czułościowej; odwiedziny obu przyjaciół w menażeryi, naiwne zabawy z zamkniętymi w klatce łagodnymi zwierzętami, są epizodem o delikatnej piękności, rzadko w nowszej belletrystyce spotykanej. Naturalnie Boppi umiera w szpitalu, z czego ta tylko dla powieści wynika korzyść, że po takiej katastrofie łatwiej zrozumieć zamknięcie się Piotra w zapadłej wiosce alpejskiej. Naczelna idea utworu jest symptomatem godnym głębszej uwagi. Zapewne podsuwałoby się p. Hessemu myśli, jakich nie miał, gdyby się ten romans uważało za manifest przeciw życiu na szerokim świecie, w Berlinie czy w Paryżu. *Piotr Camenzind* obejmuje sferę szerszą: on uczy tylko, że szwajcarskiemu chłopu, że wieśniakowi w ogólności najlepiej, najzdrowiej w rodzinnej wsi, choćby nawet to życie temu lub owemu pospolitem, bezwartościowemu miało się wydać. W tej idei książka niemiecka nie jest odosobnioną: i w polskiej i we francuskiej literaturze dzisiejszej doby słychać podobne hasła. Widocznie są one skutkiem rzeczywistych a przykrych doświadczeń, jakie świat na takich *déracinés* porobił.

Dr. J. Flach.

— Gustaf af Geijerstam. 1) *Nils Tufvesson und seine Mutter*. Bauernroman. Autorisierte Übersetzung von Gertrud Jngeborg Klett. — 2) *Frauenmacht*. Roman. Autorisierte Übersetzung von Therese Krüger. (Berlin, S. Fischer, Verlag, 1904). — Zestawienie tych dwóch ostatnich powieści szwedzkiego autora omawianej tu niedawno *Książki o bractwie* — świeżo na język polski przełożonej — dowodzi, że w p. Gustawie af Geijerstam mieszkają istotnie „dwie dusze w piersi“. Bo *Nils Tufvesson* to, jak pisarz sam powiada, „opowiadanie o tej samej krwi, która czerwonymi plamami pobryzgała pożółkłe karty starych rodzinnych kronik“, historia strasznych zbrodni, sprzeciwiających się naturze ludzkiej tak,

że aż strach je po imieniu nazywać; *Potęga kobiety* zaś, jak *Das Buch vom Brüderchen*, to delikatna tkanina z cieniutkich nitok najdelikatniejszych uczuć, tak filigranowych, że aż czasem w powietrzu zdają się w ledwo dostrzegalny pyłek rozprasać, w słońcu tylko raz po raz barwą połyskujący rozmaita. W wiejskim romansie, prostą i twardą metodą realistyczną najlepsze wzory przypominającym, jesteśmy gdzieś w odległej wiosce szwedzkiej, gdzie ludzie żyją cicho i spokojnie, uczuć najserdeczniejszych nie okazują ani jednym cieplejszem słowem na zewnątrz, namiętności bądź w mozolnym życiu codziennym z bojaźni przed karą Bożą lub zemstą szatana zwalczają, bądź też opanowani przez nie lub uległszy im, zbrodnie na zimno okropne popełniają, po dokonaniu fatalistycznie oczekując od ludzi odwetu, a kary od Boga i zemsty od szatana. W tej wsi żyje wdowa Jnga Persdotter z synem Nilsem Tufvesson, młodym parobczakiem, naturą poczciwą, ale matce do ostateczności uległą. Bo też łączą ich oboje tasama ohydna namiętność, którą niegdyś Minosa i Pasifai córka prześladowała syna; lecz gdy Hippolytos Fedrze nie uległ, to przeciwnie Nils jest zupełnie pod tajemniczym, groźnym urokiem Jngi. Gdy ludzie poczynają się zbrodni domyślać, Tufvesson żeni się z dziewczyną z sąsiedniej wsi, młodą Eliną, lecz matka tylko pod tym warunkiem na to małżeństwo pozwala, że syn obowiązuje się żyć z żoną jakby z siostrą. I oto zaczyna się cicha tragedia biednej kobiety, cierpiącej bardzo, coraz gorzej, a zawsze milcząco, bo i usposobienie ma takie spokojne i wstyd ją przed ludźmi, że od męża wzgardzoną jest, a ponad to chociaż nieświadoma straszego incestu, przeczuwa jakąś ponurą tajemnicę. Aż wreszcie, gdy bita i poniewierana przez teściową i uległego jej niewolniczo a suggestywnie męża, skarży się u jedynej przyjaciółki, dowiaduje się całej prawdy. To ją jednak nie przygniata, owszem, wywołuje w niej postanowienie uwolnienia męża od ciężającej nad nim zmory. I próbuje go pozyskać, próbuje nawet nie bez nadziei zwycięstwa. Jnga to widzi i postanawia Elinę ze świata zgładzić. Fedra przez Hippolita odepchnięta zabiła się sama, Jnga zabija Elinę w piwnicy, do konającej przywoławszy syna na pomoc. Morderstwo wychodzi oczywiście na jaw, chociaż ludzie zrazu jakby umyślnie zdają się go nie widzieć, tak boją się instynktowo widoku zbrodni, pewności, że zbrodnia się w ich wsi dokonała. Nils wszystko na siebie przyjmuje, przysięgli jednak skazują na śmierć i jego i matkę, przeczuwając, że ona jest także sprawczynią mordu. Wtedy dopiero Jnga przyznaje się do winy i własnym życiem płaci życie Eliny. Tufvesson natomiast w wznownym procesie dostaje się na całe życie do więzienia. Zapewne po pewnym czasie nienagannego sprawowania się dozna łaski monarszej. „Gdy wróci, powitają go, a przekleństwo spadnie mu z głowy.

Bo go nikt nie potępił, kto go znał i nikt z nich nie będzie się wahał podać mu rękę“. Tak promyk światła rozjaśnia na końcu ponurość zbrodni i namiętności. O dwa szkopyły mogła się powieść rozbić: o zasadniczy problem i o ostateczne jego rozwiązanie. Incest jako motyw poetycki, to rzecz chyba mało pożądana, chociaż, jak niedawno mieliśmy sposobność sprawdzić, właśnie w najnowszej belletrystyce, zapewne w odnowieniu romantycznych czasów, często spotykana. U p. Geijerstama sytuacja posiada groźbę wstrząsającą, a jednak nie staje się nieznośną dla ludzkiego uczucia, może dlatego, że Jnga i Nils postawieni są na tle zapadłej wioski szwedzkiej, zamieszkałej przez lud zamknięty w sobie, twardy, instynktami jeszcze żyjący. A nie mniejszem było niebezpieczeństwo przemienienia ostatecznego rozwiązania w płacziwo-moralną opowiastkę o karze za zbrodnię. Autor ustrzegł się tego tonu aż do samego końca.

Jak odmiennym jest nastrój drugiego romansu! Już sama forma opowiadania w pierwszej osobie zaciera brutalną bezpośredniość akcji, osnuwa ją w osobiste refleksje, reminiscencye przeszłości. Zrazu zapowiada się historia dość zwykła. Hugo Brenner, utalentowany literat, chociaż zanadto marzyciel, by mógł chcieć brać udział w walce o rozgłos, widzi raz na ulicy, jak dwóch mężczyzn usiłuje gwałt zadać biednej dziewczynie, zapewne robotnicy w magazynie mód. Uwalnia ją od napastników i... w parę miesięcy potem porwany szlachetnością rękę oddaje tej, która wnet ma zostać matką jego dziecka. Ale życie małżeńskie jest nieszczęśliwe. Wzięta z ulicy Signe z początku w swej naiwności nie może nadążyć mężowi, w wyższych sferach myśli przebywającemu, potem odzywa się w niej nostalgia za ulicą: Signe cynicznie zdradza męża, wreszcie gdy on od niej ucieka, idzie powszednią drogą ulicznic. Hugo byłby teraz samotnym na świecie, gdyby nie córka, Gretchen. Powiększa ona galerję dzieci przed czasem świadomych wielkiego nieszczęścia, wielkiego smutku drogich osób i świadomych zarazem tego, że ich zadaniem i powołaniem jest ten smutek łagodzić, to nieszczęście pomagać znosić. Pełne przeczystej poezji, delikatnego dziewczęcego czaru, te karty powieści pozyskają p. Geijerstamowi tych czytelników, których może zniechęciła duszna atmosfera poprzedniego romansu; jedno tylko z nim mają pospół: staranne a naturalne uchronienie się od sentymentalnej czułości. Jak wszystkie takie dzieci i Gretchen umiera przedwcześnie. Hugo znowu byłby samotnym, gdyby nie Eliza, jego serdeczna przyjaciółka, żona bankiera Bohrn. Problem, jaki p. Geijerstam miał na myśli, jest ogromnie ciekawy. Oto bierze ów osławiony trójkąt: mąż, żona i „ten trzeci“ i chce pokazać, że dwoje pierwszych może łączyć szczerą miłość, dwoje ostatnich szczerą przyjaźń, wszystkich troje najszlachetniejsza har-

monia. Chce pokazać — ale nie pokazuje, nie udowadnia tezy, tylko ją stawia i za udowodnioną podaje. Szkoda! W końcu jednak i Eliza umiera i Brenner jest już sam, niezmiennie sam, smutny, bez rozpaczy, bo uspokojony; tylko gdy spotka przyjaciela, jak autor książki, w bladą noc księżycową zwraca się ze swojemi wspomnieniami.

Dr. J. Flach.

— *Pour l'honneur*, par la Comtesse de Flavigny. (Paris, Lethielleux libraire éditeur, 1904). — Powieści historyczne, rycerskie opowiadania, ogólnie biorąc, nie są dziś w modzie; uchodzą za rodzaj przestarzały, za szlak, na którym zapóźniają się jedynie mniej postępowe i nowoczesne literatury. Sienkiewicz u nas dał zwyciężką odprawę tym głosom i zdaniom, dostarczając rzeszy czytelników co najzdrowszego pokarmu. Raz po raz jawią się jednak i zagranicą różnej miary próby w kierunku dziejowych opowiadań. W angielskiem piśmiennictwie wskrzeszanie przeszłości, bądź historycznej, bądź obyczajowo-społecznej, nie rzadko się powtarza, dotąd wszelako bez wielkiego powodzenia. We Francyi rzadszym to objawem, choć wśród obecnych okoliczności chyba tęsknota za przeszłością i odtworzenie jej piękniejszych momentów byłoby na czasie. Życzliwe Polsce dłonie przysłały nam świeżą próbkę rycerskiej opowieści, dokonaną ręką autorki, która naszemu św. Jackowi niedawno złożyła hołd serdeczny pięknej biografii. Tym razem nie świętego zakonnika, lecz rycerskiego młodzieńca dzieje przedstawia dla przykładu współczesnych.

Czem jest rycerska cnota, czem rycerstwo chrześcijańskie, pięknie określa na wstępie jako „siłę zbrojną, walczącą w obronie bezbronnej prawdy“. Archiwa rodzinne dostarczyły nici przewodniej niedługiego, lecz zajmującego opowiadania. Rzecz poświęcona potomkowi młodego rycerza, który hen daleko w walce z Saracenami położył życie za wiarę. Otrzymujemy tedy szczegóły pasowania na rycerza Jakóba de Maillé, pierwsze zdrady przeniewierczego towarzysza i współzawodnika, świetne turnieje, walki i ofiary w różnych kierunkach podjęte, dowody heroicznego wyrzeczenia i pokory, wspaniałe przykłady karności i dzielności, wśród najcięższych prób i pokus, żeby tylko wspomnieć uchylenie się młodego rycerza od zbrojnych w arenie zapasów przez uległość dla Kościoła, zabraniającego już wtedy owej formy pojedynku. Wojny krzyżowe uwieńczają życie bohatera; ginie on po różnych przeprawach, ujętych w barwnem opowiadaniu, nadającym się jak wraz, aby młode umysły i serca kształcić w rycerskiej enocie, dodawać animuszu, dostarczać szlachetnych pobudek, by życie przeżyć, życie położyć „dla czei“, dla sławy i honoru, dla najświętszych spraw i najdroższych ideałów. Jeśli osnowa tej milej powieści zdradza niekiedy pewne wyszukiwanie archaizmu, porusza ona wiecznie jednako drgające struny

duszy i wyrzec powinna wpływ uszlachetniający na czytelnikach, wzorujących własne życiowe zapasy na przykładach dostarczonych przez młodego Krzyżowca. Alboż powszednie życie nie bywa coraz częściej krucyatą, w dzisiejszych zwłaszcza okolicznościach, wobec przeciwności i prześladowań sprowadzających wśród ludzkości coraz skrajniejsze rozłamy? Walki krzyżowe są dziś na porządku dziennym i dlatego to zdrowo młodym czytelnikom o nich słuchać i czytać.

N.

TEATR KRAKOWSKI.

Nowy sezon rozpoczął się dnia 25 sierpnia przedstawieniem (po raz dwudziesty szósty) *Dziadów*. Zaginał więc już dawniejszy obyczaj, żeby wyzyskiwać patryotyzm przejezdnych i ofiarować im jakąś „bombę“ frazesów bez literackiej wartości; z całą lojalnością ofiarujemy im przegląd tego, co we własnym stałym repertoarze posiadamy najlepszego, względnie najciekawszego. Zadowolonym też będzie, kto przejeżdżając przez Kraków, zobaczył na scenie *Konfederatów Barskich*, *Księdza Marka*, *Lillę Wenedę*; dołączył się do tego szeregu niestarzejący się Anczycowski *Kościuszkę pod Racławicami* i z nowszych „widowisk“ *Krzyżacy*; z dorobku ostatniej doby pokazano gościom *Na zawsze* Rydla, *Eros i Psyche* Żuławskiego; „naszych najserdeczniejszych“ pokazano z mniej korzystnej strony, ale po literacku i według autoportretu, bo w nieśmiertelnym *Rewizorze Petersburskim*, a na dodatek *Urzędowa żona* i jedna francuska farsa, jedyna, która zajęła na scenie przyzwoitą pozycję: *Publiczna Tajemnica*. Oby się zawsze znajdowało w podróżach repertuar wart krakowski! Niedostawało utworów p. Wyspiańskiego, które powinny być grane w takim czasie, jako osobliwość krakowska, najbardziej nęcąca ciekawość zamiejscowych. Jakieś nieporozumienia pomiędzy Dyrekcją a autorem stanęły na przeszkodzie. Potem dopiero, gdy zjechał na gościnne występy p. Rapacki z Warszawy, pozwolił p. Wyspiański pokazać znakomitemu artyście dramatycznemu *Wesele* i *Bolesława Śmiatego*, a w dziennikach głoszono, że to tylko wyjątkowo, w drodze łaski, wyjmuje się na ten jeden raz cymelia z gablotki i zaraz znowu będą schowane. Jest w tem coś niezdrowego! Nie roszcząc sobie pretensyj do roli arbitra w podobnych wypadkach, chciałbym tylko zwrócić uwagę, że wszelkie nieporozumienia z autorami obrócić się muszą w końcu przeciw Dyrekcji, dla tej prostej przyczyny, że autorów nie można uważać za jeden z kilku równorzędnych czynników w teatrze, lecz należy uznać

w nich bezwzględnie czynnik główny, pierwszy i wyższy i Dyrekcyja (każda Dyrekcyja!) może być z góry pewną, że wywołując takie spory, gotuje sobie przegraną.

Dla Krakowian ma pierwszy szereg powakacyjnych przedstawień znaczenie przeglądu broni, budząc ciekawość, czy personal uległ zmianom, a zwłaszcza, czy się powiększył? Pozostaliśmy tym razem w dawnym niezmienionym... niekomplecie, szczęśliwi, że nikogo przynajmniej nie ubyło. Aktorowie nasi, zbyt nieliczni, będą więc i na ten rok przeciążani rolami nie zawsze zgodnymi z ich talentem i narażeni na niezadowolenie publiczności częściej, niż sami z własnej winy daliby do tego powody. Krytyka rzeczy się trzyma i trudno nie uwzględnić okoliczności, gdy się wie, że sprostanie pewnemu żądaniu wymaga stosownych warunków, których niestety niema. Toteż zadanie krytyki wobec naszych aktorów jest doprawdy ciężkie. Nie można zrezygnować ze stwierdzania, jak ta lub owa rola graną być powinna; wszak takie określenie roli jest głównym celem krytyki i jej uzasadnieniem; tyle jej pozytywnej wartości, o ile się na to zdobędzie! W takim jednak razie sądy o naszych artystach mogłyby być coraz surowsze, pomimo to, że nie ubywa im zdolności ani dobrych chęci! Ażeby nie krzywdzić nikogo, a samej krytyki nie wypaczyć i nie obniżyć poziomu artystycznego, wypadnie może mierzyć każdą rolę dwa razy, dwojaką miarą i pisać: grano źle, bo to powinno być całkiem inaczej, ale względnie dobrze, bo w tych warunkach i stosunkach nie da się inaczej i tylko największe talenty zdołają przebić ten mur, czy też przegimnastykować się przez te druty koleczaste — braku personalu, braku prób i braku instrukcyj. Niestety, już w ciągu września było tego dosyć objawów! Mając na względzie samą tylko sztukę sceniczną i w ogóle interes teatru polskiego, jako takiego, nie można się bawić w krytykę t. zw. „łagodną“, t. j. nie mówiącą wszystkiego, co myśli. Można nam zresztą wybaczyć, że nie mamy teatru zupełnie dobrego (wszak jesteśmy miastem małym i ubogim), nie zwalnia nas to atoli od obowiązku, żeby przynajmniej wiedzieć, jakim ma być dobry teatr i na czym to polega? Pod tym względem ustępować nie można i żadne a żadne okoliczności nie mogą krytyki upoważniać do milczenia. I tak wymaga krytyka od sceny znacznie mniej, niż od tekstów z niej wygłaszanych! Należyty krytyki nacisk spoczął u nas ledwie dopiero na autorach; aktorowie są jeszcze uprzywilejowani, a postęp spraw teatralnych wymaga koniecznie, żeby dążyły do zniesienia tego przywileju względności. Na razie faktem jest, że wobec krytyki wygodniej być aktorem, niż autorem.

Wygody tej rzeka się często p. Walewski, przechodząc z pośród wykonawców do twórców scenicznych. Miewa pomysły finansowo-literackie i należy do największych dobroczyńców kasy teatralnej. Jeszcze jednego takiego autora, a ulży się budżetowi

Galicji, gdyż subwencya krajowa dla naszego teatru okaże się zbędną! Ale może już lepiej poprzestać na subwencji, a mieć dobry repertuar? Czy też dojdziemy kiedy do tego, żeby mózdz dawać teatrowi subwencyę w takiej wysokości, żeby w zamian musiano przesiewać repertuar przez sito tak gęste, żeby nie przepuścić ani jednego przedstawienia nie literackiego? To, co jest obecnie, jest połowicznością pełną niekonsekwencji: subwencyę się daje, ażeby teatr mógł obstać przy repertuarze literackim, ale daje się za mało, a więc tytułem niejako subwencji do tej subwencji grywa się... „*Ach to Zakopane!*“ i t. p. Szczęśliwie dorobiony tytuł ściąga publiczność, a że mimo całej popularności tej letniej stolicy, zawsze są i będą w większości tacy, którzy jej nie znają, tem łatwiej o względne zadowolenie słuchaczy. Zakopane z krytyką nie może chodźć w parze, bo cóżby z niego zostało? Faktem jest, że nawet farsy nikt o niem napisać nie chciał, chociaż tylu literatów polskich wyjeżdża tam raz wraz na swe pracowite próznowanie. Ale biedne ono! Niedawno prze-rabiano jego styl na „sposób zakopiański“ i p. Kovacs zrobił coś, co niewiedzieć, jak nazwać: źle się wymawia „przeaustry-aczył“, powiedzmy więc: przerakuził. Spodobał się „sposób zakopiański“ naszemu p. Walewskiemu; postanowił wciągnąć go do literatury i przerakuził Zakopane powtórnie.

Do stałych typów humorystyki wiedeńskiej należy t. zw. „Hochtourist“, i to już od dawien na równi z t. zw. „Sonntags-reiter“, każdy bowiem szanujący się kupczyk wiedeński drapie się choćby raz w rok około Zielonych Świątek na Alpy austriackie. Dzięki popularnemu tematowi jest też (a raczej była) popularną krotochwila spółki scenicznej C. Kraatza i M. Neala p. t. „*Der Hochtourist*“, którą przerobił p. Walewski na polskie p. t. „*Ach to Zakopane*“. Przeróbka jest zupełnie mechaniczną, przestarzały już oryginał świeci tem bardziej szwami w polskim przenicowaniu. Poważnie nie traktuje tej rzeczy ani sam autor, niema więc o czem rozpisywać się. Dla aktorów przedstawienie było bardzo niebezpieczne, bo sztuka kusi do pofolgowania wszystkim wadom; wyzywa wprost do używania tanich efektów, do wzbudzania śmiechu sposobami mniej wybrednemi, a nawet wprost do szarży. Wszystkie figury są bowiem tak banalne i pozbawione jakiegokolwiek charakteru, że nie dadzą się określić scenicznie inaczej, jak zewnętrznymi środkami mechanicznymi takimi, z jakich zwykli jeszcze szukać chwały aktorzy podrzędnych wędrownych kompanij. Nasi artyści nie chcieli się dać uwieść, owszem, pp. Zelwerowicz, Sobiesław, Andruszewski, Jednowski, Zawierski próbowali wmawiać w widzów, że w ich rolach jednak jest coś, ale mieli aż nadto sposobności przekonać się, że bawili publiczność najlepiej wtedy, gdy wykonywali najslabsze ustępy! Toteż przedstawienia takie zamieniają się w premium dla gry niedbałej, powierzchownej i lekceważącej sztukę.

Właściwą premierą był dramat w 4 aktach Gerharda Hauptmanna *Michał Kramer* (w przekładzie Sierosławskiego). Literacka ocena tego dzieła była już w *Przeglądzie Polskim*, a mianowicie w zeszyście lutowym z r. 1900 (str. 241) pióra p. Flacha, którego surową ocenę przedstawienie sceniczne zatwierdziło najzupełniej. Na deskach występują wszystkie niedostatki tego utworu aż nazbyt wyraźnie; akt trzeci sprawia wrażenie farsy, czwarty jest ekliwno-nudny, przez całą zaś sztukę męczy słuchacza czeza deklamacyjność. Wystawiono u nas rzecz bardzo starannie, artyści grali też sumiennie. W tytułowej roli wystąpił p. Sosnowski, który umie sobie dobrze radzić z rezonerstwem na scenie. Do rezonerstwa starego Kramera ustawił autor osobne pudło resonansowe, którem jest zasłuchany w tyrady mistrza Ernest Lachmann; polecono być tem pudłem p. Popławskiemu, który umie wybornie słuchać i w rolach niemych nieraz już się odznaczył. Właściwie bohaterem sztuki nie jest jednak Michał, lecz Arnold Kramer. Tę rolę główną wykonał p. Mielewski z wielkim nakładem pracy, lecz nie zawsze szczęśliwie. Przesadził w charakterystyce zewnętrznej, tak, że Arnold sprawiał w I. akcie, przy samem wejściu na scenę, wrażenie jakiegoś świętującego w poniedziałek czeladnika i to z pośród rzemiosł najmniej wymagających intelligencji; przesadny ton krepował potem artystę przez całe cztery akty i zepsuł mu niejedną scenę, opracowaną z widocznem przejęciem, lecz mijającą bez głębszego wrażenia, bo poziom przedstawianej postaci, raz w umysłach widzów zbytnio obniżony, nie dał się już potem podnieść i było wciąż jakby jakieś nieporozumienie pomiędzy artystą a publicznością. Najgorzej się stało, że Arnold nie budził sympatii, a nawet ani litości, tak bez litości nadał mu p. Mielewski rysy niemiłe, jakby miał udawać nie artystę wykołajonego, lecz ztwardziałego zbrodniarza. Minał się artysta z tekstem, który bardzo wyraźnie określa zalety i wady Arnolda, podczas gdy p. Mielewski przesadnie podkreśliwszy wady, nie uczynił niczego, ażeby zaznaczyć także zalety. Jednostronność jest najkrótszą drogą do karykatury i trzeba się jej wystrzegać jak ognia, nie dając się porwać pokusie zrobienia postaci „charakterystycznej“. Do ról tem mianem obejmowanych ma p. Mielewski wiele talentu, to rzecz wiadoma, ale cóż z tego, skoro Hauptmann nie miał tym razem na myśli takiej roli? Myślał za to pewnie o „charakterystycznej“, pisząc o pani Kramerowej. Ta rola przepadła całkiem na naszej scenie, bo pani Wolskiej nieznanym jest zupełnie typ niemieckiej „Hausfrau“ i „Frau Mutter“; niektóre charakterystyczne ustępy tekstu minęły, jakby ich nie było, gdyż artystka nie poznała się na ich znaczeniu. Nie można też tego wymagać od niej, bo trudno wiedzieć takie rzeczy, ale od tego jest Dyrekcya, żeby udzielała instrukcyj, lub postarała się o kogoś, mogącego ich udzielać — a w takim razie zlagodzonoby

zbytnią wyrazistość gry p. Mielewskiego, przydanoby jej zaś anemicznej tym razem grze p. Wolskiej. Dodać trzeba, że do roli Kramerowej nie posiadamy w ogóle zgola odpowiedniej artystki i gdyby jej nie była grała p. Wolska, byłoby z pewnością jeszcze gorzej! Tak samo nie miał kto grać ciekawej roli Luisy Bänschówny, w której p. Ordonówna motała się z nadzwyczajną cierpliwością. Swobodnie grała epizodyczną rolę Lachmannowej p. Jutkiewiczowa i kto wie, czy nie poradziłaby sobie łatwiej z rolą bufetowej, będącej zarazem „córka domu“ państwa Bänschów? Luisa nie jest bowiem wcale kelnerką; stanowisko jej społeczne, typowo niemieckie, jest zupełnie oryginalne i według naszych stosunków całkiem się mierzy nie da! Nie w kelnerce żadnej kocha się Arnold! Wyrządza się zaś krzywdę p. Ordonównie, zmuszając ją do nadawania sobie tonów ostrych, które u niej nigdy nie nabiorą cech szczeroci i dla tego nie mogą sprawiać artystycznego złudzenia na widzach; artystka ta ma swoje role, w których nikt inny z dzisiejszego personalu nie może z nią rywalizować i zaskarbia sobie też coraz bardziej sympatyje publiczności; pocóż rzucać jej kamienie pod stopy poruczaniem ról zupełnie niewłaściwych, na których musi się potknąć, nie będąc temu zupełnie nawet winną? Nie bardzo też można być zadowolonym z występu p. Wysockiej w roli Michaliny Kramerówny. Było to poskładane z rozmaitych poprzednich ról dramatyczno-charakterystycznych, po kawałku z każdej, nie wyjmując nawet szczypty z repertuaru samego Gorkiego, a pokrywając ten zlepek pokostem roli konwersacyjnej. Zapewne, że sam tekst dużo winien; ale wiadomo, że artyści i artystki umieją poprawiać autorów i nadadzą nieraz życie realne wcale szablonowemu nawet tekstowi. Sama p. Wysocka posiada tę sztukę w wysokim stopniu, ale tym razem nie próbowała jej użyć i jej Michalina była trochę nijaką, nie bardzo zrozumiałą dla nieznaających tekstu. Daleko p. Wysockiej od tego, żeby mogła grać źle, tak źle, żeby się wszyscy spostrzegli; ale to rzecz względna, a p. Wysocka mogłaby grać znakomicie. Nasuwa się jednak znowu jedna uwaga: gdyby personal był dosyć liczny, nie trudzonoby zapewne p. Wysockiej wcale tą rolą, w której niema nie a nie takiego, żeby znamienne zalety jej gry były do tego potrzebne.

W granicach szczyptych środków, jakimi obecnie rozporządza przedsiębiorstwo teatralne, znać jednak staranie, żeby przedstawieniom nadać jak najwięcej różnaitości. Zawsze się znajdzie coś zajmującego, tak, że nie żal spędzić wieczoru w teatrze. Magnesem września były występy gościnne Nestora polskich artystów dramatycznych, p. Rapackiego, chluby swego stanu, któremu należy się pierwsze miejsce wśród kolegów starszego pokolenia, w którym dzierży prym talentem, pracą i inteligencją; świeci też młodszemu pokoleniu przykładem, na którym

powinnyby uczyć się wiele. Oby gościnne jego występy nie były zmarnowane dla tutejszego grona!

Niepospolitemu artyście przyznać należy na samem czele ten najwyższy przymiot aktora, że przy najskrupulatniejszym badaniu nie może mu nikt wytknąć najmniejszej niekonsekwencji w opracowaniu ról, ani zaniedbania w jak najdokładniejszej interpretacyi każdego miejsca tekstu. Stoi pod tym względem znacznie wyżej od p. Leszczyńskiego, którego mieliśmy przyjemność oklaskiwać przed wakacyami, artysty niezawodnie znakomitego (o czem zresztą wiedzą wszyscy od tyłu już lat), który jednak często gęsto obejdzie się z jakimś miejscem tekstu powierzchownie, jakby się nad niem nie zastanowił należycie i popadnie nieraz w pomyłkę taką, że pewien szczegół roli klóci się z ogólnem jej pojęciem. Nie wydarzyło się to p. Rapackiemu ani razu, a gra jego była w każdym a każdym ustępie roli jednako doskonałą. Nadzwyczajne wyniki swej gry zawdzięcza artysta przedewszystkiem temu, że nikt nie rozumie roli tak dokładnie i wszechstronnie, jak on; jest-to widocznem, że p. Rapacki posiada wyjątkowe znawstwo tekstu, że jest wczytany w utwór, w którym występuje, tak, że pod tym względem nikt mu nie dorówna, a z młodszych jedyny zapewne p. Tarasiewicz może się poszczycić takim znawstwem autorów, takim stopniem literackiego wykształcenia. Artystyczny zawód p. Rapackiego oparł się na podstawie znacznie szerszej, niż zwykło się uważać to za potrzebne wśród adeptów scenicznej sztuki i dlatego też role jego wykonane są tak, że o dorównaniu mu mógłby zamarzyć tylko ktoś równy mu przedewszystkiem... tem właśnie literackiem i estetycznem wykształceniem. Bez tej podstawy nie osiągnie nikt równie znakomitych wyników, chociażby posiadał równe p. Rapackiemu dykcję, ruchy i zdolność przetwarzania się. A zdolność ta jest olbrzymią, i do turnieju mogliby stanąć pod tym względem tylko pp. Kamiński i Solski. Przetwarza p. Rapacki w sobie z roli do roli wszystko: dykcję, ruchy i — głowę; tak jest, głowę całą, bo „charakteryzacya“ samej twarzy, to dla niego jeszcze nic, chociaż wszyscy niemal inni na tem porzostają

Dzięki warszawskiemu gościowi mieliśmy repertoar Fredrowski, a chociaż nasze braki wyszły przy tej sposobności na jaw tem jaskrawiej w zestawieniu z jego grą, dzięki mu jednakże za rzadką, coraz już rzadszą, biesiadę zobaczenia choćby pojedynczo postaci Fredry w należytej interpretacyi. — *Zemsta*, *Dożywocie*, *Pan Jowialski*, *Śluby panienskie* zwabiły kolejno miłośników teatru, a niezrównane interpretacye ról Rejenta Milczka, Łatki, Jowialskiego i Radosta były jakby zjawiskami z innego świata, dla Krakowian niestety już niedostępnego. Z naszych artystów jeden tylko p. Sobiesław, z żeńskiego personalu tylko p. Wolska sama umie się obchodzić z Fredrą; poza tem jeszcze

jedna rola samego Dyrektora, cześnika Raptusiewicza, ratowała sytuację. O reszcie najlepiej zamilczeć. Tyle dobrego, że p. Zelterowicz, czem częściej grywa we Fredrze, tem mniej źle grywa i jest nadzieja, że może mu się uda trafić nakoniec we właściwy ton; ale daleko jeszcze do tego, żeby było przynajmniej dosyć dobrze. I p. Ordonówna poczyniła pewne postępy w roli Anieli. Dobrze i to na te ciężkie dla Fredrowskich komedyj czasy, nie o każdym bowiem można to powiedzieć; tak np. p. Mrozowska, czem częściej grywa Klarę, tem gorzej wywiązuje się ze swego zadania! — Wystąpił p. Rapacki w jednej jeszcze roli oryginalnego repertuaru, „staropolskiej“, grając Radziwiłła w krotchwili J. I. Kraszewskiego *Panie Kochanku*. Były nadto trzy występy w rolach wielkich obcego repertuaru, a tem ciekawszych, że arcyróżnych: w *Safandułach* grał p. Rapacki Leonidasa Vaulcina, w *Gnieździe rodzinnem* pułkownika Schwartza i co najważniejsze i najgodniejsze widzenia, Shylocka w *Kupcu Weneckim*. W każdej z tych ról budził artysta prawdziwy podziw, toteż należy mu się szczerze podziękowanie za odwiedzenie naszej sceny, a Dyrekcyi uznanie za pomysł tak szczęśliwy.

Podczas gościnnych występów mieli nasi artyści ról obficie, dzięki największemu urozmaiceniu widowisk. Po większej części znamy już te role, gdyż prócz *Panie Kochanku* wszystkie te utwory bywały grywane w Krakowie w ostatnich czasach. Niema co brać na seryo ról w anegdocie dramatycznej J. I. Kraszewskiego; pole do opisu jest tylko w samej roli tytułowej. Wytknąwszy tylko można reżyseryi sztywne nader inscenizowanie I aktu i zapytać, dlaczego Puciatowna (p. Mrozowska) przechodząc z pokoju do pokoju za jakimś zajęciem i to w dzień powszedni, przybrała się w strój balowy?! Budzi się zaraz w widzu podejrzenie, że zrobiła to, przewidując, że spotka w środkowym pokoju Radziwiłła i chce balową sukienką tem bardziej zwrócić jego uwagę! A tymczasem ta panna respektowa jest personifikacją panięńskiej skromności, jakżeż więc godził się tu w umyśle artystki tekst ze strojeniem się bez jakiegokolwiek powodu w taneczne szaty?! Oto drobny przykład zwyczajnego, niestety, na scenie, niedostatecznego zastanawiania się nad tekstem!

W *Gnieździe rodzinnem* budził zaciekawienie nietylko znakomity gość, ale także rola Magdy, gdyż wykonała ją po raz pierwszy p. Wysocka, a ostatnią widzieliśmy w tej roli — p. Modrzejewską!! Niebezpiecznie obejmować rolę po takiej poprzedniczce i może skutkiem tego nie oceniono należyście postępu, jaki się okazał tym razem w grze p. Wysockiej. Od dłuższego już czasu nie było sposobności dopatrzeć się rozwoju talentu tej najzdolniejszej dziś polskiej artystki; można się było obawiać, czy nie ustanie, czy nie skostnieje, na tem poprzestając, co już

osiągnęła. Nareszcie widzieliśmy znowu posunięcie naprzód i w tem zasadnicze znaczenie tej roli dla p. Wysockiej. Nie obeszło się bez uchybień i dużo trzeba będzie jeszcze w tej roli poprawiać, ale możemy być na razie zupełnie zadowoleni widząc, że talent artystki począł na nowo czynić postępy i życzymy jej tylko, żeby mogła otrzymywać częściej przydatne do tego role. Grając Magdę, wzbogaciła artystka zasób swych środków scenicznych, gdyż wystąpiła ze znaczną ilością nowych ruchów. Zbłądziła w tem, że wprowadziła zbyt wiele nowego naraz; za wiele, żeby możebnem było należyte wyćwiczenie się w tem wszystkim zaraz przy jednej roli! Stopniowo i częściowo należy wypróbować nowe pomysły, ale za to obmyśleć każdy szczegół gruntownie. Znaczna część „nowości“ użyta była nie zupełnie właściwie (nie mogło być inaczej przy pierwszej próbie!) i skutkiem tego role, stanowiąca w zasadzie znaczny postęp, okazała dużo usterek. Są to jednak usterki dobroczynne, bo zapowiadają nowy rozpęd ku wyżynom.

Dr. Feliks Koneczny.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 września.

Nie postawiliśmy posągu Jadwigi w Wilnie. Co gorzej, nie postawiliśmy jej tego pomnika w silnem państwie, pod które ona swoim poświęceniem założyła fundament. Za to dziś musimy znowu znosić i patrzeć jak oni w tem samym Wilnie stawiają pomnik Katarzynie. Boleść, upokorzenie są straszne: i straszne także rozmiary tego kłamstwa, tej bezczelności, jakie na posągu wypisują, że Katarzyna zjednoczyła, co było gwałtem oderwane. Tak Mikołaj po zniweczeniu Unii na Litwie pisał na medalach pamiątkowych, że „połączył w miłości“ tych zmuszanych i męczonych.

Znosić to, i nie móż się oprzeć, nie móż nawet słowem zaprzeczyć, to jest ból złożony z tysiąca uczuć zranionych do głębi. Trzeba go wytrzymać i przetrzymać. Te kłamstwa niech karbuje Bóg, i niech je doda do wielkiej sumy innych, liczących na Jego sprawiedliwość. My zaś, choć boleliśmy bardzo, nie boimy się. Posąg Katarzyny może nam urągać i stać dopóki się nie zwali, ale duch Jadwigi, duch polski od niej aż do Mickiewicza, stać będzie dłużej i nie zwali się.

Postawili w Wilnie dwa posągi. Posągi stawiają się zwykle najlepszym w narodzie, bohaterom, ideałom tego narodu. Ich posągi w Wilnie, to Katarzyna i Murawiew. Czy Murawiew jest ich narodowym ideałem, rycerzem i bohaterem ich narodowej sprawy? Nie zazdrościmy: wolimy swoich, wolimy takich jak Czarniecki i Kościuszko. A ideałem niewieścim Katarzyna? Znowu nie zazdrościmy, wolimy ta-

kie, jak Jadwiga. Z okrucieństwem niskiego urągania wystawili nam te dwa posągi, „a nie spostrzegli się, nie uczuli, że sobie samym wypalają piętno wstydu na czole, kiedy jako swoje chwały sławią kata i rozpustnicę.

Katarzyna miała gieniusz, sprawiła ich wielkość, to prawda. Ale kto wie czy oni sami po czasie nie będą na nią płakać i przeklinać jej pamięć. Dala im potęgę: ale dała i przykład, który im może wyjść na złe. Nauczyła ich, że Państwu wszystko wolno, i dla Państwa; a z tego posiewu wyrósł plon, wyrosło uczucie, że wszystko wolno i przeciw Państwu. Z jej szkoły wyszedł ten, co rzucił bombę pod nogi Aleksandra II-go, i pod nogi ministra Plehwego; ona zaszczerpiła jad w krew tego społeczeństwa; dała mu potęgę, ale je „zatrula zbrodni jadem“. Dziwnie składa się chwila odsłonięcia tego jej pomnika. Tu na Zachodzie święci się tryumf zaboru i gwałtu, a tam na Wschodzie nie wygląda się tak dumnie i hardo. Te niepowodzenia, te upokorzenia tam, czy one nie są karą za to, co się robiło tu? Posąg Katarzyny urąga nam Polakom, a im w tej samej chwili czy nie urąga stałe powodzenie słabszego nieprzyjaciela? Posąg się wznosi, ale wojska się cofają, topnieją: a te przegrane niezwyciężonego mocarstwa czy nie urągają tej jego dumnej Imperatorowej z marmuru czy spiżu? Czy ona na tamtym świecie nie czuje boleśnie tego przeciwieństwa, tego urągawiska, którego oni dziś nie spostrzegają i nie czują?

My przywykli do wszelkiego rodzaju obelg i deptań, znosimy spokojnie i to. Powinniśmy znieść spokojnie nawet obecność niektórych Polaków przy tym obchodzie: i źle robią ci, co ich oskarżają i potępiają. Nic boleśniejszego, nic wstrętniejszego jak swoją obecnością dawać niby sankcję tym kłamstwom wypisanym na posągu. Ale jeżeli to zrobili z rozkazu, to musieli: jeżeli zrobili z wyrachowania, to mogli się mylić, ale nie mieli złej woli. Jeżeli zaś w tem wyrachowaniu były na dnie jakieś rozmowy z dzisiejszym ministrem spraw wewnętrznych, księciem Światopelk-Mirskim, to wtedy dopiero źle robią, ludzie czy pisma, kiedy te rozmowy rozgłaszają. Źle: bo jeżeli książę Mirski ma jakieś myśli i zamiary uczciwe, to tym sposobem podcinają mu nogi w Rosyi, a pomagają takim jak Pobiedonoscew i Czertkow.

Nominacya kniazia Mirskiego nie jest zapewne oznaką i zapowiedzią świadomego programu zmian i reform, ale jest oznaką nie mylną tego zamieszania, jakie powstaje zawsze w państwach doprowadzonych niepowodzeniem do poznania, że rządziły się źle. Powstaje świadomość, że było źle; nie powstała, nie wyrobiła się jeszcze świadomość, jak trzeba na to źle radzić i co robić. W tej nominacyi jest może niejaki podobieństwo do tych ministrów, których powoływał Ludwik XVI, takich jak Calenne i Necker. Czy książę Mirski będzie szczęśliwszym od nich? Dotąd, gdziekolwiek był i rządy sprawował, zachowywał się jak człowiek rozumny, a (co tam radsze) jak człowiek uczeiwy; zostawił po sobie dobre wspomnienie i dobrą sławę.

Na Wschodzie tymczasem wojna stanęła w miejscu. Port-Arthur się trzyma, a pod Laojanem generał Kuropatkin zdołał się wymknąć szczęśliwie: armia japońska nie zdołała go obsaczyć i odciąć mu odwrotu. To jest połowiczne i dość smutne, ale pierwsze powodzenie Rosyi w tej wojnie. Powodzenie rzeczywiste. Jeżeli spodziewana bitwa w okolicach Mukdenu nie będzie jej nową porażką, jeżeli Port-Arthur zdoła trzymać się dalej, to będzie to może znak, że karta się odwraca, że powodzenie Japonii staje się mniej pewnem i mniej świetnem. Opinia w Rosyi występuje zawsze z tą samą pewnością zwyczajstwa: przygotowuje się na długą kampanię, w której siły japońskie wyczerpią się prędzej niż rosyjskie. Ale pod głośnym akordem tych surm wojennych, daje się słyszeć w charakterystyczny sposób słodki ton pokojowej fletni: „Rosya nie ma nienawiści do Japonii; ani znacznie sprzecznych z nią interesów. Wojnę prowadzić musi, ale pogodzić by się mogła. Owszem, nietylko pokój, ale co więcej przymierze z Japonią nie jest niemożliwe, a jest dla obu stron pożądane“. Kto wie czy to nie myśl rosyjskiego gabinetu, nie jego program. Byłby zręczny. Sprzymierzyć się z Japonią, i w niej mieć punkt oparcia w możliwych przeciwnościach z Anglią lub Ameryką.

Podróż Prezydenta ministrów Dra Körbera po Galicyi nie była oczywiście bez politycznej myśli i celu. Przedewszystkiem była nowością. Ministrowie bywali zawsze w różnych krajach austriackiego państwa, ale żaden żadnego nie

objeżdżał systematycznie na to, żeby cały własnymi oczami zobaczyć i poznać. Taka lustracya czy inspekcya była w każdym razie znakiem czy aktem dobrej woli Ministra: znakiem i dowodem powagi Namiestnika wobec centralnego rządu. Rzecz prosta, że kraj przyjął te odwiedziny z uprzedzającą uprzejmością i wdzięcznością. Nie omieszkął też skorzystać ze sposobności i zwrócił uwagę Ministra na swoje położenie, na swoje potrzeby, na to, czego od rządu domagać się i spodziewać się ma prawo. Zrobił to w imieniu kraju Marszałek hr. Badeni, kiedy witając Ministra w gmachu sejmowym, w znakomitej, na wskrós politycznej przemowie streścił, określił, wystawił te stosunki z tą jasnością i precyzją, której ma osobny i rzadki dar. Po tej mowie można było myśleć, że w odpowiedzi znajdzie się określenie stanowiska rządu do kraju: ale pod tym względem niejakiem zdziwienie. Prezydent ministrów wypowiedział także mowę polityczną, ale w niej co do Galicyi ograniczył się do ogólnikowych oświadczeń życzliwości, a treść jej główną zwrócił do Czechów i do Niemców. Może w nieobecności parlamentu chciał uchwycić pierwszą zdarzoną sposobność, żeby oznaczyć swoje stanowisko względem dwóch stron zwaśnionych. Nie zamierzał zapewne załagodzić namiętnego sporu: ten się mowami uspokoić nie da. Ale boimy się, że ta mowa nie sprowadzi ani chwilowego nawet uciszenia. Był tam ustęp jeden o stanie posiadania Niemców i jego zachowaniu, który mógł Czechów rozjątrzyć, skoro Niemcy uważają za swój nietykalny stan posiadania to wszystko, co jest przedmiotem ich żądań, nawet najbardziej umiarkowanych. Czy oprócz zwiedzenia Galicyi Prezydent ministrów miał jaki cel specjalny i praktyczny, tego my wiedzieć nie możemy. Jeżeli chodziło o to, by sobie zapewnić poparcie Koła polskiego w Radzie państwa, to pan Minister wie, że w sprawach obchodzących byt i bezpieczeństwo Państwa, posłowie polscy Państwa nie opuszczą i nie zawiodą. Jeżeli, jak niektórzy twierdzą, była myśl utworzenia raz w Radzie państwa większości, któraby umożliwiła działanie i sam byt Rady państwa, to na to ani Koło polskie, ani żadna większość nie poradzi, dopóki większość i parlament będą na łasce każdego trzech czy pięciu ludzi, którym się spodoba nie dopuszczać do uchwał. Przelamać

ich może tylko zmiana regulaminu, a od tej nie Koło polskie się usuwa. Nie chcą jej różne partye, a rządowi brak na nią odwagi. Więc jakie wyjście? Kurator dodany Państwu? Ależ czy to Państwo ma zawsze zostać niepoczytalnem? O to właśnie chodzi, żeby jego Reprezentacya mogła stać o własnej sile i działać, żeby nie potrzebowała kurateli jak dziecko albo jak człowiek niespełna rozumu.

Nie jest politycznym wypadkiem odbyty we Lwowie Kongres Maryański, ale jest wypadkiem godnym pamięci i uszanowania, wypadkiem szczęśliwym, jako wspaniały akt katolickich uczuć, przekonań i sił, które objawiły się i w liczbie prawdziwie imponującej i w liczbie, jakiej przed niedawnym czasem nie bylibyśmy mogli się spodziewać. Słusznie było i pięknie, że ten obchód odbył się we Lwowie, w tem mieście, gdzie król swoją złożył koronę na ołtarzu Matki Boskiej: słusznie i pięknie, że odbył się z uczestnictwem wszystkich części Polski. Istotnie żadnej nie brakło, każda była obecną przez swoich obywateli.

Sejm dziś otwarty. Marszałek krajowy i Namiestnik w przemowach swoich kładli nacisk na finansowe położenie kraju, nie ukrywają ani zmniejszają jego już istniejących i przyszłych niebezpieczeństw, ale wskazują zarazem sposoby i środki jakby im zaradzić, a od większych na przyszłość się ustrzedz. Oprócz tych przemówień, które były niewątpliwie wskazówką czynności i charakteru obecnej sesji sejmowej, nie mogło dotąd nic zdarzyć się w Sejmie. Ale była przemowa, deklaracya posłów ruskich, tych, co przeszłego roku złożyli mandaty. Deklaracya ta, wypowiedziana przez posła Oleśnickiego, mówiła, że ponowny wybór tych posłów dowodzi, że postąpili w myśl swego narodu, pokrzepia ich na siłach i dodaje ufności w sobie; a stanowisko ich musi zostać takim, jak było, skoro doznają takich samych krzywd i upokorzeń — na porządku dziennym pierwszego posiedzenia stoi już groźba dla Rusi, ustawa o włościach rentowych.

* * *

Z powodu wojny obecnej myśli kilka.

Dziwne zaiste przechodzą i mózgi i serca polskie opaly, a nigdy może dziwniejsze, jak w chwili obecnej. Gdy mówię o mózgach i o sercach, rozumiem, że pierwszych jest mało, drugich wiele i gorących bardzo. Pierwszych mało, nie, bym sądził, że Bóg mało którego Polaka zdolnym myślenia aparatem obdarzył, ale że cierpienie stuletnie, a do tego błędne jedne po drugich teorye, wykoszlawiają u wielu, a to często od kolebki, narząd ten, a nadto pokarm, który on dostaje, w części niedostateczny, często niewłaściwy, nieraz zepsuty, nie służy mu i poddaje go w zbyt wysokim stopniu pod władze serca. Nie mówiąc o przeszłości bliższej i dalszej, terażniejszość dobitnie wskazuje, jak zdrowy polski mózg i gorące polskie serce niemal wyją na siebie wzajemnie.

Od sześciu z górą miesięcy wre wojna na zabój między ogromnem rosyjskiem cesarstwem a narodem pogańskim, lub może i potrochu bezwyznaniowym, wyrosłym w przeciagu jednego pokolenia z barbarzyńców na nowożytne, pod pewnemi względami wysoce ucywilizowane państwo. Walka ta, o ile jej powstrzymać nie zdoła Europa, kładąc stanowcze swe *veto* pomiędzy zapaśnikami, skończyć się naturalnie musi pobiciem Japonii, a nawet, jeśli Europa do tego dopuści, ubezwładnieniem jej na długo, a może i na zawsze; ten skutek niechybny, bo ni finanse Japonii, choć ona stosunkowo od Rosyi bogatsza, ni ludność Japonii, choć ona bardzo

gęsta, z finansami i ludnością Rosyi mierzyć się nie mogą — nikt myślący ludzić się tu nie może. Piszemy w chwili opuszczenia Liaojanu przez wojska rosyjskie, w chwili odcięcia Portu Artura od reszty świata, a nawet może niedalekiego jego upadku, piszemy po wszystkich porażkach, a po części i klęskach, które wojska rosyjskie poniosły — a mniej niż kiedykolwiek spodziewamy się zwycięstwa Japończyków ostatecznego.

Gdyby w pierwszych chwilach wojny, gdy Rosya była poprostu bez wojska, Japończycy byli zdolali znaczniejsze odnieść korzyści, Rosya byłaby zapewne widziała się zmuszoną do zawarcia pokoju z poświęceniem nawet może Mandżurji, oczywiście na tak długo, aż druga para szyn kolejowych od Petersburga do Charbina lub Czelabińska nie stanie. Ale czy to dalekość i trudność przeprawy i natura terenu wojny, czy wpływy klimatyczne, czy (i to najprawdopodobniejsze) bohaterstwo wojska rosyjskiego, które ciągle co do liczby niższe, przy żadnej porażce ani się rozbić nie dało, ani w rozsypkę nie poszło, zeszło sześć miesięcy, a wojsko rosyjskie ciągle rośnie w liczbę, i w skutku wysoce rozumnej strategii jenerałów czy Kuropatkina, czy Aleksiejewa, nie wiem, ustępuje ciągle, o ile się tylko daje, najmniej i śmiało powiedzieć można, napoczętem ni moralnie, ni materyalnie nie jest. Samo to już jest dla Japonii klęską wobec wysiłków finansowych nad jej siły, i ani podziwu godne poświęcenie wszystkich, ani wzorowa organizacya, nie ochronią jej od ostatecznego wyczerpania. Rosya za przykładem Anglii i prowadząc podobnie jak ona wojnę o 1000 z górą mil od swej podstawy, da przeciwnikowi radę, choć nie zaraz. Historia to wyścigu na daleką metę między koniem o szybkich nogach, a koniem o głębokich płucach. Japonia rachowała na Anglię i Chiny. Ile rozumiemy, i Anglii i Chinom reszta Europy ruszyć się nie daje, bo widzi po tej wojnie o 1½ tysiąca mil od Paryża i Londynu, jaki zrobiłby się stan ekonomiczny Europy przy wojnie ogólniejszej, gdy dziś państwa europejskie, tylko przyglądające się, już swe straty finansowe na miliardy cyfrują. Zapaśnicy pozostaną sami do chwili pierwszego zawieszenia broni — wtedy się Europa odezwie.

Po którejże stronie sympatye polskie, bardzo niestety mało znaczące? Ogólnie mówiąc, bardzo przeważnie po stronie Japonii — a czemu? Powinnoby być zdaniem naszym odwrotnie, bo: po pierwsze, choć to argument nie główny, biali i chrześciance powinniby być po stronie zaczepionych białych i chrześcian, a przeciwko zaczepiającym żółtym nie-chrześcianom. Po drugie, bo w tej wojnie Japończycy głównie polską krew toczą i naszą skórą w znacznej części latać się będą dziury, które wojna w finansach rosyjskich wygryzie — ale jest i powód ważniejszy.

Wiele miliardów kosztować będzie ostatecznie Rosyę utrzymanie się przy Mandżuryi, a może i zdobycie Korei, wiedzieć dokładnie nie można, ale jak dziś rzeczy stoją, zdaje się, że bez 2 do 3 miliardów rubli nie obejdzie się, a Anglia i Ameryka, ile się zdaje, ani Japonii terytoryalnie napocząć, ani finansowo żył jej rozpruć nie dozwolą. Zostanie Mandżurya, a może i Korea, oczekujące nakładu miliarda i więcej, nim same dawać Rosyji czystą intratę poczną. Na kraj, stosunkowo do obszaru z europejskich chyba najbiedniejszy, jak Rosya, do tego nieźle zadłużony, to anemia finansowa na długo, na dłużej może, niż anemia Japonii, choćby już dlatego, że Rosya choruje na solitera biurokracyjnego, i to szerokiej natury i znacznych potrzeb solitera, gdy wiadomo dobrze, jak mało stosunkowo pochłania administracya japońska i gdy się zważy, że kuban, instytucya narodowa w Rosyi, jest w Japonii rzeczą nieznaną, gdy się wreszcie wspomni, że w sumieniu rosyjskiem kazna jest *res omnium*, w japońskim do cesarza i ojczyzny należy.

Oprócz finansowego wycieńczenia, wojna japońska, choćby nawet już i od dziś zwycięzka dla Rosyi, odsłania Europie słabe strony jej organizacyi i upokarza ją przed nią niepomalu. Dać się wciągnąć w taką wojnę bez żadnego do niej przygotowania, brać raz po razie w skórę od *Japończyków* — a powtarzam, zachowanie się całej armii i floty rosyjskiej uważam za wzorowe — gdy poczekawszy choćby tylko pięć lat, musiało być odwrotnie, dowód to nie nieudolności, bo jej zaprawdę w zagranicznej polityce Rosya dowodów nie daje, ale rządzenia się chwilowemi kapryсами,

przywidzeniami, a co gorsza może dowód podlegania podziemnym wpływom grubych finansistów, w Korei i Mandżurii angażowanych.

Platoniczne przymierze z coraz słabszą, bo własnymi nogami się deprecją Francją, nie tu nie pomaga, tylko tę ostatnią o jaki miliard franków zubożyło, i jeśli jedna Francja ze wszystkich na świecie jedynie sympatycznie się względem Rosji zachowuje, to więcej nie, a za to każdy Francuz czuje, o ile Rosya, finansowo osłabiona, trudniej Francję przeciw Niemcom bronić będzie.

Oprócz tego, albo się mocno mylimy, albo społeczeństwo rosyjskie zapyta rządu swego o rachunek z pieniędzy i ludzi. Dziś już widzimy, że rosyjskich ministrów spraw wewnętrznych i innych biją jak baranów, i nie dowodzi to zadowolenia z istniejącego stanu rzeczy, ale jest i powód głębszy do niezadowolenia coraz większego. Dobrze rozumiał Rosję i samodzierżawia istotę taki cezaro-papież, jak cesarz Mikołaj, gdy deskami jakoby i kołami dębowymi starał się ją odgradzić od reszty świata, jego cywilizacyi i postępu. Rozumiał instynktownie, że prawosławie, a to jest Rosji dzisiejszej fundament, nie zniesie oświaty, że oświata prawosławie obali, choć może nie zaraz, bo stare i dobrze zakorzenione. Jedno ze wszystkich wyznań chrześcijańskich, prawosławie, absolutnie w miejscu stoi i tem jest w sprzeczności z duchem ludzkim, który żadnym sposobem w miejscu nie ustoi. Panuje ono jako państwowa religia nad narodem głęboko religijnym i prawdy religijnej żądnym, a że tak, najlepszym dowodem ta niesłychana ilość sekt (200 z górą), które w nim powstały, i to głównie w ludzie. Warstwy wyższe tego narodu, a zwłaszcza rządzący, oddawna religię tę państwową uważają za *instrumentum regni* i więcej nie, i jako takie respektują i zewnętrznie obserwują, bo im z tem dobrze; myśląca i niezawisła część społeczeństwa, czy to w wyższych, czy w średnich warstwach, z prawosławia się poprostu śmieje. Ilość myślących albo sądzących, że myśleć umieją (a to w tym razie praktycznie na jedno wychodzi), z każdym rokiem wzrasta, bo choć szkół śmiesznie mało i do średnich i wyższych drzwi bardzo nie szeroko otwarte, z każdym jednak rokiem liczba malkontentów wzrasta i to w sto-

sunku większym niż przybywa naukowo wykształconych, bo od czegóżby prozelityzm? A że to prawda, dowodem fakt jedyne na całym świecie, to jest, że zaburzenia uniwersyteckie są poprostu chroniczne w Rosyi; młodzież, zwłaszcza szkół wyższych, jest bez przerwy żadnej w stanie buntu i spisku; proszę o pokazanie mi gdziekolwiekby podobnego stanu rzeczy. A nie można powiedzieć, by młodzież szkolna w Rosyi (o naszej naturalnie nie mówimy) doznawała ucisku gorszego, niż inne warstwy narodu — prędzej ma więcej, niż mniej od innych swobody. Ale działają na nią, i nauka niektórych profesorów, wprost prawosławiu, a nawet chrześcijaństwu przeciwna, i literatura cała z Tolstojem na czele. Genialny ten pisarz, nie myśliciel, choć etycznie bardzo do Voltaire'a niepodobny, działa w gruncie jak tamten, osłabia wiarę ojców, co zawsze łatwo; to, co Tolstoj przepisuje szczytnego i szlachetnego i co sam praktykuje, to naśladować tylko garstka będzie, bo trudne — ogół plwać będzie za nim na prawosławie. Że na tem polu Tolstoj stał się pierwszorzędną dla Rosyi dzisiejszej i prawosławiu nieprzyjazną potęgą, dowodem klasycznym to, że za swój list ostatni, w którym poprostu już samą osobę cesarza bezcześci, w więzieniu dotąd nie siedzi i siedzieć nie będzie, a Amfiteatrow przeciw siedział. Tolstoją aresztować nie wolno, nie można.

Już w latach szkolnych młodzież apostołuje i prozelitów zbiera; dalszy ciąg tej roboty w życiu, o ile jednostki dla chleba i karyery nie przechodzą w rządowe szeregi. Bacząc, że cerkiew prawosławna z natury rzeczy nie może wydać reformatorów w wyższym sensie, jak ich katolicyzm w tyłu papieżach i tyłu Świętych wydał, i że ich nigdy nie wydała, tylko chyba takiego, jak Piotr Wielki, walka toczyć się może tylko między rządem prawosławnym i tego prawosławia przeciwnikami. Obecna wojna rząd bezwarunkowo osłabi, a wzmożni jego antyprawosławnych przeciwników, cesaropapizm na biurokracyi oparty ucierpi więcej, niż wojska na dalekim wschodzie. Zorganizowana oddawna i silna potęga państwowa bronić się jeszcze długo będzie, ale podwalinę główną straci, gdy naród w prawosławie wierzyć przestanie; bagnety będą za nią — duch narodu przeciwny i tu powód osłabienia wewnętrzznego. Jak ono się da uczuć, w jakim się stopniu wy-

robi, przesądzać nie myślę, ale rzecz zbyt jasna, by umyśle wyższe u Rosyan — a takich nie brak, choć wielki brak ludzi mających pierwsze podstawy — nie zajmowały się od dawna pytaniem: „A co po wojnie?“ albo „Co, jeśli się wojna przeciągnie, wycieńczając skarb, podkopując urok wobec Europy i szerząc niezadowolnienie w coraz szerszych warstwach?“

Czy Rosya w obecnym stanie świata może utracone nieroztropnie siły *en se recueillant*, jak po krymskiej kampanii, odzyskać prędko, wątpimy wielce; inne to czasy i inna Rosya, a co przez te pół wieku posiadała w Azji, tego bronić będzie musiała, oczywiście ze sprzymierzeńcem, bo bez takowego widzimy, jak sobie z samą Japonią trudno radę daje. O Francyi nie mówimy — francuskie bataliony ani lądem nad Bajkałem, ani morzem pod Liaojanem nie staną ni dziś, ni za 20 lat. W Europie, nimby się Francya ruszyła, Niemcy będą już panami Królestwa Polskiego, a Francya czy się w ogóle bić potrafi, pytanie wielkie, bo rządzący nią czynią nadludzkie wysiłki, by ona sama już nigdy do takowych zdolną nie była. Wiedzą o tem myślący Rosyane lepiej od nas i wypatrują możliwe przymierze. Wiele ich widzą, nie wiemy; my znamy ich trzy: dwa dla Rosyi i nas zgubne i jedno dla nas i Rosyi zbawienne.

Pierwsze, jak się zdaje, już obrane, a zgubne dla Rosyi i nas, przymierze z Niemcami. Że dla nas zgubne, wykazywać chyba nie potrzebujemy; z ogółem narodu jesteśmy zdania, że germanizm z nie naszej, a po części i z naszej winy głównym naszym wrogiem. Rosya, bezpieczna przez alians z Niemcami o swe kresy zachodnie, zmobilizuje się za kilka lat i Japonię zgnębi, w mierze i stopniu, przez Anglię, a także i same Niemcy dozwolonym, ale za to będzie musiała z bronią u nogi wschodnich kresów pilnować od żółtych. Za to pójdzie w jarzmo celne, a i polityczne zewnętrzne i wewnętrzne, germańskie. Zewnętrzne pod względem nabytków na półwyspie Bałkańskim, wewnętrzne i pod względem finansowym i więcej jeszcze pod względem polityki względem nas. Polityka ucisku Polaków gdzie tylko się da, nietylko w Prusiech jednych, jest dla Niemiec, a raczej Prus, wskazaną z dwóch względów. Raz, że W. Księstwo Poznańskie i Prusy Zachodnie

tem doskonalej pod obecnem jarzmem utrzymać można, im Polacy gdzieindziej słabsi będą, a powtórę że tak trzymane Królestwo, jak dziś jest, jest kulą u nogi Rosyi, a z tego z pewnością Niemcy radować się muszą. Królestwo Polskie, dobrze rządzone, zadowolnione i spokojne, to znaczne wzmocnienie Rosyi, bo jej sił wojskowych nie pochłania, a intratę czystą bardzo znaczną daje. By to nigdy nie nastąpiło, starają się Prusy nie od dziś i udaje im się, dzięki ślepotcie Rosyi i dzięki także temu, że Polską rządzą kobiety i studenci. Uda się Niemcom, ile sądzić można, i nadal trzymać dwa główne narody słowiańskie w stanie wzajemnej antypaty, a jeśli się uda na długo, to dzięki nieroztropności, z którą Rosya pozwoliła się dać uwikłać w niewczesną wojnę.

Drugą drogą — i ile uważamy, droga ta była proponowaną, ale dotychczas nieprzyjętą — to emancypacja żydów w zamian za bardzo wielką pomoc finansową. Straszne byłoby i to dla Rosyi, a może jeszcze więcej, przynajmniej bezpośrednio dla nas. Panowanie dzisiejsze jest bardzo toleranckie w porównaniu do poprzedniego, bo Aleksander III był rodzajem Filipa II, podniesionego pod względem klerykalnym do dziesiątej potęgi, i widzimy niejedną laskawość dla żydów niekoniecznie pieniędzmi kupioną pod obecnie panującym cesarzem. Naród rosyjski bardzo się odpornie względem żydów trzyma, ale to na długo nie pomoże, gdy z góry folgują i gdy działanie Aleksandra III względem żydów wstrzymane. Dziwna rzecz, że rząd rosyjski, orli pod względem polityki zagranicznej, krecim jest zaprawdę co do polityki wewnętrznej, albo lepiej powiedzmy, nigdy żadnej nie miał, tylko policję. Zdaje mu się środkiem wybornym żydów brać w rekruty, gdy tymczasem jedynym środkiem radykalnym na żydów jest nie tylko uwolnić ich zupełnie od wojskowej służby, ale i do takowej nie dopuścić. Żyd, dający na równi z innymi podatek mienia i krwi, na długo nie może być upośledzonym cywilnie, bo się to logice sprzeciwia, a na długą metę zawsze ona zwycięża. Zapewne radować się będą synowie arendarzy i biednych kramarzy i handełsów, że przed wojskiem do Galicyi lub Ameryki uchodzić nie potrzebują — zatrwożą się może głębocy statyści, że się żydów zamnoży bez miary, ale

Alliance israelite palee gryźć będzie z wściekłości, bo zrozumie, że exemcyja od wojska, to pogrzeb emancypacyi żydów w Rosyi. Ale czy się Rosya na to zdobędzie! Gdzie kuban rządzi, tam *à la longue* i żyd, więc wątpimy, choć ile wiemy, pierwszą żydowską ofertę chłodno przyjęto. Zdaje nam się, że jeśli się żydom dziś nie da emancypacyi za pieniądze, to się im ją da *gratis* za jakie 50 lat, a wtedy będą oni mieli za jakie 200 lat co jeść, bo Rosya kęs wielki — ale biada nam! Ci dzisiejsi najgorętsi nieprzyjaciele, którzy porażki Rosyi w Japonii uważają za karę Bożą za Kiszzeniew i inne prześladowania i z tych klęsk się radują, ci sami nazajutrz po emancypacyi będą zaciętszymi wrogami naszymi od Moskali i Niemców, a najniższymi sługami Rosyi.

Jest trzecia droga, zdaniem naszym, dla Rosyi i dla nas, w ogóle dla wschodu Europy zbawienna, a tą jest mocne z Austryą przymierze.

Upłynęło z górą 50 lat od ciężkich głupstw niezwykłego zresztą Schwarzenberga i słabszego już o wiele Buol-Schauensteina, którzy nie potrafili ani wdzięczności dla Rosyi za bezinteresowną cara Mikołaja pomoc w r. 1848 utrzymać, ani zgnieść Rosyi naprawdę razem z Anglią i Francją, a nadto zmusili Rosyę do zawarcia pokoju, pod groźbą podniesienia kwestyi polskiej, o czem nie każdy wie — a tego wszystkiego Rosya tak prędko przebaczyć nie mogła i mściła się co w polityce zawsze niemądrze. Ztąd dla Austryi i utrata Lombardo-Wenecyi i po Sadowie strata hegemonii w Niemczech wynikła, stąd zmuszenie Austryi do neutralności podczas wojny francuskiej i potrójne przymierze wynikło, a z niego konieczność — gdy innych nie było, a Niemcy spotężniałe groziły — szukania alianta dalekiego, a więc zawsze trochę platonicznego, i do reszty moralnie niepewnego, jak Francya, nadto przez żydów rządzona, by wierną w sojuszu być mogła. Czas nawrócić. Austrya Rosyi zagrażać taka, jaką jest, a nawet zwiększona, nie może, a przy granicy przeszło stomilowej wspólnej, do pomocy geograficznie zdolna — i takiemu przymierzu Niemcy z Francją za plecyma czoła nie stawiają i zostanie im Afryka do uszczęśliwienia. Hasło *Los von Rom*, które w gruncie znaczy u Wszechniemców *Los von Habsburg*, z Berlina propagowane, zamilknie, a Rosya, dziś podo-

bną do takiego, który coraz to nowe folwarki nabywa, a dawne ugiem stoją, weźmie się do zagospodarowania obszer-nych swych dzierżaw, z których dotąd same tylko zachodnie kresy, dzięki zaprawdę nie rosyjskiej biurokracyi, ale dzięki Niemcom, Polakom i Fińczykom, odpowiednie przynoszą korzyści. Znajdzie się wtedy i dla galicyjskiej i dla kijowskiej Rusi byt znośny, a rozepną się trochę Węgry w Bałkanach, i stanie się co słuszne, że Rosya i Austria jako te, które (oprócz dawnej Rzeczypospolitej) głównie z nawałą muzulmańską się borykały skutecznie, posiadają półwysep Bałkański, a nie Francya lub Anglia, których zasługi pod tym względem były dodatnie tylko za Krzyżowych Wojen, ale odtąd tylko ujemne.

Można powiedzieć, że odbiegliśmy trochę od tematu i puściliśmy się zbyt na szerokie morze europejskich kombinacyj politycznych, ale nam się zdaje, że ta dygressya potrzebna. Wykazała nam ona, że porażka Rosyi przez Japonię żadną dla nas korzyścią nie jest: 1) bo osłabienie Rosyi zmusza ją do obrania jednej z dwóch dróg dla niej i nas zgubnych, które wskazaliśmy, a bardzo mało nadziei, by obrała trzecią, jedynie zbawienną; 2) bo jeśli klęski zewnętrzne Rosyi zmuszą ją do reform wewnętrznych, dla Rosyan pożądaných, to wcale za tem wiedzieć nie można, byśmy i my z nich skorzystać mieli; 3) bo nie prawda, by fatalnie postępujący w miarę oświaty rozstrój prawosławia sam z siebie miał nam jaką ulgę przynieść; sądzimy, że Rosyanie z resztą chrześcijańskich skrupułów lepsi dla nas od Rosyan, całkowicie z takowych wyzuty; nietylko jako chrześciance, ale nawet pod względem politycznym wolimy Rosyę wierzącą od niewiernej, co zaś do jej osłabienia, to dużyoby go trzeba bardzo, by już nie potrafiła nas ucisnąć.

Dlatego nie radujmy się, bo zaprawdę niema z czego. Wojna przedłużona, gdyby już tylko to, że się w niej wiele krwi polskiej sączy i wysączy, wesołą dla nas nie jest; już ona tysiące ludzi w kraju do żebractwa doprowadziła, a mobilizacya przyszłoroczna, zupełnie pewna, jeśli tylko wojna dalej potrwa, doprowadzi nas do stanu ekonomicznego, jakiego nie zazналиśmy od czasów wojen francuskich, a i potrzeby społeczeństwa, i cały jego tryb życia wcale inny niż był

wtedy, i inne wysiłki na to, by się na powierzchni Królestwa wyżywiło* dzisiejsze 10 milionów ludzi, niż ongi cztery, i państwowe potrzeby inne, niż wtedy.

A przecież, ogólnie mówiąc, nie Czerwonym, nie Wszechpolakom tylko, ale i ugodowcom nawet, jak piszący, serce się raduje, gdy czyta o zwycięstwach Japończyków, serce się ściska na wiadomość, że się wojska rosyjskie dobrze trzymają. A skądże tak absolutna, tak niezwykła antynomia między rozumem a sercem, nawet u jaśniej widzących?

Od lat czterdziestu, od zgnębienia bardzo co prawda niefortunnego, a co jeszcze przykrzej powiedzieć, mało chlubnego powstania naszego, rząd rosyjski, a po części, nawet po znacznej części i naród rosyjski mści się na nas za to powstanie. Jeśli jeszcze rozumieć to można ze strony narodu rosyjskiego, uwiedzionego niecną prasą, jaką były bezwątpienia i są niejedne rosyjskie czasopisma, to rządowi mścić się nie wolno. A jeszcze mniej wolno panującemu, temu, któremu Opatrzność dała w ręce ludy i kraje różne, pozwolić rządowi, czyli ogółowi sług swoich: „A róbcie tam z nimi co chcecie“, tak, jak powiedział Aleksander II: *J'ai abandonné la Pologne à mes officiers*, albo innym razem: *Faites comme moi, ne pensez pas à la Pologne*. Tego chrześcijańskiemu panującemu nie wolno, a nie wolno zwłaszcza w kraju, który się nieprawnie posiadało: tu po ukaraniu tych, którzy w przekonaniu panującego zawinili, dla reszty należy ojcowska sprawiedliwość, surowości i nadzoru niewykuczająca. Mówimy tu ciągle z punktu widzenia rosyjskiego, nie z polskiego. To też Pan Bóg nie darował, i ten, co zapominając o nas, zapomniał swego monarszego obowiązku, a puścił na nas swą psiarnię, na nas, których dolę i niedolę On w ręce jego oddał, nie darował powtarzam i jak historia długa, żaden nigdy monarcha chrześcijański rozszarpany na dwoje nie zginął, jak ten, który naród sobie powierzony opuścił i za kaprysem dwu fanatyczek wierny sobie lud z wiary swej krwawo obłupił (Unici nasi). Gdy pan pozwolił, ruszyli na nas słudzy pańsey i język, religię, własności te przyrodzone, trzy fundamenta każdego społeczeństwa, systematycznie i bez systemu, częstokroć nawet ze szkodą państwa, walić poczęto i nieprze-

stawano na chwilę po dziś dzień. Na dzień nawet nie spo-
częto w psowaniu społeczeństwa, w sądownictwie przez bez-
karność stronnicy, w szkolnictwie przez jego niedostateczność
i tylekroć stwierdzony jego zły kierunek, w ludzie wiejskim
przez rozbudzanie jego chciwości i sianie nienawiści do warstw
wyższych, w duchowieństwie przez protegowanie złych księży
przeciwko biskupom, w całym społeczeństwie przez zawią-
zywanie rąk każdej cnotliwej inicjatywie, a dopuszczanie
wszelkiego złego, czy obyczajowego (prostytutcy na potworną
skalę, brzydkie widowiska), czy w pismach i książkach, w któ-
rych byle prawosławia i samodzierżawia nie tykać, wolno
głosić wszystkie świata fałsze, wszystkie bezwstydy i ohydy,
ale nie wolno n. p. szerzyć nabożeństwa do serca Pana Je-
zusa; nie wolno ochronki, szkółki, czytelnicy, tylko ich kary-
katury, ale wolno domy gry i rozpusty i kawiarnie śpie-
wające. A jakżeż dawno, jak kościół postawić wolno lub
restaurować i czyż się niemal na klęczkach nie dziękowało
za tę łaskę. Może ze wszystkich zarzutów, jakie możemy
rządowi rosyjskiemu uczynić, ten najcięższy; drugi mało
łżejszy. U góry teatru, balet, klub myśliwski i inne sporty.
Dla średnich rozważnych ludzi Towarzystwo Rolnicze i t. d.
U dołu teatr ludowy; system zabawiania. *Divide et impera,*
corrumpe, niegodne to wielkiego państwa środki i słusznie
osławieni Prusacy nigdy ich do nas nie stosowali.

Do tego wszystkiego, podatki w sumie ogólnej wszyst-
kiego rodzaju podatków daleko większe na głowę mieszkańca
od sławnych austriackich, a za nie: najgorsze na świecie ko-
munikacje kolejowe i drogowe, najnieodłączniejsze a zarazem
najdroższe poczty i telegrafy, najniebalsza i najniwykształ-
ceńsza, szczęściem czasem przekupna administracya, odsu-
nięcie nas od wszelkich posiadłości rządowych, z wyjątkiem naj-
niższych, i to do czasu (jak obiecuje p. Czertkow), miejsce,
a więc niepowrotność choć w części zapłaconych 146 milio-
nów rubli podatków rocznie w formie pensyj urzędników,
szpitalnictwo wszelkiego rodzaju poprostu wobec potrzeb kraju
oburzające, szkoły, o ile są (bo ich liczba po miastach śmie-
szna), urządzone jakby na wychowanie pokolenia nienawi-
dzącego Rosyę, a nie na wykształcenie młodzieży, wreszcie
taryfy kolejowe, deptające nogami nasz przemysł i rolnictwo,

a gdy wypadnie robota rządowa, sprowadza się do niej kacapów z daleka, by przypadkowo ludność miejscowa nie zarobiła. Jednem słowem, zdaniem naszym, niema na kuli ziemskiej kraju po części umyślnie, po części nieumyślnie potworniej od Królestwa Polskiego administrowanego i pod każdym względem zacofywanego strasznie.

Okrom tego dopiero oczernianie nas przed światem i przed społeczeństwem rosyjskiem i szczucie go na nas przez dziennikarstwo rosyjskie, i to nietylko rządowych odcieni, przez 40 lat, pastwienie się poprostu nad dziećmi i wnukami tych, którzy już blisko przed dwoma pokoleniami nieroztropnem a jawnem i po części zbrodniczem powstaniem w r. 1863 zgrzeszyli.

Żadne, śmiemy twierdzić, społeczeństwo bez szkody takiego traktowania go nie zniesie, ślady i skutki tego pozostać muszą. To też chłop bezkarnością i ciąglem cudzego pragnieniem rozbestwiony, mieszczaństwo z braku szkół ogłupiałe, szlachta i średnia warstwa z braku karyer ciemna i niedołączna, a gdy bogatsza, z przymusowego próżniactwa zepsuta, duchowieństwo odcięte od Rzymu i w seminaryach i na parafiach prześladowane, niewykształcone i w oporze przeciw biskupom przez rząd utwierdzaue — oto ideał, którego rząd rosyjski już blizki, a do którego kłamałby, gdyby mówił, że nie dążył. W zdeorganizowaniu, zepsowaniu swego działu ma rzeczywiście i bezsprzecznie Rosya pierwszeństwo przed Austryą i Prusami.

I są tem przekonani, że ją mamy za co kochać i jeśli nie ubóstwiamy, to czarna i wielce karygodna niewdzięczność! I gdy wiedzą, że nerwowa część społeczeństwa, młodzież i kobiety burzą się, a rozważniejsi bronić rządu w stanie nie są, znaczy to w jego oczach, że wszyscy przeciw rządowi, wszyscy spiskują, wszyscy przy danej sposobności Wszecpolacy i rewolucyoniści. A za co i w czem trzeźwi ludzie mają bronić rządu i jakim sposobem, gdy żadnej reprezentacyi niema, żadnego nawet jawnego a przyjaznego wystąpienia jednostek w dziennikach rząd nie dozwoliłby? Wszak nawet ostatni szczątek jakiejś reprezentacyi, Towarzystwo Kredytowe, jako organizm obywateli (nie finansowy), ulegnąć ma zagładzie! Ależ Polacy buntownicy, bo na tę

głupią i zbrodniczą nie tylko w oczach Tolstoja wojnę nie sypią pieniędzmi, tylko ciałami swojemi armaty japońskie o 1000 mil od swej ojczyzny karmią. Nigdy Chrystus Pan, rozkazując miłować swe nieprzyjacioly, nie miał na myśli narodów, tylko ludzi, boć jest oczywisty nonsens chcieć, byśmy miłowali Rosyan za to, że nas katują materyalnie i moralnie, bo to jest przeciw naturze rzeczy. Uciskał niegdyś i to srodze Austryak, z ziemi polskiej wykupić nas chce Prusak, ale za to miłości nie żąda — miłości za baty żąda tylko Rosya.

Dziwne mózgi!

Tak tłómaczy się antinomia między trzeźwym (bo bywa i taki) polskim rozumem, a polskim sercem, w sprawie wojny japońskiej. Może piszący schlebia sobie tylko, sądząc, że posiada jedno i drugie, może się i myli, mając się za chrześcianina. Sądzi on, że niepodległa Polska, tak zwana od morza do morza, jest głupią mrzonką prawie dla studentów, kobiet i ciemnych rzemieślników, a mrzonką, bo warunków do bytu niema i bardzo długo potrwa, nim posiędzie. Narody się na dobre wolniej odmieniają, niż ludzie. Sądzi, że Królestwo Polskie, Litwa i Ruś są z Rosyą związane taką siecią stosunków ekonomicznych i handlowych, że ich dziś przeciąć niepodobna bez śmiertelnej dla Polski szkody. Sądzi, że Rosya tylko z obawy o Polskę podaje rękę (i teraz znowu) odwiecznym wrogom Slowian — Niemcom, a raz uspokojona o nią, stanąćby mogła na czele słowiańskich plemion i zawołać Germanii: *Non plus ultra*. Ale nie sądzi, by polskie serce i polski rozum mogły się pogodzić z Rosyą obecną, mandaryńską, czynowniczą, wyjadającą z lubością wnętrzości własnego narodu, a cóż dopiero polskiego! Czy taką Rosyę urodzą albo przygotowują obecne porażki w Japonii, pytanie wielkie. Piszącemu (a podobnych mu w kraju wiele) nie idzie pewno o osłabienie Rosyi, bo wie, że na tem Polska nie zyska, tylko stracić może. Gdyby jednak obecne, bardzo upokarzające (nie armię, ale Rosyę) klęski stały się narodowi rosyjskiemu powodem do mężnego i wytrwałego żądania roztropnych ale umiarkowanych reform dla siebie i dla nas, błogosławiłbym te klęski. Inaczej z bardzo wielką większością mego narodu radować się będę z tych klęsk, jak dziecko

się cieszy, że pan nauczyciel, od którego dopiero co wzięło niesłusznie w skórę, dostał na ulicy w twarz od żyda, a co z tego potem, o to mniejsza! I głupio zrobię, bo polityka czy zemsty, czy desperacyi, zawsze głupia, czy ją prowadzą panujący, czy narody!

Oto antinomia!

X. X.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Verona. Von Georg Biermann. Mit 125 Abbildungen. (*Berühmte Kunststätten*. Nr. 23). (Leipzig, E. A. Seemann, 1904, 8-o, str. VIII i 190).

Sizilien. Von Max Gg. Zimmermann. (Die Griechenstädte und die Städte der Elymer). (*Berühmte Kunststätten*. Nr. 24). (Leipzig, E. A. Seemann, 1904, 8-o, str. 126. Mit 102 Abbildungen).

Leo N. Tolstoj: *Besinnen Euch!* (*Tut Busse*). Ein Wort zum Russisch-Japanischen Krieg. Uebersetzt von Raphael Löwenfeld. (Verlegt bei E. Diederichs, Jena, 1904, 8-o, str. 109).

Wśród dziejowej zawieruchy. Obrazy historyczne od 1758 do 1796 r. Napisała dla młodzieży Mieczysława Śleszkowska. T. 2. (Kraków, Księgarnia D. E. Friedleina, 1903, 8-o, str. 183 i 230).

Das Theater. Eine Sammlung von Monographien. Herausgegeben von Dr. Carl Hagemann. Mit Buchschmuck geziert von E. M. Lilien. (Verlegt bei Schuster & Loeffler. Berlin und Leipzig, 8-o). Bd. I. *Der grosse Schröder*. Von Berthold Litzmann (str. 76). — Bd. II. *Bayreuth*. Von Wolfgang Golther (str. 94). — Bd. III. *Josef Kainz*. Von Ferdinand Gregori (str. 74). — Bd. IV. *Albert Niemann*. Von Richard Sternfeld (str. 91). — Bd. V. *Das Wiener Burgtheater* Von Rudolph Lothar (str. 76). — Bd. VI. *Adalbert Matkowsky*. Von Philipp Stein (str. 75).

St. Przybyszewski: *Synowie ziemi*. (Lwów, Księgarnia Polska, 1904, 8-o, str. III i 179).

Stanisław Przybyszewski: *Requiem aeternam*. Trzecia Księga Pentateuchu. (Lwów, Księgarnia Polska, 1904, 8-o, str. 80).

Henryk Zbierzchowski: *Na złotej przełęczy*. Scherzo powieściowe. (Lwów, 1904, Księgarnia polska, 8-o, str. 240).

D. E. Friedleina Biblioteka podręczników. Nr. 1. Achilles Loria: *Socjologia, jej zadania, szkoły i najnowsze postępy* (8-o, str. 160). — Nr. 2. Dr. Eugeniusz Piasecki: *Zasady wychowania fizycznego*. Z 21 rycinami (8-o, str. 126). (Kraków, D. E. Friedlein, 1904).

Unie Kalmarska i Jagiellońska.

Geneza i rozwój Kalmarskiej unii. — Jej styczność z unią Jagiellońską. — Przyjaźń króla obydwóch unij. — Rozbieżne kierunki. — Przyczyny upadku unii Kalmarskiej. — Paralela.

U schyłku wieku XIV na północy i we wschodniej Europie zaszły dwa wypadki dziejowe, olśniewające swym blaskiem i uderzające znaczeniem i następstwami. Łatwo odgadnąć, że są to dwie unie, Kalmarska i Jagiellońska, dwa związki polityczne, z których każdy trzy narody pod jednym berłem połączył do wspólnej pracy i zadań cywilizacyjnych. Już samą potęgą zewnętrzną związku narodów stawiają obie unie wszystkie inne wypadki polityczne daleko w cieniu lub też oświeclają siłą własnego światła, które wywołuje nowy wszędny ruch, nowe życie, nowe objawy i kierunki polityczne.

Ileż to pytań nasuwa się na samo wspomnienie tych i dzisiaj jeszcze urokiem czaru przejmujących wyrazów: Kalmarska i Jagiellońska? Czyż nie jest to uderzającym, że obie unie zaszły na przełomie wieków, jak niemniej i to, że obie objęły krańcowe terytoria północne i wschodnie ówczesnej cywilizowanej Europy? Czyż nie zastanawia to umysł badacza przeszłości, że obydwom dało początek delikatne ramię niewiast, tu Jadwigi królowej polskiej, tam Małgorzaty królowej duńskiej. Wypadki o doniosłych skutkach, obdarzające nowem życiem narody, zachodzą dość niepostrzeżenie, bez większego udziału narodów wiążących się węzłem unii;

trudno nawet odgadnąć znaczniejszych twórców dzieła. Jakżeż tu nie porównać obydwóch bliskich sobie i czasem i terytoryjami wypadków? jakże nie rozeznaczyć ich stycznych i rozbieżnych kierunków?

Należy nam przeto zastanowić się, czy nie ma jakiego podobieństwa przyczyn, które prawie jednocześnie oba wypadki powołały do życia, tudzież skutków, jakie za sobą pociągnęły. Zastanowić się przytem należy, czy nie ma pewnej styczności pomiędzy obiema uniami, pewnych łączników, o ile że obie unie należą do dwóch odrębnych ras ludzkości.

Jest to dzisiaj rzeczą pewną, lecz nie mniej uderzającą, że unia Skandynawska, a więc ludów germańskich, była wywołaną przez nacisk zewnętrzny i potrzebę obrony. Cała przeszłość Danii, skąd wyszła myśl unii, wykazuje ten nacisk zewnętrzny, jak na to zwrócił uwagę nowoczesny historyk niemiecki, a dodajmy i przedstawiciel najnowszego kierunku badań, Lamprecht. Ckliwe i romantyzmem nacechowanem wydało się niektórym historykom przedstawienie powodów zawiązania unii Jagiellońskiej, jak je przedstawił Szajnocha, może właśnie dlatego, że największy nacisk położył na parcie niemiecczyny — dzisiaj tę samą przyczynę stosują najbardziej pozytywni badacze do unii Skandynawskiej. Bo też istotnie u schyłku XIV wieku rozwój terytoryalny niemiecczyny doszedł do zenitu: obie Marchie i Szląsk uległy prawie zupełnie zniemczeniu, odracając Polskę z zachodu do Wisły i Warty, podczas gdy Krzyżacy przez zabór ujść Wisły odcięli ją od morza.

Zobaczmy, czy taki rozrost niemieckich ludów działy się na niekorzyść Danii, Norwegii i Szwecji? Wszakżeż to kraje rozsiedlone i panujące nad morzem Północnem i Bałtykiem, odcięte od Niemiec tak dalece, że jedna tylko Dania łądem wiązała się z niemieckimi już prowincjami lub całkiem zniemczonemi. Otóż objaśnić należy, że morze nie stanowi tamy prądowi kolonizacyjnemu, lecz że ułatwia kolonizację. Nigdy zaś nie osiągnęli Niemcy tej siły kolonizacyjnej, jak to było za czasów, kiedy na zachodnich słowiańskich wybrzeżach zakwitnęły miasta Roztoka, Stralsund, Wismar, Gryfia, a przedewszystkiem kiedy zajaśniała Lubeka, ta królowa miast wendyjskich. Było to wtedy, kiedy Brandenburgia, zu-

pełnie zniemczona, pozyskała zwierzchnictwo lenne nad Pomorzem, kiedy dwa Zakony, Niemiecki w Prusiech i Mieczowy w Inflantach, posunęły kolonizację niemiecką wzdłuż brzegów Bałtyku za Narew niemal aż do ujść Newy, kiedy Bergen i Sztokholm nosiły na sobie piętno niemieckich kolonij, a Wisby na Gotlandyi było składem niemieckich towarów.

Tylko Dania na małą chwilę za Waldemara II poczęła współzawodniczyć w tej walce o *dominium maris*; zresztą kolonizacja niemiecka odbywała się nieprzerwanie, a Sławia cała otrzymała typ na połę niemiecki. Hr. Gerhard Holsztyński wypędził Eryka z tronu i zapanował w Danii w duchu niemieckiego zdobywcy, imieniem swego pupila. Szlachta niemiecka takimi masami nadpływała do Danii, że wkrótce Dania zupełnemu mogła ulegnąć zniemczeniu. Miasta, z których Lubeka tak jest wówczas potężną, że nawet Karol IV, odwiedzając ją, witał tameczny patrycyat jako panów Bałtyku i Północnego morza, popierają ruch szlachty i książąt meklemburskich, holsztyńskich i szlezwickich.

Dopiero współczesnik Kazimierza Wielkiego, Waldemar IV, zwany Atterdag, prawy dziedzic tronu, wypędził holsztyńską szlachtę z kraju. Dobry polityk, przekonawszy się, że Dania za szczupłe ma siły, aby utrzymać przy koronie Estonię, sprzedaje kraj ten Mistrzowi Zakonu niemieckiego, co bardziej, odstępuje za pieniądze królowi Szwecyi, Magnusowi, Skanię, aby odzyskać wolne ręce do działania w Danii, gdzie spoił Seelandyę i Fionię z koroną. Nie wyrzekł się on bynajmniej *dominium maris*, i owszem, odzyskawszy siłę w ojczyźnie, zdobył napowrót Skanię z Halland i Blekingen, wreszcie 1361 r. zmusił do poddania się Wisby, odzyskując na północy nieco tej przewagi, jaką chwilowo jego poprzednik Waldemar II posiadał.

Wtedy to pani morza, Hansa, ów związek miast niemieckich, pod przewodnictwem Lubeki, postanawia zerwać z Waldemarem; zabroniono przeto wieść handel z Danią, a ze Szwecyą i Norwegią zawarto związek zaczepno-odporny, przyczem Skania powrócić miała do Szwecyi. By odwrócić groźne niebezpieczeństwo, zawiera Waldemar związek dynastyczny, pozbawiający Hanzeatów najdzielniejszych sprzymierzeńców, związek, stanowiący w dziejach północnej Europy

epokę. Oto w kwietniu 1363 r. wydał król swą jedenastoletnią córkę Małgorzatę za Hakona, dziedzica norweską korony. Był to związek, który w dalszym ciągu spowodował Kalmarską unię. Odtąd Hanzeaci przy każdej sposobności odczuwali potęgę Waldemara. Gdy zaś w Szwecyi wybuchnęła rewolucya i strącono Magnusa z tronu, a wyniesiono Albrechta Meklemburskiego, natenczas Waldemar, w obawie, że i w Danii mogłoby nastąpić to, co zaszło było w Szwecyi, postanowił na czas niedługi opuścić kraj. Wtedy to udał się do krewnych na Pomorze, następnie na Mazowsze, był w Krakowie wraz z Bogusławem V z Wolgastu na weselu cesarza Karola IV z córką Bogusława Elżbietą, wychowaną na dworze krakowskim (była bowiem rodzoną wnuczką króla Polski, gdyż jej matka Elżbieta była siostrą Kazimierza W.). I Waldemar był blisko spokrewniony z Bogusławem, ojcem panny młodej, matka bowiem jego, Eufemia, była rodzoną ciotką Bogusława (siostrą potężnego Wartysława IV ¹⁾). Był po weselu krakowskim Waldemar w Pradze, następnie w Awinionie i przez Kolonję powrócił do swego Wordinborg. Wnet po powrocie rozpoczął ponowną wojnę z Hanzeatami, którzy postanowili zdobyć Skanię i Gotlandyę dla Albrechta. Teraz Hansa tak zwycięzko toczyła wojnę, że Waldemar, chcąc się utrzymać na tronie, musiał przystać na warunki przez nią żądane w r. 1371. W parę lat później umarł król, pozostawiając duńskie państwo wnukowi swemu Olafowi, w którego imieniu sprawowała rządy matka tegoż Małgorzata, córka Waldemara, a żona Hakona norweską. Gdy ten ostatni umarł (1380 r.), został Olaf i norweskim królem, umarł jednak już 1387 r. w 17 roku życia, a Małgorzatę uznały za równo duńskie, jakoteż i norweską stany, monarchinią. Norwegowie wyznaczili przytem za jej następcę sześciolatełnego Eryka, urodzonego z Maryi, wnuczki Waldemara, a żony Wartysława ks. Pomorskiego. Kiedy w r. 1388 część szlachty szwedzkiej wypowiedziała Albrechtowi posłuszeństwo, natenczas obrała za królową Szwecyi Małgorzatę. Albrecht uległ w walce, dostał się nawet do niewoli, a Małgorzata była

¹⁾ Ob. Dahlmān: *Geschichte von Dänemark*, II, 19. Cohn: *Stammtafeln*, tabl. 146.

panią trzech królestw. Taką potęgę monarchini skupiła w swem ręku, że już w 1396 r. zarówno stany duńskie, jako też i szwedzkie, w myśl życzeń królowej uchwalają, by Eryk po dojściu do pełnoletności objął rządy zarówno w Kopenhadze, jako też i w Sztokholmie, a wszystkie trzy państwa nie miały żadnej z sobą wieść wojny. Małgorzata zapragnęła związkowi temu nadać większą trwałość na przyszłość. Tym celem zwołała rady koronne wszystkich trzech państw do Kalmaru, gdzie w czerwcu 1397 r. zapadły postanowienia stanowiące nową epokę w dziejach państw skandynawskich. Ważniejsze z nich postanawiają: że odtąd trzy państwa jednego będą mieć króla z pokolenia Eryka, z prawem pierworodztwa w następstwie; pomiędzy państwami trwa przyjaźń i obowiązek pomocy wzajemnej w wojnach zewnętrznych; układy z zagranicą obowiązują wszystkie państwa i bannici w jednym z państw są bannitami i w innych.

Albrecht założył protest przeciwko tym punktacyom i przy pomocy korsarzy toczył dalej walkę, opuszczony jednak przez Hanzeatów, nie miał widoków powodzenia. Nadaremnie sprzedał Krzyżakom prawa do Gotlandyi — unia zwyciężyła.

Teraz skierowała Małgorzata swe zabiegi celem odzyskania dla korony duńskiej Szlezewiku, a więc w te strony, skąd główne groziło niebezpieczeństwo Danii, przeciwko Schauenburgom. W tym celu podniosła prawa do opieki nad księciem Henrykiem, kazała go wychowywać w Kopenhadze, zaznaczyła prawa korony duńskiej, nie uznające dziedziczności lenn, w końcu pozbawiła Schauenburgów lenna i srogo pomściła się na mieszczanach Flensburga za poddanie się Schauenburgom.

Jak przeto widoczna, i Małgorzata z tryumfem rozwiązała zadanie rozpoczęte przez jej ojca Waldemara Atterdaga, i Hansa, i książęta Meklembursey, i Schauenburgowie wyszli z walki upokorzeni, a tylko ci ostatni toczyli jeszcze bój dalej, bój, który w spadku po królowej, zmarłej w 1412 r., dostał się Erykowi Pomorczykowi, królowi trzech państw skandynawskich.

Przyznać trzeba, że w czasie, kiedy to sąsiednia unia Jagiellońska święciła tryumfy nad wrogiem swym, Zakonem

krzyżackim, Eryk, jak gdyby zachęcony odgłosem tryumfu, wziął się gorąco do walki. I owszem, oddał się jej całą duszą, jak gdyby unia trzech państw, spotężniała już pod rządami Małgorzaty, żadnych innych celów i zadań nie miała. Zwołany przez króla sąd feudalny ogłosił księcia Henryka Holsztyńskiego i głowy stronnictwa Schauenburgów winnymi zdrady, a wyrok ten w r. 1415 potwierdził król rzymski Zygmunt, syn Karola IV i owej Elżbiety Pomorskiej, a więc cioteczny brat Eryka. Z powodu tego pokrewieństwa zbyt wielkie Eryk pokładał nadzieje na to poparcie Zygmunta. Tymczasem jednak celem wykonania wyroku zakładał zamki w Szlezewiku, obsadzał załogami i postrachem usiłował zniweczyć wszelką myśl oporu. Ale ksiązę Henryk, popierany przez Holsztyńców, Fryzów, wreszcie korsarzy, bronił się dzielnie. Całą północ poruszono do wojny. Hamburg i Hansa cała stoi po stronie Schauenburgów, wojna przeciąga się w nieskończoność.

Kiedy po stronie tych ostatnich stanął spotężniały w Marchii Fryderyk margrabia Brandenburski, natenczas wróg tegoż księcia, król Zygmunt, wydał 1424 r. po raz drugi wyrok, na mocy którego przyznał Danii całą południową Jutlandyę z Duńskim Lasem, wyspą Alsen i Harden, przez co podsycił pożar wojny. W czasie, kiedy Eryk począł oblegać Gottorf, cała Hansa stanęła po stronie Schauenburga i Eryk, lubo cieszący się względami króla Zygmunta, musiał uciekać ze Szlezewiku.

Te niepowodzenia Eryka wpłynęły ujemnie na wewnętrzne stosunki państwa, osłabiły siły unii; ster państwa przeszedł w ręce szlachty, a w Norwegii, gdzie całemi lat dziesiątkami nie widziano króla, nastąpiło zniechęcenie do unii. Jeszcze większe zniechęcenie zapanowało w Szwecyi z powodu ucisku podatkowego. Również i w Danii szerzy się niezadowolenie z powodu, że król wyznaczył na swego następcę bratanka swego, Bogusława IX księcia Pomorskiego. W czasie, kiedy na Litwie zwycięzko poskramiano bunt Świdrygiełły, przeciwko unii Jagiellońskiej wymierzony, wzniecił powstanie Engelbrecht przeciwko Erykowi — który, chcąc się utrzymać na tronie, musiał szwedzkie rządy oddać dwom baronom z rodu Wazów. W Danii zapanowała anarchia, a na

zjeździe w Kalmarze 1438 r., gdzie utrzymano nadal unię, zastanawiano się, czyby nie było korzystniej dla połączonych krajów, aby każdy osobnego miał króla.

Wreszcie w r. 1440 sejm duński zaprosił do objęcia berła siostrzeńca królewskiego, Krzysztofa ks. Bawarskiego, ten zaś, poparty przez Lubekę, objął rządy i zaraz Adolfowi Schauenburgowi nadał Szlezwik, jako lenno dziedziczne. Pomimo to uznały go Szwecya i Norwegia.

Eryk stracił koronę; żył jeszcze nadzieją odzyskania koron najpierw w Gotlandyi, potem w dziedzicznym księstwie na Pomorzu. Jakżeż niepodobny w swej działalności do współczesnego sobie króla Władysława Jagielly, który nie obdarzony nawet temi zdolnościami, jakie Eryk posiadał, ani takimi poprzednikami na polu unii, jakimi byli Waldemar Atterdag i Małgorzata, ani też nie popierany przez Zygmunta Luksemburczyka, ale raczej podkopywany przez tegoż, zdołał przecież unii trwale zbudować podstawy, a w latach 1401 i 1413 rozwinać zasadnicze myśli unii i umocnić związki narodów. Właśnie w czasie nieszczęsnych wojen Eryka danem było Jagielle obronić dzieło unii od zewnętrznych wrogów, a wnet potem i od wewnętrznych, i przy schyłku życia zlać dobrodziejstwa unii na wszystkie trzy narody, weszły w skład związku. On dawał pobudki do połączenia cerkwi z Kościołem i widział i na tem polu owoce swoich prac dodatnie — podczas gdy Eryk w zniechęceniu do dzieła swych poprzedników zlorzeczył ludom, które go pozbawiły tronu.

Takie były początki dwóch unij współczesnych sobie. Zapytajmy, czy były one sobie całkiem obce i czy nie objawiły się bodaj czasowe dążenia do zbliżenia się władców państw unią związanych? Odpowiedź na to pytanie rzuci nam nieco światła na charakter obydwóch związków.

Otóż objaśnić należy, że w przedchwile ogłoszenia i przyjęcia unii Kalmarskiej, nad którą interesująca się tokiem wypadków dalszego wschodu, jak Polski i Litwy, Małgorzata, tak długo pracowała, widzimy pewne objawy — chociaż tylko pośrednie — do pewnego zbliżenia się. Oto wspomniany już Wartysław VII, ojciec Eryka, składa królowi Jagielle hołd 1390 r. w Pyzdrach i w poście 1394 r. otrzymuje od króla

w dzierżawę lenną Nakło z obwodem ¹⁾. Obiecywał księżę królowi w zamian nieprzepuszczać przez swe terytorya wojsk spieszących Zakonowi Niemieckiemu na pomoc z Niemiec i dawać posiłki wojenne. Prawda, że wnet potem zginął księżę Pomorski gwałtowną śmiercią, ale tymczasem skutki zbliżenia się jego do Polski były donośne. Oto postanowiono obrócić handel całej Polski z dotychczasowej drogi wiodącej na Toruń i Prusy w kierunku Warty i Odry na Marchię i Pomorze. Układy dotyczące, do których zaproszono i miast hanzeatyckie, w szczególności pomorskie, uczyniono w sierpniu 1390 r., kiedy to stryjeczni bracia wspomnianego Wartysława, a mianowicie książęta Szczecińscy Bogusław VII z bratem Świętyborem, tudzież z bratankami Wartysławem VI i Bogusławem VI oraz kilkoma miastami swemi do Hansy należącemi, zawarli traktat handlowy z Jagiełłą w kierunku wyżej wspomnianym, wytyczając nową drogę do morza. Oczywiście zamiar taki był dla Pomorza nowem źródłem materialnego wzrostu z podkopaniem Prus Zakonnych. Co bardziej, we wrześniu 1395 r. wspomniany Świętybor z bratem Bogusławem VII zawarł w Krakowie z królem Polski traktat, na mocy którego Jagiełło przyrzekał poprzeć kandydaturę Ottona II, syna Świętybora, na arcybiskupa Rygi, w ten mianowicie sposób, że gdyby mistrz Niemieckiego Zakonu zbrojny stawiał opór obranemu przez kapitułę Ottonowi, natenczas kontrahenci mieli z bronią w rękę poprzeć kandydaturę Pomorczyka na arcybiskupstwo rygskie. Ten związek polityczny został poparty małżeństwem, zawartem pomiędzy Barnimem V a bratanką króla Polski (Jadwigą?) i król sprawił w Krakowie wesele stryjowi przysłego króla unii Kalmarskiej, wydając za niego córkę Towéwilla, brata Witoldowego. Jak daleko idące kreślono projekta, świadczy i ten szczegół, że miano poprzeć i kandydaturę księcia Meklemburskiego Albrechta z linii Starogrodzkiej ²⁾ na dorpackie

¹⁾ Dogiel, I, p. 570.

²⁾ Był to syn Jana Starogrodzkiego, założyciela linii książąt Meklembursko Starogrodzkich, którego najstarszy syn Jan II Starogrodzki ożeniony był z Wilejdą (Katarzyną), córką Olgierda W. Ks. Litewskiego, a siostrą Jagiełły. Colhn:

biskupstwo i skłoniono Teodoryka, biskupa Dorpatu, że tenże przyjął młodego księcia za administratora swej dyecezyi, przygotowując mu tym sposobem następstwo — że dalej i Witold ks. Litewski zawarł traktat z biskupem dorpackim, obiecując pomoc i obronę. Niestety właśnie Witold, od którego pomocy najbardziej zależało powodzenie, który poparciem ks. Ottona orężnem miał nadać sprawie wytyczny kierunek, nie uczynił tego — przeciwnie, on odstąpił od związku, dla uśmiechającego się mu planu podbicia Złotej Ordy, a z Zakonem zawarł przymierze, przyczyniając się tem znacznie do upadku kandydatury Ottona. A dodać i to należy, że Zakon użył do rozbicia groźnego dla siebie związku pomocy Meklemburskiego księcia Albrechta, którego prawa do tronu Szwecyi Hansa wówczas przeciwko Małgorzacie popierała i że ten właśnie Albrecht wpłynął na biskupa Dorpatu Teodoryka do opuszczenia sprawy księcia Ottona Szczecińskiego. Biskup Dorpatu musiał dnia 15 lipca 1397 r. zawrzeć pokój z Zakonem.

Upadek Ottona zaszedł równocześnie prawie z unią Kalmarską, noszącą datę 20 lipca wspomnianego roku. Można by nawet podejrzewać, że kandydatura księcia Ottona miała poprzeć zamiary Małgorzaty, a przynajmniej, że pozostawała w pewnym związku z unią Kalmarską, o ile że odciągała Zakon Krzyżacki od popierania sprawy króla Albrechta przeciwko unii. Mistrz bowiem Zakonu, Konrad von Jungingen, stał po stronie tego ostatniego i uzbroiwszy flotę 1398 r., zajął Gotlandyę posiadaną przez zmarłego świeżo syna Albrechta i wnet potem zakupił od króla Albrechta wyspę. Oczywiście królowa Małgorzata zażądała natychmiast zwrotu kraju koronnego, a żądanie jej było o tyle groźniejsze, że od 29 września wspomnianego roku była już panią Sztokholmu. Wiemy też, że Zakon zastosował się do życzeń królowej.

Stammtafeln, tabl. 141. Tegoż syn Jan III bywał na dworze w Krakowie. *Najstarsze księgi miasta Krakowa*, p. 254. *Rachunki dworu króla Jagiełły*. p. 489, 491, 492, 494—496, 498, 499, 501, 503.

Jak z powyższego wypływa, istniały pewne punkty styczności pomiędzy obydwoma uniami, chociaż bardzo nieznaczne; były przygotowywane próby zbliżenia się, pomagania sobie wzajemnego przez władców krajów i ludów świeżo uniami powiązanych, próby te jednak, tylko przez pośredników zawiązywane, nie wydały owoców. Zobaczymy z kolei, czy i w dalszym ciągu je czyniono i czy doprowadziły one do jakich pozytywnych rezultatów?

Zaznaczyć należy, że z pierwszą próbą nieudaną nie ponawiano próby zbliżenia się za życia Małgorzaty. Pośrednicy jednak dawni pozostawali nadal w przyjaznych z królem Polski stosunkach. Stryjowie Eryka, którego tymczasem Małgorzata ożeniła z córką Henryka IV angielskiego Filippiną, jak Bogusław VIII, a zwłaszcza Barnim V, zaliczają się do przyjaciół króla Jagiełły, ofiarowują mu służby lenne w nadziei otrzymania Bydgoszczy, ale Jagiełło nie spieszył się z nadaniem lenna, a usługi Barnima opłacać zobowiązał się gotówką. W r. 1403 w Korczynie przyjął król Bogusława do liczby swych sług ze stu kopiami na potrzebę wojenną¹⁾. Ze służb tych jednak nie korzystano, a książęta pomorscy zwłaszcza z linii szczecińskiej wchodzili równocześnie w układy z Zakonem, co oczywiście było wymierzonym przeciwko Polsce i unii, której ona broniła.

Była to niekorzystna polityka w szczególności dla Pomorzyców. W czasie tym bowiem Zakon Niemiecki przez zakupno Nowej Marchii zajął tak potężne stanowisko względem Pomorza, że odcinając je od Polski, mógł w kilka dni być panem krajów takiego Barnima VIII, który zresztą zadłużony był wielce u Zakonu. W czasie „wojny wielkiej“ stał on po stronie króla Polski, Szczecińscy zaś książęta, a mianowicie Kazimierz, pozostawali po stronie Zakonu.

Stosunki Pomorzyców pogorszyły się, kiedy Marchię Brandenburską otrzymał od króla Zygmunta energiczny Fryderyk, późniejszy elektor i margrabia Brandenburski. Niezadowolony z usunięcia Świętybor, który dotychczas administrował tą Marchią, rozpoczął spory z Brandenburezykiem. Wnet potem potęga Fryderyka urosła znacznie; został on

¹⁾ Dreger, sub. a. 1401, nr. 1.

elektorem, w r. 1418 nawet namiestnikiem Rzeszy Niemieckiej, a wówczas zagrożeni księżęta pomorscy połączyli się związkiem przeciwko tej potędze. Brakło w związku tylko syna Bogusława VIII, Bogusława IX, ten bowiem bawił na dworze Eryka, nie mającego potomstwa i pragnącego przekazać wszystkie trzy korony swemu bratankowi, z pominięciem potomstwa swej siostry Katarzyny z Palatynatu. Wtedy to zagrożeni księżęta pomorscy postanowili użyć pomocy króla Eryka celem umocnienia swego stanowiska przeciwko Brandemburczykowi. Śmierć Bogusława VIII, stryja królewskiego, spowodowała, że Eryk osobiście udał się na Pomorze, aby tutaj uporządkować stosunki majątkowe i przyjąć hołd od lenników. Zdaje się, że przy tej sposobności poinformował się on o niebezpieczeństwie grożącym od Brandemburczyka, skoro postanowił zawiązać stosunki przyjaźni z królem polskim. Jest to rys charakterystyczny, że wysyłając posła do Krakowa i życząc przez tegoż osobistego porozumienia się z Jagiełłą, wspominał z uczuciem wdzięczności dobrodziejstwa, które od tegoż tak ojciec, jako też i wszyscy krewni doświadczaali ¹⁾. Widoczna stąd, że Erykowi bardziej zależało na zawarciu przymierza, aniżeli królowi Polski, aczkolwiek tenże najchętniej zgadzał się przybyć do Wielkopolski i ułatwić to osobiste porozumienie się. Choć do osobistego zetknięcia się nie przyszło, a jednak porozumiewania się przez posłów toczone doprowadziły do rezultatu. Było to przymierze zawarte pod Czerwieńskiem w obozie, gdy król wyruszał przeciwko Krzyżakom dnia 15 lipca 1419 r., przymierze zaczepno-odporne, z warunkami objaśniającymi, że przy wspólnej wojnie zdobycze w ziemiach czynione powrócą do tej strony, do której zdawna należały. Ponieważ Eryk zawierał przymierze także jako księżę Pomorza, układy toczył za pośrednictwem Maćka Borcka, Gerarda i Święca Pomorzan i jednym nawet słowem nie wspomniał o Mistrzu Zakonu, przeto widoczna, że cele Eryka różniły się od celów króla Polski, który głównie przeciwko Krzyżakom ²⁾

¹⁾ „Memor boni, quod genitor noster omnesque nostri habundancius semperque invenerant. *Cod. Vit.*, p. 446.

²⁾ Wpływa to z tenoru królewskiego dokumentu. *Cod. ep. Vit.*, p. 455 — 456: „Contra magistros et ordinem Cruciferorum“.

użyć chciał przymierza i dlatego chwilę zawarcia obrał w obozie na wyprawie, aby takim sposobem przynajmniej zastraszyć wroga. Natomiast Eryk, który, jak wspomniano w owym rewersale, nie wspomina nawet o Krzyżakach, widocznie użyć pragnął przymierza przeciwko wrogom Pomorza, o ile że książąt tamecznych używał w swej morderczej walce celem odebrania Szlezwiku od młodych synów hr. Gerharda. Istotnie też Barnim VIII, a prawdopodobnie i Bogusław IX brali czynny udział w strasliwym napadzie Eryka na Femern, napadzie, którym tak bardzo obciążył swe sumienie — oczywiście pozostawiając rodziną ziemię bez należytej obrony.

Jak stąd wypływa, cele obydwóch królów unii, jak już z samego aktu zawartego związku widoczna, były poniekąd rozbieżne; król duński nawet urazić nie chciał w swoim dokumencie wrogów Polski, których król Jagiełło imiennie w swoim akcie wyszczególnia. Eryk narzuca się nawet na pośrednika w rozprawie orężnej Polski z Zakonem ¹⁾, podczas gdy król Jagiełło żąda tylko zawiadomienia i zezwolenia drugiej strony przed wypowiedzeniem wojny Zakonowi. W zapatrywaniach na sprawę krzyżacką, która dla Polski była żywotną, widocznie w samym zawiązku panowały już stanowcze różnice, i to nam tłómaczy, że przymierze dla obydwóch kontrahentów było bezowocne, a zbliżenie się dwóch unij — jakkolwiek zastrzeżono, że przymierze, pomiędzy państwami północnymi a wschodnimi zawarte, jest wieczyste i że powinno trwać pomiędzy nimi na wypadek śmierci którego z kontrahentów, lub wówczas jeżeliby na Litwie taki książę został panującym, któryby nie chciał przymierza dotrzymać — miało przemijające znaczenie.

Co prawda, Erykowe to przymierze z Jagiełłą służyło za normę przyjaznych stosunków i dla następców Eryka z unią Jagiellońską i wiadomo, że Zygmunt I z wyraźnem powołaniem się na Eryka i Jagiełłę potwierdził przyjaźń z jednym z jego następców, Janem, w r. 1510 i z synem tegoż Jana, Chrystyanem II w r. 1516, chociaż kładziono już

który to punkt zupełnie odmienne ma brzmienie w dokumencie króla Eryka. Dogiel, I, p. 353.

¹⁾ Tak pojmuję niejasny ustęp: „Quod stare velint definitioni nostre in causis eorum in ratione, iustitia et in iure“.

wtedy nacisk na stosunki komercyjne, tak, że przymierza te mają charakter handlowych traktatów.

Przymierze zawarte przez Eryka Pomorzycyka z Jagiełłą dotyczyło w pierwszej linii tego, który w Marchii panował i wojnę wiódł z Pomorzycykami, krewnymi króla unii Skandynawskiej, którzy zresztą, jak to uczynił Kazimierz Szececiński, obiecywali królowi Jagielle pomoc przeciwko Mistrzowi Zakonu. Toż i król Jagiełło pozwolił Wielkopolanom zaciągnąć się pod chorągwie Pomorzycyków w wojnie z Fryderykiem Brandenburezykiem i podkomorzy poznański, Piotr Korezbug, miał nawet kilka tysięcy Wielkopolan dostarczyć Pomorzycykowi. Jak wiadomo, wojna ta była dla Pomorzycyków nieszczęśliwą; pod Angermünde ponieśli oni stanowczą klęskę.

Pomimo odniesionego zwycięstwa, Fryderyk Brandenburezyk stara się zbliżyć do dworu polskiego i skwapliwie, naprzód przez posłów, potem osobiście, toczy układy o małżeństwo syna swego z córką królewską Jadwigą. W Krakowie zawrzała walka o wpływy pomiędzy Brandenburezykiem, który już w r. 1421 zawarł z królem Jagiełłą układy, a Erykiem, pragnącym je unicestwić. Eryk bowiem utrzymywał, że on jeszcze przed Brandenburezykiem toczył z Jagiełłą rokowania o małżeństwo królewny z Bogusławem IX, bratanikiem, który, jak to było wiadomo, był przeznaczony przez Eryka na dziedzica unii Skandynawskiej. Twierdzono nawet ze strony Eryka, że król polski przyrzekł rękę córki oddać Pomorzycykowi, a król Zygmunt Luxemburski, wróg Fryderyka, czynił wielkie usiłowania, aby usunąć wpływ Brandenburezyka w Krakowie i popierał Eryka. Przyszły król unii Kalmarskiej miał zostać dziedzicem państw unii Jagiellońskiej! Co za olbrzymi związek państw! Ile to koron uśmiecha się kandydatowi popieranemu przez rzymskiego króla, który jakby wiedział, że dom Eryka nie będzie dziedzicem skandynawskich państw i nie obawiał się Eryka, a natomiast obawiał się połączenia Brandenburgii z Polską i aby je uniemożliwić, użył tutaj Eryka.

Nie będziemy opisywali walki toczonej na dworach krakowskim i wileńskim; ostatecznie Jadwiga, przyrzeczona w zamężeie Brandenburezykowi, umarła przed ślubem w r. 1431,

Bogusławowi IX zaś oddał Jagiełło we dwa lata później rękę swej siostrzenicy Maryi, córki Ziemowita ks. Mazowieckiego.

Jeżeli z powyższego widoczna, że cele królów dwóch unij były rozbieżne, to dodać należy, że król Eryk okazał wielką chwiejność, zawarłszy w pięć lat po owem przymierzu wieczystem w Czerwieńsku, inne wręcz temu w r. 1423 przymierze z Zakonem. Za jego przykładem poszli i inni Pomorzycy, wspierani przezeń Gryfici: Otto II, Kazimierz, Warcisław IX, Barnim VII, Barnim VIII, wreszcie Świętybor. I oni chwalili się pomiędzy Zakonem a Polską za przykładem głowy rodziny, który do niej przywiązany, tracił z oczu wyższy cel rządów. Ten stosunek do Jagiełły rzuca nam pęk światła na ów brak decyzji Eryka, na tę chwiejność człowieka, który pomimo trzech koron, jakie posiadał, dał się użyć za narzędzie królowi Zygmunтови przeciwko Brandenburecykowi. Ta też chwiejność Eryka sprawiła, że i zetknięcie się dwóch unij miało znaczenie epizodyczne, przeminęło bez następstw.

Jeszcze raz tylko widzimy Eryka w stosunku z Polską, już jako króla na wygnaniu. Było to w czasie wojny trzy-nastoletniej, kiedy to pruscy poddani, wypowiedziawszy posłuszeństwo swemu panu Mistrzowi Zakonu, poddali się Kazimierzowi Jagiellończykowi, kiedy tym sposobem do krajów unii słowiańskiej przybył kraj nadmorski o wyższej kulturze, wypielegnowanej przez Niemców. Wypadek ten oczywiście poruszył i książąt pomorskich, pośród których król Eryk także przebywał i od króla Puck otrzymał w dzierżawę. Na prośby Mistrza o pomoc odpowiedzieli Pomorzycy odmownie, natomiast ze Słupcy, Rügenwalde i Starogrodu posłali Gdańszczanom zbuntowanym przeciwko Zakonowi wojska pomocnicze, a tak Eryk król, pokolei i jego wnuk, Eryk II, czekali tylko, by im król polski Nową Marchię odstąpił, za którą dostarczyć obiecywali 2.000 włóczni na każdą wojnę. Wtedy to znowu elektor Brandenburski Fryderyk II uprzedził Eryków i za 40.000 reńskich złotych zakupił Nową Marchię w r. 1454. Miał jednak król polski w ręku Bytow i Lauenburg i aby wciągnąć Pomorzan w krąg swych interesów, oddał księciu Erykowi II te terytorya, jako dzierżawę lenną.

Przy tej dzierżawie pozostał i syn Eryka Bogusław X, który poślubił córkę króla Kazimierza Annę, a król Zygmunt I w 1526 r. wypuścił te dwa powiaty synom tegoż, książętom pomorskim, w lenną dzierżawę, pod warunkiem tak służby wojennej, jako też i powrotu dzierżawy do dóbr koronnych po wygaśnięciu linii, co, jak wiadomo, nastąpiło 1637 r., poczem powiaty przyłączono do województwa pomorskiego.

Ale wracamy do właściwego przedmiotu — do obu unij. Otóż ze śmiercią następcy Eryka, Krzysztofa, który zmarł 1448 r., porwały się węzły unii północnej. Szwedzi okrzyknęli Karola Knudsona królem; Duńczycy za radą Schauenburga obrali Chrystyana I z domu Oldenburgskiego, który jednak podpisał *pacta conventa*, przyznając sejmowi duńskiemu prawo obioru króla, prawo uchwalania podatków, oraz przyrzekał, że nie podejmie żadnej czynności ważniejszej, ani też nie rozda ważniejszych lenn i urzędów bez wiedzy sejmu. Ten to Chrystyan wypędził Eryka z Wisby i spowodował, że Norwegowie, którzy już byli Karola Knudsona obrali królem 1450 r., wnet potem zobowiązali się, że wspólnie z Danią zawsze jednego będą mieć króla. W wojnie wybuchłej pomiędzy Chrystyanem a Karolem Knudsonem nie powiodło się temu ostatniemu, musiał uciekać do Gdańska, gdzie doznał uprzejmej gościnności od Kazimierza Jagiellończyka. Chrystyan musiał Schauenburgom za poparcie potwierdzić dokument, poręczający, że Szlezwik nigdy ani z Rzeszą, ani z Danią nie będzie połączony. Po śmierci Adolfa Schauenburga obrano Chrystyana księciem Szlezewiku, ale w Szwecyi nie zdołał on zapanować, tam bowiem zawsze jeszcze połowa narodu trzymała stronę Karola, po którego śmierci Sten Sture imieniem królewicza sprawował rządy, a gdy Chrystyan wyruszył przeciwko Sturemu, zginął w walce pod Sztokholmem 1470 r. Unia wprawdzie trwa jeszcze za syna Chrystyana, Jana i wnuka Chrystyana II, ale w Szwecyi rządzi już szlachta — a gdy Chrystyan II krwią utorował sobie drogę do tronu szwedzkiego, zgubiła go rzeź sztokholmska. Wśród szlachty szwedzkiej powstał młody Gustaw Waza i 1523 r. położył kres panowaniu Chrystyana II, a zarazem i północnej unii. Upadła

ona — mówi historyk Danii, Dahlmann — gdyż była sprawą panujących, a nie sprawą ludową.

Już ta doraźna charakterystyka unii północnej, a bardziej jeszcze jej dzieje tutaj zarysowane, rozwiązują nam zagadkę, dlaczego unia ta w historii cywilizacji północnej nader mało się zaznaczyła. Jeszcze dokładniej aniżeli z przebiegu dziejowego, poznać można z porównania dwóch unii, a więc Północnej i Jagiellońskiej, powody krótszego trwania pierwszej i jej małej wydatności w skutkach.

Kiedy bowiem unia Kalmarska, z powodów obrony od nacisku zewnętrznego zawiązana, wyłącznie polityczne sprawy miała na oku, zawiązana również w celach obronnych Jagiellońska dążyła do politycznych celów, ale z tym nieodzownym warunkiem, że chrystyanizacja Litwy musiała być dokonana. Ten wyższy cel, mający cechę wysoce cywilizacyjną, a nie przemijającą tylko — postawiono sobie przy zawiązywaniu węzłów unii, czem nadano dziełu kierunek kulturalny, jakiego nie posiadała unia Skandynawska, tylko na materialne względy bacząca. Należy zaś i to dodać, że w dziele tej chrystyanizacji plemion litewskich, Polska już przedtem brała udział, tak misjami przez zakony, jak wreszcie przez zawiązywanie związków pokrewieństwa z panującą na Litwie rodziną, że więc przeto już w przeszłości miano bodźca do kulturalnej pracy, do której przystępowano z niejakim przygotowaniem.

W ciągu tego trwania podkopuje Skandynawska unia handel Hansy tak, iż pod koniec XV wieku już się ludy północne zupełnie wymanecypowały z pod przewagi niemieckiej. W r. 1478 pada silne emporium Peterhof, w Nowogrodzie Wielkim, pod przewagą Moskwy, a równocześnie tak samo w Szwecyi, Norwegii tracą Niemcy znaczenie. Już tylko tu i ówdzie wegetuje to bujne dawniej niemieckie życie; ale dodać należy, że z merkantylnem znaczeniem zginął i duchowy wpływ Niemiec, a ani Szwedzi, ani Norwegowie nie swojego natomiast nie postawili w miejsce usuniętego wpływu niemieckiego. Natomiast w krajach unii Jagiellońskiej, gdzie również potężnie walczone z Niemcami, używano nawet równocześnie sił kolonizacyjnych niemieckich do zakładania miast, do kolonizowania ziemi, posługiwano się niemieckiem

prawem po miastach i koloniach, ale rozwijano je i zastosowywano do potrzeb ziemi i ludów słowiańskich. Nawet w podbitych pod władzę państwa koloniach niemieckich pozostawiano samorząd gminom nietknięty, nigdzie i w niczem nie urażając poczucia narodowego ludów niemieckich. Podejmując walkę ze światem niemieckim, unia Jagiellońska pomimo to umiała użyć sił niemieckich do wzmocnienia związku ludów słowiańskich i do uszlachetnienia ich, przez użycie sił niemieckich przy dziele cywilizacyjnem.

W taki sposób unia Jagiellońska staje się dziełem trwałym o cywilizacyjnem znaczeniu, ciągiem dalszym rozwoju cywilizacji zachodniej na Wschodzie. Co bardziej, ona zaszczerpia instytucje już wysoko w Polsce rozwinięte, jak samorząd ziemski, na gruncie wschodnim, usuwając tem samem zwolna i bez przewrotów nie odpowiadające chrystyanizmowi instytucje wschodnie. Tym sposobem dokonuje się na polu stosunków prawno-państwowych i socyalnych przewrót w duchu chrystyanizmu.

Oczywiście niema przytem i mowy o uginaniu się lub poddawaniu się władzy imperyalizmu niemieckiego. Eryk, a za nim i jego następcy, jak już wspomniano, popełnili ten błąd, że nietylko dali się powodować polityce cesarskiej takiego Zygmunta Luxembureczyka, ale nadto poddawali swe rodowe ziemie, jak Rugię, pod jego władzę i tem bardziej popadali w zawisłość od imperyum, co oczywiście ujemnie wpływało na rozwój unii. W Polsce przeciwnie, bardzo krótki czas tylko pozostawano pod ujemnym wpływem takiego Zygmunta, a zresztą wysoko stawiano zasadę niezależności od imperyum, tem samem zaś i rozwój unii, który z rozmaitych względów politycznych mógł być przez tych królów tamowany, uchroniono od wpływów postronnych, albo też je siłą odparto.

Pod jednym tylko względem obie unie pozornie jednakie wywołują skutki. Obie one, jako dzieła obrony od wrogów, dały podstawę do wojen, a tem samem przyczyniły się do niepomiernego rozwoju tego stanu społecznego, którym się głównie w wojnie posługiwać musiano, t. j. szlachty, co oczywiście połączonem być musiało z niekorzyścią innych stanów,

w szczególności chłopą. Tak było w Szwecyi i w Danii. Atoli czy i w Polsce i na Litwie były także same następstwa? Prawdą jest, że i tutaj znacznie podniosło się znaczenie szlachty, ona bowiem, jako oświećszysy, wyższy stan, a zarazem jako stan wojenny, broniła dzieła unii od wrogów. Atoli gdy na północy zubożono chłopą, tymczasem w Polsce, a w części i na Litwie, gdzie wszędzie kolonizacya wymagała sił roboczych, wieśniak utrzymał zamożność, a tem samem i swą względną niezawisłość, lubo pod koniec XV wieku wzorem zachodnim został już przytwierdzony do ziemi. A nawet gdy ten chłop stosunkowo utracił swą dawniejszą swobodę, to materyalnie miał się dobrze, co zaś dla cywilizacyi ważniejsza, Polska nietylko że stawała się ziemią, przyjmującą ciągle chętnie nadpływającego kolonistę ponętną dla niego glebą, ale co większa, była spichrzem Europy, jej żywicielką. Jak więc widzimy, i na polu stosunków społecznych znaczne pomiędzy dwiema uniami a raczej skutkami przez nie wywołanemi zachodzą różnice.

W dążeniu do celów sobie wytyczonych król Eryk, a za nim i jego następcy, opierają się głównie na sile; Eryk nadto wspiera się na krewnych swych Pomorczykach, których załogi obsadzają ważniejsze strategiczne punkty Danii, oraz na skarbie i tym celem uciemięża podatkowo Szwedów, dąży wprost do silnej potężnej władzy królewskiej, i dlatego też usuwa znaczenie sejmów, autonomii krajów, a nie opiera się na rodzimych żywiołach, ani też stara się o ich ulepszenie. Szafuje nawet skarbami i ziemiami, jak Gotlandyą, aby cel spótegoowania władzy swej poprzeć. W Polsce zupełnie przeciwnie; Litwin, król unii słowiańskich ludów, kocha swą rodzinę, ale nie waha się ani chwili poświęcić chociażby najbardziej ulubionych członków na ołtarzu wyższych zadań i celów; on przez poparcie żywiołów swojskich, przez ulepszenie ich, przez zaszczipianie samorządnych instytucyj, podbija sobie i dla dzieła swego ludy, pozyskuje ich miłość. Podbija sobie miłość i tem, że pozwala rodzimym wszędy na Litwie i Rusi instytucyjom wzorować się na sposób rozwiniętych już wysokó i wydoskonalonych wzorów polskich, a tem samem unia uzyskuje sympatyę i wewnętrzną siłę do odporu wrogów swoich i zewnętrznysch.

Unia Kalmarska za Eryka i jego następców tak bardzo wypuszcza z rachuby środki i cele wyższe, że przodowników kultury, którymi byli duchowni, zraża, jak to się działo w Szwecyi. Unia Jagiellońska, stawiająca cele ogólnoludzkie, cywilizacyjne, jako główny cel, ogląda się na pomoc duchowieństwa, dźwiga na nowo podupadły Uniwersytet, tę córę Kościoła, czem oczywiście ułatwia wysokie zadanie. Pobudzone do życia, do ruchu i szybszego rozwoju na wzór zachodni ludy, same już, i to w trzy dziesiątki lat po zawarciu węzłów unii, ze zdumieniem Europy garną się do tych zadań, jakie cywilizacya ludzkości jako najwyższe stawia. Środki moralne, użyte do pracy, okazały się ze względu na uzyskanie skutków trwałych, daleko wydatniejsze, aniżeli dostarczane przez siłę materyalną, której użyto do celów swych na północy przy budowaniu dzieła kalmarskiego. To też środki moralne uczyniły z Jagiellońskiej unii dzieło nie polityki, lecz własność narodów i ich sprawę — a pozostało ono ich własnością i wówczas, kiedy wygasł ród, który tę unię utworzył i ugruntował. Dobrodziejstwa cywilizacyjne unii Jagiellońskiej sięgają po za byt polityczny Rzpltej, są powszechno-dziejowego znaczenia — podczas gdy unia Kalmarska 126 lat trwając, z wyniesieniem na tron szwedzki Gustawa Wazy skończyła byt bez następstw ogólniejszej natury.

W końcu jeszcze jedna uwaga.

Nie jest to obojętny moment w dziejach obu unij, że kiedy Kalmarska zdołała odsunąć przewagę kulturalną Niemiec oraz handel i przemysł niemiecki, to jednak nie zdobyła się na odparcie nacisku nowiniarstwa i tak zwanej Reformacyi, której owszem mimo, że z Niemiec nadpływała, otworzono na rozścież bramy, czem zburzono dzieło Ansgara i jego uczniów, a religię poniżono, oddając ją w usługę panujących, którzy niebawem już po zerwaniu unii przyjęli do państw swych protestantyzm. Na tę siłę moralną w odpiętraniu nowinek zdobyła się jednak unia Jagiellońska, chociaż nierównie krytyczniejsze przeżyła chwile, aniżeli je przeżywały skandynawskie państwa, chociaż jej większe groziły niebezpieczeństwa od najazdu protestanckiego, aniżeli Szwec-

cyi za Wazy, a Danii za Chrystyana II. Ta siła w odparciu tak zwanej Reformacyi, jaką widzimy w upadku projektów narodowego w państwach jagiellońskich Kościoła, w powołaniu do życia unii Brzeskiej — to zaiste rezultat wielkiej moralnej potęgi, jakiej brak było w Kalmarskiej unii, a która stanowiła podstawę unii Jagiellońskiej.

Antoni Prochaska.

Rolnictwo i jego funkcye w gospodarstwie społecznem.

I.

Różnorodne potrzeby ujawniają się u człowieka — a ilość i rodzaj tych potrzeb wzrasta, im bardziej skomplikowaną jest natura człowieka i im bardziej wyrafinowaną całą kulturą, którą on żyje, całe otoczenie społeczne, pod którego wpływem te jego potrzeby powstają i rozwijają się. Bo to obecnie już żadnej zgola nie ulega wątpliwości, że to otoczenie społeczne na potrzeby człowieka wywiera wpływ wybitny i głęboki. A skoro potrzeby indywidualne człowieka powstają i rozwijają się pod wpływem otoczenia społecznego, to jest jedyną prostą tego pewnika konsekwencyą, uznanie faktu, że i czynności, mające na celu zaspokojenie tych potrzeb, czynności zwane zwykle gospodarczymi, nie w swem izolowaniu mogą być traktowane, jeno w łączności z całokształtem czynności gospodarczych w społeczeństwie się pojawiających, z całokształtem dążeń i usiłowań, zaspokojenie tych potrzeb na celu mających. Całokształt tych czynności gospodarczych, analogicznie do pojęcia gospodarowania indywidualnego, należy oznaczyć mianem gospodarowania w społeczeństwie, ów zaś substrat idei, który owych potrzeb i czynności, do ich zaspokojenia służących, jest uogólnieniem, wynikiem z realnego wzajemnego oddziaływania tych potrzeb i czynności, zowiemy gospodarstwem społecznem. Z dwóch zasadniczych rzędów pojęć składa się to pojęcie gospodar-

stwa społecznego: z pojęcia potrzeb i z pojęcia czynności służących do ich zaspokojenia, czyli czynności gospodarczych. Potrzeby ludzkie, jakkolwiek u każdej jednostki są do pewnego stopnia różne, przecież w pewnych minimalnych rozmiarach są wszędzie te same, a nawet w miarę rozwoju społecznego i gospodarczego, w miarę wzrostu kultury, ujawniają się coraz to silniej owe wspólne potrzeby, innymi słowy, wzrasta ilość jednolitych potrzeb. Inaczej ma się rzecz z czynnościami gospodarczymi. Czynności gospodarcze bowiem, właśnie w miarę coraz to dalej idącego rozwoju społecznego i gospodarczego, coraz to bardziej się różniczkują, a ich różniczkowanie stanowi nawet do pewnego stopnia zasadniczy warunek wszelkiego postępu społecznego. Ale i tu oczywiście pojawiają się różne grupy jednostek, wykonujących te same lub bardzo do siebie zbliżone czynności gospodarcze, w każdym razie czynności, zdążające do tego samego gospodarczego celu, służące więc do zaspokojenia tej samej potrzeby gospodarczej. Grono takich osób uprawia ten sam zawód.

Zawodów takich jest w nowożytnych społeczeństwach tak dużo, jak dużo jest w tych społeczeństwach różnych i różnorodnych potrzeb. Ale jak niegdyś, tak i dziś, istnieją trzy grupy obszerniejsze, stanowiące tło właściwe gospodarstwa społecznego, trzy zawody główne, obejmujące dużo innych specjalnych, zawody, około których wiele innych znów zawodów się grupuje, jako około głównych wytycznych kierunków gospodarstwa społecznego — to rolnictwo, przemysł i handel. Nie ulega wątpliwości, że ta troistość już dziś absolutnie nie wystarcza, że tworzy się dużo coraz to nowych zawodów, które w owym troistym podziale w żaden sposób pomieścić się nie dadzą, że wspomnieć tu tylko o zawodzie urzędniczym, bardzo ważnym, w naszym społeczeństwie nawet przodującym zajmującym stanowisko, a pełniącym niewątpliwie usługi, gospodarcze znaczenie mające. Podobnie ma się rzecz z zawodem lekarskim i adwokackim. Ani leczenie bowiem, ani porada i pomoc prawna nie mogą być chyba uważane za gałęzie handlu czy przemysłu, choćby nawet jakieś ustawodawstwo wyraźnie zadekretowało, że to są przemysły. Ale nie ulega wątpliwości, że przecież owe trzy za-

wody, o których mowa była poprzednio, główną treść życia gospodarczego stanowią, główne wytwarzając wartości gospodarcze. Nie zawsze je wprawdzie uważano za równorzędne i równomierne w społecznym życiu gospodarczym. Tak u kanonistów średniowiecznych rolnictwo górowało nad wszelkimi innymi zawodami, a nieraz pojawia się pogląd, że jedynie rolnictwo, a przynajmniej głównie i przede wszystkim rolnictwo, przyczynia się do rozwoju gospodarstwa społecznego.

Podstawa tych poglądów była więc ściśle etyczna. Wedle kanonistów, wszelkie dążenie do zysku, nawet gdy ono nie nie szkodzi bliźniemu, jest ubolewania godnym; w każdym razie jednak winna między świadczeniami wzajemnymi zachodzić ścisła równowaga, *aequalitas*. Innymi słowy: zysk nie powinien iść nigdy po za *iustum pretium*. Więc też i nasi kanoniści w swych roztrząsaniach nad stosunkami kredytowymi pieniędzmi, kontraktami, najmami, usługami, czynszami i t. p., przede wszystkim i w pierwszym rzędzie zwracają uwagę na to, czy świadczenie odpowiada ściśle świadczeniu. Punktem wyjścia jest tu więc pytanie: czy owa *aequalitas* zachodzi, a jeśli zachodzi, to dlaczego to ma miejsce? Z tego też punktu widzenia są wypowiedziane wszystkie zarzuty, skierowane przeciw kupcom.

Inaczej merkantylizm. W swym dążeniu do zwiększenia potęgi państwowej, więc przede wszystkim do zwiększenia jego sił finansowych, zatem i produkcyjnych, wysuwa on znowu na pierwszy plan nie rolnictwo, lecz przemysł i handel. Tę zmianę w poglądach teoretycznych tłumaczy w zupełności ewolucja gospodarza, która się tymczasem dokonała. Jest to czas, w którym coraz dalej postępująca kolonizacja Nowego Świata czyniła płonną wszelką obawę przeludnienia pewnego kraju, a owszem wszystko przemawiało za tem, że powiększająca się liczba ludności przyczyni się do podniesienia bogactwa krajowego. Podział pracy postępował coraz dalej, a równocześnie dokonywająca się przemiana gospodarki naturalnej w gospodarkę pieniężną, podnosiła znaczenie pieniądza i zwiększała jego zapotrzebowanie, tem bardziej, że nie znano nowożytnych zastępców pieniądza, zresztą zaś w wielu krajach nie było kopalń kruszców szla-

chetnych. Pożądanie pieniądza ujawniało się w dążeniu do uzyskania bilansu czynnego, do wytworzenia przemysłu.

Dążenie do wyzwolenia produkcji z więzów, dotychczas ją krępujących na każdym kroku, wytworzyło naukę Quesnay'a i jego następców, nazwaną przez Dupont'a de Nemours fizyokratyzmem, ze względu na filozoficzne uzasadnienie nowej nauki przez tych ekonomistów naturalnem, odwiecznem prawem. Nowa nauka była — jak słusznie zauważył Dr. Głębiński — płodem ogólnego ducha krytycznego, jaki we Francji w owej epoce na każdym polu społecznego życia z nieprzeparą wystąpił siłą, owocem smutnych stosunków politycznych, społecznych i ekonomicznych, jakie ostatecznie wprowadziły naród francuski na drogę gwałtownego przewrotu. Ekonomiczny upadek całego kraju związany z zupełnym upadkiem rolnictwa, oplakany stan finansów państwowych, swawola szlachty i ucisk klasy rolniczej, ogólny wstręt przeciw rozwielnionemu systemowi opiekuńczemu i pragnienie wolności obywatelskiej, nienawiść do kosmopolitycznych wielkich kupców na dobro kraju obojętnych, to wszystko znalazło silne echo w nowym systemie ekonomicznym.

Wedle tej nauki, jedynym źródłem bogactwa narodów jest rolnictwo, które istotnie zwiększa ilość pożytecznych rzeczy, gdy rzemiosło je tylko przerabia i dogodniejszemi czyni dla użycia. Dlatego też tylko rolnictwo, zdaniem fizyokratów, jest zajęciem wytwórczem i czysty dochód, większy od kosztów wyłożonych na produkcję i utrzymanie pracowników, dawać może. Rzemiosło zaś i handel jedynie wynagrodzenie zajmującym się niemi osobom za ich pracę dostarczyć mogą, wynagrodzenie, zaczerpnięte oczywiście z owoców rolnictwa (jak twierdzi Dr. Grabski). Jest to więc reakcja przeciw merkantylistycznemu punktowi widzenia, przeciw jednostronnie przez ten kierunek propagowanej polityce na korzyść przemysłu. Fizyokraci, podobnie jak kanoniści, rolnictwo na pierwszym stawiają planie, ale zasadnicze założenie w obu wypadkach jest zupełnie różne. Gdy u kanonistów *punctum saliens* całej ich teorii stanowi doktryna o *iustum pretium*, więc moment przedewszystkiem etycznej natury, to u fizyokratów chodzi o właściwą podstawę wytwarzania istotnych wartości gospodarczych, więc czynnik ściśle ekonomiczny.

Szkoła Smith'a, która się z fizyokratyzmu wyłoniła, porzuca to skrajnie agrarne stanowisko tego ostatniego kierunku. Liberalizm uznaje w zasadzie równorzędność poszczególnych kierunków produkcji. Przecież w praktyce angielskie pochodzenie tego kierunku powoduje pewne jego skłanianie się ku pewnemu wyszczególnianiu produkcji przemysłowej. Teorią jego jest konieczność uwydatnienia tych właściwości każdego kraju, które powodują szczególnie łatwy rozwój produkcji, czy to rolniczej, czy przemysłowej, w tymże kraju właśnie. Decydują o tem właściwości techniczno-ekonomiczne, warunki przyrodzone lub stworzone rozwojem historycznym.

System ochrony cłowej nie stanowi żadnej doktryny zasadniczej, postulat ochrony cłowej jest bowiem konsekwencją ściśle ekлекtycznego sposobu myślenia. Wprawdzie w dyskusji o potrzebie polityki protekcyjnistycznej wytacza się z reguły argumenta ogromnie zasadniczej natury, ale nowsza nauka historyograficzna stwierdziła już obecnie chyba niezbicie, że owe argumenta zarówno protekcyjnistyczne, jak i wolnohandlowe, są zazwyczaj li tylko wyływem położenia gospodarczego danego kraju czy danej warstwy społecznej, że zarówno sama zasada ochrony cłowej, jak i jej wysokość, wpływają z warunków historycznych i ekonomicznych, w danym kraju wytworzonych. A dotyczy to zarówno produkcji przemysłowej, jak i rolniczej. Wprawdzie rolnictwo jest w Europie obecnie zazwyczaj protekcyjnistycznie usposobione, ale nie jest to bynajmniej jakąś specjalną właściwością rolnictwa, jako takiego, jeno naturalną konsekwencją położenia gospodarczego, w której się ono znajduje w skutek konkurencji amerykańskiej, mezopotamskiej, anatolijskiej czy argentyńskiej. Postulaty praktyczne, różne w miarę zmieniającej się sytuacji gospodarczej, powodują tu różne teorie i doktryny. W każdym razie dawna walka o wyższość produkcji rolniczej w porównaniu z produkcją przemysłową, powtarza się i tutaj, choć w zmienionej cokolwiek formie. Bo dowód o większej wadze funkcji społecznych rolnictwa czy przemysłu dla całokształtu gospodarstwa społecznego, byłby zarazem najbardziej stanowczym argumentem zdecy-

dowanej akcyi państwa i innych związków społecznych na rzecz dotyczącej gałęzi produkcji gospodarczej.

Tymczasem nowsza nauka stwierdziła niezbicie, że wszystkie kierunki gospodarstwa społecznego są równouprawnione, o ile tylko istotnie posiadają charakter prawdziwie gospodarczy, to znaczy o ile istotnie przyczyniają się do zaspokojenia prawdziwych potrzeb gospodarczych indywidualnych czy zbiorowych. Gospodarczą jest czynność urzędników publicznych, gdy ich działalność zawodowa rozwój gospodarczy kraju czy narodu popiera i rozwija, bo wówczas usługi przez urzędnika publicznego świadczone istotną posiadają wartość gospodarczą, wytwarzanie dóbr materialnych czyniąc możliwem lub łatwiejszem. Prawdziwą wartość gospodarczą posiada handel, gdy przy pomocy środków komunikacyjnych lub choćby bez tej pomocy nawet sprowadza każdy wytwór we właściwe mu miejsce, zapobiegając zbytniemu nagromadzeniu się zapasów w jednym miejscu, sprowadzając więc każdy wytwór tam, gdzie wytwór ten może przynieść większy pożytek ekonomiczny. Ale szkodliwem ze stanowiska gospodarstwa społecznego jest mnożenie posad urzędniczych bez istotnej ich potrzeby, rozwijanie jakiejś działalności czysto „papierowej“, załatwianie kawałków nie dotyczących realnych interesów życiowych. Szkodliwym jest handel wówczas, gdy miasto tworzyć istotne wartości gospodarcze, działalność swoją koncentruje na skupywaniu towarów dla sztucznego podniesienia ich ceny (dawnych „monopoliach“), gdy całe swe istnienie zasadza na spekulacyi, zdążającej wszelkimi silami i środkami, stojącemi jej do dyspozycyi, do jak największego wyśrubowania cen, gdy zwiększa się moc kramarzy nieczynnych dla swego nadmiaru, ale dla tego swego nadmiaru właśnie utrudniających normalny obieg wszelkich dóbr gospodarczych. Ale nowej istotnej wartości gospodarczej nie stwarza także rolnik, gdy przeprowadza melioracyę zupełnie zbędną lub co gorzej błędną, gdy hoduje rasę bydła, zupełnie nieodpowiadającą danym warunkom gospodarczym, gdy uprawia gospodarstwo zbożowe na skrawku ziemi, odpowiednim może do ogrodnictwa lub sadownictwa, więc do uprawy grządkowej, ale nigdy zagonowej.

Koniecznym jest tedy harmonijny rozwój wszystkich kierunków gospodarstwa społecznego. Między produkcją przemysłową a produkcją rolniczą niema zasadniczej sprzeczności interesów, o ile tylko dobro narodu najwyższą stanowi gwiazdę przewodnią dla wszelkich działań i uczynków gospodarczych. Przecież rolnictwo i przemysł, pełniąc rolę wzajemnych konsumentów, są zarówno potrzebne całemu organizmowi społecznemu, jak i sobie nawzajem.

Przekonania o potrzebie przemysłu nie trzeba chyba wszecpieać w naszym społeczeństwie. Jest ono powszechnem, a nawet z dnia na dzień staje się coraz to bardziej głębokiem i intensywnem. Ale niezwykle ważne funkcyje rolnictwa w całokształcie gospodarstwa społecznego bywają nader często przeoczane, a nawet po części lekceważone. Wyrabia się u nas nieraz identyfikowanie kraju rolniczego z krajem ubogim. A przecież bliższe rozpatrzenie różnorodnych tak skomplikowanych zjawisk życia społecznego i głębsza ich analiza doprowadza do niezbitego rezultatu o pierwsorzędnych funkcyjach rolnictwa w całokształcie gospodarstwa krajowego.

Nie ulega przedewszystkiem wątpliwości, że możność rozwoju produkcji przemysłowej znajduje i znaleźć musi stanowczo pewną ostateczną swoją granicę. Nawet państwa o niezwykle wysokim rozwoju przemysłu, jak Anglia, przekonują się dowodnie o tej prawdzie. Przemysł bowiem, zwłaszcza przemysł wielki, fabryczny, łatwiej ulegając dowolnemu zwiększeniu, niż rolnictwo, już w samym swem założeniu myśleć musi o eksporcie. A jakkolwiek kres tej polityki eksportowej, w wielu krajach, jak zwłaszcza w naszym, jeszcze bardzo daleki, jakkolwiek dla naszego rozwoju gospodarczego zwiększenie i to bardzo znaczne zwiększenie produkcji przemysłowej jest nietylko wskazane, ale i konieczne — to nie godzi się zapominać, że do wytworzenia i rozwoju produkcji przemysłowej dążą obecnie wszystkie narody cywilizowane, które jeszcze przemysłu rodzimego nie posiadają, a że różnem jest tylko tempo tego rozwoju i że liczba i kres tych ludów cywilizowanych, jak i samej cywilizacji, bezustannemu ulega zwiększeniu. Nie jest to bynajmniej argument przeciw energicznej polityce przemysłowej, ale wskazanie konieczności

energicznego popierania rolnictwa, stanowczego dążenia do podniesienia jego intensywności, tembardziej, że wraz ze wzrostem tej jego intensywności, wzrasta też jego zdolność konsumcyjna, będąca najpewniejszą przystanią przemysłu, bo rodzime rolnictwo silne i zamożne daje największą chyba gwarancję odbioru płodów przemysłu rodzimego, zwłaszcza w kraju, pozbawionym samodzielności prawnopañstwowej, więc tych atutów, które daje samoistna polityka cłowo-handlowa, zmuszonym więc w skutek tego do oglądania się na siły społeczne, tkwiące w łonie własnego gospodarstwa. A uwzględnić to należy tem bardziej, że w przeciwstawieniu do przemysłu, rolnictwo nie może dowolnie zwiększać warsztatu swej pracy, nie może dowolnie zwiększać terenu produkcji rolniczej, bo ziemia w obrębie każdego społeczeństwa w ograniczonych tylko znajduje się rozmiarach. Tu więc pomódz może i powinno przede wszystkim tylko podniesienie intensywności kultury rolnej. A to podniesienie intensywności kultury rolnej jest tem bardziej konieczne, że przecież rolnictwo dostarcza głównych artykułów żywności, a choć wydatki na zakupno artykułów żywności z rozwojem cywilizacji coraz to mniejszą obejmują kwotę stosunkową, to przecież ogólny coraz dalej idący wzrost ludności powoduje potrzebę coraz to większego wzrostu konsumpcji artykułów żywności. Tymczasem produkcya tych artykułów, oparta o ziemię, wobec ograniczoności tego środka produkcji, tylko w razie ciągłych ulepszeń w technice i organizacji kultury rolnej może nastarczyć zapotrzebowaniu. Galicya stanowi, jak wiadomo, typ kraju *par excellence* rolniczego, mimo to jednak jej bilans handlowy w zakresie handlu zbożowego jest stanowczo biernym. Bo jakkolwiek tu i ówdzie odbywa się eksport zboża, to wobec znacznych zapasów zboża importowanego zachodzi nadwyżka stanowczo po stronie importu, innemi słowy, nasza produkcya rolnicza nie pokrywa całego zapotrzebowania ludności galicyjskiej. Ta nadwyżka importu zboża nad jego eksportem nie jest tu oczywiście dowodem przemysłowego może charakteru Galicyi, bo jak wiadomo przemysłu nie mamy, maszyny nam potrzebne, materye na nasze ubrania sprowadzać musimy bądź to z zagranicy, bądź z innych krajów koronnych. Galicya płaci też

przeważnie tylko drzewem i naftą, tudzież świniami. W rezultacie wszakże okazuje się, że nasz bilans handlowy jest stanowczo biernym, że opłacamy obcym haracz bardzo znaczny, bo przenoszący kwotę pięćdziesięciu milionów koron. To ogólny efekt społeczny, efekt istotnie zastraszający swym ogromem. A w jeszcze gorszym świetle musi się przedstawić ten efekt, jeśli uwzględnimy efekt w poszczególnych jednostkach się ujawniający, a streszczający się w niedostatecznym odżywianiu szerokich mas ludności, co znowu ze swej strony powoduje chroniczne braki ekonomiczne, bo brak tężyzny w pracy, brak energii gospodarczej, zwiększenie intensywności kultury rolnej i odpowiedniej organizacji gospodarstwa rolnego, powinno się stać przeto powszechnem hasłem narodowem, podobnie jak się to już stało ze sprawą uprzemysłowienia kraju.

A to hasło podniesienia intensywności kultury rolnej ma znaczenie tem większe, że na teraz nie ma chyba mowy o wytworzeniu gospodarstwa krajowego, ściśle w sobie zamkniętego. Istotnie wprawdzie targ krajowy jest rynkiem najbardziej pewnym, istotnie targ krajowy w pierwszym rzędzie i przede wszystkim powinien wchodzić w rachubę. Ale nowożytna technika komunikacyjna doprowadziła przecież do tego, że tworzą się coraz to większe terytoria gospodarcze, że są nawet tendencje, wskazujące na wytwarzanie się gospodarstwa światowego. Wprawdzie rozwój tych tendencji utrudnia bardzo znacznie idea imperyalistyczna, pod wpływem niewątpliwym idei narodowościowej zdążająca do utworzenia wielkich terytoriów gospodarczych, odosobnionych i ściśle w sobie zamkniętych. Ale choć w ten sposób niemożliwionem zostaje na teraz zrealizowanie idei gospodarstwa światowego, to przecież i owe wielkie terytoria imperyalistyczne tworzą światy dla siebie, światy odrębne, doprowadzają tem samem także do wytwarzania terytoryalnego podziału pracy. Rozwój produkcji przemysłowej krajów zachodnio-europejskich, a po części i wschodnio-europejskich, czyni też koniecznem wielkie skupienie sił w kierunku podniesienia intensywności kultury rolnej, zwłaszcza, że jak powiedziano, tych wschodnio-europejskich rynków zbytu może niebawem zabraknąć. Zwrócenie bacznej uwagi na rozwój

rolnictwa i na podniesienie jego intensywności, jest więc także wskazane względami polityki eksportowej. Niewątpliwie, że zamiana międzynarodowa na długi czas chyba jeszcze należy do przyszłości, a w tym ogólnym obrocie międzynarodowym również na długi czas jeszcze Galicyi przypadnie w udziale jeśli nie zadanie pichlerza Europy, to w każdym razie kraju eksportującego płody rolnicze. Jeśli wywóz zboża naszego byłby utrudnionym ze względu na konkurencyę zboża rosyjskiego i pozaeuropejskiego, to w każdym razie pozostaje jeszcze eksport t. zw. ubocznych płodów gospodarstwa rolnego (o których mowa będzie poniżej); gdzie ta konkurencya nie jest tak silną, a nawet, o ile chodzi o uprawę grządkową (w eksporcie płodów ogrodniczych), ze względu na konieczność bardzo starannej uprawy, niemożliwej na wielkich obszarach, w walce z Galicyą, przy odpowiedniem ukształtowaniu się warunków prawno-publicznych, stanowczo uledzby musiała. W każdym zaś razie dążenie do ekonomicznego odrodzenia od rolnictwa poczynać się powinno, bo każde rozumne działanie, jakiś cel praktyczny na oku mające, musi szukać punktów zaczepnych na gruncie stosunków istniejących, musi dążyć do właściwego ujawnienia się i rozwinięcia istniejących już tendencyj rozwojowych, tem bardziej, że, jak to zaznaczono już poprzednio, bilans handlowy Galicyi jest stanowczo bierny, że Galicya w rezultacie nawet zboża nie eksportuje, a nieznacznie stosunkowo pozycyę eksportowe, dotyczące jaj, drobiu, drzewa i nierogacizny, nie mogą polepszyć naszej ogólnej pozycyi gospodarczej, choć dają już niewątpliwie pewne punkty zaczepne.

II.

Ekonomicznym celem rolnictwa jest wytwarzanie płodów surowych z ziemi, przedewszystkiem artykułów żywności, w pierwszym rzędzie zboża — ale oczywiście nietylko produkeya zboża. Owszem, wobec konkurencyi zamorskiej, coraz większego nabiera znaczenia produkeya t. zw. ubocznych płodów gospodarstwa rolnego, produkeya mleka i masła, produkeya jaj, chów drobiu i królików, chów bydła, sadownic-

two i ogrodnictwo wreszcie. Płody te zowią się ubocznymi, bo typ gospodarstwa rolnego, przez teorię wytworzony, to gospodarstwo, przeważnie zboże produkujące. Że ten typ, przez teorię wytworzony, już oddawna nie odpowiada rzeczywistości, zbyt łatwo dowodzić. Wszak są dziś kraje, jak Dania i Belgia, gdzie właśnie owe t. zw. uboczne płody gospodarstwa rolnego stanowią główny przedmiot czynności i zabiegów gospodarskich w gospodarstwie rolnem, bo Dania żyje głównie eksportem produktów mleczarskich, a Belgia jest typem kraju ogrodniczo-sadowniczego. W naszym kraju te płody mają tem większe znaczenie, że rozdrobnienie gruntów włościańskich, które tu doszło do niebываłych rozmiarów, uprawę zboża czyni, na gruntach włościańskich przynajmniej, w wielu wypadkach wprost niemożliwą.

Ale i w większych gospodarstwach w Galicyi produkuje zbożowa napotykać musi z natury rzeczy na poważne trudności natury handlowej w postaci groźnej konkurencji rosyjskiej i pozaeuropejskiej, która gospodarując ekstensywnie na wielkich obszarach, czyni i czynić to może znacznie taniej, niż to jest możliwe w Galicyi, gdzie t. zw. latifundya nawet stosunkowo w porównaniu z amerykańskimi lub rosyjskimi niewielkie tylko zajmują obszary. I w większych gospodarstwach przeto maszynowa, zwłaszcza mleczarska produkcja (mleka, masła i serów) i produkcja sadowniczo-warzywnicza, okaże się nieraz bardzo rentowną. Większe oddalenie od miast niewątpliwie znacznie utrudnia tę produkcję, ale jej bynajmniej, przy odpowiedniej organizacji zbytu, na dalszą metę nie umożliwia. A te gałęzie gospodarstwa rolnego nabierają znaczenia tem większego, że krajowe zapotrzebowanie niektórych z owych ubocznych płodów gospodarstwa rolnego znacznie przewyższa ich produkcję. Wszak niektóre warzywa, jak kalafior, główki kapusty, przybývają do Galicyi z Włoch lub Węgier. Odpowiednie zapakowanie owoców pozwoli na dalszy ich przewóz. Zresztą im lepszy jest gatunek warzywa czy owocu, tem większą jego cena, przyczem opłacają się koszty przewozu i opakowania. Przy produkcji nasion zaś koszty i trudności przewozu redukują się do minimalnych rozmiarów, gdyż cena nasion jest z reguły wysoką, zwłaszcza w porównaniu z ich objętością.

Kwiaty przybywają do nas przez całą zimę z Włoch i Nizy, Galicya wydaje rocznie 5 milionów na nasiona. Wielki handlarz nasion, Mauthner, ma obecnie w Galicyi 4.000 odbiorców. Jak wielkie znaczenie ma (gdańska) hodowla drobiu, wskazuje statystyka konsumpcyi angielskiej. Sama Francya wywozi do Anglii rokrocznie około 1½ miliona kur, indyków zaś wysyła się corocznie do Londynu 600.000 z Francyi, a 800.000 z Włoch. W r. 1899, nie wliczając w to okresu świąt Bożego Narodzenia, wysłano do Londynu z jednego tylko departamentu Larthe około 150.000 sztuk gęsi, ogólny zaś eksport gęsi z Francyi dochodzi do miliona sztuk rocznie. Rosya dostarcza bardzo wiele kurecząt, a w r. 1897 zarobili w Anglii rosyjscy handlarze drobiem więcej niż 9 milionów marek. Na znaczenie produkcji jaj wskazywał fakt, że w 1899 r. sam Hamburg sprowadził jaj galicyjskich za 21 milionów marek. Z Austro-Węgier wywieziono jaj 1,087.875 cetn. metr. w wartości 90,001.877 koron. Z Galicyi idzie do Niemiec corocznie 2.700 do 2.800 wagonów. Warto tu wszakże, choć pokrótce zaznaczyć, że stanowisko Galicyi w tym kierunku bynajmniej nie jest różami zasłane, bo powstają tu groźni konkurenci w Rosyi i Włoszech. W każdym razie podniesienie intensywności produkcji i tutaj byłoby bardzo wskazane, bo gdy 120 sztuk jaj galicyjskich waży tylko 1·5 — 13 angielskich funtów, to ta sama ilość jaj rosyjskich waży 14 — 16 ang. funtów, co oczywiście bardzo znacznie wpływa na cenę tych produktów. Na wielkie znaczenie produkcji masła wskazuje okoliczność, że w Anglii roczne zużycie masła wynosi 14 klg. na jednego mieszkańca. Same Stany Zjednoczone Ameryki Północnej mają też 61 milionów krów, 6 milionów cetn. metr. masła rocznie. (*Schw. Milchzeitung*, 1902). To też coraz bardziej i w naszym kraju punkt ciężkości w gospodarstwach rolnych przenosi się skutkiem tego od dłuższego czasu na te uboczne plody gospodarstwa rolnego, choć nie da się zaprzeczyć, że i poziom naszej produkcji zbożowej dałby się znacznie podnieść. I rzecz znamienne, że wcale znaczna część produkcji owych ubocznych plodów gospodarstwa rolnego leży głównie w rękach kobiety. Nie stało się to bynajmniej przypadkowo. Punktem wyjścia wszelkiego rozwoju gospodarczego jest bowiem dom, pier-

wotnie ściśle w sobie zamknięty, później coraz bardziej i coraz łatwiej ulegający wpływowi z zewnątrz, coraz bardziej opierający się na systemie gospodarstwa zamiennego. Ognisko domowe w najściślejszym tego słowa znaczeniu reprezentuje kobieta; jest ona jego kwintessencją i jego istotnym wyrazem. To też dopiero szeroko rozwinięty system gospodarstwa zamiennego dociera i do tej twierdzy, pozornie nie zdobytej.

Rolnictwo obejmuje także, obok powyżej wymienionych, niektóre inne kierunki gospodarowania, które się zazwyczaj z produkcją rolniczą łączą, jak leśnictwo, po części także górnictwo. W miarę znaczenia swego w całokształcie gospodarstwa krajowego, niektóre specjalne gałęzie tego gospodarstwa wyodrębniają się, stanowiąc samoistny czynnik gospodarstwa społecznego, odczuwając własne samoistne potrzeby i interesy, zatrudniając wreszcie odrębną sferę ludzi. Taka ewolucja jest już w naszym kraju faktem dokonany, o ile chodzi o niektóre gałęzie rolnictwa, jako eksploatacja ropy i wosku ziemnego, nie zaś eksploatacją torfu, która bywa zazwyczaj jeszcze połączona z rolnictwem.

Że chów bydła i spożytkowanie jego płodów bywa z rolnictwem połączone, zbyt jest tłumaczyć. Natura gospodarstwa rolnego ułatwia bowiem nawzajem obie kategorie czynności gospodarczych. Wzajemne dodatnie wpływowanie poszczególnych czynności gospodarczych jest też powodem, że coraz szersze obejmuje kręgi t. zw. przemysł rolniczy.

I przemysł rolniczy jest przemysłem, bo polega na czynnościach, przetwarzających płody surowe, płody rolnicze. Ale jeśli niektóre gałęzie produkcji przemysłowej oznaczamy mianem „przemysłu rolniczego“, to dzieje się to dlatego, bo tu ta działalność przetwarzająca wychodzi na bezpośredni samej produkcji rolniczej pożytek, tu ta produkcja przemysłowa ułatwia i wzmacnia i rozwija prowadzenie gospodarki rolnej. Niewątpliwie granica między przemysłem właściwym a przemysłem rolniczym jest dość wąta, bo przemysł prawie wyłącznie polega na przetwarzaniu płodów surowych. W każdym razie są przecież gałęzie produkcji przemysłowej, które gospodarke rolną ze względu na swój moment produkcyjny ułatwiają i wzmacniają, i to bądź ze względu na rozmiary

produkcji, jak cukrownictwo, bądź też tylko w razie odpowiednich rozmiarów przedsiębiorstwa, jak gorzelnictwo. Cukrownictwo zawsze podnosi, nieraz nawet umożliwia na wielką skalę podjętą, racjonalną uprawę buraków. Gorzelnictwo niezwykłe ważną pełni funkcję w całokształcie gospodarstwa rolnego, zarówno ze względu na spożytkowanie ziemniaków i innych płodów gospodarczych, jak i ze względu na użyźnienie roli odpadkami produkcji spirytusowej.

Gospodarstwo rolne jest niewątpliwie ze stanowiska ściśle technicznego podstawą i punktem wyjścia wszelkiej produkcji gospodarczej. Niegdyś w epoce gospodarki naturalnej gospodarstwo rolne zupełnie sobie wystarczało. Stanowiło ono t. zw. gospodarstwo zamknięte, gdzie wszelkie czynności produkcyjne znajdowały swój początek i koniec, i to zarówno ze względu na moment ściśle produkcyjny, jak i z uwagi na samą konsumpcję. Gospodarstwo domowe stanowiło świat osobny, w sobie zamknięty, gdzie wszelkie czynności gospodarcze zdążyły do zaspokojenia potrzeb tegoż gospodarstwa właśnie. A jak z celem czynności produkcyjnych, taksamo było też z ich przebiegiem. Len nie tylko uprawiano, wytwarzano z niego także i płótno, ale w końcu i gotowe stroje. A jak z lnem (co zachowało się na wsi po części po dziś dzień), taksamo było i ze wszystkimi innymi wytworami gospodarstwa rolnego. Z rozwojem gospodarstwa społecznego nastąpił daleko idący rzeczowy, a po części i terytoryalny podział pracy, który poszczególne stadia produkcji od siebie odosobnił, który z tych stadyów uczynił nieraz przedmiot zupełnie osobnych przedsiębiorstw, przedmiot starań i zabiegów osobnych zupełnie zawodów. Przędzalnie i tkalnie stanowią z reguły zupełnie osobne przedsiębiorstwa. Produkcja zboża bywa zazwyczaj oddzieloną od młynów i piekarń, produkcja buraków spoczywa zazwyczaj w zupełnie innych rękach, niż produkcja syropu i rafinada cukru. Nawet produkcja ropy jest oddzieloną od jej rafinady. Rozwój ten, który niekiedy idzie nawet bardzo daleko, tłumaczy się dostatecznie wyższością techniczną rzeczowego podziału pracy. Rzeczowy podział pracy sprowadza jednolitość towaru, ułatwia produkcję masową. Ale to przechodzenie jednego i tego samego wytworu przez różne ręce, to ostateczne przy-

gotowanie wytworu odpowiedniego do konsumpcji osobistej w przedsiębiorstwie zupełnie różnym, a nieraz nawet bardzo a bardzo oddalonym od pierwotnego producenta, powoduje, że nieraz punkt ciężkości zysku, ze sprzedaży towaru wynikłego, leży nie na producencie pierwotnym, jeno na tym, co ów towar przystosowuje na targ, lub nawet wprost na tym, co ów towar, jako kupiec, na targ wprowadza, a w każdym razie sprowadza ten skutek, że ów ostatni producent, względnie kupiec, niestosunkowo wysoko w ogólnym zysku, z produkcji towaru wynikłym, partycypuje, co dzieje się po części i to nawet w znacznej części dlatego, ponieważ rolnikowi często brak gotówki na dalsze prowadzenie gospodarstwa, musi więc dążyć do możliwie rychłego spieniężenia swych płodów, co oczywiście kupiec stara się dla siebie wyzyskać, doprowadzając sztucznie do obniżenia ceny lub uzyskując w ogóle korzystne dla siebie warunki.

A przytem należy uwzględnić, że owo wzajemne powiązanie się poszczególnych zjawisk gospodarczych w nowożytnych gospodarstwach społecznych, owa ogólna niepewność na targu, owo ciągle wahanie się cen, sprawia, że położenie każdego gospodarza jest niezwykle przykre, bo bardzo niepewne, bo zależne od najrozmaitszych niezawisłych od samego gospodarza objawów na targu międzynarodowym nieraz. Dopiero koncentracja czynności gospodarczych w łonie własnego gospodarstwa umożliwia większą niezawisłość gospodarczą poszczególnych gospodarstw indywidualnych i większą u nich swobodę ruchów.

To też łatwo zrozumiałem jest to dążenie, które się wytworzyło u pierwotnych producentów, u rolników, dążenie naturalne, choć do pewnego stopnia fałę powrotną nowożytnego rozwoju ekonomicznego stanowiące, dążenie do skoncentrowania czynności gospodarczych w łonie samego gospodarstwa. Dążenie to — to odbicie powszechnego prądu w nowożytnych społeczeństwach się pojawiającego, a dotyczącego całokształtu gospodarstwa społecznego. Już merkantylizm, a za nim i t. zw. neomerkantylizm, dążą do wzmocnienia sił gospodarczych własnego organizmu społecznego, przedewszystkiem przy pomocy przerobu własnych surowców. Z natury rzeczy tendencja ta najsilniej musi się uwydatniać w rolnictwie. Jej rea-

lizacya zależy od ogółu sił gospodarczych, tkwiących w danem społeczeństwie. W naszym jest ta tendencya jeszcze daleką od zrealizowania. Główną podstawę naszego czynnego bilansu handlowego stanowi silny eksport drzewa *surowego* do Niemiec. Na polu produkcji masarskiej również przeważnie wywozimy surowiec, z którego obecnie cały przemysł masarski w Pradze i Wiedniu czerpie swe soki. Jarzyn produkujemy również wcale dużo, tymczasem jedyna większa krajowa fabryka konserw jarzynowych w Lubyczy Królewskiej pokrywa zaledwie 50% konsumeyi galicyjskiej, której resztę pokrywa prawie wyłącznie zagranica. Konsumeyia wojska w Galicyi na polu konserw przedstawia wartość około 1³/₄ milionów koron, podczas gdy udział fabryk krajowych w tej konsumeyi wynosi zaledwie 150.000 kor. Tymczasem produkeya drzewa tartego, a tem bardziej przeróbek z drzewa, produkeya szynek i kielbas, produkeya konserw jarzynowych i t. p., przynosi korzyści o wiele większe, niż sama produkeya surowca, bo nietylko że większa liczba rąk może wówczas znaleźć zatrudnienie w kraju, co stanowi niewątpliwą korzyść społeczną, ale co ważniejsza, w zysku produkeya krajowa bierze udział wówczas w stopniu znacznie wyższym, wprowadzając produkt już gotowy na targ.

Ta tendencya koncentracyi czynności gospodarczych, powszechna już, o ile dotyczy gospodarstwa społecznego, utwierdza się coraz bardziej także, o ile chodzi o gospodarstwa rolne. I tu zależy realizacya tej tendencyi od sił gospodarczych, w danem gospodarstwie skupionych. Wielkie latifundya ową koncentrację tych tak różnorodnych czynności gospodarczych bez wielkich trudności zdołają skupić we własnem ręku bez jakiegokolwiek obcej pomocy i to zarówno w kierunku przetwórczym, jak również (ale już rzadziej) w kierunku handlowym. Czynności przetwórcze mogą być do pewnego stopnia wykonywane i w zwykłych gospodarstwach jednofolwarczych, jak n. p. gorzelnictwo i młynarstwo. Trudniej już ze zbytem tych wytworów, które nim się dostaną do właściwego konsumenta, muszą poprzednio przejść przez bardzo wielką liczbę pośredników handlowych, których liczba na ogół stoi w odwrotnym stosunku do wielkości obszaru uprawianego. Niedostatki na polu przetwór-

czem i handlowem z całą siłą przejawiają się więc dopiero w drobnych gospodarstwach rolnych, w gospodarstwach włościańskich. I tu wprawdzie są wyjątki od ogólnej reguły możliwe, ale tem rzadsze one, im wyższym ogólny rozwój gospodarstwa społecznego, im dalej posunięta technika gospodarcza, im bardziej masową i niejako gigantyczną całą produkcya. Powtarza się tu do pewnego stopnia owa zasadnicza antyteza między wielką a małą produkcją, antyteza, która z całą siłą ujawnia się w antytezie między rzemiosłem a przemysłem fabrycznym, która jednakże i na polu produkcji rolniczej w niejednym kierunku coraz silniej się uwydatnia i coraz szersze obejmuje kręgi. Wprawdzie i teraz jeszcze są wypadki, że drobna produkcya posiada swą rację bytu, ale wypadki te są niewątpliwie coraz rzadsze. Trzeba bowiem mieć na uwadze, że każda epoka życia gospodarczego ma pewne typowe formy produkcji gospodarczej, pewne jej rodzaje, stanowiące o charakterze całokształtu gospodarstwa społecznego. Z chwilą ogromnego wzrostu ludności a wolnego rozkiełznania sił gospodarczych, panem sytuacji stała się produkcya masowa, produkcya na wielką skalę. W mniejszym stopniu dotyczy to produkcji rolniczej w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdzie nawet niejednokrotnie uprawa drobnych parcel w wielu wypadkach technicznie wyższe wykazała rezultaty, ale natomiast z całą siłą ujawnia się to w omawianym właśnie przemyśle rolniczym. I tu wyjątki, jak wszędzie, są możliwe, ale to pewna, że drobne młyny ciężki wiodą żywot wobec wielkich, że małe tartaki z trudem tylko ostać się mogą wobec swych towarzyszy olbrzymów. A im mniejszem to przedsięwzięcie przemysłowo-rolnicze, w tem gorszych z reguły znajduje się ono warunkach. To też coraz silniej się utwierdza przekonanie o potrzebie assocyacji rolniczej, assocyacji zarówno na polu handlowem, jak i na polu produkcyjnym. Tworzą się liczne spółki rolnicze, dla zbytu zboża, jaj, bydła i t. p., spółki mleczarskie, produkujące łącznemi siłami sery i masło w sposób mechaniczny, spółki magazynowe dla wspólnego magazynowania płodów rolniczych i t. p.

Ilość i rodzaj tych spółek są bardzo wielkie i zagranicą tworzą te spółki assocyacyjne wyższego rzędu, krajowe

czy państwowe; u nas ruch ten dopiero w zaczątkach, bo w zaczątkach i zarodku sama idea assocjacyjna. Warunkiem powodzenia tych spółek jest dobry i odpowiedni materyał w ludziach, a tego, jak wiadomo, u nas brak. To pewna jednak, że rozwój wszechstronny tych spółek, ich rozprzestrzenienie i pogłębienie, to jedna z głównych dźwigni rolnictwa. I mimo że indywidualizm najsilniej może (w znaczeniu gospodarczem) na wsi zakwitnął, mimo, że tu o jakimś uspołecznieniu środków produkeyi żaden trzeźwy socjalista nawet i nie marzy, to mimo to owo poczucie solidarności interesów jest jedną z głównych dźwigni rozwoju gospodarczego.

Assocjacya rolnicza nie ograniczyła się jednak bynajmniej na organizacyi zbytu, na urządzeniach wspólnych, indywidualne gospodarowanie ułatwiających — ona poczyna wkrazać obecnie na pole konsumcyi osobistej w formie spółek konsumcyjnych dla wspólnego zakupna artykułów codziennej potrzeby. Stąd u nas wzięły początek sklepiki kółek rolniczych. Ich punkt wyjścia — to dążenie do usunięcia zysków z pośrednictwa handlowego w drobnej sprzedaży, względnie do zredukowania ich do minimalnych rozmiarów, w skutek zakupna hurtownego. Tendencya ta nie jest wyłącznie właściwą rolnikom, bo się pojawia również w różnych warstwach konsumentów miejskich.

Nie ograniczają się jednak te spółki z czasem na t. zw. artykułach codziennej potrzeby, lecz obejmują także artykuły niezbędnie potrzebne w gospodarstwie rolnem, jak nasiona, maszyny rolnicze, nawozy sztuczne i t. p. Ich wpływ na rozwój gospodarstw rolnych bywa niekiedy wprost niezmierny. Nietylko, że usuwają one wszelkie nadużycia co do jakości tych artykułów i dają gwarancję doborowego ich gatunku, ale przedstawiając poważną siłę gospodarczą, powodują, że i producenci i ich związki (kartele), nieraz wprost podniesienie cen na celu mające, muszą się wprost z nimi liczyć, wywołują więc odpowiednie ukształtowanie się cen. Wpływają one nadto bardzo dodatnio na rozwój techniki rolnej, bo spółki i stowarzyszenia, udowadniając korzyść i pożytek z racjonalnej uprawy roli wpływający, wywołują nieraz wprost nowe potrzeby, powodują stosowanie nowych środków technicznych w rolnictwie. Dodatnio na technikę wpły-

wają zresztą także spółki dla zbytu produktów rolnych, bo choć umożliwiają i ułatwiają wprowadzenie różnych produktów rolnych po znacznie wyższej cenie, niż by ją dało się uzyskać przy jednostkowej sprzedaży, to jednak przymuszają ekonomicznie współników do stosowania się do pewnych zewnętrznych wymogów, do dostarczania towaru jednolitego, a więc jednolicie dobrego, a choć pośrednio krępują w ten sposób wolność i swobodę jednostki, to jednak temi swymi wymaganiami handlowymi właśnie powodują, że każdy gospodarz, pracując na swem gospodarstwie bardziej intensywnie, większą z tego swego gospodarstwa odnosi korzyść gospodarczą; w każdym zaś razie bardzo znacznie wyrównują różnice między małym a wielkim gospodarstwem.

Niegdyś mówiono, że tylko rolnictwo miłem jest Bogu, uzalano się na zyski i zdzierstwa kupców. Było to nieświadome poczucie możności zwiększenia zysków z rolnictwa płynących, nieświadome, bo nie połączone z doświadczeniem, które dały dopiero czasy nowsze, że byle tylko zastosowano odpowiednią organizację, istotnie pośrednictwo handlowe może uleść poważnemu ograniczeniu i ścieśnieniu do właściwych sobie granic. Nauka nowożytna dowiodła niezbicie, że ów *appetitus societatis*, co złączył społeczeństwo w jedną całość, nie potrzebuje się i nie powinien się bynajmniej ograniczyć na ogólnych organizmach społecznych, ale że w obrębie tych ogólnych organizmów społecznych winien tworzyć mniejsze organizmy na korzyść i pożytek całej Rzeczypospolitej.

I jeszcze jednej rzeczy dowodzi cała owa ewolucja asocjacyjna: stwierdza ona, że owa troistość, rolnictwo, przemysł i handel, troistość warunkująca kollizję interesów gospodarczych, coraz to bardziej się zaciera, że się natomiast coraz bardziej uwydatnia jednolitość organizmu gospodarstwa społecznego.

Dr. Zygmunt Gargas.

Anatol France.

STUDYUM LITERACKIE.

(Ciąg dalszy).

V.

Stara i nowa krytyka. — France recenzentem.

Jeden z najznakomitszych krytyków końca dopiero ubiegłego wieku, Brunetière, wyrzekł na wstępie do swej historii krytyki literackiej we Francyi, że unikniętoby z pewnością mnóstwa błędów w naukowem badaniu literatury, gdyby wiedziano, jakie są zadania tej nauki. Historye literatury przestałyby być wtedy zbiorem życiorysów lub charakterystyk literackich bez związku i ciągłości, stanowiłyby całość organiczną i spójną, nie pomijałyby stosunku jednego literackiego pokolenia do drugiego, nie odosabniałyby przejawów twórczości artystycznej od całości dziejów ducha narodowego, nie lekcewałyby twórców czystej inteligencji i nie wysuwały jedynie, i to z zastosowaniem nader ostrem literackiej selekcji, na plan pierwszy twórców uczucia i wyobraźni, nie gubiłyby się w szczegółach i traciły świadomości ostatnich zadań nauki, która dzięki usiłowaniom badaczy zdąży dziś śmiało na stanowisko umiejętności, godnej stanąć obok innych starszych i więcej doświadczonych siostrzyce. Albowiem dziś istnieje ona jako umiejętność, która ma swój przedmiot, swą metodę, swe zasady i cele ostatnie. Wymaga od swych pracowników umiłowania jej i erudycyi rozległej, natężenia w badaniu i pamięci niepośledniej, bystrości spo-

strzegawczej i ścisłości w rozumowaniu, daru w uogólnianiu i smaku czulego a wyszkolonego. A nadewszystko żąda świadomości zadań nauki i drogi, którą do nich zdążać można i trzeba, czyli metody. Jak w innych umiejętnościach, musi jej pracownik sądzić nie wedle chwilowego wrażenia podmiotowego, ale wedle pewnych z góry określonych zasad, sądzić przez porównanie z dziełami najwyżej artystycznie stojącymi, a mającymi stanowić nie wzory, ale typy piękna literackiego. Jego zmysł piękna kształcą te wielkie typy, a tym, który wydaje sądy jest władza psychiczna, zwana inteligencyą, władza, zdolna jedynie do sądzenia i mogąca wedle słów Ribota kojarzyć i rozłączać, jednoczyć i odosobniać, spajać i dzielić.

Jakie są tedy zadania historii literatury, którą tworzą i budują krytycy literaccy, z jaką grupą nauk łączy się ona najściślej, jakimi drogami dąży do celów ostatnich i w jakiej fazie rozwoju znajduje się obecnie? Na pytanie to odrzec trudno, jeżeli nie rzuci się okiem za siebie, na stopniowy jej rozwój i postęp do dni dzisiejszych. Zarodek jej tkwił w usiłowaniach gramatyków aleksandryjskich, których śladem poszli rzymscy i bizantyńscy. Chodziło w nich głównie o ustalenie tekstów krytycznych, obok którego przygotowywano komentarze i kreślono charakterystyki literackie często z punktu jednostronnego zapatrywania danego gramatyka lub retora. Ten filologiczny zarodek nauki nie był bez znaczenia, gdyż stał się jej głównym a później niezbędnym elementem. Z chwilą wskrzeszenia miłośnictwa literatur starożytnych za wpływem Petrarcki i uczonych bizantyńskich wystąpił dogmatyzm estetyczny, jako warunek i sprawdzian sądu krytycznego; co od niego odbiegało i nie zgadzało się z poglądem zmarłychwstałego aleksandrynizmu, było skazane z góry na zagładę lub lekceważenie. Za pierwszą reakcyę przeciw temu stanowi rzeczy, który zwrócony cały do komentowania starożytności, umiał tylko przepisywać i sądzić według stałego szablonu, uważać trzeba filozofię kartezyańską. Czy nie jest ona bowiem wyrazem duszy nowożytnej i myślącej samodzielnie, wiary w potęgę rozumu ludzkiego, wyzwoleniem z więzów tradycyi, dotąd obowiązującej? Nie ma wprawdzie estetyki kartezyańskiej, ale właśnie Kartezyanie wieku XVII

stanęli w obronie literatury nowożytnej w słynnej walce starożytnych z nowożytnymi; oni podnieśli ideę postępu, zachwiali wiarę w starożytnych, zbliżyli nadejście przelomu nie tylko literackiego, ale i naukowego. Równocześnie występuje zainteresowanie się literatów sztuką plastyczną; bada się jej stosunek do literatury, środki artystyczne, a teoria wpływu otoczenia, zwłaszcza fizycznego na rozwój sztuk i literatury, tak popularna w wieku XVIII, otwiera niespodzianie horyzonty dalekie i daje początek powstaniu historii literatury.

Dogmatyzmowi wyrosłemu z miłośnictwa starożytności przeciwstawiono mnogość typów piękna, odmiennych od siebie i wzrosłych w odrębnych warunkach fizycznych i historycznych. A że te mnogie typy piękna dotąd lekceważone przedstawiły się oczom badaczy wskutek zbliżenia się i oddziaływania na siebie literatur najrozmaitszych, więc nauka, która miała badać wpływ otoczenia na literaturę, wpływy literatur jednych na drugie, rozwój ich stopniowy i zgodny z doktryną kartezyańską postępu, miała pod nazwą „historii literatury starożytnej i nowożytnej“ dać podstawy poznaniu ogólnej twórczości. To chwila narodzin krytyki naukowej, której twórcami oparę na szerokiej podstawie filozoficznej myśliciele i krytycy francuscy, jak Montesquieu, Diderot, pani de Staël, a w Niemczech przedziwnie dopełniający się wzajem Lessing i idący śladem genialnego historyka sztuki starożytnej Winckelmanna, Herder. Ten ostatni zwłaszcza oparł swe badania na wykazywaniu pochodzenia twórczości pewnych epok i ich związku z całością. Patrzył na literaturę pierwszy okiem filozofa, estetyka i historyka, czego brakło dotąd jej badaczom, nie mogącym długo jeszcze pozbyć się resztek dawnego dogmatyzmu i formułkowości. Każdą epokę rozumiał i tłumaczył z intuicyą, niezrównaną, a ogarniając już w *Über die Wirkung der Dichtkunst* z r. 1778 literaturę powszechną dał, linie zasadnicze nauki, które przetrwają bez zmiany prawie do połowy ubiegłego wieku. Do poziomu Herdera starają się dostroić historycy francuscy tych lat. Potężny wzrost nauk historycznych dopomaga im w ich zadaniu, ale na prawdę herderowska metoda panuje wszechwładnie i tylko się pogłębia, wykończa, zaokrągla.

Kantowska filozofia, nie wyłączając estetyki, sprzyja tylko wraz z wyszlemi z niej systemami rozwojowi tej nauki prawdziwie historycznej, gdyż, podsycając idealizm i indywidualizm twórczy, daje sposobność do nowej przemiany. Odrzucając linie ogólne, związki literatur między sobą, wynikanie jednych epok z drugich z dążeniem do oparcia znajomości literatury na tle dziejów ogólnych narodu, ogół krytyków za przykładem Sainte-Beuve'a rzuca się do monografii jednostek twórczych. To wynik idealizmu filozoficznego, który jest psychologicznym kierunkiem naszej nauki. Wszystko, co się odnosiło do tej jednostki, poczęło zajmować; z materiału nieraz z trudem zdobytego powstawały monografie, pełne subtelnych analiz psychologicznych i estetycznych, a właściwa historia obchodziła już mniej. Była to tylko chwila, po której nastąpił zwrot decydujący. Tym zwrotem powrót do dawnej historycznej metody Herdera, a jego wyobrazicielem Taine. I teraz filozofia wyrzekła swe pierwsze słowo i wykończyła tylko dzieło lat dawnych. Materiał był, należało stworzyć konstrukcję; koncepcję filozoficzną zastosowano do historii i literatury. A nie tylko filozoficzną, ale i przyrodniczą, gdyż Taine zastosowuje prawo biologiczne i pokrewieństwo cech, wahanie się organiczne, zależność cech, jedność układu, selekcję naturalną. Formuła trzech czynników materialnego i moralnego środowiska, rasy w znaczeniu antropologicznym, chwili w znaczeniu historycznym, stała się formułą, dyskutowaną odtąd, ale nie obaloną dotąd bynajmniej. Jak Herder, był Taine filozofem w duchu zmarłych sensualistów wieku XVIII; historia literatury była dla niego często materiałem, kształconym dowolnie dla udowodnienia tezy. Stąd jego braki jako historyka twórczości artystycznej.

Jednostka twórcza, to wytwór otoczenia wedle niego, ale zapomniał, że ta jednostka wychowała się często w środowisku sztucznym i obcym narodowi; selekcja literacka jego знаła tylko wielkie talenta, psychologia upatrywała tylko jedną skłonność, panującą w jedostee, a zamykała oczy na inne. Lecz, że pesymizm wisiał niejako w powietrzu drugiej połowy wieku, a Taine był pesymistą po trosze, przyjęło jego doktrynę bez rezerwy, póki chłodniejsza rozważa nie

kazała, korzystając z istotnych jej zdobyczy, uzupełnić jej braki i niedostatki. To dzieło ostatnich lat wieku. A przede wszystkim, idąc za genialnym historykiem, postawiono sobie za zadanie badać fakta i indywidualności twórcze w ich przyczynach i skutkach. Górował w tym poglądzie spencerowski postulat, zastosowanie ewolucji biologicznej do badań społecznych; powiedziano sobie tedy, że literatura jako wytwór ludzki rozwija się jak organizm szeregiem zmian ściśle zależnych od siebie i wpływających jedne z drugich. Teorya ewolucji literackiej, to zasadniczy zwrot w naszej nauce, który przyjął się we Francji i wszędzie. Impresyonizm krytyczny, podający się za nową jej fazę, nie jest nią wcale. Wyszedł z błędnego mniemania, że krytyk nie może wyjść z siebie, że mówiąc o innych, maluje tylko siebie pod wrażeniem czytanych książek, jest wynikiem tego sceptycyzmu, którego ojcem Renan, a dziećmi Lemaitre i Anatol France. Jakkolwiek suggestywnem może być także *soliloquium* literackie, z jakimkolwiek znawstwem i wyczuciem wydobywa treść z utworu, krytyka naukowa może tylko podzielać zapał, z jakim impresyonisci traktują sztukę, ale tworzyć nowych dzieł literackich, i to dzieł wedle rady Oskara Wildego nie koniecznie potrzebujących posiadać nudne podobieństwo do dzieła krytykowanego, nie myśli i nie może. Dyletantyzm, grożący od tego kierunku, może tylko odwrócić nieświadomych od zadań historii literatury, która, nigdy nie będąc sztuką a nawet, wedle przyznania impresyonisty Matuszewskiego, wymagając wielkiej erudycji artystycznej i naukowej, nie może być nią tem bardziej, gdy staje się umiejętnością i przeszła z kolei fazę dogmatyzmu estetycznego, historycznej metody herderowskiej, psychologicznej, zwróconej do badań jednostek i poszukującej w ich dziełach dokumentów nie tylko indywidualności, ale i całego nastroju epoki, filozoficznej w duchu Taine'a, ewolucyjnej, która jest zwłaszcza teorią Brunetière'a i chce widzieć w historii literatury więcej ewolucję rodzajów literackich na podobieństwo podobnej ewolucji w przyrodzie.

Historya literatury, będąc tedy w swej istocie nauką o rozwoju człowieka w jego działalności jako jednostki twórczej artystycznie, ma za zadanie badanie przyczyn zjawisk

literackich, które wynikają jedne z drugich w sposób naturalny, i dążenie do wykrycia praw ogólnych, które będą prawami rozwoju twórczości duchowej narodu i ludzkości, wyrażonej za pośrednictwem dzieł pisanych z tendencją realną lub idealną. Nie ma ona wprawdzie niezbędnego kryterium nauki, którem jest możność przewidywania faktów, znana z nauk przyrodniczych, ale też zjawiska literackie jako objawy wolnej indywidualności duchowej mogą być przedmiotem pewnych konjektur, ale nie przewidywania. Prawa, do których dąży historia literatury, wyrażają tylko pewne stosunki, które się ustalają dobrowolnie pod pewnymi warunkami z góry zaszlemi. Comte zalicza historię do kategorii nauk moralnych, oddających się badaniu ludzkości; metoda zaś, która znamionuje naukę dźwigniętą usiłowaniami tyłu badaczy, jest zaś czysto historyczną i posługuje się raz elementem krytycznym, raz analitycznym, raz syntetycznym. Jako nauka moralna o charakterze społecznym już wedle określenia Comte'a, może ona dążyć do praw, które istnieją w naukach społecznych, gdyż zjawiska ich, jak uroczyście zaznaczył Kant, zwolennik wolnej woli ludzkiej, określają prawa ogólne przyrody. Ulegają one historycznemu rozwojowi, i stąd historyczny charakter nauki; należy je porządkować i klasyfikować, i stąd krytyczny element w historycznej metodzie; należy je rozbierać i wyjaśniać a z drugiej strony obejmować całość, określać nastrój ogólny, zaznaczać filiacje i wpływy, szukać praw ogólnych, i stąd analiza i synteza, jako dwa ostatnie elementa badania. A drogą prowadzącą do tych prawd jest indukcja, która wychodzi z obserwacji faktów szczegółowych, by wznieść się do zasad ogólnych. Tych faktów dostarcza bibliografia, biografia, same dzieła, nauki pokrewne, od których nie oddziela naszej nauki linia demarkacyjna zbyt surowa. Rzecz oczywista, że takie linie bywają mniej lub więcej sztuczne, a zwłaszcza, gdy chodzi o nauki moralne. Comte, mimo przeprowadzonej śladem Bakona klasyfikacji, podkreślał jedność nauk mających za cel społeczeństwo. Więc historia literatury, mając za przedmiot duchowe życie społeczeństwa, o ile ono wyraża się za pośrednictwem słowa, musi zajmować się nieustannie i równolegle tem życiem, o ile ono wyrażało się

kulturalnie w czynach politycznych, społecznych, ekonomicznych, jako zjawiskach poniekąd współrzędnych i pokrewnych istotą; nie może zapomnieć też o przemianach językowych i etnologicznych z dodatkiem antropologii. A również trudno stracić jej z oczu nauki najogólniejszej, czyli filozofii, by się spełniło zdanie Cyncerona, że *omnes artes, quae ad humanitatem pertinent, habent quoddam commune vinculum et quasi cognatione quadam inter se continentur...*

Wymagając tak rozległej erudycyi, dojdzie ona tem łatwiej do wydobycia rysów ukrytych dla badacza mniej odczytanejosi osiągnie cele ostatnie, czyli swą filozofię. Nie mogąc wątpić, że myślimy, czujemy, że w dążeniu tem, jak w każdej nauce, zwłaszcza moralnej, winny przewodniczyć dwie filozoficzne nauki: logika i psychologia, z dodatkiem etyki. Logika ćwiczy intelligencyę, mogącą jedynie przeprowadzić konsekwentnie zgodność myśli z nią samą, psychologia przez obserwacyę i rozumowanie zbliżyć historię literatury do nauk doświadczalnych i umożliwić stawianie możliwie pewnych wniosków. Wszak nauka nasza, jak psychologia doświadczalna, dąży do wykrycia przyczyn, a że przeprowadza je z większą lub mniejszą niedokładnością, powoduje to tylko wielka liczba przyczyn, na które składają się zjawiska obu nauk, z których psychologii nie odmówiono przecież charakteru nauki. A że wielkiem psychologicznem i społecznem zjawiskiem jest istnienie moralności, więc jako nader częsta pobudka artystycznego tworzenia i podstawa życia społecznego musi być również etyka sprawdzianem wartości dzieł przy ich analizie. Wszak i Spencer uważa zmysł moralny za spadek dziedziczny, nabyty w miarę doświadczenia, więc historyk, stanowiący rodzaj sumienia ogólnego w stosunku do twórczości, nie może jej pominąć. Jest tedy etyka kategoriycznym imperatywem moralnego sumienia historyka. Jako nauka społeczna, historia literatury łączy się również z socyologią i ma wspólne z nią fakta i metody. Gdy pierwsza bada prawa rządzące twórczością, druga czyni to samo z życiem społecznem ludzkości. Obie operują faktami nader złożonemi i w obu dadzą się wykazać prawa współistnienia i następstwa. W społeczeństwie wszystkie duchowe objawy bywają równorzędne, więc renesansowa wytworność linii

architektonicznych stoi w związku z poezją Kochanowskiego, polityczny marazm czasów saskich odpowiada stanowi literatury, dźwiganie się na wszystkich polach, nie wyłączając ekonomicznego, jest w łączności z poezją przeważnie utylitarną Krasickiego, reakcyja idealistyczna w filozofii pomaga rozrostowi romantyzmu. Obie uciekają się do indukcji i obie dążą do poznania praw w miarę opanowania materiału.

To jej związek z innymi naukami. Znamy jej metodę i wiemy, jak z nauki statycznej stała się niejako dynamiczną. Od filologii przejęła skrupulatność w badaniu tekstów, komentowanie i analizy estetyczne, od historii szukanie przyczyn i związków, od filozofii i nauk przyrodniczych prawa i metody. Rozszerzyła się niejako, wzmogła potężnie, przedmiotowością zasłużyła bez pochlebstwa na miano nauki. Istnym sofizmatem jest, że historyk literatury nie może wyjść z siebie, a sprzeczności pozornie zachodzące nie są tak wielkie, by przy dobrej wierze nie zgodzono się na jedno. Zadaniem historyka jest wydobyć z materiału wszystko, co on zawiera, oznaczyć jego wartość, określić stosunek dzieła do środowiska i pierwiastki indywidualne. Dzieła zaś literackie wyjaśniają się tem, co poprzedziło i nastąpiło. Stopień artyzmu lub oryginalność treści jest tu wagi największej i on, prócz etyki, musi stanowić o wartości dzieła. Ważniejszą jest genealogia dzieł, która nadaje tej nauce charakter czysto historyczny. Czy nie polega ona bowiem, jak historia, na przedstawieniu przeszłości takiej, jaka wynika z faktów stwierdzonych? Metodyka jej będzie nad nią filozofować, co jest rzeczą naturalną, ale naginać jej do jakiejś koncepcji apriorystycznej nie może i nie powinna. Już Gervinus jednak w *Grundzüge der Historik* z r. 1837 podniósł potrzebę zdawania sobie sprawy z celu, do którego się dąży. Brak znajomości zadań jest największą szkodą badaczy, tem więcej, że pracą zbiorową tylko dojdzie się do poznania. Zjawiska literackie zachodzą w czasie, więc nauka, badająca je, jest nauką historyczną, idealną w przeciwstawieniu do realnej, która nie dotyczy objawów ducha, ale materji. Koniec wieku ubiegłego dążył właśnie do wykazania, jak to ciągle stawanie się i przeobrażanie się doprowadziło do coraz nowych

różniczkowań i zmian i wy dobył naukę z konfuzyi i anarchii. Nie lekcewał pierwiastku indywidualnego, choć uwzględnił go za mało i już dziś teoretyk Bernheim w *Lehrbuch der historischen Methode* z r. 1889 przyznaje, że o faktach historycznych stanowią, nie lekceważąc rozwoju ogólnego, elementa indywidualne.

Fakta literackie są wprawdzie wynikiem przyczyn nader złożonych, których często nie znamy, ale w pomoc przychodzą nam inne nauki. Trudniej osiągnąć w nich prawdę, trudniej dojść do ostatniej przyczyny rzeczy i często chwytają się przyczyny mniej lub więcej prawdopodobne dla wytłomaczenia. Nauka nasza daje wiedzę rzeczywistości, ale nie zawsze umie wyjaśnić swe zjawiska, dać teorię, pewniki. Podaje fakta, ale nie zawsze umie wskazać ich genezę. Bo też jej zjawiska są psychiczne i w przeciwieństwie do przyrodniczych sięgają do dna duszy, a nie ślizgają się po powierzchni. Tak określił je psycholog Fouillée, potwierdza to też jeden z najmłodszych teoretyków w badaniu historii, Xénopol, w *Les principes fondamentaux de l'histoire* z r. 1899. Zjawiska literackie, jako zjawiska kolejne i postępujące progressywnie z zastosowaniem zasady różniczkowania się, podlegają ewolucyi, która trwa ciągle, podobnie jak w przyrodzie. To jest czynność intelligeneyi, uczuciowości i woli człowieka, którą objawia się dusza narodu. Im bardziej ma ona charakter ogólny, tem więcej jest zrozumiałą ludzkości. Umysł ludzki ma dar assymilacyi i stąd naśladownictwo, często niewolnicze, rzadziej indywidualne. Ta czynność postępuje naprzód, potem słabnie i cofa się, potem znów posuwa się dalej niż poprzednio pod wpływem przyczyn, których wyjaśnienie należy do historyka. Postęp jest ciągle, by porównać choćby romans Lesage'a do Balzaca, dramat Lessinga do Hauptmanna, epikę Potockiego do Mickiewicza. Niektóre rodzaje literackie zdają się zamierać, a inne powstają i usuwają dawniejsze. Czasem postęp ten nie jest doskonaleniem się jednego rodzaju literackiego, daje się zauważyć jednak w drugim. Gdzie doprowadzi ta ewolucya, czy będzie kręcić się wedle Vicony w błędnem kole, czy zasilona nieznanymi pierwiastkami da nowe zjawiska, nie wiemy. Twórczość literacka jest dziełem istot więcej uzdolnio-

nych i nie zawsze da się udowodnić myśl Taine'a, że dzieła są tylko skupieniem narodowej myśli. Jest pewna arystokracja duchowa, która tworzy przecież dla mas i w masach. Ona od tych mas jest zależna pewnymi stronami swej natury, ale i wywiera na nie wpływ, który dowodzi, że twórczość nie może być tylko rozważana pod kątem widzenia otoczenia.

Ta mniejszość, ta elita, ta warstwa ma swe środowisko odrębne od ogólnego, ma dążność do ekspansji, siłę indywidualną, prócz wysoko rozwiniętej zdolności naśladowania. Filozof Tarde podkreśla tę zdolność nieświadomą lub świadomą, własno-wolną lub przymusową, zwłaszcza u mniej utalentowanych jednostek; wyższa siła indywidualna kształtuje na odwrót ewolucję, choć sama winna wiele swym poprzednikom. Przechodząc w masy, rozdrabnia się niejako, a właściwe jej pochodzenie jest już tajemnicą niewytłomaczoną. Spencer trwa tu wprawdzie uporeczywie przy swej teorii, jakoby geniusz był wytworem społeczeństwa, ale nikt nie wytłómaczy, czemu drobna szlachta białoruska wydała tylko jednego Mickiewicza. Geniusz jest wytworem epoki, ale jest też wynikiem siły nieznannej i innej od otoczenia. Dzieła tworzy umysłowość ludzka, więc wiedza je traktująca jest odbiciem często genialnej umysłowości w umyśle krytyka i wymaga, by to odbicie było dokładne i wierne. A jest też częścią ogólnej historii narodu. Przez styl, odczuty i pełen miłości dla przedmiotu, winna rozwijać w innych zamiłowanie piękna, pomódz działając na wyobraźnię i uczucie innym do wnikięcia w samo jądro i istotę epoki i talentów. Nie gubiąc się w szczegółach, musi historyk być i estetykiem o smaku subtelnym i objaśnić każdy utwór w związku poszczególnych sytuacji, nie pomijać określenia środków artystycznych twórcy, sposobów wywarcia wrażenia, stopnia natężenia artyzmu lub oryginalności treści, by nie iść za daleko w genealogii dzieł i lekceważyć analizy estetycznej, która wskazuje, jakie jest dzieło i jak oddziaływa na umysł. Wykazać związki i łączniki, to dzieło historyka; określić wartość dzieła, to dzieło analizującego krytyka, który nigdy nie może zapomnieć, że jest historykiem, a także filozofem. Inna rzecz pisać monografię z ograniczo-

nym zakresem obserwacji, a inna ogarniać grupy i epoki, w których cechować trzeba perspektywę, podział, plan. A że krytyk jest zarazem obywatelem danego narodu i publicystą jak inni, więc wolno mu wyrazić i własną opinię, która musi być podkreślona jako własna i nie wpływać na odpowiednie ukształtowanie materiału i analizę. Być krytykiem literatury, znaczy bowiem nie tylko dawać wierny obraz jej rozwoju, ale ją też kochać, a więc nie tylko chwalić, ale i napominać, rozumieć, ale i ostrzegać, poczuwać się w każde zjawisko, ale i kierować, a zawsze przedmiotowo i z dobrą wiarą.

A krytyka impresyonistyczna? Jej ojcem, jak naznaczyłem już, Renan, a potomkami najpierw Lemaitre, a potem France. W r. 1885 pojawił się artykuł pierwszego w *Revue bleue* o Renanie i zwrócił do tego stopnia uwagę ogółu, że nieznany dotąd krytyk został recenzentem wielkiego dziennika. Odtąd Lemaitre stał się głośnym nie tylko z powodu swego charakterystycznego wyglądu, ale i teoryj, jakie wygłaszał. Nie wierzył w krytykę naukową, a każdą estetykę nazywał architekturą arbitralną. Krytyka, to rzecz wrażenia, wyraz chwilowego nastroju; zmieniać sądy o dziele jest rzeczą naturalną, a dozwolonem jest mieć nawet dwa jednocześnie. Najpewniejszą z rzeczy pewnych jest zwątpienie, co zresztą stało w związku z poglądem Renana. Lemaitre lubił to, co było wykwiśniętem, dowcipnem, wdzięcznem i miał swe dogmaty, ale ukrywał się z nimi zręcznie, niż ktokolwiek. Stał się Paryżaninem w krytyce, co znaczy, że przeniósł sceptycyzm do rodzaju, dotąd nim nie dotkniętego. Z podobną doktryną wystąpił równocześnie France. Renan nie miał teorii literackiej, ale obudził zamiłowanie rzeczy religijnych, które traktował sceptycznie, ale z sympatją; nie inaczej postępuje France, i tak sceptycyzm renanowski i dziennikarstwo stworzyły krytykę nową, której zwolenników znajdziemy dziś wszędzie. Wywołała ona żywy ruch umysłów, tem więcej, że na czele kierunku stały istotnie niepospolite umysły. Jeden i drugi był właściwie artystą; to, co nie wystarczało dla wielkiego artysty, dało krytykowi czar artystyczny, który podbija i zniewala, choć czuje się, że krytyk jest więcej zajmujący, niż dzieło krytykowane. Siłą dotąd

żaden nie był, mało i rzadko tworzył i dopiero romans aleksandryjski France'a rozniósł jego sławę daleko. Dziennikarstwo go pociągnęło ostatecznie i nie było bez pożytku dla tego erudyta w romansie. Stał się żywszym, poznał społeczeństwo, zbliżył się do współczesnych, gdy dotąd ślęczał po bibliotekach głównie. Miał wielką erudycję literacką, żył w społeczeństwie pełnem kultury i znającym swą literaturę, wykwintnem i żadnem pięknej formy. Krytykę zrodziła filozofia i historia, a on był obznajomiony z jedną i drugą.

I stał się recenzentem niepoślednim, gdyż miał poczucie artystyczne wysubtelnione, styl płynny i pełen odcieni, potrzebę i dar mówienia. Nowicuszem nie był, gdyż właściwie nigdy nie zaniedbywał krytyki, dając nieustannie przedmowy do dzieł klasyków, notatki literackie, drobne studia, dotyczące zamku Vaux le Vicomte, architekta Denona, słynnej Elwiry Lamartine'a. To ostatnie wywołuje z niepamięci postać godną stanąć obok Beatrice, Wiktoryi Colonna, Maryli, pani Hańskiej, postać wietką o oczach spuszczonej, nerwową i suchotniczą, około której skupiły się wszystkie rojenia melancholizującego liryka romantycznego. Jego poezya religijna, delikatna, wzniosła, nie dała zapomnieć, że ta jedna stanowiła świat najbardziej naturalnego z poetów francuskich i najbardziej istotnie uczuciowego, a zawsze w sposób dyskretny i mglisty, naśladowany dziś przez symbolistów. Krytyk opowiedział z współczuciem losy nieśczęśliwej, która wydana za starca spotkała młodego gwardzistę w Aix i obudziła w nim poetę. Była wysoką, brunetką, bladą, o oczach zielonych, ciemnych rzęsach, niskiem czole i nosie prostym i zgrabnym...¹⁾ Biograf Elwiry wstąpił teraz na teren nowy, a były nim kroniki w *Temps* pisane od r. 1886, w których zastąpił dotychczasowego kronikarza Claretie. Benedyktyn literacki zmienił się w reportera, który krążąc po bulwarach śledził za każdą nowością, nadśledził, co dzieje się w światku literackim, mającym wtedy wiele idei nowatorskich i zaczepnych, jakie wprawiały w rozpacz wielbicieli parnassizmu i naturalizmu. W nowym krytyku wielkiego dziennika, który począł iść w zawody z zaw-

¹⁾ *L'Elvire de Lamartine*. Paris, 1893, in 4^o.

sze oczekiwany poniedziałkowym fejttonem Sarceya, budził się zmysł polemiczny, miarkowany tylko smakiem i miarą paryską.

Artykuły stały się z wolna wypadkiem dnia, a górowały w nich zamilowanie książek niezmierne, dowcip i błyskotliwość stylu, życzliwość dla wszystkich i może zbyt dużo pobłażliwości. Jeżeli trzeba było ganić, ironizował co najwyżej, ale nie gromił. Rzadko wybuchał, a starał się zrozumieć wszystko, nawet symbolistów. I odrazu wystąpił w obronie krytyki podmiotowej przeciw Brunetièrè'owi, co było votum nieufności dla filozofii, dla wiedzy, dla krytyki, która dzięki Taine'owi stawiała się wiedzą. France nie był właściwie nigdy pozytywistą, ani zapalonym wielbicielem krytyki Taine'a. Był zbyt artystą, miał umysł nadto sceptyczny, nie chciał zamykać się w bądź co bądź nieco ciasnej i nie uwzględniającej indywidualizmu teorii wielkiego krytyka. Sądził niewątpliwie, że Taine a za nim Brunetièrè wyjaśniają *jak*, ale nie tłumaczą *dla czego* powstały dzieła sztuki. W głowie błąkała mu się myśl Renana, że każdy rodzi się z swą filozofią, jak rodzimy się z swym stylem. Filozofia, to oddźwięk tego, co czuje dusza w zetknięciu z rzeczywistością, wielkie systemy, to romanse dusz, których bohaterami są platońska idea, leibnitzowska monada, hartmannowska nieświadomość i im podobne. Prawdziwe w głowie twórców, nieprawdziwe bezwzględnie, te systemy zachwycają rozumowaniem, ale im są jaśniejsze, tem mniej pewne. We wszystkim tkwi tajemnica, której trudno dać rozwiązanie i nie podobna twierdzić ani przeczyć w filozofii, historii, krytyce, zbyt dalekich od empiryzmu i będących prostemi ćwiczeniami logicznymi. Jest w tem rozumowaniu Renana coś z krytyki Kanta, dużo z ewolucjonizmu Hegla, najwięcej może z pesymizmu Schopenhauera, który widzi we wszystkim ułudę, a w nas igraszki bytu i ofiary zarazem. Dumna afirmacya o przyszłości wiedzy, podziela się gdzieś bez śladu, a prawdy głoszone za nieomylnie okazały się prawdami literackimi. W ten sposób filozofia, historia, krytyka stały się gałęzią literatury podmiotowej, twórczej, romansem prawie. Celem krytyki było wglądanie w wnętrze dusz twórczych, jedynie godne pisarza, który się urodził filozofem, a to zdanie Taine'a może służyć

za epigraf nie tylko całego romansu France'a, ale zwłaszcza jego krytyki. W każdym czynie krytycznym będzie tedy osobistość sądzącego, w najbardziej przedmiotowym sądzie wrażenie czysto podmiotowe. I będzie też wdzięk, wyobraźnia, ironia, giętkość stylu, bogactwo myśli, nadewszystko zaś intuicyja, wnikająca w dusze twórcze. Będzie i dyletantyzm bez metody, akrobatyzm myśli, pewna lekkość i swawola, nieuleczalna i szkodliwa.

To właściwości jego krytyki, stanowiącej przeciwieństwo systematycznej krytyki Fagueta, który bez teoryj ogólnych dał mistrzowskie analizy dusz, i konstruktywnej, polemicznej, ewolucyjnej metody Brunetièrè'a, który najświetniej wykazał dotąd oddziaływanie jednego literackiego pokolenia na drugie i nie lekceważył wcale pierwiastków indywidualnych. I stała się rzecz dziwna. Pozytywista Brunetièrè wystąpił w obronie katolicyzmu, sceptyk France ogłosił krytykę częścią romansu. Twierdził nawet w dedykacji czterotomowego zbioru zebranych następnie fejtetonów tygodniowych, którym dał tytuł *Vie littéraire* (1888, 1890, 1891, 1892), że pyrrhonizm przywiązuje się gorąco do zwyczajów i przyzwyczajzeń i że sceptyk nie buntuje się nigdy przeciw prawom, które nigdy nie mogą być dobre — ma jedynie pobłażliwość, poszanowanie siebie i drugich, a krytyka jest „jak filozofia i historia rodzajem romansu na użytek umysłów bystrych i ciekawych, a każdy romans, co prawda, jest autobiografią“. Krytyk opowiada więc tylko wrażenia swej duszy na widok arcydzieł; nie ma krytyki przedmiotowej, jak nie ma sztuki przedmiotowej. Nie wychodzimy nigdy z siebie samych i jesteśmy zamknięci w naszych osobach jak w wiekuistej kaźni. Trzeba uznać to przykre położenie, gdy nie uważamy za konieczne milczeć, i by być szczerym, należy otwarcie zapowiedzieć, że mamy mówić o sobie na temat Szekspira, Racine'a, Pascala lub Goethego. Krytyka jest ostatnią z form literackich i pochłonie je wszystkie; pojawia się tylko w społeczeństwie cywilizowanym i mającym dawne tradycje. Wymaga wielkiej kultury i swobody intelektualnej, a zajmuje się książką, która jest małym przyrządem magicznym, przenoszącym nas w świat obrazów minionych i cieni nadprzyrodzonych. Żyjemy w tym świecie

jak morfiniści i książka nas pożera, zabija, unicestwia, gdy dawniej mało czytano a tworzone wielkie rzeczy, choć umiano trochę pieśni na pamięć i mały katechizm.

Posypały się tedy krytyki, które, mimo, że tworzone często przymusowo i z konieczności, okrywały sławą kronikarza i stanowiły niecierpliwie oczekiwane danie literackich smakoszków. Obok mądrych uwag roily się od paradoksów, w czem, jak słusznie zauważył jeden z krytyków współczesnej literatury, Renard, były przedłużeniem Renana. Były jego przedłużeniem rozkosznem, powabnem, pełnem oryginalności i świeżości. Były też wyrazem stanu umysłów, które zwątpiły w wiedzę, a straciły zdolność wiary, były wyrazem krótkiego okresu wahania, okazem sceptycyzmu i lekceważenia wszystkiego, co nie jest sztuką, oraz zwątpienia, które wnet przytłumiły nowe prądy filozoficzne i moralne w sztuce i literaturze. Posypały się piękne uwagi o Hamlecie, który nie podobał się damom paryskim, nie wiedzącym, co jest prawdziwie pięknem, wielkiem i głębokiem i lubiącym tylko to, co ładne, kokieteryjne, wymuskane. Nasz smak oczyszcza się w zetknięciu z wielką naturą i wtedy jest się przygotowany do spoufalenia się z Szekspirem. Dusza Hamleta, to dusza każdego, a król wicz łuński, to człowiek wobec zła powszechnego. Lemaitre jest, wedle krytyka, nieco okadzany, gdyż to człowiek w duchu epoki, sceptyk jak ogół publiczności i umysł, który „nie zna obawy, jest duszą pełną uśmiechów i pobłażliwości“. Nie interesuje się przeszłością, lubi Paryż i swój czas; gdy przedstawia wieki minione, szuka w nich istot podobnych sobie. Czy można lepiej określić Hamleta, albo wyrazić renanizm Lemaitre'a? Nie ma przecież wątpliwości — czego nie dodał kronikarz — że wpływ Renana wyjałowił dusze ogromnie i sprowadził przygnębienie serc, które sceptycyzm metodyczny doprowadził do krańcowego zwątpienia i pesymizmu. Ale idźmy dalej. France interesuje się po dziennikarsku wszystkim i zagląda do Akademii, gdzie przyjmują wybornego w swej prostocie mowcę politycznego Saya, analizuje ostatnią komedię Dumasa syna, szuka różnic usposobień między swoim wiekiem a poprzednim, daje sylwetkę trafną i mądrą Maupassanta. Przyznaje, że Dumas kierował długo społeczeństwem, miał umysł

pogodny i jasny, dawał obraz grzechu powiększony i barwny, potępiał handlarstwo miłością, lubił prorokować i perorować dowcipnie i barwnie. Maupassant jest bajazerem, nie tak prostym, jak średniowieczni, i nie tak wesolym, jak przedrewolucyjni; pisze po prostu, jasno i zbiera wzory wśród istot najbardziej dalekich od ideału, malując je bez nienawiści i miłości. Każe im żyć, ale ich nie sędzi; jest obojętny i ta obojętność gniewa kronikarza.

Podobne uwagi przypominają nam pisarzy, ale ich nie odtwarzają. Prawda, że Dumas zwalczał złe strony obyczajowości, ale równocześnie paradoksy jego sprowadzały z drogi tysiące, a obrazy życia brutalne i śliskie stanowiły pokarm dla początkujących w złem. Teza psuła u niego życie, a charakter w takiej *La femme de Claude* i wielu innych dramatach, to czyste cienie, wizye, symbole, ale nie ludzie. Prawda, że Maupassant posunął przedmiotowość do szczytu, ale jednocześnie zstąpił już nie na dno, ale w bezdno nędzy moralnej, w której czuł się widocznie swojo, skoro do niej nie okazywał wstrętu. Miał ścisłość obserwacyi, prostotę stylu tem niebezpieczniejsze, że uwalniały od wszelkiej moralności, przedstawiały zezwierżecenie pewnych okazów małomieszczactwa i chłopstwa; miał zamiłowanie do takich typów a nie innych, zamiłowanie chorobliwe i wskazujące na rodzaj manii zakończonej szaleństwem. Ale czy krytyka nie powinna wskazać tego, otworzyć oczy na całą grozę podobnej literatury, ostrzedz przed tworam i neurastenikami i wizyonerami? Zapomnieliśmy, że krytyk jest impressjonistą i podmiotowym, a takiemu nie wolno sędzić, ale chwalić tylko... Charakterystyka Benjamina Constant, zapomnianego już dziś prawie zupełnie, jest znów nakreślona z energią. Pokolenie obecne nie zna już tego człowieka o wyobraźni ruchliwej, umyśle rozległym, darze sądenia siebie samego w dzienniku, którego ogłoszenie pozwoliło krytykowi wydobyć zasadnicze rysy tego obrońcy indywidualizmu wobec państwa. Charakter niezdecydowany, dużo erotyzmu, temperament młodzieńczy zawsze, uczuciowy istotnie, choć bez stałości i powagi w duszy. Niemniej ciekawy jest dziennik Goncourtów. Słusznie zaznacza w tem miejscu France, że najlepiej jest się natchnąć, gdy się mówi o sobie i wyobraźnia zabawia się wte-

dy, rozgrzewa, pali. Rousseau opowiada o swych przejściach bez wdzięku, Chateaubriand wdzięczniej, Goncourtowie najdokładniej, co jest tem więcej doniosłem, że życie ich było ciągłą pracą, obserwacją, doskonaleniem stylu. Leconte de Lisle jest sceptykiem, życie uważa za złudę, ale rym ceni wysoko, pojęcie poezyi ma dogmatyczne, religijne, arystokratyczne prawie. A choć zataja niby siebie i mówi o wszystkim, co uderzało jego wyobraźnię, pokazuje tylko swą własną myśl i mając świetny dar rytmu i obrazowości jest elegikiem najbojaźliwszym i najdumniejszym. Kilka rysów i portret skończony, niezupełny i niedokładny, ale trafny w głównych liniach i pełen werwy, swobody, lekkości, łatwości niesłychanej.

Co się tyczy Goncourtów, to krytyk zapomniał wprawdzie, że wprowadzili oni patologię, zamiast psychologii, że więcej zmysłowi, niż intelligentni, mieli nader ciasne pole obserwacji, ale że stworzenie stylu impresyonistycznego jest istotnie ich cechą zasadniczą, a ciągłe wysiłki dla udoskonalenia tego stylu właściwością, to słuszne i charakterystyczne. Następują uwagi nad twórczością Balzaca z powodu prac krytycznych o nim, poezjami Sully-Prudhomme'a i Coppée'go, charakterem Floriana, naturalizmem Zoli, historią Thiersa, Renanem, George Sand, Lotim i kilku innymi mniejszej wagi i ceny. Balzac, to najgorszy z wszystkich, gdyż wymyślił świat, który my realizujemy dotąd. Jego potęga twórcza, jego przenikliwość psychologiczna, zdolność rzeźbiarska zupełnie i instynkt życia przewyższa wszystko. Sully Prudhomme nauczył kochać ludzi i cierpieć z godnością a bez deklamacyi i pozy, czuły Florian był skończonym egoistą i nieznośnym gadułą. Zola, opuszczony przez uczniów, maluje instynkty naturalne, ale nie umie ożywić człowieka ani natury. Jego chłopci mówią źle, rozwlekle, rozpustnie jak nigdy w życiu; sam Zola jest ciężki i miękki, gdy mówi od siebie. Poezja w życiu chłopca nie zajmuje go, prostota, majestat, czar życia wiejskiego jest dla niego ziemią nieznaną. Brak mu smaku, jest rozwiązły bez potrzeby, wstrętny do obrzydliwości i brutalstwa. Nikt „tak wysoko jak on nie wznosił stosu ohydy“; to jest pomnik, któremu nie podobna odmówić wielkości. Nie wierzy się oczom, gdy czyta się podobny sąd

chwalcy wszystkiego i wszystkich. Do dnia dzisiejszego nikt nie wypowiedział surowszej oceny, nie wyjmując Brunetière'a, zbyt pedantycznego i ciężkiego. Raz pierwszy był France cenzorem literatury, cenzorem tem lepszym, że będąc sprawiedliwym, nie był surowym.

Figura Renana posiada też wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Zmysł krytyczny, sceptycyzm naukowy, rodzaj religijności podmiotowej, pracowitość niepospolita, artyzm pełen odcieni, oto rysy główne. Jego opisy przyrody, dar odgadywania ludzi różnych epok, są zadziwiające. A potem znów idealizm pani George Sand, który wedle zdania krytyka przebiegającego od przedmiotu do przedmiotu, nie jest mniej prawdziwy, niż naturalizm. Oba kierunki, to tylko świadectwa indywidualne, jak natura załamuje się w duszy twórców. Pod tym względem France myli się zupełnie. Jeżeli prawdą jest, że nie znamy świata takim, jakim on jest w istocie, nie odnosi się to do społeczeństwa, z którego wychodzą pisarze. Sceptycyzm filozoficzny kronikarza zapędził go tak daleko, że kazał mu wątpić o różnicy między kierunkami i metodami, sposobami i rodzajami patrzenia na świat realistów i idealistów. Gdy pierwsi odtwarzają go bez jakiejś idei uprzedniej, drudzy dostosowują go do własnego wnętrza, do myśli i poglądów indywidualnych. Więc Lesage jest realistą, gdyż maluje swą epokę, odtwarzając ludzi przez cechy zewnętrzne bardziej prawdziwie i plastycznie. Słowo, gest, fizyognomia, sposób życia, wszystko to zajmuje go mocno; życie wewnętrzne, prawda duszy, rzeczywistość ukryta przed zmysłami obchodzi go mniej. W tym kierunku Balzac idzie tylko dalej, ale daje każdej swej figurze jakąś namiętność duchową, co nadaje jego postaciom znamiona prawdy szczerzej a nawet zdumiewającej. Ale równocześnie Stendhall pomija wszystko, co jest zewnętrżnością i obserwuje serce ludzkie, śledząc za pobudkami każdego aktu i odcieniami każdego uczucia. Flaubert idzie drogą Balzaca, ale jest mniej fantastykiem, niż tamten; zachowuje równowagę między metodą Balzaca a systemem Stendhala i jego ludzie żyją, mają cechy typów, choć nie brak im i rysów indywidualnych. Wszystko psuje jednak nieuleczalny pesymizm twórcy i styl ciężki i wymuszony.

Zola jest niby realistą jak Lesage, Balzac, Flaubert, ale niższym od nich pod wielu względami. Jego teoria romansu eksperymentalnego odjęła wartość jego obserwacji, jako psycholog był on słabszy od wszystkich poprzedników, których nie miał ani smaku ani wytworności. To fantasta krańcowy, rozwieczony, rodzaj romantyka, zeszłego z błękitnych szlaków podniebia w cuchnące bagno rzeczywistości. W tem bagnie Zola zyskał pozory realisty, ale jego siła tkwi w realizmie chyba w *Germinal* lub *Assomoir*. Za temi romansami jest to tylko fantasta, tworzący wizje, ale nie prawdę, cienie, ale nie ludzi, patologię ale nie psychologię, podczas gdy pani Sand zrazu indywidualistka skrajna i dająca tylko romanse własnego serca, umiała zejść na niziny i dać w swych romansach sielskich i arystokratycznych wiele prawdy, przetopionej jedynie w potężnym ogniu jej twórczej wyobraźni. Zola był idealistą, gdy sądził, że daje naturę; szedł w istocie tylko za popędem niesłychanej wyobraźni, zepsutej i znieprawionej życiem stołecznem, której nie było zbyt daleko od potwornych i również słabych psychologicznie kreacyj Wiktora Hugo. Była w nich obu potęga wyobraźni daleka od rzeczywistości, symbolizm pretensjonalny, patetyczność epicka często śmieszna i przykra, coś, czemu nie brak wielkości, ale co nie zadawania ani inteligencji, ani nawet zdrowego rozsądku. Ich dzieło, to pozór rzeczywistości i wspinała dekoracja, ukrywająca treść mdłą i niedostateczną.

VI.

Współczesność pod maską przeszłości. — Filozofia w romansie.

Nie raz pierwszy występowała ona w ten sposób i nie raz nawet pierwszy w romansie. Znał podobno ten sekret Rabelais, znał go Honoryusz d'Urfé, który w uwielbianej kiedyś *Astrée* miał przedstawić siebie i dwór Henryka IV. Włoska pastorałka ukrywała osoby współczesne, pastorałka będąca sama transkrypcją życia światowego, sen poetycki dziwaczny i chimeryczny, a zrodzony pod przeczystem nie-

bem italskiem i gorącemi szafirami Hiszpanii. Francuski romansopisarz czyni z arkadyjskiej sielanki romans historyczny i zbliża się już do prawdopodobieństwa, choć niekształtnie mięsza dwa rodzaje, to jest sielankę i historię. Ale tło jest już realne, i romans filozoficzny „wieku oświeconego“ nie posuwa się bardzo naprzód w tym względzie, choćby dlatego, że pierwsze miejsce zajmowali wtedy realisci, jak Lesage lub Prévost, psychologowie, jak Marivaux, sentymentalisci, jak Rousseau i jego szkoła. Jakie jego żywioły składowe? Najpierw przedstawienie satyryczne obyczajów, potem zmysłowość swawolna bardzo, wreszcie mnóstwo rozpraw na temat filozofii i moralności. Montesquieu dał początek głośny, potem Voltaire wniósł do niego swą ironię gryzącą i zabójczą, potem Diderot zmysłowość, deklamatorstwo i cynizm, wreszcie Saurin, Duclos, Marmontel, Barthélemy posługują się romansem dla celów współczesnych. A Florian wraca znów do sielanki i pod pokrywką opowiadania z dziejów Rzymu przemycą poglądy, które przygotowują czas reform politycznych i społecznych. Romantyzm odwrócił się od tego rodzaju, nieco fałszywego i sztucznego. Zwrócony cały do wielkich zagadnień bytu, do przeszłości i terażniejszości, mówił otwarcie, deklamował a nie ironizował, był skłonny bardziej do epicznego przedstawienia rzeczywistości bez osłon i aluzyj ukrytych. Skąd pochodzi ten nowy zwrot do romansu filozoficznego, który ma te same żywioły składowe, co romans Encyklopedystów? Skąd zamiłowanie do legend religijnych, cudów mistycyzmu i ascetyzmu, najbardziej dziwacznych kombinacyj zmysłowości i wzlotów w tajemnicze dziedziny pierwotnej wiary? Niewątpliwie wiek ubiegły przypomina często wiek Encyklopedystów, w którym zachwiano wszelkie dotychczasowe podstawy życia umysłowego i moralnego, i jak wtedy nie bez skutku.

Druga jego połowa zwłaszcza zesła pod znakiem wiedzy, a raczej filozofii pozytywnej, która oddziaływała oczywiście i na romans, to najlepsze zwierciadło prądów czasu. Stąd nieustanne starcie uczuć religijnych z teoryami wiedzy, interesów materialnych z moralnemi, zagadnień społecznych z politycznemi. W społeczeństwie, które odwróciło się od rojeń romantycznych i pozbywało sentymentalizmu, tonąc

w praktycznej mądrości życia, zaostrzały się tylko apetyty materyalne i sceptycyzm żądny użycia i rozkoszy. Równocześnie jednak wzmagало się w artystach poczucie sztuki, jej odcieni i odmian najmniej dostrzegalnych i udzielało elicie społecznej. Malarstwo i muzyka postępowały ciągle, o przyszłości poezji zwątpił najpierw Renan, a potem inni. Uczynił się rozłam w literaturze na dział bardziej popularny i literaturę pewnej grupy, która miała swą osobną sztukę, tendencję, ideały. Były też grupy pośrednie, jak zawsze w życiu, ani zbyt utylitarne i płaskie w pojęciu sztuki i jej celu, ani zbyt oderwane od niego i nie znoszące przemysłu literackiego. Antagonizm sztuki i przemysłu rysował się jednak silnie i znalazł wybitnych bojowników. Najważniejszym był wpływ wiedzy, który przenikał do mózgów i wedle Hartmanna miał sprowadzić panowanie płaskości w życiu i sztuce. Nie zabił jednak wbrew sądom wielu ani wyobraźni ani uczucia, by przytoczyć choćby rozrost naturalizmu i poezji symbolicznej, ani w ogóle instynktu twórczego. Sztuka tworzyła obrazy o plastyce niesłychanej, posiadała jak dawniej w wielu swych objawach pewną naiwność, ciepło, półmroki i półświatła. Miała wypukłość rzeźby, życie zadziwiające, często mglistość wprost zbytęzną, a także tęsknotę za nieskończonością, jak za romantyzmu. Tylko ta ostatnia wyrażała się mniej naiwnie, niż dawniej, i stawała dyskretną i zmienną, jak nienasycone pragnienie piękna w duszy ludzkiej. A że wiedza wyznała w Renanie swą bezsilność odgadnienia wszystkiego i zwątpiła nawet, czy odgadnie kiedykolwiek, więc do ironii zwykłej już w literaturze dołączył się pesymizm. Odrzucono nadnaturalność, żądano pewności tylko od wiedzy, choć wiedziano, że ta ostatnia kaźdą swą zdobyczą zwiększa tylko to, co nieznanne i nieskończone. Filozofowano zaciekle przecieź i szukano prawd moralnych w odcieniach, które polecał Renan, nazywając Boga kategorią ideału. O ile więcej można oddalić się od przeszczeni i czasu, tem więcej stajemy się nieśmiertelni, i oto tajemnica romansów France'a, który, choć jak mistrz tonął w przeszłości i umiał ją odgadnąć niepospolicie, czuł niekiedy, że obchodzi go i świat obecny wraz z swemi prądami i sprawami. Instynkt twórczy jego był jednak tego

rodzaju, że w romansie filozoficznym tylko odniósł istotny tryumf. Jego rozumowania dowodzą, że brak mu szczerego talentu na twórcę romansu; on ma najpierw swe myśli, a potem dorabia do nich wątek, tło, charakter. Jego sztuka, to nie kategoria instynktu, ale kategoria refleksyi, by użyć wyrażenia Renana. To nie jest czysta refleksya, gdyż wogóle refleksya nie może obejść się bez czegoś instynktowego i nieświadomego.

Wynika stąd, że France jest erudytem i filozofem z wyobraźnią twórczą. Ma dość wyobraźni, by dać swym rozmyśleniom formę romansu, za mało, by stworzyć romans istotny. To był istotnie jego rodzaj i on go najlepiej wyobraża w swoim wieku. Jest artystą świadomym swej sztuki, ma swą metodę, cierpliwość, tendencję. Wielkiego romansu nie stworzy, gdyż intelligencya u niego jest zbyt w grze, gdy tworzy, a nie instynkt — ale stworzy niepośledni. Umysł filozoficzny ma i nieustannie stawia sobie zagadnienie, odnoszące się do treści bytu, nie wpadając, całkiem w ton suchy i dydaktyczny. Ma go mniej niż Sully-Prudhomme w poezyi, a równie dużo prostoty i jasności a nawet zdolności sugestywii. Nie argumentuje ciężko, ale rozważa objawy życiowe, dając nie tylko obrazy, ale wywołując zręczność myśli, a co za tem idzie, uczucie. Jego romans nie jest prostą fantazyą artysty, jest obmyślany i przemyślany i stanowi wyraz jego filozofii. On lubi też legendy, jak Maeterlinck nieświadomość. Zachwyca się życiem mistycznym duszy, uczuciami naiwnymi, ruchami pierwotnymi pogańskiego umysłu, który rozbudziła do życia mistyka chrześcijańska. Lubi postacie ludzkie, a równocześnie nadludzkie, dziwne, prawie symboliczne. Czy Pafnucy nie był bowiem symbolem? Pomruków groźnych materjalnej natury ludzkiej, wzbierającej jak fala przeciw lotom duszy, wysłuchuje troskliwie i przemienia na wizye delikatne. My te szmery, burze, uderzenia znamy i odczuwamy, i im bardziej wznosimy się nad nie, tem bliżej jesteśmy tej uroczystej tajemnicy, która jest koło nas i w nas. Ale France nie twierdzi, że to, co nieświadome, jest prawdziwem, a to, co nieuchwytnie, ciemne, zmienne, pięknem. Zbyt jest sceptykiem, by twierdził cokolwiek i rad tylko okazać swój sceptycyzm. Chodzi mu, by pokazać swój sceptycyzm jeden i ten sam

w różnych wiekach i krajach; kryje się on pod różnemi figurami i kryje zręcznie. Nie czyni tego złośliwie, jak Voltaire, jest sceptykiem uczuciowym i dobrodusznym, ale renanizm swój okazuje stale i wszędzie. Czytając te twory, przypominają się nam dyalogi Renana, symbolizujące antytezy jego filozoficznej myśli. Charaktery są nawet, jak u mistrza, często symbolami i potrzebują specjalnej publiczności. Nad wszystkim unosi się atmosfera sceptycyzmu, ironicznego niekiedy ogromnie; jest to świat, w którym umarło to, co było wiara, ideałem, zasadą. Rezygnacyjny nastrój przenika te romanse, wydające z siebie woń odrębną od dawnych, woń kwietyzmu ironicznego i transcendentalnego.

Otwiera je zbiór nowellek, noszący tytuł *Etui de nacre* (1892). Konsul Lamia został wygnany z Rzymu za cudzołóstwo i wróciwszy z wygnania spotyka w okolicy Bajae starego Pontiusa Piłata, którego złamały intrygi dworskie i zmusiły uprawiać handel zbożowy. W Jerozolimie stał zawsze w obronie praw państwa i nie szanował zwyczajów żydowskich, chcąc porzucić upartym gwałtem kulturę rzymską. Lamia łagodniejszy jest w sądzie o Żydach i pyta, co się stało z Chrystusem, którego widział w Jerozolimie. Ale Piłat, spełniający po biurokratycznemu kawalki, nie przypomniał sobie tego epizodu swej działalności... Następna nowella przenosi nas w czasy eremity Celestyna, który mieszka w grocie i cieszy się w noc Wielkanocną, że Chrystus zmartwychwstał. W lesie spotkał Fauna i ochrzcił go, a Faun nosił odtąd kwiaty na ołtarz. Inna opowiada znów dzieje świątobliwego Bertaluda, który postanowił zniszczyć dyabłów, ukrywających się pod postacią zwierząt w lesie ardeńskim. Udało mu się to zupełnie, a nadto ochrzcił córki bogatego poganina, Oliverette i Liberette, które zostały pustelniczkami. Inna sprowadza nas do Aleksandryi, gdzie bogaty obywatel chciał oddać swą córkę Eufrozyne w małżeństwo Longinowi, ale ona uciekła na pustynię i zamieszkała dla zatarcia śladu w klasztorze męskim. Żyła świątobliwie i zostawszy ostyaryuszką przyjęła z kolei u furty swego niedoszłego męża a potem ojca, którzy kolejno przywdziali habit zakonny. Wszyscy troje umarli prawie jednocześnie. Ostatnie nowelle opowiadają losy czystych małżonków Injurosa i Scho-

lastyki, zonglera Barnaby sławiącego skokami Matkę Bożą, Katarzyny Fontaine żyjącej bardzo święcie i obecnej na mszy duchów, mistyka Wooda, który żył z żoną dawno zmarłą, złego chłopca, który wie dzie życie rozpustne i przychodzi późno do spowiedzi, lekarza, który ratował dzieci, przeczuwając w nich wielkich ludzi. Zamykają tom anegdoty rewolucyjne, nader dowcipne i wyszukane. Czyta się je jednym tchem i podziwia swobodę opowiadania, powagę tonu, naiwność z niedostrzegalną prawie domieszką ironii, snobizm nie wysilony i naturalny. Parnassizm twórcy zaakcentował się tu silniej, niż kiedykolwiek. France chciał być i jest tu prawie wyłącznie artystą. Podoba mu się ta lub owa legenda, ten lub ów szczegół z życia, ta lub owa anegdota zasłyszana w przelocie i wnet przenosi ją na papier. Są to prawdziwe „nic“ drobiazgi bez wagi niby, a mające przecież ukrytą myśl niekiedy a zwykle formę pyszną i niezrównaną. Tak bywa najczęściej. Najwięksi artyści znajdowali wątek gotowy, na którym snuli przedzę najkosztowniejszą. France jest narratorem jak twórcy średniowiecznych *fabliaux*, jak nowelliści renesansowi, jak La Fontaine i inni. Wydobywa z niczego opowiadanie najkosztowniejsze; to cud tego talentu, który z wątlej treści umie wykroić klejnociki stylu i wdzięku. Różnolita przedza spleta się u niego w całość, bardziej barwną i harmonijną, niż długie romanse. Po jej odczytaniu zostaje wrażenie czegoś bardzo wytwornego i filigranowego, jak laki, brzozy i fajanse japońskie. Niezwykła to mieszanka kaprysów wyobraźni z myślą filozofa.

La pâtisserie de la reine Pédaque (1893) jest romansem filozoficznym o charakterze bardzo podmiotowym. Faguet nazywa go cudownym i nie ma wątpliwości, że należy on do najdoskonalszych, nie tylko jako objaw indywidualizmu twórczego, ale i realizmu bardzo swobodnego i bezpretensjonalnego. Ma formę pamiętnika, prowadzonego przez młodego wychowanka księdza Coignarda i rozwija się zajmująco a zręcznie. Młody Tournebroche był synem paszternika z starej ulicy łacińskiego Paryża, który nosił obrazy na procesyi i miał żonę czytającą z książki o wielkich literach. Potomek ich obraca również pieczeń ojcowską i czyta elementarz, w czem pomaga mu stary Kapucyn. Dzięki jednak

poznaniu się z księdzem Coignardem, człowiekiem o dość znacznym wykształceniu, ale bardzo awanturniczej przeszłości, zostaje latynistą pierwszorzędnym. Jako trzeci nauczyciel następuje się mistyk Astarac, który posiada ogromną bibliotekę i pracuje nad poznaniem natury widzialnej i niewidzialnej. Coignard i Tournebroche zostają współpracownikami dziwaka. Ale młodzik zapomina o starych rękopisach na widok zalotnej Jabel, córki rabina, goszczącego w zamku Astaraca, która prędko zdradza niedoświadczonego i ucieka z bogatym awanturnikiem Anquilem. Zakochany Tournebroche ściga umykających w towarzystwie nieodstępного mistrza Coignarda, stale filozofującego nad życiem i jego objawami. Wedle niego życie ma za bieguny głód i miłość, która jest zawsze zmysłową. Idealem państwa jest teokracja wolny i nieco anarchistyczny a oparty na komunizmie. W drodze rabin dogania jadących i rani ciężko Coignarda, który umiera po bardzo budującej przemowie. Tournebroche wraca do Paryża i pracuje w przemyśle księgarskim, przekonany do śmierci, że nikt nie dorównał jego przez omyłkę losu zamordowanemu mistrzowi „tą niezrównaną elegancją myśli, słodką wzniosłością, zadziwiającem bogactwem duszy, zawsze wylanej i płynącej“. Astarac ginie w płomieniach własnego zamku. Ponure wrażenie wywiera ten romans, choć twórca ma twarz uśmiechniętą i opowiada w tonie prawie dobrodusznym, z małą domieszką ironii. Coignard, to ksiądz bez wiary i obyczajów, to sceptyk bez dogmatu i woli, to pessimista łagodny, ale zdecydowany. Pragnienie wiary śpi w tym awanturniku, promyk światła błyszczy w ciemnościach tej duszy zbrukanej i nędznej. Czuje, że źle robi, ale to go nie wstrzymuje od złego. Bo tylko istotnie Piłat mógł zapomnieć Chrystusa. Świat jest złudzeniem, miłość grą zmysłów, oto wnioski ostatnie romansu, z dodatkiem, że mistycyzm jest szaleństwem. Pocziwi i prawi są tylko ludzie prości i pospolici, jak stary Tournebroche i jego święta małżonka; ich syn w dniach Rewolucyi będzie pewnie wprowadzał w czyn myśli mistrza. Romans, który ma za tło „wiek oświecony“, podpisałby Voltaire, nie podpisałby go żaden z romantyków. Jest

on tylko ukostyumowaniem idei tego, który chce je wyjawić i wpłynąć na współczesnych.

To romans filozoficzny. Akcja nie rozwija się w nim z wątku danego i doszedłszy po szeregu komplikacyj do po-wnego natężenia, zdąża do rozwiązania. To raczej dowolnie nanizany łańcuch drobnych epizodów, autobiografia małomieszczucha o głowie dość ciasnej i płytkiej, który pod wpływem filozofa przekształca się na ducha mocnego wieku. Jego twórca ma pewien zapas idei, niewiarę zupełną w ideał na ziemi, sceptycyzm, dotyczący tak dobrze wiary jak i wiedzy, i przypomniawszy sobie, że tworzy zwykle romanse, ustawia sceny za scenami, ubiera swe maryonетки, wysuwa kolejno sytuacje, a wszystko służy mu jedynie do poparcia jego tezy. Jego figury mają jednak swój profil, akcent, gesta, postawę, choć wszędzie czuć dyrektora teatru maryonetek, który pociąga za sznurek. Ten dyrektor widzi przecież swych bohaterów, daje im pozory życia i prawdy, której brakło u Voltaire'a. Tacy ludzie, jak pobożny i prosty małomieszczuch Tournebroche, dziwak i okkultysta Astarac, rozwiązły mnich Auge, awanturnik Anquetil, sofista Coignard, mogli istnieć i rzeczywiście istotnie. Co do tego ostatniego dałoby się zrobić tylko pewne zastrzeżenie. Wiek XVIII nie rozumiał wielkości religii; on ją rozumie, jak Renan i wie, że po utracie jej nawet ludzie samem jej wspomnieniem nie upadli zupełnie. Człowiek, który stracił wiarę, jest jak pusta waza, w której został ślad znajdujących się w niej kiedyś wonności. Jak Renan, wierzy Coignard, że moralność nie zależy od wiedzy, ale jest artykułem wiary, że dobro i cnotę wybiera się wolno i swobodnie, i że bez wiary w ideał nie ma człowieka, nie ma społeczeństwa. Coignard jest upadłym moralnie, ale zachował cześć dla cnoty. I wraca do niej w chwili agonii. Romans nie jest tedy podobnym do swych poprzedników w wieku Encyklopedystów. Wydaje się podobnym do nich, ale treść ma inną. Nic bowiem nie powtarza się zupełnie w literaturze, nie ma dwóch utworów identycznych, jak dwóch liści na drzewie. On jest owocem tego nastroju umysłów, które ani wierzące, ani nieprzyjazne wierze, stanowiły grunt pod tak zwany neokatolicyzm. Wartość moralna wierzeń religijnych uznana została w pełni w sposób ciepły, a nawet

entuzjastyczny, a liberalizm, straciwszy dużo na swym uroku, ustąpił miejsca usposobieniu przyjaźniejszemu dla dogmatu i czującym, że w wierze tkwi ostoja dotychczasowego ustroju społecznego. Sceptyczny, obojętny ton sztuki znikł, zastąpiony przez nowy nastrój, nowe tendencje. Typ Coignarda stał się rzadszym i zostali tylko albo obrońcy determinizmu i społecznego przewrotu, albo zwolennicy zwrotu do dawnych wierzeń i tradycji. Oskarżają pisarza o brak życia i akcyi. Jest jej tu mniej z pewnością, niż u innych romansopisarzy, ale jest i styl narratora, naiwny i wyrafinowany jednocześnie, styl indywidualisty, który się ukrywa dlatego tylko, by być lepiej poznanym.

To poznanie ułatwiają również *Les opinions de M. Jérôme Coignard* (1893), stanowiące ciąg dalszy pamiętnika księgarza Tournebroche, który nie zaniedbał obowiązku napisania historii mistrza, zbyt utwierdzony w przekonaniu, że „przyszłość pograży nas wielkich i małych w zapomnieniu i rozleje po nas zarówno spokojne milczenie“. Życie, to przemiana i nie nas od tego nie uchroni. Najlepsi przyjaciele ludzkości, to Epikur i św. Franciszek z Assyżu, gdyż jeden potępił a drugi bronił wiary w złudzenia. Książd Coignard pamiętał o tem zawsze i sądził wbrew ogólnej opinii wieku, że człowiek i społeczeństwo są złe; poglądy Jana Jakóba Rousseau nie podobałyby mu się z pewnością i szczęściem nie dożył ich weale. Społeczeństwo polega na konieczności, a wszystkiem kieruje siła nieznana, wobec której ludzie są bezsilni. Najgorszem złem na ziemi są hipokryzya, niskość duszy, kłamstwo, ignorancya, a wszelkie reformy nie przydadzą się na nic, gdyż ludzie zawsze zostaną ci sami. Społeczeństwo, to zbiór niskich instynktów, a reprezentanci ludu, to miernoty, powstałe z miernoty. Nie znamy natury, a uczeni odkrywają „nowe pozory i są ciągle igraszką nowych złudzeń“. Książki nie dają szczęścia i odbierają spokój, prostotę, czystość myśli i uczuć, właściwe prostakom. Toczą się wojny dla błahostek i z powodów najbardziej poziomych; nie ma wolności bez bogactw, a historia, to szereg opowiadań moralnych i przemów, stosownie do tego, czy historyk jest filozofem, czy retorem. Własność pochodzi ze zdrady i podstępny i aby służyć ludziom, trzeba odrzucić багаż nie-

potrzebny, zwany rozumem, i wznieść się na skrzydłach entuzjazmu... Oto bilans mądrości wieku, którego pesymizm włożył France w usta swego bohatera. Cechuje go brak dogmatów w ogólności, anarchizm społeczny w szczególności. Coignard lubi wiedzę, jak France, choć jej nie wierzy, jak Renan w ostatniej fazie swego rozwoju. Lekceważy współczesność, a o człowieku rozumuje jak sofisci. Z takiego nastroju umysłów wyjdą Stirner i Nietzsche, zwolennicy neocyizmu. To jest ostatni wyraz doktryn antireligijnych, antimoralnych i antyspołecznych, środek na sprowadzenie upadku i rozluźnienie wszystkiego. Już Hegel wykładał, że nie ma religii, tylko religie, nie ma zasad, ale fakta, nie ma moralności ale są obyczaje. Jego uczniowie poszli dalej, a Strauss obala dogmat, Feuerbach wyrzuca ostatniemu jego bojaźliwość i określa bóstwo, jako cień człowieka, rzucony na niebo. Stirner zwała już nowe bożyszcze, to jest ludzkość, i zastępuje je kultem jednostki. Wreszcie Nietzsche zastrzega dla wybitnych jednostek prawo do egoizmu, które Stirner rewindykował dla każdego. Na ruinie wszelkiej powagi Boskiej i ludzkiej stanął egoteizm współczesny. Sofistyka heglowska zdobyła w ten sposób tryumf pierwszorzędny.

Ale France, którego Rod utożsamia z bohaterem, nie idzie tak daleko. Wątpi o wszystkim, ale ma za mało brutalności, właściwej germańskiemu temperamentowi, by głosić podobne paradoksy i igrać sofizmatami. Broni go od anarchizmu zdrowy rozsądek francuski i miara właściwa artyście. Jest bądź co bądź mieszczuchem z rasy zdrowej i zadowolonej z życia, które wydobywało już śmiech szeroki i rubaszny u Rabelais'go, a złośliwy ale nie pesymistyczny u Voltaire'a. Pochodzi od nich w prostej linii; ma ich uśmiech, pojęcia materialistyczne życia, sceptycyzm mimo tęsknot metafizycznych i parnassizmu. Jest epikurejczykiem z usposobienia, nie stawia wielkich wymogów ludziom i społeczeństwu. Nie razi go industrializm, nie ma wprawdzie złudzeń, ale mimo pesymizmu gotówby twierdzić, że świat obecny nie jest najgorszym. To naturalista o skłonnościach filozoficznych i artystycznych. Chciałby pogodzić wszystko i sądzi, jak Renan, że cnota warta tyle, co piękno. Jest w pogardzie ludzi księdza Coignarda coś z niechęci Renana do demo-

kracyi zazdrosnej i brutalnej, która zawdzięcza arystokracji całe swe wychowanie moralne, intelektualne i narodowe. Renanowski Caliban nie uzyskał wszystkiego i pożąda reszty. Jego utopijne królestwo stoi dzięki ludziom wybitnym, którzy utrzymają oligarchię teokratyczną i naukową, posiłkując się potężnymi machinami destrukcyjnymi. Wiara w wszechmoc wiedzy rozplynęła się w romansie, jak bańka mydlana i zastąpił ją taniec na linie paradoksów. Dziwnie ponury finał i system. Porównywa się romanse France'a, które są raczej ustępami jego autobiografii, do podobnych utworów wieku XVIII, ale na prawdę nie ma w nich dużo pokrewnego, prócz formy. Co najwyżej łączy je materjalizm, ograniczony na życie obecne, zmysłowy i sceptyczny, co wskazuje na pewną zależność od poprzedników, udzielających wiele z tego, co wnieśli sami do literatury, potomności. Pod wielu względami filozofowie stali przecież wyżej od potomków, gdyż nie przeczyli istnieniu Boga i przypuszczali moralność naturalną. Pessymiści odrzucają ją, są obojętni dla cnoty, jak humaniści, wywodzący się przecież od Petrarki. Ale Petrarca, choć uważał się za ucznia starożytnych, mniemał, że mądrość ich, to wstęp do mądrości Bożej; nie ma wiedzy bez cnoty, wiedza i cnota starożytna są przedsiönkiem wiary i cnoty chrześcijańskiej. Bez niej świat cały się zwali, a lepiej nie nie wiedzieć, niż być zbłąkanym przez wiedzę. France nie ma wielkości duszy włoskiego myśliciela i poety, ale nie jest ciasny i nie zamyka się w kole swych idei. Ma dużo rezygnacyi, a jego filozofia przeraża smutkiem i tkwi w nim jak choroba wieku, nieunikniona i groźna. Książd Coignard skończył zgodą z Bogiem; on tę zgodę pochwała wprawdzie bez ironii, ale nie wskazuje jej jako środka uzdrowienia. Renanizm wycisnął na jego indywidualności piętno niezatarte, ten renanizm, za który wedle zdania samego mistrza przyszłość nie będzie mu wdzięczną, przyszłość mieszczańska oczywiście i daleka od wolnomyślności renanistów, dla których rozkoszą było przeczyć temu, co dopiero twierdzili i odwrotnie.

O *Le lys rouge* (1894) mówi Lamaitre, że ona promieniuje z siebie najsurowszą zmysłowość. Jest to prawdą, ale mimo to romans nie jest naturalistycznym, gdyż wybuchy

namiętności mają pewien podkład głębszy i sentymentalny. Niższe instynkty walcą tu z wyższemi, gdy u Zoli jest rozwiązłość znieprawiona i rozpętana. Szala przechyla się na stronę zmysłów, ale całość nie jest orgią i zawiera ustępy bardzo poetyczne, odtwarza świat pełen kultury, ale któremu brak równowagi moralnej. Bohaterką jest Teresa Martin-Bellème, córka finansisty i żona ministra, wykwintna, ocytana, ale wydana za mąż bez własnej woli za człowieka, dla którego wszystkiem jest polityka, a żona środkiem do wyniesienia się materyalnego. Pierwszy jej kochanek, to Robert Le Ménil, człowiek wielkiego świata i sportsman bez głębszej treści, drugim Dechartre, rzeźbiarz i marzyciel. Cały ten świat stoi nad wszelkiemi zasadami i nie żywi żadnych złudzeń. Odwiedza się, rozsiada po kosztownych apartamentach, dyskutuje o najnowszych sztukach i obrazach, jest bardzo wyrafinowanym i eleganckim, ale w gruncie uprawia miłość zupełnie tak samo, jak się to dzieje w ciasnych uliczkach dzielnicy łacińskiej lub na wyżynach Montmartre. Ona traktuje męża chłodno i grzecznie, on patrzy na nią bez gniewu i zazdrości — rozdział między małżeństwem z interesu jest zupełny. Ale Teresa lubi nadzwyczajności, więc przyjmuje u siebie poetę Choulette, mistyka i satyra, naturę nie bez dobrych skłonności, ale upadłego moralnie i artystę jednego z większych w swoim wieku. Właściwy romans rozgrywa się w murach Florencyi, gdzie hrabina Teresa jedzie użyć wrażeń artystycznych i toczy rozprawę o sztuce z Choulette, a jednocześnie zawiązuje stosunek z rzeźbiarzem. Poszczególne epizody tego stosunku nie odznaczają się zbytnim temperamentem i siłą opisowości. Następuje powrót do Paryża, który sprowadza niechybnie zetknięcie się obu rywalów. Le Ménil cierpi bardzo, ale rezygnuje; Dechartre, który dowiaduje się o stosunku kochanki dotąd mu nieznanym, zrywa z Teresą po dość gwałtownej scenie, zwłaszcza z jej strony. I romans czysto paryski zamyka się niebawem tezą dość rozpaczliwą, że miłość spaja ciała, ale nie dusze, które pozostają dla siebie obce i nieznanne. Publiczność przyjęła go z uznaniem, może dlatego, że mimo nader naturalistycznej treści był innym od tworców tej szkoły. Był istotnie światowym, jak utwory Bourgeta a dawniej

Feuilleta i pani George Sand. Osoby rozwijały myśli autora, co zauważył już Lemaitre, jakby czytały jego utwory; nie miały życia i ruchu, ale budziły zajęcie, choć działały mało. Filozofowały za wiele, i to był błąd zasadniczy tego romansu, a zarazem punkt styeczny z Bourgetem.

Ten punkt styeczny jest godny uwagi tem więcej, że obaj pisarze znajdowali się przez chwilę na jednym terenie i czynili romans wyrazem swej filozofii. Życie wewnętrzne dusz udało się jednak lepiej pierwszemu, gdy Teresa, Dechartre, Le Ménil nakreśleni są dość grubo i pospiesznie. Osoby Bourgeta są bardziej złożone, uduchowione, moralne bądź co bądź — u France'a, a mówimy tu tylko o jednym jego romansie, są to wyrafinowane zwierzęta. Bourget zna lepiej świat wielki, a jego ostatnie romanse mają wybitną ideę moralną; romans jego rywala jest przedłużeniem owego nihilistycznego sceptycyzmu, w którym lubuje się on od dawna. Bourget jest za ścisły może, za pedantyczny, za oderwany; ironia jego rywala jest niezrównaną, ale jego ludziom brak życia, co jest wadą ogromną. Najwyraźniej, jak myślę, przedstawia się Choulette, o którym wiemy, kto on jest i którego rozpoznaje się łatwo. Ci, którzy przebywali w roku ukazania się romansu nad Sekwaną, pamiętają tę postać smętną, dziwaczną, zadumaną przed szklanką absyntu, a w której nastroj epoki znalazł swój wyraz cudowny. Naiwny jak dziecko, subtelny jak syn wielkiej kultury, niezrównanie uczuciowy i szczery w każdym jęku duszy namiętej i zbolalej, spowiadał się z taką prostotą, jaka cechuje tylko wielkich liryków, jak Villon, Du Bellay, Chénier, Musset. Jego poezya, zmienna jak niebo jesienne, rytmiczna i śpiewna jak piosnka ludowa, głęboka i wyrażająca wieczne prawdy życia, płynna i barwna jak obłoki, była odbiciem tylko tej indywidualności, która nigdy nie tworzyła sztuki za sobą, ale w sobie. Tym lirykiem jest Verlaine, a choć nie ma on z tym światem wiele wspólnego, dzieli jego życie, choć odbija od reszty jaskrawo. On jest, jak oni, bez dogmatu, ale interesuje nas jak każdy umysł niepospolity — tamci są nam obojętni, a bóle ich nie budzą echa w naszej duszy. Wiemy, że się pocieszą niebawem, gdyż mają więcej temperamentu, niż serca i duszy. Są niesympatyczni, a mąż pięknej Teresy jest

już wprost niezrozumiałym. Jeżeli świat rządzący Francją jest takim istotnie, koniec jego nie obudzi w nikim współczucia. Sto lat panowania mieszczaństwa wystarczyło, by zwyrodnąć je więcej, niż to mogły uczynić ze szlachtą rządy królewskie w ciągu trzech wieków.

Okazał swym romansem France, że współczesność mu nie obca, choć dotąd przemyślał ją pod maską przeszłości. Obraz tej współczesności wypadł pod jego piórem nieco wymęczony, ale podobny. Niekiedy jednak jego twórca zapominał wprost o fabule i dawał tylko szereg refleksyj bez osłon i efektów. Sceptycyzm dochodził w nich do krańcowości, sceptycyzm, znany już u Montaigne'a i teraz odnowiony i rozwinięty. Odsuwał się zarówno od poglądów, czerpanych z filozofii pozytywnej Zoli, jak i dogmatyzmu Bourgeta. Okazem jego jest *Le jardin d'Épicure* (1895), owoc studyów nad ulubioną kulturą grecką. Człowiek dawny wedle niego żył w innym świecie, niż dzisiejszy. Nad sobą miał niebo, dziś ginie w przepaściach bezmiar. Stracił empireum, zyskał sto słońc, które dowodzą wszędzie życia, pracy, wysiłku. I tam jest tylko wieczna zmienność, te same procesy i objawy. Symbolem stworzenia jest kobieta, o której marzenie przewyższa rzeczywistość. Dzisiejsza nauka odarła ją z uroków, ale ona nie zmieniła się w niczem od początku. Budzi uczucie, które jest złudzeniem jak wszystko, gdyż kobieta nie ma go, jak nie ma ani wyobraźni ani namiętności. A jednak wszystko czyni się dla niej, ona jest wychowawczynią mężczyzny, choć jest ciasną i nie rozumie, co nieskończoność. Jest jak teatr, który pozwala widzieć wszystko, a nie daje przedłużenia marzeń. A jednak życie zjada ją i z białego i różowego stworzenia czyni się postać czarna i bolesna. Ma przecież znaczenie w sztuce, gdyż budzi miłość i cierpienie, te dwa źródła piękna. Przemienia się życie całe, jak samo życie i my w niem. To życie jest złem, a jednak nie umiemy wyobrazić sobie lepszego nad to, które posiadamy. Z odrzuceniem wiary straciło się cel bytu i w tej stracie początek smutku i niesmaków. Gdyby się przypuszczało coś za światem, złe wydałoby się mniej nienawistnem. Wszędzie jednak wkładamy swą zmysłowość, wszędzie znać naszą skończoność, choć nie lubimy widzieć

jej i czuć, że jesteśmy zdystansowani przez czas. Żadna doktryna nie zawiera całej prawdy, a życie nie jest ani złe, ani dobre. Dzięki złemu właśnie jest godne uznania tem więcej, iż każdy myśli, że świat kończy się na nim. Najdłużej z wszystkiego trwa prostota, która nie jest ani łatwą ani częstą, dłużej, niż system filozoficzny, zbyt tyrański i uregulowany.

Filozofowie chcą bowiem wszystko zrozumieć i kończą bankructwem. Ich pomysły, to tylko pomniki umysłu, ale nie objawienie. Uczucie gra w nich tę samą rolę, co w historii i w sztuce. Przez nie objawia się dusza pierwotna, przez nie dąży się do celów dalekich i koniecznych. Każdy wiek zostawia swe ślady i nie ginie w ogólnym rozwoju, ale najlepszą z wszystkiego jest pewność i wiara. Znamy tylko pewne prawa natury, a ponieważ one wszystkie się wiążą i łączą, więc nie znamy właściwie żadnego. Złudzenia rządzą nami, a jednym z nich jest podziw dla dzieł, których nikt nie czyta; w poglądach na arcydzieła panuje bowiem zawsze naśladowanie. I nie dziwnego. Ma ono źródło w niezdolności jednostek do wyrobienia sobie sądu, w zmysłowości, która tamuje poznanie wszechświata... Tak kończy się spowiedź człowieka, w którego umyśle spotkały się wszystkie niepewności i rozczarowanie epoki. Tylko w związku z całą jej filozofią może być ta książka komentowaną i odczuta. Bez dogmatu człowiek obraca się ze światem, oto ogólne jej wrażenie. Jak Renan wychowany religijnie, nie może zapomnieć France, kto dał pierwszy kierunek jego życiu moralnemu i intelektualnemu. Ani z wiary ani z wiedzy nie wy dobył pewności i stanął bezradny. Swój pogląd na świat zapożyczył od wiedzy i przedstawia sobie życie jako ciągłą przemianę; interwencji nadnaturalnej, jak Renan, nie przypuszcza. Ale i o wiedzy mówi bez zapалу, dozwala sobie wątpić, nie sympatyzuje widocznie z ciasną i zuchwałą doktryną pozytywną. Sam empiryzm mu nie wystarcza, ma jakąś religię, w której pierwszym dogmatem jest montaignowskie zwątpienie. Jak w sztuce, tak i w wiedzy upatruje, zgodnie z Renanem, tylko objaw indywidualizmu; wyklucza więc wszelką przedmiotowość z jej orzeczeń, odmawia jej prawdy, sądzi, jak tamten, że wszystko jest względne. Ale

choć nie zna celu bytu, nie popada w zwykły swej epoce pesymizm; filozofia dla niego, to odpoczynek, gra myśli, wypowiedanie twierdzeń i przeczeń, z których jedno warte drugich. Przychodzi na myśl renanowska *Abbesse de Jouarre*, gdzie spotykamy myśl, że wobec niepewności wszystkiego należy tak samo kończyć z uśmiechem, jak arystokracya za czasów Terroru. Dojść do prawdy nie ma sposobu, pozostaje tylko kwietyzm, ironiczny i lubujący się w kontemplacji objawów życiowych. To lekarstwo na smutek. Weselszą była filozofia „wieku oświeconego“ gdyż miała swe dogmaty i widziała w przyszłości cel a w życiu dążenie. W tem pojęciu była jeszcze religijna, gdy w tej panuje nihilizm, wrogi nawet sztuce, której celem, jak każdego działania, jest twierdzić, wierzyć i tworzyć. I słusznie potępia współczesny myśliciel Séailles ten kierunek, który ustąpić musi nowemu, mającemu dogmat i umiejącemu go bronić.

Les puits de Sainte Claire (1895) są znów szeregiem bezpretensjonalnych opowiadań erudyta, którego sceptycyzm jest tym razem mniej krańcowy i niszczący. To już nie banalna historia światowa, wzorowana na Bourgeoisie, ani dumań nowocześniejszego sofisty, ale rodzaj, właściwy pisarzowi i pełen czaru. Rozpoczynają zbiór, anegdota o bibliomanie filozofującym nad dyablem, potem historia pewnego zakonnika, który odkrył, że w grobie świętego Satyra zgromadzają się dawne nimfy i doniósł o tem przełożonemu, za co te ostatnie przebiły mu serce; następują z kolei epizody z życia florenckiego, celujące stylem i uwagami filozofa. Więc Guido Cavalcanti nie cierpi kobiet i kończy życie aksjomatem, że nie źle jest żyć, ale źle wiedzieć, że się żyje; malarz Ghicello widzi we śnie Lucyfera, który pyta go, czemu maluje go tak odstraszająco, co przyprawia biedaka o śmierć z przestachu; lichwiarz wraca do życia po sądzie niebieskim, na którym czarne chleby zaważały więcej niż wielkie fundacye; uczniowie malarza Tafiego płatają sztuczki mistrzowi; malarz Buffalommaccio daje naukę ksieni, że nie trzeba sądzić artysty po ubraniu. Dalej Eletta z Werony uwielbia swe ciało i idzie z niem razem do piekła, brat Giovanni zwycięża wszystkich przez pokorę, ale głosząc w Viterbo, że prawa pochodzą tylko od Boga, zostaje uwięziony i uwolniony przez szatana,

którego pokochał za swą zgubę; Sieneńczyk Fuldo umiera spokojnie na rusztowaniu pod działaniem i wpływem św. Katarzyny Sieneńskiej; kończą całość piękna legenda o handlarzu Mutinello, który wziął Chrystusa i Matkę Jego za poręczycieli i nie został zawiedziony, oraz nowella w stylu Boccaccia o księżnej Venosa, zabitej przez męża wraz z kochankiem w sposób bardzo okrutny. Niektóre kawałki tej mozaiki są zdumiewające prostotą i kolorytem, wszystkie dowodzą w twórcy narratora pierwszorzędnego. France nie umie dać całości potężnej i wielkiej, ale zdolny jest olśnić drobiazgami, w których jego wytworność, dowcip, erudycya odnoszą świetny tryumf. Charakterystycznym jest, jak stroni on od życia banalnego, lubi nadzwyczajności, ceni przeszłość i sztukę, co nie zdarzało się naturalistom. To objaw jego dążeń idealistycznych. Jego moralność nie jest ani wysoka ani niska, ale rozczuła się rzetelnie na widok wielkiej cnoty. Nie jest mistykiem, nie jest wrogiem nadnaturalności — jest renanistą w pełni swej treści i stylu.

Jego sceptycyzm pozwala zresztą na wszystkie sprzeczności i stroni zarówno od płaskości naturalizmu, jak od wielkich spraw i ludzi. Znać w nim dawnego poetę, który nie znosi pospolitości, ale i nie umie wznieść się na skrzydłach entuzjazmu. Z tego powodu nie rozumie i nowej poezyi, choć odgaduje wnętrze dusz mistyków Tebaidy, a jako umysł bardzo złożony, lubi dusze proste, naiwne, nieświadome. To nie jest Boccaccio, naiwnie rozwiązy i pogodny — jest w nim coś ponurego, tragicznego, ciemnego. Nie ma też niewyczerpanej wesołości Dickensa, z którym lubi się go porównywać niejednokrotnie. Jest w nim pewien snobizm artystyczny wysoce, ton bardzo wytworny i sympatyczny, ale brak rozpędu, siły, potęgi. Wszystkim idealistom brak go niestety. Pod tym względem Zola przewyższa go często tem więcej, że kompozycya jest u niego zawsze bez zarzutu, gdy France świadomie i upoczywie ją lekceważy. Jest to zwyczaj mało cenny, który wedle mądrej uwagi Fagueta stara się wysuwać słabość jako zaletę. Romantycy, jak Chateaubriand, Hugo, Balzac, pani Sand, realiści, jak Flaubert, nigdy jej nie zaniedbywali. Ale Zola, gdyby znalazł się we Florencyi, znudziłby się prędko, gdy w Rzymie był obojętny na sta-

rożytności miasta. Nie miał duszy humanisty i miłośnika piękna, choć kreślił obrazy godne wielkiego artysty. France, gdy znajdzie się na ziemi włoskiej, daje unieść się wrażeniom, niezgodnym z banalnością życia, ale wzniosłym i wielkim. Każdy z zabytków wielkiej sztuki budzi w nim myśli niepospolite i skłania do marzeń o czasach, gdy one powstawały. Wtedy zapomina o zbrodniach Viscontich i Medyceuszów, a pamięta o ich zasługach. Wywołuje świetne momenty epoki, w której sztuka budziła zapał w masach i sprowadzała wojny między miastami i korporacyami — i z tych dumań wyszedł jego zbiorek. Jest on jak poprzednie dowodem jego wysokiej kultury i zdolności; mimo zalet, czuć w nim jednak pewną jednostajność tematów, brak życia, rodzaj wyczerpywania się, trudnego do ukrycia i widocznego zwłaszcza w romansach ostatnich.

Dr. Tadeusz Grabowski.

(Dokończenie nastąpi).

Z dziejów Stolicy św. za pontyfikatu Piusa VII.

(Ciąg dalszy).

III.

Martyrologium ¹⁾.

To, cośmy dotychczas powiedzieli o wyborze Piusa VII, o początku jego pontyfikatu i o wielkim kardynale, który tak wybitne zajął stanowisko pośród swoich współczesnych i w ogóle w historii, nie jest dostatecznem do zrozumienia stosunków Stolicy św. w tej przełomowej epoce dziejów nowożytnych, jeżeli się nie wglądnie w szczegóły ciężkich przejść, które dostały się samemu papieżowi w udziale i które, wedle planów Opatrzności, służyć mają niezawodnie za dowód, że Kościół droga, nietylko na samym początku chrześcijańskiej ery, gdy wyswobadzał się z pogaństwa, ale także i wśród nowożytnych stosunków, jest cierni i przeciwieństwa pełną i że drogą tą kroczyli i kroczą słudzy Kościoła, nietylko ci, którzy w jego hierarchii niższe zajmują stopnie, ale że i sami papieże byli i są zawsze gotowi, przez poświęcenie siebie samych, świecić przykładem i składać świadectwo prawdzie, wiernym całego świata przez siebie głoszonej.

¹⁾ Szczegóły w tym rozdziale czerpane z aktów dyplomatycznych Stolicy św., dotyczących jej sporów z rządem francuskim za pierwszego Cesarstwa, w r. 1833 i 1834 wydanych z komentarzami wydawcy, i z Pamiętników kardynała Pacca.

S a v o n a.

Początkiem nieprzyjaznego otwarcie stanowiska nowego cesarza względem Kuryi rzymskiej były listy jego do kardynała Fescha, datowane z 7 stycznia i 13 lutego 1806 r., któreśmy poprzednio przytoczyli. Potem nastąpiły kroki otwarcie nieprzyjacielskie przeciwko rządowi świeckiemu Stolicy św. przez zajęcie różnych części terytorjum Państwa Kościelnego, których, ażeby opowiadania tego zbyt znacznie nie rozszerzać, wyliczać nie będziemy. Wreszcie 2 lutego 1808 r. wojska francuskie weszły do Rzymu i od tej chwili Papież we własnej siedzibie był jak gdyby w więzieniu, gdyż gwardya szlachecka została uwięziona, a kardynałów neapolitańskich, niby dlatego, iż odmówili złożenia przysięgi królowi Józefowi Bonapartemu, a także i pochodzących z nowego królestwa włoskiego, wydalono z Rzymu. Kardynał Gabrielli, zastępujący wówczas sekretarza stanu, został aresztowanym, po zrewidowaniu jego urzędowego mieszkania w Kwirynale, gdzie wdarła się siła zbrojna. Nawet papiery w jego tece nie zostały uszanowane.

Odtąd kierownictwo sekretaryatu stanu powierzonom zostało kardynałowi Bartłomiejowi Pacca, który z powodu energicznego oporu przeciwko wojskom najezdniczym i przeciwko rozmaitym zakusom rządu francuskiego, miał także być aresztowanym. W dniu 6 września 1808 r. siła zbrojna wdarła się do jego komnat w Kwirynale, z którego byłby musiał ustąpić, gdyby nie energia Papieża. Ten ostatni, gdy się dowiedział o tem, co się dzieje, zjawił się sam w apartamencie kardynała i wzięwszy go za rękę, wyprowadził na schody i do własnego swojego mieszkania. Nie była wówczas jeszcze nadeszła chwila targnięcia się na osobę samego Papieża, dlatego od aresztowania kardynała, odtąd w pokojach papieskich ciągle przebywającego, na teraz odstąpiono, i tenże przemieszkiwał obok Papieża aż do czasu, w którym, ustępując sile, musiał razem z nim opuścić Wieczne Miasto, co stało się po upływie dziesięciu miesięcy.

Nie brakowało wówczas propozycyj ułatwienia ucieczki Papieżowi. Za staraniem sycylijskiego dworu krążył koło

Civita-Vecchia okręt angielski, wysłany tamże dla wywiezienia go w razie, gdyby chciał rzeczywiście zdecydować się na ucieczkę, a dla oswobodzenia go, jeden z dowódców armii papieskiej ofiarował się uderzyć na Kwirynał w pięć tysięcy ludzi; ale Pius VII nie chciał z tych propozycyji korzystać, ażeby nie dać powodu do rozlewu krwi i przez ucieczkę pod opiekę rządów, walczących przeciwko Napoleonowi, nie dać także powodu do mniemania, iż stanął po ich stronie.

Na czyn uwięzienia Papieża zdobył się rząd francuski po ogłoszeniu bulli exkomunikacyjnej przeciwko Napoleonowi z powodu zupełnego opanowania i zajęcia na własność i Wiecznego Miasta i Państwa Kościelnego. Zajęcie to nastąpiło w dniu 10 czerwca 1809 r. W tymże samym dniu ogłoszoną została bulla. Rozlepiono ją w sposób tajemniczy. W skutek tego środki policyjne przeciwko osobie samego Papieża nadzwyczajnie zaostrzono, tak, że był on zupełnym więźniem w Kwirynale, a w dniu 6 lipca bardzo rano wywieziono go przemocą i podstępnie. Jenerał Radet, któremu powierzona została ta smutna misya, ażeby spełnić ją jak najprędzej, bez zwrócenia uwagi ludności, udał, że ma rozkaz zawiezienia Papieża do jenerała Miolis, francuskiego komendanta Rzymu. Gdy jednak Papież, wraz z kardynałem Pacca, którego także wówczas uwięziono, znalazł się w karecie, obrócono konie w inną stronę, mianowicie na drogę prowadzącą do Florencyi.

Podróż odbywała się wśród najgorętszej pory dnia lipcowego. I Papież i kardynał przybrani byli w szaty znamionujące ich wysoką godność kościelną — prawdopodobnie więc dlatego, ażeby lud nie zanadto zwracał na nich uwagę, kareta była szczelnie zamkniętą, firanki w niej spuszczone, a razem z obydwojma najwyższymi dostojnikami Kościoła na przedniej ławeczce siedział jenerał Radet. Podróż, bez żadnych znaczniejszych zajść, odbywała się spokojnie. Lud, który prędko dowiedział się o dokonanej gwałcie, gromadził się po drodze dla żądania błogosławieństwa papieskiego. Po noclegu w jakiejś lichej oberży na wysokiej górze w Radicofani, przybyto do *Certosa* florenckiej, która, jak już wiadomo, była przez dłuższy czas miejscem pobytu Piusa VI.

Była to sobota wieczór; zapowiedziano Papieżowi i kardynałowi, że pobyt ich w *Certosie* potrwa dłużej i że dlatego mogą najspokojniej iść na spoczynek, którego, po tej tak bardzo nużącej podróży, nadzwyczajnie potrzebowali, zwłaszcza Papież dotknięty cierpieniem, z powodu którego ruch powozu był mu bardzo przykrym. Gdy jednak obydwaj ułożyli się do snu z przekonaniem, że nazajutrz w niedzielę będą mogli Mszę św. przynajmniej wysłuchać, po trzech godzinach spoczynku, jeden z towarzyszących wojskowych zbudził kardynała, ażeby mu oznajmić, iż w skutek wyższego rozkazu podróż nie może uleść dalszej przerwie i że on ma jechać dalej do Alessandryi, a Papież będzie osobno eskortowanym, nie powiedziano wówczas dokąd, zamierzano jednak odstawić go do Genuy.

Gdy kardynał Pacca przyszedł oznajmić Piusowi VII jakie nadeszły nowe rozkazy, odpowiedział tenże: „Widzę dobrze, iż oni temi fatygami chcą mnie zabić i przewiduję, że ja długo na tym świecie nie będę mógł żyć“...

Wczesnym rankiem 9 lipca, Papież, któremu nie pozwolono ani odprawić, ani nawet wysłuchać Mszy św., musiał w dalszą udać się podróż w karetce przysłanej po niego przez ówczesną Wielką księżnę Toskańską, Elizę Bacciochi, siostrę Napoleona. Podróż odbywała się bez przeszkód: ludność okolic, przez które przejeżdżano, dowiedziała się o losie Ojca św., zewsząd cisnęło się więc mnóstwo ludzi dla otrzymania błogosławieństwa. Ale dostojny więzień widocznie coraz więcej upadał na siłach. Widząc to jeden z generałów czuwających nad podróżą, wziął na swoją odpowiedzialność zmianę jej kierunku. Wbrew pierwotnemu planowi, zwrócono drogę na Alessandryę, gdzie pozwolono Papieżowi wytchnąć przez dwa dni, poczem skierowano dalszą jazdę przez Mont-Cenis. Do Alessandryi jeszcze wcześniej przybył był kardynał Pacca, ale widzieć się z Papieżem mu nie dozwolono.

W dalszej podróży przez okolice Turynu aż do Chambery wszędzie tłumy ludności cisnęły się do najwyższego Pasterza. Ponieważ i Pacca odbywał tę samą drogę, chwilami pozwolono mu zbliżać się do Papieża, ale zawsze tylko na bardzo krótko; ostatecznie stanowczo ich rozłączono. Pacca osadzony został w fortecy Fenestrelle, w której przez prze-

szło trzy lata przebywał. Piusa VII odwiedziono do Grenoble, gdzie pozwolono mu przez dni kilkanaście mieszkać spokojnie w prefekturze. Na spacer, chociaż mu to proponowano, wyjeżdżać, tak tutaj, jak i później w Savonie, nie chciał, mówiąc, że „więźniowie nie wyjeżdżają“. Przechadzki tylko używał w ogrodzie do domu należącym, a cisnącym się i o błogosławieństwo proszącym tłumom pobożnych udzielał je z okna wychodzącego na plac. Dalsza droga przez Nizzę do Savony była nadzwyczajnie uciążliwą. Pod wpływem cierpienia pęcherza, siły Papieża do najwyższego stopnia upadały, tak, iż przyciśnięty niemi, zawołał raz do konwojujących go: „Czy macie rozkaz dowiezienia mnie żywym albo umarłym? Jeżeli wasz rozkaz jest, ażeby mnie uśmiercić, jedźmy dalej, jeżeli nie, to chcę się zatrzymać“.

W Savonie mieszkaniem, które dano Papieżowi, był początkowo pałac biskupi, później przeniesiono go do prefektury. Od zwyczaju niewyjeżdżania nigdzie, przez cały czas długiego swojego pobytu w tej miejscowości, tylko raz jeden odstąpił, a to dla ukoronowania obrazu Matki Boskiej w jednej z pobliskich miejscowości.

We wrześniu 1809 r. przybył z Paryża jeden z ministrów ceremonii cesarskiego dworu dla urządzenia i przyozdobienia apartamentu i z poleceniem ofiarowania Ojcu św. sto tysięcy franków miesięcznej renty. Ta jednak została nieprzyjętą. „Nie nie przyjmujemy; niczego nie potrzebujemy, a jeżeli nam chleba zabraknie, wierni będą o tem wiedzieli i dadzą nam co potrzeba“ — odpowiedział Pius VII na propozycję dworaka.

Zresztą Namiestnik Chrystusowy traktowanym był na równi z więźniami: wszelkie przyjęcia osób cisnących się do niego dla złożenia mu uszanowania, jak i prałatów przybywających dla rozmówienia się w sprawach kościelnych, nie mogły odbywać się inaczej, jak tylko w obecności *mairé'a*, albo kogoś z osób należących do straży, a generał Cezar Berthier (imiennik marszałka) miał polecenie ścisłego czuwania nad wszystkim, co dotyczyło Papieża i jego otoczenia. Korespondencya nie była oszczędzana, tak, że pisma dotyczące najważniejszych spraw Kościoła, pisane zwykle własną ręką Piusa VII, dochodziły do swojego przeznaczenia tylko tajemnie.

mnemi drogami, zwykle przez kogoś zaufanego z najbliższego otoczenia. I dni dostojnego więźnia schodziły po największej części na pisanie tych różnorodnych aktów, wbrew oszczerczemu twierdzeniu jednego z wybitnych ludzi napoleońskiej epoki, którego nazwisko wolimy zamilczeć, w swoich Pamiętnikach podobno opowiadającego, że Pius VII czas swój spędzał na naprawianiu sukien i że pomimo, iż później w Fontainebleau miał pod ręką bibliotekę, nigdy nie czytał!

Prawdopodobnie nie bez złośliwej intencji generał Berthier zapraszał Papieża i jego otoczenie na wspaniałe uczyty, które wyprawiał. Nie potrzeba, zdaje się, mówić, że żadne z tych zaproszeń nigdy przyjętem nie zostało, a nawet, mimo nalegań ze strony organów władzy, interesowanych w tem, by Papieża jak najwięcej ludzi widywało, także i Mszy św. w katedrze savońskiej nie chciał nigdy odprawić. Obok tego ograniczenie wolności było tak wielkiem, że nawet wszelka komunikacya z biskupem miejscowym została wzbronioną i dlatego straż zbrojna ustawioną została przed mieszkaniem tego ostatniego.

Ten sposób obchodzenia się był dla świątobliwego Papieża niczem w porównaniu do wielkiego utrapienia, które mu sprawiało położenie Kościoła, jego położeniem wywołane. Doszło do prawie zupełnego zastoju w sprawach kościelnych, zwłaszcza o porozumienie się co do obsadzenia wakujących biskupstw i o ekspedycyę odnośnych *bull* było bardzo trudno. A co najgorsze, to że w łonie samego Kościoła zaczęły się objawiać bardzo smutne dowody upadku ducha i karności. We Francyi i w nowem Królestwie Włoskiem niektórzy z prałatów, ażeby się przypodobać cesarzowi i dla siebie samych zyskać najświetniejsze stanowisko w hierarchii, wymyślili zasady zupełnie nowe, niby oparte na czterech artykułach o wolnościach gallikańskich z r. 1682¹⁾, które, ponieważ były

¹⁾ Artykuły t. zw. gallikańskie są następujące: 1) Monarchowie w rzeczach świeckich nie podlegają żadnej duchownej władzy i nie mogą ani pośrednio, ani bezpośrednio, być od niej odsądzonymi. 2) Papież posiada wprawdzie pełnię władzy duchownej, ale dekreta Soboru Konstancyeńskiego o wyższości Soboru powszechnego są zawsze prawomocne. 3) Papież w wykonywaniu swojej władzy jest zawsze związany

przez Stolicę św. potępione, jako sprzeciwiające się stanowczo nauce o papieskim prymacie, nie mogły służyć za podstawę do instytucji biskupów. Pomimo to kardynał Maury, ten sam, który w *conclave* podał myśl szczęśliwą co do kombinacji, jaka przyprowadziła do skutku wybór Piusa VII, będąc już legalnym biskupem włoskiej dyecezyi Montefiascone, nie wahał się przyjąć równocześnie także i arcybiskupstwa paryskiego i wykonywać w niem jurysdykcyi, chociaż od Stolicy św. instytucji kanonicznej nie był otrzymał. Ale *stat pro ratione voluntas* — niema rzeczy, któraby nie dała się uzasadnić, gdy komuś na tem koniecznie zależy. Otóż rzeczony purpurat, jak i niektórzy inni prałaci, mianowani przez rząd biskupami, wywodzili prawo swoje do wykonywania jurysdykcyi przed otrzymaniem instytucji kanonicznej z prawa przysługującego kapitułom katedralnym do ustanawiania wikaryusza kapitularnego *sede vacante*, które to prawo ma być nieustającym i, uzyskawszy od kapituł wybór na wikaryuszów kapitularnych, rządzili w dyecezyach, jak gdyby byli ich legalnymi pasterzami.

Postępując nieprawnie i niesumiennie, pragnęli ci mniemani biskupi wyjść jak najprędzej z fałszywego położenia; dlatego tak oni, jak i kapituły odnośnych katedr biskupich, wysyłali do Ojca św. pisma celem uzyskania potrzebnej instytucji kanonicznej. Nadto odbierał Papież z Rzymu zapytania, dotyczące stanowiska, jakie względem najezdniczego rządu winni zajmować urzędnicy Kuryi, związani przysięgą względem Papieża, i innych tym podobnych wątpliwości. Nie mógł Papież pozostawiać bez odpowiedzi tych nadzwyczajnie ważnych, zasadniczych spraw. Ale niektóre z tych jego

kanonami i musi szanować także we Francyi przyjęte przepisy, zwyczaje i zasady. 4) W sprawach wiary ma Papież najzupełniejszą powagę (*auctoritatem*), ale jego wyrok nie jest niezmiennym (*irreformabile*), jeżeli zgoda Kościoła nie nastąpi. Papież Alexander VIII dnia 4 sierpnia 1690 r. uznał te artykuły za *nieważne, nieistniejące i bezprawne*. Innocenty XII dnia 14 września 1692 r. uzyskał od Ludwika XIV cofnięcie edyktu z 22 marca 1682 r., którym te artykuły ogłoszono, a Pius VI bullą *Auctorem fidei* potępił artykuły gallikańskie wraz z uchwałami pseudo-synodu w Pistoii.

odpowiedzi zostały przejęte. Wiadomość o tem doszła do samego cesarza i nadzwyczajnie go rozdrażniła. W skutek tego podejrzani o korespondencyę z Papieżem i o współdziałanie w przemycaaniu pisanych przez niego aktów, kardynałowie di Pietro, Gabrielli i Opizzoni, od czasu wzmiankowanej w poprzednim ustępie gwałtownej sceny przy zaślubinach z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką, przebywający w Saumur, osadzeni zostali w wieży fortu Vincennes, do którego, z tego samego powodu, dostał się także prałat de Gregorio i Ojciec Fontana, ówczesny jenerał Barnabitów, nadto w styczniu 1811 r. oderwanym został od boku Ojca św. i przewiezionym do Neapolu msgr. Doria, kilku zaś innych domowników papieskich osadzono w Fenestrelle (gdzie, jak wiadomo, przebywał kardynał Pacca). I odtąd przystęp do Papieża i wszelka jego styczność z wierzniymi została zupełnie wzbronioną, a w dniu 6 stycznia prefekt Chabrol z liczną assistencyą zbrojną odbył rewizyę w mieszkaniach tych jego domowników, którym pozwolono pozostać. Wszystkie papiery, kałamarze, pióra, książki, zostały włożone do worków, które opieczętowano i złożono do policyi. Dnia następnego, gdy dostojny więzień przechadzał się po ogrodzie, zrobiono bardzo ścisłą rewizyę także w szufladach jego biurka, w komodach, w łóżku, nawet i w kieszeniach ubrań. Również i tutaj papiery, kałamarze, pióra i inne rzeczy, z wyjątkiem jednego tylko brewiarza, zostały zabrane, poczem od prefekta otrzymał Ojciec św. następujące pismo:

„*Notification* ¹⁾ à Sa Sainteté le Pape Pie VII à Savone. Le soussigné d'après les ordres émanés de Sa Majesté Impériale et Royale Napoléon Empereur des Français, Roi d'Italie, Protecteur de la Confédération Suisse, est chargé de notifier au Pape Pie VII. que défense lui est faite de communiquer avec aucune Eglise de l'Empire, ni aucun sujet

¹⁾ Podajemy tłómaczenie tego ciekawego i bardzo szczególnego pisma, ogłoszonego tak w pamiętnikach kardynała Pacca, jak i w Dodatku do *Aktów Stolicy św.* (tom V).

„Odezwa do Jego Świątobliwości Papieża Piusa VII
w Savonie“.

„Niżej podpisany, stosownie do rozkazów wydanych przez Jego Cesarską i Królewską Mość Napoleona, Cesa-

de l'Empereur, sous peine de désobéissance de Sa part et de la leur“.

„Qu'il cesse d'être l'organe de l'Eglise celui qui prêche la rébellion, et dont l'âme est toute de fiel: que puisque rien ne peut le rendre sage, il verra que Sa Majesté est assez puissante pour faire ce qu'ont fait ses prédécesseurs, et déposer un Pape“.

„Notification à Savone le 14 Janvier 1811

Signé: Chabrol“.

I odtąd pozostawiono przy osobie Papieża tylko czterech domowników, a podpisany na liście prefekt oznajmił mu, że zamianowany został komisarzem cesarskim przy jego osobie i że jako taki ma obowiązek przezierania wszystkich pism, któreby odbierał lub posyłał, na co mu Pius VII z wielką godnością odpowiedział, iż nigdy nie uzna, ażeby komukolwiek podobne prawo przysługiwało i że tak samo, jak dotychczas, bez oglądania się na nikogo, będzie i nadal odpowiadał na wszystkie pisma, które będą do niego dochodziły.

Pomimo tak niegodziwego obchodzenia się z Głową Kościoła ze strony rządu cesarskiego, czuł ten ostatni bardzo dobrze, iż w sprawach kościelnych tej powagi pomijać stanowczo nie może i że *placet* papieskie jest w niektórych z nich niezbędne.

Wzmiankowana sprawa obsadzenia i zarządu biskupstw i inne sprawy dyecezyalnej administracyi dotyczące, były już poprzednio przedmiotem narad komitetu biskupiego, przez

rza Francuzów, Króla Włoskiego, Protektora Konfederacyi Szwajcarskiej, ma polecenie uwiadomienia Papieża Piusa VII, że zabrania mu się styczności z jakimkolwiek bądź kościołem Cesarstwa i z jakimkolwiek bądź poddanym cesarza, pod grozą nieposłuszeństwa jednej i drugiej strony“.

„Niech przestanie być organem Kościoła ten, który pobudza do niekarności i którego dusza jest pełna żółci, a ponieważ nic nie może go zrobić rozsądnym, zobaczy, iż Jego Cesarzowska Mość ma dosyć potęgi, ażeby zrobić to, co zrobili jego poprzednicy i złożyć z urzędu Papieża“.

„Odezwa ze Savony 14 stycznia 1811 r.

podpisano „Chabrol“.

rząd *ad hoc* powołanego. Jakkolwiek pralaci w skład jego wchodzący byli dla rządu nader powolni i w wysokim stopniu o łaskę cesarską dbający, rezolucya jednak komitetu dana w odpowiedzi na punkta przez rząd postawione, jako obstająca do pewnego stopnia przy prawach Papieża i Kościoła, rządu nie zupełnie zadowolniła, poskutkowała jednak o tyle, że niektóre artykuły kodeksu t. zw. *articles organiques* zostały zniesione. Chodziło jednak głównie o ową najważniejszą sprawę uregulowania zarządu dyecezyj przez nominacyę biskupów, a odnośnie do niej, nie postanowiono nic pewnego, nic takiego, co zdolnemby było sumienia katolickie bezwzględnie zaspakajać, a tem samem i położenie rządu wobec opinii katolickiej zrobić jasnym i łatwym. Dlatego zarządził cesarz ponowne zwołanie owego komitetu biskupów, w skład którego wchodzili trzej kardynałowie Fesch, Maury i Caselli, arcybiskupi z Tours i Malines, biskupi z Evreux i Nantes i ksiądz Emery przełożony kościoła św. Sulpicyusza. Komitetowi postawiono dwa następujące pytania:

1) Wobec przerwanej na teraz komunikacyi między Papieżem a poddanymi cesarza, do kogo należy się zwracać, ażeby otrzymać dyspensy udzielane przez Stolicę św.?

2) Gdy Papież stanowczo odmawia wydania *bull* dla biskupów mianowanych przez cesarza, celem obsadzenia wakujących stolic, jaki jest środek legalny dla udzielenia im instytucyi kanonicznej?

Odpowiedź daną przez komitet na te pytania, ażeby nie zabierać dużo miejsca, podajemy tylko w streszczeniu: pierwsza część odpowiedzi na pytanie pierwsze była godną ducha, który winien ożywiać dobrych biskupów, albowiem wyrażono w niej ubolewanie nad położeniem obecnem Głowy Kościoła, a zarazem i obawę, że jeżeli to położenie się nie zmieni, dni smutku i żałoby Kościoła i nadal trwać będą! Ale w drugiej części, powołując się na zasady artykułów z r. 1682, dowodził komitet, że w położeniu Kościoła wyjątkowym, t. j. takim, jak ówczesne, biskupom nie pozostaje nic innego, jak tylko z mocy własnej udzielać dyspensy w swoich dyecezyach, stawiając pod tym względem różnicę stanowczą między sprawami i dyscypliną ogólnokościelną a pojedynczych dyecezyj!

Drugie pytanie załatwiono odpowiedzią o wiele dłuższą, która tchnęła duchem dworactwa posuniętego do najwyższego stopnia i była dla Piusa VII i jego następców bardzo obraźliwą, z zasadami solidarności między Papieżem i biskupami istnieć mającej niezgodną. Mianowicie zaczynała się od zarzutu, iż Papież nie udziela instytucji kanonicznej biskupom przez cesarza mianowanym, bez podania powodu odmowy i zawierała także zarzut przeciwko konkordatowi z r. 1801, że daje on zbyt wielką przewagę Papieżowi nad monarchą, dochodząc do konkluzji, że jeżeli Papież odmawia instytucji bez podania powodów, po pewnym oznaczonym czasie prawo to przechodzi na synód prowincjonalny. Koniec tego punktu odpowiedzi brzmi: „Przez dodanie takiej klauzuli do konkordatu, nie byłoby już więcej w mocy papieży przedłużanie, wedle ich upodobania, wakansów stolic biskupich i papieże nie byłiby już więcej panami episkopatu!”

Dla załatwienia tych spraw żądał rzeczony komitet zwołania wielkiego synodu narodowego, a pierwaj jeszcze wysłania deputacyi do Papieża dla oświecenia go (*pour l'illuminer*) co do właściwego stanu rzeczy.

Uchwały komitetu, z duchem ustaw kanonicznych zupełnie niezgodne, a konkordat interpretujące w sposób naciągany i bardzo dziwny, zdaje się, iż cesarzowi były na rękę. On radę co do zwołania synodu narodowego chętnie przyjął i zgodził się także na wysłanie deputacyi do Papieża. Termin zwołania synodu wyznaczonym został na 9 czerwca, a członkami deputacyi, mającej *oświecać* Papieża, zamianował Aloizego Maryę de Barral, arcybiskupa z Tours, Karola Mannay, biskupa Trewiru, Jana du Voisin, biskupa Nantes i włoskiego biskupa Faenzy, Stefana Bonsignori.

Zależało rządowi na tem, ażeby deputacya była z powrotem w Paryżu przed otwarciem rzeczzonego synodu, dlatego termin do jej wyjazdu wyznaczonym został na 1 maja. Na jakiś czas przedtem, w ciągu kwietnia, odbyło się posłuchanie pożegnalne deputacyi u cesarza. Ciekawem ono było z powodu epizodu, który się na niem przydarzył, a który zasługuje na to, ażeby go przypomnieć. Przyjęcie, jak zwykle bywało w takich okazyach u Napoleona, było świetne, odbyło się w obecności zgromadzonych najwyższych dygni-

tarzy państwa i dworu. Cesarz do odjeżdżających prałatów wypowiedział mowę bardzo ostrą, dla Papieża w najwyższym stopniu obraźliwą. Żaden z wysokich dostojników kościelnych nie odważył się na nią odpowiedzieć, przeciwnie, wszyscy słuchali w głębokim milczeniu. To ostatnie przerwał nie należący do deputacyi, ale tamże obecny, prawdopodobnie dlatego, iż był przydzielonym do już wzmiankowanego komitetu „biskupów“ X. Emery, przełożony Św. Sulpicyusza, który, jakkolwiek także wyznawca zasad gallikańskich, nie wahał się wypowiedzieć mowy bardzo silnej w obronie Papieża, opartej na gruntownych i jasno przedstawionych zasadach teologicznych. Prałaci słuchali go z oznakami niezadowolonia, a gdy skończył, zaczęli tłumaczyć go przed cesarzem i niejako wstawiać się za nim. Ale Napoleon, który z największą uwagą słuchał mowcy, odpowiedział im: *Vous Vous trompez, je ne suis pas fâché contre l'Abbé Eméry, il a parlé comme un homme qui possède bien sa thèse, et c'est ainsi que j'aime qu'on me parle.* („Mylicie się panowie, nie gniewam się na X. Emery, on mówił jak człowiek, który jest panem przedmiotu, lubię, jak kto do mnie w ten sposób mówi“). Potem wstał i wyszedł, kłaniając się tylko jednemu X. Emery. Z tego powodu tego ostatniego spotkały liczne powinszowania od prałatów, w ciągu jego mowy okazujących niezadowolenie. Praktycznego skutku nie odniosły słowa tego wówczas ośmdziesięcioletniego starca, który w tym samym miesiącu, prawdopodobnie ze wzruszenia, które mu sprawiło to wystąpienie, umarł, ale postępek jego nabral wielkiego rozgłosu i zjednał mu ogólne poważanie.

Członkowie deputacyi wyjeżdżający do Savony, więcej podobni do czysto świeckich dworaków wysłanych w misyi urzędowej i politycznej, aniżeli do biskupów udających się do najwyższego Pasterza Kościoła, otrzymali bardzo szczegółowe instrukcje od ministra oświaty hr. Bigot de Préameneu, który polecił im, ażeby zasięgali u prefekta wiadomości co do usposobienia i skłonności Papieża i pozwolił im zwierzać się temu prefektowi ze wszystkiego, co dotyczyło ich rozmów z Głową Kościoła! Otrzymali także, polecenie szczegółowego uwiadomiania rządu o przebiegu negocyacyj i nie podpisywania żadnego układu z Papieżem bez poprze-

dniego uzyskania sankcyi cesarskiej na artykuły, co do których miałyby w danym razie toczyć się układy!

Właściwe instrukcyje, oznaczające materję ewentualnych układów, odnosiły się:

- 1) do konkordatu i nominacyi biskupów,
- 2) do położenia samego papieża.

Co do pierwszego punktu, cesarz zgadzał się na to, ażeby konkordat z r. 1801 nadal obowiązywał, pod warunkiem:

a) że Papież będzie dawał instytutycję mianowanym przez cesarza biskupom;

b) że w przyszłości nominacye biskupów będą komunikowane Papieżowi w zwykły sposób, a jeżeliby Papież w przeciągu trzech miesięcy nie dał instytutycyi, nominacya będzie zakomunikowaną metropolicie, który udzielać będzie instytutycyi suffraganom, względnie zakomunikowaną będzie jednemu ze suffraganów, jeżeliby chodziło o arcybiskupa.

Odnośnie do drugiego punktu, podstawą układów miało być:

a) powrót papieża do Rzymu, jeżeliby się zgodził na złożenie przysięgi konkordatem przepisanej.

Tutaj zauważyć wypada, że przysięga, której rota objęta jest konkordatem, zawiera przyrzeczenie wierności dla rządu przez konstytucję ustanowionego, jak niemniej unikanie komunikacyi i stosunków, tak wewnętrznych, jak i zewnętrznych, któreby spokojowi publicznemu zagrażały, a nawet ostrzeżenie rządu o wszystkim, co by bezpieczeństwu państwa zagrażało. Nie trudno zrozumieć, że przysięgę taką składać mogą biskupi, których zakres działania po za granice państwa nie sięga, ale czyż możliwem było, ażeby zobowiązywał się do niej Papież, najwyższy Pasterz Kościoła niemającego granic i który ze wszystkimi rządami, ze wszystkimi ludami musi starać się utrzymywać równie dobre stosunki, nie będąc ściśle związanym z żadnym z nich, a tem mniej nie zależąc od żadnego!

b) w razie, gdyby Papież nie zgodził się na złożenie tej przysięgi, miałyby możność rezydowania w Awinionie i zarządzania sprawami duchownemi; dozwolonemby mu także było mieć przy sobie posłów państw chrześcijańskich;

e) będą mu oddawane honory monarchiczne i zapewniony mu będzie roczny dochód dwóch milionów, ale pod warunkiem, iż w obrębie cesarstwa nie zrobi nic przeciwnego czterem artykułom z r. 1682.

Jeżeliby Papież się zgodził na powyższe warunki, cesarz obiecywał pełno różnorodnych koncesyj w bieżących sprawach kościelnych i wszelkie ułatwienia dotyczące administracji duchownej.

Mieli nadto delegowani biskupi uprzedzić Papieża, że władzy świeckiej nie odzyska, a także uwiadomić o zebrać się mającym synodzie.

Obok listu, podpisanego przez dwunastu kardynałów, arcybiskupów i biskupów, zawierającego polecenie deputacyi, udającej się do Savony, miała ona Papieżowi wręczyć także i list od kardynała Fescha. Nie przytaczamy go, bo jest bardzo długi. Przebija w jego słowach dużo dobrej wiary, ale dziwne rzuca światło na pojęcia ludzi tej epoki. Zdaniem Fescha powinien był Papież przystać na wszelkie żądania imperatora. Domagał się tego w słowach, które byłyby odpowiedniami w admonicyi opiekuna danej pupillowi, które jednak wyglądają dziwnie w piśmie dostojnika duchownego do Głowy Kościoła!

O Piusie VII powiada kardynał Pacca, że sąd jego był zwykle trafny i że odrazu wiedział jak najdokładniej, jaką winna być jego decyzja w sprawach, o których miał rozstrzygać, ale był to zarazem człowiek prawdziwie *cichy i pokornego serca*, nadzwyczajnie mało myślący o sobie i który z powodu bardzo wielkiej pokory zbyt nisko cenił swoje własne zdanie i dlatego ze zdaniem innych w wysokim stopniu się liczył. W chwilach takich, jak ówczesna, gdy był zupełnie sam, pozbawiony swoich doradców, a przytem fizycznie i moralnie zmęczony ciężkimi przejściami i losem więźnia, który od dwóch lat znosił, to usposobienie, pełne nieufności do siebie samego, było bardzo niebezpieczne, tem więcej, że prałaci należący do owego poselstwa byli to ludzie nie pozbawieni talentu i bardzo zręczni.

Pierwsze przyjęcie deputacyi odbyło się w dniu 10 maja. Wprowadził ją i przedstawił prefekt, który potem się usunął.

Papież, pomijając sprawę władzy świeckiej, w rozmowie główny kładł nacisk na konieczność odzyskania wolności i doradców, których koniecznie potrzebuje mieć przy sobie. Zresztą okazywał dużo umiarkowania, tak, że nawet owe artykuły gallikańskie, na które ciągle się powoływano, gotów był pomijać milezieniem i chociaż wspominał, że Alexander VIII uznał ich nicosć i nieważność, nie robił trudności co do uznania pierwszego z tych artykułów, t. j. tego, który orzeka zupełną niezależność władców świeckich, jako takich, od władzy duchownej. Co do zebrać się mającego synodu zauważył, że sprawami ogólnie kościelnymi żadne *concilium* bez Papieża zajmować się i orzekać o nich nie może, a co do sposobu udzielania instytucji kanonicznej biskupom, której koniecznie żądano, osądził, że jest ona czemś dotychczas niepraktykowanym.

Deputacyi zależało koniecznie na tem, ażeby powrócić z czemś konkretnem, dlatego zredagowano i przedłożono Papieżowi notę jasno określającą to, na co winien się koniecznie zgodzić. Zawierała ona mniej więcej to samo, co się znajduje w instrukcyi powyżej przytoczonej. Potrzebę zaś zgodzenia się Papieża uzasadniano sofizmatami, które kręcą się w kółko, jedno i to samo ciągle powtarzając, mianowicie, że Papież nie może się sprzeciwiać, albowiem cesarz sobie tak życzy. Naleganie popierane jest niby tem, iż w sprawie tak *jasnej*, której załatwienie dla dobra Kościoła jest tak *koniecznem*, Papież żadnej rady nie potrzebuje. Argumentem przeważającym miało być, iż rzecz jest *pilna*, bo w skutek rozkazu cesarskiego mieli biskupi powrócić do Paryża przed końcem maja, i że synod narodowy, mający się zebrać 9 czerwca, zwołanym był tylko dlatego, ażeby owe zmiany do skutku doprowadzić!

Z depezb mniej więcej codziennie wysyłanych przez członków deputacyi do ministra wyznań, widać, że z Piussem VII rzecz nie szła łatwo. Pomimo ciężkich przejść, które u niego tak bardzo oddziaływały, zachował on był dużo spokoju i równowagi i wielką stałość zdania, tak, że oprócz małych koncessyj, zresztą ustąpić w niczem nie chciał. Dopiero po długich i bardzo zręcznych usiłowaniach prałatów, przez przedstawianie położenia jako nader groźnego i przez

straszenie, że stanowcza odmowa pociągnąć może za sobą skutki o wiele gorsze, zgodził się ostatecznie na cztery punkta, które w ostatnich dniach pobytu deputacyi w Savonie spisane zostały.

Punktów tych treść była następująca:

W dwóch pierwszych Papież zobowiązywał się do udzielenia instytucyi kanonicznej zamianowanym przez cesarza biskupom w sposobie przyjętym przez konkordaty dla Francyi i dla Włoch zawarte i do rozciągnięcia postanowień konkordatowych do Toskany, Parmy i Piacenzy.

W punkcie trzecim nastąpiła zgoda co do najdrażliwszej wzmiankowanej sprawy instytucyi kanonicznej biskupów w przeciągu sześciu miesięcy po nominacyi cesarskiej, a gdyby ta nie została udzieloną z innego powodu, jak dla niegodności osobistej, władzę wydania odnośnej *bulli* w imieniu Papieża uzyskiwał metropolita wakującej dyccezyi, a w razie braku tegoż, najdawniejszy z biskupów prowincyi kościelnej.

W czwartym punkcie wyrażono, że powodem udzielenia tych koncesyj ze strony Papieża jest nadzieja, iż one przyciągną powrót do unormowania pokoju między Kościołem i państwem i że przywrócą także Stolicy św. wolność, niezależność i powagę, która jej przystoi.

Ten akt nie podpisany, tylko *tacite* przyjęty przez Papieża, nazywa kardynał Pacca *primo passo retrogrado* (pierwszym krokiem wstecznym) Piusa VII, po którym nastąpiły inne bardzo niebezpieczne aż do owego *niby*-konkordatu we Fontainebleau, o którym nawiasowo już wspomnieliśmy w uwagach dotyczących Consalviego.

Gdy, po oddaleniu się członków deputacyi, zaczął Papież zastanawiać się nad tem, co zrobił, rozumieć począł coraz lepiej niebezpieczeństwa wyniknąć mogące dla Kościoła ze zobowiązań przyjętych, oraz do jakich nadużyć dać mogły sposobność koncesyie udzielone. Następnej nocy oka nie zamknął, wzdychając i oskarżając siebie bez przestanku. Wczesnym rankiem zapytał, czy już wyjechali francuscy biskupi, a gdy mu powiedziano, że ich już nie ma, popadł jakoby w rodzaj obłądu!

Ażeby ocenić doniosłość odstąpienia Papięza od dotychczasowej stałości, wypada koniecznie przyjrzeć się temu, co się działo w Paryżu po powrocie deputacyi

Z powodu, iż w dniu 9 czerwca odbył się chrzest *króla szymskiego*, a następnie uroczyste *Te Deum* w katedrze *Notre Dame*, oficjalne zagajenie synodu narodowego odłożone zostało do 17 czerwca. Ale oczekiwania rządu co do tego zgromadzenia kościelnego, którego sposób zwołania, a stąd i legalność ze zasadami kanonicznymi nie bardzo się zgadzały, z powodu ducha, który zaraz na pierwszym zebraniu się objawił i z powodu stanowiska przez członków synodu w najważniejszych sprawach kościelnych zajętego, zostały zupełnie zawiedzione.

Rząd chciał, ażeby uchwały synodu były nie czem innym, jak tylko ujęciem w formę legalną tego, co sam był postanowił, dlatego obchodzić się z nim chciał, jak z organem urzędowym: ministrowie wyznań francuski i włoski zajęli miejsca w zgromadzeniu, a orędzie cesarskie przesłane synodowi jest żywym wyrazem najwyższego despotyzmu. Stylu, w którym zostało zredagowane, najlepszą próbką jest zdanie: „*I tak wszystko, co tylko Papięż mógł zrobić, ażeby pobudzić do zamieszania i nieposłuszeństwa, zrobionem zostało*“.

Pamiętać trzeba, że pośród członków synodu znajdował się nie jeden z biskupów, który przed uzyskaniem nominacyi na podstawie konkordatu z r. 1801, złożył był przysięgę na konstytucyę, należał więc do ówczesnej kategorii księży t. zw. *assermentés*; u innych, chociaż wprawdzie w ich przeszłości nie było krzyczących zasadom Kościoła sprzeniewierzeń, przeważała jednak chęć przypodobania się rządowi. Ale odwaga w wypowiedzeniu zdania i w bronieniu swojego przekonania, jeżeli wszędzie ma znaczenie i pociąga za sobą, to w zgromadzeniu, jakim był ów synod, złożony z ludzi, wśród których, jeżeli niejeden był słabym i chwiejnym, większość jednak nie była stanowczo złą i liczyła sumienia, które dały się łatwo poruszyć, nie pozostaje bez zbawionego wpływu, u mniej zasadniczych wywołuje pewien wstyd i przeciąga ich odrazu do swojego obozu.

Otóż, gdy po kazaniu, podczas nabożeństwa inauguracyjnego, wypowiedzianem przez Stefana de Boulogne, biskupa z Troyes, który w słowach jasnych i gorących zaznaczył, czem są zasady katolickie i czem stosunek Kościoła do Papieża, biskupi z kardynałem Feschem, jako przewodniczącym na czele, składali przysięgę na wierność Kościołowi, rotą tejże była forma z r. 1564 przez Piusa IV ustanowiona, zawierająca przyrzeczenie wierności Kościołowi *Rzymskiemu, quae est omnium Ecclesiarum mater et magistra* i posłuszeństwa Papieżowi. Nadto Dessolles, biskup z Chambéry, brat marszałka Francyi, odezwał się głośno za wolnością Papieża i zaproponował, ażeby cały synod udał się gremialnie do Saint Cloud dla przedstawienia cesarzowi tego żądania. Gdy zaś już wzmiankowany biskup z Troyes, widząc wśród zgromadzonych takich, którzy biskupami byli tylko w skutek nominacyi cesarskiej, ale instytucyi od Głowy Kościoła jeszcze nie otrzymali, żądał, ażeby oni w obradach synodu udziału nie brali, całe zgromadzenie słowom jego przyklasnęło!

Wrażenie owej pierwszej sesyi było olbrzymie. Rząd jej wynikiem był zakłopotany i zwyczajem swoim poradził sobie przeciwko dalszym tego rodzaju niespodziankom. Postarał się więc, ażeby drugiego zebrania ogólnego już nie było, a na t. zw. kongregacyach, na których zasiadali tylko niektórzy członkowie synodu, gdy trzech biskupów, t. j. wzmiankowany de Boulogne z Troyes, d'Hirn z Tournay i Broglie z Gandawy wypracowali sprawozdanie o kompetencyi synodu widokom rządu nie odpowiadające, zostali w nocy wywiezieni do fortu Vincennes, gdzie, jak wiadomo, inni dygnitarze kościelni już się znajdowali i gdzie im odmówiono wszelkich książek, piór i atramentu! Gdy synod się nie zbierał, inni gorliwsi biskupi powrócili do swoich siedzib.

Pamiętać jednak trzeba, że rząd miał w ręku owe artykuły przyjęte przez Papieża w Savonie i chciał z nich użytek zrobić. Odrazu jednak i bardzo łatwo mu się to nie udało.

Gdy na jednej z owych kongregacyj artykuły rzezone przedłożone zostały przez jednego z prałatów delegowanych do Savony, nie zrobiły one wrażenia aktu wiarogodnego, gdyż brakowało im podpisu i biskupi nie chcieli, na jego podsta-

wie, powziąć uchwały tak doniosłej. Dopiero po usunięciu się biskupów duchem kościelnym najbardziej przejętych, rząd zaczął na swój sposób działać na pozostałych. I tak biskupi po jednym byli wzywani do ministra wyznań, który w sposób bardzo grzecznie i używając rozmaitych argumentów, umiał ich nakłaniać do zgodzenia się na przyjęcie tych artykułów. Głównie straszył ich tem, że cesarz jest zdecydowany nie troszczyć się ani o Papieża, ani o biskupów i że chce, ażeby ciało prawodawcze rozstrzygnęło o tem, czego nie mógł uzyskać od synodu. Prawdą jest, że taki zamiar istniał, a od wykonania go odstąpił był cesarz pod wpływem memoriału kardynałów Spina i Caselli, przedłożonego mu przez kardynała Fescha i który dobre na nim zrobił wrażenie. Ale obawa, ażeby do tej ostateczności nie doszło, działała na większość, którą ostatecznie pozyskano.

Pomimo zasady kanonicznej, iż uchwały synodów zapadać mają na pełnych sesjach, zarządzono na 5 sierpnia nie sesję synodu, ale *kongregację generalną*. Ta, gdy się zebrała, zapadło na niej przyjęcie artykułów, przedewszystkiem zaś tego, który dotyczył nominacji biskupów w sposób wzmiankowany i wysłanie ponownej deputacji do Papieża dla uzyskania oficjalnego potwierdzenia tej uchwały. Charakterystycznym jest zdanie w niej się znajdujące: „*Cesarz będzie uproszony, ażeby zechciał pozwolić na wysłanie deputacji*“. Wybór członków tej ostatniej dokonany został przez cesarza, który przeznaczył do niej dziewięciu członków, t. j. arcybiskupów z Tours, Pawii i Malines, biskupów: Fa-enzy, Piacenzy, Feltre, Evreux, Trewiru i Nantes. Liczba ich, w skutek niespodziewanej śmierci biskupa z Feltre, zeszła do ośmiu. Ażeby zaś Papież nie mógł się zastaniać, iż decyzji nie może powziąć z powodu braku doradców, postanowionem zostało, że także i pięciu kardynałów uda się do Savony w tymże samym czasie. Za pozwoleniem cesarza wyznaczonych zostało pięciu z liczby tak zwanych *rossi*, t. j. tych, którzy, jako rządowi przyjemni, nie zostali zdegradowani, ani wywiezieni z Paryża. Byli nimi: Józef Doria, Antoni Dugnani, Aureliusz Rovarella, Fabrycyusz Ruffo i de Bayane.

Papież, który, jak już wiemy, był bardzo zmartwiony owem przyjęciem artykułów przedłożonych mu przez pierwszą deputacyę, wiedząc bardzo dobrze, czego się ma spodziewać od drugiej, gdy ta ostatnia przybyła do Savony ostatniego sierpnia, nie chciał jej przyjąć. Potrzeba było usilnych starań, ażeby wymódzi audyencyę, która ostatecznie udzieloną została w dniu 5 września.

Oficyalnego sprawozdania o przebiegu tej audyencyi nie ma, ale zdaje się, że działać się starano na Piusa VII głównie obawą schizmy w Kościele i względami na dobro dusz w tyłu nieobsadzonych dyecezyach.

Wedle jednego z autorów¹⁾ historyi Piusa VII, taką miała być rozmowa Papieża z biskupami. Gdy jeden z nich przedstawił w sposób patetyczny zły stan Kościoła, któremu synod miał zaradzić, Ojciec św. odpowiedział: „Któż to zwołał ten synod? Któż te artykuły²⁾ poddał dyskusyi? Czyżemy nie dali do poznania pierwszej deputacyi, że nie przystoi do tego się zabierać?“... A gdy biskupi, powtarzając argumenta dawniej użyte, znowu nalegali, Papież z łagodnością odpowiedział: „Czyż nie bierzecie na uwagę surowości względem mnie użytej, mojego położenia obecnego jako więźnia i bezustannej odmowy zwrócenia mi całej mojej rady przybocznej i moich ministrów? I czyż jest słusznem, ażeby Kościół zawsze ustępował i nic nie uzyskał? Czyż więc ja mam sobie dać wydrzeć z rąk lejee hierarchii duchownej, powierzone mi przez samego Pana Boga?“ Na to deputaci zauważyli, że żądanie synodu o wydanie *breve* odnośnie do omawianej sprawy instytutycyi biskupów, jest dowodem uznania władzy Jego Świątobliwości. Wtenczas Pius VII powstawszy, pomodlił się przez kilka minut i jedynie dla uniknięcia schizmy, którą tak grozono, zgodził się na prowizoryczne przyjęcie artykułów i zajął się wydaniem odnośnego *breve*. Ale do przysyłanych biskupów odezwał się z apostolską po-

1) Erasmo Pistolesi: *Vita di Pio VII*. Tom III, pag. 108. Ustęp ten jest przytoczony w Dodatku do *Aktów Stolicy św.* Tom VI.

2) Rozchodzi się oczywiście o te, na które Papież się zgodził.

wagę, robiąc im następujące zarzuty i uwagi: „Co ponad wszystko inne zadziwia, jest Wasza stronniczość względem rządu świeckiego i nie podoba mi się, że żaden z Was nie umie znosić z odwagą ciężaru powierzonego sobie urzędu. I jakże nie wzdygacie się rzucić na łaskę rąk niepowołanych kierownictwa kościelnych spraw?“ Jeden z biskupów, dotknięty napomnieniem, zaczął mówić: „Mój Ojczy Świąty“... Ale Papież nakazał mu milczenie i potem głosem wzruszonym powiedział: „O Boże, mój Obrońco, wejrzyj na mnie i osądź jasność mojego postępowania!“ Potem, zbliżywszy się do tego, który chciał mówić, podał mu rękę do pocałowania, następnie i innym członkom deputacyi i przechodząc do swojego pokoju, odwrócił się jeszcze i rzekł uprzejmie: *Addio miei cari* („Bądźcie zdrowi moi drodzy!“).

Następny obrót spraw kościelnych jest jasnym dowodem, jak dalece tylko wierność zasadom i nieuleganie tym, którym chwilowe szczęście sprzyja, jest warunkiem rzeczywistego powodzenia i rzeczywistego poważania, nawet u największych przeciwników.

Breve papieskie z 20 września 1811 r. wydane w Savonie, jakkolwiek nie zawierało nic innego, jak tylko zatwierdzenie znanej nam uchwały kongregacyi generalnej synodu, odbytej w dniu 5 sierpnia, mianowicie: 1) że biskupstwa nie mają wakować dłużej, jak rok jeden; 2) że synod będzie prosił cesarza o spieszne obsadzenie wakujących stolic i że biskupi zamianowani będą żądali od Papieża instytucyi kanonicznej; 3) że Papież w przeciągu sześciu miesięcy, po odebraniu wiadomości o nominacyi, udzieli kanonicznej instytucyi zgodnie z postanowieniami konkordatu; 4) że po upływie sześciu miesięcy, jeżeli Papież, bez żadnego kanonicznego powodu, nie udzielił wzmiankowanej instytucyi kanonicznej, udzieli ją metropolita, ewentualnie najdawniejszy z biskupów odnośnej prowincyi kościelnej — i jakkolwiek zredegowane było w formie jak najłagodniejszej i w słowach dla cesarza jak najpochlebniejszych, nie zostało przez rząd przyjęte.

Po wyjeździe deputacyi z Savony, czterej biskupi do niej należący otrzymali w Turynie nakaz powrócenia i za-

dania od Papieża nowych ustępstw, których Pius VII stanowczo odmówił. Ale zdaje się, że treść *breve* była tylko pozorem, nie rzeczywistym powodem nieprzyjęcia go. Powód rzeczywisty spoczywał w tem, iż deputacya, ażeby otrzymać to, czego żądała, obiecywała, w imieniu cesarza, zupełną wolność Papieża, albo przynajmniej znaczne złagodzenie jego więzienia, możność komunikacyi z wiernymi całego świata, dozwoleń przebywania u jego boku kardynałom i innym dostojnikom, potrzebnym mu do wykonywania zadań z jego stanowiska wynikających. Otóż ta niezależność Papieża nie była ideałem Napoleona: on, po Papieżu pozbawionym wolności spodziewał się, że łatwiej go skłoni do ustępstw w razie dalszych układów, dlatego ówczesnego jego położenia w niczem zmienić nie chciał.

Po oficjalnem zawiadomieniu Papieża o nieprzyjęciu *breve*, wszelkie układy o sprawy kościelne zawieszono, a owi biskupi należący do deputacyi, którzy z powodu uległości rządowi usłyszeli ostre wymówki od Ojca św., popadli w niełaskę u cesarza, może dlatego, że przypuszczał, iż synod, gdyby dalej trwał, nie byłby równie jak dotąd jemu powolnym!

W czasie, gdy Napoleon zaawanturował się w niebezpieczną wyprawę moskiewską, synod został zamkniętym w sposób zwyczajom cesarskiego rządu odpowiedni. Pismem z dnia 2 października 1811 r. powołano biskupów do ministra wyznań, który im oznajmił, że „ponieważ układy z Papieżem mają się ku *pomyślnemu (sic)* końcowi i ponieważ zbliża się zima, cesarz sądzi, iż jest wskazaniem, ażeby wszyscy powrócili do swoich dyecezyj“.

Akta owego synodu wówczas tylko częściowo publikowano, większa ich część pozostała na długo tajną. Zgromadzenie to, które miało być środkiem potężnym przeciwko niezależności Papieża i wolności Kościoła, chociaż dużo hałasu wywołało, w rzeczywistości skutku żadnego nie odniosło. Ale razem z jego końcem nie ustały dni męczeńskie Piusa VII — one weszły tylko w nową fazę, a prześladowanie biskupów i kapłanów stało się jeszcze większem.

W tym czasie ustania wszelkich układów, jeden tylko kardynał de Bayane, o którym wiemy, że już dawniej w Rzymie w sprawach francuskich wybitną rolę odgrywał, prowadził jeszcze korespondencję z ministrem wyznań odnośnie do wiszących spraw kościelnych i do wolności Papieża. Ale bezskutecznie. Coraz nowe rozporządzenia robiły położenie Papieża i Kościoła coraz cięższem, coraz trudniejszem.

W lutym 1812 r. kardynałowie, przybyli do Savony w sierpniu roku ubiegłego, otrzymali rozkaz powrotu do Paryża, a 4 maja tego samego roku wydanym został dekret bardzo surowy przeciwko mieszkańcom Państwa Kościelnego, którzy nie złożyli przysięgi na konstytucję cesarstwa. Każdy odmawiający ją miał być uwięzionym, a własność jego, tak ruchoma, jak i nieruchoma, ulegała sekwestracji. W razie dalszego upierania się w odmawianiu przysięgi, następowała utrata praw politycznych i cywilnych, deportacya i konfiskata całego majątku! Dekret ten wymierzonym był przeciwko znacznemu zastępowi duchownych. W skutek niego biskupi i kapłani z Państwa Kościelnego zostali w wielkiej liczbie wydalen i osadzeni w rozmaitych twierdzach, niektórych wywieziono do Korsyki, gdzie osadzono ich w więzieniach i obchodzono się z nimi jak najgorzej: pozbawieni wszystkiego, co im było potrzebne, umierali z nędzy! A w Rzymie i w Państwie Kościelnem, zamienionem w prowincję cesarstwa pod nazwą departamentów Rzymu i Trasimenu, agenci cesarscy mieli się dopuszczać ciągłych gwałtów i demonstracyj. Zamek św. Anioła i inne domy więzienne były przepelnione: obok duchownych, także i świeccy urzędnicy papiescy, wierni przysiędze prawowitemu władcy złożonej, pozbawieni środków utrzymania, żyli w jak najsmutniejszych stosunkach! We Francyi nie było lepiej. Duchowni, wystawieni na ciągle rewizye i dochodzenia ze strony policyi, żyli w ciągłej obawie przed więzieniem. Kardynałów i biskupów zamkniętych w Vincennes za wzmiankowane ułatwianie korespondencyi Papieża i za wystąpienie na synodzie, oddzielono jednych od drugich i odcięto zupełnie od świata, a biskupów z Troyes, Tournay i Gandawy przymuszono do rezygnacyi, wyznaczając im miejsce pobytu po za obrębem dyc-

cezyj. W skutek tego odnośne kapituły katedralne, uwiadomione o rezygnacyi biskupów listem oficjalnym ministra wyznań — gdy po bezskutecznej protestacyi kapituły katedry gaudawskiej listem do tegoż ministra z 12 grudnia 1812 r., stawianie oporu i otwarte uznawanie przymusowo ustępujących za legalnych pasterzy okazało się niemożliwem, gdyż pociągnęłoby było nowe prześladowania — wybrały we wszystkich trzech dyecezyach wikaryuszami *kapitularnymi* księży, którzy byli wikaryuszami *generalnymi* przemocą a więc nielegalnie do rezygnacyi zmuszonych biskupów. Tym sposobem prawowitość władzy duchownej przerwie nie uległa.

I jeżeli los Piusa VI przemocą wywiezionego i na obczyźnie zmarłego był bardzo ciężkim, to los Piusa VII był pod każdym względem o wiele cięższym. Od czasu Klemensa VII, który w r. 1527 więzionym był w zamku św. Anioła, osaczony wojskiem Karola V za to, iż przyłączył się był do ligi przeciwko cesarzowi utworzonej, w wiekach nam bliższych nie było Papieża, któryby równie twarde losy przechodził. Zwłaszcza po odrzuceniu owego *breve* z 20 września i zupełnem zerwaniu układów, był on zupełnie osamotnionym, od Kościoła odcięty, a co prawdopodobnie było dla niego najprzykrzejszem, nie mógł nie czuć, iż nie był zupełnie bez winy, że okazał się chwilowo słabym!

Ale, pomimo chwilowej słabości, ten Papież więzień jest szczególnie wielkim, bo jeżeli Klemens VII przez czas siedmiu miesięcy więziony, pod względem fizycznym i materialnym jeszcze surowszego obchodzenia doznawał, to postać jego nie mogła uroku i powagi Piusa VII osiągnąć. Pierwszy uległ przemocy z powodów ściśle politycznych, w epoce, w której papież w przymierzach i w polityce, jako władcy świeccy, znaczyli — drugi, chociaż był także władcą świeckim, politykę o tyle tylko prowadził, że przy całości dziedzictwa Stolicy św. obstawał, zresztą wszystko, co cierpiał, cierpiał jako Głowa Kościoła. Dlatego więzienie w Saponie Mamertyńskie więzienie przypomina, a dziwnie dobrze stosują się do Piusa słowa Dziejów Apostolskich (XII, 5): *Et Petrus quidem servabatur in carcere, oratio autem fiebat sine intermissione ab Ecclesia ad Deum pro eo*. A nietylko same modlitwy zanoszono za następcę Piotra św. Była także

i próba uwolnienia go¹⁾. Jeden z działających w tej sprawie, Bernetti, późniejszy wybitny kardynał sekretarz stanu Grzegorza XVI, przedstawia ją w ten sposób²⁾. Gdy jako młody prałat i siostrzeniec kardynała Brancadoro, z tym ostatnim i z kardynałem Consalvim przebywał w Rheims i przez Consalviego używanym był do rozmaitych poufnych misyj, wysłanym został w największej tajemnicy do Anglii. Mocarstwu temu, które, jak wiadomo, nigdy Napoleona cesarzem nie uznało, a także i Austrii, zależało bardzo na tem, ażeby Napoleonowi odebrać Papieża, który w jego rękach był nadzwyczajnie potężnym zakładnikiem, tak ze względu na wpływ na bieżące sprawy kościelne w całym świecie, jak jeszcze więcej dlatego, iż na przypadek śmierci Papieża, *conclave* byłoby się mogło odbyć tylko za cesarza pozwoleniem i byłoby prawdopodobnie nadzwyczajnie od niego zależnem. Otóż z tego powodu gabinet St. James ukartował plan, w który Pius VII został wtajemniczony. I on, który, jak już wiemy, nie chciał korzystać z takiej samej propozycji, gdy jeszcze przebywał w Rzymie, a to dlatego, że gdy nie był jeszcze więźniem, nie wypadało mu przez ucieczkę pod sztandar jednej ze stron walczących, przyłączać się niejako do niej, teraz, jako więzień trzymany przemocą na obcym terytorjum, ze względu na dobro Kościoła, w skutek jego więzienia tyle cierpiącego, zgodził się na projekt, który mu zakomunikowała jedna z wybitnych dam francuskich, zamieszkała w okolicy, a która jedna tylko wtajemniczoną była w tę sprawę. Na sygnał fregaty angielskiej w okolicę Savony przybyłej, miał Papież, przy pomocy owej pani, uciec ze swojego mieszkania na okręt. Rzecz była do tego stopnia ukartowaną, iż Papież, gotów do ucieczki, oczekiwał tylko umówionego sygnału. Tego jednak nie dano, pomimo, iż fregata wielko-brytyjska w pobliżu wybrzeża krążyła. Wykonanie planu zaniechanem zostało, albowiem rząd angielski w tajemny sposób dowiedział się, że policja francuska doszła do wiadomości o spi-

¹⁾ Wzmiankowana w rozdziale II *Consalvi*, zeszyt wrześniowy, str. 411.

²⁾ Crétineau-Joly: *L'Eglise Romaine en face de la Révolution*. Tom I, księga II.

sku. Pius VII nie mógł więc już wówczas za św. Piotrem powtórzyć: *Nunc scio vere quia misit Dominus Angelum Suum et eripuit me de manu Herodis et de omni expectatione plebis Judaeorum* (Act. Ap. XII, 11). Chwila wybawienia nie była jeszcze nadeszła i przyznać wypada, że, jakkolwiek Pismo św. powiada: *Cum autem persequantur vos in civitate ista, fugite in aliam* (Mat. X, 23) i jakkolwiek ucieczka z pod przemocy tyrana była zupełnie uprawnioną — w tym wypadku byłaby środkiem tylko po ludzku praktycznym, zwłaszcza, iż rolę Anioła oswobodziciela brało na siebie mocarstwo akatolickie i które, jeżeli w tej chwili sprzyjało Głowie Kościoła katolickiego, to tylko dlatego, że uważało ją za czynnik polityczny, na którego opanowaniu bardzo mu zależało. Postać historyczna Piusa VII zyskała tylko na tem, iż ucieczka nie przysła do skutku i że wielkie dziejowe zdarzenia, które były oczywistym sprawiedliwości Bożej wynikiem, że one, a nie środek czysto ludzki, zastąpiły Ewangelicznego Anioła wybawcę!

Na teraz zdaje się, iż ów odkryty spisek, a nie, jak chwilowo przypuszczano, wstawienie się cesarza Franciszka, był powodem zmiany miejsca pobytu i małego złagodzenia w położeniu papieskiego więźnia.

Fontainebleau.

W dniu 9 czerwca 1812 r., około godziny 7-ej wieczór zawiadomiono Papieża, że winien przygotować się do podróży, że będzie przewiezionym do Francji, że podróż nie potrwa dłużej, jak godzin dwanaście i że, ażeby go nie poznano, ma się przebrać w suknie nie zdradzające jego godności. Wiadomość ta nie mało zadziwiła Ojca św., który, po krótkim namyśle, odpowiedział: „Dobrze, niech się dzieje wola Boża!“

Czy zupełnie pewną jest wieść, iż wśród ludności Savony, z powodu, że przeczuwała przymusowy wyjazd Piusa VII, przygotowywał się jakiś rozruch, zaręczyć trudno. Pewnem jest, że wyjazdowi towarzyszyły środki jak największej ostrożności ze strony organów władzy.

W karcie, razem z Papieżem, znajdował się tylko pułkownik zandarmeryi cesarskiej Lagorse i kamerdyner Ilario Palmieri. Drogę obrócono na Alessandryę i na Mont Cenis, gdzie zajechano w nocy do *hospitium* zakonników Cystersów. Papież, z powodu cierpienia, już w czasie podróży z Rzymu bardzo mu dolegającego, ruchu powozu, zwłaszcza pospiesznej jazdy zupełnie nie znoszący, zapadł tamże ciężko, gdyż i gorączka się przyłączyła. Ów towarzyszący oficer, bardzo przestraszony i nie wiedząc co ma dalej robić, przesłał zapytanie do władzy administracyjnej w Turynie, czy, wobec tak ciężkiego stanu Papieża, wypada dalej podróż odbywać. W odpowiedzi otrzymał rozkaz trzymania się instrukcyi. W skutek tego, pomimo, iż w dniu 14 czerwca Ojciec św. przyjął wiatyk, pod wieczór tegoż dnia ruszono w dalszą drogę, którą, bez wysiadania, odbywano dniem i nocą, aż do Fontainebleau, gdzie przybyto 20 czerwca w godzinach porannych.

W ciągu tej podróży Pius VII, bardzo mocno cierpiący, znając dokładnie niebezpieczny swój stan, wziął krzyż do ręki i modlił się, ażeby *Pan Bóg przebaczył jego przesładowcom, ażeby dał pokój Kościołowi i światło karłyńskiemu przy wyborze następcy*. Potem swojemu jalmużnikowi Mngr. Bertazzolli, który został mu zwróconym i odtąd więcej go już nie opuszczał, oddał swój pierścień i polecił mu, ażeby między domowników rozdzielił nie wiele z rzeczy mu pozostałych i ostatecznie rzekł: „Idziemy z ogrojca na Kalwaryę“.

W Fontainebleau nikt nie był uprzedzony o tem, że Papież ma tamże przybyć. Dlatego, z powodu braku wszelkiego przygotowania na jego przyjęcie w zamku, zaraz po przyjeździe, zamieszkać musiał w domu dozorey, w pobliżu zamku. Niedługo to trwało, albowiem jeszcze tego samego dnia nadszedł z Paryża rozkaz otwarcia apartamentów zamkowych, a stosownem ich urządzeniem zajął się sam minister Champagny, umyślnie w tym celu przybyły. Także i minister wyznań pospieszył złożyć czolobitność Głowie Kościoła i rząd, ze swojej strony, robił wszystko możliwe, ażeby ocalić pozory, t. j. ażeby się nie wydawało, iż Papież doznaje losu więźnia. Starano się więc o to, ażeby kardynałowie,

biskupi i w ogóle wierni odwiedzali go jak najczęściej, zachęcano do odbywania spacerów powozem, ale, podobnie jak dawniej, taksamo i teraz Papież wszystkiego odmawiał, mówiąc: „*Więźniowie nie wychodzą*“ i, że siedzie do karety chyba na to, ażeby powrócić do Kwirynału, skąd przemocą go zabrano. A zdrowie też jego było tak złe, że musiał w łóżku leżeć przez blisko cały miesiąc. Wszystko w ogólności składało się na to, że fizyczne i moralne siły tego starca coraz więcej upadały, albowiem postępowanie rządu względem Stolicy św. i Kościoła w niczem się nie zmieniało. Z rozmów z kardynałami, którzy dlatego, iż byli rządowi ulegli, pozostali w Paryżu, dowiadywał się, że los więźniów w Vincennes, Fenestrelle, Sanmur i gdzieindziej jest zawsze równie złym, że coraz więcej stolic biskupich jest pozbawionych pasterzy, że wielu duchownych z Państwa Kościelnego cierpi najstraszniejszą nędzę. A nadto straszono go bliską w Kościele schizmą!

W tym samym czasie Napoleon, po dniach świetnie spędzonych w Dreźnie, gdzie otoczony monarchami i księżętami większej części europejskich dworów narzekał, iż nudzi się, bo *od ośmiu dni bawić musi cesarzową austryacką*, następnie, jak zawsze pewny siebie, podążył zwalczać Rosyę, za powiadając, że *jedna albo dwie bitwy wszystko ułożą*, że *spali Tułę*, że *cesarz Alexander padnie przed nim na kolana*. Wiemy dobrze, jak te projekty się udały, o ile świetne nadzieje się urzeczywistniły!

Gdy powróciwszy do Paryża w dniu 9 listopada 1812 r. ze sercem strapionem, krył rozciągłość doznanego niepowodzenia, w skutek którego czuł bardzo dobrze, jak dalece potrzebną mu była w tej chwili przychylność opinii publicznej i że u katolików, tak we Francyi, jak i w Niemczech, obchodzenie się jego z Papieżem, od trzech lat więzionym, bardzo mu szkodzi — szukał więc sposobów zbliżenia się doń.

Na Nowy Rok 1813 wysłanym został do Fontainebleau szambelau cesarski dla wyrażenia Papieżowi życzeń noworocznych w imieniu cesarza. Przez rozmaite inne osobistości starał się rząd o zbliżenie i o doprowadzenie do układów. Między innymi przybył raz, zdaje się w tym samym celu, do rezydencyi papieskiej niejaki Jaubert, jako nowomianowany biskup St. Flour. Zapytany przez Papieża, kim jest,

przyznał się, że jako nowomianowany biskup rządzi dycecyą na zasadzie tego, iż kapituła wybrała go wikaryuszem kapitularnym, ale, gdy chciał uzasadnić swoje postępowanie wolnościami Kościoła gallikańskiego, Papież, powołując się na swoje rozporządzenie, dodał: „Wy, przez Wasze wolności, stawiacie sobór ponad Papieżem, a siebie samych ponad soborem“ i pożegnał go.

Pius VII od nowych układów się nie usuwał. Gdy na wzmiankowane życzenia noworoczne wypadało odpowiedzieć i gdy jako wysłannik Papieża przybył z tą misyą do Paryża kardynał Józef Doria, purpurat rządowi miły, sprawa układów weszła w nową fazę. Zaczęły się znowu odbywać konferencye, w których udział brali kardynałowie w Fontainebleau przebywający i kilku biskupów przez rząd wyznaczonych. O ich przebiegu był cesarz najdokładniej powiadomionym. Gdy się zdawało, że Papież da się ostatecznie nakłonić do ustępstw, w dniu 19 stycznia przybył cesarz osobiście, w towarzystwie cesarzowej Maryi Ludwiki, do Fontainebleau, gdzie w sposób zupełnie niespodziewany weszła para monarsza do Ojca św. Zastali go rozmawiającego z kardynałami i biskupami swojego otoczenia, którzy, gdy się usunęli, cesarz począł Papieżowi jak największą czułość okazywać, ściskając i całując go tak, jak gdyby panowała między nimi przyjaźń jak największa. Chciał on tym sposobem działać na usposobienie ciężkimi przejściami bardzo już znękanego Piusa VII, który rzeczywiście ujęty był tą pozorną serdecznością. I zaraz w następnym dniu układy zaczęły się toczyć bezpośrednio między Papieżem i cesarzem. Ale czułość tego ostatecznego podobno bardzo prędko przeszła w gniew, gdyż Papież ustępować nie chciał. Cesarz w skutek tego miał przemawiać do niego w sposób wyniosły i pogardliwy, chodziły nawet wieści, że raz, w napadzie gniewu, miał go chwycić za włosy i obejść się w sposób grubiański — czemu jednak Papież zaprzeczył. Ostatecznie, naciskany przez kardynałów t. zw. *rossi*, którzy go teraz otaczali, i przez owych biskupów, do układów ze strony rządu delegowanych, ustąpił stary Papież o tyle, że zgodził się na podpisanie artykułów sobie przedłożonych, ale pod warunkiem, że będą to tylko preliminaria do właściwego układu i że będą trzymane

w tajemnicy aż do czasu, w którym wszystkim kardynałom będzie możliwem brać udział w obradach nad sposobem wprowadzania w życie rzeczonych artykułów, gdyż żądał Ojciec św., ażeby wszyscy purpuraci odzyskali wolność.

Wahająco i niechętnie podpisał Pius VII artykuły, o których mowa, wieczorem dnia 25 stycznia 1813 r. W dosłownem tłómaczeniu brzmią one jak następuje:

„Jego Cesarska Mość Cesarz i Król i Jego Świątobliwość, chcąc położyć koniec zatargom, które pomiędzy nimi zachodziły i usunąć trudności nasuwające się odnośnie do wielu spraw kościelnych, zgodzili się na następujące artykuły, mające służyć za podstawę do stanowczego układu“.

„Art. 1. Jego Świątobliwość sprawować będzie najwyższe duszpasterstwo (*il Pontificato*) we Francyi i w Królestwie Włoskiem wedle tych samych zasad i w tym samym sposobie, co jego poprzednicy“.

„Art. 2. Ambasadorowie, ministrowie, pełnomocnicy obcych państw przy Ojcu św. i ambasadorowie, ministrowie, pełnomocnicy, którychby Papież mógł mieć przy obcych państwach, będą używali niezależności (*immunità*) i przywilejów, które przysługują członkom ciała dyplomatycznego“.

„Art. 3. Dobra i nieruchomości, które Ojciec św. posiadał i które nie zostały pozbyte, będą wyjęte z pod wszelkich ciężarów. Będą administrowane przez jego agentów, albo pełnomocników. Te, któreby już były sprzedane, będą zastąpione rentą aż do wysokości dwóch milionów franków“.

„Art. 4. W przeciągu sześciu miesięcy, które upłyną od zwyczajnej notyfikacji o nominacji cesarskiej na arcybiskupstwa i biskupstwa w Cesarstwie i w Królestwie Włoskiem, Papież udzieli instytucyi kanonicznej zgodnie z konkordatami i z obecnym indultem. Jeżeli po upływie sześciu miesięcy Papież nie da instytucyi, metropolita, a w braku tegoż, albo, jeżeli się rozchodzi o metropolitę, biskup najdawniejszy z prowincyi udzieli instytucyi zamianowanemu biskupowi tak, ażeby żadna stolica nie wakowała dłużej, jak rok jeden“.

„Art. 5. Papież, tak we Francyi, jak i w Królestwie Włoskiem, obsadzać będzie dziesięć biskupstw, które będą później wspólnie oznaczone“.

„Art. 6. Sześć biskupstw suburbikarnych będą przywrócone, będzie je obsadzał Papież. Dobra obecnie istniejące będą oddane, a będzie ustanowione wynagrodzenie za dobra sprzedane. Po śmierci biskupów z Anagni i Rieti, ich dyecezye będą przyłączone do sześciu wzmiankowanych biskupstw, wedle układu, który nastąpi między Jego Cesarską Mością i Ojcem św.“

„Art. 7. Odnośnie do biskupów z krajów rzymskich w swoich dyecezyach nieobecnych, Ojciec św. będzie mógł wykonywać swoje prawo dania im stolic *in partibus*. Otrzymają pensyę równą dochodowi, który mieli i będą mogli być powołani na wakujące biskupstwa, tak w Cesarstwie, jak i w Królestwie Włoskiem“.

„Art. 8. Jego Cesarska Mość i Jego Świątobliwość ugodzą się we właściwym czasie co do redukcji, która będzie mogła mieć miejsce, biskupstw w Toskanie i w kraju Genueńskim. Tak samo i co do biskupstw mających powstać w Hollandyi i w departamentach Hanzeatyckich“.

„Art. 9. Propaganda, penitencyarya, archiwa, będą umieszczone w miejscu pobytu Ojca św.“

„Art. 10. Jego Cesarska Mość przywraca swoją łaskę kardynałom, biskupom, księżom i osobom świeckim, którzy popadli w nielaskę z powodu obecnych zajęć“.

„Art. 11. Ojciec św. przystaje na te postanowienia ze względu na obecny stan Kościoła i z powodu ufności, którą w nim obudza Jego Cesarska Mość, że zechce dać swoją opiekę licznym potrzebom religii w czasach, w których żyjemy“.

Fontainebleau 25 stycznia 1813 r.

Podp. *Napoleon — Pius PP. VII.*

Wybaczy nam czytelnik to dosłowne podanie nieco długiego tekstu, który przetłumaczyliśmy w całości dlatego, że jest aktem nadzwyczajnie ważnym, o złej wierze jednej strony bardzo dobitnie świadczącym, i który ówczesne stosunki kościelno-polityczne najlepiej cechuje.

Papież, po podpisaniu tych punktów, czuł się bardzo zaniepokojonym, albowiem zawierały one nie tylko już w Saponie wiadomymi aktami wydarte koncesye czysto kościelne,

ale nadto także i mileżące uznanie zaboru Państwa Kościelnego. Niepokoję tego świadectwem wymownem jest list Napoleona wystosowany do Papieża w samym dniu podpisania tej niby tajemnej i przedwstępnej, a tem samem nie obowiązującej umowy. List ten w tłómaczeniu brzmi:

„Ojcie Świąty.

„Widząc, że Wasza Świątobliwość przy podpisaniu artykułów konkordatu, które koniec kładą rozdziałom Kościoła trapiącym, byłeś w pewnej obawie, że można z nich wywnioskować mileżące zrzeczenie się swoich roszczeń do krajów rzymskich, przyjemnie mi jest zapewnić Ja, że, ponieważ nigdy nie uważałem za potrzebne żądać od Niej zrzeczenia się władzy świeckiej w krajach rzymskich, Wasza Świątobliwość nie powinna się obawiać, ażeby kiedykolwiek mniemano, że przez podpisanie rzeczonych artykułów, czy bezpośrednio, czy pośrednio zrzekłeś się swoich praw i swoich roszczeń. Ja traktowałem z Papieżem, uważając Go za Głowę Kościoła i w sprawach duchownych. Tymczasem Ojcie św. proszę Pana Boga, ażeby Cię utrzymywał jeszcze przez długie lata u steru naszej świętej Matki Kościoła“.

Fontainebleau 25 stycznia 1813 r.

Twój oddany syn

podp. : *Napoleon*“.

Jedynym pomyślnym wynikiem podpisania przez Papieża tych artykułów było natychmiastowe uwolnienie kardynałów t. zw. *neri* i przybycie ich do Fontainebleau. Ale wiadomość o owem podpisaniu, kardynałów *czarnych* nie ucieszyła. Znać było po ich wyrazie twarzy, że słabości Papieża się wstydzili. Z powodu tego i z powodu, że odzyskali wolność noszenia purpury, powtarzano sobie dowcipną grę słów (po francusku i po włosku lepiej, aniżeli po polsku brzmiącą): „Papież zawarł z cesarzem konkordat, z powodu którego zacierwienili się kardynałowie“ (*Che ha fatto diventar'rossi i Cardinali*). I nietylko wstyd kardynałów, ale także i obawa skutków, które chwilowa słabość Papieża pociągnie za sobą, były zupełnie uzasadnione, albowiem artykuły, które miały być trzymane w tajemnicy, w dniu 13 lutego t. r. zostały

odczyta neoficyalnie w Senacie, jako „*Konkordat z 25 stycznia 1813 r. między Jego Cesarską Mością Cesarzem i Królem, a Jego Świętobliwością Piusem VII zawarty*“. Równocześnie ów niby konkordat został ogłoszonym w Gazecie rządowej, a nadto ogłoszenie jego miało być obchodzone w sposób uroczysty salwami armatniami i oficjalnem *Te Deum* w katedrze!

Katolicka opinia publiczna tekstem owego *konkordatu* zadowolioną i zaspokojoną być nie mogła, gdyż podrywki nie trudno było w nim dopatrzeć, jak i z innych wydarzeń równoczesnych na polu stosunków kościelnych zmiany na lepsze dopatrzeć się nie można było. Oprócz kardynałów, których uwolnienie nastąpiło bezwątpienia nie dla czego innego, jak tylko dla upozorowania legalności ogłoszenia *konkordatu*, przy którego podpisaniu Papież główny nacisk kładł na ich powrót, zresztą nikt z więzionych biskupów i kapłanów wolności nie odzyskał, a nadto cesarzowi podobało się nominować biskupów na Stolicie nie wakujące, ale osierocone tylko przez wygnanie, albo uwięzienie pasterzy. Na uwagę, którą mu zrobiono, że nominacya nowych biskupów nie jest możliwą, albowiem biskupi żyją, miał odpowiedzieć: „A więc każę ich rozstrzelać i biskupstwa będą wakowały“ i podobno kilka razy powtórzył ten koncept.

Przeczuwał cesarz bardzo dobrze, że Papież, nie będąc spokojnym, myśli o jakimś wystąpieniu przeciwko owemu niby *konkordatowi*, dlatego organa policyjne nad Papieżem czuwające zdwoiły czujności. Spostrzegł się Ojciec św., że w czasie, gdy odprawiał Mszę św. w kaplicy zamkowej, tutaj, podobnie jak dawniej w Savonie, jakaś obca ręka przetrząsała jego papiery, że jego szuflady, szafy i suknie ulegały rewizyi!

Pius VII, jak opowiada naoczny świadek kardynał Pacca, coraz więcej odczuwał swą winę, tak, że bardzo zapadł na zdrowiu i nawet z obawy przed świętokradztwem, przez kilka dni Mszy św. nie odprawiał — dopiero, gdy jeden z purpuratów, uczony teolog, go uspokoił, odważył się do ołtarza znowu przystąpić.

Ponieważ trzeba było koniecznie fałszywy krok odrobić, kardynałowie, na wezwanie Papieża, zaczęli się naradzać

nad tem, co czynić wypada. Chociaż wielu z nich, jak wiemy, było cesarskiemu rządowi oddanych i w zasadach kościelnych niezbyt stanowczych, wszyscy byli zdania, że owo bezprawne ogłoszenie podpisanych artykułów, jako *konkordatu*, nie może być płazem puszczone, że akt protestu jest koniecznym. Rozchodziło się tylko o sposób i formę. Trzymając się zasady *fortiter in re, suaviter in modo*, z powodu, iż nietylko artykuły ogłoszone zostały bezprawnie, jako *konkordat*, ale że art. 10, którym cesarz obowiązywał się do przebaczenia wszystkim z powodu ówczesnych spraw więzionym, dotrzymanym nie został, przeważało zdanie za własnoręcznym listem Papieża do cesarza, w którymby odwołanie artykułów było wyrażonem, a obok tego, ażeby to odwołanie nie było tajemem, przez ogłoszenie zaś w sposób zupełnie jawny nie zanadto dla cesarza obrażającym, uchwalono, że kopię listu udzieli Papież do przeczytania pojedyńczym kardynałom, którzy wszelkimi sposobami starać się będą o to, by treść jego była powszechnie znaną.

Z powodu, iż narady kardynałów odbywały się nie w obecności Papieża, delegowanym został kardynał Consalvi (który z wygnania w Rheims był także powrócił), do zakomunikowania mu decyzji. Pius VII zawsze pełen enoty, z wyższością charakteru, która go cechowała, zawsze gotów do poświęcenia miłości własnej, gdy się rozchodziło o dobro Kościoła i o spełnienie obowiązku, bez przykrości, raczej z radością przyjął radę, której spełnienie uwalniało go od ciężaru, sumienie jego tak bardzo gniożącego.

Do redakcyi listu zaraz więc przystąpiono. Ale, podobnie jak narady kardynałów, przez policyę pałacową pilnie strzeżonych, musiały się odbywać tajnie i z jak największą ostrożnością, tak samo i ów list, którego stylizacya wymagała wielkiego namysłu i rozwagi, był pilnie strzeżonym przed ciekawością tych, którzy, jak już powiedziano, papiery i rzeczy Papieża niedyskretnie rewidowali. Dlatego jeden z kardynałów nie zamieszkałych w pałacu (gdzie wszyscy pomieścić się nie mogli) zabierał do siebie manuskrypt i przechowywał go u siebie przez noc, a dopiero na drugi dzień rano, po Mszy św., gdy już Papież nie wychodził od siebie, był

mu zwracany przez kardynałów Di Pietro i Consalvi, najczęściej go widujących. Nadto i samo pisanie nastęczało dużo trudności z powodu myłek w redakcyi, które zmęczony Papież często robił. Z tego powodu dopiero 24 marca 1813 r. list ów był gotów.

W piśmie tem, do przytaczania w całości zbyt długiem, wyrażone jest przedewszystkiem zdziwienie z powodu nieuprawnionego ogłoszenia artykułów jako *konkordatu*, a potem przyznanie się do winy Piusa VII słowami Paschalisa II do Henryka V: „*Jako uznajemy to pismo za złe, tak samo jako złe je ogłaszamy i z pomocą Bożą pragniemy, ażeby było całkowicie poprawione, ażeby z niego żadna krzywda dla Kościoła, żadna szkoda dla duszy naszej nie wynikła*“. Przyznając się także do błędu z powodu udzielenia metropolitom władzy instytuowania biskupów, przez co daną im była niejako możność sądzenia Papieża, co się logicznie sprzeciwia hierarchicznemu pojęciu władzy, wedle którego podwładny nie może sądzić i znosić wyroków przełożonego, odwołuje rzeczoną koncesyję, jak niemniej i wszystko, na co milcząco się zgodził odnośnie do władzy świeckiej, a zarazem oświadcza gotowość przystąpienia do nowych układów, uznając, że niektóre artykuły mogłyby być przyjęte. W pisemnej allokucyi do kardynałów, uwiadamiając ich o treści listu do cesarza, przyznaje się także z pokorą do błędu popełnionego przez *breve* z 20 września 1811 r., które, jako nie przyjęte przez cesarza, nigdy nie obowiązywało, w czem widzi szczególniejszą łaskę i zrządzenie Pana Boga.

Pułkownik Lagorse, wezwany przez Ojca św., zawiózł list do Paryża. Papież czuł się potem swobodniejszym, odzyskał apetyt, dobry humor i swobodę, którą, po podpisaniu owego nieszczęśliwego aktu, był zupełnie stracił.

Ale w Tuileryach nie było również dobrze. List papieski wywołał u cesarza zwykle w takich razach objawy rozdrażnienia i najgorszego humoru. Nazwał Papieża *prêtre obstiné* (upartym księdzem) i odgrażał się: „Jeżeli nie utnę głowy któremu z tych księży w Fontainebleau, sprawy te się nie ułożą“. I sposób obchodzenia się z Papieżem znowu był surowym, jak dawniej: biskupi francuscy w Fontainebleau

przebywający zostali do Paryża odwołani, przystęp wiernym wzbroniono, jedni tylko kardynałowie mieli jeszcze przystęp do Ojca św., a pod datą 25 marca 1813 r. wydał cesarz dekret, którym oznajmia:

„1) Konkordat podpisany w Fontainebleau, który normuje sprawy kościelne i który został publikowanym jako ustawa państwowa pod dniem 13 lutego 1813 r., obowiązuje naszych arcybiskupów, biskupów i kapituły, którzy winni się do niego stosować.

2) Skoro tylko podpiszemy nominację na wakujące biskupstwo i zawiadomimy o niej Ojca św. w sposób konkordatem zastrzeżony, nasz minister wyznań przesła jeden egzemplarz nominacji metropolicie, a gdy rozeździć się będzie o metropolitę, biskupowi najdawniejszemu prowincyi kościelnej.

3) Osobistość przez nas zamianowana odniesie się do metropolity, który zasiągnie właściwe informacye i przesła je Ojcu św.

4) Jeżeliby osobistość zamianowana podpadała jakiejś nieprawidłowości kościelnej, metropolita zaraz poda o tem wiadomość, a w razie, gdyby nie zachodziła żadna nieprawidłowość kościelna, jeżeliby Papież nie dał instytucyi w przeciagu sześciu miesięcy od notyfikacyi zamianowania, wedle artykułu 4 konkordatu, metropolita w asystencyi biskupów prowincyi jest obowiązany dać instytucyę.

5) Nasze sądy cesarskie będą uwiadomione o wszystkich sprawach, które znane są pod nazwą *odwołanie się przez nadużycie (appel par abus)*¹⁾, jak i wszelkich innych wynikających z niewykonywania praw konkordatowych.

6) Nasz najwyższy sędzia przedłoży projekt prawa, mający być przedmiotem dyskusyi naszej rady, która oznaczy procedurę i kary, mające być wymierzone w takich sprawach.

¹⁾ Zdaje się, że mowa jest tutaj o cenzurach kościelnych z powodu zakazanego przez Kościół odwoływania się w sprawach kościelnych do władzy świeckiej.

7) Naszym ministrom we Francyi i w Królestwie Włoskiem poleca się wykonanie tego dekretu, który będzie umieszczonym w Zbiorze praw.

Z pałacu Tuileryj 25 marca 1813 r.

podp. *Napoleon.*

Za Cesarza i Króla minister sekretarz stanu

podp. *Hrabia Daru*“.

W nocy 5 kwietnia został obudzonym kardynał Di Pietro, którego, nie pozwalając mu brać odznak kardynalskich, odwiózł policyant do Oxonne, gdzie przebywał aż do upadku Cesarstwa. Papieża uwiadomiono o tem, podając za powód wywiezienia tego kardynała, że okazał się *nieprzyjacielem państwa*. Zarzut ten uzasadniono tem, iż po powrocie kardynałów *czarnych* był on pierwszym, który rozmawiał z Papieżem, stąd podejrzenie, iż on głównie przyczynił się do retraktacyi *konkordatu*. Następnie pułkownik Lagorse odczytał kardynałom pismo, na którego ciekawą stylizacyę zwracamy uwagę. Stało w niem: „Cesarz jest rozdrażniony na kardynałów, albowiem od ich przybycia do Fontainebleau aż do tego dnia trzymali Papieża w nieczynności (*inaction*) i jeżeli kardynałowie chcą pozostać w tem mieście, winni powstrzymywać się od wszelkich układów, od pisania listów do Francyi i do Włoch, od rozmawiania z Papieżem o interesach, utrzymując się w *zupełnej nieczynności* (*parfaite inaction!*) i ograniczając się na robieniu Papieżowi wizyt czysto ceremonialnych, czyniąc inaczej, wystawialiby własną wolność na niebezpieczeństwo!“

I byłoby przyszło prawdopodobnie do nowych gwałtów, gdyby nie to, że Napoleon, po wielkich niepowodzeniach w Rosyi, wybierał się na nową wyprawę do Niemiec, o której wiemy, jak ostatecznie wypadła, dlatego dalsze przesładowania ustały, a przed ostatecznym wyjazdem Papieża do Rzymu, tylko jedna jeszcze korespondenacya oficjalna wymienioną została między rządem cesarskim a Papieżem. Było to z jednej strony oficjalne zawiadomienie Piusa VII przez cesarzową, jako regentkę na czas nieobecności cesarza ustanowioną, o pierwszym w dniu 2 maja pod Lützen i Bautzen odniesionem zwycięstwie i odpowiedź Papieża. Ta ostatnia,

pod względem treści i formy, stosunkom ówczesnym odpowiada. Notyfikacya bez odpowiedzi pozostać nie mogła, ale w położeniu dla Kościoła i Jego Głowy tak ciężkiem, rozchodziło się o to, by przez jej ogłoszenie, wśród ogółu nie zrodziło się fałszywe mniemanie o jakichś dobrych stosunkach między Stolicą św. a rządem, dlatego wystylizowaną została w sposób dający pewność, iż ogłoszona nie będzie. Oto dosłowne tłumaczenie własnoręcznego listu Piusa VII do Maryi Ludwiki:

„Dnia 8 maja 1813 r.

„Dziękując Waszej Cesarskiej Mości za dowód dziecięcego przywiązania (*filiale attenzione*), dane nam przez podzielenie się z nami radością z powodu świetnego zwycięstwa przez Jego Cesarską Mość Cesarza i Króla w dniu 2 maja na czele swoich potężnych wojsk odniesionego, jako Córce Kościołowi oddanej wyjawić winniśmy, że na widok owej przesyłki, mniemaliśmy, iż zawiera ona odwołanie bardzo twardego obejścia, które już od miesiąca zostało użyte, tak względem naszej osoby, jak i względem kardynałów. Jeżeli Wasza Cesarska Mość nie o tem nie wie, niech raczy zasięgnąć wiadomości, badając w jaki sposób wydać było można rozkazy tak przeciwne prawom Kościoła katolickiego, a nawet i prawu narodów, a w skutek tego, nie chcemy o tem wątpić, także i sprzeczne ze zamiarami Cesarza, któremu, za pośrednictwem Waszej Cesarskiej Mości, życzymy radości z powodu stałego pokoju, który jest najlepszym zwycięstwa wynikiem. I zanosimy modły do Pana Boga, ażeby natchnął Go chęcią podtrzymywania katolickiego Kościoła, zwrócenia wolności naszej osobie i wszystkim członkom Świętego Kolegium i uspokojenia świata od tylu lat wzburzonego i zbieżonego. Kończymy, prosząc Dawcę wszelkiego dobra, ażeby zechciał na Waszą Cesarską Mość zlać błogosławieństwa Niebios“.

Pod wpływem niepowodzeń wojennych Napoleon na całej linii musiał się cofać, odrabiając własne dzieło, krwi i łez strumieniami oblane. Więzionego w Valençay króla Ferdynanda hiszpańskiego odesłał napowrót do Hiszpanii, a z Papięciem, pomimo, że dekreta z 13 lutego i 25 marca publi-

kowe były, jako prawa państwa na podstawie *konkordatu* obowiązujące, szukał ciągle sposobów dojścia do nowego układu. W tym celu zjawiali się u Papieża, to jakiś kardynał (prawdopodobnie z kardynałów dawniej *czzerwonych*), to jakiś prałat, to nawet i jedna z dam dworskich. Ostatnim z tych posłów był biskup Piacenzy, Fallot de Beaumont. Ale wszelkie usiłowania pozostały bezskutecznymi. Pius VII w układy wchodzić nie chciał, jak długo i jemu i więzionym duchownym nie będzie zwróconą wolność, jak długo nie będzie miał możności powrócenia do Rzymu i Państwo Kościelne nie będzie mu oddanem. Odpowiadał stale: „Teraz nie jest czas, a Paryż nie jest miejscem do układania się co do spraw Kościoła“.

Gdy nareszcie 1 stycznia 1814 r. armia Blüchera przekroczyła Ren i 20 stycznia Schwarzenberg doszedł przez Szwajcaryę do Lyonu, a Napoleon, chociaż na wejście związkowych powiedział: „Aleksander chce mi w Paryżu oddać wizytę, którą mu oddałem w Moskwie“, czuł jednak bardzo dobrze, że jeżeliby się mógł jeszcze utrzymać, to wszelkie anormalne stosunki muszą jak najprędzej ustać, dlatego 21 stycznia rano pułkownik Lagorse przyszedł oznajmić kardynałom, że ma rozkaz wywiezienia nazajutrz Papieża z Fontainebleau i odstawienia go do Rzymu. Zwracając się do dziekana św. Kollegium, kardynała Mattei, powiedział: „Dla panów nic nie ma nowego. Gdybyście byli mieli więcej roztropności i umiarkowania, wszystkie sprawy byłyby po dziś dzień załatwione ku wzajemnemu zadowoleniu“, na co rzeczony kardynał odpowiedział: „Zachowanie się kardynałów nie zasługuje na takie zarzuty, ani na miano nieumiarkowanego i nieroztropnego“.

Papież uwiadomiony prosił, ażeby niektórzy kardynałowie mogli mu towarzyszyć, ale tego mu odmówiono. W karetach podróżnych z Paryża przybyłych, jechać miał w pierwszej Papież ze swoim jałmużnikiem Mgrem. Bertazzoli, w drugiej pułkownik Lagorse, lekarz Porta i dwóch służących.

Wyjazd nastąpił 23 stycznia o godzinie 11ej rano. Było to w niedzielę. Przed wyjazdem zgromadził Pius VII kardynałów w swoim sypialnym pokoju i w krótkich, ale znaczących słowach pożegnał się z nimi, wyrażając nadzieję, iż

cokolwiek się stanie i gdziekolwiek będą się znajdowali, zachowają się zawsze w sposób odpowiedni ich stanowisku, przypominając im przysięgi złożone przy otrzymaniu kardynałatu i wyrażając im swoją wolę, że pod żadnym warunkiem nie chce, ażeby kiedykolwiek wchodzili w jakiś układ, tak co do spraw duchownych, jak i świeckich. To wszystko szczegółowo określone powtórzone jest w instrukcyi (z powodu długości, nie podajemy jej tekstu), którą wręczył dziekanowi św. Kollegium.

Poczem w obecności purpuratów i rozmawiając z nimi, spożył skromne śniadanie, a następnie udał się do łoża kaplicy zamkowej, z której, po krótkiej modlitwie, udzielił zgromadzonemu w niej ludowi błogosławieństwa i ostatecznie zeszedł do dziedzińca, w którym czekały karety.

Rozchodziło się o to, ażeby podróż Papieża odbywała się jak najdalej od teatru wojny, który, jak wiemy, przeniósł się na terytoryum francuskie. Dlatego z Fontainebleau obrócono drogę na Orléans, Limoges, Tuluzę, Montpellier, wzdłuż Morza Śródziemnego przez Nizzę do Savony.

Wszędzie na drodze, w pobliżu miast witały Ojca św. tłumy ludu z biskupami i księżmi na czele, a entuzjazm względem *Papieża wyznawcy-bohatera wiary* był nie do opisanania i nie bardzo dobrze świadczył o uczuciach tego ludu względem tego, który ciężkiego losu Papieża był sprawcą.

W Savonie stanął Pius VII 16 lutego i nie wiadomo dlaczego, prawdopodobnie z powodu nadwątłego zdrowia, pobyt jego tamże przedłużył się aż do 19 marca. Tymczasem toczyła się, ze zmiennem szczęściem, ostateczna walka Napoleona ze sprzymierzonymi, a równocześnie prowadzono układy. Napoleon zarządził zwrócenie Papieżowi departamentów Rzymu i Trasimenu, następnie terytoryum pozostawionego mu pokojem w Tolentino, ostatecznie, na naleganie mocarstw, i całe Państwo Kościelne, w którym tymczasowo rozgościły się wojska neapolitańskie, albowiem król Joachim Murat sprzymierzył się z Austryą.

Dnia 31 marca, t. j. w tym samym dniu, w którym armia związkowa weszła do Paryża, Papież wjechał do Bolonii, gdzie, obok tłumów witających z radością powracają-

cego monarchę i obok Murata, powitał go także i lord Bentinck, komendant wojsk angielskich we Włoszech i ofiarował swoje usługi i zasiłki pieniężne. Był to wynik naturalny znanej nam już ówczesnej polityki gabinetu w. brytańskiego. Co do króla Joachima, jego zachowanie się względem Papieża było odpowiednie roli, jaką ten z rewolucyi wyszły królik, zawdzięczający wszystko cesarskiemu szwagrowi, w tej chwili odgrywał. Wspomnieliśmy, że wszedł w przymierze z Austryą; tem samem stał w tej chwili przeciwko upadającemu Napoleonowi. W tem położeniu fałszywem czuł on bardzo dobrze, iż wypada mu ustąpić miejsca wracającemu Papieżowi, ale radby był zatrzymać coś dla siebie i nie wiedział, jakie stanowisko ma zająć względem praw Papieża do królestwa neapolitańskiego. Gdy w Bolonii prosił Piusa VII o uznanie go królem, a usłyszał z ust Ojca św. wzmiankę o prawach Stolicy św. i o warunkach, pod któremi papieże zwykli byli uznawać królów neapolitańskich, pomimo rady ministrów, ażeby się na te warunki zgodził, dał dumną i odmowną odpowiedź, a w liście do Papieża ofiarował zwrot tylko dwóch departamentów Rzymu i Trasimenu. Równocześnie starał się wpłynąć na to, ażeby podróż Papieża odbywała się tylko przez wzmiankowane terytorya, które chciał zwrócić, a przede wszystkim, ażeby Papież nie przejeżdżał przez Marchię Ankońską. To jednak mu się nie udało, albowiem Papież chciał koniecznie wstąpić do Lorettu i, bez względu na niezadowolenie króla Joachima, na Ankone drogę obrócił.

Podróż papieska odbywała się powoli. Zatrzymywał się mniej więcej w każdym mieście, wstępując do świątyń, gdzie albo sam Mszę św. odprawiał, albo był obecnym nabożeństwu i błogosławił wszędzie tłoczących się wiernych. Po drodze spotykali go, skutkiem upadku Napoleona, wracający z wygnania kardynałowie i prałaci, między innymi kardynał Consalvi, którego z Foligno wysłał do Paryża dla powitania, jak już wspomniano, Ludwika XVIII.

W dniu 24 maja 1814 r. wjechał Pius VII napowrót do swojej stolicy, którą przed pięcioma laty jako więzień opuścił. Witający go lud odprzągł konie od karety, w miejsce których dwudziestu czterech młodzieńców ciągnęło ją wśród powszechnego zapału mieszkańców Wiecznego Miasta.

Na pamiątkę tego dnia, z wdzięczności ku Matce Boskiej, której losy i Kościoła i swoje w ciężkich chwilach poruczał, ustanowił Pius VII święto t. zw. *Auxilium Christianorum* (Wspomożenie wiernych), w tym dniu przez cały Kościół corocznie odtąd obchodzone.

Ale po tym świetnym powrocie, u grobu Apostołów nie powrócił zupełnie stały spokój. W Paryżu słaby rząd Bourbonów o tyle tylko zadawałniał, że długimi wojnami zmęczonemu społeczeństwu dał spokój, ale na usposobienie właściwe tego społeczeństwa oddziaływać nie umiał: w atmosferze rewolucyi wychowanem było żyjące wówczas pokolenie, dlatego zasady rewolucyi wszędzie górę brały, a sympatye nieklamane armii były zawsze po stronie tego, który przez lat tyle prowadził ją do zwycięstw i chwały. Na Elbie zaś, przez sprzymierzonych osadzony na niej cesarz pisał nibyto swoje pamiętniki. W istocie pisał listy do swoich powierników i powierniczek. Do liczby tych ostatnich należały głównie księżne Bassano i Montebello, przedewszystkiem zaś znana pod nazwiskiem duchessy de Saint Leu, Hortensya de Beauharnais, żona Ludwika Bonaparte. Z temi gorliwemi agentkami więźnia z Elby w porozumieniu był dwór Murata, który, pomimo chwilowego jego przymierza z jednym ze „sprzymierzonych“, zaliczonym został przez Kongres Wiedeński, na wniosek Talleyranda, do dynastyi t. zw. *rewolucyjnych* (*révolutionnaires*) w przeciwieństwie do *legalnych* (*légitimes*) i jako taki miał być usuniętym. Wiadomość, że także, w skutek starań Talleyranda, zdecydowanem zostało wywiezienie Napoleona na wyspę Św. Łucyi, albo Św. Heleny, wzmogło gorliwość napoleońskiej kliki i przyspieszyło sławną ucieczkę. Nastąpiła ona 26 lutego po balu u Pauliny Borghese, siostry Napoleona, która w częstych przejażdżkach z Włoch do Elby wymianę listów z Joachimem i z Karoliną ułatwiała.

Ucieczka Napoleona wpłynęła także na chwilowe dalsze losy Piusa VII. Mniej ciężkie od dni Savony i Fontainebleau, były one epilogiem męczeńskich jego dziejów.

G e n u a.

Po powrocie do Wiecznego Miasta, pomimo wieku już wówczas podeszłego i upadku sił ciężkimi przejściami złamanych, Pius VII zajął się z energią sprawami i Kościoła i państwa. Nie trudno się domyśleć, że po tych dniach anormalnych zaburzeń nie mało rzeczy należało uporządkować, tak odnośnie do stosunków ogólnokościelnych, jak i odnośnie do rządów państwa papieskiego, które, zwłaszcza pod względem finansowym, szybkiego i gruntownego uporządkowania wymagały. W dniu 26 września świetną wygłosił allokucyę do kardynałów na konsystorzu zgromadzonych, w której, wielkich zdarzeń z lat ostatnich streściwszy historycę, wzywał ich do pracy usilnej i skutecznej nad naprawą złego, które te lata Kościołowi wyrządziły.

Ale zaledwie minął szczęśliwy rok 1814, już w marcu 1815 r., po wylądowaniu Napoleona w Golfe Jouan i przybyciu do Paryża, zaczęły się dla Papieża znowu ciężkie dni, a to z powodu brzydkiej i dwoistej polityki Murata. Ten ostatni, skoro tylko nadeszła wiadomość o udaniu się ucieczki Napoleona, robił wszystko możliwe, ażeby wywołać powstanie w całych Włoszech. W dniu 5 marca wysłał do niego list ¹⁾, w którym zapowiada, że „uderzy na Austryaków, a jeżeli zwycięstwo uwieńczy jego zamiary, w krótkim czasie połączy się z nim na czele olbrzymiego wojska. Nadeszła już chwila zmarzenia mojej winy i dowiedzenia mu mojego przywiązania“.

Dnia 17 marca odpowiedział mu Napoleon, że „ma robić dalsze przygotowania, ale że winien zaczekać z rozpoczęciem kroków zaczepnych aż do czasu, w którym otrzyma jego rozkazy“.

Ta odpowiedź doszła jednak za późno, albowiem Murat już 21 marca rozkazał swojemu wojsku maszerowanie w stronę Rzymu. Żądając od Papieża pozwolenia przejścia dla wojsk, oświadczył, że *uważa sprawę Napoleona za swoją*.

¹⁾ Dodatek do *Altów Stolicy św.* Tom VI: *Relazione compendiate degli avvenimenti del' 1815.*

i że dowiedzie, iż nigdy nie była mu obcą. Tymczasem komendantom swojej gwardyi polecił, *ażebymaszerowali jak najspieszniej na Rzym, ażebymwzięli Papieża i odwieźli go do Gaety.*

Położenie Papieża robiło się znowu bardzo ciężkie i trudne. Co do żądania przeprowadzenia wojsk przez terytoryum papieskie, wydano do delegatów po prowincyach rozkazy w duchu najściślejszej neutralności, a to dla ochronienia z jednej strony ludności przed zemstą Murata, z drugiej strony dla nienarażenia sobie „sprzymierzonych“. Obok tego odpowiednie przygotowania zarządzono dla wyjazdu Papieża, któremu, przez swojego posła margrabiego di San Saturnino, król sardyński ofiarował gościnność w Genuy, do jego państwa już wówczas należącej, gdzie, z powodu wielkiego portu, do którego liczne okręty z różnych krajów zawijają, położenie Papieża mogło być najbezpieczniejsze na wypadek, gdyby wojna we Włoszech miała się rozwinąć.

Na czas nieobecności Papieża na czele rządu Państwa Kościelnego postawioną została t. zw. *Giunta di stato*, to jest komisya, której sprawy administracyjne tymczasowo powierzono. Przewodniczącym tejże zamianowany został kardynał Della Somaglia. Dla spraw kościelnych ustanowionym został delegatem apostolskim kardynał Di Pietro. W największej tajemnicy przygotowano także karety podrózne.

Gdy w dniu 22 marca uwiadomiono prosekretarza stanu kardynała Pacca¹⁾ o wejściu wojsk neapolitańskich w kraje papieskie, Pius VII w godzinach przedpołudniowych udał się z Kwirynału do Watykanu, a to dlatego, że w pobliżu tego ostatniego znajduje się t. zw. *Porta Angelica*, którą mógł łatwo wyjechać w sposób niepostrzeżony.

¹⁾ Wiemy już, że na to stanowisko powołanym został kardynał Pacca 18 czerwca 1808 r. i że w dniu 6 lipca 1809 r. został razem z Piusem VII wywiezionym z Kwirynału. Pomimo pięcioletniej przerwy i ciężkich przejść, stanowiska tego nie utracił i dlatego, po powrocie Papieża w r. 1814 zajmował je dalej aż do czasu powrotu Consalviego z Kongresu Wiedeńskiego i objęcia przez niego po raz drugi stanowiska rzeczywistego sekretarza stanu.

I rzeczywiście wyjazd Ojca św. nastąpił w towarzystwie monsignorów Mauri i Soglia w godzinach popołudniowych wzmiankowanego dnia do Viterbo. Była to środa wielkotygodniowa. Wiadomo, że w tym dniu śpiewaną bywa po kościołach t. zw. *Ciemna jutrznia*, na której w Rzymie Papież w owych czasach bywał zawsze obecnym ¹⁾. W skutek tego rzeczony wyjazd ukryć się długo nie mógł. Dla uniknięcia więc fałszywych i niepokojących wieści, kardynał prosekretarz stanu wydał do ludności rzymskiej odezwę, w której powody wyjazdu Ojca św. ogłędnie tłumaczył, a przez t. zw. *biglietto* sekretaryatu stanu komunikował ją kardynałom i ciału dyplomatycznemu, zapraszając tak kardynałów, jak i posłów, do towarzyszenia papieżowi. Większa część purpuratów i ambasadorowie francuski, austriacki i hiszpański podążyli za Papieżem, który, nie czując się dostatecznie bezpiecznym w Viterbo, w dniu 25 marca udał się do Florencyi, gdzie jak najuroczyściej i z wyszukaną gościnnością przyjął go Wielki Książę we wspaniałych apartamentach pałacu Pitti, z którego nieprzejrzany i z zapalem największym witającym go tłumom udzielił apostolskiego błogosławieństwa. Ale już 27 marca doszła wiadomość o przybyciu wojsk neapolitańskich na granicę toskańską. W skutek tego 28-go wyjechał Papież do Livorno z całym swoim orszakiem, który tymczasem przybył z Rzymu i złączył się z nim po drodze. Wielki Książę także opuścił Florencję i schronił się do Pizy.

Murat, postępując na północ, wydał odezwę, w której ogłosił: *L'indipendenza Italiana e l'emancipazione da padroni stranieri* (niezależność Włoch i wyzwolenie od panów obcych), ale zwolenników, zwłaszcza w Państwie Kościelnem, nie wielu zdołał około siebie zgromadzić i z ustanawianiem władz nowych, w miejsce papieskich, nie dobrze mu szło. Obok niechęci do owego królika z Rewolucyi wyszłego i obok przywiązania do swoich władców, ludność włoska owym trafnym rozsądkiem i instynktem politycznym, który ją cechuje, prze-

¹⁾ Piszemy w owych czasach, albowiem dzisiaj, t. j. od r. 1870, Papież żadnego udziału w uroczystościach Wielkotygodniowych nie bierze i właściwe ceremonie t. zw. papieskie zupełnie się nie odbywają.

czuwała bezwąt্পienia bardzo dobrze, iż godziny Napoleona i jego kreatur są policzone. I rzeczywiście dni powodzenia Murata nie długo trwały. Spotkanie z generałem Nugent i z innymi austriackimi dowódcami z początku wypadaly rozmaicie: to jednej, to drugiej stronie szczęście sprzyjało, ale ostatecznie dotychczasowy król neapolitański musiał się cofnąć, opuszczając wszystkie pozycye w północnych stronach półwyspu.

Tymczasem Papież z Livorno przez Viareggio i Massę przybył do Sarzany, gdzie, imieniem króla sardyńskiego, powitał go jego poseł, już wzmiankowany margrabia di San Saturnino, słowami zwróconemi do ludu: „Mam rozkaz od mojego króla powiedzieć Wam, że teraz macie słuchać tego (wskazując na Papieża), bo On jest pierwszym między monarchami i najwyższym naczelnikiem Kościoła“. Pomijając inne szczegóły przyjęcia przez ludność, wspomnieć tylko wypada, że nazajutrz z pobliskiej Lerici udał się Ojciec św. wraz z orszakiem statkami żaglowemi do Genuy, gdzie przybył 3 kwietnia. Otoczenie, wśród którego zaraz się znalazł, było świetne, gdyż oprócz większej części kardynałów i wzmiankowanych ambasadorów tamże przybyłych, honory oddawały Papieżowi eskadry angielska i hiszpańska, stojące w porcie, nadto w imieniu cesarza rosyjskiego powitał Ojca św. umyślny poseł.

Podczas niedługiego pobytu Piusa VII w Genuy doszedł go list od Murata, niegrzeczny i pełen wymówek z powodu wyjazdu z Rzymu. Groził w nim zajęciem całego Państwa Kościelnego. Ponieważ łatwym było do przewidzenia, że temu szwagrowi Napoleona szczęście wojenne nie długo będzie sprzyjało, na list jego żadnej nie dano odpowiedzi, a skoro tylko nadeszła wiadomość o jego przymusowem cofnięciu się do Neapolu, Papież zdecydował się powrócić do Rzymu.

Zanim jednak urzeczywistnił ten powrót, w skutek nader gorącego zaproszenia mieszkańców Savony, udał się Pius VII jeszcze raz do tej tak dla niego pamiętnej miejscowości dla ukoronowania czczonego tamże obrazu Matki Boskiej *della Misericordia* zwanego. Powitał go tamże król sardyński w otoczeniu licznego zastępu książąt swojego domu i innych sobie pokrewnych rodzin panujących. Na jego za-

proszenie odwiedził Ojciec św. także i Turyn, gdzie oddał cześć przechowywanej tamże relikwii św. Całuna (*S. Sindone*).

Ze stolicy Piemontu przez Parmę i Modenę, gdzie uczestniczył w procesyi Bożego Ciała, drogą na Florencyę, zatrzymując się w oberży w Radicofani dla oglądnięcia pokoju, w którym w r. 1809 nocował, w dniu 7 czerwca 1815 r. przybył Pius VII ponownie do Rzymu, z którego już nie miał nigdy więcej wyjechać.

W Wiecznem Mieście panował spokój. W czasie przeszło dwumiesięcznej nieobecności Papieża rządząca *giunta* nie napotykała na żadne trudności ze strony ludności i za wykroczenia polityczne tylko jedną osobistość uwięziono w zamku św. Aniola. Był nim nieraz już wzmiankowany kardynał Maury, o którego życiu, charakterze, wielkich zdolnościach, nie zawsze szczęśliwie zużytych, coś bliższego powiedzieć w dalszych ustępach tych uwag zamierzamy. Teraz wspomnieć tylko wypada, że powodem jego uwięzienia było, iż wpływowe osobistości podejrzwały go o spisek z Muratem!

A ten ostatni — jakżeż dziwne, jak awanturnicze były ostatnie jego dni! Jeden z najwybitniejszych generałów wielkiej zwycięskiej armii Napoleona skończył swoją karierę jak powieściowy bohater.

Chociaż rzecz nie ściśle do naszego przedmiotu należy, ponieważ jednak bliższe szczegóły jego końca są nader ciekawe i zajmujące, podajemy je podług szczegółowego opisu, który się znajduje na końcu ostatniego dodatkowego tomu wydanych *Aktów Stolicy św.*

Gdy po niepowodzeniach wojennych w licznych spotkaniach z armią austryacką musiał cofnąć się do Neapolu, próbował wejść w układy, ale gdy te się nie udały, w dniu 20 maja na małej łódce udał się do Ischii. Nazajutrz razem z wiernym sobie generałem Manhes (który za jego czasów wybitne stanowisko w Neapolu zajmował) i z kilkoma innymi sobie oddanymi wsiadł na mały statek, który popłynął z nimi ku brzegom Francji. Towarzyszyli mu nadto jeden z jego siostrzeńców, sekretarz i lokaj. Oprócz małego bagażu, miał mieć przy sobie 400 tysięcy franków w złocie i w klejnotach.

Równocześnie królowa Karolina, regentka na czas wojny, przy pomocy angielskiego admirała Esmonta udała się okrętem wraz z dziećmi do Tryestu pod protekcję cesarza austriackiego.

Murat sam, po wylądowaniu w Cannes, napisał do Napoleona, ofiarując mu swoje usługi, a gdy tymczasem Ludwik XVIII ponownie wrócił na tron, także i do niego zwrócił się listownie, ale odpowiedzi nie otrzymał. Próbował nadto znaleźć schronienie w Anglii, ale spostrzegłszy niebezpieczeństwo, iż może być zgładzonym, ukrył się zręcznie przed poszukiwaniami policyi. Chciał jeszcze razem z kilkoma oficerami wsiąść na statek, ażeby tajemnymi drogami dotrzeć ostatecznie do Paryża i tam próbować układów ze *sprzymierzonymi*, ale, nie wiedząc z jakiego powodu, statek odbił od brzegu, pozostawiając króla Joachima samego z małym bagażem na wybrzeżu. W tak ciężkim położeniu zupełnie osamotniony błąkał się po lasach i winnicach, uciekając przed pościgami policyi. Znalazłszy gościnę gdzieś na wsi w domu jakiegoś starego żołnierza, przy pomocy przyjaciół wojskowych z Tulonu, zdołał dostać się do Korsyki. Gdy spotkał się tamże z wielu starymi emerytowanymi wojskowymi, którzy go dobrze znali z odbytych razem kampanij i dlatego przyszli mu złożyć swoje uszanowanie, nadzieja odzyskania tronu w nim odżyła. Dlatego ofiarowanej sobie gościnności w państwie austriackiem, gdzie mu pozwalano żyć spokojnie i w dostatku, ale jako człowiekowi prywatnemu, nie przyjął. Wołał stanąć na czele 250 ludzi, którzy się dali namówić do awanturniczej wyprawy i nająwszy sześć okrętów przewozowych, zaopatrzone w groźne odezwy, wyruszył w dniu 29 września z pełną fantazyi nadzieją, iż zdoła opanovać utracone królestwo. Na morzu spotkały go różnorodne niemiłe przygody: burze, zagubienie się niektórych okrętów, ucieczka towarzyszy. Ostatecznie, w towarzystwie 26 pozostałych przy nim żołnierzy i trzech służących, wylądował w Pizzo w Kalabrii. Dał się poznać tamtejszej załodze i wezwał ją do towarzyszenia mu, ale tylko dwóch żołnierzy usłuchało go. Chociaż widział dobrze, że nie ma poparcia, podążył ku Monteleone, stolicy prowincyi. Ale mieszkańcy Pizzo powstali przeciwko niemu i, puściwszy się w pogoń,

otoczyli małą jego drużynę, strzelając na nią w krętym wąwozie górskim. Dwóch towarzyszy tej istnie teatralnej wyprawy straciło życie, sam zaś Joachim chciał się ratować mordercem, do którego wskoczył, rzucając się z nadbrzeżnej skały. Statków jego już nie było, został więc aresztowanym. Wśród naśmiewań i naigrawań odprowadzono go do aresztu dla motłochu przeznaczanego. Po przybyciu generała komenderującego, z większą względnością obchodzono się z dotychczasowym królem, ale na wiadomość daną królowi Ferdynandowi, zwołaną została komisya wojskowa, która, na podstawie kodeksu karnego, w dniu 13 października wydała wyrok śmierci i konfiskaty majątku. Skazanemu dano czas do wypowiedzania się przed jednym z kanoników kapituły z Pizzo. Wieczór tego samego dnia został rozstrzelany przed drzwiami więzienia.

Czy sprawiedliwym był ten wyrok, albo raczej, czy król Ferdynand nie byłby lepiej zrobił, gdyby go był ułaskawił? Dzisiaj, gdyby który z potomków Ferdynanda usiłował to samo, co wówczas Murat, czyż nie uległby podobnemu losowi? Wielkie, dziwne są zmiany w dziejach świata!

Opis końca Murata zamknięty jest uwagą: „Jakże sprawiedliwymi są sądy Boże! Murat brał udział w egzekucyi księcia d'Enghien; on pobudzał do wywiezienia Piusa VII z Rzymu w r. 1809; on głównie współdziałał w przygotowaniu niesłusznej uzurpacyi w Hiszpanii. Niemniej występniemi były usiłowania i zakusy w r. 1815... Ale Bóg miłosierny, oby był przyjął jego pokutę i dał mu wieczny odpoczynek!...”

W przeciwieństwie do tych ostatnich uwag, nieszcześliwy Murat w liście ¹⁾, który napisał do żony, gdy już miał umierać, powiada: *Ma vie n'a été souillée par aucune injustice* („Moje życie żadną niesprawiedliwością skalane nie zostało“).

Wobec tego przedśmiertnego wyznania, cóż myśleć o przypisywanem mu współnictwie w zdarzeniach najmniej chlubnych dziejów Napoleona? Czy historia fałszywie sądzi jego intencje i czyny, czy też sąd jego własnego sumienia był fałszywym?

¹⁾ Cesar Cantu: *Histoire des Italiens*. Tom XI, str. 259.

Przypuszczać trzeba, że, podobnie jak każda rzecz ludzka, sąd historyi o ludziach owych czasów nie jest zupełnie sprawiedliwym, nie zupełnie zgodnym z prawdą, zwłaszcza w tem, co się odnosi do samych intencyj i do zakulisowych wpływów. Ale, że sumienia i wyobrażenia najwybitniejszych ludzi tej epoki, poczynawszy od głównego działacza, Napoleona, były dziwnie fałszywe, częstokroć zupełnie ze sobą sprzeczne, a zwłaszcza w postępowaniu z Kościołem i z Papieżem, to rzecz jasna. Nowożytny cesarz, chociaż uznawał Kościół, chociaż z jego Głową wszedł w układy, sposobem prześladowania nie wiele ustępował pogańskim cesarzom!

X. Franciszek Starowieyski.

(Dokończenie nastąpi).

Sprawy krajowe.

XXII.

Reforma wyborcza.

Wnioskami posłów Stapińskiego i Oleśnickiego została postawioną na porządku dziennym dyskusji publicznej sprawa reformy ordynacji wyborczej sejmowej. Organizacja prawa wyborczego jest zawsze rzeczą bardzo doniosłą, ale i bardzo niebezpieczną, bo ma ona zapewnić należytą finansową i polityczną kontrolę administracji, należytą akcyę ustawodawczą. Z drugiej strony może hasło reformy wyborczej stawać się powodem wielkiej agitacji, na cały okres walki, mącącej spokój w kraju. Ztąd pożądanem jest, aby w takiej sprawie zawczasu podjęto poważną dyskusyę. W tej myśli zamieszczamy sprawozdanie referenta sejmowego o obu powyższych wnioskach.

Od Redakcyi.

Sejm galicyjski wobec żądań zmiany ordynacji wyborczej nie stał na stanowisku negacyjnem; nie wiele lat upłynęło od chwili, w której licząc się ze zmienionemi stosunkami, uwzględniając rozwój niektórych miast, Sejm uchwalił reformę wyborczą, która o liczbę 5 pomnożyła manpaty miejskie, a dziesięciu miastom przyznała przedstawicieli w gronie poselskiem; ale chyba gorący nawet zwolennik rozszerzenia prawa wyborczego nie mógłby na re-

formę jaką proponuje wniosek posła Stapińskiego żądający t. zw. równych bezpośrednich wyborów. patrzeć inaczej jak sceptycznie — nie mógłby nie uznać, że nagły, bez żadnego przejścia przewrót, jaki urzeczywistnienie jej we wszystkich dziedzinach naszego życia publicznego wywołaćby musiał dla kraju, dla jego spokoju, dla jego normalnego rozwoju, byłby w wysokim stopniu niebezpiecznym. Nawet w krajach, w których powszechne prawo wyborcze, albo system do niego zbliżony zastosowaniem zostało, przejście to nie odbywało się nagle; w Anglii, która była kolebką konstytucyi i zawsze przodowała w tej dziedzinie, rozszerzenie prawa wyborczego postępowało stopniowo, — ostatnia reforma przeprowadzona została w r. 1885 a nawet ona nie oparła się na powszechnem i równem prawie, lecz stworzyła system, dla którego posiadanie własnego, stałego mieszkania jest najważniejszym kryterjum prawa wyborczego. To też komisya, uważając, że ten wniosek stanowczo idzie za daleko — bliżej i dokładniej zastanawiała się nad równocześnie powierzonym jej wnioskiem posła Oleśnickiego, bardziej umiarkowanym, który nie żądając całkowitej zmiany dzisiejszej ordynacyi pragnie uskutecznić reformy w następującym kierunku, a mianowicie: przez wprowadzenie kuryi ogólnej, w której uprawnionym do wyboru miałyby być każdy własnowolny obywatel państwa, który ukończył 24 rok życia, przez zastosowanie bezpośredniego sposobu głosowania, tak w tej nowo utworzyć się mającej kuryi, jak i w kuryi mniejszych posiadłości ziemskich, w której teraz obowiązującym jest system dwustopniowy — dalej przez zmianę głosowania jawnego na tajne, przez pomnożenie o 4 liczby posłów w kuryi czwartej. Wreszcie domaga się wniosek przyznania nowej V kuryi prawa do wybierania jednego ponad liczbę dotychczasową członka Wydziału Krajowego.

W nowo utworzyć się mającej kuryi wnioskodawca pragnie mieć zastosowanym system powszechnego, równego prawa głosowania. System ten, głoszony niegdyś jako najdoskonalsza forma systemu reprezentacyjnego, w licznych krajach zastosowany, nieodpowiedział oczekiwaniom swoich zwolenników, i dziś spotyka się wielokrotnie z krytyką.

System ten nie odpowiada przyrodzonemu organizmowi państwa, a wynik jego nie jest proporcjonalnym w sobie, ponieważ nie umie uszanować rozumu politycznego ani rzetelnej wartości, ani dotychczasowej pracy publicznej. Równy głos wszystkich, to — z wyjątkiem krajów o najwyższej kulturze, o doskonałej dojrzałości politycznej — żywe zawsze niebezpieczeństwo panowania tłumu niewykształconego nad intelligentną mniejszością. Panowanie liczby stawia synów wyżej niż ich rodziców, robotników niż pracodawców, niewykształconych niż mędrców, a reprezentacja ta nie jest reprezentacją wszystkich, lecz reprezentacją najsłabszych żywiołów i najmniej oświeconych. Poseł, wybrany przez całą ludność okręgu wyborczego, nie bywa w istocie rzeczy przedstawicielem niczym — gdyż przedstawiciel powinien być niejako obrazem tych, których zastępuje; poseł wprawdzie powinien przede wszystkim mieć na oku interesa ogólne, jednak zbliżenie do pewnych kół zawodowych daje mu możliwość realnej oceny potrzeb życia i obrony harmonijnego rozwoju — zbliżenie posłowi, wybranemu na podstawie systemu powszechnego głosowania bardzo trudne, gdyż nie może on dla spraw nieznanych mieć tego żywego interesu, który z natury rzeczy musi żywić dla spraw, jakie jego samego osobiście albo zawód jego własny obchodzą. Prawo wyborcze nie jest wcale przyrodzonym prawem, jest raczej obowiązkiem spełnienia funkcji państwowej — a władza pracodawcza może prawo wyborcze regulować podług istotnych potrzeb i niema obowiązku obdzielać niem wszystkich bez wyjątku obywateli. System powszechnych, równych wyborów, nie dozwala wybitnym indywidualnościom wysuwać się naprzód, jest korzystnym dla mierności, a hamulcem dla wybitnych talentów; przy jego zastosowaniu grozi niebezpieczeństwo, że wielka, szara masa, której zwykle brak prawdziwego, politycznego zrozumienia, ze szkodą interesów ogólnych, jedynie własny interes naprzód wysunie. Wszędzie, gdzie system ten wszedł w życie, spowodował znaczne obniżenie poziomu parlamentarnego; ludzie nauki, reprezentanci warstw średnich, wysoko wykształceni w pojedynczych zawodach, usuwają się, bo nie mają przystępu do manda-

tów powszechnego głosowania, któremi raczej bywają obdarczeni umiejący grać na nerwach i fantazyi tłumów i rozwijać wśród nich swój talent agitatorski. Obaj też panowie wnioskodawcy, oświadczając się za zaprowadzeniem bądź w zupełności, bądź też częściowo w jednej kuryi systemu bezpośrednich wyborów -- nie złożyli równocześnie dowodu, że dzisiejszy stan rzeczy jest złym i szkodliwym, że to, czego oni się domagają, będzie lepszem, że reforma ich sprawi, iż Sejm nasz lepiej i skuteczniej wykonywać będzie swoje zadania -- a dowodu tego złożyć nie mogli, bo jak już to wyżej wspomniano, system powszechnego głosowania nigdzie nie odpowiedział w zupełności zadaniu, a wielostronnie szuka się dziś środków, by przez rozmaite kombinacye i stopniowania wadliwości jego przynajmniej w części usuwać i łagodzić. To też w Niemczech odzywają się liczne głosy, wzywające do zarzucenia systemu powszechnego, równego prawa głosowania, zaprowadzonego tam przez ks. Bismarka nie jako wyraz praw ludu, lecz jako broń i środek dla celów politycznych, którego stron niebezpiecznych ten mąż stanu, jak świadczą jego Pamiętniki, bynajmniej sobie nie tail. W Ameryce system ten, obowiązujący w wielu poszczególnych Stanach, nie umiał zaradzić ani korupcyi w urządach, ani niezmiernym różnicom majątkowym, ani powstawaniu *trustów*, które po gruzach licznych egzystencyj, po ruinie całych warstw społecznych gromadzą w rękach jednostek fortuny o bajecznych, fantastycznych cyfrach.

Najbardziej zgubnie odczuwa ten system nowożytna Francya; jak niegdyś dopomagał on jednostkom do dostania się do władzy i był podstawą ich dyktatury, tak w czasach bliżej nas położonych głównie się przyczynił do obniżenia parlamentaryzmu w tym kraju, przyczynił się do zachwiania równowagi budżetowej nawet tak zamożnego państwa, spowodował niejednokrotnie, że ustawy o znaczeniu osobistem lub partykularnem mogły górować w Izbie paryskiej nad sprawami najwyższego, ogólnego znaczenia. „Dworaków nie szukać dziś w Wersalu“ -- woła francuski uczoney (M. Vandal w mowie wypowiedzianej na posiedzeniu Akademii francuskiej d. 24 grudnia 1897 r.) -- „rozbiegli się oni po naszych miastach i wsiach, po najskromniejszych sie-

dzibach władz okręgowych, wszędzie, gdzie powszechne głosowanie rozporządza mandatem i może przelać odrobinę władzy. Wiodą ze sobą zapowiedź rujnujących szczodroliwości, tworzenie niepotrzebnych urzędów, nierozważne pomnożenie robót publicznych — sposoby taniej popularności i przetarg wyborczy. W parlamencie są niejako szafarzami przyrzeczonych wspaniałomyślności, usiłując obdarzać swe okręgi na koszt równowagi budżetowej. Jestto tryumf ciasnego współzawodnictwa lokalnego nad interesem państwa, zwycięstwo powiatu nad Francją. Wraz z władzą zmieniło miejsce źródło wydatków — podnieta do rozrzutności zamieszkała w Izbie, a parlament, powołany do kontrolowania władzy wykonawczej, miałby teraz obowiązek kontrolowania przedewszystkiem siebie samego“.

Jeżeli system ten okazał się szkodliwym tam, gdzie parlament składa się z dwu Izb, z których druga może hamować zbyt szybkie tempo pierwszej i może naprawiać jej zboczenia, — czyż nie byłby bardziej niebezpiecznym dla naszego Sejmu, który korektywy Izby wyższej nie posiada? W parlamentach dwuizbowych, z dwóch sił, które ze sobą współdziałać i wzajemnie uzupełniać się powinny, Izba wyższa przedstawia ciągłość, Izba zaś niższa rozwój — gdzie mamy tylko jedną Izbę, ważnem jest, by obie te siły w jednym ciele prawodawczem zapewnione i należycie zespolone były.

Czy kraje, w których przekonanie doświadczeniem nabyte o szkodliwości powszechnego prawa wyborczego, wywoła dążność do cofnięcia się na drodze, o której szkodliwości się przekonano, zdołają naprawić swoje stosunki polityczne — to bardzo wątpliwe, bo zniesienie powszechnych wyborów, gdzie były w życie wprowadzone, mogłyby za sobą pociągnąć skutki bardzo nieszczęśliwe. Czyż nie rozsądniej więc, gdzie dotąd ten system nie znalazł zastosowania, wcale nie wprowadzać go w życie?

Projekt posła Oleśnickiego nie zarzuca istniejących dotąd kuryj wyborczych, pragnie tylko dodać do nich kuryj V ogólną i w niej zastosować system powszechnego głosowania, idąc za przykładem reformy wyborczej dla Rady państwa z r. 1896. Wszystko, co można w ogóle zarzucić temu

systemowi, wszystko, co wyżej przytoczonom zostało, odnosi się zarówno do częściowego zastosowania jego w poszczególnej kuryi, które, a zaprzeczyć temu nie można, jest negacją zasadniczych podstaw systemu kuryalnego, dodatkiem źle dostosowanym do organizmu wyborczego, dotąd obowiązującego, gdyż (rganizmu tych dwóch systemów w jednolitą całość związać nie zdoła. Ustawa państwowa z dnia 14 czerwca 1896 r., którą V kurya w Radzie państwa do życia powołaną została, a która prawdopodobnie była próbą, zdążającą do usunięcia kiedyś w ogóle systemu kuryalnego, w skutkach swych nie okazała się dodatnią. Równocześnie z pierwszymi posłami z powszechnego wyboru wkroczyły do Izby poselskiej w Wiedniu zarodki anarchii i upadku, na które od lat przeszło siedmiu lekarstwa znaleźć nie umiano, a jakkolwiek oplakanego stanu parlamentu wiedeńskiego nie można przypisywać wprost posłom wybranym z V kuryi, jednak niewątpliwą jest rzeczą, że niepokój, zamęt pojęć, rozluźnienie wszelkiej powagi — powagi władzy, powagi stanowiska, powagi wiedzy i inteligencji, które rozszerzenie prawa wyborczego na ludzi młodych, na ludzi politycznie nie wytrawnych, wówczas wywołało, a które objawiło się w niezliczonych wyrykach i przekroczeniach w czasie odbywających się wyborów, oddziaływały fatalnie na usposobienie wyborców także innych kuryj, że posłowie, wśród burzy tych i niepokoju wybrani, przynieśli ze sobą do Izby obrad parlamentu oddźwięk tych rozpasanych namiętności, przynieśli do niej gorączkę gwałtownej walki wyborczej. Skutki tego wzburzenia umysłów są wszystkim wiadome i bardzo godne ubolewania; rozszerzenie ówczesne prawa wyborczego bynajmniej nie przyczyniło się, jak to sobie zwolennicy ówczesnej reformy obiecywali, do nadania życiu publicznemu w państwie szerszych podstaw, do zadowolenia liczniejszych warstw ludności — przeciwnie, ostateczny wynik tejsze, nieubłagana obstrukcyja stała się negacją praw społeczeństwa, ułatwieniem rządów biurokracyi, nie pytającej się o głos tego społeczeństwa — drogą do unicestwienia parlamentaryzmu, jednym słowem do rządów absolutnych.

Od tym podobnych przejść należy uchronić naszą Izbę sejmową, której obrady cechowała i dotąd cechuje powaga

i spokój, wśród jakiego posłowie nasi wybrani na podstawie istniejącej ordynacyi z pożytkiem dla kraju, nie tracąc czasu na próżne swary, wśród pełnej godności dyskusyi zdolali obradować, załatwiali sprawy donośnego znaczenia niekiedy trudne i zawile, wydawali ustawy, dające świadectwo o ich dojrzałości politycznej.

W kraju naszym wprowadzenie w życie ogólnej kuryi tem mniej potrzebnem być musi, że w istniejących kuryach miejskiej i wiejskiej prawo głosowania bardzo szczerze wydzielonem zostało, a w niektórych wypadkach *census* wyborczy spada do tak niskiej cyfry, że omal nie równa się powszechnemu głosowaniu. Tak na przykład przy ostatnich wyborach do Sejmu w kraju naszym było uprawnionych do głosowania w kuryi miejskiej z tytułu opłacanego podatku 38.664 osób, pomiędzy nimi było 3.104, czyli przeszło 8%, takich, dla których wymiar podatku był niższy niż 8 koron; w kuryi wiejskiej na 573.716 uprawnionych z tego tytułu, 267.887 czyli przeszło 46%, miało podatek wymierzony niżej 8 koron; bardzo licznych znaleźć też można wyborców dla których cyfra podatkowa spada do 3 koron, a zdarzają się wypadki, w których nie wynosi więcej jak 83 h.

Równocześnie na Morawach w miastach wszyscy uprawnieni do wyboru z tytułu opłacanego podatku (36.637 osób) mieli wymierzony podatek powyżej 10 koron, i podobnie wszyscy wyborcy wiejscy uprawnieni z tegoż tytułu upłacali podatek powyżej 10 koron. (*Statistisches Jahrbuch der autonomen Landesverwaltung. III Jahrgang. 1903*).

W projekcie swoim poseł Oleśnicki proponuje dalej zastąpienie w kuryi IV pośredniego sposobu głosowania przez bezpośredni i ten ostatni sposób pragnie zastosować także w nowej kuryi ogólnej. Komisya również za tą zmianą oświadczyć się nie może; wielka, szeroka masa wyborców jest mniej zdolną znaleźć odpowiednią na posła osobistość, z łatwością jednak między towarzyszami swoimi oznaczyć zdoła tych, którzy ten wybór należyście zrobić potrafią. Przy wielkiej rozległości naszych okręgów wyborczych, przy szeroko, wskutek niskiego *censusu* wyborczego wymierzonym prawie wyborczem, pożądanem jest głosowanie dwustopniowe, które działa jak sito zostawiające u góry co najcel-

niejsze ziarno — ono też daje znacznie mniej pola do namiętnej i nie przebiegającej w środkach agitacji, wybory dwustopniowe odbywają się z reguły spokojniej, walka wyborcza bywa mniej gwałtowną. Niezapomnianym musi pozostać niestety ten fakt smutny, że gdy po raz pierwszy w kraju naszym zastosowano we wsiach bezpośredni sposób wyboru, namiętności tłumu do tego stopnia puściły sobie wodze, że funkcyjnaryusz państwa, przedstawiciel jego władzy i powagi, musiał życie poświęcić i zginął pod rękami rozpasanych wyborców.

Posel Oleśnicki domaga się dalej pomnożenia o 4 liczby posłów z mniejszych posiadłości ziemskich, celem wyrównania liczby mandatów z tej kuryi z liczbą istniejących w naszym kraju starostw. Komisya wyraża zapatrywanie, że gdy tworzenie nowych starostw należy wyłącznie do attrybucyj władzy wykonawczej, nie jest odpowiedniem i dla systemu reprezentacyjnego korzystnem stosować liczbę mandatów poselskich do liczby okręgów administracyjnych, inaczej bowiem egzekutywa zbyt łatwo, według chwilowej potrzeby, mogłaby przez dowolne kreowanie starostw wpływać na równowagę organizacyi wyborczej. Dlatego też zdaniem komisyi pomnożenie o 4 liczby mandatów z tej kuryi nie jest wskazaniem, a zdanie to znajduje poparcie w tej okoliczności, że gdy ostatnia reforma wyborcza pomnożyła o 5 liczbę mandatów miejskich, przyznała tem samem ludności odnośnych miast, którzy dotąd wybierali w kuryi posiadłości wiejskich, prawo 5 posłów z kuryi miejskiej, pozostawiła jednak niezmienną liczbę posłów reszcie wyborców z kuryi posiadłości wiejskich, których liczba zmniejszyła się o całą liczbę wyborców z tych miast, wskutek czego przewaga gmin wiejskich stosunkowo pomnożoną została.

Posel Oleśnicki domaga się wreszcie głosowania tajnego, zamiast dotąd używanego jawnego. Za jednym i za drugim sposobem przemawiają różnorakie względy. Pierwszy sposób chroni do pewnego stopnia od zewnętrznych wpływów — drugi wyrabia męską odwagę cywilną. Komisya mniema, że gdy na inne donioślejsze zmiany zawarte w projekcie posła Oleśnickiego godzić się nie może — zmiana głosowania jawnego na tajne jest zbyt małego znaczenia,

aby dla niej jedynej, częściową zmianę ordynacji wyborczej przedsięwziąć było wskazaniem. Gdy komisya z utworzeniem nowej kuryi w ogóle się nie godzi, odpada zarazem podstawa do pomnożenia o jednego członka Wydziału Krajowego, z tejsze kuryi wybierać się mającego.

Przyjdzie może w przyszłości chwila, w której większość Sejmu uzna za potrzebne i odpowiednie, a dla dobra kraju korzystne przystąpić do reformy dziś obowiązującej ordynacji wyborczej, czy to przez zamianę i przekształcenie istniejących kuryi na reprezentację korporacyjną najrozmaitszego rodzaju, czy przez zastosowanie reprezentacji stopniowej albo proporcjonalnej, czy w jaki inny sposób. Ale ta przyszła kiedyś reforma — to żądanie ani proste, ani łatwe, które nie da się spełnić pojedynczą formułką, bo chodzi tu o zapewnienie doboru i zespolenia sił, zdolnych do spełnienia wielkich zadań ustawodawstwa, kontroli i reprezentacji a w naszym ustroju także administracji autonomicznej i gospodarstwa krajowego. Dziś ta chwila jeszcze nie nadeszła, a stosunki nie są po temu. Nie cała ludność naszego kraju jest politycznie dojrzałą — część jej, niestety część znaczna, jest łatwo przystępna agitacyom, które bez słusznych powodów spokojną i stateczną z reguły ludność popychają do wybryków i wykroczeń — łatwowierną, bo przyjmującą za prawdziwe najniedorzeczniejsze nieraz i dziecinne baśnie, dającą się wzburzyć lada mowcy jarmarcznemu, lada studentowi na wakacyach.

Gdy rosnąca z dniem każdym oświata, gdy wzmagaający się już przy dzisiejszym systemie udział szerszych warstw ludności w życiu autonomicznem i politycznym zmieni te stosunki — niewątpliwie przystąpi Sejm do odpowiedniej reformy prawa wyborczego. A nim to nastąpi, może większość sejmowa, zawdzięczająca swój wybór dziś obowiązującemu systemowi wyborczemu, ze spokojem i zadowoleniem spoglądać na swą działalność czterdziestoletnią. Gdy się porówna stan kraju w chwili rozpoczęcia ery koastytucyjnej z dzisiejszym, każdy nieuprzedzony przyznać musi, że działało się bardzo wiele. Szkoły ludowe, szpitale, drogi, koleje żelazne, stosunki sanitarne z przed 40 laty, a dzisiejsze, jakże do siebie niepodobne! Zamiast porozrzucanych tu i ówdzie

szkólek o najniższym poziomie nauki — dziś zorganizowane, coraz bardziej rozwijające się szkolnictwo ludowe o programie nauk rozszerzonym; przed czterdziestu laty posiadał kraj nasz zaledwie parę dróg szutrowanych, rządowe gościńce wojskowe — dziś cała sieć dróg krajowych, powiatowych i gminnych wzorowo urządzonych przecina kraj we wszelkich kierunkach, umożliwiając rozwój ekonomiczny i podniesienie kultury; koleje żelazne dotarły do najdalszych zakątków kraju, powstały szpitale urządzone wzorowo, mogące niekiedy współzawodniczyć z najlepszymi zakładami zachodu; służba sanitarna krajowa niesie pomoc cierpiącej ludności. Zrobiło się wiele, zrobić trzeba jeszcze więcej; tą drogą będzie kroczyć dalej Sejm krajowy, a większość jego, spokojna w sumieniu, nie bacząc na niesprawiedliwość czynionych jej zarzutów, według najlepszej swej woli i wiedzy spełniać będzie swe wielkie zadanie!

W uwzględnieniu powyższych wywodów, komisya administracyjna wnosi:

„Wysoki Sejm raczy przejść do porządku dziennego

a) nad wnioskiem posła Stapińskiego o zaprowadzenie bezpośrednich, powszechnych, równych, bez kuryi wyborów do Sejmu krajowego, z dnia 6 października 1904 L. s. 574.

b) nad wnioskiem posła Oleśnickiego w sprawie zmiany statutu krajowego i sejmowej ordynacyi wyborczej, z dnia 1 października 1904 L. s. 180.

Michał Garapich.

Kronika literacka.

— Antoni Gustaw Bem: *Studia i szkice literackie*. Wydanie pośmiertne, ze słowem wstępnem Ignacego Chrzanowskiego. Z portretem autora. (Warszawa, nakładem Księgarni Nakładowej i przedplacicieli). — W polskiej bibliografii zbiory rozpraw literackich rzadsze są niż zagranicą, gdzie autorowie widocznie więcej dbają o swe krytyki i sprawozdania, po czasopismach rozprószone. To też pośmiertne wydanie *Studjów i szkiców literackich* zmarłego w r. 1902 autora książki o *Teorii poezji polskiej* Antoniego Gustawa Bema witamy przyjaźnie, bez względu na dalszy szczegółowy sąd o tym tomie i składających się na niego rozprawach. Wydawca p. Ignacy Chrzanowski usiłuje w Słowie wstępnem na ten sąd wpłynąć, co za niewłaściwe uważamy. Samej przedmowie jako takiej bynajmniej się nie sprzeciwiamy. Owszem, sądzimy, że była potrzebna a nawet określić możemy, co powinna była zawierać. Przedewszystkiem życiorys ś. p. Bema — ten byłby najwłaściwszym, najcenniejszym wstępem, następnie omówienie zasad, jakimi się wydawca w wyborze pozostałych po zmarłym pisarzu rozpraw kierował, wreszcie sprawozdanie z tych studyów, których z powodów poprzednio wyluszczonych w niniejszej książce nie zamieścił a które przecież pewnemi, choćby mniej ważnemi rysami uzupełniają portret krytyka, wyglądający z po za szkiców w tomie wydrukowanych. W jakim stosunku pozostaje w rzeczywistości Słowo wstępne do powyższych życzeń? Pierwsze, najwybitniejsze, spełnia pobieżnie i lekceważąco: daje biografię i bibliografię, ale spycha ją na dół poniżej tekstu, do uwag drobnemi czcionkami wydrukowanych. Drugi postulat również nie dostatecznie załatwiony, chociaż należało mu tem więcej starania poświęcić, że zmarły sam za życia przygotowywał wydanie swoich studyów, wyboru dokonał, nie zyskawszy jednak w tej sprawie uznania p. Chrzanowskiego, który kilka tylko rozpraw z zamierzonej do urzeczywistnionej edycji przeniósł, resztę wykluczył, zastępując je innemi. Na jakiej podstawie? „Recenzje

uznałem za właściwe pominąć, dodałem natomiast następujące szkice i studia i t. d.“ — to całe wytlómaczenie, zupełnie niewystarczające. Trzeciej wreszcie części zadania wydawca wcale się nie ima: o pominiętych studiach czy recenzjach nie ma w przedmowie ani słówka. Natomiast lwia jej część stanowi co innego: wywody leżące po za zadaniem najbliższym wydawcy. Oto p. Chrzanowski „stara się na podstawie studyów literackich Bema wykazać jego zasady i poglądy, jakim w swej krytyce hołdował“ oraz „wartość jego krytyk i rozbiorów“. Przedsięwzięcie, w innych warunkach godne uznania, na tem miejscu wydaje nam się zupełnie niepotrzebnem a nawet szkodliwem, szkodliwem — jak zobaczymy — i dla rzeczy samej i, wbrew intencji autora, dla pamięci zmarłego pisarza. Gdy prof. Chmielowski, wydając w dwóch wielkich tomach pisma krytyczne Aleksandra Tyszyńskiego opatrzył je obszernym „zarysem biograficzno-literackim“, nikt się nie gniewał, nikt o sugerowaniu i narzucaniu sądu nie mówił, chociaż wydawca mówił tam i o Tyszyńskiego „zasadach i poglądach“ i o „wartości jego krytyk i rozbiorów“. Z dwóch przyczyn: raz dlatego, że Tyszyński, zmarły przed ćwiercią wieku, może być już poniekąd widziany w dziejowej perspektywie, sądy o nim ustalające; powtóre zaś dlatego, że Chmielowski, pisząc zarys biograficzno-literacki w całym, pełnym tego słowa znaczeniu, musiał także i o poglądach i o wartości krytyka obszernie mówić, zwłaszcza, że przedmowa a raczej osobna monografia miała i może zadosyćuczynić potrzebie poznania Tyszyńskiego, odczuwanej i przez tych, którzy z tych lub owych powodów kilkudziesięciu arkuszy rozpraw Tyszyńskiego nie czytali. Inaczej jest w naszym wypadku: Bem, zmarły przed dwoma laty, jest jako krytyk w świeżej pamięci tych, którzy wogóle krytyką literacką się zajmowali nie od dzisiaj tylko; tych zebranych prac jego jest ostatecznie tak niewiele, iż każdy, kto chce wogóle poznać jego poglądy, ocenić wartość jego rozbiorów, z łatwością przeczyta te studia a potem z jeszcze większą łatwością na ich podstawie, jak p. Chrzanowski, dojdzie do sądu o nich. Zapelnienie Słowa wstępnego tem tylko niemal jest nie ułatwieniem sądu czytelnika, lecz podsunięciem mu swego własnego. To szkodzi rzeczy, nie pomaga i pamięci krytyka. Czytelnik obruszony na wydawcę za te usiłowania uprzedzenia jego zdania gotów iść w nieufności za daleko, gotów może jednostronnie i apriorystycznie zwracać uwagę na te szczegóły i dowody, które narzuconemu sądowi się sprzeciwiają, a takich szczegółów i dowodów znajdzie wiele.

Że Bem był krytykiem pracowitym, chciał być sumiennym, to niewątpliwie widnieje z kart tego tomu. (Ponieważ nie zamierzamy omawiać szczegółowo wszystkich rozpraw, wymieniamy ich tytuły: *Grzegorz z Sanoka*, *Śmielsze błyski humoru satyrycznego*, „*Wizerunek*“ *Reya*, *Stanisław Trembecki*, *Obywatel*

polski z doby romantyzmu, Józef Bohdan Zaleski, Echa messyanistyczne w literaturze polskiej, Andrzej Towiański, Adam Belskiowski, Adam Asnyk, Adam Pług, Flixa Orzeszkowa). Gdzie chodzi o żmudną pracę w wyszukiwaniu na przestrzeni dziejowej rozsypanych a należących do siebie szczegółów, gdzie chodzi o drobiazgową analizę danego utworu literackiego, tam zawodu się nie doznaje. Tak n. p. pouczającym jest szereg przejawów messyanistycznego poglądu na rolę Polski w świecie, gdzieś od Długosza i Ostroroga, poprzez Skargę i Kochowskiego do Woronicza, Brodzińskiego i epoki rozkwitu tych zapatrywań. Taksamo badając śmieszne błyski humoru satyrycznego w przełocie paru wieków, Bem prowadzi czytelnika z wolna a ostrożnie, chociaż tutaj już widzimy, że brak mu zmysłu dobrego rozłożenia i ugrupowania materji, a szkodzi mu z drugiej strony skłonność ostrego zaznaczenia różnic tam, gdzie ich nie ma lub są słabe n. p. w danym wypadku odróżnienie „chwiejskości typowych przedstawicieli humoru satyrycznego (jak Kochanowski, Kochowski, Krasicki) a doniosłego stanowczego głosu idących za europejskimi prądami, samodzielniejszych jednostek (Rey, Węgierski)“. Nie posiada Bem nawet w niskim stopniu daru uchwycenia zasadniczych cech wieku, postaci literackich, nie jest zdolnym portretować nawet najwybitniejszych jednostek. Tak n. p. rozprawa o Asnyku, prócz rozbioru paru liryk, nie przynosi nic; podobnie jest i ze studjami o Towiańskim (cennem jest tylko historyczne przedstawienie działalności „mistrza“) lub o E. Orzeszkowej. W sądach i hipotezach Bem nie zawsze był szczęśliwym. Jeśli p. Chrzanowski poczytuje mu za zasługę strącenie Grzegorza z Sanoka z tronu, na którym podobano się posadzić go „Włochowi-przybłędzie“ (*sic*; mowa tu o Kallimachu) i skwapliwie notuje, iż „powyższy pogląd autora na Grzegorza z Sanoka pozyskał sobie najzupełniejszą aprobatę znakomitego znawcy cywilizacji średniowiecznej X. prof. Fijałka“ — to ten sam p. Chrzanowski w adnotacyach stwierdza, że n. p. *Rusałki* Zaleskiego, nazwane przez Bema „najoryginalniejszym poematem Bohdana“, są w rzeczywistości utworem wcale nie oryginalnym, bo z Uhlanda wziętym; a czy „rehabilitacya Węgierskiego“ jest istotnie „słuszną“, czy słuszną jest ocena *Monachomachii* Krasickiego? Gorszem jeszcze, najgorszem jest zaciemnienie i skrzywienie sądu pod wpływem panicznego strachu przed „Rzymem“ i t. zw. wstecznictwem. Jak nie czerwona wije się to uczucie niemal przez wszystkie karty książki, decydując zawsze o poglądach Bema na jakiś prąd, autora lub dzieło. Parę przykładów dowolnie z bogatego materiału wybranych. A więc w rozdziale o Skardze mówi się, że „Złotousty ciężko pomylił się w swych rozumowaniach, uależniając byt i rozwój Rzeczypospolitej od stopnia jej uległości względem słońca rzymskiego — patryotyzm od ultramontanizmu, pomyślny

życie narodu od pożerczej siły, która w imię Chrystusa tamuje postęp i wszelkie cechy etnograficzne zaciera“. Więć, potępiony zresztą towianizm, „o tyle dzisiaj zasługuje na dobre wspomnienie, jako głośny pozew, przybity na bazylice św. Piotra, pociągający ją do odpowiedzialności przed trybunał ludzkiego uczucia“. Więć, w rozprawie o Zaleskim czyta się raz, że jego „liryki, noszące na sobie wyłącznie cechę religijną, są wyrazem polskiego pietyzmu, który ujemny jedynie wpływ na społeczeństwo wywarł“, a nie wiele dalej, że poeta w *Duchu od stepu* „prześcięsnął wszystkich naszych poetów *z pod ciemnej gwiazdy*, wszystkich najzagorzalszych apostołów obskurantyzmu, chociaż przez apoteozę średnich wieków zbliżył się do wielu, a między innymi i do atoura *Niedokończonemu poematu*, Zygmunta Krasieńskiego“ (a więc Krasieński to też „poeta *z pod ciemnej gwiazdy*, apostoł obskurantyzmu“!). Bem tak jest opanowany nienawiścią Kościoła, że trzeźwy zresztą i do konjunktur niepohopny, w studium o *Monachomachii* takie wypowiada przypuszczenie: „...Mimowoli rodzi się pytanie: czy to jest rzeczywiście satyra, przeciwko klasztorom tylko wymierzona? Przytaczamy dla przykładu jedną, niewinną napozór zwrotkę z księgi I-ej:

W tej zawołanej ziemiańskiej stolicy
Wielebne głupstwo od wieków siedziało;
Pod starożytnem schronieniem świątynicy
Prawnych czcicieli swoich utuczało.
Zbiegał się wierny lud, a w okolicy
Wszystko odgłosem uwielbienia brzmiało.

Zapomnijmy na chwilę, że owa „zawołana stolica ziemiańska“ przedstawia tu skarykaturowany nieco typ miasteczek polskich, leżących na granicy między wsią a miniaturowym grodem; przenieśmy tę świętą osadę nad Tyber i nazwijmy ją Roma“. W *Xeniach* jest ironiczne wezwanie:

Im Auslegen seid frisch und munter!
Legt ihr' nicht aus, so legt was unter.

Bem poszedł dalej: nie zadowolniając się, że „miasteczko polskie“ jest dostatecznym wyjaśnieniem, „nazwał je Roma“, bo to straszne słowo zawsze mu koło ucha brzmiało. A p. Chrzanowski mówi o „doskonałym rozbiórce *Monachomachii*“ i wylicza go między „trwałymi wkładami naukowemi, dokonanemi przez Bema“. Oczywiście krytycy wyznający „obskuratyzm“ są równie znienawidzeni, jak wspomniani już „poeci *z pod ciemnej gwiazdy*“. Jak o tych mówiąc, Bem, zazwyczaj spokojny, w wysłowieniu używa namiętnych wyrażań, tak o tamtych wspomina z nielicującą z suchym wykładem ironią. N. p. rehabilitując Węgierskiego,

który jego zdaniem „mógł się stać epokową gwiazdą piśmiennictwa“, mówi: „Żywy odgłos oburzenia, jakie niegdyś wtórowało sarkastycznym wierszykom nieszczęśliwca, znajdujemy w pseudo-portrecie literackim, skreślonym ręką... wiecie przecież czyją“, do czego p. Chrzanowski dodaje notatkę, że Bem ma tu Lucyana Siemińskiego na myśli. Na innym miejscu, polemizując z pewnym poglądem p. Belcikowskiego, pisze: „Teza nosi na sobie tak wyraźną cechę konserwatywnej śniedzi i niezadowolonego z wszelkich zmian safandulstwa, że gotowiliśmy ją przypisać bezpośredniemu wpływowi jakiejś powagi starego autoramentu...“ Domyślników Bema p. Chrzanowski tym razem nie wypełnia.

O tem namiętnem zwalczaniu „Rzymu“ i „obskurantyzmu“ mówimy na końcu sprawozdania o książce Bema, chociaż uważamy je za bardzo wybitną tych studyów cechę. Ale zdaje się nam, że właśnie ten nastrój, z uporem w każdej jego pracy wracający i na każdej wybijający swe piętno, w sądzie o wartości ich gra znaczną rolę. A rozstrzygnie on i o losach tych szkiców literackich. Nie „konserwatywna śniedź“, ale właśnie paniczny strach i szalona nienawiść klerykalizmu, wietrzenie go tam, gdzie go nie ma, to jedna z cech „powag starego autoramentu“. Żaden szanujący się krytyk, żaden krytyk „nowego autoramentu“ nie patrzy już na pisarzów i dzieła z tego punktu widzenia. Kto na każdym kroku badań literackich widzi widmo „Romy“ czy „obskurantyzmu“, ten „powagą nowego autoramentu“, krytykiem obecnego pokolenia i tych, które po niem według ludzkiego prawdopodobieństwa przyjdą, nie jest, nie może być. Spóźnił się co najmniej o lat sto. *Dr. J. Płach.*

— *Goethes Leben und Werke.* Von Ludwig Geiger. (Leipzig, Max Hesses Verlag). — Dobrze w germanistycznym świecie znane nazwisko wydawcy *Goethe-Jahrbuch* i weimarskiej pomnikowej edycji dzieł wielkiego poety, usposabia przychylnie do tej niewielkiej książki. Zważywszy, że wchodzi ona do popularnego zbioru *Max Hesses Volksbücherei*, spodziewamy się w pracy p. Ludwika Geigera znaleźć dobrą, może doskonałą monografię poety, z przeznaczeniem, jeśli nie wyłącznem, to osobliwem dla szerszych kół: a więc sądzimy, że będzie tu w łatwej formie podane streszczenie, ostatnich wyników nauki, o ile one się ustaliły, streszczenie dokonane ręką raczej kompilatora, niż samodzielnego badacza. Taką książkę mogliśmy w dwóch, trzech zdaniach czytelnikom zalecić i na tem koniec, bo szczegółowe sprawozdanie z popularnych kompilacyj, zwłaszcza obcych, w tem czasopiśmie nie byłoby na miejscu.

Tymczasem jednak już po przeczytaniu pierwszego rozdziału widzimy, że *Goethes Leben und Werke* nie jest sumiennem powtórzeniem obcych poglądów *ad usum* ogółu czytelników, lecz pracą czysto indywidualną, posiadającą niewątpliwie wady, jakich popularna kompilacja zręcznie dokonana zazwyczaj nie ma, lecz z drugiej strony i zalety, daremnie poszukiwane nietylko w książkach dla ogółu, lecz i w wielu poważnych, z naukowego stanowiska pisanych dziełach. I dlatego, dla tych osobistych właściwości książki, jest tu o niej mowa.

W Przedmowie autor tak określa swoje zadanie: „Nie biografia w zwykłym znaczeniu, t. j. wyłącznie dokładne przedstawienie zdarzeń życia Goethego, lecz wprowadzenie w zrozumienie jego dzieł i jego istoty, jest moim celem. A właśnie szeroka publiczność, dla której rzecz jest przeznaczoną, myli się, przez biografów umyślnie czy bezwiednie w tej omyłce podtrzymywana, sądząc, że do istotnego poznania Goethego potrzebna jest dokładna (*intime*) znajomość jego stosunków miłosnych, warunków i jego prywatne stosunki. To jest niewątpliwie warunkiem bliższej znajomości i pominięciem być nie może. Daleko ważniejszym jednak od tych szczegółów jest pouczenie o stanowisku mistrza względem polityki i religii, wyjaśnienie jego znaczenia w liryce, w dramatycznej i epickiej poezji, zapoznanie z jego poglądami na historię, przegląd jego własnych historycznych prac, także ocena sposobu, w jakim pisał listy, a układał pamiętniki...“ W myśl tej teorii p. Geiger dzieli rzecz na dziewięć rozdziałów, których kolejne napisy są: *Życie, Polityka, Religia, Liryka, Sztuka, Dramaty, Epika i opowiadania, Historia, Listy, Rozmowy i pamiętniki*. Wady tego podziału same rzucają się w oczy obserwatora: naprzód ma się mu do zrobienia te wszystkie zarzuty, które zwalczają każdy w ogóle zbyt mechaniczny podział; potem gniewamy się na konieczne przy takim podziale powtarzanie się: n. p. o Goethem z okresu strassburskiego mówi się w czterech czy pięciu ustępach rozdzielenych od siebie; nie podoba się i odrzucenie w zakresie poszczególnych rozdziałów porządku chronologicznego: tak n. p. w ustępie o dramatach *Goetz* jest prawie na samym końcu, po *Ifigenii* i po *Tassie*; wreszcie pytamy ze zdumieniem, gdzie — jeśli już miały być rozdziały o rozmaitych materyach — gdzie jest rozdział o Goethem, jako badaczu przyrody? Nie ma go, i w ogóle ta strona działalności Goethego pominięta niemal zupełnie; dość powiedzieć, że o badaniach przemian roślin jest tylko kilka słów okolicznościowych, o osteologii nic, a o teorii barw tylko w rozdziale o Historii.

Te braki dowodzą, że książka p. Geigera ani ogółowi czytelników, ani wykształconym zastąpić innych monografij nie może. Ale jeszcze więcej znajdzie się dowodów twierdzenia, że może ona je z korzyścią dla jednych i drugich czytelników uzupełnić.

Zaraz w pierwszym rozdziale, o życiu poety, obok zlekceważenia — zresztą w myśl Przedmowy — osób tak ogromnie wiele znaczących w rozwoju istoty Goethego, jak Fryderyka von Brion lub nawet Charlotte von Stein, mamy obszerny a bardzo cenny ustęp o Chrystyianie Vulpius, zrazu kochance, później prawej małżonce: cenną jest już sama obrona tej kobiety, dopiero co po raz setny przez p. Möbiusa błotem obrzuconej; a przecież w tej sprawie wina, która była niezaprzeczenie, leżała nie po jej, ale Goethego stronie. P. Geiger opowiada żywo o miłości Goethego i Chrystyiany, charakteryzuje trafnie jej poczciwą, prostą duszę, echa stosunku w wierszach Goethego w *Rzymskich elegiach*, w *Weneckich epigramatach* i w tym najpiękniejszym pomniku, w napisanym w rocznicę jej śmierci czterowierszu:

Gatte der Gattin.

Du versuchst, o Sonne, vergebens,
Durch düstre Wolken zu scheinen,
Der einzige Gewinn meines Lebens
Ist, ihren Verlust zu beweinen.

Ze szczególną ciekawością czyta się o usiłowaniach Goethego, by kochanej kobiecie zapewnić szacunek wśród weimarskiego towarzystwa. Od początku drugiego rozdziału widzi się, że ten podział według materij przecież ma pewne dobre strony, dozwalając autorowi na przedstawienie wszechstronne jednego momentu i wyodrębnienie go z grona innych. Przytem tu i ówdzie niejeden mniej znany szczegół może być dokładniej, dobitniej pokazany. Tak n. p. ustęp o politycznych przekonaniach Goethego, szczególnie o zachowaniu się wobec Rewolucyi francuskiej, przynosi rozbiór mało znanego fragmentu, dopiero w r. 1895 ogłoszonego: *Das Mädchen von Oberkirch*, rozdział szósty zaś zupełnie nieznanne szczegóły o przeróbce szekspirowskiego *Romea i Julii*, w r. 1812 dla weimarskiego teatru sporządzonej, a nie objętej żadnem wydaniem dzieł poety, prócz weimarskiego, dla szerszych kół mało dostępnego. Już współcześnie przeróbka wywołała sprzeczne zasady; wdowa po Schillerze zachwycała się nią, inni woleli zachowanie jej w ukryciu. P. Geiger raczej po stronie tych ostatnich staje, wskazując, jak dowolnie Goethe „poprawiał“ Szekspira; wprost niespodzianką jest n. p., że w przeróbce dramat kończy się długą nudną oracyą moralizatorską.

Najwybitniejszą częścią książki jest jednak ostatni rozdział o *Listach, rozmowach, pamiętnikach (Tagebücher)*. Ten ustęp w monografiach Goethego stoi *hors concours*: nie tylko pod względem matematycznego stosunku ($\frac{1}{4}$ całości), ale i bezwzględną dokładnością nie może się z nim równać omówienie tych materij w żadnej innej książce o Goethem. Wobec tego nie bie-

rze się autorowi za złe, iż na początku dowodów ważności tych spraw szuka również i w statystyce, wymawiając zaiste imponujące liczby: 10.000 listów samego Goethego, tworzących czterdzieści tomów, a więc $\frac{2}{3}$ objętości właściwych dzieł, 1.800 rozmów spisanych, 13 tomów zapisków dziennych. Co p. Geiger mówi o znaczeniu i wartości listów wobec stwierdzonej prawdziwości Goethego, jest słusznem; słusznem a ponadto i nowem jest określenie roli korespondencyi w przedstawieniu rozwoju języka i stylu poety; nawet ta okoliczność, że w późniejszym czasie przeważna ich część powstała pod dyktatem tylko, a nie pod ręką Goethego, znaczenia im nie ujmuje, chyba dodaje: są one tem swobodniejsze w tonie, że nie były wynikiem fizycznego trudu i zmęczenia piszącego. Po tych ogólnych uwagach idzie szczegółowy rozbiór listów porządkiem adresatów, a więc od Behrischa, lipskiego towarzysza, do Wilhelma von Humboldt, a przy tej charakterystyce korespondencyi p. Geiger określa i cechy stosunku wiążącego Goethego z adresatem. O przyjaźni z Schillerem tak się znacząco wyraża: „... Aczkolwiek ten związek był ścisłym, nie można go jednak nazywać związkiem na całe życie (*Lebensbund*). Jest czysto duchowym; brak mu właściwego osobistego życia... Ten brak pochodzi stąd, że się obaj za często widywali już w tych latach, gdy Schiller w Jenie przebywał, jeszcze bardziej, gdy mieszkanie przeniósł do Weimaru, korespondencya więc często dawała tylko echa rozmów lub tematy zebrań, które się odbyć miały. Podczas długiego okresu ścisłego związku (*Intimität*) starszy z nich raz tylko na dłużej był nieobecny, 1797 r. w południowych Niemczech i Szwajcaryi bawiąc, ale i z tej kilkumiesięcznej podróży pochodzące relacye podobniejsze są do programu prac i kroniki, niż do spowiedzi, wypływającej z głębi serca i będącej potrzebą życia. Zdaje się nam, że dostrzegamy, jak tu o przeciwieństwach raczej się milczy, niż je wyrównywa; czuje się pewne powstrzymywanie się przed odślonieniem najgłębszej jaźni, nie dlatego, jakoby pomiędzy oboma nimi panowała zupełna harmonia, w której nie potrzeba wyjaśniać pewnych rzeczy, lecz dlatego, że między nimi leży coś niewypowiedzianego, czego żaden tknąć nie chce... Prawdziwy, orzeźwiający ton serdeczny nie zjawia się nigdy zupełnie i nie zawsze pomiędzy dwoma samotnikami“.

Ostatnia karta książki dowodzi, że autor i w wyborze źródeł i dzieł pomocniczych szedł nie utartym szlakiem, ale własnymi drogami. I to jest najlepsze, najtrafniejsze określenie całości, dla jakiejś „ludowej księżnicy“ niewątpliwie niestosownej, dla wykształconych i czytanych bardzo pożądaney.

Dr. J. Flach.

— „Les Grands Ecrivains Français“. *Alexandre Dumas père*, par Hippolyte Parigot. (Paris, 1902, Librairie Hachette et

Cie.). — Niezmałona cisza panuje dziś około nazwiska Dumasa ojca. Romans starzeje się w ogólności dość szybko, ale romans Dumas nietylko zestarzał się, ale popadł nawet w zapomnienie. Nawet ci, którzy, jak autor omówić się mającego studium, wyznają pewien rodzaj pietyzmu dla niewyczerpanego narratorsa, przyznają, że dziś Dumas nie mógłby być brany na seryo. Ci sami krytycy zaznaczają przecież, że nazwisko Dumasa ratuje z zapomnienia dramat, ten dramat mniej znany i ceniony za granicami Francyi, a przecież nie bez wartości i uroku na scenie. W ramach dramatu musiał Dumas zachować pewną niezbędną zwięzłość, nie mógł swym zwyczajem rozlewać się szeroko a płytko, miał instynkt sceniczny, którego w tym stopniu nie posiadał żaden z romantyków a który na scenie cenniejszy jest nad wszystkie inne. Jego bohaterowie działają naprawdę, intrygi krzyżują się nieustannie i wywołują nieustanne starcie się charakterów, charaktery nie są pogłębione należycie, ale mają pewien pozór prawdopodobieństwa, formułkowość, ale i życie, dużo frazesów na ustach, ale i temperament. Pojęcie miłości jako uczucia wyższego nad obowiązki, prawa, moralność, pojęcie czysto romantyczne wyobrażają jego osoby często w sposób bardzo charakterystyczny i wymowny. Okropności fabuły, sceny brutalne i krwawe psują wprawdzie wiele, tem więcej, że z tych zapasów ponurych nie wynika żadna myśl moralna, żadne uczucie subtelniejsze, ale jest ruch na jego scenie, jest nieco historycznej intuicyi, jest szereg rysów właściwych nastrojowi epoki, w której atmosfera była bardzo zapalna a w której wyobraźnia nie miała granic a uczucie więzów. Trzeba przenieść się w tę epokę, by zrozumieć jej dzieła i psychologię.

Urodził się głośny dramaturg i romansopisarz w Villers-Cotterets z ojca margrabięgo, matki pochodzenia dość niskiego, mając za babkę a matkę ojcowską murzynkę z Saint-Domingue. Wzrósł w samym zaraniu wieku, kołysany opowiadaniem o wypadkach nadzwyczajnych, które przybierają niebawem kształty legendy. Im więcej Bourbonowie byli spokojni, tem bardziej epopea napoleońska świeciła blaskiem niewymownym i przemawiała do wyobraźni mas. Ojciec słynął z siły fizycznej w armii, gdzie zajmował stanowisko generała dywizyi — syn ma również kult heroizmu, siły, czynów rycerskich, o czem świadczą zbyt nawet jego romanse. W dzieciństwie przebywał w okolicy bardzo lesistej i zdrowej, co przyczyniło się do jego rozwoju fizycznego. Miał herkulesową budowę, dużo miłości własnej, wielką wrażliwość, temperament zapalny i skłonny do ostateczności. Będzie istotną siłą natury, zamkniętą w konwenansach literackich. W młodości czytywał wiele romansów i opowiadań bajecznych, zapalał się do rzeczy sentymentalnych, do Szekspira, ballad niemieckich i Schillera; nieco później zaznajomił się dobrze z teatrem, starożytnym i nowym, a aktor Talma dał mu wyobrażenie, jak na-

leży odtwarzać dawno zmarłych żywe twarze. Pochłania jego grę oczyma, uszyna, całą duszą, żądną wrażeń silnych i wstrząsających. Dodajmy do tego sarkazm Byrona, którego podziwiał więcej niż lubił i wpływ modnego wtedy melodramatu, a kultura literacka Dumasa będzie skończoną prawie zupełnie. Brak jeszcze tylko w niej Waltera Scotta, który nauczył go odtwarzać przeszłość i stanowił dla niego wzór do końca życia. Odtąd historię jego życia stanowić będzie urzeczywistnienie tego, czego jego epoka pożądała najwięcej. Dramaty, komedye, romanse historyczne, romanse awanturnicze, romanse namiętności, wrażenia z podróży, pamiętniki, opowiadania, nowelle posypią się jak z rękawa i zdumieją współczesnych mnogością i inwencją.

Trwa ta szalona twórczość lat czterdzieści, a jej motywami: żądza sławy i potrzeba pieniędzy. Wyobraźnia gra w niej rolę wyłączną i zużywa się dopiero po długim wysiłku. W istocie Dumas, jako dramaturg, prowadzi tylko dalej dzieło swych poprzedników. Już Corneille, Crébillon, Voltaire, Mercier szukali tematów, któreby swą treścią petrafiły odrazu podrażnić ciekawość publiczności: namiętności musiały być bardzo gwałtowne a koloryt lokalny wierny, choć zakreślony szerokimi rzutami pendzla. Wszystko nie może być zapowiedzianem z góry, jak w tragedji pseudoklasyckiej; dramat musi interesować do końca, przyciągać scenami bardzo namiętnymi, posiadać osobistości prawie konwencyonalne, któremi są marząca i czuła bohaterka, srogi i potężny mąż, rozkoszny i męczeński kochanek. Dodajmy do nich niezwykłego awanturnika, a spostrzeżemy, że ta lista będzie się powtarzała stale i ciągle. Ten ostatni zwłaszcza pochlebiał wybujałemu indywidualizmowi epoki i drwił sobie z wszelkich przeszkód fizycznych i moralnych, z historii nawet. Ale Dumas wprowadził także nowy motyw, którym jest cudzołóstwo. Powtarzać się on będzie przez cały wiek w różnych odmianach i zawsze napełniać dreszczem łoże i parter. A ponieważ krytyk wierzy silnie w prawo ewolucji literackiej, więc przodka świetnych awanturników widzi już u Beaumarchais'ego. I prawdą jest, że mają oni jego zapał, śmiałość, zuchwałość nawet, ale przedstawiają tylko siebie, gdy Figaro jest jedynie obrońcą wolności wobec despotyzmu, równości wobec przywilejów. Beaumarchais zawarł w nim wszystko, co myśleli Encyklopedyści, a choć myślał właściwie o sobie, nie przestał być symbolem dążeń mas. Tak on, jak i bohaterowie Dumasa, są typem tych licznych awanturników, frazesowiczów i lubiących wielkie gesta, od których roi się świat dzisiejszy. Dumas nie pogardza scenami najbardziej brutalnymi, by tylko wstrząsnąć nerwami i osiągnąć wrażenie wszelkim kosztem. Krytyk broni swego autora przed zarzutem industrializmu. Ale argument, którego używa jest tak słaby, że znana opinia Brandesa utrzymuje się w całej pełni i sile.

Dumas próbował się też w komedii z pewnem powodzeniem; miał dowcip jowialny, bez śladu goryczy, uderzał na rozmaite przesady i śmieszności zręcznie i z wprawą, zadziwiał werwą, kryjącą świetnie nicość treści. Najwięcej stworzył komedij historycznych, w których bądź co bądź znać potrzeba zmysł teatralny, intrygę przeprowadzoną mistrzowsko, efekty nader oryginalne i niespodziewane. Co się tyczy romansów historycznych, wywodzą się one wprost od Walter-Scotta. Około r. 1820 szukano wszędzie prawdy dotykanej prawie i działającej na zmysły. Ta prawda nie była może zgodna z historią, ale dawała jej złudzenie, wizję, objawienie malownicze i pociągające. Formuła była, należało ją tylko stosować. Dumas nie umiał odtworzyć dziejów, miał jednak rozmach, wesolość, żywość, dowcip, które wystarczały, by stworzyć romans popularny. Wyzyskiwał obficie wtedy wydawane materyały historyczne i traktował historię jako dekorację, służącą do odtwarzania dramatów namiętności. Starał się wniknąć za kulisy historii i odgadnąć ich tajemnice; miał w tym kierunku dużo intuicyi i choć nie odgadł całej przeszłości, pokazał jej niektóre strony zręcznie i przemyślnie. Z kilku uwag pani de la Fayette wydobywał całe sceny i opowiadania, które, o ile dotyczą zwłaszcza wieku XVII, nie są pozbawione prawdopodobieństwa. Współpracownikiem jego był niejaki Maquet, wielki erudyt i mól książkowy, dostarczający materyału romansopisarzowi.

Wiadomo ogólnie, że Dumas lubował się zwłaszcza w bohaterach o odwadze niesłychanej, silnych fizycznie i dokonywujących cudów nadzwyczajnych. Mają oni pewne cechy rasy francuskiej, wyolbrzymione tylko i powiększone niezmiernie. Krytyk nazywa je okazami narodowej energii, które długo zjednywały sobie szerokie koła czytelników. Kochają gwałtownie, druzgocą tłumy przeciwników, walczą, jak Porthos, z samą naturą nawet. Na wyobraźni nie brak nigdy pisarzowi, a ta wyobraźnia przypomina pod wielu względami tych niewyczerpanych narratorów wieków średnich i Renesansu, których celem było bawić nieco naiwnych czytelników, dla nich przeznaczony jest jego romans prawdziwie popularny i fejetonowy. Gdy zaś historia nie wstrzymuje jego zapędów, narrator wpływa już wprost na morze nieprawdopodobieństw i opowiada historie niesłychane, w czem dzielnie dopomagają mu Maquet, Leuren, Locroy, Bourgeois, Romand, Maurice. Tu szarlatanizm wchodzi w grę na dobre, a przed oczyma ciekawego czytelnika przesuwają się ciągle wypadki nieoczekiwane, ponure zameczyska, tajemne spiski, dalekie podróże, świetne salony, jaskinie morderców i tym podobne fantasmagorie. Zapytano raz Dumasa, czy istotnie jeden z romansów tego rodzaju pochodzi od niego. Nieustraszony narrator odpalił natychmiast, że romans jest tworem jego lokaja i zyskuje takie powodzenie, że zmuszony był odprawić nieszczęsnego autora. Jego

opowiadania są jego idealnem życiem, rozlewa się on i pokazuje wszędzie, zdradza z swemi instynktami i marzeniami. Można go rozpoznać nawet pod symboliczną postacią Edmunda Dantès, tak popularną zwłaszcza na przedmieściach paryskich ze względu na skarby, któremi rozporządza i dzięki którym olśniewa chciwą zysku i błyszczenia duszę mieszczaucha i dorobkowicza.

Bo i całe życie Dumasa było właściwie gonitwą za złotem. Dla jego zdobycia umiał kreślić opisy podróży po krajach, których nie zwiedził osobiście, stwarzać pamiętniki osób nieistniejących, dopuszczać się mniej lub więcej zręcznych mistyfikacyj. O formę dbał najmniej z romantyków, wyobraźnia jego była na usługach temperamentu. Ma w swym stylu rodzaj patetyczności nieco banalnej i brutalnej, ma żywość i śmiałość narratora popularnego, ma nastrój romantyka, bardziej tylko bliski ziemi, poufality i spowszechniały. Tysiące znajdowały w nim czar duży, zapomnienie pospolitości bytu, pokarm dla wyobraźni, nie wiele uczący i rozumny, ale zajmujący jak dobrze opowiedziana anegdota. Naśladował go amerykański Bret-Harte, w jego ślady wstępował w dramatach Sardou. Nie psuł naprawdę nikogo — zabawiał tylu, że należy mu się wdzięczność i uznanie... Krytyk nie przesadza w niem wcale i mówi o swym pisarzu bez zachwyty, ale z miarą i taktem. Wady i zalety Dumasa występują tak wyraźnie, charakter i talent określone są tak trafnie, że studyum odpowiada w zupełności swemu zadaniu, co jest rzeczą tem cenniejszą, że zapomniany dziś pisarz nie prędko znalazłby nowego krytyka, któryby chciał przeczytać sumiennie trzysta tomów jego dzieła. To dzieło nie ma wartości artystycznej na prawdę — ma dużą wartość historyczną, co starał się właśnie podkreślić krytyk i wywiązał się z swego zadania z powodzeniem.

Dr. T. Grabowski.

— Albert Reggio: *Au seuil de leur âme. Etudes de psychologie critique.* (Paris, Perrin et Cie, 1904). — Krytyk należy do młodszego pokolenia nadsekwańskich arystarchów i od kilku lat dopiero dał się poznać publiczności swemi artykułami, dotyczącymi wyłącznie twórczości współczesnej. Z szczególnem zamiłowaniem zajmuje się romansem i rozumie go wcale dobrze. Pierwszy raz jednak występuje z dziełem obszerniejszem i obejmującym przedstawicieli różnych literatur. Wątpi wprawdzie, by dzieło krytyki mogło wywrzeć dziś wpływ więcej znaczący, ale stara się usilnie, by nie zstąpić nigdy z drogi bezstronności i przedmiotowości. Unika nazw szkół i kierunków, uznaje w literaturze tylko indywidualia i uważa filozofię za przewodniczkę w kolejnych przemianach i starciach się literackich dążeń. Jest krytykiem bliskim impressyonistów i nie ma żadnych dogmatów i przesądów krytycznych. Jest wyrazem tego nastroju umysłów, który wytworzyli France i Lemaitre i sprowadzili upadek wszelkich powag w krytyce, a ją samą zepchnęli na dno reporterstwa,

krzewiącego się dziś bujnie w prasie paryskiej. Ale ten wyraz nie jest pozbawiony miary i taktu, nie przeradza się w szereg wywnętrzeń nie bez dowcipu i wdzięku, ale nie wyczerpujących niczego i stanowiących coś, co nie jest krytyką ani czystym tworem wyobraźni twórczej. Tego rodzaju krytyki unika autor i ogranicza się do roli sumiennego obserwatora najwybitniejszych przejawów na polu współczesnego romansu europejskiego.

Pierwszym, który zwraca jego uwagę, jest lekceważony przez wielu u nas i za granicą Bourget. Zbyt dużo bezwzględnych wrogów i zaślepionych wielbicieli ma ten pisarz, by mógł nie zwrócić najpierw uwagi krytyka romansu. On ma fizygnomię co najmniej ciekawą. Romans psychologiczny rozwinął się, dzięki Bourgetowi, nadzwyczajnie. Jego wyobraziciel wchłonął bowiem w siebie wpływy filozofii współczesnej, skorzystał z jej metod i kierunków, odpowiedział niejako potrzebie czasu i ludzi. Był też jednocześnie osobistym i w każdym jego romansie widać było jego samego, co odpowiadało nastrojowi ogólnemu literatury, zrywającej z pozorną przedmiotowością naturalizmu. Myśl Bourgeta była dojrzałą od początku i obrała romans za formę swych wywnętrzeń. Bourget był bowiem od początku filozofem i pozostał nim dotąd. Jest to człowiek złożony, trudny do określenia, nie mogący wejść w żadną formułkę, uczuciowy i jak fragment rzeźby starożytnej trudny do dopełnienia. Umie czarować swą osobistością, choć często trąci zbyt laboratoryum i nie umie poświęcać żadnego szczegółu swej obserwacji psychologa romansopisarzowi. Nikt zaprzeczyć nie może, że Bourget w najtajniejsze załomy duszy współczesnej weisnąć się umie przedziwnie i niepokoję jej odtwarza wiernie i z przejęciem. Moralista, szanujący głęboko godność ludzką, chce, by ludzie dążyli do pokoju i doskonalili się moralnie, artysta pragnie wszędzie harmonii i wzniosłości, człowiek, szarpany nieustannie licznymi zagadnieniami i wrażliwy ogromnie, nie potrafi nigdy utrzymać swej uczuciowości i doprowadzić jej do współdziałania ze skłonnościami intelektualnymi. Dopiero w ostatnich romansach uspokaja się widocznie i występuje otwarcie do walki z tem, co uważa za fałszywe i przewrotne. Jego sceptycyzm był bolesny, ale jego wiara zwyciężyła wszystko i sprowadziła równowagę moralną, niezachwianą i trwałą.

Rostand wslawił się zbyt prędko, prędzej, niż którykolwiek z poetów romantycznych. Zasługuje istotnie na uznanie, ale nie na apoteozę. Wyidealizował swego bohatera Cyrano de Bergerac, co jest zresztą naturalnem, gdyż dramat ma ramy zbyt ciasne, by prawdy nie wykrzywił i nie powiększył. On żyje wszystkim i niezem, kontrastami bardziej, niż ideami, paradoksami więcej, niż logiką, bawi a nie uczy do tego stopnia, że nikt nie myśli nawet pytać, czy i o ile odpowiada prawdzie. Jeżeli artysta osiągnął ten cel, dzieło jest istotnie tworem artystycznym. Ro-

stand jest artystą zupełnym, ma świeżość i swobodę, celuje intuicyą sceniczną i świadomością sztuki, a wiersz ma dobrany, świetny, choć nigdy zbyt piękny. Nie brak mu zarazem pewnej oglądy i pomadkowości, sztuczność i gadatliwość psują często wrazenie i zbliżają go do Wiktoryna Sardou. Pisze łatwo, choć przygotowuje się do dzieła z wolna. Nie jest w niczem podobny do swoich kolegów poetów w rodzaju Sully-Prudhomme'a lub Samain'a. Ma zapał i prostotę, zdrowie i spokój, czystość natchnienia i jasność myśli, nieco klassycznej równowagi i harmonii. Jego sława jest kulą u nogi poety, od którego oczekuje się jedynie arcydzieł, a który dać ich więcej nie potrafi a miernot dać nie chce. — Przeciwnie France nie był nigdy głośnym, choć tworzył arcydzieła tem ciekawsze, że szczegóły warte w nich więcej, niż całość. To dzieła erudyta więcej, niż fantasty, filozofa więcej, niż romansopisarza. Styl jego posiada zbyt wiele odcieni, jest zbyt osobistym i oryginalnym, by nie traktować twórcy jako jednej z najpotężniejszych indywidualności literackich końca wieku. Krytyk zapomniał dodać, że jest też najtrudniejszym do przekładu. Aby France'a ocenić, trzeba go czytać w języku, który sztukę odcieni, gry słów, niedomówień, półstówek posiadał w całej pełni od wieków, w których go wykształcili tacy mistrzowie, jak Montaigne, de La Rochefoucauld, Voltaire, Musset i inni.

Lemaitre jest równie osobistym, jak France. Ma te same wady, któremi są brak metody, siły i powagi, ale i zalety, do których należy zwłaszcza styl giętki jak myśl i wytworny po parysku. Lemaitre nie zapala się dla żadnej idei, ma humor i swobodę nieco epikurejską, lubi wszystko, co odznacza się wdziękiem i prostotą treści i wyrazu. Ceni życie, jak Prévost, równie bezpretensjonalny i spokojny. Chłodny materyalizm przenika dzieła tego ostatniego, materyalizm nieco smętny i monotony. Prévost wydobywa z życia tylko to, co może to życie wydać szkaradnym i niskiem. Jego śmiałość i bezwzględność zdobywają mu czytelników, ale wartość jego obserwacji jest więcej niż wątpliwą i podejrzaną. Natomiast Huysmans i Rod odbiegają od przeciętnego typu romansopisarza paryskiego dość daleko. Pierwszy, dziwaczny, ciężki, przywiązujący wagę do opisu nader dokładnego i fachowego, co tłumaczy się jego pochodzeniem od naturalistów — drugi, zlepiony cały z wpływów literatur obcych, szczerzy, nieokreślony, czysty moralnie i mimo zapożyczeń oryginalny. Duszę Huysmansa szarpały zagadnienia zbyt doniosłe, by nie napoić jego romansów melancholią ponurą i surową. Wywołały w niej pragnienie samotności, świadomość nicości wszystkiego, mistycyzm osobny i krańcowy.

Zamykają ten przegląd Sienkiewicz, Tolstoj, d'Annunzio, Maeterlinck. Z ciekawością czyta się uwagi o pierwszym z obcych, których krytyk poddaje nader bezstronnej i subtelnej analizie. Sienkiewicz, wedle niego, jest przypomnieniem Francyi

dawnej sympatii dla Polski, jedną z osób tego mitu, który tkwi w głowach, ale nie w sercach dzisiejszych sprzymierzeńców Rosyi. Słyszało się coś o tej Polsce nieszczęsnej a dzielnej i nagle przypomniła się ona znów tym, którzy sądzili, że już umarła. *Quo vadis* jest arecydziełem romansu historycznego, nowym okazem starego rodzaju, książką, celującą nie tylko stylem, ale i prowadzącą zadumę miłą i zbawienną. Ona mówi do zmysłów i duszy, stanowi ze względu na kompozycję całość wyborną i świetną, posiada w osobie Petroniusza figurę najbardziej skończoną i klasyczną ze wszystkich, które nam dali romansopisarze, przedstawiający świat starożytny. Ona każe nam marzyć, a napisana jest tak wymownie i po prostu, że nie można jej nie nazwać „prawdziwą w całości, prawdopodobną w częściach, psychologiczną w swej treści, a moralną we wnioskach“. Petroniusz to typ mistrzowski w każdym rysie, a umiejący być złym nawet z wdziękiem i prawomyślnością. Jakaś wielkość bije od niego mimo jego epikureizmu, a igranie z życiem ma w sobie dystynkcję i artyzm niewypowiedziany.

Dusza rosyjska odezwiała się, wedle krytyka, na prawdę dopiero w Tolstoju. Jego dzieła nie można mierzyć zwykłą miarą, gdyż autor przeżył je najpierw, nim chwycił za pióro i począł tworzyć epepe a nie romanse, instynktownie niejako i wieszczo. Wskazuje to, że tkwi w nim poeta, tworzący romans jak Wiktor Hugo. Niema nic szkolarskiego w jego metodzie, nie konwencyonalnego i pedantycznego w jego stylu, podobniejak u d'Annunzia. To artysta kapryśny, namiętny, nierówny i zmysłowy niesłychanie. Zbytkowość stylu jest wadą tego Włocha, ale po jakimś czasie przyzwyczajamy się do niej i czujemy w niej pewną brutalność i manierę. Ona dziwi nas, ale nie uderza, tem bardziej, że kryje brak myśli głębszej i dojrzałszej. Przeciwnie Maeterlinck żyje cały myślą i dba tylko, by ją ubrać stosownie. Szuka obrazów, które je poddają, a jako symbolista, wizjoner, magik poetycki, jest istotnie niezrównanym. Unika uroczyściego tonu wizjonerów, stara się o wykwinność, życie, barwę, usiłuje rzucić mosty między ideałem a rzeczywistością i uduchowić rzeczy martwe. To sztuka osobna, sztuka flamandzka, dbająca o prawdę i otwierająca horyzonty, bardzo dalekie i nęcące, szlachetne i zmierzające w dziełach ostatnich do pojęcia życia bardziej otwartego i psychologicznego.

Zasługą krytyka jest, gdy więcej myśli poddaje, niż ich wypowiada. Zadaniem bowiem jego powinno być zmuszanie ogółu do myślenia o literaturze; nie ślepe powtarzanie sądów krytycznych przez ogół, ale zainteresowanie się zagadnieniami literackimi i rozwiązywanie je samodzielnie stanowi największy tryumf krytyki. W tym celu winna ona unikać wielomowności, podać wiele w dozie malej, ale obmyślanej długo, poddać zdanie czytelnikowi i skłonić go do sformułowania sobie poniekąd własnego,

które własnem nie jest może, ale za takie ujęć potrafi. Tę metodę posiadał autor omówionego dzieła znakomicie, tem bardziej, że miał przed sobą świetnych jej przedstawicieli, jak Lemaitre i inni. Książkę jego zamyka się z wrażeniem głębokiem, a choć nie zawsze przekonywają jego wywody, budzą myśli mnóstwo i zachęcają do czynienia własnych nad omówionymi pisarzami spostrzeżeń. Uwagi autora o wczesnej dojrzałości Bourgeta nasuwają naprzykład pewne wątpliwości. Czy namiętny zwolennik metody Beyle'a i miły sceptyk w *Disciple* podobny jest do dość dwuznacznego i nieco przewrotnego moralisty w *Physiologie de l'amour*? Zmysłowość prawie naturalistyczna w *Liaisons dangereuses* czyż przypomina w czemkolwiek *Cosmopolis*? Nie — myśl Bourgeta odrazu dojrzałą nie była i przez to szereg wahań, od negacyi do tonu bardzo stanowczego człowieka, który wierzy sercem i rozumem. Jeżeli Prévost znalazł łaskę w oczach krytyka, czemu nie objął w swym tomie także Pawła Margueritte albo Barrèsa? Jeden i drugi zasługiwaliby dziś na osobne artykuły. Niemniej to, co znajdujemy w książce p. Reggio dowodzi nie tylko nader wysubtelnionego smaku, ale i rzadkiej wiedzy i czytania w literaturze światowej, które dziś są darem niewielu krytyków nadsekwanskich. Zwięzłość i styl, bardzo suggestywny i wytworny, zapowiadają siłę dużą i każą wróżyć dobrze o jej przyszłości.

Dr. T. Grabowski.

Z literatury powieściowej.

— Kazimierz Gliński: *Boruta*. Powieść z lat dawnych. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1904). — W doskonałej książce o *Dyable w poezji* p. Ignacy Matuszewski w rozdziale, polskiemu piśmiennictwu poświęconym, mówi, że „na naszego dyabła-szlachcica musimy jeszcze poczekać”. Nie zadowolnia bowiem krytyka ani *Boruta* p. Rydla z *Zaczarowanego kota*, który „gra tylko rolę dyabła, ale nim na prawdę nie jest”, ani bohater wydanego w r. 1890 dramatu p. Br. Grabowskiego. Nie wątpimy, że mając przed sobą *Borutę* p. Kazimierza Glińskiego, autora niedawno tu omawianej a tak niefortunnej powieści *W Babilonie*, p. Matuszewski jeszcze mniej okazywałby zadowolenia. Dyabeł w tej dużej, nadmiernie dużej powieści, ma znany szlachecki wygląd i charakter, pod nazwiskiem Wita Łysogórskiego przebywa w tradycyjnej ziemi łęczycyckiej, jest nawet w służbie dworskiej u pana starosty Stempkowskiego. Dziwnem nieco jest zajęcie, któremu się oddaje: oto gra na lutni i śpiewa, nieraz bardzo ładnie i przejmująco. Skąd p. Gliński *Borutę* lutnistą i śpiewakiem uczynił, nie wiemy. Czyżby sądził, że muzyka i śpiew są środkami, któremi się szatan posługuje, chcąc ludzi do złego kusić? Gdy fujarka Ma-

ciusia u p. Rydla okazuje się osłoną przed dyablem, to symbol ten jest daleko prawdopodobniejszym, niż jego odwrócenie u p. Glińskiego. Po za tem Boruta naszego powieściopisarza nie jest pozbawionym tragicznego podkładu, tu i ówdzie nawet z istotnem powodzeniem i pewną niezaprzeczną grozą odtworzonego. Scena, gdy na Łysej górze czarownice warzą tajemnicze zioła w kotle i z odurzających oparów wydobywają postaci twórców nieszczęsnej konfederacyi targowickiej, wzorowaną jest oczywiście na *Kordyianie* Słowackiego, ale to jej nie ubliża. W innych znowu miejscach, tam, gdzie Boruta podsyca dumę Zebrzydowskiego lub Stempkowskiego, tam widać wpływy *Zaczarowanego kota* i jego znanych scen pomiędzy Borutą a Wojewodą. W całości jednak, mimo wyraźnej niesamodzielności, z tego motywu dałoby się wiele zrobić, to też żalować trzeba, że p. Gliński tego właśnie problemu nie pogłębił. Wolał za to inną, niższą rolę dać szlacheckiemu dyabłu. Jak Goethego Mefistofeles przejściowo pośredniczy pomiędzy Faustem i Małgorzatą, tak p. Glińskiego Boruta ułatwia miłosne spotkania Marcina Kalinowskiego i panny Teresy Stempkowskiej, w oboju zapala i podtrzymuje ognie serdecznej namiętności. Podobienstwo niektórych epizodów, n. p. scen schadzek w ogrodzie, jest uderzające; nawet sławetna pani Marta Schwertlein ma swą dokładną kopię w osobie starej panny Siedleckiej, ochmistrzyni fraucymeru starościny Stempkowskiej: jak Mefistofeles zaleca się do starej baby, byle ułatwić swobodne sam na sam młodej parze, tak pan Wit durzy słodkimi słówkami niemądrą starą pannę, byle odwrócić jej uwagę od dwojga zakochanych. Tylko pomijając inne różnice w napięciu poezyi, jedną trzeba podnieść: Mefistofelesa postępowanie jest każdej chwili zrozumiałem, wie się, dokąd zmierza, natomiast działanie Boruty, jasne w najbliższych skutkach, na dalszą metę zdaje się celu nie mieć. I to jest największą wadą powieści: powierzchowne pokazanie postaci, która, należycie przeprowadzona i pogłębiona, mogła była stać się osią utworu o wartości niecodziennej.

Tak zaś, jak jest, mamy w obszernym tomie romans niezły, lecz ponad przeciętną, niestety bardzo skromną wysokość naszych współczesnych powieści historycznych nie wznoszący się, aczkolwiek — co chętnie stwierdzamy — znacznie szlachetniejszy od nieudolnej powieści *W Babinie*. Początek nawet bardzo dobrze usposabia: Boruta w błotach łęczyckich wodzi przybywających do grodu obu Stempkowskich, ojca i syna. To naturalnie znowu inny utwór polskiej poezyi przypomina — Słowackiego *Balladynę* i złośliwe sprawki Chochlika, ale w tem jest życie i zawsze w powieści dzisiejszej pożądanym, bo tak rzadki, humor. W przychylnem dla autora usposobieniu nie spostrzegamy zrazu, jak niezręcznie zadzierzgniętym jest węzeł dramatyczny romansu: wyratowany przez Marcina Kalinowskiego sta-

rosta przyrzeka mu wdzięczność, w razie potrzeby pomoc w zdobyciu panny nieznanego nazwiska, choćby za pomocą zbrojnego napadu. Otóż niebawem dowiadujemy się, że tą umiłowaną a niedostępną kochanką Marcina jest Teresa Stempkowska, starościanka, którą ojciec możniejszemu młodzieńcowi przeznaczą. Motyw to dość zabawny, chociaż raczej z dzisiejszej farsy francuskiej, niż „z lat dawnych“ wzięty, a już całkowicie jesteśmy w świecie współczesnej krotchwili, gdy autor prawie aż do ostatnich kart powieści odracza zorientowanie się głównych osób, zwłaszcza pana starosty, w tem nieprawdopodobnem *quiproquo*. Raz przelotnie przechodzi ponad opowiadaniem cień wielkich a smutnych dziejowych wypadków, gdy Mikołaj Zebrzydowski, obrażony w górnej dumie, gotuje rokosz przeciw królowi Zygmuntovi III i szukając stronników, pragnie pozyskać i Stempkowskiego za cenę oddania jego synowi ręki swej córki, o którą stara się Opaliński. Ale perspektywa dziejowa wnet się zamyka, powieść, jakby wyczerpana wysiłkiem w wyżyny, opada napowrót i trochę pospiesznie stają przed oczyma dwie szczęśliwe pary nowożeńców: Marcin Kalinowski z Teresą Stempkowską i jej brat Stanisław z Heleną Woyniłłowiczówną, panną z dworu starościny. Dodajmy jeszcze dwie figury, efektowne, ale ze staro lamusu wzięte: potwornego karzelka Biesia, rodzeniutkiego braciszka Quasimoda Wiktora Hugo, i Ojca Hilarego, tajemniczego zakonnika, łączącego w sobie Ojca Wawrzyńca z *Romea i Julii* Szekspira i Robaka z *Pana Tudeusza*, a mamy cały inwentarz powieści, zajmującej, barwnej i ruchliwej, ale tylko wierzchnie warstwy życia odtwarzającej, do jego głębin, mniej jaskrawych a ważniejszych, nie sięgającej. *Dr. J. Flach.*

— Maryan Gwałewicz: *Dłu ziemi*. Powieść w dwóch tomach. (Warszawa, nakładem Jana Fiszera, 1904). — Do powieści przywiązujemy wiele wagi — z estetycznego i społecznego stanowiska. Jeśli w sztuce doszło się w ostatnich czasach do tego mądrego przekonania, że na wykształcenie estetyczne szerokich kół narodu więcej, niż galerie obrazów lub rzeźb, a choćby nawet wiszące w salonie nad kanapą i fortepianem obrazy, wpływają przedmioty codziennego użytku: meble i dywany, tapety i naczynia, książki i wszystko w ogóle, co stanowi nasze stałe, nieuniknione otoczenie — to w literaturze jeszcze daremnie się czeka na zwycięstwo tych idei. Przykładać się zwykło surową miarę do poematów, będących dziełami czystej sztuki, a rzuca się na pastwę barbarzyństwa artystycznego, pospolitości rzemieślniczej, spekulacji zarobkowej literacką sztukę stosowaną, powieść, i ciesząc się z posiadania nielicznych kwiatów, obojętnie patrzy się na panoszenie się chwastów. A przecież tamte poematy dostaną się tylko do rąk niewielu, i to przeważnie zdolnych odróżnienia ziarna od plewy, powieść natomiast sięga w głąb społeczeństwa, do nizin szeroko rozłożonych, kędy prócz

literatury romansowej może żadna inna część piśmiennictwa nie dochodzi. Bo powiedzmy sobie raz, że są warstwy i koła społeczeństwa — u nas i u obcych — które zaliczają się do wykształconych i za takie nawet powszechnie są uznawane, a których jedyną, wyłączną strawą literacką są powieści, i to nie dzieła znakomitych pierwszorzędnych autorów, ale pisarzy drugorzędnych i trzeciorzędnych. Więc czyż w wieku, kiedy nasze sumienie artystyczne wzdyga się przed zapełnianiem pokoi banalnemi stolkami o liniach wyszydających wszelki smak artystyczny, mamy patrzeć obojętnie na krzywiącą zdrowe pojęcia estetyczne powieść? Lecz romans i ze społecznego punktu widzenia jest ogromnie ważnym. Powszechnie się mówi, że pod tym względem teatr i literatura dramatyczna działają daleko silniej. Niewątpliwie hasło, rzucone ze sceny bądź bezpośrednio, bądź w osłonie akcji lub charakterystyki, oddziałuje na widzów natchnionych i silnie; ale zważmy naprzód, że słuchacze dramatu, nawet bardzo popularnego, są gromadą mniej liczną od mas czytelników powieści, choć nawet mniej głośniejszą. Powtóre, wywołane dramatycznym przedstawieniem wrażenie, silne i głębokie, na razie przemija, a przynajmniej słabnie w stosunkowo krótkim czasie, może właśnie dlatego, że po części jest produktem chwilowego podniecenia, wywołanego ekscytującą atmosferą sceny i sali teatralnej. Powieść natomiast działa wolniej, ale dłużej, systematyczniej niejako, przez to trwalej. Historia literatury uczy, że aczkolwiek *Zbójcy* mieli ogromny wpływ na współczesne umysły, to przecież nie taki, jak *Werther*, a jeśli z tych wyżyn zechcemy zejść do nizin i literatury i społeczeństwa, to wiemy przecież wszyscy, iż żaden Teatr ludowy nie potrafi zrobić tyle dobrego, ile złego dokonać może sensacyjny romans, drukowany w dzienniku lub sprzedawany w pojedynczych zeszytach. Ten взгляд nakazuje nam więc zwalczać z całą stanowczością każdą szkodliwą społecznie powieść. Czy z drugiej strony mamy otaczać opieką każdy romans społeczny zawienny? Tu znowu wraca owo pierwsze, zupełnie równorzędne kryterium, kryterium artystyczne. W jego myśl powieść, choćby pocziwa, nie znajdzie u nas przychylności, jeśli nie jest pożądaną z estetycznych powodów, taksamo jak bez wahania potępimy powieść piękną według zasad estetyki, przewrotną w tendencyi i idei. Tylko, że ten wypadek, rzadki w ogóle, u nas i za dni naszych niemal nigdy się nie pojawia — za to często, za często tłocznie drukarskie wydają na świat romanse pocziwe a słabe.

P. Maryanowi Gawalewiczowi ani dawniej, ani tem mniej w najnowszej powieści *Dla ziemi* przewrotności nikt zarzucić się nie ośmieli. W tym tomie już nie o idei, ale wprost o tendencyi mówić można i trzeba. I to jest złem. Bo jeśli wierzymy, że bez przewodniej idei artystycznego utworu lite-

rackiego być nie może, to naodwrot tendencyjność zawsze poważnie artystycznemu charakterowi dzieła zagraża. Więc podnosząc z najwyższym uznaniem, że powieść p. Gawalewicza uczy i miłości ziemi i potrzeby zachowania tej ziemi w rękach dawnych, od wieków ją dzierżących właścicieli polskich, należy ubolewać, że to tak aktualne przykazanie narodowe wypowiada i za często i zanadto w suchym tonie *ex cathedra*; stokroć lepiej byłoby, gdyby myśl pozostała tą samą, ale występowała jako idea, nie jako tendencya. Gorzej jest jeszcze dlatego, że przez długi czas, niemal aż do ostatniego rozdziału zdaje się, jakoby autor do upomnienia: „Trzymaj ziemię po przodkach odziedziczoną“, dodawał: „Choćbyś dla tego celu miał się bez miłości z posażną panną (oczywiście Polką i zacną) ożenić“. O praktycznej, społecznej wartości tego dodatku rozmaicie mówićby można; w powieści działa on dziwnie rozstrajająco i zniechęcająco. Zwłaszcza, że aż do owych przedostatnich kart na tem stanowisku stoi przez dewszystkiem panna, która przez pośredników oświadcza się o rękę mężczyzny, stojącego u bram niebezpieczeństwa utraty dziedzicznego majątku i żąda poślubienia jedynie w imię obowiązku ratowania tej ziemi. Potem dopiero autor dokonywa nagłego zwrotu i maryaż przychodzi do skutku, ale już na podstawie wzbudzonego czarodziejską różeczką uczucia. Mężczyzna nazywa się Romualdem Wielkoszem i jest potomkiem starożytnego rodu panów na Zastawach; panna, to Joasia Kluczkówna, sierota, wychowana przez krewnych. Z dwóch tych naczelnych postaci on stanowczo lepiej się p. Gawalewiczowi udał: dobry, ale słaby człowiek, bierna natura polskiego szlachcica, który szczęśliwym trafem spotkał na drodze dobrą kobietę; ona robi go dobrym, dla narodu i społeczeństwa pożytecznym, ale zła zrobiłaby go taksamo szkodliwym. Dwór w Tarnowicach, u państwa Starlińskich, opiekunów Joasi, przedstawiony bardzo ciepło i z życiem; czytając *Dla ziemi*, oddycha się istotnie ożywczem powietrzem dawnych dworów szlacheckich polskich; to poczytujemy za najpiękniejszą ozdobę książki. W innych postaciach niestety widocznem jest obniżenie, zwulgaryzowanie tonu. Jeszcze Antoni, stary przywiązany sługa rodziny Wielkoszów, ratujący pana w potrzebie ofiarą całego uciulanego przez dziesiątki lat grosza, ujdzie, chociaż wzorowany jest nie tyle na żywych, ile na literackich, powszechnie znanych modelach. Ale drugorzędne postacie często rażą pospolitością, robotą rzemieślniczą, czy dziennikarską. Mowa tu szczególnie o Trojdanowiczu, karykaturze modernistycznego poety w stylu warszawskich *Kolców*, których doweip, mimo całego pietyzmu dla ich przeszłości, dzisiejszemu pokoleniu ani doweipnym, ani charakterystycznym się nie wydaje. Akeya powieści idzie wolno i bez wewnętrznego planu, jak zawsze w powieściach, pisanych pospiesznie, bez koniecznej staranności.

I dlatego, ceniąc wysoko nastrój utworu, a widząc w nim obok wielu wad i istotne piękności, mamy jedną do autora pretensję, że jak prawie wszyscy jego obecni towarzysze, powieść i jej czytelników nieco za lekko traktuje. Pretensję tę wypowiadamy zaś dlatego właśnie, iż naszym zdaniem p. Gawalewicz gdyby chciał, mógłby być upragnionym i potrzebnym powieściopisarzem dla szerszych kół wykształconego polskiego społeczeństwa. Ma wrodzony talent, ma smak artystyczny, łatwość opowiadania, żywość uczucia, pewną szlachetność formy. Złych powieści nie napisze i taką też *Dla ziemi* nie jest, ale mógłby napisać lepszą.

Dr. J. Flach.

— Stanisław Sierosławski: *Okno naprzeciw*. Nowelle. (Kraków, nakładem księgarni D. E. Friedleina, 1904). — P. Stanisław Sierosławski jest pisarzem nowym, zupełnie jeszcze nieznanym, zapewne młodym. Stąd bacznie trzeba się przypatrzeć pierwszej jego — jeśli się nie mylimy — książce, nazwanej według starego a błędnego zwyczaju od pierwszej nowelli *Okno naprzeciw*. Autor pozostaje widocznie pod wpływem zagranicznej, zachodniej nowellistyki. Znać to w motywach opowiadań i ich opracowaniu. Czerpiąc treść wszystkich pięciu nowell wyłącznie ze sfery stosunków międzypłciowych, szuka sytuacji spowodowanych rozdzieleniem się istoty ludzkiej na dwie części, z których jedna rządzoną jest idealnymi porywami szlachetnego uczucia, druga podlega tajemniczym silom ludzkich instynktów i zmysłów. Z tego wytwarzają się położenia i chwile, nacechowane czasem dramatycznością, czasem chorobliwością, czasem wymuszonością. Tak n. p. w *Upiorze* bohaterka, będąc narzeczoną — i to gorąco kochaną — jednego, oddaje się nie chwilowo, ale stale, drugiemu, wyrzuca sobie takie postępowanie, a przecież od niego nie odstępuje. We *Wspomnieniu* powtarza się mniej więcej tensam motyw, tylko przeniesiony na męczyznę: pan Kariski w sentymentalnych chwilach zanurza się w morze reminiscencyj miłości ku pannie Hani, równocześnie jednak zaręcza się z inną, Zofią, a tamtej po długim wahaniu wyznaje, jak się rzecz ma, mówiąc jednak na swoje usprawiedliwienie: „Cóżem ja winien?” Na ten wybór tematów niewątpliwie znaczny wpływ wywarli współcześni francuscy, a może i niemieccy nowelliści, taksamo jak na ich obrobienie. P. Sierosławski bowiem, w koncepcyi niezbyt bogaty, w przeprowadzeniu motywów trzyma się niemal zawsze pewnej recepty, co już manierą trąci, a wiadomo, że o młodym pisarzu nie gorszego powiedzieć nie można. Manierą jest łączenie przeszłości i obecności zawsze w jeden i tensam sposób; maniera wyszukiwanie sytuacji, pozornie bardzo dramatycznych, nawet strasznych, w rzeczywistości nieco fałszywych. Tak n. p. w pierwszej nowelli *Okno naprzeciw* starzec opowiada, jak przed laty, za młodu, porwany szaleem wystrzelił do pary nieznanym sobie kochanków, których uściski miłosne

widział, patrząc przez okno na drugą stronę ulicy. Moment, żywcem wzięty z obcych wzorów, byłby bardzo dramatycznym, gdyby go opracowała ręka wprawniejsza, bieglejsza w odmalowaniu zagadkowych stanów zachwianej tajemnemi działaniami instynktów równowagi ducha i serca. P. Sierosławski wybuch nieuzasadnionej zazdrości tłómaczy samem tylko wychowaniem sprawcy zbrodni, który — sierota bez matki — wyrósł pod wpływem ojca uczącego syna żywiołowej nienawiści kobiety: a więc to zemsta, reakcja tkwiącego w mężczyźnie pragnienia kobiety; to jest zrozumiałem, lecz niedostatecznem wytłómaczeniem szalonego czynu. Lepiej jest w wymienionym już *Upiorze*. Zdradzony przez smutną bohaterkę opowiadania, pan Zygmunt popełnia samobójstwo. Ona się o tem dowiaduje i odtąd męczy ją bez ustanku widmo nieboszczyka; ucieka przed niem do swego kochanka Adolfa, by tylko nie być samą. Wywiązuje się stąd scena ogromnie przykra dla uczucia najprymitywniejszej delikatności i przyzwyczajenia, ale jest w tem bądź co bądź napięcie dramatycznej, chociaż nie szczere, bo wyraźnie wymuszone. Koniec nowelli bardzo dobry: Adolf, niewiedzący nic o samobójstwie Zygmunta, przyjmuje kochankę z zachwytem i uniesieniem. Ale gdy słyszy, co ją do niego sprowadziło, odpycha ją, nie z tchórzostwa przed upiorem, który i tu się zjawia, ale przez „te resztki szlachetnych uczuć, jakie człowiek jeszcze gdzieś na dnie duszy posiada“. Na nie błagania Dziuni, by jej pozwolił zostać przy sobie, bo strach ją ogarnia przed samotną nocą, przed widmem samobójcy. Adolf jest niewzruszony. Wtedy Dziuna wychodzi: „Znajdę jeszcze takich, którzy mnie przygarną; wśród rozkoszy zapomnę o upiorach“... I „wybiegła w noc ciemności i szalu, w noc, która ją miała przygarnąć“. Chwalimy samo rozwiązanie konfliktu, ale nie ostatnią jego fazę. I bez niej łatwo byłoby na podstawie innych dowodów stwierdzić zależność p. Sierosławskiego od naturalistycznych wzorów. Tu zaś dowiadujemy się nagle, że w Dziuni jest materyał na publiczną dziewczkę. Otóż o tem należało nam przedtem powiedzieć: wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia i znajomości uniknęlibyśmy.

Dotychczas dwie nowelle pozostały na uboczu. Krótkie, bardzo szkicowe i wartością artystyczną nie celujące bynajmniej, są ciekawemi przyczynkami do charakterystyki autora, dowodzą, że jest indywidualnością, mało samodzielną jeszcze, ale jednolitą i siebie świadomą. W *Sam na sam* jest bardzo dobry typ współczesnego „kabotyna i komedyanta“ (nie my tak go pochlebnie zwiemy, ale on sam), który rozpowiadając pannie o swych tryumfach miłosnych, nie korzysta nawet w najslabszej mierze z wybornej sposobności. *Moexar* wreszcie jest parafrazą oklepanej bajki o rusałkach i ulegających ich urokom mężczyznom, ale parafrazą ciekawą: naprzód dlatego, że tu o mo-

czarze wstrętnym i błotnym mowa, nie o czystym jeziorze, powtóre, że owe boginki kształtami raczej opasłych faunów, niż smukłe nimfy przypominają. P. Sierosławski jest więc do najdrobniejszych szczegółów konsekwentnym. I to nam się szczerze podoba, zwłaszcza, że *Upiór* i *Wspomnienie* świadczą o naśladowaniu nie tyle Zoli, ile Maupassanta. Za najszkodliwszą dla polskiej powieści uważamy pospolitość, której ani chwalić, ani ganić, której znikąd uchwycić i znikąd zaczepić niepodobna. Tej w p. Sierosławskim nie ma i dlatego, mimo wielu zarzutów, witamy go w gronie polskich beletrystów życzliwie i ufnie.

Dr. J. Flach.

TEATR KRAKOWSKI.

Październik wprowadził nas w pełny sezon. Maszyna teatralna rozpędziła się i pędzi z wielką chyżością. Dyrekcyja nie zasypia wcale sprawy i daje nam repertuar wszechstronny, starając się wystawiać, co najciekawszego znajduje się w współczesnej produkcyi i swojskiej i obcej, a sięga przytem i do starszych rzeczy, jedną ręką do Fredry, drugą do Szekspira. Z Fredrą ciężka nadzwyczaj sprawa! Jeżeli się chce wystawić n. p. *Pana Jowialskiego* siłami własnego grona, grać musi rolę główną p. Stępowski i to do tego bezpośrednio po gościnnych występach p. Rapackiego! Przepadło! W tym składzie personalu Fredry dobrze granego nie zobaczymy; niema nawet o czem myśleć. Trzebaby albo dobrać z innych scen niejedną znakomitą siłę, na co nas nie stać, albo też rozejrzeć się wśród młodszego pokolenia i „odkryć“ znów jaki pierwszorzędny talent (jeżeli jest coś do odkrycia?) W każdym razie dobrze jest, że się o Fredrze myśli; może w końcu nadejdzie szczęśliwy dzień, w którym się coś skutecznego wymyśli. Nadzwyczaj chlubną jest też ta wszechstronność w dobieraniu repertuaru, chociaż przy szczupłym gronie daje się to we znaki aktorom, bo muszą coraz częściej grywać role dla siebie niestosowne i to bez należytego przygotowania. Możliwyby jednak śmiało obciążyć tę wszechstronność o jeden koniuszek i przez to choć trochę ulżyć sobie pracy. Czyż musi w każdym miesiącu być farsa francuska? wystarczyłaby raz na kwartał, skoro nie możemy jakoś dojść do tego, żeby się bez niej całkiem obejść. Paryska farsa wyczerpuje się już bowiem i wśród tuzina ledwie wydarzy się jedna, godna choćby tylko owego pobłażania, do jakiego zniewoleni jesteśmy względem tego rodzaju utworów? Czy jednak naprawdę zniewoleni jesteśmy, czy też tylko łączyliśmy w siebie wmówić, że teatr bez tych sprośnych, tłustych i grubych żartów nie obejdzie się? Jest pewien odłam publiczności, który najchętniej uczęszcza na takie widowiska, ale według wszelkiego prawdo-

podobieństwa trzykroć liczniejsi są ci, którzy stronią od teatru właśnie dlatego, że zbyt często spotykają się w nim z przedstawieniami budzącymi z wielu przyczyn niesmak, a dążącymi do wywołania śmiechu metodą godną clownów cyrkowych. Farsy te zasadzają się już niemal wyłącznie na błaznowaniu, a do tego szkoda teatru! Kraków byłby właśnie przedewszystkiem powołanym do tego, żeby zrobić próbę, czyby się bez głupiej farsy nie można było obejść. Jeżeli zaś chodzi o dowcip lekki i mniej liczący się z przyzwoitością, nie zabraknie w polskiej literaturze krotocwil, z których raz na kwartał możnaby tę lub ową wznowić. Rzadko która z fars francuskich ostatniego pokolenia, a żadna z produkcji bulwarowej ostatnich lat, nie dorówna *Żołnierzowi królowej Madagaskaru*; poszukawszy wśród swojskiej produkcji krotocwilskiej, znajdzie się jeszcze kilka fars mniej więcej równej wartości.

Wystawiona w tym miesiącu krotocwila w trzech aktach przez A. Mars'a i M. Desvallières p. t. *Skromny Kazimierz (Maitre Nitouche)*, celuje brakiem jakiegokolwiek wybredności i może uczynić zadość najgrubszemu nawet gustom. Dziwna rzecz, że ludzie z najlepszego towarzystwa chodzą słuchać przez cały wieczór dowcipów, z których ani jednego nie godziłoby się powiedzieć w salonie, i teatr ma jeszcze pretensję być salonem!! Ależ na tego rodzaju przedstawieniach zamienia się on w jakąś stajnię! Trudno w literaturze bawić się w pruderyę; rzeczy nieprzyzwoite mogą być odziane w artystyczną szatę w ten sposób, że nawet nie wywołają wcale zgorszenia; jeżeli zaś są dowcipnie skreślone, jak n. p. wiele nowel z Decamerona, mogą ująć w pewnych okolicznościach i pod pewnymi warunkami, ale podane grubo, jakby na łopacie, kwalifikują się doprawdy tylko na jakąś karczemną zabawę. Niema w *Skromnym Kazimierzu* wcale żadnego nowego dowcipu. Historia o świętoszku utrzymującym dwa mieszkania, tak, żeby w jednym mógł uchodzić za człowieka poważnego, oddanego pracy, a w drugim być światowcem w najgorszym rozumieniu tego wyrazu, jest już historią starą i w ostatnich czasach odgrzewaną bardzo często. Raz tylko udało się nanizać na tę starą kanwę trochę nowych dowcipów *Ludce*, ale w *Skromnym Kazimierzu* niema ani śladu jakiej pomysłowości literackiej. W zwykłą szablonową fabułę każdej takiej farsy wpleciono tu na dodatek jeszcze drugą o tajnym domu gry, a *clou* wieczoru powierzono maszyneryi teatralnej, jak się to coraz częściej krotocwilstom paryskim zdarza. Niedawno patrzaliśmy, jak „meblowane pokoiki“ zamieniały się w jedną chwilę na przyzwoitą szwalnię; tym razem zamienił się dom gry za pociśnięciem guzika w klinikę prywatną i aktorowie, a jeszcze bardziej aktorki, musiały popisywać się zwinnością, ażeby się w mig rozebrać i pod koldry ułożyć. Czyby nie lepiej było czas potrzebny na przygotowanie takich cyrko-

wych figlów obrócić raczej na próby lepszych utworów, posiadających wszelką kwalifikację, żeby doczekały się znaczniejszej ilości przedstawień, które jednakże upadają dla niedostatecznego przygotowania i złej gry aktorów? Tem przykrzej jest notować, że taka farsa bez najmniejszej wartości, której wystawienie jest stanowczo objawem ujemnym, była graną starannie. Prym wiodła p. Rutkowska w roli notaryuszowej Franciny, a obok niej odznaczała się p. Sulima w roli Marceliny, córki doktora, uśmiechniętej wiecznie, choć sama nie wie, dlaczego. Trzecia rola żeńska, kokoty Żozotty, była nawet dublowaną (rzecz w naszych stosunkach tak niesłychanie rzadka); obie artystki, tak p. Mrozowska, jakoteż p. Jutkiewiczowa, miały swoje dobre strony w jej wykonaniu. Z męskich ról grał p. Sobiesław, jak zwykle gładko i potoczyscie, rolę notaryusza, p. Zelwerowicz utworzył w ostrych konturach postać właściciela domu gry Léopardy'ego, a p. Jednowski był charakterystycznym doktorem, szukającym zięcia dla córki. W ostatnim akcie, wśród gości domu gry, podano kilka znamienne utworzonych sylwetek postaci takich, jak „książę Kalabrii“, „general Portagas“ i t. p. Główną rolę samego „skromnego Kazimierza“ odegrał p. Leszczyński weale słabo, czego najlepszym dowodem, że zawiódł sam kulminacyjny punkt roli, kiedy przebiegając szybko z jednego mieszkania do drugiego (obydwa równocześnie widzimy na scenie), zwraca uwagę publiczności na dwoistość swej natury; miejsce przez autora podkreślone i przeznaczone na to, żeby aktor zbierał tu oklaski, a chwila ta minęła nawet zupełnie niespostrzeżona i publiczność zachowała się zimno. Ani nawet farsy nie można grać samą rutyną, a rutyna p. Leszczyńskiego jest rzeczywiście za-trważająca, jeżeli się zważy młody, młodziutki jego wiek; gra jego poczyna już nawet być suchą. Jedyna rada, jeżeli talent niema być zupełnie a zupełnie zmarnowany, usunąć się na jakiś czas ze sceny, a przynajmniej prosić dyrektora, żeby chociaż przez dwa lata nie dawał żadnej obszerniejszej roli. Należałoby dłuższy czas poświęcić zastanawianiu się i mieć tego czasu na tyle, żeby samego siebie zapomnieć, ażeby potem okazać się odnowionym i zmienionym. Inaczej będzie p. Leszczyński bez końca powtarzał samego siebie i nietylko nie wyjdzie na artystę, ale stanie się jakąś sceniczną pozytywką.

Wyborną szkołą dla aktorów mogłyby się stać komedye szekspirowskie, bo zaprawiłoby się na nich artystów do stylu, nie ryzykując od razu zbyt wiele. Komedye te, pomijane przez znaczną większość przedsięwzięć scenicznych, wprowadza obecna Dyrekcya systematycznie na deski i to jest bardzo chwałebne. Nieznane niemal całkiem szerszemu ogółowi, mogłyby też ścigać widzów do teatru, gdyby były dobrze grane, a przynajmniej bez rażących błędów. *Koniec wieńczy dzieło*, komedya znana bardziej pod innym tytułem (w przekładzie Ulricha: *Wszystko*

dobre, co kończy się dobrze), potrzebuje dłuższego przygotowania z powodu ról wymagających znacznej subtelności. Najlepiej grał p. Jednowski rolę króla francuskiego, utrzymując ją jednolicie w należyтым tonie powagi i refleksyi. Brakowało natomiast zupełnie jednolitości roli księcia Bertrama, którą nie popisał się wcale p. Mielewski, zmieniając ton gry niemal w każdej odsłonie, tak, że zrobiła się jakaś składanka, w której wątek charakterystyki gubił się co chwila. Za grube kontury miał też towarzysz Bertrama, Paroll, bo p. Zelwerowicz zapomniał, że Paroll widocznie dobrze i zręcznie udawał, skoro mu się tak długo udawać udało; musiał on też posiadać przynajmniej jakieś zewnętrzne towarzyskie przymioty! Hrabina Russillonu, matka Bertrama, winna być bardziej ożywioną; nie sama tylko powaga jest jej cechą, a p. Wolska interpretowała swoją rolę zbyt ciasno. Do roli starej wdowy Kapulet nie posiada p. Wójcicka wcale potrzebnych przymiotów, a grająca Dyanę p. Sulima przesliznęła się zaledwie po powierzchni tekstu. Główną rolę, Heleny, odegrała p. Ordonówna z widoczną starannością, ale to nie dla niej, bo Helena jest osobką nadzwyczajnej, niepospolitej przedsiębiorczości, pełna hartu i energii, a skromność i zacność spoczęły u niej na fundamencie żelaznej woli. Nie brak jej pewnej zmysłowej przymieszki, chociaż w ścisłych granicach zupełnego zdrowia moralnego; przez to właśnie jest ona w tekście tak ciekawą! Helena posuwa się aż do zuchwalstwa, ale z miłości i z gotowości do wszelkich poświęceń. P. Ordonówna wykonuje dobrze role, których podkładem bierność, cierpienie, poddanie się losowi, lub co najwyżej drobne powszednie z nim utarczki, ale nie umie ożywić postaci gotowej szturmować niebo i piekło, byle dojść do celu swej miłości. Rola to trudna, bo złożona z pierwiastków, które w szablonach teatralnych zazwyczaj się wykluczają. Słodycz towarzyszy tu zapaleczywości, gołąbką ona jest i chytrym węzem, a tej siły, tej mocy p. Ordonówna wyrażać nie umie. Nawet też nie próbowała, jakby nie spostrzegłszy, na czem polega charakterystyka Heleny. Reszta ról jest już obojętną wobec tamtych; skoro zaś tamte wszystkie kulaly, skoro nie wyszło plastycznie ani jedno z zasadniczych miejsc tekstu, trudno wymagać od publiczności, żeby zaciekawiła się do utworu. Przedstawienie sprawiło wrażenie, jakby reżyser powykreślał był najlepsze miejsca. Nie zrobił tego; owszem, komedia ułożoną była do wystawienia całkiem dobrze, w skróceniach nie pominięto żadnej zasadniczej rzeczy i zupełnie trafnie łączono sceny w odsłony (było ich dziesięć); wina wszystkiego złego była tylko w niedostatecznem przygotowaniu aktorów. Komedję szekspirowską trzeba przynajmniej trzy razy wspólnie odczytać, nimby się rozdało role! U Szekspira żadna postać nie idzie luzem; łączą się one harmonijnie, jedna drugą uzupełnia w budowie dzieła, tak obok siebie ustawione,

że pomagają sobie do tem większej plastyki; to też Szekspir nawet w drugorzędnych swych utworach wymaga doskonałego zestroju na scenie, żeby każdy aktor myślał o wszystkich innych, inaczej ulotni się z dzieła to, co stanowi największą jego artystyczną wartość. Miejmy otuchę, że następne szekspirowskie komedye będą wystudjowane lepiej, chociażby kosztem jakiej bulwarowej farsy, a za to będą liczyły o kilka przedstawień więcej.

Z zagranicznych nowości usłyszeliśmy w ubiegłym miesiącu jedno głośne dzieło angielskie i jedno niemieckie. Komedya w trzech aktach Bernarda Shaw'a p. t. *Bohaterowie* (przekład polski bardzo dobry -- p. K. Rakowskiego) obiegła już główne sceny obydwóch półkuli. Jest utworem i żartobliwym i poważnym; jest znakomitą satyrą, jedną z najlepszych całej literatury powszechnej, godną następczynią szeregu wielkich satyr angielskich od Swifta do Sheridan'a. Dzieło to nie zestarzeje się, lecz pozostanie trwałym dorobkiem literatury angielskiej i spopularyzuje się w całym świecie, zaliczane do utworów typowych. Ma pomysł oryginalny, a wykonanie tem ciekawsze, że fabuła jest jakby rzuconą od niechcienia, a jednak obmyślaną celowo. Czem dłużej się zastanawiać nad tą „komedyą“, tem bardziej ona nęci; posiada wszelkie dane, ażeby ją zaliczyć do rzędu tych dzieł literackich, które człowiek wykształcony uważa za najlepszych swych przyjaciół i lubi do nich wracać. Za każdym razem będzie można znaleźć w tem dziele coś nowego, jakiś szczegół, którego się przedtem nie dostrzegło; że zaś pobudza wciąż do myślenia, widocznie jest dziełem niepowszedniem. Niestety, komedya ta traktowaną była po macoszemu, a szkoda, że tak wczesnie zesła z afisza! Gdyby starano się ze sceny ułatwić słuchaczom należyłą interpretację, mógłby być ten utwór pozostać na stałe w repertuarze, rzadko bowiem kiedy łączy się w jednej komedyi tyle warunków, mogących rokować sceniczne powodzenie. Kraków byłby jedynem miejscem, w którym *Bohaterowie* nie doznali powodzenia. Dyrekeya dała za wygraną; przypuścemy raczej, że po jakimś czasie wystąpi z „wznowieniem“, w którym uniknie się błędów popełnionych w pierwszej próbie, niedojrzałej, zbyt wczesnie przed publicznością odsoniętej. Można z *Bohaterów* zrobić zwykłą krotchwilę lub lichy melodramat, jeżeli się nie rozumie tekstu i takie właśnie nieporozumienie zaszło na naszej scenie.

Rzecz dzieje się podczas wojny serbsko-bułgarskiej z r. 1885. Po uliczkach jakiegoś małego miasta w Bułgarii rzną, sieką, dobijają niedobitków serbskich, rozprószonych w świeżej utarczce. Scena przedstawia sypialnię panny Rainy Petkowej, córki bułgarskiego majora, i z majorem zaręczonej, ze Sergiuszem Saranowem, o którym właśnie doszła ją wiadomość, że odznaczył się, poprowadziwszy świetnie atak kawalerji i sam wpadłszy

pierwszy pomiędzy działa nieprzyjacielskie. Bohater! Raina lubuje się w wymawianiu tego wyrazu; powtarza go sobie, jakby kołysankę do snu. Już bowiem późno, a resztki pukaniny przebrzmiewają; trzeba i można już pójść spać... Wtem otwierają się drzwi od ganku i do przybytku bułgarskiej patryotycznej dziewczicy wchodzi, a raczej wkrada się serbski oficer. Ścigany wśród ogrodów i opłotków, wpadł do tego dworku, po rynnice wdrapał się na piętro, wydostał na ganek i wśliznął się do sypialni panny Rainy. Nie wie, gdzie jest i jest mu to obojętne, byle koło niego było cicho, byle go żaden szmer nie zdradził przed zaciekłym pościgiem. Nie sprawia na nim wrażenia młoda kobieta w bieliznie; gdyby natrafił na starca, zachowywałby się tak samo: Żąda światła i milczenia, a grozi rewolwerem! Ścigający trafili na jego ślad i będzie rewizya tego domu. Raina chce krzyczeć, zwłaszcza, że naszedł ją wróg, serbski oficer! Ale nieproszony gość zwraca jej uwagę, że gotów wpaść cały oddział bułgarskich żołnierzy, nie dość cywilizowanych, żeby o tej porze znieść widok młodej osoby w bieliznie. Już słyhać kroki pościgu, zbieg ledwie ma czas schować się za portyere. Wchodzi oficer rosyjski (ochotnik w armii bułgarskiej); Raina w strachu przed kompromitacją rada nierada nie ma już innego wyjścia, jak przeczyć; sama otwiera drzwi na ganek, żeby się przekonali, że i tam nikogo niema, i sama sobą zakrywa miejsce kryjówki Serba. Ze względu na wyższe stanowisko jej ojca w armii bułgarskiej, wierzą na słowo i pościg odchodzi. Nikt w domu nie wie o niczem, ona sama musi też milczeć, skoro już raz się zaparla i tak powstaje sytuacja, mogąca wieść wprost do tragedyi, albo też do farsy. Nie będzie ani jednego, ani drugiego! Zawijaże się rozmowa pomiędzy gościem a gospodynią. On nie jest Serbem, lecz Szwajcarem. Kapitan Bluntschli jest żołnierzem nie dla idei, ale też nie z amatorstwa; jest nim z zawodu. Zagrożony śmiercią niechybną wśród ogólnej rzezi, uciekł i schował się, bo mu życie miłe. Wygląda na tchórza przed tą Bułgarką; ale w tchórzostwie jego jest jakiś system! Oto przyznaje się całkiem otwarcie, że mu wszystko jedno, co sobie o nim pomyślą, byle ocalił życie! Nie chce mu się umierać i na tem koniec! Niema takiej rzeczy, którejby w tej chwili nie zrobił dla ocalenia życia! Ten człowiek bywał jednakże już tyle razy w niebezpieczeństwie życia i jest przyzwyczajony patrzeć śmierci oko w oko; on już od czternastu lat jest żołnierzem i to zupełnie dobrowolnie! Wybrawszy sobie zawód żołnierski, przenosi się wszędzie tam, gdzie proch pachnie, z wojny na wojnę! Zawodowo niepospolicie wykształcony, zna doskonale wszystkie arkana wojenne, patrzy trzeźwo na nowożytny sposób wojowania i wie doskonale, jak człowiek staje się w nim machiną i jak niewiele jest pola do popisywania się jakimkolwiek bohaterstwem. Rozumem, zawodową wiedzą wy-

grywa się teraz bitwy a nie porywami! Narzeczony Rainy służy w kawalerji; Bluntschli opowiada, jak atak kawalerji zwykło się wysyłać umyślnie na stracenie, żeby tylko torować drogę dalszym oddziałom; doświadczeni kawalerzyści wiedzą też dobrze o tem i tylko młodzi pędzą na oślep, ale starsi wstrzymują konie, co się nie udaje i po kilkunastu sekundach konie wszystkich jednakowo unoszą. Nie wtajemniczonymu i nie obytemu z wojskowemi sprawami zdaje się, że bohaterstwo dodaje skrzydeł tym ludziom i że oni z własnej woli tak pędzą na nieprzyjaciela, jak wicher, a to tymczasem tylko okoliczności tak się składają, a wola ich niema w tem żadnego udziału. Zdarza się, że okryje się sławą wojenną ni stąd ni z owąd ktoś taki, w kim nietylko niema ani śladu żadnego bohaterstwa, ale jest nieporadność, a czasem nawet tchórzostwo. Jedno i drugie zapędzi go tam, gdzie niechybna powinna go czekać klęska, a błąd popełniony przez takiego poniesionego przez własnego konia przywódcę, mógłby się ciężko skrupić na wszystkich jego kolegach i spowodować przegraną, lecz ślepy traf sprawił, że uderzył (mimowoli) na baterję nieprzyjacielską, która wystrzelała już amunicję i będzie zwyciężcą! Jeżeli przeciwnik kilka nocy już nie spał i kilka dni nie dojadł, tchórz, który pędził, bo uciekał, spostrzega ku największemu własnemu zdziwieniu, że on tu górą, zatrzymuje się, żeby tanim kosztem użyć sobie chwały wojennej i sam w sobie wmówić, że to, co się stało, stało się według planu przez niego obmyślnego. Przyjmie w jednej chwili pozę bohatera i rolę tryumfatora! Bluntschli wierzy tylko w obliczenia w bitwie, a gdy ślepy traf je pomięsza, natenczas wszystko na nie, szkoda już każdej kropli krwi i lepiej ocalić się, ażeby się zachować do następnego razu, kiedy rozum zapewni mu tryumf zasłużony przewagą inteligencji. Bluntschli jest od kilku dni głodny i niewyspany; wystrzelał też amunicję do ostatniego naboju. Przyznaje się, że nawet ten rewolwer, którym tak straszył, był nienabity. W tornistrze nie posiadał zresztą dużo naboju; zbyt jest doświadczonym żołnierzem, żeby nie wiedzieć, że jeszcze ważniejszym od naboju jest dla żołnierza prowiant, zwykł więc dbać przedewszystkiem o to, żeby w tobołkach swych mieć amunicję... żywności. Dobrze odżywiony mózg będzie należycie funkcyonował i da sobie we wszystkim radę i niema wtenczas obawy, żeby kapitan Bluntschli znalazł się niewłaściwie! I ta potyczka inny wzięłaby obrót, gdyby nie głód i niewyspanie. Do bitwy wybiera się ten Szwajcar bez jakichkolwiek wzruszeń; za starym jest na to żołnierzem, a wojna jego żywiołem. Zachowuje zimną krew do tego stopnia, że pośród świstu kul zajada sobie w najlepsze... czekoladki, bo lubi ten przysmak i zawsze przed bitwą w te cukry się zaopatrzy. Takich to rozmaitych rzeczy dowiadujemy się z rozmowy Bluntschli'ego z Rainą. Nazwała go też „czekola-

dowym rycerzem". Na przemiany budzą się rozmaite przypuszczenia, jakim właściwie jest ten dziwny kapitan? Wydaje się być z razu zawodu swojego cynikiem. Tehórzem oczywiście nie jest, skoro sam wojny szuka i polubił widocznie swój zawód, skoro go przez tyle lat nie porzucił. Nie dla chleba służy ani też nie jest awanturnikiem. To człowiek zamożny, syn wielkiego przedsiębiorcy hotelowego w Szwajcaryi. Tymczasem uciekł, bo wszystkich rozproszono, czyli jak on poprostu się wyraża, wszyscy uciekli. Stracił nawet zimną krew, bo mózg nie funkcjonuje mu należycie od straszego zmęczenia. Kiedy opowiadał z przekąsem, jak to czyny wojenne wyglądają z pozorów i dla przykładu przytaczał ów atak kawaleryi, mówił o tem, czego właśnie na sobie doświadczył. Szanuje zawód wojskowy, ale śmieje się z laików, podziwiających to, co najmniej podziwu godne; czyny wojenne ocenić może trafnie tylko znawca. On mówi o tych sprawach z zimną krwią, bez uniesień, właśnie dlatego, że się na nich zna doskonale. Solidaryzuje się z rzezą wojenną, ale bierze w niej udział intelektualnie, a nie zmysłowo, jak tylu innych oficerów. To nie cynik wojskowości, lecz oficer uczony. Poznalibyśmy się na tem bez trudności, gdybyśmy te same uwagi słyszeli wygłaszane w gronie kolegów wojskowych; rozumni i naukowo wykształceni oficerowie, gdy są sami między sobą, z pewnością w ten sposób o wojnie nieraz rozprawiają, tylko bez dodatku złego humoru, nie będąc głodnymi, ani śpiącymi, ani w rozsypce, czyli (jak się wyraża Bluntschli weredyk) w ucieczce. Właściwie więc, z tego, co Bluntschli o wojnie rozpowiada, dziwnem jest tylko to, że rozpowiada to przed osobą najmniej do słuchania takich rzeczy przygotowaną, że niejako sekrety wojskowe wydaje przed Rainą. Umęczony do tego stopnia, że ustać na nogach nie może, a śpiący tak, że na zadawane pytania nie potrafi logicznie odpowiadać, mówi urywanemi zdaniem, ażeby coś mówić, ażeby wytłumaczyć jakoś Rainie, jak się tu znalazł i że niema w tem właściwie nic szczególnego. Raina nie a nic z tego nie pojmuje, widzi w nim tehórzę i czuje dla niego wzgardę; mniema, że dobieje go szyderstwem, gdy mu ofiaruje trzy czekoladki, które jej jeszcze pozostały z własnego pudełka. Raina, dumna ze swego Sergiusza, „bohatera“, patrzy z góry na Bluntschli'ego, ale to, co słyszała o ataku kawaleryi, nie da jej już spokoju; toćto jej bohater byłby właściwie tehórzem i głupcem, który popędził ku działom wbrew wszelkim prawidłom wojennej sztuki... uniesiony przez rumaka! Raina posiada niewiele inteligencji, a jest niezmiernie próżna. Dowiedziawszy się, że Bluntschli jest Szwajcarem, że pochodzi z cywilizowanej Europy, stara się przekonać go, że ma do czynienia nie z byle jaką Bułgarką! Zwraca uwagę przybysza, że znajduje się w domu cywilizowanym i niejako arystokratycznym. Pierwsza próba zaimponowania ka-

pitanowi należy do najkomiczniejszych pomysłów, jakie tylko posiada literatura. Ni stąd, ni zowąd, zapytuje kapitana całkiem poważnie, czy wie, co to jest biblioteka? bo właśnie w tym domu, w którym on ma zaszczyt się znajdować, istnieje jedyna w całej Bułgarii biblioteka, t. j. taka szafa, w której są pułki, a na nich książki poustawiane. Do kompletu należą już następne wywody, że są w Bułgarii rodziny, które codziennie myją sobie nietylko twarz, ale i ręce, a podobno nawet szyję. Satyra cięta jak brzytwa, ale niestety usprawiedliwiona najzupełniej terenem, na którym rzecz się dzieje. Autor nie cofa swego słowa i w następnych aktach jest jeszcze nieraz mowa o wodzie, jako przedmiocie zbytku u ludów Bałkańskiego półwyspu. Nie udało się Rainie zaimponować kapitanowi; nie udaje się jej nawet utrzymać rozmowy temi przechwałkami, bo Bluntsehli spiący nawet jej w końcu nie słucha. Raina jest bez litości i poczytuje tę nieuwagę za niegrzeczność. Zaczyna też niegrzecznością odpłacać; ale jej niegrzeczność jest świadoma i celowa. W końcu jednak nad wszystkim przeważa zdziwienie, bo takiego człowieka nie tylko nigdy nie widziała, ale nie słyszała, żeby taki mógł istnieć! Taki szczery, a rozsądny, mówiący prawdę gorzką o wszystkim, ale też przestrzegający jej przedewszystkiem wtenczas, gdy mówi o sobie... Zaciekawiona poczyną go wyciągać na słówka i radaby przedłużyć rozmowę, ale kapitan woli wyjść z fałszywej sytuacji i prosi, żeby dała znać matce o jego obecności. Ale gotów zasnąć, nim nadejdzie pani Petkowowa. Raina musi go raz wraz rozbudzać; wychodząc po matkę, każe mu tedy stać. On próbuje tego, ale żadną miarą nie może się utrzymać na nogach. Z senności traci już przytomność; znajduje się w stanie tylko pół świadomości i gdy w tem zamroczeniu władz umysłowych kręcąc się po pokoju, natrafia na łóżko, kładzie się bez namysłu, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi i w jednej chwili zasypia kamiennym snem na łóżku panny Rainy. Ogromnem oburzeniem córki i matki na taką „impertynencyę“, kończy się akt pierwszy. Raina jest przekonaną, że była wobec kapitana wzorem wytwornej grzeczności — wszak starała się gościa bawić — ale nieszczęściem trafiła na jakiegoś gburą.

W akcie drugim przedstawia scena ogród przed domem Petkowów. Wojna się już skończyła, pokój zawarto, oczekują powrotu ojca-majora. Na scenie para służących: Mikołaj i Luka. Mikołaj posiada wszystkie cechy typowego służącego, t. zw. „lokajskiej duszy“ w całej, możnaby powiedzieć „nagości“, (używając modernistycznego wyrażenia, żeby choć raz mieć z tego literackiego nowotworu praktyczny użytek). Mikołaj przyznaje się do tego i powiada, że tak być powinno. Służący nie ma krytykować porządków tego świata, tylko słuchać i starać się o dobry humor swego pana, nie pytając, czy nie bierze cza-

sem udziału w jakiej brudnej sprawie. Sekrety państwa podpatrywać jest rzeczą wielce roztropną, można je czasem korzystnie sprzedać, ale nie trzeba się nigdy odezwać głośno z tem, że się wie coś, co państwo woleliby utrzymać w tajemnicy; można dać to czasem zlekka do zrozumienia, ale w ten sposób, żeby oni byli też pewni dochowania tajemnicy, a wtenczas zasuły się jeszcze bardziej na łaskę pańską, której zdobycie i utrzymanie jest jedyną filozofią Mikołaja. A więc często gęsto coś skłamię, weźmie coś na siebie, przyzna się nawet do czegoś, czego wcale nie popełnił, wogóle przybierze każdą rolę, jaka wypadnie dla humoru, kaprysu lub też jakiej tajemnej przyczyny chlebobdawców. Niema takiego upodlenia, któregooby Mikołaj nie wziął na siebie, bo, jego zdaniem, należy to już do jego rzemiosła. Spodziewa się zato uciuć sobie fundusik na założenie sklepiku, i wtenczas ożeni się z Luką, pokojówką. Ona ma jeszcze więcej sposobności do zręcznego wyyskiwania sytuacji w domu Petków, ale ona nie taka, jak Mikołaj. Luka uważa się za coś bez porównania wyższego i działa inną metodą. Ma i ona swoje plany, ale przybiera je w piękne pozory. Mikołaj jest szczerzy, a ona pozuje. Akcentuje na każdym kroku swoją godność osobistą i głosi, że czuje się w zasadzie równą pannie Rainie. Chytrósć jej zmierza wprost do tego, żeby odbić Rainie narzeczonego! Oboje wypatrzyli jakoś tajemnego gościa w jej sypialni, może się uda zerwać zaręczyny! Tego Mikołaj nawet nie pojmie! Najciekawsze ze wszystkiego, że Luka była pierwotnie zupełnie prostą dziewczką służebną i dopiero Mikołaj nauczył ją manier, jak się ubrać, obracać i jak z państwem gadać... Pojętna Luka nietylko przejęła się naukami swego mentora, ale zakasowała go i dzisiaj uważa się za coś bez porównania wyższego od jego „lokajskiej duszy“, co mu raz wraz w oczy wyrzuca. Wtem wraca major Petkow. Nim się przywitał z rodziną, nim nawet o nią zapytał, każe sobie podać śniadanie, nazwane eufemicznie „kawą“, ale składające się dla niego przedewszystkiem z koniaku. Żona wita go, jako dzielnego obrońcę ojczyzny i próbuje czynić wyrzuty, że tak prędko zawarto pokój; drażni go przypuszczeniem, że zapewne na rozkaz Austrii przestano dalej gnębić wroga. Major kontent, że będzie mógł spokojnie siedzieć sobie za piecem, zwraca jej uwagę w wybuchu szczerości, że trudno było zdobywać całą monarchię austriacko-węgierską, bo na to nie wystarczało już czasu i nie mógłby przytem wrócić tak rychło na łono rodziny, za którą bardzo już tęsknił. Zrobił jednak co mógł, bo za jego sprawą... opuszczono w traktacie pokojowym ustęp o mającej odtąd panować przyjaźni pomiędzy Serbią a Bułgaryą. Oboje Petkowowie są prostakami, ale ogromnie dbają o to, żeby na zewnątrz wyglądali na cywilizowanych ludzi. Jego ta rola często dręczy i często pogniewa się na żonę. I teraz dokucza jej zwróceniem uwagi,

że przecież wśród ludzi cywilizowanych nie rozwiesza się brudnej bielizny po klombach przed gankiem (żeby schnęła na słońcu); pyszną jest odpowiedź Katarzyny, że ludzie naprawdę cywilizowani nie zwracają uwagi na takie drobnostki! Nadchodzi Sergiusz, narzeczony Rainy, rzekomy bohater. Oficerowie moskiewscy, kierujący armią bułgarską, poznali się na jego nieuctwie i awans jego już zapieczętowany; udaje więc, że dzieje mu się krzywda i zamierza podać się do dymisyi. Stary Petkow znalazłszy się na swoich śmieciach, rozbiera się zwolna z pozy, którą musiał zachowywać przez cały czas kampanii i przyznaje z zupełną szczerością, że właściwie po jednej i po drugiej stronie znaczyli coś w tej wojnie tylko ochotnicy cudzoziemscy; po tamtej stronie austriaccy, a po tej moskiewscy oficerowie; Serbowie bowiem i Bułgarzy nie mieli pojęcia, jak wojnę prowadzić i nie wiedzieli nigdy, jak się zabrać do rzeczy. Przypominają sobie, że był też jeden Szwajcar. Ten już podczas rokowań pokojowych oszukał ich przy jakiejś znaczniejszej dostawie koni, bo wśród oficerów bułgarskich nie było nikogo, ktoby się znał na koniach. Mieli jeszcze rozmaite sposobności poznać go bliżej i dziwiąją się, jak można znać się tak dokładnie na sztuce wojennej, tak wszystko umieć przewidzieć i obliczyć! Pochwał tych słucha już Raina. Wyszła do ogrodu w sam raz w tej chwili, kiedy Sergiusz o niej mówił i schodzi z ganku efektownie, ze słowami: „oto jestem“, przybrawszy zastosowaną do chwili pozę. Podsluchiwała na ganku i czekała, kiedyby najstosowniej było wejść i pokazać się. Ona nawet z ojcem i z narzeczonym nie potrafi przywitać się poprostu, musi i to ubrać w jakąś pozę. Przygoda Bluntschli'ego znaną jest ojcu i narzeczonemu, ale nie wiedzą, że odbyła się w tym właśnie domu; miejsca i osoby nie wymieniał kapitan, opowiadając, jak się ocalił, a opowiadanie jego już się rozeszło po wojsku, jako ciekawa anegdota z wojny. Aż tu w sam raz służący przynosi bilet Bluntschli'ego!! Przyjeżdża podziękować i oddać domowy mundur majora Petkowa, w który go panie przebrały, żeby mógł swobodnie przedostać się przez strażę bułgarskie. Jeżeli się wyda, że te panie znają się z nim, wyda się wszystko, będzie kruch, z zaręczynami, opinia Petków będzie narażona na szwank i gotowe powstać podejrzenia nietylko na moralność, ale nawet na patriotyzm tak wybitnego domu! Petkowska nie chce więc przyjąć gościa, wyprasza go z domu, nawet się z nim nie widząc; ale przez szereg drobnych nieporozumień i przygodny zbieg okoliczności, a także może dzięki przebiegłości Luki, dzieje się tak, że Bluntschli w sam raz staje w ogrodzie przed panami i paniami. Sam się jednak zorientował, iż zjawia się nie w porę i przypomina się tylko panom, udając, że z paniami po raz pierwszy się widzi i zapoznaje. One radeby się go pozbyć jak najprędzej z domu, ale major dostał właśnie polecenie, żeby

wypracował plan marszu dla czterech pułków, wracających na południe. Trzeba się postarać, żeby w drodze były zaprowiantowane; lecz ani on ani przyszły zięć jego nie mają pojęcia, jak się do tej rzeczy zabrać. U szwajcarskiego kapitana jest to drobnostką, robi to na poczekaniu. Proszą go o pomoc, on nie odmawia i w ten sposób zostanie przynajmniej kilka godzin w domu Petkowów. Luka wyzyska tymczasem sytuację. Gdy Sergiusz zaleca się jej w trywialny sposób, ona odpycha go, popisuje się obrażoną godnością, narzuca mu się wprost ze swem poczuciem równości, a swoją drogą pozwoli mu się umizgać do siebie na takim miejscu, gdzieby ich z okna mogła widzieć lubiąca podsłuchiwać i podpatrywać Raina. Sergiusza przygniata poza, którą musi przybierać ciągle wobec pozującej Rainy; poza oficera bohatera i romantycznego kochanka. Przyznaje, że nie jest wcale na bohatera stworzony, chciałby mieć święty spokój od wszelkich przesadnych wymagań, a zresztą, czyż największa nawet bohater potrafi nim być przez całe życie po dwadzieścia cztery godzin na dzień?! Oni gotowi wymagać od niego ciągle czegoś nadzwyczajnego, podczas gdy on ma taką szaloną ochotę być sobie prostym, zwyczajnym człowiekiem, a zwłaszcza po tych trudach kampanii! Wołałby Lukę od Rainy, gdyby nie była pokojówką. Luka to już przeczuwa, a spekulacja jej polega na tem, żeby przekonać Sergiusza, że tylko okoliczności życia służącą ją zrobiły, ale że w niej jest coś wyższego. Zachowuje się też ta służąca całkiem poprawnie.

Akt trzeci dzieje się w owej „bibliotece“, o której tyle nasłuchaliśmy się przez poprzednie dwa akty. (Żaden z członków rodziny Petkowów nie ominie nigdy najlichszej sposobności, żeby nie wspomnieć o tej bibliotece, nie wtrącić o niej słówka do rozmowy). Panowie pracują przy osobnym stole nad rozkładem pochodu czterech pułków bułgarskich; panie zajęte robotkami. Katarzyna stara się dużo i pięknie mówić, ale córka milczy i po cichu obserwuje; patrzy już-to na Sergiusza, już-to na Bluntschli'ego. Spostrzegła, że właściwie Bluntschli sam pracuje, a jej ojciec i narzeczony tylko podpisują i to wtenczas i tam, gdzie Szwajcar im wskaże. Stary Petkow nie ukrywa swego podziwu, a Sergiusz odczuwa wstyd. Poco jemu udawać, że się na tem zna, skoro go nie do tego nie zmusza? Raina zaczyna przezierać i radaby może mieć jaki pozór do zerwania; i Sergiusz także szuka już takiego pozorów. Tymczasem Katarzyna Petkowowa odebrała po cichu stary mundur swego męża. Był już na to wielki czas; major go szukał i dziwił się, gdzie się mógł podziąć. Żona twierdzi z zimną krwią, że mundur wisi zapewne w pokoju męża. Major się zakłada, że to nie prawda, ale przywołany przez żonę Mikołaj mundur rzeczywiście przynosi i ma na tyle sprytu, żeby na żądanie pani potwierdzić, że naprawdę w tamtym pokoju wisiał. Teraz dopiero dowiadujemy się, że

panna Raina wsunęła Bluntschli'emu na drogę swoją fotografię do tego munduru. Bluntschli o niczem nie wie, bo niczego po kieszeniach nie szukał; udaje się jednak pannie zręcznie fotografię wyjąć z kieszeni ojcowskiego munduru i rzucić kapitanowi na stół. Szwajcarowi podobała się Raina; gdyby oskrobać ją z pozy i wszelkiego udawania, byłaby bardzo przyzwoitą osobą i nadawałaby się na doskonałą żonę, a kapitanowi czas już myśleć o ustaleniu się. Czas też autorowi zrobić zakończenie do „sztuki“. Nadchodzi telegram o śmierci starego Bluntschli'ego w Szwajcaryi. Kapitan będzie musiał wracać do kraju, żeby objąć spadek. Przez chwilę zanosi się na pojedynek pomiędzy Sergiuszem a kapitanem, ale wzajemne szczerze wyznanie doprowadza do jeszcze miłszej zgody. Jeszcze jeden manewr sprytnej pokojówki, a Sergiusz oświadczy się o rękę Luki. Trochę jeszcze tylko korowodów, czy Bluntschli będzie dość wysokiego rodu i dosyć bogatym na to, żeby posiadać rękę Rainy, córki właściciela jedynej w Bulgaryi biblioteki. Okazuje się jednak, że kapitan posiada bez porównania więcej koni i zastaw stołowych, aniżeli rodzice panny młodej i w ostatniej scenie wszyscy będą zadowoleni.

Fabula *Bohaterów* jest więc niewyszukana i krotocwilna; na pozór wydaje się nawet niedbale ułożoną. Autor nie przywiązuje do niej wagi, bo nie o fabułę mu chodzi, lecz o satyrę na niej osnutą, która mogłaby być również osnutą na tyłu innych. Wybrał autor zawód wojskowy, bo na tem tle najwięcej można poczynić... satyrycznych odkryć, gdyż fachowe jego arkana odgrozione są murem chińskim od inteligentnego ogółu; dlatego wojskowość najbardziej nadaje się do efektownego zdzierania masek, co też praktykuje się w naszym pokoleniu niemal we wszystkich głównych literaturach europejskich. Nie użył Anglik do swego eksperymentu angielskiej armii, ani też wojsk żadnego większego mocarstwa europejskiego, lecz rzucił się na pobojuwisko serbsko-bułgarskie, w krainę posiadającą cechy egzotyeczności dla anglosaskich widzów i słuchaczy. Zawsze tak bywało, że wybitni satyrycy szukali sobie jakiego odległego terytorium dla swych gorzkich prawd, żeby rzecz działa się gdzieś daleko, koło literackich słupów Herkulesa. Myślący czytelnik potrafi sobie treść książki czy akcję komedii przenieść wygodnie i spokojnie do każdego kraju, chociażby do własnej ojczyzny. Kierowało też autorem pewne poczucie taktu, że głównej postaci utworu nie zrobił obywatelem żadnego z walczących państw, lecz neutralnym w duchu zaciężnikiem. Są w *Bohaterach* tu i ówdzie wyraźne alluzye, stosowane naprawdę do Bulgaryi i Serbii; stanowią jednak drobną zaledwie cząstkę tekstu, który da się przystosować do każdego klimatu. We wszystkich armiach całego świata najwięcej ran w konnicy pochodzi ze zgniecenia kolan jeźdźców przez zderzenie się koni w ciasnocie zwartych szeregów: wszędzie doświadczony żołnierz musi dojść do prze-

konania, że nie żadne bohaterstwo decyduje dziś o bitwach, lecz wyrachowanie, a obliczeń tych dokonuje się z zimną krwią i ten jest górą, kto lepiej zastosuje fachową wiedzę; we wszystkich armiach zdarzają się takie „ślepe“ zwycięstwa, jakie się właśnie zdarzyło Sergiuszowi, a ogół publiczności patrzy na Sergiuszów wszędzie w ten sposób, jak Raina patrzyła z początku na swego „bohatera“. Ci, którzy naprawdę coś umieją i dzięki temu są filarami armii, ci zbyt krytycznym okiem patrzą sami na swój zawód, ażeby pozować: nie imponując niczem ogółowi, pozostają też dla niego nieznanymi. Przy dzisiejszym sposobie prowadzenia wojny prawdziwymi jej bohaterami mogą być tylko tacy Bluntschliowie. Wszystko, co w armii jest dobrego, bywa ich zasługą; ale to są sprawy nie dające się przybrać w tęczę barwy dla prymitywnej wyobraźni. Komedya Shav'a nie jest wcale paszkwilem na wojsko; szacunek dla żołnierskiego zawodu przebija się wybitnie w konturach, jakimi określono postać szwajcarskiego kapitana. Nie jest nawet satyrą na wojsko, lecz tylko na mylne zapatrywania, jakie o wojsku i sztuce wojennej ma szeroka publiczność. Trzeba też podnieść z naciskiem, że chociaż wszystkie osoby występujące w *Bohaterach* są wyśmiane i Bluntschli wyśmiewa sam siebie satyrycznie, niema jednakże wśród nich ani jednego złego człowieka. Ani nawet Mikołaj nie jest złym; on uważa sobie tylko za obowiązek być takim, jakim jest, bo chce być jak najlepszym służącym. Luka ma w sobie dużo chytryści i jest podstępna, ale Sergiusz naprawdę jej się podoba i będzie dla niego wzorową żoną, jest też naprawdę stosowniejszą dla Sergiusza od Rainy. Sergiusz będzie najlepszym z ludzi i pelen dobrych przymiotów, skoro tylko znajdzie się na właściwym dla siebie miejscu, a zjeździe ztamtąd, gdzie go nie posiano. Major Petkow ma wszelkie kwalifikacye na patriarchę wszystkich okolicznych wiosek, byle tylko nie żądano od niego zdolności dyplomatycznych, ani talentów wojskowych i byle mu dano spokój z biblioteką, z której ani najmniejszej książki nie ma ochoty czytać. Ani w Katarzynie ani w Rainie niema nic złego, a ujemne ich strony pochodziły tylko z tego, że ulegały wymaganiom pozy. Poczciwe kobiety: ocaliły życie nieprzyjacielowi, nakarmiły go, napoiły, dały mu się wykapać, uczesać i przebrać i ten dobry uczynek cieszy je bardzo, a jednak o mały włos byłyby go w imię „honoru domu“ i „patriotyzmu“ wydały na jatki, gdyby się nie był obronił groźbą rewolweru. O mało co byłaby Raina wyszła za Sergiusza i stanowiąliby niedobre, nieszczęśliwe stadło, ona oszukiwałaby męża, a on tonąłby w ławnych miłostkach poza domem. Jedna chwila odważnego złożenia pozy na ołtarzu prawdy i szczerości i wszystko od razu będzie dobrze. I w tem jest właściwa treść *Bohaterów*. Shav woła ze sceny: Bądźcie szczerzy wobec życia, a życie będzie łaskawym wobec was! Nie udawajcie, bo z tego wyrosną z czasem

więzy, które wam się werzną w ciało i krępować będą wszelki ruch na drodze do osobistego szczęścia. Nie udawajcie nigdy bohaterów, ani w wojsku, ani — w miłości, bo bohaterstwo jest czemś tak wysokiem, że nie może być dla nikogo obowiązkiem, a nawet te wyjątkowe natury, które stać na porywy bohaterstwa, wyjątkowo tylko wnoszą się do takich wyżyn i nigdy na nich długo utrzymać się nie zdołają. Życia używa tylko ten, kto we wszelkich jego okolicznościach i na każdym stanowisku potrafi być przedewszystkiem człowiekiem, samym sobą. W każdej a każdej scenie *Bohaterów* okazywaną jest ta myśl na jakimś konkretnym przykładzie i niema jednej chwili przez całe trzy akty, żeby autor o tem zapomniał. Dlatego też pomimo słabej fabuły już to krotochwilnej, już to melodramatycznej, utwór ten od samego początku przykuwa uwagę, jak rzadko, a głębią swej myśli przewodniej i nader trafnem jej wypowiedaniem zastanawia i podbija słuchacza. W formie lekkiej wydał Shav jedno z najpoważniejszych dzieł współczesnego piśmiennictwa, a największą chwałą jego jest, że je napisał w takiej formie bezpretensjonalnej; on, przeciwnie pozie piorunujący, sam przy pisaniu wszelkiej pozy najstaranniej unika. I napisał lekką komedię na temat, na którym możnaby osnuć tyle ciężkich dramatów!

Bernard Shav jest wielkim zwolennikiem Ibsena i wi docznie przejął się jego dziełami, skoro najlepszy z jego utworów, *Bohaterowie*, osnuty jest w sam raz na tej samej myśli, która jest przewodnią ideą znacznej większości utworów Ibsena. Wszystkie niemal dzieła Ibsena mają właśnie tę samą treść, co *Bohaterowie*: precz z pozą, precz z udawaniem, bo inaczej nie może być szczęścia! Ale jest też zasadnicza różnica: nie o to chodzi, że Ibsen pisuje ponure tragedye, a Shav komedye krotochwilnym kształtem, bo to różnica tylko zewnętrzna: ale pod wpływem dzieł Ibsena nabiera się przekonania, że bez pozy już się nie obejdziemy, bo tak zabrnęliśmy w kłamstwie, że do samego utrzymania życia potrzebne nam jest konieczne „kłamstwo życiowe“. Wśród dzieł Ibsena znajdujemy się pod tym względem, jakby w zaczarowanym kole, z którego wyjścia zupełnie niema i trzebaby zrzucić z siebie całą kulturę, wyrzec się jej i rozbić ją w puch, chcąc móz odetchnąć tak swobodnie, jak o tem marzą czasem ibsenowskie postacie. Shav nie przedstawia rzeczy tragicznie. W jego oczach niema tu żadnej tragedyi, a poza nie jest wcale nieodzowną klątwą życia wśród kultury, lecz tylko obłądem, powstałym przez głupotę, przez brak znawstwa tych właśnie spraw, ku którym garnąć się i wznosić ludzie pragną. Nie chce im się jednak zadać sobie potrzebnego ku temu trudu i łapią się na lep złudzenia, że okrągłym frazesem przeskoczą przez roboty i mozoły, niezbędne, ażeby posiadać wpierv własne zdanie o rzeczach i na tej do-

piero podstawie mózdz samemu coś zdziałać i coś sobie ze szczęścia zdobyć.

Utwór o treści nader poważnej, a przybrany w tak lekką szatę, z fabułą rzuconą pomiędzy egzotyczne stosunki, musi być dla każdego teatru, choćby dla pierwszorzędnych scen w Europie, twardym do zgryzienia orzechem. Przedstawienie nie powinno być zanadto bułgarskiem, bo byłoby to z krzywdą istoty utworu, a nie może też nie być bułgarskiem, bo w takim razie zniknęłaby konkretna sceniczna podstawa. W lekturze można poprzestać na tem, że coś jest gdzieś, ale w teatrze trzeba te rzeczy ściśle oznaczyć. Postacie utworu muszą być wyraźnie zabarwione, śmieszności ich muszą być przez aktorów plastycznie wyzyskane, a jednak trzeba grać jakby symbolicznie, żeby nie zmylić widzów, co do intencji autora. I tak na należytą grę *Bohaterów* musi się złożyć kilka pierwiastków, po trosze z każdego i to pierwiastków takich właśnie, z których jeden drugiemu ciągle wchodzi w drogę; gra musi być nadzwyczaj dyskretna, subtelna, a takich rzeczy... nie improwizuje się. Tu każdy z grających musi w pierw wczytać się w cały utwór i dobrze go zrozumieć; nie wystarczy też jeszcze wystudować choćby najdokładniej własną rolę, lecz trzeba ją koniecznie porównać i zestawić ze wszystkimi innymi rolami. Mniej tu zależy na tem, żeby ta lub owa rola graną była wybornie, aniżeli na tem, żeby wszystkie, choćby tylko średnio grane, zestrojone były należyście. W utworze Shava niema bowiem żadnej roli „główniej“; wszystkie są jednako ważne, każda z nich ilustruje, i to wielokrotnie nawet, myśl autora, a chodzi właśnie o to, żeby słuchacze ani na chwilę o tej myśli przewodniej nie zapominali. Na naszym przedstawieniu nie było niestety najmniejszego zestroju i aktorowie zajęci byli wylącznie tylko tem, żeby każdy z osobna utworzył to, co się w żargonie kulisowym nazywa rolą „charakterystyczną“. Uchroniła się od tego jedyna tylko p. Jutkiewiczowa, która też grała pod każdym względem najlepiej ze wszystkich. Można jej zarzucić, że aż nazbyt poważnie pojęła rolę Luki i nazbyt uwierzyła temu, co Luka sama o sobie przed innymi mówi, ale w każdym razie znać było, że artystka zapoznała się dobrze z utworem, z jego tendencją i z metodą pisarską autora. Gdyby wszyscy byli grali równie dobrze, jak p. Jutkiewiczowa, przedstawienie byłoby bardzo dobre. Ona jedna ratowała sytuację tego wieczoru. Rolą Luki nietylko odznaczała się, ale zaczęła jakby nowy rozdział w swym zawodzie. Jak niegdyś w *Mulce Schwarzenkopf* zwróciła na siebie uwagę tak, że odtąd przestano ją zaliczać do „początkujących“, tak teraz po *Bohaterach* zastępuje na to, żeby ją nazwać wytrawną artystką, a umiejącą znacznie więcej, niż się dotychczas sądziło. Okazała niepospolitą zdolność przetwarzania się, co w rolach żeńskich jest sprawą bez porównania trudniejszą, aniżeli w męskich. Długo już obra-

cała się na scenie i mówiła, nim spostrzeżono, kto rolę gra; tak zmienionemi były ruchy i sam głos! Używała artystka tym razem tylko dolnego rejestru swego głosu, i to z bardzo dobrym skutkiem. Rolą Luki jakby się zdwoiła, jakby nowa jakaś przybyła naszemu gronu artystka! W przeciwieństwie do tylu poprzednich swych ról używała tym razem ruchów wolniejszych, poważnych i okazała ich od razu całą skalę. Pomysłowość artystki rzuciła się na nową dziedzinę, a że pierwszy raz jej spróbowała od razu w niej tryumf sobie zgotowała, świadczy to o znacznym talencie, po którym dużo się jeszcze można spodziewać. Otwiera się przed artystką dziedzina ról dramatycznych, okazała bowiem niejeden przymiot, dający jej do tego prawo. Nikt inny nie mógł tego wieczoru równać się choćby z daleka z grą p. Jutkiewiczowej. Rola Rainy, niestosowna dla p. Wysockiej, sprawiała jej widocznie kłopot, co robić, mając wyrażać już to sztuczną naiwność, już to t. zw. rolę charakterystyczną. Dzięki wyższemu swym zdolnościom wybrnęła p. Wysocka jakoś obronną ręką z tych wszystkich szkopałów, lecz nie udało jej się utworzyć typu, jak tego pragnął autor. Katarzyna Petkowska była aż nazbyt pospolitą w grze p. Senowskiej. Major Petkow p. Jednowskiego nie dotrzymał też tekstowi, a jeszcze gorzej było z majorem Sergiuszem, z którego p. Mielewski zrobił bezmyślnego amanta, zamiast położyć akcent na te ustępy, w których Sergiusz zastanawia się nad sobą. P. Zelwerowicz zmylił zupełnie akt pierwszy i nie tylko zgubił wszystko, co autor wypowiada pomiędzy wierszami, ale i to co mówi jawnie, a to z tej przyczyny, że mając z natury wymowę dobrą, zaraził się już krakowskiem niedbalstwem i tak przez cały pierwszy akt mówił, że ani nawet trzeciej części tekstu nie można było złowić! Całe zdania ginęły zupełnie, ale to tak, że ani słówka z nich nie można było w krzesłach zrozumieć! Wyraźnie natomiast mówił zawsze p. Zawierski i grał bardzo starannie. Po roli Luki była jego rola Mikołaja, najlepiej wykonaną. Wystawa sztuki była, jak zawsze u nas, bardzo staranna, bułgarszczyzna zaznaczona doskonale w sprzętach i ubiorach. Mamy w naszym teatrze na zawołanie każdej chwili piękne i oryginalne umeblowanie, czy londyńskie, czy gdzieś z jakiej Śliwnicy na Balkanie. Na jedno i na drugie stać nas i pod tym względem możemy być ze swego teatru zupełnie zadowoleni, gdyż trudno doprawdy o piękniejszą łupinę na ten orzech, który się nazywa polską sztuką sceniczną. Niechby mu tylko w tej łupinie lepiej się dojrzewało!

Wystawa i gra aktorów nie uczyni słabego dzieła dobrem, ani nie obniży wartości utworu naprawdę dobrego, ale o teatralnem powodzeniu stanowić może i to w danej chwili w sposób nawet stanowczy. Utworom starszym, o których jest już wyrobiona opinia, może wystarczyć średni stopień przygotowania ich na scenę, ale dla utworu dotychczas publiczności nie znanego

może być i bywa też nieraz decydującą gra aktorów. Mieliśmy właśnie w tym miesiącu dramatyczny tego przykład, kiedy upadło dzieło tak znakomite, jak *Bohaterowie*, a wygrał kampanię sceniczną utwór pod względem literackim wobec tamtego bardzo słaby.

Dyabeł łańcucki, dramat w czterech aktach z epilogiem z czasów Zygmuntowych, napisał A. Nowaczyński. „Z czasów Zygmuntowych“ ma znaczyć Zygmunta III., a „dyabeł łańcuckim“ jest Stanisław Stadnicki, starosta zygwulski, dyabeł już przez współczesnych nazywany. O rodzaju zdolności autora, o jego przymiotach dodatnich i ujemnych, niema potrzeby rozpisywać się szerzej, gdyż zrobiono to już bardzo obszernie przy sposobności przedstawienia trzech jego jednoaktówek przed kilku miesiącami tego roku. Nazwisko autora znają już powszechnie, chociaż dla literatury nadobnej nic jeszcze nie zdziałał, bo do pism jego przywiązany jest zawsze pieprzyk, a mianowicie jakiś skandalik. Niema już w całej Polsce ani jednego człowieka, biorącego udział w życiu publicznym, któremu by p. Nowaczyński nie był przypiął łatki i to metodą nie satyryczną, lecz paszkwiłancką z czego rozgłos jest duży, ale sława mała. Rozgłosy tego rodzaju nie zwykły też wróżyć sławy; skandalik pachnie, póki się nie zdarzy jaki nowy, a nazwiska dostawców takiej „aktualnej“ literackiej strawy toną potem zazwyczaj w niepamięci fali. Na taki los szkoda byłoby p. Nowaczyńskiego, który talent literacki bądźco bądź posiada. Toteż cieszą się, gdy się rozniosły wieści, że pisze dramat historyczny. Dawno już nie czekano z takim napięciem podniesienia kurtyny.

Scena przedstawia komnatę w wielkopańskim zamku XVII. w., istne cacko tapiceryi teatralnej. Z szeregu dyalogów dowiadujemy się, że na zamku mieszkają: stryj, siostrzeniec i wychowanka. Stryj brał udział w rokoszu, za co internowany jest we własnym zamku, a czas spędza z Muzami. Wychowanka doszła już lat dorosłej panny i będzie musiała przejść pod opiekę niewieścią, do fraucymeru jakiej wielkiej damy. Nad blizkim wyjazdem Kachny Strusiówny biada zakochany siostrzeniec i uprasza stryja żeby ją umieścił przynajmniej niedaleko. Jesteśmy przekonani, że mamy do czynienia ze Stadnickim, aż dopiero w połowie aktu wyprowadzają nas z błędu posłowie królewscy, którzy przybywają ażeby pana zamku odwieść od przyjaźni ze Stadnickim; teraz dopiero orientujemy się, że jesteśmy u Herburta. Dyletancki to błąd, pozostawić widzów w wątpliwości co do najmniejszej figury dramatu, a cóż dopiero względem głównej! Źle ułożone są sceny, które wymagają do zrozumienia pomocy afisza. Nie dobrze też jest, że o stosunkach i okolicznościach ludzi miejsca informuje nas autor przez szereg opowiadań sposobem więc prymitywnym; dyalogi są jednak dobre, opowiadania interesujące, czekamy więc dalszego ciągu w do-

brem usposobieniu. Herbert wyprowadza posłów królewskich w pole, przywróconej wolności użyje właściwie do tego, żeby na nowo związać się ze Stadnickim, który dał się już wszystkim we znaki wielokrotnem podeptaniem wszelkiego prawa publicznego i prywatnego. Obecnie toczy istną wojnę z Opalińskim, starostą leżajskim. Dowiemy się o tem z czwartego już z rzędu opowiadania; rzecz wyłuszczy nam sam Opaliński, przybywszy w sam raz na zamek... najlepszego przyjaciela, swego najgorszego wroga. Towarzyszy mu żona, zupełnie niepotrzebnie, skoro siedzi tylko sztywnie na krześle i nie mówi. Traf sprowadza po chwili na zamek Herberta, Annę Stadnicką, a wnet potem Annę Ostrofską, której Stadnicka nie cierpi z całych sił. Następuje scena szczególniejsza: polskie wielkie damy wyzywają się po karczemnemu, i trwa to sporą chwilę. Robią to jednak z temperamentem, i gdyby autor zdecydował się na przyostre tony nałożyć trochę tłumika, ustęp ten miałby wartość artystyczną; jeżeli zaś tłumik wydałby się może przyrzędem nieartystycznym, trzeba by przynajmniej zostawić te panie w cztery oczy, sam na sam, bo trudno pogodzić się z tem, że skaczą sobie do oczu wobec osób trzecich i to w cudzym domu! Cóż sobie mamy pomyśleć o Herburcie, który patrzy na to wszystko uśmiechając się, słucha wszystkiego obojętnie i nie robi, żeby zachować przynajmniej *decorum* wobec samego siebie, jako gospodarza, jakby nie miał poczucia własnej godności i sam siebie nie szanował. Na dobitkę odbywa się ta zajadła kłótnia w obecności młodzieży, przy młodym Herburcie (siostrzeńcu Erazmie i Kachnie Strusiównej. Kachna woła Herberta przeznaczoną jest z góry do fraucyneru Stadnickiej, a nie Ostrofskiej; nie potrzebuje się więc jej obawiać, ani się przeciw niej bronić, pocóż więc wtrąca się i pocóż autor robi ją wstrętą dla widzów przez to, że ta mała ośmiela się sama mówić impertynencye... księżnie Ostrofskiej! Nie o to chodzi, co wypada a niewypada w „zwyczajach towarzyskich“, lecz o to, że autorowi dramatycznemu stanowczo nie wypada podać cokolwiek bez umotywowania. Na końcu aktu coś nowego, bez organicznego związku ze wszystkim poprzedniem: Pop Korytko przychodzi błagać Herberta na klęczkach o pomoc dla cerkwi prawosławnej, gdyż król obsadził biskupstwo przemyskie unitą. Herbert pieni się ze złości i wybiera się do Stadnickiego, uknuć coś przeciw królowi.

Składa się tedy akt pierwszy z kilku luźnych epizodów, ułożonych *in crudo* obok siebie, bez jakichkolwiek zachodów o kompozycyę. Nie trzeba atoli ganić tego, gdyż w ekspozycyi jest to nietylko dopuszczalnem, ale czasem niema wprost innego wyjścia dla autora, mianowicie wtedy, gdy na akcyę dramatu ma się złożyć kilka pierwiastków. Wysłuchawszy pierwszego aktu, jesteśmy przekonani, że tak właśnie będzie w *Dyable ławi-*

cuckim i skorzy jesteśmy nie ganić, lecz właśnie podziwiać autora, że kreśli dramat na tak szerokim tle. Oto wszystkie stosunki społeczne i polityczne „czasów Zągmuntowych“ leżą przed nami, jak na dłoni: Opór przeciw tronowi, zwady możnowładców, walka królewiat z królem i walki ich pomiędzy sobą i jeszcze antagonizmy wyznaniowe: Herburt jest schyzmatykiem, Stadnicki kalwinem, Opalińscy i Ostrogscy katolikami. Jedno tylko dziwi nas, a mianowicie, gdzie się podział Stadnicki? W niejednym dobrym dramacie nie pokazuje się „bohater“ od razu w pierwszym akcie; to prawda — ale w każdym razie akt ten musi być poświęcony charakterystyce nawet nieobecnego. Po pierwszym zaś akcie *Dyabła* nie wiemy o tym dyable niemal nic, a nie wiemy i nie rozumiemy, dlaczego i w jakim celu poświęcił autor tyle miejsca Herburtowi? Tem większe zaciekawienie do aktu drugiego!

Akt II. nie tłumaczy nam jednakże niczego, a w dalszych okaże się, że wszystko, co było w akcie pierwszym, nie potrzebne do niczego do następnych. Herburt nie odegra w akcyi żadnej stanowczej roli, antagonizm wyznaniowy przypomni sobie autor dopiero w epilogu, Ostrogska nie spotka się już wcale ze Stadnicką, a miłość Erazma do Kaehny, niewzajemna, niema nic do wszystkich rzeczy, o których jeszcze będzie mowa, a będzie mowa przeważnie o takich, o których nie było mowy w akcie pierwszym. Nie jest więc akt I. ekspozycją, lecz stanowi sam dla siebie luźny obraz. Utwór składa się też rzeczywiście z pięciu scenicznych obrazów, stanowiących efektowne widowisko, ale nie składających się wcale na dramat, na żadną w ogóle całość kompozycyjną.

Urządzenie sceniczne w drugim akcie świetne; jak na teatr małego miasta, wspaniałe, bo i bogate i naprawdę piękne. Jesteśmy w głównej sali łańcuckiego dworu, niejako w sali tronowej królika Stadnickiego. „Dyabeł“ z żoną i jej fraucymerem na wzniesieniu; udzielają audyencyj, przyjmują raporty, wydają rozkazy, siejąc postrach na oczach liczego dworu. Poufnik Stadnickiego, Legart, znajduje się wciąż na sali z dużym a obnażonym mieczem w ręku. Kilka krótkich, a dobrze obmyślonych, scen epizodycznych, charakteryzuje Stadnickich dosadnie. Jest on sobie królem łańcuckim tak dobrze, jak Zygmunt III. królem „wawelskim“; tem mianem obdarzają tu pana Polski. Stadnickim wolno wszystko dla tej prostej racyi, że są Stadnickimi. W lochach łańcuckich pełno zawsze więźniów, szlachty i plebejów. Dzisiaj wyprosi im wolność pani Stadnicka, gdyż są właśnie chrcziny ich synka; zupełnie tak samo, jak na monarchicznych dworach, następuje akt łaski dla „zbrodniarzy“. Zbrodniarzem jest każdy, kto stanie w poprzek jakiej zachciance „Dyabła“. Pani Stadnicka taka sama, jak jej mąż. Nie z litości uwalnia więźniów, tylko z kaprysu. Też samej godziny okaże się na równi z mężem

tyrańską względem Opalińskiej, którą ludzie łańcuchy pojмали, gdy wyjechała z domu... najlepszego przyjaciela Stadnickich, Herburta. Każą ją wywlec z lochu i nawet nie przyodziają należycie stawić się przed sobą, żeby się z niej naigrawać. Opalińska milczy, nie chce się upokorzyć przed Stadnicką, nie przeprasza jej za obelgi rzucone na nią u Herburta; pozostanie więc w lochach, aż się na przeprosiny zdecyduje. (Dlaczego Dyabeł nie pojmał zarazem Ostrogskiej, niewiadomo). Wobec Opalińskiej zachowują się oboje Stadniccy z najwstrętniejszą brutalnością. Nie trzeba się temu dziwić, bo to zwyczajni rozbójnicy, a nawet oszuści i wydrwigrosze. Wnoszą na scenę wielkie pudro i wydobywają z niego żywego człowieka, sławnego kupca lwowskiego, Korniakta, nobilitowanego indygenę. Dyabeł kazał go pojmać i w ten sposób sobie dostawić, żeby wymusić na nim zrzeczenie się wielkich wierzitelności, jakie ma Korniak u Stadnickiego. Na te rozboje patrzy liczna gromada dworzau i gości, ale jeden tylko człowiek ośmieli się wypowiedzieć swe oburzenie; jest nim cudzoziemiec, włoski koniuszy łańcucki, którego autor nazwał szumnie Visconti di Venosta. Jedyna to przez całe pięć aktów osoba, mająca jeszcze jakieś pojęcie o tem, co godziwe a niegodziwe.

Zjeżdżają do Stadnickiego ci sami posłowie królewscy, których widzieliśmy w I. akcie u Herburta w Dobromilu: opat tyniecki, ksiądz Sutowski i krajezy koronny, Jędrzej Olizar. Dyabeł łańcucki wyprowadza ich w pole jeszcze gorzej, niż tamten jego przyjaciel. Przy końcu aktu zjeżdża Herbert. Już uknuto spisek, mający wprowadzić na tron polski Gaborego Batoroego z Siedmiogrodu. Zaraz, tej chwili, zabierają się do czynu i wyruszają w pole. Przy pożegnaniu odzywa się w Dyable na chwilę człowiek: żegna się czule z żoną, z dzieckiem i z Legartem, poddanym chłopem, który wiernością i bezwzględnym posłuszeństwem zdobył sobie ufnosć pana. Wszyscy boją się Stadnickiego, jeden Legart jest do niego przywiązany; odplaca mu to Dyabeł szczerem wynurzeniem się i wdzięcznością. Garsć ciepłych słów rzucona Legartowi, ułożona jest doskonale pod względem literackim; cała scena pożegnania jest też najlepszą w utworze. Akt II. jest w pierwszej połowie złożony tak samo z luźnych epizodów, jak pierwszy. Druga połowa ma natomiast wartość dramatyczną, wiedzie też do akcji tak rażno i składnie, że opinia o talencie autora rośnie niespodzianie z każdą chwilą. Fatalne to jednak, że owej akcji, tak pięknie zapowiedzianej... wcale nie będzie!

Na wyjeździe zwraca Stadnicki uwagę żony, że przy siódmej desce w sypialnej komnacie jest mechanizm, otwierający podziemną drogę do lasów, skąd już można bezpiecznie uciec; wszak losy wojny niepewne i zmienne. Ostrzega jednak zara-

zem małżonkę, żeby się nie pomyliła z deską siedmnastą, bo tę odsunawszy znalazłaby się przed wejściem do podziemnych lochów. Dziwna rzecz, że pani Stadnicka, tak przez męża kochana i za prawdziwą towarzyszkę życia i dzieł uważana, nie była dotychczas wtajemniczona w tajniki łańcuckiego zamku. Mniejsza o to, ale rzecz sama jest melodramatyczna: Boimy się, że przebieg wypadków zależny będzie od tego, czy pani nie pomyli siódemki z siedmnastką, żeby zamiast kompozycyi powiązanej logicznie i psychologicznie w zwartą całość nie nastąpiło mechaniczne złączenie luźnych obrazów na prędko czemkolwiek, choćby taką błachostką, jak przygodna pomyłka i pomieszanie dwóch liczb.

Co prawda, to prawda, chociaż budzą się pewne wątpliwości; rzecz jest dotychczas interesująca, nikt się nie nudzi w teatrze, a to jest już coś i to nawet nie mało. Nadzwyczajności nie mamy zaś prawa wymagać, zwłaszcza od autora, próbującego po raz pierwszy swych sił na większym utworze. Jeżeli więc do końca będzie tak, jak dotychczas, pocieszymy się, że przybyło scenie zręczne pióro, jakich przydałoby się kilka, nawet kilkanaście, żeby repertuar mógł się oprzeć na produkcji oryginalnej, swojskiej. Po drugim akcie dochodzi też zaciekawienie publiczności do punktu kulminacyjnego.

Akt III. — rozczarowanie! Cała historia walki z Opalińskim i z samym królem, cała akcja o Gaborego, wszystkie spiski, zwady i rokosze, zamknięte i wyluszczone w tem, że na łańcucki gród przybywa pospiesznie przysłany przez stryja Erazm ze złemi wiadomościami i z przypomnieniem pewnej liczby, ale jakiej — niestety! — zapomniał w drodze i sam nie wie, czy to siódemka była, czy siedmnastka! Z rozmów fraucymeru wiemy zaś, że pani zachowuje się od kilku dni jakby niesamowita, biegając po sypialni i rachując naprzemian do siedmiu i do siedmnastu! Kilka scen obojętnych dla akcji, dalszy ciąg dość już licznych epizodów: Erazm dostaje odkosza od Kachny, Strusiówna w kilku jędrnych zdaniach oświadcza, jakim ma być kawaler, któryby miał pozyskać serce i rękę córki i wnuki sławnych rycerzów; zdania te są bardzo dobrze pomyślane, a ustęp ten stanowi artystyczną ozdobę dramatu, a raczej na dramacie, jakby po wierzchu na nim naklejoną, z dramatem samym nie pozostaje w żadnym związku nietylko ten epizod, ale cały w ogóle stosunek Erazma do Kachny. Autor jakby nie wiedział, co począć ze swym dramatem, wypełnia dalej czas epizodzikami: Więźni i kneblują wóznego trybunalskiego, który tu przybył z jakimś pozwem; fraucymer coś śpiewa, żeby sobie dodać odwagi; Erazm spisuje inwentarz łańcuckiego skarbcza, chowanego pospiesznie przed nadciągającym nieprzyjacielem. Już widać z okien roty Opalińskiego. Patrzymy z pobłażliwym uśmiechem, jak Strusió-

wna przywdziała kawałek jakiegoś pancerzyka i wymachując szablą, chce pobudzić dziewczki do walecznej obrony. Służba zamkowa zbuntowała się, nadeszła stanowcza chwila. Wszeczyna się pożar, na scenę wpada tłum, mordują i rabują. Dwóch mężczyzn przywlokło panią zamku, co nas wiele dziwi, bo wiemy, że miała wraz z fraucymerem uciec podziemnym korytarzem. Łoskot, trzask, dym, krzyki i jęki przez dłuższą chwilę i tylko tyle. Autor obmyślił efektowną scenę pożogi i rabunku łańcuckiego zamku i dorobił do niej akt trzeci.

Potem dopiero dowiemy się, że pani Stadnicka, pomyliwszy sobie owe deski, otworzyła mimowoli wejście do lochów; więźniowie skorzystali z tego, wypadli, dopomogli żołnierzom Opalińskiego i sami rzucili się na mieszkańców zamku. Widzieliśmy na własne oczy, jak ujęto Stadnicką i cały jej fraucymer; widzieliśmy, że nie było nikogo, kto by się za nią ujął; a jednak zobaczymy ją w piątym akcie na wolności. W jaki sposób zbiegła, to odkrywa autor tajemnicą. Skoro jednak zbiegła i skoro chwila jej niewola nie ma nic do rzeczy w całej akcji, poco ją było kazać pojmać? Byłoby logiczniej i prościej, dać jej od razu uciec skrytym korytarzem podziemnym i obeszloby się bez gry w siódmkę i siedmnastkę. Okazuje się, że to wszystko nie miało żadnego celu. Wobec tego, że ani Stadnickiemu, ani Stadnickiej nie się nie stało, nie wiadomo, do czego wogóle potrzebny akt trzeci.

A do czegoż potrzebny czwarty? Dowiemy się z niego tylko tyle, że Erazm stracił z przerażenia zmysły podczas zdobycia Łańcuta; stał się chodzącym automatem, bez woli i zmysłów, oniemiał i stracił pamięć. Autor napisał ten akt dlatego, bo sobie upodobał pomysł zbiorowej sceny przed trybunałem lubelskim. Pełno palestry i szlachty, dysputują, nawołują się, rozważają i zdania swe wyrażają, a zawsze hałasują, czasem szable z pochwę wyciągają. Czyj proces? W pierwszej połowie aktu myślano powszechnie, że Opaliński skarży Dyabła; w drugiej zaś okazuje się, że rzecz ma się przeciwnie, że Stadnicki jest powodem a tamtem pozwanym. Wyroku nie wydano, tylko kazano Dyabłowi wyprowadzić o dziesięć mil swych zbrojnych zbirów, którymi obsadził wbrew prawu, trybunalskie miasto. Wyrok powinienby zapaść choćby w następnym akcie, ale autor o tem już nie myślał i słusznie, bo cały ten proces niema nic a nic do dramatu, ale w takim razie i akt czwarty cały jest tylko luźnym obrazem i — podobnie jak trzeci — wyniknął tylko z ubiegania się za teatralnym efektem. Jest w tym akcie księżna Ostrogska, czemuż niema Stadnickiej? Jest pani Opalińska, ale znowu sztywna i niemowa, do niczego niepotrzebna. Faktura dramatu coraz słabsza, już nawet ciekawość widzów słabnie; podnieca ich dopiero na nowo mowa Stadnickiego, ułożona z tem-

peramentem, stanowiąca wyborny ustęp literacki, przynosząca zaszczyt pióru p. Nowaczyńskiego. Znowu widzi się, że pióro to mogłoby się zdobyć na poważny dorobek literacki, gdyby sam talent wystarczał do dzieła; ale do tego potrzebne są niemniej inne jeszcze warunki.

Piąta odsłona nazwana epilogiem. Ale czegoż epilog, skoro żadnej akcji dramatycznej nie było? Czekają nas niespodzianki. Pola i zarośla pokryte śniegiem; gromada ruskiego ludu słucha przemowy popa Korytki i uchwalono „rizaty Lachów“. (Stadnickiego zabito w pościgu, jak się dowiadujemy z opowiadania). Wtem nadchodzi troje ludzi; stąpają ostrożnie i trwożno, zakrywając sobie twarze. Przez chwilę autor robi ceremonie, ale przewyciężywszy wstydlivość, przyznaje się do melodramatu: to Legart uprowadzający panią Stadnicką. Zarzuciłby ją, ale ten sam pop, który co dopiero wołał „rizaty!“ wyprasza jej życie u ludu, który się tu w epilogu zebrał do prologu wojen kozackich. Dla uzupełnienia melodramatu wnoszą mary z trupem Stadnickiego; nieboszczyka porównano do „upadłego anioła“. Nie jest ta odsłona nietylko epilogiem, ale nie daje ani nawet zaokrąglenia fabuły; gdzież Herbert, spiski, rokosze, gdzie się podziały różnorodne sprawy, poruszone w pierwszej akcji? Jedną tylko weszła do zakończenia, ta, o której najmniej słyszało się w ciągu dramatu, o której od pierwszego aktu nie było wcale mowy: sprawa schyzmatycka. Wskoczyła znów ni ztąd, ni z owąd, bez ładu i składu i jest podana na zakończenie prawdopodobnie dlatego, żeby stanowić jakiś mechaniczny pomost pomiędzy „Dyablem“ a następnym dramatem.

Zapowiedziano bowiem trylogię; zapowiedziano publicznie, w dziennikach. Jeżeli trylogia ta ma być „symboliką“ historii polskiej od „czasów Zygmuntowych“ — strach zdejmuję na myśl, że mogłaby się stać paszkwilem na Polskę. Przyzwycajenie staje się drugą naturą! Z przykrością stwierdzić trzeba, że „Dyabeł łańcucki“, chociaż ma pięć aktów, nie ma w sobie ani jednego porządnego Polaka, bo który z nich podłym nie jest, jest głupim. Głupkowato przedstawiony jest opat tyniecki i krajeży Olizar, Opaliński zaś okazuje się istnym niedołęgą w scenie trybunalskiej; ośmiesza go autor z całych sił, nie pozwala mu nawet umieć porządnie mówić. Wpadł autor w jakiś szczególny ferwor, boć trudno przypuścić, żeby p. Nowaczyński nie wiedział, jakim grubym to jest błędem artystycznym, chcieć przedstawiać poważnie pojedynek tęgiego szermierza z kimś nieumiejącym władać bronią. Wszak to temat do krotchwili nie do dramatu! W ten sposób postępuje jednak, ilekroć postawi dyabła wobec przeciwnika. Są jeszcze błędy inne, są nawet niekonsekwencje. Stadnicki pozwala sobie na wszelkie gwałty wobec Korniaćka lub Opalińskiej, a puszcza bezkarnie własnego koniuszego, cu-

dzoziemca, „przybędę“, o którego nikty się nie upomniał; nie zamierza nawet mścić się na Viscontim za ostre przymówki, tylko chce okupić u niego milczenie tysiącem talarów; przestrzeżony jest, że Włoch coś knuje przeciw niemu, a daje mu się wymknąć; on, który więził do dwustu osób w lochach łańcuchowych. Jedną z najlepszych scen jest pożegnanie z Legartem, jakby z przyjacielem, nie sługą; Stadnicki odzywa się do tego chłopca, jako ścigany przez wszystkich i zewsząd, do jedynej życzliwej duszy; ale obok stoi Herbut, prawdziwy, rzetelny Stadnickiego przyjaciel. Dlaczego też Herbutowi poświęcono z początku tyle miejsca, skoro potem nawet go się już nie wspomni? Czemu Stadnickiemu poskąpiono miejsca? Poświęcono mu miejsca nie więcej, niż Herbutowi, ofiarowano temu akt pierwszy, tamtemu drugi, nadto jednemu jedną scenę w akcie drugim, drugiemu również jedną w akcie czwartym. Do zapoznania się z bohaterem utworu wyznaczono nie cały dramat, lecz tylko jeden akt, t. j. drugi; w czwartym możemy jeszcze wysłuchać mowy Dyabła i na tem koniec; dwie trzecie części tekstu obywają się bez niego. Jaką jest akcja, a raczej, jak jej niema, już wyłuszczone. Fabuła bardzo słaba i prymitywna, skoro cały długi utwór składa się z luźnych scen obrazowych, ze zbioru efektów, powiązanych z grubsza, bez nici przewodniej, prostym szychem teatralnym. O trzecim warunku dobrego dramatu, o charakterystyce, również nie wiele dobrego da się powiedzieć. Są tylko trzy postacie żywe: Herbut i oboje Stadnicy, a reszta, to manekiny, które autor oznacza mechanicznie, cechami zewnętrzny, albo też nie o nich nie mówi. Ciekawym przykładem pozostawienia postaci dramatu bez charakteru (w literackim znaczeniu tego wyrazu) jest Erazm Herbut. Kachna Strusiówna wydaje się zcharakteryzowaną wybitnie, ale w rzeczy samej znamy tylko jej usposobienie, lecz nie charakter. Wystarcza to u niej, ale nie może wystarczyć u głównych postaci. U Herbuta brak wyjaśnienia, jak w jednym człowieku połączyło się zamięłowanie muz z takim zawadyactwem, że ma płaszcz cały podbity kondemnatami? Co łączy i to od dawnych już lat, wydawcę Długosza z takim rozbójnikiem na gładkich drogach, jakim był Dyabeł? (Nie wyzyskał tu autor historii, która ma na to odpowiedź). Ani nawet sam Stadnicki nie ma w dramacie dostatecznej charakterystyki. Usposobienie jego przedstawione jest świetnie, wprost znakomicie i co do tego, zasłużył autor na jak najgorętsze pochwały; ale do głębi charakteru nie dociera wcale, nawet tego nie próbuje, jakby się nie spostrzegł, że dobrze obmyślony dramat musi dać odpowiedź na pytanie: dlaczego Stadnicki jest takim, co go takim zrobiło i co on sam o sobie myśli? Bez tego niema psychologii postaci, a bez psychologii niema charakteru w literackim dziele. W epilogu nazywa autor Dyabła upadłym aniołem. Wspaniała pomysł! Autor miał w chwili,

gdy to napisał, myśl, której mogliby mu pozazdrościć najlepsi dramaturgowie; jedno to słowo odkrywa w lot i głębie psychologii i całe horyzonty poezji. Szkoda, że wpadłszy na ten przepysny pomysł, nie zaczął pisać na nowo od pierwszego aktu, ażeby według tego przedstawić nam istotę i tragedję życia Stądnickiego. Jeszcze nie za późno... Przerabiali swe dzieła najwięksi poeci (Goethe po ośm razy), nie ubliżałoby p. Nowaczyńskiemu przerobić *Dyabła ławickiego*, skoro znalazł bądź co bądź punkt zaczepienia do dobrego dramatu. Dziwne to nawet i bardzo dziwne, że powziąwszy tę myśl o „upadłym aniele“, nie wyzyskał szczęśliwej chwili i nie schował rękopisu, żeby go zastąpić nowym, w którym „upadek anioła“ byłby przeprowadzony od pierwszego aktu. Jest obowiązkiem krytyki zachęcać autora, żeby sobie zadał ten trud, zwłaszcza, że temat taki wdzięczny. Pierwsze koty za płoty; opracowanie powtórne byłoby z pewnością lepsze. Dramatu nie improwizuje się, a dłuższe zastanawianie się nad *Dyablem* naprowadza na domysł, że pisany był pośpiesznie i że chodziło o jak najrychlejsze wystawienie dramatu. Tem wypada tłumaczyć owe niedostatki liczne, między którymi niektóre są tak rażące, że sam autor spostrzegł się na nich na pewno, ale wołał spieszyć się na deski, niż poprawiać i przerabiać.

Nie dotknąłem historycznej strony dramatu i dotykać jej nie będę, gdyż pisarzowi dramatycznemu wolno pozwolić sobie nawet na jeszcze większe licencje, niż te, których w *Dyable* jest długi szereg. Mniejsza o to, byle dramat był dobry! Jeżeli ktoś napisze dobrą tragedję, w której Jadwiga będzie córką Kazimierza W., siostrą Ludwika, żoną Witołda, a Jagiełło ojcem Wilhelma, zniósę to wszystko za najgłębszą pokorą i dam się przekupić pięknościom poetycznego dzieła. W utworze słabym gorzej się to znosi, to też pozwolę sobie na jedną uwagę. Burdy bywały w trybunale, ale za czasów saskich i to w sieniach gmachu, ale nie w sali i do tego podczas posiedzenia!! Wspominam o tem, bo się boję, żeby *Dyabel* nie był tłumaczony na rosyjski i niemiecki język, a p. Nowaczyński wystawił i tak społeczeństwo jako istną stajnię Augiasza, niepomny, że czasy „Zygmuntowe“, toć to czasy Zamoyskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów! Oparł się jednostronnie na książce p. Władysława Łozińskiego. „Prawem i lewem“, na której konieczną (bo wynikającą z rodzaju materyałów) jednostronność sam autor zwraca uwagę i czytelnika ostrzega przed niewczesnymi wnioskami. Szkoda też, że nie zwrócił autor baczniejszej uwagi na te ustępy p. Łozińskiego, w których wywodzi, że *Dyabel* „nie jest postacią poetyczną“ (str. 404 pierwszego wydania) i „choć kładzie głowę, nie jest właściwie tragiczną postacią; tragicznym jest raczej *Opaliński*“ (str. 406), „odbiega od demonicznych charakterów“ (str. 407). Chcąc go zrobić poetycznym, nie trzeba go

robić historycznym. Pan Nowaczyński nie dba o chronologię ani o historyczny związek wydarzeń, a więcej faktów czerpie z fantazyi, niż ze źródeł (z książki p. Łozińskiego stosunkowo nie wiele, a z powieści p. Krechowickiego „Starosta Zygwulski“ nic a nic), samą działalność swego *Dyabła* przedstawia pomimo to zupełnie „historycznie“, gdyż robi go takim, jakim był w rzeczywistości, a taki Stadnicki poetycznym być nie może. W tem ma p. Łoziński najzupełniejszą słuszność, bo historia nie wie nie o „upadku anioła“, który mógłby być tematem nadzwyczaj poetycznym.

Dramat pisany jest językiem stylizowanym umyślnie nakształt współczesnego; trudno ocenić te usiłowania, póki się nie ma tekstu drukowanego. Nasuwa się tylko ogólna uwaga, że szkoda czasu na te modne dzisiaj eksperymenty, które słabej rzeczy nie a nic nie pomogą i trącą zawsze sztuczka, bez której dobra rzecz doskonale się obejdzie. Kto się uważa za mistrza słowa, niechajże kształci dzisiejszy język! Jest w tej zabawie (nieszkodliwej zresztą) jakiś brak logiki.

Przedstawienie odbyło się świetnie. Mieliśmy już kilka razy sposobność wychwalać staranną wystawę; tym razem należą się pochwały jak największe. Była też nadzwyczaj staranna reżyserya, doskonale pouczeni komparsowie, a gra aktorów znacznie lepszą, niż kiedykolwiek w ostatnich czasach. Odznaczył się zwłaszcza p. Sosnowski w roli Stadnickiego, którą wykonał znakomicie w całym znaczeniu tego wyrazu, uzupełniając nieraz grą swoją tekst i dając postać jednolitą. Była to jedna z najlepszych ról tego szczególnego artysty, który nie stara się nigdy olśniewać, nie puszy się na scenie, a swoje robi, a nie się nie oglądając i często gęsto robi właśnie najwięcej. Był w grze p. Sosnowskiego gwałtowny impet nadmiaru siły, szukającej sobie ujścia, skierowanej w ujemnym niestety kierunku, jakoby dla braku normalnego łożyska. Artysta uzupełniał autora, oparłszy się na świetnym pomysłe o „upadłym aniele“ i mniej więcej w ten sposób Stadnickiego przedstawił demonicznie, i przez to stworzył postać niepospolitą, i porwał widzów. Aktor dał postać człowieka zupełnego, podczas gdy autor poprzestał na opisanu żywej maszyny do robienia złego. Wielkie też pochwały należą się p. Wysockiej za rolę Stadnickiej. Pycha urażona, przesadne pojęcie swej godności, mściwość, a przytem zachwyty nad tytaniczną siłą swego męża, składały się na jej rolę, wyraźnie zawsze jak najlepiej. Księżną Ostrogską, „królową Wołynia“, miano odwagę zrobić p. Konarską; podziwiano na niej piękny kostium, ale napróżno siliła się dorósć do swej roli. Byłaby się z niej wywiązała bez porównania lepiej p. Wolska. P. Rutkowska, artystka najlepszą obdarzona dykcyą, dostała, jakby na ironię, niemą rolę Anny Opalińskiej. P. Andruszewski grał dobrze starszego Herburta; pokazuje się, że jest wybornym nabyt-

kiem do ról kostiumowych, charakterystycznych z domieszką patosu. P. Jednowski miał niewdzięczną rolę, zaniedbaną w najwyższym stopniu przez autora, postać Opalińskiego. P. Zelwewicz powinien był obmyśleć rolę opata tynieckiego na wyższy nieco ton; należałoby stłumiać w sobie zachcianki „komika“, pozostałości z początków artystycznej kariery, które niepotrzebnie poczynają wychodzić znowu na wierzch „powietrzną falą“. Na obliczu opata powinno się dostrzegać jakąś troskę, a nie sztuczną, nadętą, a więc komiczną powagę. Dobrze się udało krótka rola włoskiego koniuszego p. Zawierskiemu, natomiast p. Popławski wyglądał szablonowo w roli popa Korytki. Młodym Erazmem Herburtem był p. Leszczyński: stał, przemawiał, układał sobie wyraz twarzy i oczu zupełnie tak samo, jak w niejednym ustępie roli *Skromnego Kazimierza*, tylko że przykrył to wszystko błyszczącą zbroją; innej różnicy nie było. Lepszą bez porównania miała wenę p. Sulima, bo z krótkiej roli Kachny Strusiówny udało się jej wykrzesać kilka dobrych akcentów. Wśród ról mniejszych zwrócił na siebie uwagę p. Bończa w roli Korniakta, wykonanej doskonale, w sam raz w miarę. Z przyjemnością czytało się na afiszu nazwisko p. Przybyłowicza. Mógł wykonać rolę marszałka trybunału lubelskiego, małą i nie wymagającą pracy. Oby to było początkiem powrotu do zawodu, w którym tak wysokie zajął stanowisko, będąc prawdziwą ozdobą naszej sceny. Chociażby stan zdrowia nie pozwolił p. Przybyłowiczowi występować już inaczej, jak tylko w drobnych rólkach, i tak będzie zawsze mile witany. Kto tyle położył zasług, kto tak sumiennie pracował, komu się zawdzięcza tyle pięknych wieczorów, temu się należy zawsze zaszczytna wzmianka w sprawozdaniach z naszego teatru.

W obfitości ciekawych przedstawień ujrzyliśmy na zakończenie października jeszcze jeden dramat w czterech aktach z prologiem T. Wedekinda p. t. *Demon ziemi* (Erdgeist) w dobrem tłumaczeniu Be.....é. Imię autora rozgłośnie. Nietylko w Polsce panuje dziś moda, żeba raz w raz, co jakie śmielsze pióro wystąpi, wołać, że zjawił się nowy geniusz. Nie u nas ta moda powstała, lecz z zagranicy przywędrowała do nas. Po tylu innych przyszła w Niemczech na Wedekinda kolej, żeby być okrzyczanym za nadzwyczajne zjawisko w dziedzinie poezji dramatycznej. Zaczynano tam już za naszej już pamięci nowe „epoki“ nawet od Sudermanna, nietylko od Hauptmanna, dłaczegóżby nie miano zaprowadzić na jakiś czas rachuby nowej ery od czasów Wedekinda? Śmiałością celuje on rzeczywiście i gdyby ten przymiot rozstrzygał o wartości dzieła, musiałby się znaleźć w pierwszym szeregu autorów. Prawdą jest, że w zuchwałstwie przeszedł wszystkich innych niemieckich kolegów, bo doszedł do tego, że najgrubsze motywy próbuje przedstawić w ten sposób, żeby dały się pokazywać ze sceny wcale nie dwuznacznie,

a jednak z zachowaniem jeszcze artystycznego piętna. Udaje mu się to doskonale, jest bowiem biegłym stylistą. Umie kilkoma trafnie powiązаныmi wyrazami secharakteryzować człowieka i sytuację, umie jak najlepiej prowadzić nietylko czytelnika, ale też i widza w teatrze do potrzebnych sobie domysłów i tak sprawę urządzić, że w domysłach się nie pomylą. Nietylko więc odznacza się wybitnym talentem literackim, ale ma w sobie dar sceniczny, którego istotą jest to właśnie, żeby autor panował nad swoimi słuchaczami i tak myśli ich opanował, żeby nimi kierował dowolnie. Tych przymiotów nietylko odmówić Wedekindowi nie można, ale nawet wypadaloby polecić studyowanie jego rzeczy scenicznych wszystkim, mającym zamiar poświęcić się tej dziedzinie literackiej twórczości. Studya takie warto jednakże odbywać tym tylko, którzy mają w sobie coś więcej, niż sam literacki talent i którzyby poza scenicznym nerwem mieli w sobie nadto jeszcze coś... ludzkiego. Nie będzie wielkim twórcą nikt, kto sam w sobie jest mały, a *Demon ziemi* posłużyć może za ciekawy przykład, jak wybitny talent sceniczny może nie zdobyć się na wybitne sceniczne dzieło. Formy literackie wykształciły się nadzwyczaj za naszych czasów. Nawet wierszokleci pisują wierszami lepszymi od Mickiewiczowskich, dorównują Słowackiemu, a zjawisko to obserwować można podobnież w zagranicznych literaturach, gdzie w cudowne rytmy i rymy oblekały się już tylekroć lichy kompozycye. Sztuka składa się z treści i formy, a obie te części są równouprawnione. Doszliśmy szczęśliwie do przekonania, że bez artystycznej formy niema dzieła sztuki, chociażby było najwięcej pretensjonalnem pod względem treści. Czas teraz na reakcyę w przeciwnym kierunku, żeby się mianowicie spostrzedz na tem, że najlepsza nawet forma nie wyda dzieła sztuki, jeżeli nie służy artystycznej treści.

Oryginalnym jest prolog Wedekinda. Występuje właściciel menażeryi, pogromca zwierząt i zaprasza, żeby oglądnać jego bestye. Wyraża się dosadnie, co się w budzie jego mieści, a na próbę i dla zachęty pokazuje publiczności jeden z najciekawszych swych okazów. Ma w menażeryi węza pełnego szczególnych właściwości, a niesłychanie jadowitego. Jako ilustracyę jego słów wnosi służba na noszach... młodą i piękną kobietę. Zaraz w pierwszym akcie zapoznamy się z tym węzem bliżej, a będzie nim piękna Lulu.

Akt pierwszy u artysty malarza Schwartza, ubożego chłopaka, którego całym majątkiem nie bardzo wielki talent. Zarabia portretami, z których jedne udają się lepiej, drugie gorzej. Sam obojętny względem swoich modeli i obojętny wogóle względem życia, nie ma wielkich namiętności, ani wielkich ambicyi. Razu pewnego jednak odwiedził go radca sanitarny Dr. Goll z propozycyą, ażeby malował jego żonę. Jest nią piękna Lulu,

kóra każe się malować w stroju Pierrota, i od tej chwili malarz stracił równowagę; coś się w nim obudziło i przeszło szybko w szal, nad którym ledwie zdoła zapanować. Skarży się na to przed swym przyjacielem, naczelnym redaktorem, Drem Schönem, któremu maluje portret narzeczonej, nie przypuszczając, że Schön zna od dawna jego modelkę. Jest tylko kilka scen, pisanych w jak najprostszy sposób, na czem właśnie polega niepopolitość stylu i faktury Wedekinda, unikającego wszelkich literackich komplikacyj. Po redaktorze wchodzi do pracowni dr. Goll z żoną, młodszą przynajmniej dwa razy od siebie. Kilka słów uprzedzających nas, że towarzystwo, w które wejdziemy, zwykło brać życie z lekkiej strony, żyjąc bez porównania bardziej zmysłami niż umysłem, poczem Lulu przebiera się w sąsiednim pokoju w strój Pierrota i staje do pozwania. Słyszymy ledwie kilka zdań, pozornie obojętnych, które jednak sprawiają wrażenie na malarzu; z jego zaś strony niewiele też słów, ale wystarczających, ażebyśmy uwierzyli, że on naprawdę tym razem nie może malować obojętnie. Nadchodzi Alwa, dorosły już syn redaktora z pierwszego małżeństwa, kompozytor baletowy; zabiera ojca i Golla na próbę. Lulu jest sama znakomitą tancerką, uczyła się u pierwszych mistrzów w Paryżu, teraz jednak nie tańczy już publicznie; bardzo tego żałuje, ale mąż nie pozwala. Gdy znalazła się sam na sam z malarzem, wymieniają znów kilka zaledwie zdań, i to bez żadnej frazeologii. Kobieta zrazu, jakby żartowała, pozwala się malarzowi gonić po pracowni, przez chwilę scena zaczyna być nawet wesoło zabawną, kończy się jednak wiarołomstwem. Ona przewidywała, że mąż może nagle powrócić, gdyż on lubi robić takie niespodzianki; nie krępowała się tem jednak i oboje nie zdołali nad sobą zapanować. Goll wchodzi i zostaje rażony atakiem apoplektycznym, odrazu śmiertelnym. Świetny jest ustęp, opisujący w urywanych półsłówkach zachowanie się jego, a jej, wobec świeżego trupa. Tego opisać nie można; tylko sam tekst może dać pojęcie o tej prawdziwej sztuce stylistycznej.

W drugim akcie kobieta — wąż jest małżonką młodego malarza Schwartza, któremu wniosła pół miliona posagu. Skojarzył ten związek redaktor Schön, który pracował również gorliwie nad tem, żeby nieznanemu dotychczas i na sławę tak dalece nie zasługującemu malarzowi, narobić rozgłosu. Obrazy jego idą w górę, sprzedaje je za wyborną cenę po stolicach europejskich, i żyje w dostatkach, szczęśliwy, dumny, że posiada kobietę tak pełną zalet ciała i umysłu, tem szczęśliwszy, że uwierzył w swój talent i dał w siebie wmówić, jakoby był rzeczywiście znakomitym artystą. Pracuje gorliwie. Krótka scena charakteryzuje wybornie to pożycie, złożone z jednej strony z samych tylko złudzeń, a z drugiej strony... z samych tylko oszustw; o tem pouczy zaraz następną scena. Podczas namię-

tnych wynurzeń rozkochanego do najwyższego stopnia męża, zapukał ktoś do drzwi. Schwartz idzie sam wyjrzeć i wraca zły, że mu sam na sam z żoną przerywa jakiś żebrak, mieniący się starym żołnierzem. Odprawił go z niezem i udaje się do pracowni. Zaraz potem wchodzi do mieszkania ów rzekomy żebrak; jest nim Schigolch, starzejący się już pijanica, a wszechstronny niepoń. Przychodzi do Lulu po pieniądze, żąda ich bez ceremonii, a ona daje mu bez namysłu dwieście czy trzysta marek. Widać tak już to między nimi przyjęte; jest też z nim bardzo poufale, ale bo też to jest jej własny ojciec! Nędznik - to ostatniego rzędu, którego najlepszym zarobkiem były zawsze pieniądze zdobywane przez córkę. Tajemnica węża odsłania się stopniowo. Nadchodzi redaktor Schön z wymówkami, że Lulu powinna mieć rozum i przestać mu się już narzucać gdyż chcąc zacząć na starsze lata inne życie i właśnie postanowił ożenić się powtórnie. Zaręczył się już dość dawno z niewinną, z młodą dziewczyną, chciałby żeby małżeństwo jego doszło wreszcie do skutku i pragnie dlatego uporządkować swe stosunki; a tymczasem Lulu krępuje go, przebywając u niego niemal całymi dniami. Przychodzi więc, żeby zerwać z nią i pozbyć się natrętniej. Ale to nie tak łatwo, bo znajomość ich zbyt stara. Otrzyma on Lulu od dwunastego roku życia, a młoda dziewczynka była już wtenczas na wskróś zepsuta. Wyciągnęła mu pewnego razu złoty zegarek z kieszeni. Nie oddał jej na policję, lecz zajął się jej wychowaniem. Lulu okazała się bardzo zdatną, pojętną, nabrała manier, otrząsała się w świecie i ze światem od strony półświatka, ale nie zrobił się z niej człowiek. Ona sama o sobie powiada, że jest „zwierzątkiem“. Stosunek ten trwał długie lata za życia pierwszej żony redaktora, a młodemu synowi Schöna wydawała się wtenczas Lulu niewinną ofiarą ojca. Toteż po śmierci matki zażądał Alwa sam, żeby ojciec ożenił się teraz z Lulu, a miał synek lat zaledwie siedmnaście; widocznie redaktor nie o wiele lepiej jego wychował, aniżeli młodszą siostrę. Ale pamiętał o niej, wystarał jej się o męża, on to bowiem następczynią jej Golla, a po jego śmierci znowu Schwartz. Lulu nie chce zerwać z dawnym opiekunem i nauczycielem uciech; ani jej w głowie być wierną któremukolwiek ze swych mężów i Schön nie widzi w końcu innej rady, jak wyznać wszystko otwarcie Schwartzowi, żeby sobie sam dopilnował żony. Schwartz był przekonany, że żona jego pierwszego kocha, że jest kobietą nie tylko uczciwą, ale nadzwyczaj szlachetną, a tylko nieszczęśliwą. Ze zdziwieniem słucha o istnieniu jej ojca, z przerażeniem dowiaduje się rozmaitych rzeczy, z których wynika, że żona jego okłamywała go systematycznie. Schön odkrywa mu całą prawdę w najbrutalniejszy sposób, siebie samego też nie oszczędzając. Na skutek nie trzeba długo czekać; za chwilę słyhać za sceną charczenie. Mija dłuższa

stosunkowo chwila, obmyślona bardzo efektownie; do zamkniętego pokoju malarza nikt nie może się dostać, a gdy drzwi wylamano, każdy cofa się z przerażeniem, nikt niema odwagi przyrzec się z blizka temu co tam się stało. Lulu brzydzi się widokiem ciepłego jeszcze trupa, ale nie odczuwa wyrzutów sumienia, ani nawet nie jest tak dalece przerażoną. Przeraził się, i to wielce, sam redaktor, z obawy skandalu w przede dniu ślubu; grozi mu nietylko odesłanie pierścionka, ale cała karyera jego może być w jednej chwili złamaną. Umie sobie jednak radzić; samobójstwo Schwartza wytłumaczy we własnym dzienniku, jako skutek manii prześladowczej. Lulu zapowiada zaś na końcu aktu, że Schön będzie niebawem jej mężem.

Akt trzeci w garderobie teatralnej. Lulu jest primaballeriną i ma właśnie wystąpić w nowym balecie Alwy. Jest już nowy kandydat do jej ręki, a mianowicie możny i bogaty książę Ecserny, człowiek z naukowem wykształceniem, sławny podróżnik po Afryce. Nie jest on naiwnym, jak był malarz Schwartz, a jednak doprasza się ręki baletnicy, jakby największej laski. Nie mogąc jej namówić do zwykłego wspólnego podróżowania, ofiaruje jej bez namysłu swą rękę. Ona o tem nawet nie myśli. Banalny ten treścią ustęp, wykonany jest jednak oryginalnie. Lulu przebiera się za parawanem, a przez ten czas książę mówi do niej; nie dostając nigdy żadnej odpowiedzi, mówi coraz więcej, coraz wyraźniej, aż decyduje się w końcu na ślub, a przez cały ten czas nie dochodzi z poza parawanu ani jedno słówko, Lulu postanowiła sobie bowiem wyjść za mąż w sam raz za tego, który nigdy się z nią zenić nie chciał. Schön jest w teatrze z narzeczoną. Lulu udaje na scenie nagle omdlenie; wie, że Schön zaraz do jej garderoby przybiegnie; wmawia w niego, że zemdlala na widok jego narzeczonej. Schön karci ją ostro, traktuje tak, jak tylko można traktować kokotę, lży ją i obrzuca wzdardą, nie krępuje się nawet w doborze słów, a jednak scena kończy się tem, że pod dyktatem baletnicy pisze list do swej narzeczonej, zwracając jej słowo. Robi to z całą świadomością, że postępuje i głupio i podle, ale nie może inaczej; jest za słaby, jest niewolnikiem kobiety węża. I o tej nadzwyczajnej słabości swego charakteru również wie doskonale a jednak wydobyć się z tego stanu nie zdoła. Minęły już trzy lata, odkąd się zaręczył. Ona śmieje mu się w żywe oczy, że był już spory czas, żeby ten związek doszedł do skutku, naigrawa się niemal z jego słabości, przechwalając się, że on nie potrafi jej porzucić, że czasem tylko sam przed sobą udaje, jakoby chciał z nią zerwać, a jednak Schön ugina się przed jej wolą.

Akt czwarty w mieszkaniu państwa Schönów. Redaktor wie doskonale, że dom jego jest stekiem wszelkich brudów moralnych, brzydzi się i sobą i domem swoim. Doszedł do przekonania, że jedynym wyjściem z tego błota byłoby samobójstwo.

Ale ani on nawet nie znał jeszcze dobrze węża, choć znał ją od dzieciństwa. Nowa scena z ojcem odkrywa nowe przepaście zepsucia. Wraz z nim przybywa jakiś „artysta“ (cyrkowy zapewne) Rodrygo. Ten powiada, że właśnie w tem pięknem mieszkaniu mieszka on z Schigołchem, bo wchodzą i wychodzą kiedy chcą, Alwa pozostaje jeszcze w dawnym stosunku względem macochy; ceni ją, a choć mu się wielce podoba i krew się w nim burzy, on nie śmiały być śmiałym. Przestrzega ją i ostrzega przed samym sobą, ale ona ostrzeżeń się nie boi, owszem, ośmiela go i zachęca. Rzecz jest już tedy zdecydowaną. Cóż dalej będzie? Autor nie chcąc już robić piątego aktu, powie od razu, co jeszcze jest do powiedzenia. Usługujący do stołu służący całuje ukradkiem w ręce kobietę-węża, bo ona na wszystkich wywiera czar zgubny; na wyżej i niżej w świecie osadzonych, na ciemnych i oświeconych, starych i młodych. Rodrygo wnosi do jej mieszkania na rękach ucznia gimnazjalnego Hugenberga, nb. syna dyrektora policyi; dowcipne i dobre! ułatwiając mu za pieniądze poznanie się z wężem a wąż rad nowemu gościowi. Kompanii dopełnia lezbijka, hrabina Geschwitz, artystka malarka, która tu wkrada się pod pozorem malowania portretu. Przypadek zrządza, że mąż widzi to wszystko z wewnętrznej galeryi wyższego piętra. Każe się zabić swej żonie, wtłacza jej rewolwer do rąk; sam zabić jej nie zdoła; rzuca się natomiast na syna. Drżąca o swe życie Lulu porywa wtenczas rewolwer i daje z niego kilka strzałów do męża, a potem żaluje, powiadając, że jego jednego kochała.

Opuśćmy trzy śmiertelne katastrofy na końcu aktu pierwszego, drugiego i czwartego, wstawmy zamiast śmierci mężów rozwody pod francuzkiem prawem cywilnem, a będziemy mieli najpospolitszą zwykłą bulwarową farsę. A zdarza się to teraz dziwnie często, że krotochwilne tematy bywają przedstawiane, jakby tragedye. Niepospolity talent stylistyczny może wmówić na jakiś czas w widzów, że wszystko zależy od punktu widzenia i od sposobu opracowania; można nawet upatrywać w tem dowód wyższego talentu, że zdoła wykrzesać tragedye z farsy, ale po chwili przyjdzie zastanowienie i spostrzeżemy się, że tragedyi tej brak wewnętrznej tragicznej istoty. Wszystkie bowiem nieszczęścia wyniknęły z wad i win Schöna. On sam nie więcej wart od swej partnerki i nie wyrwał jej z błota tylko nauczył, jak przechowywać błoto w piękniejszym naczyniu. Sam jej uczył wyrafinowanej podłości, wyszukawszy jej dwóch z kolei mężów, a porzucenie dla niej zacnej narzeczonej było podłości koroną. Jeżeli zły źle kończy, dzieje się to, co się dzieć powinno. Niema w tem nic tragicznego, że zawisnie na szubienicy. Schön obroniłby się jednak pomimo wszystkiego od swego losu, gdyby nie był niedołągą. Autor scharakteryzował niedołążność jego tak dosadnie w trzecim akcie, że postać ta nie

może już potem sprawiać tragicznego wrażenia, bo niedołęga może być motywem tylko w farsie. Mamy więc do czynienia z dramatem grubo naciągniętym. Temat o kobiecie-wężu jest też już oklepany, przejadł się już nawet literatom i zajmuje się nim jeszcze tylko malarstwo. Wąż Wedekinda nie jest też wcale demoniczny, gdyż zdołał podbić pod swą władzę tylko umysły średniej miary, dosyć tępe, a charaktery tylko słabe, a nawet, mówiąc ściśle, tylko ludzi bez charakteru. Ażeby wrażenie było naprawdę groźne, trzeba by, żeby kobieta-wąż miała władzę także nad silnymi, żeby w jej objęciach złamało się coś twardego i hartownego i żeby z tego naprawdę była jaka szkoda. Społeczeństwo nie poniosło jednak żadnej szkody z ubytku Golla, Schwartza, czy Schöna. Dwóch z nich należy z charakterów do suterren społeczeństwa, tak samo jak Lulu, a trzeci mianowicie malarz Schwartz, jest za głupi, żeby go w poważnej poezyi traktować na serio. I tak przy całej świetności zewnętrznej szaty Demona ziemi brak mu tej treści wewnętrznej, która musi stanowić o wartości dzieła.

Przedstawienie było nadzwyczaj staranne. Prolog wygłosił p. Kotarbiński. Główną rolę obsadzono tym razem stosownie, powierzwszy ją p. Mrozowskiej, trafiwszy na właściwe swemu talentowi pole, popisywała się grą doprawdy znakomitą. Był to wielki popis artystyczny, po którym repertuar ról p. Mrozowskiej powinienby być już raz na zawsze ustalany. Składały się dłonie do gorących oklasków za tak świetne wywiązanie się z roli odznaczającej się obfitością wprawdzie akcji, lecz szczupłością, a niemal nawet lapidarnością tekstu. Demon ziemi wymaga na scenie koniecznie rozległej interpretacji od aktorów. Zasluga więc artystki tem większa, i niewątpliwie jej własna. Osiegała p. Mrozowska nadzwyczajne efekty obmyśloną drobiazgowo, a nadzwyczaj logicznie, mimiką, która nie ograniczała się do samego tylko wyrazu twarzy i do spojrzeń, lecz obejmowała (tak jak to być powinno) całą postać. Dykceja była również zastosowaną wybornie do każdej sceny i głos modulowany jak najlepiej. Warto by utrwalić w fotografii moment, kiedy Lulu, stanąwszy na schodach do galeryi, przechylona przez balustradę, strzela do męża; przestrach, dzikość, lęk i zapalecywość, energia i osłupienie zarazem, wyrażone były przepysznie twarzą i całą postawą. Żadna inna rola nie dorastała już jednak do poziomu tego niezwykłego popisu artystycznego. Pan Popławski jako Goll, p. Sosnowski jako Schön, p. Sobiesław jako Eteserny byli poprawnymi bez zarzutu, ale też bez głębszej charakterystyki, toteż żadna z tych postaci nie rozbudzała należycie ciekawości widzów. Niżej tego nawet poziomu stał nietylko p. Leszczyński, grający znów zbyt odpowiedzialną rolę Alwy, lecz co dziwniejsza i p. Mielewski w roli malarza Schwartza. Zdarza się teraz często, że p. Mielewski nie spełni oczekiwań publiczności, cho-

ciaż ma za sobą tyle świetnych dawniejszych występów. Nie trzeba go winić, rzecz to przygodna. Nie jego rzeczą jest, że niema na razie ról, w którychby mógł się popisać i że dla szczupłości personalu musi grywać pomimo to ustawicznie. Stanowisko teatralnego „omnibusa“, t. j. aktora do wszystkiego, nie wychodzi nikomu na dobre, ale najbardziej musi się dać we znaki organizacyi tak nerwowej, jak p. Mielewskiego. Z przemęczenia idzie nieraz przytępienie, a nie tak nie zmęczy i nie wyczerpie, jak praca bez zapala. Zapal zaś budzi się tylko przy rolach stosownych do temperamentu. Znać już na p. Mielewskim wyczerpanie nerwów, skoro artysta z takim temperamentem popada w pewne oschłości gry i ratuje się rutyną. Charakterystyka zewnętrzna jest zawsze staranna, ale brak jej życia i artysta nie trafia we właściwy ton, skutkiem czego widzowie doznają wrażenia, jak gdyby artysta zewnętrznymi środkami chciał pokryć brak istotnego przygotowania. Zmieni się to zapewne przy pierwszej roli stosownej dla jego talentu. Dobrze powiodły się natomiast drugoplanowe role, Schigolcha p. Jednowskiemu, a Rodryga p. Zawierskiemu; obydwaj wywiązali się ze swego zadania bardzo dobrze, i przybrani należycie i należycie zachowywujący się w swych rolach. P. Jednowskiemu udaje się często utworzyć postać prawdziwie charakterystyczną, a pełną życia, umie bowiem „ucharakteryzować się“ nietylko znamienne, ale też wymownie, a o to właśnie na scenie chodzi, żeby przetwarzanie się aktora służyło do podkreślenia najznamienniejszych miejsc tekstu; trzeba umieć zastosować do swej maski także ruchy, głos, dykcję, t. j. takt w wymawianiu i ton głosu. Zdara się, że twarz i postawa kłóć się z głosem, a ruchy z intonacją wymowy, lub co gorsza, nawet ze spojrzeniami, i wten czas cała praca artysty chybia zupełnie celu. Otóż p. Jednowskiemu tego właśnie zarzucić nie można i w tem sekret jego powodzenia w rolach charakterystycznych.

Dr Feliks Koneczny.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 października.

Jakieś zakłęcie, czy urok, ciąży na sprawach rosyjskich w tym roku. Na placu boju idzie niby lepiej: uniknęło się klęski pod Liaojanem, straszliwa dziesięciodniowa bitwa koło Jantaj nie była zwycięstwem niczyjem. To jeszcze nie powodzenie Rosyi, ale to mniejsze powodzenie Japonii. Jeden z przeciwników dostał w tej grze karty cokolwiek lepsze, drugi cokolwiek gorsze. Jeden zdaje się być pod wrażeniem pewnego zawodu, rozczarowania: drugi podniesiony na duchu nie wątpi w swoje zwycięstwo, i obiecuje je na pewno, za rok.

Widzowie patrzają ze zgrozą na te straszne mordercze walki, i czy jednemu czy drugiemu lepiej życzą, pragną żeby się to już raz skończyło, już dosyć tych rzezi, tych ludzkich męczarni i śmierci! W głębi serca może to samo czuje, tego samego pragnie, wielu Rosyan, choć tego głośno powiedzieć nie mogą. Można było przypuszczać, że jeżeli Rosya jakimkolwiek sukcesem będzie mogła zaspokoić swoją miłość własną, to łatwiej i prędzej zawrze pokój. Jej położenie wydawało się mniej złem, niż było od początku wojny.

W tej samej chwili, samo chcąc, z powodu nie wiedzieć jakiego, sama sobie to położenie bardzo zawikłała, może nawet popsula. Sławna flota bałtycka wypłynęła nareszcie z K. i nsztadu. Same początki tej żeglugi nie były bardzo świetne, skoro po paru dniach jeden ze statków (jeżeli nie

dwa) okazał się niezdolnym do dalszej podróży. Jeżeli tak, to czemuż go wypuszczono? czemu zawczasu nie zbadano jego stanu? Kto przesądnie byłby to brał za zły znak, złą wróżbę, to mógłby dziś dowodzić, że sprawdziły się jego obawy. W dalszej żegludze bowiem, gdzieś między Holandją a Anglią, flota rosyjska waliła z dział do flotylli angielskich statków rybackich, jeden zatopiła, wiele uszkodziła, pewną liczbę rybaków zabiła i poraniła. Dla czego? po co? Obrażać Anglię, wyzywać ją, kiedy się ma już *nieco* kłopotu z Japonią, co za szaleństwo! Echo tych strzałów odezwało się w Anglii, i groźnie. Rząd, naród, prasa, wszystko podniosło jeden okrzyk oburzenia. Jakiem prawem flota rosyjska strzelała do tych statków? co myślała, czego chciała kiedy to robiła? kto będzie bezpieczny na morzu, jeżeli statki wojenne będą tak dla własnej przyjemności, dla sportu, strzelać do handlowych, albo zarobkowych jak te, albo przewozowych? Angielski gniew zaś jest marną pogroźką, nie junacką przechwałką, i lada czem zbyć się nie da. Co tkwi w notach wysłanych do Petersburga, to dotąd nie wiadomo. Ale kiedy cała Anglia zgodnym chórem domaga się satysfakcyi, ukarania winnych, poręczenia że się takie nadużycia nie powtórzą, to ministrowie oświadczają i powtarzają, że rząd Jego królewskiej Mości upomni się stanowczo o prawa i godność Wielkiej Brytanii, a eskadry w portach zmobilizowane, odebrały rozkaz trzymania się w pogotowiu, i czekają rozkazu wypłynięcia na morze.

Rząd rosyjski, czy nawet sam cesarz, miał telegraficznie oświadczyć że żałuje, że ubolewa, że całe zajście mogło być tylko przypadkowem, że gotów jest zapłacić odszkodowanie: ale czy ten rodzaj i rozmiar satysfakcyi wystarczy? W Anglii gniew i oburzenie rośnie z każdą godziną, z każdą chwilą. Wojny z Rosją nie chce tam z pewnością nikt, ani rząd, ani naród; ale ani naród, ani rząd nie może pozwalać na to, żeby rosyjskie statki strzelały do Anglików jak do kaczek; a rząd, najogłędniejszy, najspokojniejszy, nie może w takich wypadkach zostawać poniżej oburzenia powszechnego, musi mu dać wyraz i satysfakcyę.

Więc co? co Rosya robi, jak wybrnie z tego miłego położenia, które zawdzięcza komendantowi swojej floty? Ma

dwie rzeczy do wyboru. Albo upokorzyć się, i przeprosić bardzo potulnie, albo narazić się na to, że flota angielska sama sobie poszuka sprawiedliwości, gdzieś, czy w Gibraltarze, czy na morzu.

Co Rosya wybierze? Zapewne pierwsze. Upokorzenie, zawsze bolesne, dla niej, z jej nieograniczoną pychą, boleśnieszę jeszcze niż dla innych. Usłudni przyjaciele, Francuzi, Niemcy, wstawią się zapewne do Anglii, żeby nie była zbyt twardą, nie wymagała za wiele; ale czy te instancje odniosą skutek? W każdym razie sam fakt przeproszenia jest już czemś okropnem. Mikołaj I, przewraca się w grobie na te wieści, a kości Katarzyny „nie skleiły się z radości“; o nie! A jeżeli Anglia nie poprzestanie na samem przeproszeniu? jeżeli będzie się domagała ukarania winnych? Żądanie byłoby naturalnie obwinęte w bawelnę dyplomatycznych form i frazesów, ale byłoby, to dosyć! Żądać od cesarza rosyjskiego, żeby w ten lub ów sposób postąpił ze swoimi oficerami, wtrącać się, obcym, w jego attribucye! To cesarz rosyjski może czegoś takiego żądać od jakiego Chana Chiwy czy Buchary naprzykład, ale od cesarza rosyjskiego kto na świecie, kto by śmiał? Przecież, gdyby Anglia się ośmieliła, to trzebaby połknąć tę gorzką pigułkę, bo inaczej...

Niezliczone i niezmierzone upokorzenia Polski w małej, w milionowej części, ale spadają na Rosyę.

Ale czego zrozumieć nie można, to jakim sposobem mogło się stać to kolosalne głupstwo. Z jakiego źródła mogło wypłynąć? Czy flota miała rozkaz strzelania do wszystkiego co jej się wyda niepewnem? czy może, jak przy korsarzowaniu na statki angielskie w lecie były jakieś rozkazy nieznanne ani ministrowi spraw zagranicznych, ani admiralicy? czy „szerokaja natura“ potrzebowała otworzyć sobie służę i dać upust? czy, jak pytały angielskie dzienniki dowództwo mieli ludzie szaleni albo pijani — a samo takie pytanie jest już dla Rosyi dość upokarzającym. Nie mniej chyba te wybiegi i racye jakie, według dzienników, admirał rosyjski tłumaczy swój postępek. Każdy może postąpić źle, i każdy może postąpić głupio, ale jeżeli już mu się to nieszczęście przytrafiło, to najgodniej, i najrozumniej jest otwarcie się przyznać i powiedzieć prawdę. Wykręty nie przydadzą się

na nic naprzód, bo rychło odkryją się jako zmyślone; a potem wykręty mają w sobie zawsze coś nieładnego, coś niskiego, co przy odkryciu staje się dodatkowem zawstydzeniem. Admirał Roździestwieński telegrafuje, a wtórują mu rosyjskie dzienniki, że w ciemności nocnej Rosyanie nie mogli widzieć że to statek rybacki, a dostrzegli między nimi jeden torpedowiec czy więcej; że zaś mieli ostrzeżenie jako z Anglii wypływa pewna liczba statków przewozowych dla Japonii, więc myśleli że to te statki, tem bardziej że rybackie nie wywiesiły swoich sygnałów i kolorów. Zatem admirał zrobił dobrze, miał prawo tak zrobić, każdy inny na jego miejscu byłby zrobił to samo! Ale świadectwa angielskie odpowiadają na to, że ciemności nocne tak były rozjaśnione reflektorami okrętów rosyjskich, że Anglicy byli aż oślepieni tem światłem — statki rybackie dały wszystkie potrzebne znaki, i wywiesiły przepisane latarnie, a torpedowców żadnych nie było. Czy świat ma nie wierzyć tym angielskim świadectwom? Dla czego?

Im dalej zaś, tem więcej przybywa poszlak że to nie przypadek, ale system. Okręty rosyjskie strzelały do statku norweskiego, duńskiego, szwedzkiego, choć te były w dzień dobrze widoczne, i miały wywieszzone flagi.

Czy były instrukcye z Petersburga, czy komendant rosyjski działał *proprio motu*, zawsze ta awantura wynikła z jednego i tego samego źródła. Jest niem to tradycyjne przekonanie Rosyi, że jej wszystko wolno, że jej wszystko zawsze ująć musi. Nie można jej się dziwić. Tak długo, tak zawsze, pozwalano jej na wszystko, że ona musiała uwierzyć że jej wszystko wolno, wszystko zawsze ujdzie, że cokolwiek by zrobiła nikt na nią palca nie zakrzywi. Anglia dziś wola w niebogłosy a Ameryka jej wtóruje: nadużycie, pogwałcenie prawa, zbrodnia! i tak dalej. Ma rację: ale nadużyć, bezprawi, zbrodni, i nierównie większych popełniła Rosya bez liku, a nikt jej nigdy za to nie powiedział; jeżeli przypadkiem ktoś próbował czy zamyślał mówić, ona tylko potrzebowała trochę pogrozić, a wszyscy kładli uszy po sobie. Mają dziś taką Rosyę, jaką sobie wychowali. Jeżeli nie chcieli żeby się stała zuchwałą, to trzeba było wcześniej, i ostrzej, upominać ją o bezprawia

czy zbrodnie. Jeszcze w tych ostatnich czasach w tej wojnie, gdyby Anglia była trochę mniej gładko, trochę mniej grzecznie prowadziła sprawę zatrzymanej korsarskim sposobem Malakki, to może dziś admirał rosyjski byłby się dwa razy namyślał, zanim by dał ognia do angielskich statków rybackich.

Jak dziś rzeczy stoją, zdaje się że Rosya chętnie zapłaci odszkodowanie pieniężne, ale o satysfakcyi moralnej nie chce słyszeć. Znowu może liczy na swoje szczęście, a opiera się na doświadczeniu. Pamięta, że zdarzało jej się już tak nadrabiać hardą miną, i wychodziła na tem dobrze. Udawało się to nawet z dumną Anglią, może uda się i teraz. Wszak to ta sama Anglia co wysłała do Petersburga notę o utracie praw do Królestwa polskiego, a z drogi tę notę cofnęła, i powtórnie ją schowała do kieszeni. Tylko że teraz inne położenie. Rosya bardzo zatrudniona na Wschodzie, niema żadnej sprawy którąby jaki następca Bismarcka mógł Anglią postraszyć i wywieźdź w pole, a bezprawie oraz zbrodnie spełnione są na Anglikach. Jedno z dwojga, albo Anglia musi upokorzyć Rosyę, albo upokorzy się sama. Jeżeli zaś skończy się na jakich pośrednictwach, sądach polubownych, kompromisach, to flota bałtycka może długo czekać nim się to skończy, a Władywostok czy Port-Arthur długo czekać jej pomocy. Na tem dziś sprawa stoi. Wojny żadna ze stron chcieć nie może, więc obie zgodzą się na jakieś śledztwo, jakiś sąd polubowny, którego zadaniem będzie oszczędzać miłość własną Rosyi tak, żeby jej ułatwić satysfakcyę, żadaną przez Anglię¹⁾.

W sprawach austryjackich zwrot niespodziewany, i zdaje się prawie, że pomyślny. Nie trzeba wolać *hoc* dopóki się nie przeskoczy, ale pozory są takie. Rekonstrukcyja gabi-

¹⁾ Tak stała sprawa 30 października. Od tego czasu istotnie zmieniła się o tyle, że zdaje się jakżeby nie Rosya ale Anglia miała z niej wyjść upokorzoną. Zgodzono się na jakąś komisję śledczą, ale flota bałtycka tymczasem popłynęła gdzieś w świat, a jej oficerowie, zatrzymani w Vigo, mieli pojechać do Petersburga, a twierdzić że flota rosyjsku nigdy nie strzelała do statów rybackich. A jednak były statki zatopione, i ludzie zabici, więc ktoś musiał do nich strzelać. Może pokaże się że Japończycy?

netu, w nim profesor Randa jako czeski minister bez teki. Człowiek zbyt poważny, iżby mógł takie miejsce przyjąć na lekko; zbyt w swoim kraju znaczący, żeby jego wejście do gabinetu mogło nie nie znaczyć. Wskazuje ono w każdym razie, że choć nie zmieniło się stanowisko Czechów, to zmieniło się coś w ich usposobieniu. Sposób raczej spokojny w jaki mówią o tej nominacji dzienniki niemieckie, wskazywał by znowu, że i po tej stronie dolano trochę wody do wina. Prawdopodobnie obie strony musiały się obliczyć, że bezczynność Rady Państwa i jej ekonomiczne skutki, bardzo złe już, gorsze gdyby ona nie dopuściła do ugody z Węgrami i do traktatów handlowych, nietylko są fatalne dla Państwa, ale tak widocznie, tak oczywiście fatalne, że wzrok wyborców, choćby najkrótszy dostrzedz ją musi, a wtedy może być źle z popularnością i polityczną przyszłością panów posłów. To proste i słuszne rozumowanie musiało doprowadzić Czechów do uznania, że trzeba koniecznie jakoś skończyć z obstrukcją; Niemców zaś doprowadziło do uznania że trzeba znieść spokojnie nominację ministra Czecha. Jakiemi drogami Dr. Körber doprowadził obie strony do tego zrozumienia, jak uchwycił moment psychologiczny, kiedy obie zmiękły, tego nie wiemy. Ale widzimy wielką zręczność i biegłość, cieszymy się jej rezultatem, a życzymy najszczerzej dalszych, trwalszych, skutecznych. Wyznajemy jednak że nie jesteśmy bez obawy, bez pewnego niedowierzania. Czesi zaprzestaną obstrukcyi? bardzo dobrze. Ale jaka pewność, że w tej samej chwili nie zaczną jej robić Niemcy? Rząd upewnił się co do ludzi poważnych między nimi? Znowu dobrze: ale nie o tych chodzi. Przecież lada Wolf lada Schoenerer żeby nie cytować innych nasuwających się na pamięć, wystarczy na to żeby we trzech albo w pięciu nie dopuścić ani do ugody węgierskiej, ani do traktatów handlowych, ani do niczego. A na to, i na takich, czy jest jaki upatrzony sposób? Jeżeli nie, to nie wiele pomoże choćby najlepsza wola czy Czechów czy Niemców, czy rządu, czy wszystkich razem.

Przeszedł już cały miesiąc obrad sejmowych. Najważniejsze sprawy, gotowe już w komisjach staną jedna po drugiej na porządku dziennym Izby; jedna, ustawa

o Włościach rentowych już uchwalona. Zapowiedziana opozycja posłów ruskich przeciw tej ustawie, nie objawia się gwałtownie. Czy po namyśle przyszło zastanowienie że ustawa może być równie korzystną dla ruskiego jak dla polskiego włościanina; czy też doświadczenie przekonało że dawniejsza taktyka nie była dobrą, zawsze zmiana ta jest pomyślną, i pragnąć należy, żeby się ustaliła. Przyczyniła się do niej zapewne i sprawa gimnazjum ruskiego w Stanisławowie. Komisya szkolna wystąpi z wnioskiem przychylnym, a niewątpliwie wniosek ten był już roztrząsany na wszystkich poufnych naradach wszystkich stronnictw i klubów, i musiał spotkać się tam z dobrem przyjęciem, skoro komisya występuje z nim śmiało. Widać że usposobienie wielu posłów polskich, rozdrażnione przed rokiem i świeżem wrażeniem strajków rolnych, i zajściem na uniwersytecie, uspokoiło się przez czas i rozważę. Z tym wnioskiem łączą się organicznie dwa inne, wielkiej wagi. Jeden to obowiązkowa nauka obu języków krajowych w niektórych szkołach średnich; drugi, reorganizacya Rady szkolnej krajowej i oparcie jej na ustawie, czego dotąd nie było i niema. Czy przeciw tym dwom sprawom będzie silny opór ze strony ruskiej? obie są dla Rusinów korzystne, więc oporu być nie powinno, może go nie będzie. Jeżeli ten stan umysłów i usposobień, jakie było przed rokiem zmieni się na spokojniejszy i zgodniejszy, będzie to oczywiście niemalym postępem w naszym krajowym życiu. Ale nie możemy się wstrzymać od jednej uwagi, wymierzonej nie do Rusinów, tylko do nas Polaków. Te wszystkie względy, które dziś przeważają szalę na stronę gimnazjum ruskiego w Stanisławowie, były już przed rokiem. Czy nie lepiej było skończyć tę sprawę już wtedy, a dziś mieć już skończoną i sprawę Rady szkolnej? Przeszkodziło rozdrażnienie, wrażenie, a nie opanowała go zimna krew, i nie przypomniiała że co się ma prędzej czy później zrobić albo przyznać, to lepiej prędzej niż później. Tej reguły trzymała się Elżbieta angielska względem swego parlamentu, i dobrze na tem wychodziła.

Że nasz Sejm swoim zachowaniem się może służyć za wzór wielu innym, nietylko austryjackim, to możemy przyznać sobie bez zarozumiałości, jemu bez podchlebstwa

a z wdzięcznością. Jednak, dla tego może że sejm zachowuje się tak dobrze, chciałoby się żeby był jeszcze cokolwiek lepszy. Mianowicie żeby mógł być trochę wstrzemięźliwszym we wnioskach, i w mówieniu. Marszałek nie bez ironii zapewne witał niedawno setny z rzędu wniosek postawiony w bieżącej sesyi. Gdyby zliczyć wiele czasu te wnioski zabierają Izbie, i komisjom, a jak mało który może odnieść skutek, to się żal robi tego czasu, i tych słów straconych. Każdy uważa zawsze, że to najważniejsze, najpilniejsze, co on ma do powiedzenia; to najpotrzebniejsze czego potrzebuje jego powiat czy okolica. To rzecz ludzka; dziwić się nie można. Jednak ten naturalny popęd mógłby być hamowanym dwoma względami. Pierwszy jest ten, że choć ta lub owa potrzeba jest i prawdziwa i pilna, to podobnych jest bardzo wiele, a budżet krajowy nastarczyć im nie może. Drugi ten, że tę samą sprawę czy wniosek można tak samo w pierwszym czytaniu poprzeć kilkoma słowami, jak godzinami mowami; owszem lepiej, bo słów krótkich możeby Izba słuchała i na nie uważała. Ale nie o Izbie myśli się w takich razach, tylko o wyborcach, którzy tę długą mowę swego posła będą czytać, i będą z niego kontenci. Znowu rzecz naturalna, ludzka, ale mogłaby miarkować się uwaga, że zabiera czas sprawom ważniejszym, ogólnie krajowym, które nie mogą być gruntownie w Izbie przedyskutowane, dla tego że nieskończone monologi przy pierwszych czytaniach zabrały wiele godzin, nawet wiele posiedzeń. Co zaś ważniejsze, i konieczne pomimo względu na wyborców, to względem na budżet krajowy. Kiedy ten jest w złym stanie, a wiemy wszyscy że tak jest, to trzeba się wstrzymywać od wniosków obciążających ten budżet. Nieraz wie się z góry że Sejm nie będzie mógł zrobić tego czego wniosek żąda, a jednak wnosi się i żąda, dla oka świata, dla wyborców.

O śmierci Apolinarego Jaworskiego, która jest krajowym a przedewszystkiem sejmowym wypadkiem ważnym i smutnym, mówimy na innem miejscu.

APOLINARY JAWORSKI.

Wspomnienie pośmiertne.

Nagła i niespodziewana śmierć, przeciw której całe życie bronimy się modlitwami, jest złem nietylko w chrześcijańskim życiu, ale i w świeckim, w publicznem. Tym razem o tyle gorsza, że zabrała człowieka bardzo potrzebnego, w chwili, kiedy właśnie był może najpotrzebniejszym. W zamęcie oplakanych austryackich stosunków, ś. p. Apolinary Jaworski był jednym z tych czynników, na których jeszcze opierała się jaka taka nadzieja uspokojenia, uporządkowania; z tem mniemaniem, z tą nadzieją, zwracały się ku niemu oczy z różnych stron tego wstrząśniętego państwa, i w tej chwili ten punkt oparcia runął.

Był on jednym z świetnych przykładów, jak praktyka spraw wyrabia ludzi, jak ich doprowadza (mniejsza o to, że do wysokich czy świetnych stanowisk), ale do powagi, do wpływu, do istotnego a dobroczynnego znaczenia. Jaworski wchodził do Sejmu jako wiejski obywatel, z otwartą głową, z dobrze odbytemi naukami, jako jeden z posłów prawdziwie rozumnych i prawdziwie pożytecznych, ale nie zdawało się, iżby był przeznaczonym do takiej roli, jaka mu z czasem przypadła; a w tej roli okazał się takim, że wszyscy, od Cesarza i ministrów i od umiarkowanych do najbardziej bezwzględnych, pytają się nie bez troski, kto go zastąpi, kto będzie miał te warunki i przymioty, jakie on szczęśliwie w sobie łączył i posiadał. Stanowisko prezesa Koła polskiego w Wiedniu było zawsze bardzo ważne, i zawsze bardzo tru-

dne. Utrzymać w jedności kilkudziesięciu ludzi różnych opinij, przekonań i temperamentów, te przekonania temperamenta i opinie skłaniać do uchwał zgodnych i do solidarnego występowania na zewnątrz, to zadanie wymagające niezmiernie wiele roztropności, taktu, baczności, trudu: a nadewszystko dobrej woli i mocy nad sobą. Widziało się też na tem stanowisku ludzi różnych opinij i różnych przymiotów, ale zawsze ludzi nie pospolitych. Każda, jaka była, większość w Kole, wysuwała na to miejsce tego, którego miała za najzdolniejszego w swoim gronie. Dla tego przewodnictwo w Kole objął w r. 1867 Ziemiałkowski, dla tego później Grocholski. Każdy był inny, każdy miał inny rodzaj zdolności, ale zwykłym nie był żaden. Jaworski, który to miejsce zajmował ostatni, wydaje się niektórym nie tak świetnym, jak tamci. Mniej świetnym? Być może; intelligencya i wymowa Ziemiałkowskiego była olśniewająca, rzadka; powaga Grocholskiego była między nami wyjątkową. Ale czy Jaworski mniej szczęśliwie, mniej roztropnie, mniej skutecznie od nich dawał sobie radę z obowiązkami i trudnościami tego stanowiska? Nie mierząc zaś i nie porównując, tego jednego zapominać nie można, że jego trudności były stokroć większe. Nie małe miał Ziemiałkowski (za czasów Konstytucyi grudniowej i Rezolucyi); Grocholski za rządów Taaffego i Dunajewskiego miał ich już znacznie mniej. Ale ich czasy to wiek złoty, to raj czy idylla parlamentarna w porównaniu z warunkami, w których Jaworskiemu przypadło działać i przewodniczyć Kołu. Wtedy państwo było w równowadze, parlament, jakikolwiek był, ale był, znał swoje przeznaczenie i swoją powinność, funkcyonował regularnie, uchwalał (źle albo dobrze), ale prawnie. Były spory, opozycye, nie było rozprzężenia, nie było rozkładu. Teraz zaprzeczenie i parlamentu i państwa, zaprzepaszczenie godności jednego, a powagi i interesów drugiego; jeżeli nie kilku Niemców, to kilku Czechów wstrzymuje cały bieg spraw, sprawy pierwszej wagi (ugoda z Węgrami, traktaty handlowe) nie mogą dojść, bo kilku ludzi nie daje; skarb w nieładzie, a wałą się na niego milionowe, prawie miliardowe ciężary inwestycyj, obiecanych by za tę cenę otrzymać nadzieję jakiegoś wyjścia z tego chaosu, wybrnięcia z tego trzęsawiska, a w tym całym rzą-

dzie nikt nie ma odwagi złamać obstrukcyę, w tym całym parlamencie prawie nikt nie chce jej się wyrzec.

To sytuacya postronna Koła polskiego w Wiedniu. A jego sytuacya wewnętrzna? To, skutkiem zmienionego prawa wyborczego, prawie podwojona liczba jego członków, to w tej większej liczbie większa proporcya i siła różnic w opiniach, i w uległości względem różnych wpływów: to już pewna (nie wielka) liczba posłów Polaków nie chce jego narodowej solidarności, odbija się, osłabia jego siłę liczebną, chce osłabić (szczęściem bez skutku) jego siłę moralną i polityczną. Między tymi, którzy się wiernie razem trzymają, różnice głębsze niż były od bardzo dawna (od roku jeszcze 1867 i 1868), różne wpływy dochodzą tam prądem silniejszym; są takie, które nie pojmują patryotyzmu bez systematycznej a zwłaszcza głośniejszej opozycyi, są inne, które w swoim pojęciu postępu graniczą z socjalizmem, są w gronie kilkudziesięciu ludzi najróżniejsze, najprzeciwniejsze sobie pojęcia polityczne i społeczne. Po za Wiedniem, w kraju, jest pewna część dziennikarstwa gotowa zawsze na złe tłómaczyć każdą uchwałę, każdy postępek Koła i oskarżyć zawsze jego większość, a zwłaszcza jego prezesa, o zaniebdanie i poświęcenie interesów kraju, o *servilizm* względem rządu: bardzo jeszcze łaskawie, jeżeli nie o osobiste widoki i cele.

W takich warunkach miał tę politykę polską w Wiedniu, i jej reprezentacyę, prowadzić człowiek, który przeszedł już lat siedmdziesiąt, kiedy stosunki austriackie pogmatwały się w sposób tak niesłychany; co trudniej, miał z tą delegacyą polską razem być w tym rozstroju pierwiastkiem ładu, stróżem i orędownikiem interesu państwa. Jest to oczywiście i niezaprzeczenie wielką i rzadką zasługą Koła całego, że choć z bardzo różnorodnych żywiołów złożone, zdołało taką postawę przyjąć, i przez cały ten czas ją zachować; zasługa nie jest wyłącznie jednego, jest wszystkich, ale jej wielka część przypada słusznie prezesowi. Zadanie Koła skupiało się w dwóch głównych sprawach: 1) bronić państwa od rozkładu, parlamentu od unicestwienia, państwa i parlamentu od powrotu rządów biurokratycznych; 2) bronić w tym stanie rzeczy spraw i interesów kraju, nie dać ich krzywdzić, po-

suwać je naprzód ile się da. Prezes Kola miał prócz tego dwa zadania, które już na niego spadały, na nim ciążyły przeważnie, jeżeli nie wyłącznie: 1) utrzymać Kolo w koniecznej jedności i solidarności, 2) utrzymywać stosunki ze wszystkimi zwaśnionymi elementami, próbować, starać się je przekonać, łagodzić, pośredniczyć. Na takiej pracy zeszło ostatnie siedm lat życia ś. p. Jaworskiego, a w niej dopiero okazały się w całej pełni jego przymioty. Ze swoimi miał przymiot wielki i nieoceniony taktu, wyrozumiałości, życzliwości i spokoju. Znając swoje obowiązki prezesa, znał i swoje prawa, przestrzegał swojej powagi, umiał ją dać uczuć w razie potrzeby, ale nigdy swojej woli nie narzucał, nigdy przeciwniej nie odsuwał bezwzględnie (jak to czasem robił Grocholski), miał cierpliwość, zimną krew, i przewycięzał trudności czy opory spokojem, perswazyą, względnością. Umiał je i zręcznie usuwać, albo wymijać. Umiał zaś doskonale, wyraźnie, stanowczo utrzymywać, stwierdzać, trzymać wysoko zasadę jedności między Kołem polskiem w Wiedniu a Sejmem. Mogła uchwała Rady państwa znieść jej wybory z sejmów krajowych, ale nie mogła naruszyć i zmienić tej zasady, tej obustronnej świadomości ścisłego związku, zupełnej jedności między Sejmem a Kołem, które choć przestało się nazywać jego delegacją, nie przestało taką być, za taką się uważać i być uważanem. Tę stronę rzeczy utrzymywał, uwydatniał Jaworski najjaśniej, najzupełniej, jak być może.

Czy brał do serca te różne insynuacje, posądzenia, oskarżenia, które z niektórych dzienników padały na Koło, a przedewszystkiem na niego osobiście? Z temperamentu żywy, skłonny do oburzenia, nie mógł nie czuć tego, co i najspokojniejszy, najcierpliwszy, czuć zawsze musi. Ale czy taka wrodzona siła charakteru, czy takie doświadczeniem i praktyką wyrobione panowanie nad sobą, przyjmował te rzeczy ze spokojem, czuł się nad nie wyższym o całą wysokość prawdy, słuszności, i dobrej wiary.

Dziwne jest, ale piękne, że ze wszystkich części tego austriackiego parlamentu, ze wszystkich w nim stronnictw i krajów, najwięcej dbałości i troski o stanowisko i los państwa mieli posłowie polscy, posłowie tego kraju, który z Austryą miał właśnie rachunki najcięższe, a dobrego od

niej najmniej doznał. A jednak tak było i jest. Czesi i Niemcy w partyjnej i narodowej zaciekłości nie pytają, czy ta ich zaciekłość nie kopie dołów pod Austryą; Włosi, Słoweńcy, Dalmatyńcy w zatargach z sobą i zatargach z Niemcami nie chcą nic widzieć prócz tych zatargów. Polacy jedni między wszystkimi rozumieją to, czego tamci zdają się nie rozumieć, to jest, że chodzi nawet o sam byt tego państwa, bo kiedy rozkład dojdzie do pewnej miary, to wtedy zwykł następować rozbiór. Interes własny, a niestety i własne doświadczenie, wyrobiły w Polakach tę dbałość o Austryę i to przewidywanie przyszłości; ale to jest fakt, że oni mieli i mają więcej tego uczucia, aniżeli ci, którzy z urodzenia, z historyi, z języka, mieć je powinni. Nie zestawiam wielkich rzeczy z mniejszemi, ale mimowoli nasuwa się myśl, że to nie pierwszy raz Polacy bronią Wiednia i Austryi. Dziś to nie oblężenie z zewnątrz, przez Turka, ale jakieś upokarzające a groźne wewnętrzne oblężenie, przez wszystkie odśrodkowe i rozkładowe dążenia i namiętności. I znowu na pomoc, na odsiecz, przychodzą Polacy. Nie mogą, jak wtedy, uderzyć na oblegających i rozbić ich, nie mają po temu ani mocy, ani prawa; nie mogą się z nimi układać o pokój, bo to znowu nie ich prawo, nie ich rzecz, decyzya nie od nich zależy. Ale pośrednictwo, ale działanie na umysły i przekonania, ale upominanie o wzgląd na przyszłość i na własny interes każdego kraju, to ich rola, to na dziś zakres ich możliwości, i to było spełnione.

Co i jak Jaworski mówił, czy z Czechami, czy z Niemcami, czy z ministrami, czy choćby z samym cesarzem, wiedzieć oczywiście nie możemy. Ale to się wie, że miał u wszystkich wielką powagę, znaczenie, wpływ, skoro wszyscy do niego się udawali, jego rady i pośrednictwa szukali, w nim widzieli ten łącznik, który mógł porozumienie sprowadzić, a przynajmniej ułatwić, prostować drogi przed upragnionym wewnętrznym pokojem. Wszystkim potrzebny, bez ustanku wzywany i używany, w oczach wszystkich był jedynem ciałem stałym w tym rozczynnie, i punktem, około którego może atomy z rozczyntu dadzą się skupiać, może się przecież zacząć w coś stałego krystalizować.

Co dało Jaworskiemu to znaczenie w oczach wszystkich, od cesarza aż do ostatniego krzykacza w parlamencie? To, że on był na prawdę ciałem stałem i takie reprezentował, że przy nim stał zastęp znany i wypróbowany od lat czterdziestu, jako roztropny, stateczny i o Ausryę szczerze dbały. Powaga i znaczenie Jaworskiego w parlamencie i w rządzie opierały się na tem, że on był prezesem Koła, i na wzajem, ta powaga i wpływ w parlamencie i w rządzie podnosiły jego powagę i wpływ w Kole, które wiedziało, że nie łatwo znalazłoby drugiego o stanowisku tak utwierdzonem, o tak szerokich wpływach. Jedno, jak drugie, byłoby oczywiście niemożliwem, bez tych jego wielkich przymiotów osobistych, które wskazaliśmy wyżej.

I zabrakło go w chwili, kiedy ten cały ferment jeszcze wre, kiedy do równowagi i spokoju daleko. Jak wiele z nim ubyło, to wskazuje wrażenie sprawione jego śmiercią. Żal, niepokój, uczucie wielkiej straty, odzywają się ze wszystkich krajów, a prawie nawet ze wszystkich obozów. Ten kraj, w którym i dla którego żył, któremu służył wiernie, gorliwie, a nieraz i skutecznie, służył prawdziwie w pocie czoła do lat prawie osmiudziesiąt, ten jak był przedmiotem jego miłości, tak względem niego największy ma obowiązek wdzięczności. W tej części historii polskiej, która się nazywa stosunkiem Galicyi do Austrii, on zapisał jedną kartę zawiały i pracowitą, a do szeregu imion zasłużonych poprzedników dołączył swoje, które ma prawo zostać w pamięci, w czci, w historii, nie samej tylko Galicyi.

St. Tarnowski.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Antoni Gustaw Bem: *Studia i szkice literackie*. Wydanie pośmiertne ze słowem wstępem Ignacego Chrzanowskiego. Z portretem autora. (Warszawa, 1904. Nakładem Księgarni naukowej i przedpłacicieli, 8-o, str. 316).

A. Drogoszewski: *Władysław Syrokomla. (1823—1826)*. Odbitka z *Biblioteki Warszawskiej*. (Warszawa, Księgarnia naukowa, 1905, 8-o, str. 119).

Die Herzogin von Padua. Eine Tragödie aus dem 16. Jahrhundert von Oscar Wilde. Deutsch von Max Meyerfeld. Autorisierte Übersetzung. (Egon Fleischel & Co., Berlin, 8-o, str. 176).

Stanisław Nałęcz Ostrowski: *Przed burzą*. Powieść historyczna z XV wieku z cyklu „Półksiężyc a krzyż“. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1905, 8-o, str. 342).

Adam Krechowicki: *Mrok*. Powieść na tle historycznym XVII wieku z cyklu „O tron“. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1905, 8-o, str. 355).

In Schutt und Asche. Historischer Roman aus der Napoleonischen Zeit von Stefan Żeromski. Deutsch von R. Schapire. 2 tomy. (Verlag von Dr. J. Marchlewski & Co., München, 8-o, str. 445 i 506).

Siedm dramatów jednoaktowych Adolfa Neuwerta-Nowaczyńskiego. (Lwów, Księgarnia Polska, 8-o, str. 308).

Leopold Staff: *Skarb*. Tragedya w trzech aktach. (Nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie, 8-o, str. 159).

Zygmunt Niedźwiecki: *Erotyki*. (Lwów, 1904, Księgarnia Polska, 8-o, str. 294).

Pentagramm. Novellen von Carl Baron Torresani. (Dresden & Pierson, 1904, 8-o, str. 247).

Briefe an einen Toten. Von Bertha von Suttner. Dritte Auflage. (Dresden E. Pierson, 1905, 8-o, str. 224).

Kreuzungen. Roman von Emil Strauß. (Berlin, S. Fischer, Verlag 1904, 8-o, str. 342).

Wald und See. Novellen von Gustaf af Geijerstam. (S. Fischer, Verlag, 1905, 8-o, str. 344).

Z ostatnich dni Polski i Kurlandyi.

Pamiętniki bar. Karola Henryka Heykinga

1752 — 1796.

Nam Polakom zdaje się często, że znamy dokładnie przeszłość naszego kraju. Co prawda dzieje południowych prowincyj obrobione już są dostatnio — znamy monografię każdego gródka, bieg każdej rzeczulki, znamy nazwy murzów i watażków, którzy oblegali rzeczzone zameczki i datę walk, po których rzeczulki spływały krwią. To dobrze. Ale prócz tych są inne jeszcze dzielnice, gdzie lemiesz historyka tylko główne narysował skiby, a resztę zostawił odłogiem. Takimi są Prusy, Pomorze i księstwo lenne — Kurlandya. Zwłaszcza ta ostatnia dla wielu zaledwie wchodzi w skład dziejów narodu; traktujemy ją jakoby rzecz zupełnie odrębną, z Rzpltą związaną bardzo luźnymi węzłami, które wyniesienie Bierena jednym zamachem przecina: to tak wygodnie rysować sobie historję gładkimi, ostro odciętymi liniami! — Prawda jednak zazwyczaj tym ostrym rozgraniczeniom zaprzecza i tu mianowicie, w Kurlandyi, przedstawia nam od wygaśnięcia Kettlerów do pierwszego rozbioru stan przejściowy, nieokreślony, wahania się między wciąż istniejącą i działającą władzą Rzpltej, a groźną przewagą Rosyi. Potęga teź przeważała w Kurlandyi, bo przeważała w Polsce, upadek Polski pociągnął za sobą upadek Kurlandyi. Większość Kurlandczyków rzuciła się wtedy w objęcia

zwycięzców ze skwapliwością, mającą rozliczne źródła. Na-przód ogólny, pomimo górnołotnych frazesów kosmopolityzm XVIII wieku, powtórne oziębienie, spowodowane długotrwałą (przez niemal całe panowanie Augusta III) dążnością silnej partji w Rzpltej do zupełnego wcielenia księstwa na wzór ongi Mazowsza, przed którem obawa pchnęła Kurlandczyków do obioru wprzód Maurycego Saskiego a potem do przyjęcia wyboru Bierena. Nakoniec zaś niezadowolenie znacznej ich części z samowolnego panowania tychże Bierenów, na które nie znalazłszy rady w Warszawie, zwrócili się do Petersburga.

Oto jest tło, na którem obracają się pamiętniki Karola Heykinga, jednego z działających czynników owej ruchliwej epoki. Zostawił ich pono trzy tomy w języku francuskim; z tych jednak rodzina dla różnych powodów obcięła dwie trzecie, tak iż przed kilku laty (1897) ukazał się w Berlinie tylko tom jeden i — jako wskazówka czasów — w przerobieniu niemieckiem. Autorem tegoż jest bar. Alfons Heyking sen. Ciekawe to wspomnienia, skreślone bezwątpienia tonem oży-wionym i barwnym, który z pod cięższej ręki dzisiejszego wydawcy przeglądu. Szkoda, że usunąwszy to, co ze wzglę-dów rodzinnych za właściwe usunąć uznano, nie zostawiono ich woryginale. Język francuski lepiej się godzi z lekko-ścią wykwintnego dworaka, przechodzącego bez zmrużenia oczu po pięć czy sześć razy ze służby do służby, kłaniają-cego się na wszystkie strony, a w gruncie mającego tylko swą kurlandzką ojezysnę w sercu i na oku.

Wydawcy pamiętników, prócz wyjątków — chorują na destrukcyjną manię obcinania z obrabianego rękopisu szcze-gółów osobistych, potrzebnych, gdy się chce mieć przed oczami człowieka, a nie mniej lub więcej wslawioną historyczną ab-strakcyę. Wydawcy wspomnień Heykinga jesteście przeto wdzięczni za to, co zostawił, gdyż nam odsłania bardzo cha-rakterystycznie typową postać swego czasu. Ciekawem jest widzieć po raz setny, jak ci ludzie, dla których najsilniej-szym może motorem w życiu była żądza pochwały, sami surowo sądzą swych bliźnich. U Heykinga sąd jest zmienny i niejednolity, wydawany widocznie pod wpływem wrażeń; to też powtarzając go, należy zań całą odpowiedzialność au-

torowi zostawić. Na wydawcę przeciwnie spada ciężka wina, iż, jak sam przyznaje, wyrzucił z rękopisu długi ustęp o organizacyi masoneryi warszawskiej za Stanisława Augusta. Toż byłoby arecyiekawem posłyszec z wiarogodnych ust działającego członka choćby jeden szczegół, rzucający dodatkowe światło na wpływ sekty w epoce przewrotów. Szkoda też, iż z powodu książki *Aus den Tagen Kaiser Paul's* wydanej r. 1886 przez Fr. Bienemanna, który doń czerpał materiały z pamiętników Heykinga, uznano za konieczne przerwać opowiadanie w chwili opanowania Kurlandyi przez Rosyę, objaśniając czytelnika tylko krótką wzmianką, umieszczoną w przedmowie, o dalszych losach autora, o jego długiej służbie w Petersburgu, a następnie, kilkoletniej niełasce, w czasie której, osiadłszy u siebie na wsi, spisywał swoje wspomnienia.

Szczyściem zajęcie w czytaniu nie skupia się całe wokoło osoby autora. Nas Polaków zajmują zwłaszcza stosunki polityczne i społeczne, w jakich się obraca opis monarszych dworów, oraz świata warszawskiego, widzianego nieco z boku przez człowieka, należącego doń dostatecznie, aby go znać do głębi, a dość obcego, aby go móżdź sądzić. Głównym jednak przedmiotem ściągającym wzrok jest Kurlandya, owo złote jabłko, którem przez cały wiek XVIII monarchowie częstowali się wzajemnie, a na które pod pozorem zabezpieczenia dóbr oprawnych księżnej wdowy, późniejszej carowej Anny, orzeł rosyjski pierwszy zapuścił pazury. Widzimy w kraiku tym {stronnicstwa, intrygi i obrady, jakoby w wielkiem mocarstwie. Na pierwszy rzut oka wydają nam się śmiesznie drobnemi, choć w istocie są równie ważne jak inne: toż wielkość dramatu nie jest zależną od rozmiarów sceny. Widzimy nadto daleko ściślejszą zależność od polskiej korony, niż sobie w ogóle wystawiamy — zależność w sprawach nietylko następstwa, ale administracyi kraju, a nawet i w sprawach sądowych. O tem zresztą nie ma co mówić naprzód. Lepiej, zrzuciwszy z siebie różne odpowiedzialności na barki autora, przystąpić do streszczenia jego pamiętników, zachowując przy wypisach, wtrącanych z tekstu i gdzie się tylko da, formę osobistą, nadającą, zdaniem większości czytelników, dużo życia opowiadaniu.

I.

Wrażenia z młodości w Kurlandyi.

Jeśli ustrój kraju, w którym się wzrasta, odbija się za-
zwyczaj na ogólnym rozwoju charakteru, to wpływ ten musi
działać jeszcze silniej w drobnej, arystokratycznej rzeczy-
pospolitej, jaką była Kurlandya w czasie długiej niewoli
Ernesta Jana Bierena. Tu członkowie szlachty, obarczeni
każdy jakąś częścią administracyi, identyfikują się z wła-
dzą, to prawodawczą, to sądowniczą, to wykonawczą, czer-
piąc ze swej działalności niezmiernie źródło zadowolenia.
Dzieci słyszą tylko wyrażanie się z entuzjazmem o stanie,
w którym się urodzili, i tak w duszę ich wnika zaród du-
my, której nie są w stanie pojąć znaczenia i niebezpieczeń-
stwa. Następne kartki posłużą nieraz za ilustracyę tej praw-
dzie, wykazując, jak nieprzepartą jest pierwszych wrażeń
potęga. — „Wśród politycznych burz, wstrząsających moją
ojczyznę, ujrzałem światło dnia 22 czerwca 1752 r. w ro-
dzicielskim majątku Oxeln w Kurlandyi. Mój ojciec Wilhelm
Alexander Heyking występował był w imieniu rycerstwa
przeciw niektórym nadużyciom regencyi. Potem w r. 1754
został wysłany znów jako delegat rycerstwa do króla pol-
skiego, przyczem uzyskał od J. K. Mci. bardzo łaskawy re-
skrypt i za to następnie pochlebne podziękowanie od sejmu
(kurlandzkiego) otrzymał“.

„Podczas pobytu w Warszawie doznał był wielkiej
uprzejmości ze strony króla i królewskiej rodziny. Główny
minister, hr. Brühl, oświadczył mu, iż król pragnie dać mi
jakiś znak swojej łaski, na co ojciec mój odrzekł, iż ma
dwuletniego syna, którego pragnie poświęcić służbie kró-
lewskiej. Nazajutrz sporządzono na moje imię dyplom cho-
rażego w pułku królowej; tak więc już w kolebce zostałem
poniekąd oficerem“.

„Matka moja, Zofia Dorota von Roenne, była wnuczką
barona Roenne na Ronneburgu a jenerała w służbie rosyj-
skiej, któremu Piotr W. dał był gwiazdę orderu Sw. Andrzeja
portret swój w brylanty oprawny. August II dał mu był

order Orła Białego w czasie swego spotkania z Piotrem W. w Birzach. Dziad mój dodał do tych odznaczeń bardzo piękny majątek. Ożeniony z Łucyą von Preen, damą dworu cesarzowej rosyjskiej, dołączył był do swego inflanckiego klucza Ronneburg, kurlandzkie majątki Puhren, Wensau i t. p. i tak stał się jednym z największych właścicieli ziemskich Inflant i Kurlandyi“.

„Mój dziadek po mieczu, Benedykt Henryk, ur. w 1688 r., gubernator Selburga a następnie Mitawy, był jeszcze wówczas przy życiu. Był to mąż surowych obyczajów i zasad, otoczony ogólnym szacunkiem. Wytrawny prawnik, nie zaniedbywał i muz. W 70-ym roku jego życia odebrałem od niego w Warszawie łaciński list, którego OO. Teatyni — tameczna wyroczenia co do łacińskiego stylu — wielką zaszczyteli pochwałą. Mój dziad był też delegowanym od kurlandzkiego rycerstwa do polskiego sejmu; tak więc trzy pokolenia naszej rodziny piastowały jedno po drugim ten chwalebny urząd“.

„Takiemi były moralne i społeczne właściwości moich ojców i dziadów. Nie słyszałem ich nigdy mówiących o religii inaczej, jak z najgłębszą czcią, nigdy inaczej, jak z zapalem o sprawach ojczyzny i honorze przodków. Rozmowy, których słuchałem, toczyły się wyłącznie około epoki Kawalerów Mieczowych, rządów Zakonu Niemieckiego i innych zmian historycznych w naszym kraju. Miałem zaledwie 6 lat, gdy już znałem nazwiska niemal wszystkich w. mistrzów, niemniej jak świetne dzieje panowania Waltera Plettenberga. Za jego to czasów przyszli z Niemiec do Kurlandyi Gothard i Wilhelm Heykingowie, z których pierwszy wstąpił w służbę Zakonu a drugi został protoplastą różnych gałęzi rodziny w Kurlandyi kwitnących“. Tu wydawca wtrąca sprostowanie, jako Henryk i Hermann Heykingowie przyszli do kraju już w r. 1490, a Wilhelm był synem Hermanna, autor zaś ciągnie dalej:

„Gdym ukończył 5 rok życia, zaczął mnie sekretarz mego ojca, Georgi, uczyć czytania, pisania, rachunków i religii. Od 7 roku nauczycielem moim był p. Gierzymski, którego 35 lat później odnalazłem w Petersburgu głównym pastorem luterskiego zboru w Moskwie. Poczciwiec dręczył

mnie metodycznie greką i łaciną, uczył na pamięć historii, z Hübnera, geografii z Carosa, oraz mnóstwa ustępów z Biblii. Nudziło mnie to strasznie; cudem jednak uczyniłem niejaki postępy, a kto wie, czy też nie jemu zawdzięczam łatwość, z jaką w późniejszym życiu mogłem posługiwać się pamięcią“.

„Ojciec mój posiadał znaczną bibliotekę, a w niej drogocenne rękopisy, dotyczące Kurlandyi i Inflant. Prócz tego korzystał z częstych podróży do Saksonii dla zakupna pięknych narzędzi matematycznych, oraz sporego zbioru porcelan. Wszystko to jednak dzięki niedbalstwu jednego ze służących i wielkiej posuchy, zniszczył pożar wraz z bogato urządzonym pałacem, stajniami, stodołami i t. p. Sąsiedzi, na widok ogromnej łuny przybyli, dali nam chwilowo gościńcę. Matka moja była blizką rozpaczy, ojciec zaś pełen poddania i siły powtarzał: „Bóg dał, Bóg wziął — niech się dzieje wola Jego“.

— Po katastrofie osiedliśmy w Mitawie, gdzie rodzeństwu memu i mnie dostarczono wszelkich potrzebnych nauczycieli. Gdy zaś ojciec wysłany został do Warszawy, zacząłem wraz z młodszym bratem uczęszczać do szkoły niejakiego p. Amende. Co prawda pedanterya wykładów mało w nas wzniewała ochoty; zawsze jednak byliśmy zajęci, a o to głównie chodziło w naszym ówczesnym wieku“.

„W tych właśnie czasach zaszedł wypadek najwyższej wagi dla naszej ojczyzny, a zarazem dla naszej rodziny — wypędzenie księcia Karola. Było to hasło naszej majątkowej ruiny i pierwszy krok do przejścia Kurlandyi pod obcą władzę. Wiadomo, iż powstały z niego faworyt cesarzowej Anny, Ernest Jan Bieren, został przez nią wyniesiony do godności w. podkomorzego przy dworze rosyjskim a zarazem dzięki jej staraniom obdarzony przez dwór wiedeński dyplomem na Reichsgrafa, przyczem nazwisko jego Bieren przemieniono na Biron. W Europie zdumiano się tak niebywałem przekształceniem nazwiska, a bardziej jeszcze łatwością, z jaką świetne imię istniejącej rodziny nadano człowiekowi niskiego pochodzenia. Bierenowi atoli się zdało, że już może sięgnąć po tron książęcy; rycerstwo wszakże ustąpiło dopiero pod naciskiem gróźb i gwałtów rosyjskich. Za ledwie został księciem, kazał sobie, za pomocą wielkiego

mienia zyskanego w Rosyi, zbudować ogromny zamek w Mi-tawie, a po majątkach ziemskich piękne pałace, które wszystkie z wielkim sumptem ozdobił. Aż tu w chwili, gdy zdał się stać u szczytu, nagle rewolucya zwała go ze stopni tronu do ciężkiego więzienia. Zrazu skazany na śmierć, został z rodziną wywieziony na dożywotnie wygnanie. Tym sposobem tron kurlandzki był faktycznie opróżnionym. Z Polski zaś, nie wdając się w powody wyroku, dotyczącego lennika Rzpltej, nadesłano tylko do władz kurlandzkich polecenie, by nadal wykonywały tymczasowo rządy we wszystkich gałęziach administracyi⁴.

Kurlandczycy ¹⁾ nie lubili Bierena, niemniej przeto oburzyli się na samowolność jego wywiezienia, równie jak i na sekwestr rosyjski, położony na dobra książęce pod pozorem ciężającej na nich oprawy carowej Anny. Niezadowolenie to wszakże pozostało biernem do chwili, gdy w Polsce objawiła się za przewodem senatu duchownego silna dążność do wcielenia Kurlandyi w obręb Rzpltej i podzielenia jej na województwa i starostwa, z zupełnem zatarciem odrębności politycznej i narodowej.

Przestraszeni tem Kurlandczycy, jęli ślać to do Augusta III, to do Petersburga, upominając się o swego porwanego księcia, ale oczywiście na darmo; z Warszawy rozkazywano wyraźnie sprawować rządy w imieniu króla, z ominięciem książęcego imienia. Trwało tak lat 17, w czasie których niezadowolenie Kurlandczyków tak ze sposobu wykonywania władzy przez regencyę, jak i z ogólnego stanu rzeczy, wzrastało z dniem każdym. I nie dziw — toż podobnie jak za Augusta II i Leszczyńskiego, biedna ich ojczyzna służyła wciąż za atut polityczny w kombinacjach mocarstw. Podczas Wojny Siedmioletniej carowa Elżbieta w zamian za pomoc przeciw Fryderykowi II żądała od Augusta III Kurlandyi, obiecując mu w zamian odszkodowanie w Prusach Książęcych, zaczem traktując już kraj jako swoją własność, wojska rosyjskie zalewały go, rekwirując na swoje potrzeby wszelkie zboże i wszelką paszę. Wprawdzie je-

¹⁾ Cały następujący ustęp jest streszczeniem wtrąconego przez wydawcę, na dokumentach miejscowych opartego rozdziału.

nerałowicie płacili za wszystko, ale według cen nader niskich, naznaczonych samowolnie. August III zaś nie miał ochoty odstąpienia Kurlandyi Moskalom, bo jej pożądał dla swego syna Karola, z czem też otwarł się poufnie Elżbiecie. Ta w ogóle nie była mu wroga, a gdy wojska jej zajęły Prusy Wschodnie a Królewiec na jej imię się poddał, musiało jej się zrobić żal na myśl poświęcenia świeżej zdobyczy za księstwo, które prędzej czy później musiało wpaść w ręce rosyjskie. Zgodziła się tedy na wyniesienie królewicza, przez którego jako spokrewnionego z dworami wersalskim i wiedeńskim mniemała wzmoć z niemi swój alians. Wtedy, t. j. w r. 1758, August III wysłał na sejm krajowy kurlandzki niejakiego Alloy z pismem kanclerza w. kor. Jana Małachowskiego, aby przysposobić Stany do uznania lenna za wakujące i wywołać wybór Karola, który równocześnie skarbił sobie w Petersburgu łaski carowej, popełniając przytem ogromny błąd polityczny przez lekceważenie okazane żonie następcy tronu, przyszłej Katarzynie II. Co prawda młody dwór, przychylny Prusom, tworzył wtedy obóz przeciwny dworowi Elżbiety, tak, że sama owa nietaktowność w obejściu królewicza mogła mu pozyskać jej względy. Wkrótce też wyszło z Petersburga pismo do Simolina, rezydenta rosyjskiego w Mitawie, z zaznaczeniem, iż carowa chętnieby widziała obiór Karola. W Mitawie tymczasem wrzało od intryg i skrytego oporu dostojników, obawiających się utraty swej władzy. W końcu zaś zapadła decyzja, niby jednomyślna ale zawierająca podstępny kruczek: deputacya wysłana na sejm do Warszawy miała uwiadomić J. K. Mość o interwencyi rosyjskiej, prosić ponownie o uwolnienie Bierena, a w razie, gdyby to okazało się niemożliwem a lenno kurlandzkie ogłoszone było za wakujące, prosić o inwestyturę dla księcia Karola z wyrażeniem nadziei, że przejdzie na luteranizm i zaprzysięże przedstawione mu pakta. Simolin zganił ostro stawiane księciu trudności, w Warszawie jednak umiano je obejść. Dnia 16 listopada 1758 r. po radzie senatu król ogłosił lenno za wakujące, a Bierena za zrzuconego z godności, ponieważ nie wypełnił przyjętych warunków, t. j. nie złożył osobiście hołdu, nie oczyścił z długów dóbr stołowych, mieszkał stale za granicą i nie porzucił posady

rosyjskiego ministra. Równocześnie król przyjmował wybór ks. Karola. Teraz już więc chodziło tylko o pakta. W tych sejm kurlandzki warował jako religię panującą, wyznanie Augsburskie, zabraniał katolikom (krom jednej kaplicy dla księcia) budowania kościołów i kaplic, odbywania publicznych procesyj lub pogrzebów; dalej Stany wzbraśniały księciu wchodzenia w służbę lub w związek z jakimkolwiek mocarstwem, oraz wydzierżawiania dóbr stołowych ludziom pozostającym w obcej służbie; natomiast miał się na najbliższym pokojowym kongresie postarać dla Kurlandyi o gwarancję pokój czyniących mocarstw. Ostatnie punkta wywołały znów protest posła rosyjskiego, były bowiem wymierzone wprost przeciw rosyjskiemu wpływowi. Karol zaś zmuszonym był do ostrożności, choćby z powodu nie zdjętego jeszcze sekwestru. Złożył tedy tylko przyrzeczenie ogólnikowe, składając rozbiór i zatwierdzenie paktów na później.

„Z odpowiedzią tą powrócił Schöppingk do Mitawy, z kąd po ponownych dyskusjach, w których ojciec mój gorliwie na rzecz królewicza pracował, zgodzono się na zwłokę i ojca mego (Wilhelma Alex. Heykinga) wraz z p. Korffem z Rossiteu, wysłano do Warszawy na obrzęd inwestytury. Dzień naznaczony był na 3 stycznia 1759 r., musiano jednak odłożyć rzecz do 8-go z powodu ciężkiego zasłabnięcia ks. Karola, który też nie mógł jak 29 marca stanąć w Mitawie i to przelotem, trzeba mu bowiem było, jeszcze przed złożeniem hołdu, do Petersburga podążyć. Carowa Elżbieta przyjęła go uprzejmie, a co ważniejsza nakazała bezwzględne zdjęcie sekwestru, który ciążył był na dobrach książęcych, od lat 18, przyczem wszystkie intraty szły do rosyjskiego skarbu, rzekła się wszelkich pretensyj do sum wdowich Anny i innych roszczonej za długi Bierena, a nadto zawarła z Karolem uroczysty układ, poręczający mu posiadanie księstw wraz z zapewnieniem, że Bieren jako zbrodzień stanu nigdy z wygnania zwolnionym nie będzie“.

Spokojnym tedy z tej strony wrócił książę do nowej stolicy, gdzie pod jesień zebrał się zjazd Stanów dla uregulowania sprawy paktów. Opozycya wystąpiła ostro, podtrzymana skrycie świadomością, że znajdzie u następcy tronu rosyjskiego pewną podporę; doszło tak daleko, iż poseł

durbeński, Fryderyk, Wilhelm Heyking, opuścił samowolnie sejm bez złożenia hołdu nowemu panu. Ten atoli, wbrew swej młodości, był dziwnie w zdaniu swoim stanowczy zwłaszcza pod względem spraw religijnych, w których, obok wymienionych, chodziło mu o zachowanie biskupowi inflankiemu swobodnej jurysdykcji w Kurlandji. Opór zaś, na który trafiał, był tem dziwniejszy, iż przy objęciu rządów przez Ernesta Jana Bierena nikt temuż nie przeszkodził uczynić na rzecz katolików ustępstwa, a nawet przyrzec, że własnym kosztem wystawi im kościół w Libawie. Łatwy stąd wniosek, że chodziło teraz oponentom nie tyle o obronę wyznania, co o umyślne sprzeciwienie się księciu, który też pomimo energii swego działania był w życiu prywatnem dosyć chłodnym katolikiem a natomiast gorliwym masonem. Bądź co bądź ks. Karol chwilowo na większości punktów zwyciężył, tak, iż dnia 7 listopada 1759 r. można było swobodnie do ceremonii hołdu przystąpić.

„O 7-ej z rana sto strzałów armatnich zapowiedziało uroczystość obchodu. Następnie odbyło się w kościele Św. Trójcy solenne nabożeństwo, na którym dyakon Diston wypowiedział kazanie, za co mu później rycerstwo gremialnie dziękowało. Posłowie w 14 powozach pojechali do dworu. Tu książę zasiadł na tronie w sali przyjęć, otworzono podwoje i podkomorzy oznajmił obecność Jego Królewskiej Wysokości. Wtedy całe rycerstwo przystąpiło do tronu, na przodzie nadradcy, potem gubernatorowie i t. d., zaczęł kanclerz zagaił *actum homagiale* przemową do szlachty, na którą odpowiedział poseł selburski von der Brinken z Schödern. Po oracyach nastąpiło składanie przysięgi w ten sposób, iż pierwszy sekretarz wymieniał nazwiska, a kanclerz czytał rotę, którą przysięgający podpisywał i całował rękę książęcą. Ku końcowi tej ceremonii zabębniiono i zatrąbiono po trzykroć na obiad, poczem uderzono w dzwony po całym mieście i nowych 100 strzałów działowych zagrzmiało. Do obiadu danego przez księcia nie można było dla braku miejsca nakryć jak na 40 osób, to też krom obcych gości (np. wojewody Platery) i *des Landes-Offizieren* tylko 8 posłów zasiadło do stołu. Wieczorem był bal u księcia i illuminacya po całym mieście“.

„Wkrótce po powrocie z Petersburga, ks. Karol zamianował był mego dziadka na *Oberhauptmanna* Mitawy, a mego ojca na *Hauptmanna* Durbna w miejsce Karola Osten-Sacken, który wołał był porzucić urząd, niż złożyć hołd. Przytem dziadowi memu darował dobra Ganosen a ojcju Dagahlen i Degehnen puścił w arendę. Teraz zaś po sejmie, w czasie którego zmarł był wielki ochmistrz (*Landhofmeister*) Sacken zamianował w jego miejsce kanclerza Ottona Krzysztofa von den Höwen a Dietricha Keyserlinga na kanclerstwo posunął“.

„Wszystko zdało się ojezyźnie naszej szczęśliwą zapowiadać przyszłość. Książę był młody, należący do jednej z pierwszych panujących rodzin Europy, lubił taniec, łowy, konia i wszelkie ćwiczenia fizyczne. Zdał się stworzonym do podobania się szlachcie, biorącej radośnie udział w jego uciechach. Ale ta szlachta była dumną, obraźliwą i zazdrośną o swego księcia. Widziała z żalem, iż zaufanie jego posiadali sami cudzoziemcy, a mianowicie Sasi, którzy nienawidzili starą szlachtę krajową, a mieniać się być wyłącznymi obrońcami księcia, przyznawali mu prawa, o których dobrze wiedzieli, że są z konstytucją państwa niezgodne. Karol nadal godność rady rządowego (*Regierungs-Rath*) adwokatowi Ziegenhornowi, Kurlandczykowi mieszczańskiego rodu. Rycerstwo czuło się tem obrażone. Naprózno mój ojciec z kilku szczerze przywiązаныmi patryotami usiłowali przestrzegać; z drugiej strony przedstawiono ich jako niedogodnych cenzorów, wysuwając w ich miejsce innych, bardziej giętkich i mniej zasadami związanych. Pewne nominacye, inne czyny, sprzeciwiające się ogólnemu życzeniu, pogorszyły niezadowolenie“.

Wzrastało ono stale od sejmu do sejmu i coraz to nowi posłowie pomnażali szeregi opozycyi. Na czele tejże stali Fr. Wilhelm Heyking i Jerzy Fr. Plettenberg, wybrani przez mniejszość na delegatów do Warszawy, aby tam agitowali przeciwko księciu. Tu jednak spotkało ich rozczarowanie. Hetman w. Radziwiłł ostrzegł ich, że „weszli na manowce i gotowi się w bardzo przykre sprawy zaplątać“; król zaś odmówił im wręcz audyencyi, mówiąc, że ich uważa za buntowników — co gdy z wielkiem rozgoryczeniem przywieźli

do domu, krzyki na księcia jeszcze się wzmożyły. Żądano wprost zrzucenia z urzędu Ziegenhorna.

Nie podobna wydziwić się umiarkowaniu i spokojowi, z jakim ks. Karol odpowiadał na ubliżające zaczepki opozycyjnej mniejszości. Wszystko atoli było daremne. Dnia 5 stycznia 1762 r. zaszła z dawna przewidywana śmierć cesarzowej Elżbiety i wstąpienie na tron Piotra III. Pod tem wrażeniem zebrał się limitowany sejm, na którym opozycya podniosła głowę, licząc słusznie, że Piotr, choćby ze względu na Fryderyka II, nie zniesie księcia saskiego na kurlandzkim tronie. Z jawną dla Karola obrazą zapadła uchwała wysłania z powinszowaniem do Petersburga Jerzego Plettenberga i Fr. Wilhelma Heykinga, który był złożenia hołdu odmówił. Ci pojechali, lecz zrazu doznali zawodu. Piotr III przyjął ich dopiero po długich prośbach i zapowiedzeniu, że nie pozwala żadnych oracyj, krom kilku słów powitania. Tymczasem atoli zjechał do Petersburga z rodziną Ernest Jan Bieren, uwolniony z wygnania, i delegowani pośpieszyli doń z czołobitnością jako do swego książęcia, poczem zamierzali zabrać się do powrotu. Wstrzymał ich przez księcia von Holstein-Gottorp przesłany rozkaz pozostania o trzy dni dłużej, „albowiem Jego Ces. Mość zamierza wezwać ich jeszcze przed siebie“. Następnie, zaproszony na obiad do kanclerza Woroncowa, Heyking odebrał od tegoż „zupełnie niespodziewanie“ piśmienną propozycyę cesarską tej treści, iż cesarz, zważywszy ucisk, gwałcenie praw i przywilejów cierpiane od niejakiego czasu przez rycerstwo kurlandzkie, postanowił Kurlandę i Semigalię wziąć silniej w opiekę, a mianowicie nie ścierpieć na ich czele księcia katolika. Jakoż powtórzył Piotr III na pożegnalnej audyencyi to, co był kanclerz przeczytał, znów „z własnej inicjatywy, nie proszony o to ani w swoim ani w rycerstwa imieniu“ przez delegowanych. Relacya tych panów zamileza o fackie, iż Piotr III, uznawszy jawnie prawa książęce Bierena, zmusił go do ustąpienia ich na rzecz ks. Jerzego Ludwika von Holstein-Gottorp. Woleli abdykacyę tę, równie jak i swoje czynności, przyoblec w cień tajemnicy. W Mitawie tymczasem Simolin oświadczał głośno, iż rząd jego przestał ks. Karola uważać za panującego księcia, a równocześnie generał Gu-

dowiez przybywał skłaniać umysły na rzecz ks. holsztyńskiego. Dnia 8 czerwca Piotr III podpisywał z królem pruskim przymierze, zawierające tajną klauzulę dotyczącą Kurlandyi.

Wiadomem jest, iż Piotrowi III brakło czasu do urzędywistnienia swych planów. Niebawem złożony z tronu umierał w więzieniu, a Katarzyna II, nie myśląc protegować księcia holsztyńskiego, oświadczała, że ksiązę Ernest Jan wprawdzie był abdykował, ale potem swego „wyrzeczenia się wyrzekł“. Ksiązę Karol był ją osobiście obraził.

Obecnie widział się ze zdumieniem opuszczonym nagle od swoich pochlebców, a otoczonym tymi, których był zaniedbywał. Zdał się oceniać wielkość i szlachetność ich poświęceń i jak mógł wyrażał swą wdzięczność. „W. Ochmistrz von deu Howen, mój dziad i mój ojciec, dwaj Schöppingowie, Roenne - Puhren, Brinken - Schödern, Hahn - Postenden i inni woleli wystawić na szwank swą fortunę, niż wierność. Ksiązę tymczasem wyprawił do Warszawy mego ojca, wołając pomocy swego suzerena t. j. Rzpltej Polskiej. Łudził się nadzieją, że August III jego ojciec, cesarz niemiecki jego blizki krewny, król hiszpański jego szwagier i król francuski przez wzgląd na jego siostrę, żonę Delfina, złączywszy się w akcyę wspólną, nie dozwolą, by tak blizki im ksiązę zmuszonym był prawa swoje, przez wszystkich uznane a gwarantowane przez samą Rosyę, ustąpić na rzecz parweniusza, który przez lat 20 ulegał hańbiącemu wygnaniu. Ale oddalenie tych mocarstw od widowni odgrywającego się dramatu, stało na przeszkodzie wszelkiemu działaniu, a tymczasem Rosya poruszyła swe wojska, aby do „prawych“ posiadłości wprowadzić napowrót księcia, „którego niewinność równała się jego nieszczęściu“.

„Przed wyjazdem do Warszawy ojciec mój przedstawił mnie i mego brata księciu Karolowi. Miałem naówczas lat 12. Dobroć i miły sposób, w jaki byliśmy przyjęci, wywarła na mnie tak głębokie wrażenie, iż odrazu przejąłem się zapalem mego ojca i teraz jeszcze po tylu latach, z największą przychylnością ksiązęcia tego wspominam“.

„Najgorliwsze wysiłki mego ojca w Polsce wywołały tylko wysłanie dwóch senatorów, kasztelana Platera i Lip-

skiego z orszakiem 30 ludzi i stanowczym rozkazem królewskim do kurlandzkiego rycerstwa, by trwało w wierności dla księcia Karola“. Podczas gdy atoli August III tak słabemi tylko mógł rozporządzać środkami, Katarzyna II używała zarazem wszelkich sztuk skaptowania i groźby gwałtu.

Ernest Jan, znajdujący się wówczas w Rydze z całą rodziną, wydał manifest, poparty przez rezydenta Simolina urzędową notą, wzywającą pod groźbą gniewu swej monarchini szlachtę kurlandzką do uznania prawego księcia, którego niezasłużone nieszczęścia powinny jeszcze na jego korzyść przemawiać. Owa nota wywołała jawne różnice zdań. Utworzyły się dwa stronnictwa; poczęto przybierać się w osobne mundury, a w chwili gdy antagonizm dosięgał szczytu, wmaszerowały do Mitawy dwa bataliony piechoty, mające poprzeć wjazd Ernesta Jana. Pałac księcia Karola został obstawiony przy ciągłej groźbie szturm, lub zagłodzenia, kasy książęce zajęte i dzień złożenia hołdu Bierenowi naznaczony pod zapowiedzią najcięższych kar.

„Memu dziadkowi, jako gubernatorowi Mitawy, przypadał obowiązek zwołania szlachty swego okręgu“. On jednak rozkazy Bierena odesłał bez odpieczętowania, a gdy rosyjski podpułkownik Schröder oświadczył mu, że może ciężko swe nieposłuszeństwo opłacić, czcigodny starzec odparł zdejmując czapkę: „Widzisz pan moje siwe włosy: obojętnem mi jest, czy mnie pochowają w Mitawie czy na Sybirze. Czyń co ci nakazano. Gotów jestem na wszystko, krom złamania wiary memu prawemu księciu Karolowi“. — „Ojciec mój odebrał w Warszawie podobne rozkazy i również odesłał je bez odpieczętowania. Przy tej sposobności napisał do *Oberburggrafu* von Offenberga bardzo ostry list, który następnie wydrukowano w jednym z memoryałów sejmu, zwołanego przez Bierena po jego powrocie do władzy.

W końcu generał-gubernator Rygi, Browne, wezwał księcia Karola do wyjazdu z Kurlandyi, jeżeli nie chce być wystawionym na nieprzyjemności, których mu niepodobna będzie oszczędzić. Książę, dumny z natury, dał mu odpowiedź energiczną i pełną godności; gotów był czoło stawić wszelkiemu niebezpieczeństwu. August III wszakże, jako ojciec i zwierzchnik, posłał mu niebawem przez dwóch ku-

ryerów rozkaz wzywający go bezwlocznie do siebie. „Dla nas, choć byliśmy dziećmi, ksiązę stał się był bożyszczem; poprowadzono nas po raz drugi do niego i bylibyśmy chętnie wszystką krew zań przelali. Byliśmy też obecni, gdy się żegnał ze swymi wiernymi. Widzieliśmy jak poważni starcy, znamienici wojskowi i znani z dzielności panowie płakali, całując go po rękach z wyrazem miłości i rozpacz. Była to podniosła i wzruszająca scena, zdolna młode serca rozpalić“.

Ksiązę wyjechał i nigdy nie wrócił. Rosya, chcąc postępowaniu swemu nadać kształt legalności, zwróciła się w Warszawie do swych kreatur w senacie i w ministerjum, aby przez nich otrzymać ogłoszenie inwestytury danej ks. Karolowi za nieprawe i nielegalne. Krok ten poruszył do żywego Augusta III. Odjechał do Drezna, by zyskać na czasie, a tymczasem jęły się sypać pisma za i przeciw wnioskowi. „Mój ojciec napisał ich kilka, świetnych logiką myśli i siłą uczucia, ale może zbyt ognistych w formie. Król wyznaczył mu był mieszkanie w Zamku z pensją 3,000 tal. i dworskim pojazdem do użytku. Ofiarował mu i starostwo w zamian za straconą posadę i książece arendy; mój ojciec jednak, z przesadnej nieco delikatności, nie chciał przyjąć tej łaski“.

„Tak stały rzeczy, gdy mój ojciec, przewidując, iż sprawy jego nie prędko wezmą obrót a z listów naszych widząc, jak małe czynimy postępy w mitawskiej szkole, postanowił sprowadzić nas do Warszawy, aby tu móż sam nad naszym wychowaniem mieć nadzór“.

II.

Lata nauki w Warszawie.

„Opuściliśmy ojczyznę naszą w połowie maja (1763 r.) w towarzystwie jednego z naszych wujów. Gdyśmy po nudnej drodze na Kłajpedę i Królewiec przybyli nad Wisłę do Pragi, przedmieścia Warszawy, stanęliśmy zachwyceni wspaniałym widokiem pięknej stolicy z jej górującym zamkiem, kościołami, pałacami i malowniczą linią przeciwległych brze-

gów. Przebyliśmy Wisłę łodzią i serca były nam silniej za każdym uderzeniem wiosła, zbliżającym nas do celu. Toż mieliśmy ujrzeć znów ukochanego ojca i odtąd żyć w miejscowości, którą mieliśmy za najwyższe *centrum* dobrego smaku i wszelkiego piękna.

„Zaraz po naszym przyjeździe ojciec wyegzaminował nas i zajął się uorganizowaniem naszych nauk. Dostaliśmy metrów języka francuskiego, włoskiego, łaciny, niemieckiego i polskiego. Profesor geometryi, oficer od inżynierii, uczył nas również rysunków planów i rysunku ręcznego. Nauczyciel niemieckiego udzielał też religii, logiki i historii. Nauczyciel tańca mieniał się z fechtmistrem i metrem muzyki. Czas nasz był tak zajęty, że od 7-ej zrana do 6-ej wieczór mieliśmy tylko dwie godziny wolne na obiad; od 6-ej do 7-ej jeszcze uczyliśmy się na pamięć, poczem ojciec przychodził robić przegląd naszej całodziennej pracy. Tylko niedziele do nas należały, gdyż inne święta katolickie były przeznaczone na dwugodzinne czytanie Biblii, powtarzanie wszystkich rzeczy pamięciowych, oraz wciąganie do ksiąg mego ojca jego listów do księcia Karola“.

„Wychodziliśmy rzadko, czasem do p. Szydłowskiego wówczas sędziego w pierwszej instancji do spraw cywilnych. Miał dwie uroczę córki, z których jedna wyszła za p. S. (Kickiego), a druga później pod nazwiskiem hrabiny Grabowskiej była kochanką królewską. W tym domu po raz pierwszy ujrzałem stolnika Poniatowskiego i podziwiałem jego szlachetną powierzchowność, jego obejście i czarujący dźwięk głosu. Ani się domyślał wtedy, że nie zadługo królem polskim zostanie“.

„Byliśmy już ze trzy miesiące w Warszawie, gdy raz mego ojca o 3ej w nocy zbudzono listem przywiezionym z Dreżna przez umyślnego kuryera. Za ledwie przeczytał, krew uderzyła mu do głowy; lekarze obawiali się apopleksyi i tylko śpiesznie zastosowane środki uratowały go. Zbudzono nas; zastaliśmy go już o tyle lepiej, że był odzyskał przytomność. „Ach“ wyrzekł z trudem — „nie żyje!“ Widząc, że więcej wymówić nie zdoła, wziąłem list leżący na stole i przeczytałem. Był od księcia Karola, który w kilku

słowach dawał znać o śmierci swego ojca, Augusta III. Król liczył lat 62, i z powodu wielkiej tuszy nie wrócono mu długiego życia. Pokój mego ojca napelnił się, przeważnie Sasami, przybiegłymi na żałobną wieść. Na Zamku wśród dworzan panowało przerażenie nie tylko z powodu niepewności ich losu, ale z żalu za Augustem, który im był najdobrotliwszym panem. Kurlandczycy oddani księciu Karolowi odczuwali cios najboleśniej. Pozwali byli Bierena przed sąd relacyjny, jako uzurpatora i zbója, i wydelegowali do Warszawy w tym celu W. ochmistrza von den Howen. Oskarżenia ich wydrukowane i rozdane, uczyniły były silne wrażenie na uczciwych ludziach. Jak długo August III żył, walka zdawała się być dość równą. Jego śmierć burzyła wszystko — Bieren tryumfował.

„Książę Prymas Łubieński, *interrex* na czas bezkrólowia, i kanclerz lit. książę Czartoryski, obaj pozyskani przez Rosyę, nie wstydziła się zawezwać oficjalnem pismem pomocy carowej przeciw Kurlandczykom, których mienili niespokojnymi i nieposłusznymi swojemu księciu. Krok ten, niegodny wolnego narodu, inspirowanym był przez ambasadora rosyjskiego. Był on pierwszym ogniwem łańcucha, który otoczył niebawem Kurlandę i Polskę i w końcu miał je przykuć obie do Rosyi“.

„Wsparty na zwierzchniej władzy Polski i na potęgę Rosyi, Bieren naznaczył peremptorycznie termin na złożenie mu hołdu, przyczem Simolin odmawiającym zagroził posłaniem egzekucyi wojskowej. Prywatnie jednak Ernest Jan poczynił przeciwnikom swoim propozycyę ugodową, obiecując im odszkodowanie strat i zachowanie posad. Niektórzy przystali, mój ojciec pozostał niewzruszony. Wskutek tego zakwaterowano w naszym majątku Oxeln znaczną liczbę żołnierzy. Moja matka, która tam jeszcze mieszkała, wysłała śpiesznie gońca, uprzedzając ojca o nieznosnej sytuacji; on atoli odpisał, iż wobec długów, ciężących na tych dobrach, nie może ich uważać już za swą własność i radzi tylko, by ratowała z nich własne posagowe sumy. Zresztą niech czyni co chce — on się przed uzurpatorem nie skłoni... Matka moja otrzymała od Bierena zdjęcie egzekucyi; zdrowie ojca wszakże zostało od tej chwili wstrząśniętem. Przestał pra-

wie wychodzić, pracował dużo, tłumiąc w sobie zmartwienie“.

Stary jego przyjaciel, pułkownik d'A. odwiedzał go często, a przyjaźń rodziców przeniosła się i na dzieci. „Mnie zwłaszcza przypadła do serca młodsza jego córka Ludwika, której każdy ruch, każde słowo miały wdzięk niesłychany. Za pierwszą bytnością w tym domu uderzył mnie wykwintny ton rozmowy, muzykalność tak chłopców, jak dziewcząt, i łatwość, z jaką wszyscy wyrażali się w języku francuskim czy włoskim. Zawstydzony własną nieświadomością, począłem odtąd uczyć się żarliwie. Jak zwykle, żądza dojścia do celu pchała mnie do przesady. Wciąż nad książkami schylony, śleczęłem nieraz pół nocy ku wielkiemu zadowoleniu profesorów wszystkich, prócz metrów tańca i polskiego. Ten ostatni był głupi i fanatyk. Chciał nas nawracać i raz, gdy rozprawiając o Niepokalanem Poczęciu, zauważył nasze powątpiewanie, wpadł w taki gniew, że cały blady i drżący porwał się z miejsca, i chwytając ze stołu duży scyzoryk zawołał: „Wiedziecie, że jestem Sodalis Marianus i że przysiągłem krew moją przelać dla czci Najśw. Panny. Jeszcze jedno słówko przeciw tej tajemnicy, a wbiję wam ten nóż do piersi!“ Milczeliśmy przerażeni, reszta lekcyi poszła koszlawo, zagroziliśmy, że się poskarżymy. Prosił, byśmy tego nie czynili, mówiąc przytem, że się heretyków nie boi. Zuchwałość jego podnieconą była zapewne wpływem drobnej polskiej i litewskiej szlachty, tłumnie na elekcję do Warszawy przybyłej. Niebezpiecznie było mieć choćby jednego wroga wśród tego szlacheckiego rozpasanego motłochu“.

„Szczęściem podczas gdy to mrowie roilo się w mieście, odebraliśmy rozkaz przeniesienia się do pałacu Saskiego, gdzie nam już nic grozić nie mogło. Zmiana była nader przyjemną: okna nasze wychodziły na piękny ogród Saski, punkt zborny całego miasta, oprócz tego rodzice uroczej Ludwiki mieszkali w tymże samym pałacu“.

Warszawa tymczasem stała się zbiorowiskiem intryg politycznych i lśniącą widownią przepychu polskich magnatów, z których nie jeden pragnął korony. Rosya była oświadczyla, że chce Piasta, a choć carowa już miała wytkniętego stolnika Poniatowskiego, pozwoliła dla formy i innym się

ubiegać. „Wolę przemilczeć przeróżne zajścia, poprzedzające stanowczą chwilę. Byliśmy na placu elekcyjnym na Woli i oglądali wspaniale mięniący się obraz. Ale wobec obozu rosyjskiego najeżonego działami i bagnietami gasło wrażenie, jakie byłby wzniecił widok wolnego narodu zebranego dla obioru władcy. Całe to przepyszne widowisko przedstawiało nie naród, tylko jedno stronnictwo uległe cudzej potędze“.

Książę Radziwiłł, hr. Branicki i kilku innych, Sasom wiernych magnatów, usunęło się od elekcyi, protestując przeciw wszystkiemu, według praw polskich bowiem nie wolno było ścierpieć obcego wojska w granicach Rzpltej, a tem więcej na polu elekcyi. Pomimo wszakże tego protestu, Poniatowski został proklamowany królem przez prymasa, Czartoryskich, i tychże krewnych i przez masy drobnej szlachty pozyskanej przez Rosyę. Katarzyna kazała była rozdać ogromną moc pieniędzy, tak, iż można powiedzieć, że już wtedy zapłaciła naprzód za prowincye, które miała później opanować.

Ledwie Stanisław zasiadł na tronie, jeśli stronnicy jego wynosić go niby bóstwo, podczas gdy przeciwnicy poniżali go z rozgoryczeniem, jakie się tylko w republikach spotyka. Każda sprawa prywatna zamieniała się w sprawę polityczną; nienawiść stronnicza nie znała granic. Nieprzyjaciele Poniatowskiego mówili: „Rosya chce nam nałożyć króla pochodzenia żydowskiego ¹⁾, wychowańca polskiego Macchiavella (kancelerza Czartoryskiego), człowieka splamionego wyrokiem uwięzienia w Paryżu (za długi), zhańbionego własną niewdzięcznością wobec swego dobroczyńcy Augusta III, który rodzinę jego obsypał bogactwem i zaszczytami, jego samego mianował swym podkomorzym i w poselstwie do Petersburga wyprawił, gdzie tenże Poniatowski na spółkę z Czartoryskimi uknuł spisek w celu zrzucenia z tronu swego dobrodzieja — człowieka wreszcie zażyłego z Voltairem i wszystkimi wrogami wiary, zawdzięczającego wy-

¹⁾ „Wiarogodni a wysoko w Polsce urodzeni ludzie“ — pisze autor w przypisku — „zapewniali mnie, że dziad króla był ochrzczonym żydem, któremu jego ojciec chrzestny, Poniatowski, dał swoje nazwisko“.

niesienie li tylko swojej powierzchowności, oraz przyrzeczeniu jako będzie rządził według rozkazów carowej“.

Na te obelgi stronnicy króla odpowiadali, że potwarz o pochodzeniu żydowskiem w Polsce powtarza się często i nie jest warta odpowiedzi, że matka i babka Stanisława należały do pierwszych rodzin Rzpltej i t. d. „Na mnie zaś podobne oskarżenia i spory, dobre tylko do rozgoryczenia umysłów, czyniły tak silne wrażenie, iż odtąd szczerze znie-nawidziłem wszelką republikańską formę rządu“.

„Mój ojciec pomimo, przywiązania dla dynastji saskiej, nie mógł nie uznawać wysokiego wykształcenia Stanisława Augusta. Fakt, że król wychowanym był u Teatynów, spowodował go do powzięcia bliższych wiadomości o tem kolegium. Zapoznał się z dyrektorem zakładu, O. Portalupi, poważnym starcem, który był pokierował wychowaniem królewskim. Ten go tak ujął swojną inteligencyą i wiedzą, że mój ojciec zapragnął umieścić nas u Teatynów, stawiając za warunek, że nie będziemy zmuszani do assistencyi przy żadnych ceremoniach katolickich. O. Portalupi odrzekł, że to jest niemożliwem, bo się sprzeciwia regule domu i naraziłoby nas na przykrości ze strony kolegów. Ojciec wszakże nie dał za wygrane i znaleziono kempromis. Profesorowie mieli nam udzielać prywatnych filozoficznych i prawniczych wykładów; szczęśliwy traf dopomógł do urzeczywistnienia planu“.

„Do Warszawy przybył X. Fokowich Dalmatyniec, wychowany we Florencji i w Rzymie. OO. Teatyni, zdumieni rozległością jego wiadomości na polu literatury starożytnej i nowej, jego biegłością w łacinie i włoszczyźnie, oraz jasną metodą w wykładaniu nauk nadprzyrodzonych, wymogli na nim, aby został ich współpracownikiem i teraz naj-usilniej zalecili go memu ojeu. Pragnąłbym złożyć parę kwiatów na grobie tego niepospolitego człowieka. Cokolwiek rzeczywiście umiem, zawdzięczam jemu i jego sposobowi nauczania. Jego czyste a surowe zasady były mi tarczą wśród pokus zmiennego losu i wśród zasadzek, jakie przedstawiają tajne stowarzyszenia ludziom, których żywość temperamentu czyni dostępnymi wszelkim wybujałościom i przesądom...“.

„Ukończywszy ze mną ponownie kurs logiki, przeszedł X. Fokowich do etyki i metafizyki. Dziwnem zarządzeniem miłość moja dla Ludwika d'A. nie tylko nie przeszkadzała mi w studyach, ale do nich nowego dodawała zapалу, bo każde jej słówko pochwały było mi najmilszą nagrodą. Dotąd pomimo otaczającego ją roju wielbicieli nie byłem poczuł zazdrości. Zaznałem ją dopiero w czasie uroczystości towarzyszących koronacyi. Byłem obecny na samej ceremonii, ale pomimo całego jej przepychu i wspaniałości myśl moja była daleko. Pokoronacyjne festyny przewyższały różnorodnością i wykwinem wszystko, com później widział w Paryżu i Petersburgu. Młody, przystojny i uprzejmy monarcha, usiłujący pozyskać mężczyzn, hołdując kobietom, zdał się czarującym pięknej płci, wywierającej w Polsce tak silny wpływ na polityczne sprawy. Stanisław posiadał w niezwykłej mierze ową giętkość umysłu, ów osobisty urok, złączony z sztuką wciągania w grę miłości własnej drugich, słowem owe zalety, które już dla prywatnego człowieka zdobywają serca a które zapewniały powodzenie królowi, uposażonemu wszelkimi darami natury i poprzedzonemu sławą jako był kochankiem Katarzyny II. Wszystkie też kobiety agitowały na jego korzyść i skłoniły mężów do przyjazdu do Warszawy dla ucałowania ręki uroczego króla i uczestniczenia w uciechach stolicy“.

Król sprowadził z Paryża wyborną trupę teatralną, a z Włoch najznakomitszą operę *buffa*. Vestris i Pic opuścili chwilowo Paryż; Warszawa stała się centrum przyjemności i dobrego tonu. „Jakaż była moja rozkosz, gdym po raz pierwszy był na przedstawieniu opery włoskiej. Dawano *La buona figliola* a Ristorini była *primadonna*! Co za śpiew! Co za muzyka! Co za harmonia w grze! Arya *Una povera ragazza* opanowała całą moją duszę“.

„Nazajutrz pełen jeszcze radosnego zapалу opowiadałem O. Fokowichowi o włoskiej operze. On zaś usiłował łagodnie obrócić mój entuzjizm ku włoskiej poezyi. Znałem już Metastasia, teraz dał mi Petrarke, poczem jałem się namiętnie Tassa i Ariosta. Podczas atoli gdym się zatapiał w obraz bohaterskich czynów „Szalonego Orlanda“, uwagę Warszawy zwracał na siebie mniej zajmujący, ale o wiele

szcześliwszy rycerz — Piotr Bieren, ksiązę-następca Kurlandyi, przybywający dla odebrania inwestytury dla ojca i siebie. Ceremonia ta pochlebiała wielce miłości własnej królów polskich. Lennik składał hołdowniczą przysięgę klęcząc, podobnie jak książęta Rzeszy przed cesarzem niemieckim. Przy hołdzie Piotra roztoczono osobliwą wspaniałość, to też wszystko wydało mi się pięknem, wzniosłem, majestatycznym — krom księcia „który był główną figurą obrzędu“.

„Mój ojciec patrzył z rozpazą na ten akt, oblekający w formy prawne roszczenia Bierena. Król dyplomem z 3 stycznia 1765 r. oświadczał, iż ta nowa inwestytura uzupełnia braki pierwszej, niezgodnej z konstytucją 1683 r. Uznanie zaś praw Bierena przez króla i Rzpłtą usuwało grunt z pod nóg zwolenników Karola. Jeżeli tedy jeden po drugim do nowego pana przystawać i ojciec mój pozostał sam ze swym zapatrywaniem, opartem na fakcie, że jeżeli pierwsza inwestytura była nieważną dla braku osobistego hołdu, to i druga była nieważną dla tychże samych powodów, a prawym księciem pozostawał królewicz Karol. Niektórzy podziwiali tę stałość, większość ganiła ją. Książę-regent Saksonii, Ksawery, odjął mu pensję udzielaną przez Augusta III, tak iż pozostała mu tylko pensya od księcia Karola, tak skromna, iż ledwie starczyła na nasze utrzymanie i nauki — mój ojciec wszakże wołał wszystkiego sobie odmawiać, a położenie swoje ukrywać przed ludźmi. Na jego prośbę przyjęto nas do saskiego pułku dragonów królewicza Karola, którego część mieszkała w Saskim pałacu. Dzień, w którym przywdzialiśmy saskie mundury, wydał mi się świętem. Mieliśmy tylko szarżę podporuczników *à la suite*, trzeba jednak było od czasu do czasu bywać u naszego komendanta. Ten, żołnierz z Wojny Siedmioletniej, umiejący jedynie bić się, grać i kłać, powziął wkrótce do mnie antypatyę. Zwal mnie *uczonym*, co w ustach jego było najgorszą obelgą. Mój brat natomiast, młodszy i mniej stanowczego charakteru, stał się ulubieńcem tych panów, wskutek czego ucierpiał na zdrowiu i stracił gust do nauki“.

„Tymczasem musieliśmy podczas wakacyj ćwiczyć się w służbie wojskowej i przez sześć miesięcy jeździć w maneu. Inne nauki szły swoim trybem, a X. Fokowich, korzy-

stając z każdej wolnej chwili, podwajał pracy nad mojem wykształceniem, usiłując wyrobić u mnie własną myśl i własny mój sąd w sprawach duchowych i ziemskich. W końcu przebyłem szczęśliwie u OO. Teatynów publiczny egzamin, gdzie obroną przez siebie tezę o nieśmiertelności duszy broniłem przeciw O. Mariano. Mój ojciec był uradowany; muszę jednak przyznać, że cały ten zapal do metafizyki był u mnie skutkiem miłosnego zawodu“.

„Główny admirał Ludwika, hr. Br. był wyjechał do Drezna, ale natomiast ksiązę Repnin, brat ambasadora, wystąpił w roli konkurenta. Pewnego wieczora, gdyśmy byli w teatrze francuskim w łoży rodziców Ludwika, przyszedł i ksiązę, a panna tylko z nim rozmawiała. Mówiono o balu maskowym, który miał za kilka dni być danym przez króla pod namiotami w Saskim ogrodzie. Trudno o coś cudniejszego, jak całe urządzenie tych balów. Niektóre części ogrodu mocno oświetlone kolorowemi lampionami tworzyły czarodziejski kontrast z głębokim cieniem reszty. Pod wielkim namiotem tańczono poloneza, pod innemi *anglezy* i *françoisy* Wesolość była ogólna, ale trzymana w przyzwoitej mierze, a maska dodając swobody zbliżała do siebie różne klasy, nie miesząc ich całkowicie. Grono ślicznych młodych dam uzupełniało piękność obrazu. Z pomiędzy mężatek podziwiano hr. Potocką (krajczynę) z domu Ossolińską, wzór najdoskonalszej urody, starościenę opeską, księżnę Adamową Czartoryską, księżnę Lubomirską i t. d. Z pomiędzy panien hr. Helenę Przeździecką, późniejszą księżnę Radziwillową wojewodzinę wileńską, kuzynkę tejsze Brzostowską, Ludwikę d'A. i wiele innych. Kobiety w Polsce odznaczają się pięknością i wdziękiem. Wszystkie prawie mówią po francusku i po niemiecku, niejedna jeszcze po angielsku i włosku, uprawiają malarstwo, muzykę i śpiew; żadna przytem nie myśli o chwaleniu się swemi talentami, ale raczej o szczęściu podobania się przyrodzonym wdziękiem“.

„Wśród najpiękniejszych pań odznaczała się Ludwika. Król tańczył z nią; poseł Repnin wyróżniał ją, pomimo iż się właśnie zalecał księżnej Adamowej Czartoryskiej; wkoło niej kręcił się rój młodzieży, młody ks. Repnin zaś nie opuszczał jej wcale. I znów chwyciła mnie zazdrość; zdało

mi się, że jest nim tylko zajęta, więc nie myśląc już o zabawie, chodziłem tu i tam po namiotach a wreszcie wróciłem do domu i przez następny tydzień unikałem Ludwiki. Jedyną pociechą moją była nauka filozofii lub pokątne zagłębianie się w *Nowej Holoizie* i t. p. romansach. Tymczasem przedstawiono nas w różnych domach. Hr. Ossolińska wojewodzina wołyńska, matka pięknej p. Potockiej, bardzo dworowi saskiemu oddana, zaprosiła nas do siebie wraz z rodziną d'A. i przyjęła z wielką dobrocią. Ludwika zaprzyjaźniła się serdecznie z p. Potocką, która to przyjaźń trwała lat 30 pomimo drobnych nieporozumień, wynikających naturalnie z rywalizacyi dwóch tak pięknych kobiet“.

„Czytywano głośno, mówiono o historii, literaturze i polityce; podziwiałem, jak miły zwrot umiano w tych kolach nadawać rozmowie. Podziwiałem zwłaszcza ks. Adama Czartoryskiego. Ten czytał i mówił z osobliwą wykwiutnością i wdziękiem, a wszystko, co powiadał, było nowem i pełnem inteligencyi, tak, iż słuchałem go zawsze z największą uwagą. Być może, iż to zauważył, lub też z właściwej sobie uprzejmości zaczął ze mną rozmawiać, usiłując oznakami przychylności zwalczyć moją nieśmiałość. Ks. Adam był bardzo bogato uposażony z natury. Posiadał miłą powierzchowność, żywy umysł, łagodne usposobienie, dużo uczucia i niesłychaną pamięć. Mówił po francusku, niemiecku, włosku, angielsku, grecku i turecku, był obeznany z niemal wszystkimi gałęziami wiedzy i władał niemi w sposób lekki, zajmujący i wdzięczny. Pomimo młodości swojej, umiał rozumnie i szlachetnie używać swej olbrzymiej fortuny. Każdy człowiek zasłużony lub utalentowany znajdował w nim gorliwego protektora, nie szczędzącego zachęty ani pomocy. Nigdy nieszczęśliwy nie prosił go napróżno o wsparcie; znaczną część jego dochodów pochłaniały skrycie udzielane pensye. Podskarbi jego zapewniał mnie, że w 12 latach wydał przeszło 100.000 dukatów na samych Francuzów, którzy go zawsze licznie otaczali a których na swój koszt utrzymywał. W towarzystwie niósł ze sobą wesołość i życie. Grał komedye jak najprzedniejszy aktor francuski, przy czem układał sam *przysłowia* i inne śliczne sztuczki.

Był na równi lubiany przez kobiety i mężczyzn, nie dając nigdy nikomu uczuć swojej wyższości“.

Gdyby nie wnięszanie się Katarzyny II w sprawy elekcji, byłby przy otaczającej go ogólnej sympatii wziął górę nad bratem ciotecznym Poniatowskim. Kanclerz Czar-torski stal po stronie swego wychowawca — publiczność po stronie ks. Adama. Przemawiało za nim sławniejsze imię i olbrzymi majątek, nadto ojca jego wojewodę ruskiego otaczał szacunek, który się przeniósł na syna, podczas gdy kanclerz, znany z dumy, mściwości, skrytości i intryg, wzbudzał nienawiść i trwogę. Stanisław nawet po wstąpieniu na tron zachował z lat dziecinnych wobec ks. Adama pewne uczucie zazdrości, które dzięki okolicznościom miało się jeszcze powiększyć.

„Ojciec, któremu opowiadaliśmy wszystko, cośmy po salonach zaznali, kazał nam oddać ks. Adamowi wizytę, co uczyniliśmy w następną niedzielę. Przyjął nas ze zwykłą uprzejmością i po chwili rozmowy zapytał mnie: „Czemu ojciec przeznaczył pana do służby saskiej, skoro jako Kurlandczykowi, wszystko ci w Polsce stoi otworem? Jesteście według układów naszymi braćmi i ziomkami. Dla czego z tych praw nie korzystacie i rozluźniać węzły unii, zamiast je zacieśniać? Pomów Pan z ojcem i powiedz mu, że będę rad mu się przysłużyć. Lubię i cenię szlachtę kurlandzką, bo znam jej lojalność“... Pośpieszyłem powtórzyć ojcu rozmowę, on zaś rzekł: „Ks. Adam jest najmilszym człowiekiem naszych czasów, ale nieco lekki — nie można liczyć na trwałość jego poparcia; zresztą położenie Polski jest zbyt niepewne. Nadto, szlachta dyssydencka nie jest lubiana, tak iż z faktycznem pogwałceniem paktów bywa oddalana od wszelkich urzędów. W Saksonii idzie się naprzód powoli, ale gdy się ma posadę, to już na całe życie. Trzymajcie się dworu, gdzie pamięć moich poświęceń jeszcze nie wygasła“. Wkrótce miało się okazać, o ile miał słuszość. Kazał księciu podziękować, mówiąc, że jest już związany z dworem drezdeńskim“.

Przyjaźń z hr. Potocką wciągnęła rodzinę d'A. w życie światowe. Umyślono odegrać komedję, przyczem i nam dwom dano role, z których w porównaniu z innymi wywią-

zaliśmy się niezmiernie licho. Ról uczył nas znakomity aktor francuski, a całością kierował dymisyonowany kapitan, Mr. Brehand du Fournel, piszący sam śliczne wierszyki. Pewnego dnia przyprowadził pana de Maisonneuve. Był to człowiek młody, wysokiego wzrostu, nie piękny, ale mogący się podobać; ks. Adam, mianowany szefem założonego przez króla korpusu kadetów, był go wraz z kilkoma innymi Francuzami dla pożytku uczniów sprowadził. Naoczność francuska starczyła za najlepszą rekomendację w Warszawie. Maisonneuve był intelligentny i wykształcony, a udawał skromnego romantyka. Dano mu natychmiast rolę w naszym przedstawieniu, grał jak aktor z zawodu i ściągnął na siebie uwagę księżnej L., której znaczenie i fortuna dopomogły mu wielce w światowej karierze“.

„Książę Repnin też należał do naszej truppey, i choć kilku innych otaczało piękną Ludwikę, mnie wciąż się zdawało, że jest wyróżnianym. Byłem tedy w złym humorze i raz, gdy książę chciał ze mną zażartować, odpowiedziałem z goryczą. Zaraz potem ktoś zaczął mówić o naszym fecht-mistrzu i książę zauważył w tonie, jak mi się zdało szyderezym :

„Musisz Pan być bardzo sprawnym?“ — „Tak sprawnym — odrzekłem — iż jeżeli książę zechcesz, możemy się zmierzyć“.

— „Ależ to patrzy na wyzwanie!“ — „Wolno zrozumieć, jak się podoba“. — „Pan chyba żartujesz!“ — „Czy wyglądam na to?“ — „Tego już za wiele. Chodźmy, chodźmy“. Chwyciliśmy kapelusze i zbiegli ze schodów. Panie d'A. zdumione niespodzianym wybuchem gniewu uprosiły braci, by szli za nami; nie mogli jednak zrazu nas dognać. Na dziedzińcu książę zapytał: „Dokąd pójdziemy?“ — „To od księcia zależy“. — „Idźmy za ogród Saski“. — „Nie, tam za dużo ludzi przechodzi. Jeżeli księciu wszystko jedno, chodźmy do mego pokoju“. — „Dobrze — to obojętne“.

Brata mego nie było, służącego odesłałem, poczem zamknawszy drzwi, wyciągnęliśmy szpady. Tymczasem jednak panowie d'A. byli nas zdybali i niemal dognali. Wolali na nas, byśmy się wstrzymali, a nie odbierając odpowiedzi wylamali drzwi. W tej chwili właśnie książę zadawał mi cios, który mógł być śmiertelnym, gdybym go nie był

parował lewą ręką. Rzucili się pomiędzy nas, wołając do mnie: „Pomyśl o ojcu! Coby się stało gdybyś księcia choćby tylko zranił!“ — Stałem strwożony na myśl o niebezpieczeństwie, na jakie naraziłem ojca; poznałem naraz cały ogrom mej nieroztropności. „O księżę mój — zawołałem — nie czyń złego memu ojcu!“ — Uściskał mnie, dając słowo, że nikomu o zajściu nie powie i zostanie mi przyjacielem. Dotrzymał obietnicy i aż do jego śmierci doznawałem odeń samych oznak szacunku i przychyłności. Młodzi d’A. przyrzekli również milczenie“.

„Studia moje nie były dotąd skończone; prowadziłem je dalej pod kierunkiem X. Fokowicha w dni robocze, korzystając tylko z niedziel i świąt dla bywania w świecie. Księżę prymas Podoski otrzymał był pozwolenie zamieszkania w Saskim pałacu, gdzie nie omieszkaliśmy złożyć mu uszanowania. On zaś zaprezentował nas zapraszonym na jego obiady panom z ciała dyplomatycznego. Tam też poznałem nuncjusza Duriniego i jego pomocnika, którzy rozmawiali ze mną po włosku i zaprosili do siebie na czekoladę. W tych czasach też przybył na sejm do Warszawy W. ochmistrz von den Howen, jako przedstawiciel szlachty kurlandzkiej, a ojciec mój, chcąc mnie zaprawić do interesów krajowych, prosił go, by mi powierzał tłumaczenia i inne roboty piśmienne dla spraw jego poselstwa potrzebne“.

„Atoli wśród świetnych przyjęć sejmowych, gwałt popełniony przez posła rosyjskiego ks. Repnina wzburzył umysły Polaków i obcych. Jednej nocy kazał ambasador uwięzić X. biskupa krakowskiego Sołtyka, biskupa Załuskiego, hetmana Rzewuskiego i tegoż syna, posła na sejm. Nazajutrz rano wstając ujrzeliśmy mały ogród Saski, zwany ogrodem Królowej, przepelniony rosyjskimi żołnierzami. Dwa okna naszego mieszkania wychodziły na ten ogród, łączący się z ogrodem zajmowanym przez ks. Repnina pałacu Brühlowskiego. Ciekawi co zaszło, zapytaliśmy jednego z oficerów, ale nie raczył dać odpowiedzi. Dopiero po dwóch godzinach dowiedzieliśmy się od ojca, że na rozkaz księcia dwa pułki piechoty stały przez całą noc pod bronią, a na dziedzińcu ambasady, w ogrodach i przyległych ulicach, teraz jeszcze pełno było żołnierzy. Zajście to charakteryzuje

działalność ks. Repnina. Trzeba było najwyższej niezręczności dla użycia równie poryweczego środka, który nawet tak upadły naród musiał przywieść do rozpacz. Zewsząd zawrzało. Wszyscy magnaci i posłowie chcieli bezzwłocznie wyjechać z Warszawy — ale miasto stało zamknięte kordonem wojska rosyjskiego i nie podobna było bez piśmiennej przepustki od ambasadora przebyć tej strasznej zapory“.

Carowa, chcąc sobie stały wpływ w Polsce zapewnić, ogłosiła się była opiekunką dyssydenckiej szlachty, zdobiąc swój manifest wielkimi słowami: tolerancyi, humanitarności, oświaty i t. p., importowanemi przez Encyklopedystów na wszystkie europejskie dwory. Stanisław byłby i bez niej oświadczył się za dyssydentami, aby zasłużyć na dany mu przez Voltaire, a tytuł „króla filozofa“. Anglia, Prusy, Szwecya i Dania poparły manifest carowej. W Polsce senat i większość narodu oparły się żądanemu przez dyssydentów uprawnieniu. Otwierano im przystęp do najwyższych godności dworskich i wojskowych, ale do sejmu i senatu — nie. Wtedy dyssydenci, popierani przez Rosyę, zawiązali się w konfederacyę pod wodzą jen. Grabowskiego i wezwali szlachtę kurlandzką do złączenia się z nimi, co też przyszło do skutku, dzięki działaniu w Mitawie rezydenta Simolina, nęcącego księcia obietnicą wzmocnienia władzy, a szlachtę rozszerzeniem przywilejów. Rosya i król czynili co mogli, by swe plany tolerancyi przeprowadzić w Warszawie, ale napróżno, i wtedy to ks. Repnin porwał się do gwałtu, mniemając, że postrachem przemoże sejm. Zdziałał tyle, że tu opozycya przycichła — na prowincyi zato wybuchła pełna religijnego i patryotycznego zapału, ale pozbawiona rozwagi i zgody.

„Gdybyśmy — mówili malkontenci — mieli saskiego księcia na tronie, nie byłby nigdy dopuścił do podobnego zamachu“. I bez ułożonego planu zwrócili się ku Dreznu szląc pod różnemi formami emissaryuszów do młodego elektora z ofiarowaniem korony. Elektor stale odmawiał, ale matka jego, pragnąca widzieć syna na tronie przodków, wdała się w tajne układy z malkocontentami Korony i Litwy. W Dreźnie tedy utworzyły się dwie partye: jedna bierna t. j. elektor ze swymi ministrami, i druga, pokątnie bardzo ruchliwa złożona z elektorowej matki, księcia Karola, po-

słów francuskiego i hiszpańskiego, oraz polskich wysłańców. Książę-prymas Podoski, chociaż wciąż w otoczeniu rosyjskim i wzywający rosyjskiej opieki, osądził, że mu jako głowie katolików i kreatur dworu saskiego wypada odegrać rolę gorliwego patrioty i katolika — wszelako bez skompromitowania się. „Parękroć już oświadczał się z oddaniem dla dworu saskiego przed moim ojeem i pan von den Howen; teraz zaś zaproponował temu ostatniemu tajne poselstwo. Howen, nie mający na tem nic do stracenia, przyjął chętnie, zamierzając zabrać mnie ze sobą dla prowadzenia korespondencji. Prymas powierzył mi cyfrę; oznaczono dwa zmyślone nazwiska, pod któremi listy miały chodź tam i napowrót, drogą, której Rosyanie podejrzewać nie mogli. Prymas miał dwa cele: zmuszenie Poniatowskiego do odstąpienia tronu elektorowi, a Bierena do oddania Kurlandyi prawemu jej księciu, Karolowi. Plany te popierała z cicha Francya, zazdrośna o przewagę Rosyi; nie chciała jednak działać otwarcie, dopóki konfederacya, objawszy cały kraj, nie stanie się legalnym punktem oparcia. W tych okolicznościach postanowił książę Karol pojechać do Paryża, czyniąc zadość życzeniom konfederatów, oraz gorącym prośbom swej żony hr. Krasieńskiej. Zawarł był ten związek za życia ojca, ale go nie śmiał ogłosić, bo według praw niemieckich dzieci z nierównego małżeństwa nie mogły elektorstwa dziedziczyć. Obaj stryjowie księżny byli duszą opozycyi, zwłaszcza biskup, wielki intrygant, który się najwięcej przyczynił do rozwielenia konfederacyi“.

Wielu magnatów zgromadziło się w Barze nad granicą turecką, gdzie starosta Krasieński, brat biskupa, wybranym został na ogólnego marszałka konfederacyi, a Puławski starosta warecki marszałkiem kilku województw, przyczem część wojska Rzpltej konsystująca w Barze przystała do związku. Wkrótce powstała też konfederacya w Kaliszu i w województwie braclawskiem. Niemal równocześnie wojska królewskie i rosyjskie, zmuszały większość konfederatów do przejścia na stronę turecką, skąd cychali sposobnej chwili. Gwałty jednak na polskiej szlachcie spełniane wzniciły napowrót konfederacyę, która parę kroć po różnych miejscach

rozbita, nie została wszakże zniszczoną. Nie zadługo cała Polska i Litwa stanęły w płomieniach.

„Tymczasem zbliżenie się moje do prymasa, rozszerzyło było wielce krąg moich stosunków, a im więcej poznawałem ludzi, tem wyraźniej okazywało mi się zepsucie obyczajów panujące w Warszawie. Najgorszy przykład szedł od głowy polskiego Kościoła, a za swym pasterzem szły w ślad kanoniczki. Widywano je publicznie w towarzystwie zgrai młodych ludzi wszelkich narodowości, przeważnie oficerów rosyjskich, objawiających w obejściu poufalość niezmierną. Widok byłby śmiesznym, gdyby nie był tak bardzo gorszącym“...

„Muszę przyznać, iż znajdowałem w tym świecie rozrywki memu wiekowi właściwe. Największą jednak moją przyjemnością były godziny spędzane w towarzystwie Ludwiki i jej rodziny, a choć ze smutkiem widziałem zbliżającą się chwilę rozstania, usiłowałem myśl o niej odpędzać, aż wreszcie łatwy do przewidzenia wypadek przyspieszył mój wyjazd“.

„Hr. Potocka, chcąc zapewnić los Ludwiki nie posiadającej posagu, zaproponowała jej związek ze starostą R., porządnym człowiekiem a nadto właścicielem pięknego wolińskiego majątku. Był przystojny i młody, ale zda się nie według myśli Ludwiki. W czasie pertraktacyi dostałem z Drezna od mego ojca chrzestnego hr. Sacken pochlebną, ale nie zbyt stanowczą odpowiedź na posłane mu za radą ojca podanie o umieszczenie mnie w departamencie spraw zewnętrznych. Mój ojciec doczytał się w niej obietnie wbrew ostrzeżeń p. von den Howen, który list przywoził“.

Naraz dano znać, iż ślub Ludwiki odbędzie się za trzy dni. Miałem odwagę być obecnym na obrzędzie ślubnym, odprawionym w kaplicy pałacu Saskiego; postanowiłem wszakże natychmiast opuścić Warszawę. Mój brat pozostał przy ojcu, któremu za pośrednictwem ambasadora rosyjskiego ofiarowano teraz korzystny układ z Bierenem. Pułkownik d'A., patrzący z żalem na upadające z każdym dniem zdrowie przyjaciela, a przekonany, że tenże nigdy przyrzeczeń swoich nie złamie, wyjednał od księcia Karola list bardzo serdeczny, zwalnający go od przysięgi, w nadziei, że

mu przyjaźń do śmierci dochowa. Wtedy ojciec dał znać ks. Repninowi, iż propozycje Bierena przyjmuje, ale pod gwarancją samego ambasadora. Tak stały rzeczy, gdym do Drezna wyjeżdżał“.

Owa pierwsza samodzielna podróż, po której młody Heyking tak wiele sobie obiecywał, przyniosła mu rozczarowanie i gorycz. W Dreźnie hr. Sacken przyjął chrześniaka z pewnem zakłopotaniem — posady bowiem żadnej dać mu nie mógł czy nie chciał. Był to człowiek drobny, suchy, obwieszony orderami nawet na rannem ubraniu — należał do partii elektora, a więc do zaciętych przeciwników elektorowej wdowy, królewicza Karola i konfederatów, a raczej w ogóle Polaków. Oskarżano go niemal o szpiegowanie na rzecz rosyjskiego dworu, oraz o rozsiewanie przeciw Polakom rozmaitych potwarzy. Królewicz Karol nie był jeszcze powrócił z Paryża, więc Heyking chwycił się zegarmistrza genewskiego p. Poneet, odgrywającego w Dreźnie rolę agenta konfederatów, na współkę z mieszkającą w jego kamienicy p. Brzostowską, bratową hetmanowej Ogińskiej. Poneet wziął młodzieńca w opiekę, kazał do siebie przychodzić na obiad dla uniknięcia niepewnego towarzystwa przy hotelowych stołach, polecił go łasce elektorowej, która też bardzo przychylnie zgotowała mu przyjęcie. „Wogóle — pisze autor — mogę tylko chwalić uprzejmość Sasów... ale serce moje zostało było w Warszawie, a stolicy saskiej nie można było do stolicy Polski porównać. Na elektorskim dworze wszystko było wymierzone, sztywne i niemal ubogie, Stanisław August zaś prowadził dwór wspaniały i wielki...“ Do tęsknoty za Warszawą przyczyniał się i stan finansów młodzieńca, który nie znalazłszy spodziewanej posady, musiał, czekając na przyjazd księcia, sprzedać emaliowany zegarek darowany na wyjeździe przez prymasa. W takich to okolicznościach trafili doń masoni, o których snać w oryginale rozpisuje się długo i szeroko, zbyt szeroko może dla gustu dzisiejszych masonów, skoro wydawca uznał za stosowne całą tę część o „rzeczach, któreby już dziś nikogo nie interesowały“ schować dla siebie, czytelników zbywając krótkim zdaniem, jako „w tych czasach szerzyła się po Niemczech masone-

rya pod nazwą Reformy czyli Ścisłej Obserwancyi i bardzo wiele we wszystkich kolach o niej mówiono. Wkrótce i ja do związku wstąpiłem“... Poczem przechodzi natychmiast do innych przedmiotów.

„U dworze — pisze — zaszło było wtedy parę zmian dyplomatycznych. Baron Zuckmantel został mianowany ambasadorem w Wiedniu, a miejsce jego zajął Rochon de Chabannes w charakterze prostego *chargé d'affaires*. Podobnie poseł austriacki zastąpionym był przez p. von Piller, w czem, zważywszy zgodność postępowania, upatrywano objaw niezadowolenia obu dworów względem saskiego ministra, kokietującego Rosyę kosztem konfederatów. Wiadomem było, iż cesarzowa Marya Teresa, dzięki przedstawieniom swego spowiednika, wierzyła mocno, że Polacy chwycili za oręż jedynie w obronie wiary zagrożonej zniszczeniem przez dyssydentów“... Ciekawą jest w tem miejscu naiwna miłość własna autora. Chwali się, że umiał pozyskać zaufanie p. de Chabannes, gdy z tego samego co mówi wynika, iż Francuz nie świadom jeszcze terenu przyciągał go i badał jako wtajemniczonego w plany konfederacyi a nadto spędzającego część dnia u ks. Karola, który był tymczasem powrócił. Ztąd wspólne obiady, kolacyjki i długie rozmowy, do których przyłączał się pełnomocnik austriacki, Piller.

Przyjazd ks. Karola nie przyniósł młodemu Heykinowi pożądanej zmiany położenia. Książę, sam pozbawiony znaczniejszych środków, a nie lubiący się zniżać do jakiegokolwiek prośby wobec synowca i skrycie wrogich ministrów, nie mógł mu dopomóc do wyższej posady na elektorskim dworze i tylko własnym dworzanim mianował ze skromną pensją 16 talarów miesięcznie. Trzeba więc było czekać, a tymczasem o losach konfederacyi, od których los jego i stronników zależał, nie dobre dochodziły wieści. Hetman Ogiński, który, łącząc się ze stojącym na czele 6000 ludzi Radziwiłłem, jak mu doradzał przezorny wódz tatarski Billak, mógł być zgnieść Moskali i poprzeć Kossakowskiego, mającego wkroczyć do Kurlandyi dla wypędzenia Bierena — nie posłuchał rady i natomiast dał się podejść i rozbić przez Suworowa. „Ledwie miał czas umknąć ze swym ulubieńcem Chomińskim... Jako poeta umiał opisywać zwycięstwa Polski

i podobnie jak wielu współziomków, wierzył, że jest wojskowym, gdy przywdział mundur i że mu wystarczy być mężnym aby zwyciężyć.

Zwycięstwo to było początkiem sławy i fortuny Suworowa a upadku partyi Radziwiłła i planów skonfederowanej Litwy. „Ogiński przybył do Gdańska bez odzienia, bez pieniędzy i bez chwały. Konsul francuski Girard pożyczył mu nieco grosza i usiłował podnieść go na duchu: miał wrócić do konfederacyi, zwerbować nowy oddział i nowem przedsięwzięciem odzyskać dobrą opinię. Chomiński popierał w tem zdanie konsula, chcąc się oczyścić od zarzutów, czynionych mu przez rozbite wojsko i zagraniczne dzienniki. Ogiński, pochodzący z jednej z najznakomitszych rodzin litewskich, posiadał wyborne wychowanie i parę przyjemnych talentów. Był wysokiego wzrostu, powierzechności milej z bardzo dobrotliwym wyrazem, ale przytem chwiejny, we wszystkim niedokładny i pozbawiony szerszych poglądów. Podli pochlebcy otaczający go od młodości tak byli skrzywili jego sąd i wydmuchali jego miłość własną, iż się miał za jednego z najznakomitszych ludzi swego czasu. Komponował opery z pomocą włoskiego muzyka, pisał polskie wiersze z pomocą Chomińskiego; po śmierci J. J. Rousseau wszedł do gabinetu królewskiego, mówiąc: „*Sire*, mój kolega umarł“. Król myślał, że hetman polny Sosnowski skonał na apopleksyę. — „Przepraszam W. K. Mość — rzekł chłodno Ogiński — mówię o Janie Jakóbie Rousseau“, a gdy król nań patrzył w zdumieniu, dodał z uśmiechem: „W. K. Mość wie, że Rousseau napisał wiersze i muzykę opery *Le devin du village*. Ja też komponuję zawsze muzykę i wiersze oper przedstawianych w moim teatrze. W tem więc był Rousseau moim kolegą“... Nie dość na tem: Ogiński mienił się być trzecim w hierarchii wielkich budowniczych europejskich; nie jedno też pobazgrał płótno, które potem malarz z zawodu zamieniał na obraz. Istotnie nie miał smaku, ani wiedzy, ani wojskowych zdolności, usiłował jednak, zostawszy hetmanem, zreformować organizacyę wojska litewskiego za pomocą pruskiego oficera, który zacząwszy dzieło nie dokończył go. Gdy za bardzo młodych lat przebywał za granicą, pozyskał tam dzięki swemu nazwisku oraz swym naukowym i artystycznym gu-

stom sławę, któraby niejednemu silniejszemu odeń przewróciła w głowie. Otoczony zgrają utalentowanych darmozjadów i do reszty zepsuty przez kobiety, przywiózł jako jedyny owoc podróży próżność, dochodzącą do śmieszności. Pochlebcy poradzili mu jechać do Petersburga dla przypodobania się carowej w czasie pobytu tamże Poniatowskiego. Wprawdzie wyróżniała go, ale Poniatowski zwyciężył, a Ogiński nie przebaczył mu nigdy swej przegranej“.

Poniatowski, zostawszy królem, czynił co mógł, aby pozyskać Ogińskiego, który tymczasem ożenił się był z jedyną córką kanclerza Czartoryskiego. Ogiński został hetmanem wielkim litewskim, zaledwie jednak dostąpił urzędu, zebrał wojsko i zdeklarował się przeciw Rosyi. „Jestem — mówił — dostojnikiem Rzpltej, która powierzyła mi swoje hufce nie na to, bym służył królowi, lecz abym strzegł jej wolności i wiary. Jeśli tym jaka obca moc zagrozi, moim obowiązkiem jest przelać krew dla ich obrony“.

— Chcąc podobnym zapatrywaniom wywalczyć zwycięstwo, należało ich przedstawicielowi objawić nieco więcej energii i więcej zdolności.

Reprezentacyjne Koło konfederacyi barskiej było się wreszcie zgromadziło w Eperies. Każde województwo miało swego marszałka, a ponad tymi wybranym był Krasiński marszałkiem generalnym dla Korony, a Pac dla Litwy. Rozesłano uniwersały, tłómaczące Europie konieczność dla Polaków chwycenia za broń dla ochrony przed wewnętrznym i zewnętrznym wrogiem... Król, przewidując, że się nie skończy na słowach i że według życzenia niektórych części kraju nastąpi ogłoszenie bezkrólewia, wziął się do wykrętów. Kazał niektórym ze swoich kreatur, pozornie z nim poważnionych, przystąpić oficjalnie do konfederacyi dla zamęczenia tamże umysłów i podpatrzenia tajemnic starszyny. Jednym z takich narzędzi był hr. Poniński... Ten był jakby do roli owej stworzony ze swą szlachetną postacią, pięknymi rysami, miłym głosem, bogactwem wiedzy, niezachwianym spokojem i wciąż powracającemi na usta górnemi słowami: cnota, bezinteresowność, miłość ojczyzny i t. p.

Był on niegdyś w wielkich łaskach u hr. W., kierującej mężem i szczerze konfederacyi oddanej; teraz udał, że chce w dawne więzy powrócić, przyczem jał wygadywać na

słabość króla i hańbiącą przewagę Rosyi. Uwierzono mu i powierzono pieniądze na zakupno broni, sząc go do Drezna, gdzie zdobył zaufanie elektorowej-matki i przegrał w karty znaczniejsze sumy. Uwięziony za długi, uciekł oknem za pomocą konfederatów i wrócił do Eperies.

Zaraz po jego powrocie wszczęła się wśród starszyny niezgoda. Sprzeczano się o dowództwo jeszcze nie istniejącej armii, o przeprowadzenie każdego punktu przyjętego programu; gniewano się i dzielono: każdy szedł za własną myślą a słuchać nie chciał nikt. Tak więc, mimo patryotyzmu i męztwa większości, pomimo intelligencji francuskich oficerów i dobrej wolisconfederowanych mas, zdołała garstka Rosyan utrzymać się w Rzpltej, bijąc kolejno pojedyncze oddziały, które złączone byłyby ją zgniotły samą liczebną przewagą.

„Dwór wersalski ku wielkiemu zmartwieniu księcia Karola wysłał był tylko feldmarszałka Dumourieza z 20 oficerami i kredytem na 20.000 franków miesięcznie.“ Dumouriez zaś, bardziej porywczy niż rozumny, lajał klójących się konfederatów, zamiast starać się ich pogodzić. Okazywał im ubliżającą wyższość, przybierając ton, który musiał oburzyć ludzi, dumnych ze swego rodu i zgromadzonych pod sztandar wolności. Pragnąc się czempredziej odznaczyć, kazał bez dostatecznych sił i bez armat zaatakować Kraków. Konfederaci dokazali cudów waleczności, zdobyli przedmieścia i część miasta, ale nie mogli zdzierżyć przewadze, jaką Moskałom dawała artylerya i korzystna pozycja. Zostali tedy odparci, młody ks. Sapieha poległ. Miączyński, marszałek belzki, został pojmany, straciwszy pod sobą dwa konie; Dumouriez umknął, kilku ujętych Francuzów wywieziono na Sybir.

„Dumouriez, zniechęcony i znienawidzony od Generalicyi, postanowił wrócić do Francyi. W przejeździe przez Drezno oddał księciu Karolowi wizytę, przyczem będąc właśnie na służbie miałem sposobność go poznać. Wyszedłszy od księcia, rozmawiał jeszcze przez pół godziny z szambelanem von Bischoffswerder, którego znalazł z Paryża, opowiadając o Polakach różne okropności z właściwą sobie napuszystością i złością. Podobnie nie dobre wrażenie zrobił księciu i p. de

Chabannes, jedyne dwie osobistości, które w Dreźnie odwiedził. Widocznem było, iż doznany zawód i urażona miłość własna utarły farby, któremi jego złośliwość malowała konfederacyę“.

„W parę dni potem przyzwał mnie Sacken do siebie i oświadczył, że otwiera się posada sekretarza przy pośle jadącym do Szwecyi i że gotów mi ją wyjednać, byle... tu wdał się w zawile frazesy — ksiązę Karol, który go obecnie ostentacyjnie unika, zechciał wziąć udział w urządzeniem przezeń właśnie przyjęciu. Ksiązę poczciwie bardzo zdecydował się przemódz swą niechęć dla oddania mi usługi, gdy jednak po festynie upomniałem się u Sackena o spełnienie obietnicy oznajmił z najzimniejszą krwią, iż posada jest na moje rozkazy ale — bez pensyi. „O tę — dodał — idź poprosić ks. Karola!“ — Zdumienie moje i rozczarowanie nie miały granic; ksiązę też zgniewał się mocno, pensyi jednak dać nie chciał, mówiąc, że niema sensu, aby on płacił urzędników państwowych“.

„Wśród tych trosk doszła mnie bolesna wieść o śmierci mego ojca. Głęboko wstrząśnięty nie opuszczałem przez kilka dni mego pokoju. Ksiązę posłał mi przez swego szambelana B. wyrazy współczucia. Później Chabannes zmuszał mnie codziennie do wyjeżdżania z nim na spacer. Hr. Sacken również posłał swe kondolencye“...

Przyznać należy, iż po wszystkim, co autor poprzednio o ojcu napisał, krótka ta wzmianka o jego zgonie wydaje się dziwnie chłodną. Więcej niemal zda się go wzruszać fakt, iż ksiązę pensyę pobieraną przez ojca przelał nie na niego, ale na kogoś obcego. Co prawda obok żałoby były inne moralne i materyalne straty: stryj, który miał objąć pieczę nad majątkiem rodzinnym, zmarł w trzy dni z żalości po bracie. Matka zaś pozbawiona opieki pospieszyła z zawarciem nowego związku z p. von den Brinken. Biedakowi więc pozostała jedynie protekcyja księcia Karola i pensya 16 talarów... Tak stały rzeczy, gdy pewnego dnia z salonów ksiązęcych zawezwano go do hotelu *de Pologne*, gdzie nań oczekiwał świeżo przybyły wojewodzie belzki, obecnie marszałek konfederacyi belzkiej, Miączyński. Wzięty przez Moskali pod Krakowem, został był wypuszczony na parol; gdy jednak

wkrótce potem generał Weymarn zażądał zań od rodziny kaucyi 6000 dukatów, Miączyński uczuł się słusznie zwolnionym z danego słowa. Zdecydowany do konfederatów powrócić, zaproponował młodemu Heykingowi, by mu towarzyszył w charakterze delegata kurlandzkiego z ramienia księcia Karola. Zanim zaś sprawa przyszła do skutku, przedstawił się elektorowi, gdzie go przyjęto „z odznaczeniem okazywanem zawsze Polakom“. Był to człowiek przystojny, wysoki i tęgi, bardzo sympatyczny i uprzejmy w obejściu; nosił mundur jeneralski jako marszałek. Rola Heykinga wśród konfederatów miała zrazu być tajną, ukrytą pod szarżą adjutanta jednego z marszałków. Chabannes gorąco namawiał do przyjęcia, książę Karol wchodził zupełnie w myśl Miączyńskiego. Ten ostatni dla zwalczenia wszelkich przeszkód bez ubliżenia miłości własnej młodego Kurlandczyka, zaproponował mu przy grze w bilard z królewiczem zakład o 100 dukatów przeciw 10-ciu, że partycję wygra, poczem oczywiście przegrał i stawkę wyplacił.

Nadszedł nareszcie czas wyjazdu.

„Książę — pisze Heyking — zawołał mnie do swego gabinetu, wręczył mi cyfry i rzekł: „Oto list do księżnej. Jedź do niej, zanim się udasz do konfederatów. Poinformuj się u niej o nieszczęsnych niezgodach panujących wpośród Generalicyi, abyś się mógł tam bezpieczniej poruszać. Poleci cię osobiście swemu stryjowi, biskupowi Krasieńskiemu; to człowiek inteligentny, wobec którego będziesz mógł być całkowicie otwartym. Pozostaje bezpośrednio w tajnej korespondencji z ministrem stanu francuskim, a zdanie jego najwięcej waży w naradach starszyny. Te dwa inne listy, to moje kredytywy dla ciebie do tamtych marszałków generalnych. Przedkładam w nich, obok zaufania dla ciebie, moje niezaprzeczone prawa do Kurlandyi, oraz życzenie, byś postępował wskazaną przezemnie drogą i to krok za krokiem według zawartości otrzymywanych odemnie depeesz. Żądam od ciebie regularnych i wyczerpujących sprawozdań tak z wojennych jak i politycznych czynności Konfederacyi. Baron de Vioménil, który tam wszystkiem rządzi, jest o tobie dokładnie poinformowany przez Chabannes'a“.

„Księżę uściskał mnie. Wzruszony ucałowałem mu rękę i chciałem odejść, ale on przywołał mnie jeszcze i wręczył mały pakiecik, mówiąc: „Przykro mi, że więcej dla ciebie zrobić nie mogę, ale — znasz moje położenie“. W pakiecie było 25 dukatów. Prócz tego kazał mi wypłacić naprzód całą pensję do końca roku, tak, iż mogłem opuścić Drezno bez szeląga długu i ze 150 dukatami w kieszeni. Pożegnawszy się, wyjechałem z hr. Miączyńskim, który mnie darzył swoją przyjaźnią i zaufaniem bez granic“.

Teresa z Potockich Wodzicka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LEON XIII

i papieństwo w objawach zewnętrznych¹⁾.

(Ciąg dalszy).

IX.

Pascal²⁾ powiada doskonale, że każdy człowiek nak to, by się nie cofnąć z przerażeniem przed najrozmaitszymi życiowymi zagadkami, musi jako prawdę przyjąć jakąś tajemnicę, której rozumem swoim zgłębić i zbadać nie jest w stanie, boć i sam Bóg w całym swoim jestestwie pozostaje dla niego tajemnicą³⁾. Ukorzywszy się atoli raz i przyjąwszy pewną podstawę, choć ją sobie po ludzku tylko w przybliżeniu wytłumaczyć może, wszystko mu się później rozjaśnia i jako następstwa wiecznego, rozumnego i osobistego bytowania się rozwiązuje. Ten spokój i to zdjęcie zasłony przed życia tajemnicami są nagrodą za wiarę. Wiara bowiem jest przyjęciem prawdy, której sprawdzić nie można, w tem jej zasługa i dlatego jest cnotą, bo cnota bez zasługi istnieć nie może⁴⁾. Kto się tej zasługi dobrowolnie pozbył, niech się

¹⁾ Zob. *Przegląd Polski* z marca r. b.

²⁾ *Pensées; Article VII. Misère de l'homme*, p. 72 i n. (Paris, 1858).

³⁾ *Aet. Patris*, p. 19 i Encyklika *Tametsi futura* 1 listopada 1900 r., p. 20.

⁴⁾ *Homilia 26 S. Gregoria Pp. in Evangelia*: „Nec fides habet meritum, cui humana ratio praebet experimentum“.—

nie dziwi, że bez ustanku spotyka się w życiu z pytaniami, z położeniem, które go dziwi, albo straszy lub oburza. Trudno przypuścić u człowieka absolutnej, bezwłasnowolnej i bezwinnej niemożności oświecenia się w wierze. Chociażby bowiem u rodziców nie prócz złego przykładu i złych instynktów nie znalazł, co w absolutnej swej nagości i grozie można uważać jako zupełnie wykluczone, to przecież w ciągu obcowania ze światem zewnętrznym, choć raz jeden i drugi oczy mu się otworzyć mogą¹⁾.

Inna jest niestety prawda, i ta aż nadto jest pozytywną, że tak samo jak człowiek w skutek uporeczywego odrzucania wiary, stałego swym namiętnościom folgowania, tak dalece może skrzywić swe sumienie, że straci świadomość złego i dobrego — taksamo naród, popadły w tak niecne rządy, że w jego społecznej większości zatracają wiarę, wolność, własność i rodzinę, że ujawszy młode pokolenie w piekielne kleszcze nienawiści, kłamstwa, rozpusty i zwątpienia, przerabiać je²⁾ na obraz szatana się stara, kiedy była stworzona na podobieństwo Boga, że taki naród również wszelki szlachetny pierwiastek w sobie zatraci i miasto wobec całej ludzkości dobrą pluzycę skibą, będzie jej drogę do nieprawości otwierał i takową czynnie krzewił³⁾. Ażali tego nie widzimy w historii ciągle i bezustannie? Bodaj czy dzisiejsze przykłady nie są od wszystkich najgorsze i dlatego Leon XIII w rozważanej już tutaj Encyklice *Sapientiae Christianae* powiada, że narody, mogąc taksamo jak indywidua grzeszyć, ścieżką nieprawości chodzić, taksamo kiedyś poku-

Id. Homilia 29: „Vera enim fides est, quae in hoc, quod verbis dicit, moribus non contradicit“. Por. Encyklika o Różańcu: *Fidentem piunque* (20 września 1896 r.): „Et quoniam fides ut plena dignaque sit se prodat necesse est“ (p. 13).

¹⁾ Sama jednak taka nieświadomość, choćby się zdarzyła, za winę poczytywaną być nie może. Por. Encyklikę *Tametsi futura*, p. 5: „Vacat tamen pervicacia atque ingrati animi vitio“.

²⁾ *Inscrutabili Dei*, p. 5: „Hinc orta effrenis illa libertas“.

³⁾ „Haec enim ipsa in exitus perniciosos incurrere necesse est, si digrediantur de via“. Encyklika *Tametsi futura* (1 listopada 1900 r.), p. 17, 19.

tować będą musiały. Kiedy i jak? Widzimy w terażniejszości, a stąd o przyszłości wnioskować możemy.

Zapobiegać temu tak u narodów, jak u poszczególnych ludzi, jest obowiązkiem tych, którzy kierują społeczeństwem; ponieważ zaś Kościół, a tem samem jego najwyższy i widoczny organ, papieństwo, za takiego kierownika niezmiennie się uważał¹⁾, swój wpływ na wychowanie starał się zawsze utrzymać. Często mu się powodziło, w bardzo wielu razach państwo ze swemi instytucjami stawało mu na przeszkodzie, bardzo rzadko zaś te dwa czynniki równomiernie, bez wykroczenia ze swej sfery, dla dobra ludzkości postępowały²⁾. Cóżkolwiekby, Kościół w robocie nie ustaje, starając się utrzymać swój wpływ na wychowanie młodzieży.

X.

O szkołach i wychowaniu w encyklikach swoich Leon XIII wspomina bardzo często, przyczem, jako nieustraszony wolności rzecznik, stawia wychowanie rodzinne i domowe na pierwszym planie³⁾, uważając mieszanie się władzy do wnętrza życia rodzinnego jako zgoła z duchem chrześcijaństwa niezgodne. Jak dalece to jest prawdą, najlepszy dowód, że otwarci wrogowie Kościoła na tym punkcie są nieubłagani i że stanowi on jeden z nielicznych postulatów, co do którego w zupełnej są jedności, mianowicie, żeby przyszłego państwa obywatela jak najprędzej od wpływu rodziny usunąć i swobodnie, według pewnej modły i dla wyższych racy stanu wymagań przerobić. Jak więc dawniej, tak dzisiaj, szkoła jest polem nieustannych między władzą kościelną a państwową zapasów; inaczej być nie może, boć tu chodzi

¹⁾ Encyklika o Różańcu: *Augustissimae Virginis* (12 września 1897 r.). „Nos igitur qui... vices ac personam gerimus in terris Jesu Christi filii Dei“ (p. 5).

²⁾ „L'harmonie parfaite des deux puissances est au nombre de ces choses que le monde rêve, sans pouvoir l'obtenir d'une manière absolue“. Cardinal Mathieu: *Le pouvoir temporel des Papes*, p. 24. (Paris, 1863).

³⁾ Encyklika *Inscrutabili Dei*, p. 19.

o kształt i modłę, na jaką najbliższe lub dalsze pokolenia urobione być mają. Jeżeli tedy Kościół starał się zawsze o utrzymanie swego wpływu na szkołę, musiał to czynić tem bardziej, gdy chodziło o wyższe wychowanie, szczególnie zaś o przysposobienie tej młodzieży, która się kiedyś wyłącznie służbie Bożej poświęcić zamierza ¹⁾).

Pod tym względem Kościół starał się o wolną rękę i w żadnym może względzie z taką stałością i w takim niezachwianym nigdy kierunku nie postępował. Należy też zwrócić uwagę, że aczkolwiek już nieraz, w kwestyach czy dogmatyki, czy dyscypliny i organizacyi Kościoła, mogły między najwyższym Kościoła rządcą a podwładnym mu episkopatem świata zachodzić różnice, które czasami długiego do wyrównania wymagały czasu, to w kwestyi wychowania, a mianowicie wyższego, w szczególności zaś wychowania kleru, papież z episkopatem w bardzo wielkiej, o ile to w stosunkach ludzkich możliwe, postępowali jedności. Rządy, uniwersytety w wiekach średnich starały się swój wpływ o ile możliwości rozszerzać, Kościół bronił własnego i pod tym względem ani jednej piędzi aż do naszych czasów nie ustąpił.

To najwyższe wychowanie było też zawsze szczególniejszym pieczołowitości jego przedmiotem, a że w tej mierze, obok dogmatu i wiary, filozofia musiała na wyjątkowe zasługiwać względy, każdy cokolwiek ze sprawą tą obznajomiony, bardzo łatwo zrozumieć może.

Od samego też początku chrześcijaństwa filozofia była przewodnią dla pisarzy kościelnych nicią i chyba nikt nie zaprzeczy, że Ojcowie Kościoła w najwyższym ją zawsze mieli poszanowaniu, a że tak jest i w naszych czasach, na to mamy dowód, że Papież między pierwszemi swemi orędziami tą arcyważną zajmuje się sprawą i w tym celu wydał słynną encyklikę *Aeterni patris* z dnia 11 sierpnia 1879 r., w której stanowisko Kościoła wobec filozofii zaznacza, dając wskazówki niewątpliwe, zgodne ze stałą Kościoła tradycją, jak się teologia, czyli nauka o wierze, wobec filozofii, czyli świec-

¹⁾ *Aeterni patris*, p. 43, 45.

kiej o mądrości nauce, zachowywać winna¹⁾. Pierwszą stawia oczywiście na czele, windykując dla niej charakter nieomylności; drugą uważa jako światło pomocnicze, które nie tylko że pominiętem być nie może, ale owszem jako najszlachetniejszy i najbardziej użyteczny żywioł z całą starannością otaczany być winien. Przedmiot tak obszerny i tak wielkiej wagi zajmował bezustanku kwiat umysłowy świata, a między niemi błyszcza sławą, której innowierstwo albo bezwyznanowość uznania swego nie skąpiła, owi przewodnicy życia duchowego, którzy pominawszy wiarę, samą nauką wzniesli się na niedostępne dla zwykłych umysłów wszelkiego badania szczyty.

Życie trudno starczy, by objąć tę całą robotę umysłową. Papież w krótkiej, ale mistrzowskiej formie, możliwej tylko pod warunkiem zupełnego opanowania przedmiotu, daje rezultat kilkunastowiekowych usiłowań, a zatrzymuje się nad tym owocem pracy, który jako stały dobytek ma nadal stanowić podstawę do wszelkiego filozoficznego badania.

XI.

Jak już w początku tych roztrząsań mieliśmy sposobność wskazać, Kościół nie stanął odrazu z pełną i gotową organizacją, ale powoli, nie z biegiem lat, ale z biegiem wieków się wyrabiał. Pan Jezus czynił cuda, Apostołom swoim i Świętym takowe czynić dozwolił, ale przyrzekłszy Kościołowi w osobie Piotra swe światło i bezwzględny opiekę, rozwój i rozrost takowego powierzył ludzkiej mądrości, pracy i poświęceniu, nie dlatego, by, jak w innej encyklice Papież wspomina, ludzkiej mądrości potrzebował, ale dlatego, by jej dać możność zasługi, pole dowodu, jako stworzoną została na podobieństwo Boże, pole walki, by męstwo, poświęcenie i bohaterstwo wykazać, by w razach wyjątkowych przelać krew, stawić bez namysłu na kartę co człowiekowi po ziemsku najdroższe, wolność, sławę i mienie, we zwykłym zaś

¹⁾ O stanowisku i godności filozofii; *Aeterni patris*, pp. 5, 7, 9, 13, 15, 45, *passim*.

biegu rzeczy twardą, nieustającą, ochoczą pracę dla jego imienia poświęcić: *quantum oporteat... pro nomine meo pati*.

Ażali Kościół i jego organa, t. j. najwyższa zwierzchność aż do każdego członka widocznego związku wiernych, postępował zawsze według tych wskazówek boskiego swego mistrza, ażali budował dalej według pierwotnego planu?—któżby mógł coś podobnego twierdzić. Ułomność ludzka, niesnaski, zażarte walki odezwały się natychmiast, jak chrześcijaństwo powoli z pogaństwa ciemności na szeroką imperyum rzymskiego widownię wydobywać się zaczęło, a wroga chrześcijaństwu ówczesna filozofia zarzuca mu niestety słusznie, że sekty chrześcijańskie między sobą taką samą jak wobec pogaństwa palają nienawiścią¹⁾; ale to pewna, że po upadku niezmiennie powstawał, że najwyższa władza jednolitego kierownictwa z rąk nigdy nie wypuściła i do naszych dni z tą samą niespożytą piastuje go siłą.

Walka z pogaństwem trwała przez pięć wieków; imperyum rzymskie, które ostatecznie stało się jego wcieleniem, opierało się bardzo długo, ale duch powoli coraz większą nad materią zyskiwał przewagę, tem bardziej dziwną, że obrońcy Kościoła bynajmniej wrogo wobec władzy cesarstwa nie stawali. Chrześcijaństwo, poniewierane, pogardzane, przez dwa wieki z małemi przerwami prześladowane, ani razu przeciw władzy państwowej buntu nie podniosło; niewolnicy lub wyzwoleni chrześcijańscy ani razu, jak tego niewolnictwo pogańskie tak często dawało przykład, nie szukali odwetu na panach. Najbardziej zapalczywi, najmniej umiarkowani, jak

¹⁾ G. Boissier: *La fin du paganisme*, II, 406, cytuje na poparcie tego słusznego zresztą zdania Celsa i Ammiana Marcellina XXII, 5, tego ostatniego jednakże gołosłownie; tymczasem z całego związku § 5 wypada, że Ammianus Marcellinus słowy: „Nullas infestas hominibus bestias, ut sunt sibi ferales plerique Christianorum expertus“, nie tyle swoją, ile cesarza Juliana Apostaty wyraża opinię. Tem bardziej zaś to przypuścić można, że Ammianus tak dalece dla chrześcijan był słusznym i życzliwym, iż dość prawdopodobnem jest mniemanie, że sam był chrześcijaninem. Por. Claudii Chiffletii etc. *De Ammiani Marcellinus vita et libris monobiblion*, p. XI sq. Biponti 1786.

Tertullian, nie wykroczyli po za rozkaz Apostoła narodów, że władzy należy się posłuszeństwo, że tylko sumienie takowej nie podlega.

Kiedy patryotyzm rzymski powoli stygnąć zaczął, odezwał się na nowo w pierwszych chrześcijaństwa rzecznikach, zachodniego zwłaszcza Kościoła. Św. Ambroży, Hieronim, Augustyn nie przestali być Rzymianami; żądali wolności dla Kościoła, na wykroczenia nawet chrześcijańskich już cesarzy powstawali nieustraszenie, ale boleli całą duszą nad upadkiem imperyum; Augustyn zaś pochodnia chrześcijaństwa, ale i pochodnia nauki i filozofii ¹⁾, broniąc swej stolicy biskupiej przeciw hordom Genseryka, prosił Boga, by nie doczekał przemocy barbarzyństwa nad cywilizacją, i Bóg go wysłuchał — umarł, zanim Hippona zdobytą i złupioną została ²⁾.

Co więcej, wobec upadku literatury, języka i stylu, w którym świetne Augustowskiej epoki tradycje tak rychło zginęły, a które w tak szczęśliwej skądinąd politycznie epoce Antoninów już nie ze siebie nie wydobyły, nastąpił rodzaj odrodzenia w literaturze, którego zasługa wyłącznie pisarzom i poetom chrześcijańskim przypisywana być winna. Mogli powstawać i powstawali pierwsi Ojcowie Kościoła przeciw prześladowaniom i zdrożnościom pogaństwa; prócz pracy i nauki, swą krew i życie, jak św. Ireneusz lub Ignacy dla wiary poświęcili, ale z kulturą pogańską bynajmniej nie zerwali, zerwać nie byli w stanie, tak dalece wychowaniem i tradycją z nią byli związani. Św. Augustyn otwarcie do miłości i podziwu starożytnej literatury, filozofii a poezji się przyznaje. Św. Hieronim tłucze się kamieniem w piersi, wymyśla straszne umartwienia, ale choć sobie to wyrzuca, o uroku stylu cycerońskiego zapomnieć nie może.

¹⁾ Augustyn w jednym z kazań przypomniał sobie widocznie swoje profesorskie w Medyolanie czasy, kiedy temi słowy do swych owieczek się odzywa: „*Germen pium, examen novellum, flos nostri honoris et fructus laboris, gaudium et corona mea*“, słowa wielkiego nauczyciela przez katedrę natchnione, które bodajby w naszych wszechnicach wobec skończonej młodzieży zawsze dźwięczyć mogły. *Sermo I S. Augustini de Octava Paschae. (Off. domin. in Albis, lectio V).*

²⁾ Por. G. Boissier l. c. II, p. 458.

Nie sądzić zatem, by filozofia, by nauka chrześcijańska wrogo przeciw kulturze starożytnej stanęła, że wyraźnie do upadku politycznego cesarstwa dążyła, bo na ogół życzliwe względem niego zajmowała stanowisko. Zarodek upadku sięgał dużo głębiej. Upadek patryotyzmu, upadek wojskowości¹⁾, zatrata rolnictwa i dobrobytu ekonomicznego sięgają dużo głębiej i łatwo do końca rzeczypospolitej i początku jedynowładztwa dadzą się wyśledzić²⁾. Imperyum upadło, bo siłą biegu rzeczy upaść musiało, a że chrześcijaństwo w przeważnej mierze do tego się przyczyniło, nikt historycznie zaprzeczyć nie może. Chociażby to, że chrześcijaństwo nie chciało i nie mogło rozróżnić między człowiekiem w ogóle a obywatelem i poddanym pewnego państwa, że każdego człowieka bierze indywidualnie, który jako odkupiony kosztem Zbawiciela, ma zadatek i rękojmię zbawienia, o ile osobiście z zasług Jego według wolnej woli chce korzystać³⁾ — chociażby to musiało na to wpłynąć, że ten Rzymianin, mając się za uprzywilejowanego (nawet św. Paweł słowy *civis Romanus sum* na to się powołuje) w ekonomii duchowej świata, od żadnego innego się nie różni i że w zasadzie między ludźmi, jako odkupionymi, bezwzględna równość nastąpiła⁴⁾.

1) Ammianus Marcellinus XXII, 4: „Adeo autem ferox erat in suos illis temporibus miles et rapax, ignavus vero in hostes et fractus“.

2) O upadku i wewnętrznym rozkładzie rządu pod koniec rzeczypospolitej porównaj klasyczne miejsce u Cycerona: *De haruspicum responsis*, XXVIII, 61.

3) Ketteler: *Das allgemeine Concil und seine Bedeutung für unsere Zeit.*, p. 132. „Das Ziel ist die Seele jedes einzelnen Menschen; die ganze Kirche mit allen ihren Einrichtungen ist für die einzelne Seele da“. (Mainz, 1869). Por. Encyklikę *Tanetsi futura*, p. 11: „Itaque ex aeterno Dei consilio omnis est in Christo Jesu, eum *singulorum* tum universorum posita salus“.

4) *Act. App.*, c. X. (*feria V primae hebdomadae p. Pascha; lectio III*). „In veritate comperi quia non est *personarum* acceptor Deus, sed in omni gente qui timet eum et operatur iustitiam acceptus est illi“, zresztą św. Piotr mówi głośno, bez cienia wątpliwości: „Per os meum audire gentes verbum evangelii et credere“, *ibid.* c. XV., 7.

Jakby pod wpływem tego powiewu równości i powszechności odbywała się w świecie duchowym ewolucya, na którą godzi się tembardziej zwrócić uwagę, że ten przykład już drugi raz się nie powtórzył; oto zlanie się, przenikanie się wzajemne dwóch cywilizacyj w jednym celu, w jednej dążności, której wynikiem był powolny rozrost chrześcijaństwa. Że w sąsiedniej Gallii, czego świadectwem jest słynna szkoła w Autun, język i literatura rzymska wyparły dawne wspomnienia i dały podstawę do nowszej a tak świetnej kultury, że niedaleka Hiszpania w osobie Prudencjusza wydała prawdziwego poetę chrześcijańskiego, niema się czemu bardzo dziwić. Ale że w odległej Afryce powstał cały szereg ludzi znakomitych, piszących wyłącznie po łacinie, a którzy swój talent i pracę poświęcili wyłącznie na rozwój i chwałę Kościoła, to świadczy o bezprzykładnej mocy języka i kultury. Jak z jednej strony Tertullian, Cypryan i Lactantius, do których właściwie zaliczyć należy i największego z nich, Augustyna, który ze swej afrykańskiej stolicy rządził światem duchowym, tak z drugiej greccy Ojcowie Kościoła swoim wpływem na Zachodzie niepomierne zaważyli, a to od samych chrześcijaństwa początków. Pisma Bazylego Wielkiego i obu Grzegorzów taksamo na Zachodzie były czytywane, a św. Ireneusz ¹⁾, którego najważniejsze dzieło pisane po grecku, tylko w łacińskim przechowało się przekładzie, ze swej odległej ojczyzny kolejną losów przeniesiony został w samo serce Zachodu, jako biskup lugduński i tamże, jakby nierad ze ziemskiej pisarza sławy, błogosławiony swój żywot zakończył koroną męczeństwa. Język grecki, będący w pierwszych czasach tak w liturgii, jak w życiu kościelnem w powszechnem użyciu, powoli musiał ustąpić łacińskiemu, a ten fakt jest jednym dowodem więcej, jak dalece Stolica rzymska i pod tym względem na ukształtowanie zewnętrzne Kościoła wpły-

¹⁾ Po liście Klemensa, najpierwszy św. Ireneusz w obronie prymatu Kościoła rzymskiego wystąpił. (*Adversus haereticos*, 3, 3, 2). „Ad hanc enim ecclesiam propter potiorem principalitatem necesse est omnem convenire ecclesiam“. Wydanie Erazma Rotterd. (Basileae, 1560), według którego cytuję, ma w tekście *potentioorem*, co według ówczesnej łaciny może jest lepiej.

nęła. Kościelna literatura Wschodu, oczywiście katolicka, do tej chwili w największym jest poszanowaniu; ponieważ atoli kierownictwo świata kościelnego spoczywało w Rzymie i ztamtąd wszelkie powstające spory były rozstrzygane, przeto język łaciński na początku wieku VI wyłącznie i niepodzielnie w życiu kościelnem zapanował. Papieże właściwie najmniej pisaniem i apologetyką się zajmowali, powierzając niejako ustalenie doktryny, walkę z pogaństwem i herezjami wybranym umysłem i pisarzem kościelnym tak Wschodu, jak Zachodu. Prócz Wiktoryna ¹⁾ i Damazego (366 — 384), dopiero Leon I (440 — 460) pewną ilość kazań i homilij potomności przekazał, a szereg papieży pisujących rozpoczyna Grzegorz W., któremu snadź nie wystarczało kolosalne zadanie, jakie na barkach dźwigał, bo wszelkie zasługi jeszcze pomnożył sławą, że jako samoczwart słynie między wielkimi Kościoła zachodniego doktorami. Papieże stali tylko na straży, by w razie potrzeby spory rozstrzygać, kacerstwo poskramiać, wszelkie zakusy o naruszenie jedności władzy i doktryny udaremnić. Było to jednakże zadaniem, wymagającym nieustannej czujności i męstwa niepospolitego, zwłaszcza wtedy, gdy zachodziła potrzeba wystąpienia przeciw najbardziej zasłużonym dla dobra Kościoła szermierzom, jak n. p. wobec Tertulliana, gdy się zaraził herezyą montanizmu, albo gdy należało stanąć przeciw niepośledniemu, jak n. p. Novatianus ²⁾ wrogowi,

¹⁾ Por. o nim Dom Guéranger: *L'année liturgique* I, pp. 5 sqq. (Paris, 1863). — O jego działalności pisarskiej Schanz: *Roemische Litteratur*, III, p. 239.

²⁾ Z powodu sporu Novatiana z Corneliusem papieżem i przesadnych sekciarskich teoryj, słusznie mówi Schanz, III, p. 343: „Auch hier hatte sich gezeigt, dass die Mittelstrasse, welche die Kirche so oft eingeschlagen, in der That die goldene Strasse war“. Można z tem porównać depezę Thouvenela, ministra spraw zagranicznych Napoleona III, do ówczesnego ambasadora Francji przy Watykanie (z dnia 12 lutego 1860 r.): „Si à l'intelligence dans la situation il (le Pape) joignait la modération dans les procédés“ (cytowane u Veuillot: *Le Pape et la diplomatie*, p. 26. Paris, 1861), by widzieć różnicę między niemądrem powiedzeniem francuskiego ministra katolika, a pełnemi rozsądku słowami uczonego niemieckiego protestanta. Por. Bossuet: *Sermon sur l'Unité*: „Les Papes ne mettaient pas les excès parmi les dogmes“.

który właściwie szereg antipapów rozpoczął, a jako pisarz nieledwie że tej samej, jak św. Cypryan, używał sławy; nie ustąpił jednak papież Cornelius (251 — 253), ale po dłuższej walce prymat należący się Stolicy rzymskiej utrzymał.

Ta czujność i gotowość papieży, nawet i wszystkich nie wierzących w nadprzyrodzone Kościoła światło, niezmiennością kierunku musi zastanowić. Nie słyszymy bowiem o jakichś nadzwyczajnych zdolnościach i darach umysłowych, któremby ówczesni Chrystusa namiestnicy zasłynąć mieli. Być może, a nawet z pewnością tak było, że wielcy apologety i doktorowie Kościoła piórem, nauką i wymową ówczesnych papieży o wiele przewyższali — mimo to wpływ ostatnich, jako biskupów rzymskich, bez względu na skromność ich zdolności czy pochodzenia, niewątpliwie był rozstrzygającym ¹⁾). Papieże atoli tę pomoc i podporę przez naukę jak najwyżej cenili, idąc w tem za niezmienną tradycją Kościoła, boć i św. Paweł, jak mówi św. Hieronim, żadnym i świeckim argumentem, który mu się nadarzył, nie wzgardził ²⁾).

XII.

Ta najciekawsza chwila przełomu między chwiejącem się w swych posadach pogaństwem, a wzrastającym po cichu, ale z nieprzełamaną siłą obcym światem, o zupełnie nowych prądach, wyobrażeniach, wprost odmiennych aspiracyach, iluż natchnęła historyków i uczonych, bez względu czy wrogo, czy przychylnie dla nauki Chrystusa usposobionych. W istocie takiego widoku drugi raz historia nie pokazała. Z jednej strony ogromne wypadki dziejowe, wielcy wodzowie, politycy i panujący, bo cesarstwo jeszcze, mimo wewnętrznego rozkładu, wspinały zastęp ludzi na widownię historyi wyprowadziło; to wszystko przeplatane srogimi prześladowaniami

¹⁾ Bareille: *Histoire de St. Thomas d'Aquin*, p. 101. (Louvain, 1846): „W ten sposób, chociażby osobistość danego papieża nie była na wysokości jego posłannictwa, wewnętrzna siła idei religijnej, zawarta w łonie Kościoła, żadnej nie ulega niemocy“.

²⁾ Cytowany w Encyklice *Aeterni Patris*, p. 17.

chrześcian, które za Dyoklecjana dosięgło swego szczytu, a w perfidy Juliana najbardziej zabójcze znalazło sposoby. Szereg osobistości tak ciekawych, jak Trajan, Hadryan, Septimius Severus, Dyoklecjan, których badanie każdego uczonego nęcić może. Najbardziej zagadkowy ze wszystkich, Julian Apostata, gromadzący w swej osobie ogromne, a tak różnorodne zdolności; Rzymianin z męstwa bojowego, sprężystości i sztuki rządzenia, Grek w duszy i grecką obdarzony przenikliwością, bo żaden Rzymianin nie byłby tego na chrześcian wymyślił sposobu, by ich zabić przez odjęcie im możności kształcenia i odciąć od całego umysłowego świata; z tem wszystkim do tyła zaślepiony, że trwał w złudzeniu, iż swoją osobą bieg historii powstrzymać zdoła.

W innych rozmiarach, ale w sposób zupełnie podobny, duch wrogi Kościołowi w 800 lat później będzie się starał u samego korzenia podciąć intelektualne życie i wpływ Kościoła. Taksamo jak Julian dążył do odjęcia chrześcianom możność kształcenia i kultury, tak odłam uniwersytetu paryskiego za przewodem Wilhelma de St. Amour będzie dążył do zabronienia zgromadzeniom zakonnym, by się nauką i filozofią zajmowały, celem odsunięcia ich od wszelkiego umysłowego życia epoki¹⁾. W naszych dniach we Francyi mianowicie, ta sama wprost walka się prowadzi, celem usunięcia zgromadzeń zakonnych od wszelkiego nauczania.

Z drugiej strony tajemnicze początki chrześcijaństwa, skryta, ale jednolita władza i robota umysłowa, która bez przerwy przez trzy z górą wieki się prowadzi, póki dla rozszerzenia wiary, ustalenia jedności doktryny, obrony przeciw obcym i własnym wrogom, była niezbędną.

Niezależnie od siebie w sposób zupełnie odmienny, na Wschodzie i Zachodzie występują pierwsi chrześcijaństwa szermierze, ale wobec gasnącego już pogaństwa nie znajdują godnych siebie przeciwników.

Rozpoczyna szereg na Zachodzie Minucius Felix i od tego pierwszego występu się pokazuje, że apologetyka chrześcijańska z kulturą starożytną bynajmniej zrywać nie chciała,

¹⁾ Por. Bareille: *Histoire de St. Thomas d'Aquin*, p. 127. (Louvain, 1846).

a raczej poprostu nie mogła, bo inaczej pozbyłaby się z góry wszelkiego wpływu i znaczenia. *Oktawiusz* Minucjusza Felixa (zwany później „złotą książeczką“) bardzo zręcznie obmyślany, jak na owe czasy w doskonałą ubrany formę, o Zbawicielu i objawieniu wcale nie wspomina, ograniczając się na wywodach filozofów starożytności, z których jedność Boga, życie przyszłe i nieśmiertelność duszy taksamo da się wyprowadzić¹⁾. W tym samym mniej więcej czasie występuje na wschodzie inny wcale, nie przygodny, jak Minucius Felix, pisarz, Klemens Alexandryjski, który według Christa historyi literatury greckiej (p. 895), „pierwszy z Ojców Kościoła wschodniego porzucając słabe początki drobnych pism apologetycznych, obszerne i samoistne rozpoczyna pisarstwo“. Bardzo rozległego wykształcenia, mnóstwo ciekawych zawiera wiadomości, a w głównem swem dziele *Στροματεῖς* (różnobarwne dywany), celem obrony wiary ciągle na filozofię się powołuje, do nabycia wszelkiej wiedzy²⁾, dając na przykład Odyssea, zachęca (*Stromata* IX, 44). Wyraźnie mówi, że filozofia taksamo Greków, jak Zakon Żydów do Chrystusa doprowadziła (*ἐπαιδαγωγεί γὰρ καὶ αὐτὴ τὸ Ἑλληνικὸν ὡς ὁ νόμος τοὺς Ἑβραίους εἰς Χριστὸν*), filozofię zaś, wobec innych nauk, stanowiących wtedy rodzaj obowiązkowych dla wyższego wychowania przedmiotów (*τὰ ἑγκύκλια μαθήματα*), uważa jako panią i królowę (*δέσποινα*) wszystkich. (*Stromata*, I, V, 30). W całym zaś dziele, dotykajacem najrozmaitszych przedmiotów, nie opuszcza żadnej sposobności, by wykazać, że pogańska filozofia, miasto nowej nauce szkodzić, owszem do zrozumienia i umiłowania takowej jak najbardziej pomocną być może, że ona, nie będąc sama przez się bezwzględna prawdą, ra-

¹⁾ O czasie, w którym *Octavius* powstał, do tej chwili między uczonymi zgody niema. Wobec braku własnego zdania, trzymamy się jako najbardziej przekonującego zdania Schanza, który epokę Hadryana lub Antonina uważa za prawdopodobną. Schanz l. c., III, 229—239; Boissier l. c., II, p. 305—338.

²⁾ Z tem samym łaknieniem wiedzy spotykamy się później u św. Augustyna. Por. Villemain: *Tableau de l'éloquence chrétienne au IV siècle*. (Paris, 1849), pp. 396 sq., 406 sq.

zem z innymi naukami do wynalezienia tejże najbardziej się przyczynia (*Ὡς δὲ οἱ πολλοὶ ἀρθρωποὶ*) *Stromata* I, XX, 97)¹).

Z późniejszymi Kościoła wschodniego doktorami, jak z Atanazym, Bazylim W. i dwoma Grzegorzami, Klemens Alexandryjski nawet w porównanie iść nie może; nie mówiąc atoli, że w czytaniu bardzo jest zajmującym, wielkiego nabiera znaczenia przez to, że pierwszy w szrankach stanął i że dwaj pisarze, tak odmienni pochodzeniem, kulturą, językiem, wreszcie produkcją umysłową, jak on i Minucius Felix, w tych samych mniej więcej czasach w obronie chrześcijaństwa stanęli²).

W miarę, jak chrześcijaństwo wychodzi z ukrycia i bytowi świata pogańskiego zagraża, coraz bardziej mnożą się i rosną jego obrońcy, występując już teraz z otwartą przyłbicą. Okazało się, że cała moc imperatorów, bezwzględność i okrucieństwo prześladowań, nawoływanie do wytepienia chrześcian, jako wrogów rodzaju ludzkiego, odbiła się o nadprzyrodzony pierwiastek, o którym tylko jedni Żydzi prawdziwe mieli wyobrażenie. W czasie, gdy powstają na Wschodzie wielcy apologety, mnożą się polemisci Kościoła zachodniego. Płodna, zupełnie zromanizowana Afryka wydaje ich zastęp największy, z którym zachodni Kościoła doktorowie idą w zawody. Św. Ambroży stanowiskiem i wpływem przyćmiewa cesarów, św. Hieronim nauką, wymową, świętością życia, najpierwszym owych czasów znawstwem językowym, naukę chrześcijańską na przednie podnosi stanowisko. Wszystkie te wysiłki umysłu, wiary i pracy skupiają się w osobie św. Augustyna, który piętnem swego geniuszu dwie części ziemi znaczy.

¹) Cytujemy według wydania Dindorfa (Oxonii, 1869).

²) Christ, l. c. (str. 896, not. 5) przytacza bardzo ujemne o Klemensie zdanie największego bodaj z filologów dzisiaj żyjących, Willa m o w i t z a. Nie chodzi tu jednak o mniejszą lub większą Klemensa uczoność, ale o to, jakie stanowisko, jako apologeta, wobec pogańskiej nauki i filozofii zajmował. O znaczeniu jego, jako apologety, por. Tricalletii: *Biblioteca SS. Patrum*, I, p. 75 seq. (Venetiis, Remondini, 1783). Encyklika *Inscrutabili*, p. 19 i *Aeterni Patris*, pp. 15, 25.

XIII.

Nie łatwo jednak pogaństwo dało za wygraną i bez walki zginąć nie mogło, jako nadto związane z polityką, tradycją i zwyczajami, wreszcie jako schlebające namiętnościom ludzkim, których trzymanie w karbach nauka Chrystusa jako swe główne głosila zadanie. Polemika jednak, obrona umysłowa pogaństwa i pisma przeciw nowej wierze tak są marne, nieliczne i słabe, że trudno pojąć, iż ogromna spuścizna literacka starożytna na coś lepszego, zwłaszcza ujętego w pewien ciąg i system się nie zdobyła. Wprawdzie cesarze chrześcijańscy, mianowicie Teodozjusz, bardzo srogo przeciw polemistom pogańskim występowali, zakazując rozszerzania i przechowywania ich dzieł, a nawet św. Augustyn¹⁾ wspomina, że cenzura państwa dotykała pism przeciw „państwu Bożemu“ wymierzonych. Z tem wszystkiem tak mało się dochowało śladów tej polemiki, że musiała ona być liczbowo nieliczną, a w treści słabą. Co zaś głównie w niej uderza, to pewna bojaźliwość, brak odwagi, brak przekonania i jakaś ukryta myśl, że bronią straconego już na prawdę posterunku. Niema się czemu bardzo dziwić. Wszak sami pisarze starożytni, mianowicie rzymscy, wchodzący tu najbardziej w rachubę, podkopywali politeizm i wszelkie wierzenia, a cały rzymski Olimp wszelkiej możliwej poddawali poniewierce. Nie mówiąc o wielkim Lukrecyuszu, toż o tyle wcześniejszy Lucilius otwarcie z bożków i całej mitologii się natrząsa²⁾. August wszelkiemi sposobami starał się wzmocnić i ożywić dawną wiarę, a tak wytrawny i głęboki polityk musiał ją słusznie jako najważniejszą swej nowej władzy podporę uważać. Nie skąpiły mu czasy pierwszorzędných umysłów, by mu w zamiarach jego dopomagać. W dobrej atoli wierze nie pisał (może wyjąwszy Liwiusza) ani jeden, a co najmniej sto lat przed nastaniem jedynowładztwa nie było intelligentnego Rzymianina, któryby całej mitologii nie poczytywał za stek bajek, uważając urzędową religię jako potrzebną jedynie dla

¹⁾ Boissier: *Fin du paganisme*, II, p. 226.

²⁾ Por. Villemain, l. c., p. 4 sq.; Schanz l. c. I, p. 115.

gminu, jako polityczne narzędzie, niezbędne do utrzymywania dawnego uroku i tradycyi wszechpotężnej władzy państwowej. Skąd więc miały się wziąć u pisarzy pogańskich zapał i siła przekonania, ufność we własne siły i zwycięstwa, gdy chodzi o prawdę i dobrą sprawę? Zdawałoby się, że cały zasób pogaństwa zużył się w ciągu prześladowań, utonął w potokach krwi, po których tylko zostały obojętność, uprzywilejowany sceptycyzm, albo dumne i pogardliwe milczenie.

Tak się też przedstawiają nieliczne pomniki owej obrony pogaństwa, które się przechowały, a które naprawdę słabo świadczą o umysłowej pogaństwa odporności.

Najciekawszem z nich jest znane *Itinerarium Rutilia Numatiana*, którego część do naszych przechowała się czasów. Jako pomnik literacki i przykład poezyi tej najpóźniejszej epoki, zasługuje ono, obok dzieł Klaudyana, na wielką uwagę i chwilami przypomina bardzo dobre tradycye.

Rutilius Numatianus ciekawym jest przykładem, jak dalece Gallia wchłonęła w siebie całą kulturę rzymską, tak że z jej przeszłości i odrębności politycznej, acz tak mężnie i z takim poświęceniem bronionej, nie pozostało ani śladu. Przebywszy większą część życia w Rzymie, gdzie wysokie piastował urzędy, wraca do swego rodzinnego kraju, wspomina go równie serdecznie, jak rodzinę, przyjaciół i stosunki, ale zaledwo może się z Rzymem rozstać i w pełnych szczerego zapału wierszach wielkość i potęgę Rzymu, tak przecie już w początkach wieku V zachwianą, wynosi pod niebiosa. Uważają go — między innemi Boissier — jako głównego i otwartego chrześcijaństwa wroga i na czele polemistów przeciw niemu stawiają. Niesłusznie jednakże. W całym dziełku, którego niestety tylko pierwsza księga i kilkadziesiąt wierszy drugiej się przechowało, nawet nazwiska chrześcijaństwa nie wymienia, tylko zupełnie ubocznie i okolicznościowo (I, w. 440 — 449) wspomina o wyspie Capraria, zaludnionej przez ówczesnych mnichów, przedostających się powoli ze Wschodu na Zachód, a którzy jak instytucję tak i samą nazwę z Grecyi na Zachód wnieśli. Zakonnictwo na Zachodzie rzeczywiście dopiero blisko sto lat później za przewodem św. Benedykta się rozwinęło, było jednakże już niemało zgromadzeń

klasztornych, a pod tym względem świadectwo Rutilia niepospolitego jest znaczenia. Rzecz prosta, że klasztory i zgromadzenia zakonne Rzymianom w głowie pomieścić się nie mogły wobec zmateryalizowanego, pozbawionego wszelkiego dogmatu pogaństwa. Dodawszy do tego wyludnienie imperyum, a zwłaszcza półwyspu włoskiego, które od kilku wieków ówczesnych ekonomistów i polityków trapiło, łatwo zrozumieć, że zgromadzenia, oparte po części na bezżeństwie i wyrzeczeniu się miłości ziemskiej, dobrej sławy używać nie mogły. Występuje też Rutilius przeciw mnichom bardzo zjadliwie, z najwyższą pogardą i szydzi z nich niemilosiernie. Na tem jednakże ogranicza się całe jego przeciw chrześcijaństwu wystąpienie, a prawdziwej polemiki niema ani śladu. Przyznać należy, że ciętością słowa celuje i że jego zaczepki, zwłaszcza w zestawieniu z owymi *homines nigri* Libaniusa (cyt. u Boisiera II, p. 341), mogły bardzo wielkie wywierać wrażenie; przypominają one tak wyraźnie walkę przeciw zakonem, podjętą na nowo w siedm wieków później z ramienia uniwersytetu paryskiego przez Willhelma de St. Amour, a w ciągu Reformacyi tak zażarcie prowadzoną, że dziwić się należy tej sile tradycyi, jaka między niemi a Huttenem, Lutrem i stronnikami Reformacyi, pomimo tyłowiekowej przerwy, się utrzymała.

O wiele ciekawsze natomiast są wycieczki Rutilia Numatiana przeciw Żydom. Tych i z nazwiska wymienia, bodaj gorzej jeszcze, niż z mnichami chrześcijańskimi się obchodzi, a w ogóle za wrogów rodzaju ludzkiego uważa. Nie mówiąc już o plastyczności, z którą przy sposobności drobnej przygody podróżnej piętnuje chciwość żydowską, tak, że nam jakby jednym z tysiąca przykładów obecną chwilę przypomina, to w kilku natchnionych wierszach, które zapamiętać warto, jakoby zapowiadał opanowanie świata przez żydowstwo :

Atque utinam nunquam Judaea subacta fuisset
 Pompeii bellis imperiisque Titi!
 Latius excisae pestis contagia serpunt,
 Victoresque suos natio vieta premit¹⁾.

¹⁾ „Bodajby nigdy Judea nie była uległa przemocy
 Hufców Pompeja, w zapasach gdzie wslawił się Tytus jako
 [wódz!

Równie gwałtownej i namiętnej przeciw Żydom wycieczki w całej literaturze starożytnej nie znajdzie.

Pozostaje w końcu jeszcze *Macrobius*, ze swym komentarzem do cyceroniańskiego *Snu Scipiona*. Jest on wszakże jeszcze o wiele wstrzemięźliwszym od *Rutilia* i w długiej jego pracy napróżno wzmianki o chrześcijaństwie, lub śladu jakiegokolwiek polemiki by się szukało. Tylko tyle, że miasto zaczepiania, chrześcijaństwo staje w obronie pogaństwa i w całym dziele przebija się tendencya ustalenia dla ostatniego pewnej doktryny, mającej zastąpić pozytywnem wierzeniem niepewne, mgliste i chwiejne tegoż zasady. Słusznie też mówi *Boissier* (l. c. II, p. 238 sq.)¹⁾, że u *Macrobiusa* najciekawszem jest nie tyle to, co się w dziele jego znajduje, jak pominięcie i rozmyślne ignorowanie olbrzymiego ruchu, jaki się w umysłach ówczesnych odbywał. Z dumą i lekceważeniem zamykają poganie oczy na wszystko, co się koło nich działo, a zapatrzeni w świetność i potęgę dawno już minionych dziejów, poddają się złudzeniu, że na takim odpornym i biernym stanowisku bieg czasu i wypadków zatrzymają, a nowej nauce rozmyślnem milezieniem najdotkliwszy cios zadadzą. Ta sama dążność i metoda cechuje wszelkich innych pogaństwa apologetów.

Mimo wycięcia zaraza do szpiku ludności się wżera,
Choć pokonany, zwycięzców uciskać będzie ten ród“.

Claudius Rutilius Numatianus: De reditu suo, I, v. 383 — 398 (edt. *Mueller*, Lipsiae, 1870). Poprzedzające wiersze są wyrazem pogardy, w którą już wówczas żydowstwo wobec cywilizowanego zwłaszcza społeczeństwa popadło, zacytowane zaś uzasadnionej obawy, że plemię to zapanuje w przyszłości nad światem.

¹⁾ Do tego dłuższego ustępu znakomitej pracy francuskiego uczonego o *Końcu pogaństwa* odsyłam ciekawego czytelnika. Jak dalece jednak sam *Macrobius* i cała ówczesna filozofia co do rzeczywistych danych była niepewna, dowodzą jego słowa *Lib. I, c. 2.* „*Nec omnibus fabulis philosophia repugnat, nec omnibus acquiescit*“.

XIV.

Wobec niesłychanej zmienności i ruchliwości umysłu ludzkiego, tysiącznych nurtujących społeczeństwo prądów, które to, wynoszone do godności pewnika, idą wkrótce w zapomnienie, by nowym ustępować, a po wiekach znów powracać, nawet rzeczy po ludzku biorąc, zgoła się dziwić nie można, że Kościół od samego początku dążył do ustalenia tych zasad i podstawowych orzeczeń, które jego doktrynę wyróżniają od powodzi najrozmaitszych mniemań, opinii i chwilowych ruchów¹⁾. Mają one bowiem pozory prawdy, ale zmieniając się po jednym lub kilku pokoleniach, okazują się jako złudzenie. Kościół tedy bynajmniej rozwoju umysłowego nie krępuje, a nawet uczyniłby tego nie zdołał, inaczej bowiem życie krążyłoby w nim przestało. Będąc instytucją Boską, ale przeznaczoną na to, by do czasu umysłem ludzkim kierować, nadto działając przez organa żywe, podlegające tak samo, jak każdy rozumem obdarzony osobnik, wpływom chwilowego otoczenia, epoki, wypadków i niezliczonym popędom i żywiołom, musi się z tem wszystkim liczyć i jeśli nie zasadę, to postępowanie zmieniać i do rozmaitości warunków stosować. Dlatego też jak z jednej strony bezustannie (*perpetuo*) z błędem walczy, tak z drugiej codzienną (*quotidiana*) czujnością swego stałego i niezmiennego kierunku strzeże. Nietylko więc robocie umysłowej na przeszkodzie nie stoi, ale owszem do tego dąży, by godność (*dignitatem*) rozumu i nauki do najwyższego wznosić poziom. Pomiędzy zaś temi naukami teologię i filozofię oczywiście na pierwszym stawia miejscu.

W tych słowach encykliki *Aeterni patris* (p. 1, 2) zawartem jest właściwie całe jej znaczenie. Nie ogranicza się wszakże na gołosłownem postawieniu zasady, ale wykazuje historycznie, obrazem faktów i pracy tylu wieków, że Kościół zadanie swoje nieprzerwanie pełnił i pełni. Ta robota jest ludzką, inną być nie może, tylko że jej światło i kierunek jest nadprzyrodzony—ale jak zawsze w sprawach ludzkich bywa —nie

¹⁾ Encyklika *Aeterni Patris*, p. 41.

może pozostawać w mglistem jakoby zawieszeniu, ale musi się objawić przez wysiłek myśli pewnych ludzi, którzy zaletami umysłu, rozumu i skłonnością dociekania obdarzeni ujawniają, podają do użytku i praktyki te prawdy i zasady, bez których doktryna kościelna musiałaby zejść do czysto ludzkiego rozumowania, a tem samem do chwiejności i zmienności, o której wspominaliśmy na początku. Dzieje li się to pracą zbiorową, w najrozmaitszych postaciach soborów, synodów, kapitulnych zgromadzeń, począwszy od concilium apostołskiego w Jerozolimie ¹⁾ aż do watykańskiego soboru, którego nasze pokolenie było świadkiem — albo pracą indywidualną; zawsze ona trwa nieprzerwanie i Kościół niezbiacie faktami dowieść może, że on sam w osobie swych namiestników nigdy w tej ciężkiej pracy nie ustał, powołania swego nie zaniedbał, straż i opiekę pełnił. Czy ten obowiązek wymagał męczeństwa, czy wyczerpującej pracy, niezłomnej odwagi i męstwa, czy nadzwyczajnego wysiłku umysłu ²⁾ — zawsze był gotów, kierunku na chwilę nie wypuścił, a w czasach niebezpiecznych czujność i energię tysiąckrotnie pomnażał. Spokojnie więc może, nie z dumą, która w tych sprawach jest wykluczoną, ale z godnością wskazać na wynik swych dwudziestowiekowych usiłowań. Ta jedność i stałość, to niezmiennie przewodztwo bez chwili wahania wobec nieskończonych różności biegu spraw ludzkich, wobec niepokoju, zwątpienia i buntu umysłu ludzkiego, jest najwspanialszym widokiem, który się myślącemu człowiekowi przedstawić może

Zbiorowe prace Kościoła są znane, historycznie stwierdzone, ogromną nauką, pisanemi dokumentami dla pamięci przyszłych pokoleń przechowane. O niej Papież w encyklice swej nie mówi, ogranicza się do pracy indywidualnej, do szkół, które za przewodem ludzi genialnych powstały, do tych środowisk nauki średniowiecznych, kipiących najbujniejszym rozwojem, które wprawdzie, jak to inaczej być nie

¹⁾ Ketteler: *Das allgemeine Concil und seine Bedeutung für unsere Zeit*, p. 45. (Mainz, 1874).

²⁾ „Assiduo studio, magnis laboribus excelluerunt“, słowa cytowane z bulli Syxtusa V w encyklice *Aeterni patris*, p. 24.

może, nieraz i dziesięć w zaciętych pomiędzy sobą pozostały sporach, ale które zawsze pod cichą, ukrytą niejako ręką Kościoła i jego namiestników ostatecznie w rzeczach niezbydnych, *in necessariis unitas*, zawsze do jednej i niezmiennej powracały doktryny. Jeśli co w świecie jest podziwienia godnem, to ta niewidoma ręka, która orli naprawdę lot tak wielu z doktorów Kościoła że tak rzekę kontrolowała, a bynajmniej nie podcinając mu skrzydeł, płomieni jego geniuszu używała do wyswietlenia doktryny, do wspomżenia słabej wobec wiary natury, w ten sposób, że ta praca bogactwem owoców i planu każdego nieuprzedzonego, chociażby uparcie przy swem osobistem zdaniu, próżności i pysze obstającego, zdumiewać musi.

XV.

Ciągnie się ten obraz od samych początków chrześcijaństwa, w których, jak Papież mówi w liście do kardynałów, początkowe dzieje kościelne krwią były pisane, boć nie jeden z doktorów Kościoła, jak św. Ignacy lub św. Ireneusz, pisma swoje krwią pieczętowali, do wieku XIII, który wieszcz najpierwszy i filozof największy oświecili umysłu swego potęgą. Całą tę robotę nam Leon XIII w możliwie krótkim, ale bardzo wyczerpującym przedstawia obrazie, wymieniając z nazwiska największych doktorów, zatrzymując się oczywiście na tych, którzy, jak św. Augustyn, skupiał w sobie całą naukę ówczesną, a był, według wyrażenia wspomnianego już nieraz Boissiera, *le plus grand personnage dans l'église de l'Orient et de l'Occident*. Oni fundamenta pod budowę zakładali, herezyę wyswietlali, na pierwszych soborach stali na straży jedności doktryny, a tę jedność, idąc niezłomnie za kierunkiem jedyne go zawsze wodza, dziesięciowiekową ustalili pracą. „W ten sposób nietylko moc zwycięska katolickiej prawdy, a niemoc choćby najsilniejszych ujawniła się herezyj, ale zarazem w skutek ściślejszej doktryny kościelnej definicyi i prac i dzieła obrońców wiary katolickiej, owych wielkich i świętych mężów, którym chrześcijaństwo pod nazwą „Ojców Kościoła“ cześć należną oddaje, nieskończone wewnętrzne

bogactwo doktryny chrześcijańskiej w coraz piękniejszym i wyraźniejszym stanęło świetle¹⁾. Kiedy w skutek tej wiekowej roboty „zwycięstwo wiary tak było zupełnem, że na wieki naprzód żadna herezya zakorzeń się nie mogła“ mówi Ketteler, nastął czas zebrania i zszeregowania wyników, do których się doszło i prace indywidualne, rozprószone aż dotąd, ujęte zostały w system i metodę; wtedy rozpoczyna się działanie szkół, zgromadzeń zakonnych i naukowych korporacyj, z których powstała filozofia scholastyczna. Nie myślimy wcale stawać w jej obronie; ani czas, ani rozmiary naszych uwag do tego się nie nadają — nie mówiąc o tem, że bynajmniej nie jesteśmy do tego zadania przygotowani. Zdolniejsze pióra, ogromna nauka od wieków się tą sprawą zajmują, a Papież swą encykliką nadał jej znów aktualne znaczenie. To tylko pewne, że filozofia scholastyczna, straciwszy od czasów Odrodzenia na wpływie i znaczeniu, poniewierana do syta przez wielkich i małych uczonych (głównie przez ostatnich), wraca właśnie w nowszych czasach do słusznie należącego się jej stanowiska, że pominąwszy wadliwą formę i drobiazgowość w dociekaniu, które najwięcej jej zaszkodziły, swą treścią, gruntownością i prawdą coraz bardziej uwagę uczonego świata na nowo ku sobie kieruje.

Jeżeli w nauce świeckiej, albo też wrogię Kościołowi, przez długie czasy filozofia scholastyczna jakoby poszła w zapomnienie, to w sferze kościelnej, w łonie katolickiej teologii nigdy żyć i wpływu wywierać nie przestała. Leon XIII w encyklice *Aeterni patris* cytuje cały szereg swych poprzedników, którzy bullami i najrozmaitszego rodzaju orędziami uznawali ją jako najlepszą i najprawdziwszą metodę, a do studyowania dzieł jej największych przedstawicieli raz po raz zachęcali²⁾. Nietylko zaś teologiczne, ale jeśli tak się w tej sprawie wyrazić wolno, artystyczne znaczenie pamiętnego pisma papieskiego na tem polega, że z całego przygotowawczego jej materiału występuje na jaw i koncentruje

¹⁾ Ketteler: *Das allgemeine Concil* etc., p. 99. (Mainz, 1869).

²⁾ Takich pism było z górą 30; por. *Freiburger: Kirchenlexikon*. Art. o św. Tomaszu z Akwinu, p. 1660.

w sobie uwagę wielka postać św. Tomasza z Akwinu, którego chwale i znaczeniu orędzie papieskie jest poświęconem. W rzeczywistości bowiem głównym jego celem jest zwrócenie nauki katolickiej do filozofii św. Tomasza, wskrzeszenie kultu i znaczenia, któremi w samym rdzeniu wieków średnich był otoczony.

Ogromna różnica pomiędzy epoką, która nas zajmuje, a zwrotem kierunku umysłowego, bezpośrednio niemal po nim następującego, zwanego powszechnie Odrodzeniem, na tem polega, że ten ostatni od razu tak w założeniu, jak w metodzie, na zupełnie inne wstąpił tory. To, co w wiekach średnich wychodziło z działania zbiorowego, ujętego w ścisłe formy, a podlegającego nadzorowi i kontroli Kościoła, uniwersytetów, raz przyjętej metodzie badania i nauczania, przechodzi w czasach Odrodzenia na pracę indywidualną, która jakby nagłym skokiem starała się wyzwolić i wyzwoliła rzeczywiście z krępujących ją dotąd systemów. Nie można zaprzeczyć, że Odrodzenie wolnemu i indywidualnemu badaniu wrota na oścież otworzyło, wciągając w swój zakres znane już wprawdzie, ale odlegiem leżące żywioły, przez swój zwrot do starożytnego i pogańskiego świata. Taksamo jak w wiekach średnich rzemiosła, nawet najwyższe, które się wprost stykały ze sztuką, ujęte były w cechy i stowarzyszenia, których ustawom i czasem ustalonym zwyczajom każdy się musiał poddać, podobnie i praca czysto umysłowa, badanie nad najważniejszymi zadaniami i celem ludzkości poddane było metodzie szkolnej w najszerszem słowa tego znaczeniu. Przesada pod tym względem, pewnego rodzaju skostniałość formy, najwięcej kierunkowi temu zaszkodziła, a mierne umysły, niezdołne dojrzeć i ocenić ogromnej treści i zdolności naukowej, przyciemnionych niejako wadliwością formy, potępiły w czambuł całe to działanie. W każdym razie Odrodzenie, warując dla umysłu ludzkiego większą wolność i krusząc dotychczasowe reguły i formy, nowe dla umysłowego rozwoju otworzyło pola, a poszczególnym talentom i uzdolnieniom wskazało drogi i sposoby do znaczenia i pracy, i w tem największa jego zasługa. Również jest pewnem, że poszczególnie umysłu ludzkiego zadania, jak sztuka, historia, specjalne naukowe badania dla swego rozwoju potrzebują.

słusznej miary swobody, bez której wybujałość indywidualna (*l'essor*) nie mogłaby się na jaw wydobyć — po za prawdziwymi geniuszami, którzy zawsze właściwą sobie drogę znajdują, ale też zawsze pozostaną wyjątkami.

Ten ogromny rozwój sztuki, historii, archeologii, nauk przyrodzonych, idący wprost za Odrodzeniem, był niemożliwy przy dotychczasowych systemach pracy. Nie idzie jednak za tem, by zamykać oczy na wielkie ich wysiłki, a można twierdzić, że teologia i połączona z nią filozofia właśnie takiego systemu wymagały i jemu głównie zdobycze swoje zawdzięczają. Praca zbiorowa, do pewnego nałożona porządku, być może niejednej zdolności stała na przeszkodzie, ale cała ta dziedzina abstrakcyjna nie byłaby doszła do swych zdumiewających rezultatów, bez takiego z góry przez korporacje naukowe ustalonego porządku¹⁾. Indywidualną zaś potęgę i zdolności zastąpiły szkoły rozmaite, które przecież nie w jednolitym i jednostajnym działały kierunku, ale owszem każda dla siebie osobną chodziły drogą, tylko że przez swoją wyższość brały to nad jednymi, to nad innymi górę. Oczywiście, że wobec takiego rodzaju pracy zgromadzenia zakonne, mające już w swej regule obowiązek do badań umysłowych, musiały mieć niepoślednie znaczenie i stanowiły składniczy żywioł ruchu umysłowego epoki. Widzimy też, że od samego początku z uniwersytetami, mianowicie z paryskim, były połączone. Obok antagonizmu, który oczywiście natychmiast musiał tam wyniknąć, mamy jednak nieprzerwany między nimi związek, a jednym z głównych jego przykładów jest wejście zakonu dominikańskiego, stojącego wtedy na czele wszelkich

¹⁾ Zaznaczenia jest godnem, że mimo, iż w tej epoce wszelka niemal nauka koło teologii się skupiała, a metoda i szkoła górowały nad osobistym usiłowaniem, jednakże właśnie indywidualizm najwyraźniej między Świętymi tych czasów się objawił i takimże św. Tomasz niewątpliwie się odznaczał. W sto lat później, a następnie w pełni Odrodzenia, widzimy zupełnie to samo; św. Katarzyna Sieneńska, św. Antoni, św. Bernardyn z Sieny, to wszystko wybitne indywidualności o wielkiej niezależności umysłowej, a chodzące swojemi drogami; a i niejeden inny przykład możnaby na to przytoczyć. Por. Capeceletro: *Storia di S. Caterina da Siena*, p. 22 i n. (Siena, 1878).

innych zgromadzeń klasztornych, w sam wir kipiącego wtedy życiem ruchu umysłowego. Przyczyniło się do tego, że właśnie wtedy, w pierwszej połowie XIII wieku, mieli Dominikanie w swem łonie kilka pierwszorzędnych umysłów, które, acz nie wylamując się z powszechnego kierunku, jednakże potęgą indywidualną się wyróżniły i naukę filozofii czno-teologiczną na odmienne pchnęły tory, nie wymyślając czegoś nowego, ale zbierając w system i całość to, co było dotąd rozprószonem. Próżno byłoby ich wszystkich wymieniać; kto ciekawy przedmiotu, może znaleźć wskazówki w każdej encyklopedyi kościelnej; to pewna, że ludzie, jak Wincenty de Beauvais, Albert Wielki lub Aleksander Hales, w każdej epoce należeli do wyjątków.

Niema na świecie systemu, ani szkoły, któreby mogły pociągnąć za sobą zatracenie indywidualności. Żeby taki system istniał, byłby złym i bezwarunkowego potępienia godnym; to też widzimy, że scholastyka, to połączona, to stojąca w przeciwieństwie do uniwersytetów, wydała cały szereg ludzi, którzy mimo niewolniczej formy, dalekiej jednakże od późniejszej skostniałości i nierozsądnej w dociekaniu drobiazgowości, szli samodzielnie i osobny reprezentowali kierunek. Między nimi wybił się na miejsce naczelne młodziutki mnich, święcący powszechne tryumfy naukowe w takich latach, które zaledwie pozwalają się człowiekowi wyróżnić z tłumów, a który dzisiaj po siedmiu wiekach, na widnokregu naukowym jaśnieje mądrością i nauką, taksamo, jak jaśnieją Święci pańscy dobrocią, słodyczą i poświęceniem. Wielkim tym mężem był Tomasz z Akwinu, uznawany i uznany przez ludzi jakiegokolwiek kierunku, którzy mu hołd oddają, jako indywidualności ze wszech miar wyjątkowej. Światłość umysłu niezrównana, praca i nauka wychodząca po za wszelką miarę, połączona z wzruszającą pokorą i nieskalaną obyczajów czystością — oto główne cechy tego zakonnika w żywym, najpiękniejszym wzorze.

Żali szlachetna krew, najwyższe pochodzenie, przyrodzony niejako przywilej na godności, majątek i znaczenie, poświęcone od najpierwszej młodości na rzecz wiary, nauki, miłości Boga i bliźniego, oddanie całej swej osobistości na wyższe cele, pociągały za sobą tak wielkie skutki? żali epoka

i prądy, w których obok Wojen Krzyżowych i awanturniczego rycerstwa, drgały zarazem ciekawość, nadzwyczajne aspiracye naukowe, miłość prawdy i dobrej sprawy, zapaliły młodzieńca i wrodzone zdolności podniosły na tak wysoki szczebel? Któżby to mógł wyraźnie powiedzieć. Opatrzność wybiera swe narzędzia kiedy i jak tego potrzeba, a *spiritus Dei flat ubi vult*.

Życie Tomasza z Akwinu lepiej nam jest znanem, niż wielu innych Świętych Pańskich. Główni trzej biografowie znali go osobiście, możemy więc śledzić za tym żywotem, tak ciekawym i budującym, o tyle odmiennym od innych, bo nie wpływ i władza, kierowanie wielkimi sprawami, ale jedynie praca ściśle naukowa, zdolność do spekulacyi filozoficznej, objęcie i ocenienie tak współczesnych, jak kilkunastowiekowych usiłowań i pochwylenie ich w całość, zapewniły mu tak ogromne, do dzisiaj niewzruszone stanowisko. Rzeczywiście św. Tomasz, począwszy od pierwszych Ojców Kościoła, objął i przetrwał wszystko: Wschód i Zachód, filozofów arabskich i żydowskich, Pismo i tradycyę, przedewszystkiem zaś filozofię starożytną. Przypuśćmy, że znane powiedzenie Pica z Miranduli: *Thomam aufer, mutus fiet Aristoteles*, nacechowane jest przesadą, to przecież, za zgodą wszystkich uczonych, mało kto do zrozumienia, do rozpowszechnienia filozofii Stagiryty tyle, co on, się przyczynił. Słusznie tedy możemy podziwiać potęgę i niezawisłość umysłu tego męża, który wszędzie prawdy szukał, nie zważając wcale na to, z jakiegoby ona pochodziła źródła, czy obozu; umiał uznać i ocenić zasługi wszystkich swych poprzedników, a więcej niż ktokolwiek z jego szkoły wielkość i prawdę filozofii starożytnej pojął; niemniej zaś miał osobliwą intuicyę, mocą której te wszelkie źródła rozumiał i przejrzał.

Wiadomo bowiem, że znajomości języka hebrajskiego i greckiego miał bardzo mało, a mimo to nie postawiono mu nigdy zarzutu, by Pismo św. lub Arystotelesa źle tłómaczył i błędnie pojmował. Że w łonie scholastyki znalazł się badacz tak niezawisły, dowodzi nadzwyczajnej siły indywidualności; że w tym ogromie poszukiwań, w pośród niezmiernych, które obejmował widnokręgów, nie zboczył z drogi ani razu, w doktryny katolickiej granicach ściśle się utrzymywał,

dowodzi z jednej strony jego żywej wiary i poddania ¹⁾, z drugiej niespożytej Kościoła tradycyi i siły, która jakby niewidomą ręką i najwyższemi umysłami ludzkimi kieruje. Słusznie też Leon XIII pod koniec swej encykliki na jego przykładzie przestrzega przed nowszem, nawet katolickiem badaniem, które w pościgu za nowością, łatwo na manowce wejść może. Uznaje Papież dobrą wolę, nie tamuje samodzielnych poszukiwań i zasługom osobistym bynajmniej drogi nie zagradza, ale twierdzi, że w materyi tak ważnej należy się raczej trzymać metody, tyloma wiekami uświęconej.

Uniwersytety, zgromadzenia zakonne, wszyscy współczesni i bezpośredni następcy, właśni, jak Albert, wielcy mistrzowie, chętnie i bez zastrzeżenia św. Tomasza, jako prawdziwe światło, a w teologiczno-filozoficznej wiedzy wodza głosili; najwyższego zaś uznania wyrazem było, że w ciągu soboru trydenckiego księgi jego, obok Pisma św. i dzieł czterech Ojców Kościoła zachodniego, umieszczono. Z drugiej strony może jeszcze większym dowodem jego nauki, siły i ścisłości argumentacyi jest obawa i trwoga poprostu, jaką wzniecał u innowierców i pierwszych Reformacyi rzeczników. Wspomina o tem Papież w krótkości w swej encyklice (p. 39).

¹⁾ We wspaniałej przedmowie do *Łańcucha złotego* (*Catena aurea*), wystósowanej do Urbana IV, św. Tomasz zdaje niejako krótką i skromną sprawę z tego naukowo-teologicznego przedsięwzięcia, w dedykacyi zaś do kardynała Hannibalda wyluszcza zasady, jakich się trzymał. Godne przeczytania są te krótkie a tak skromne pisma i wtedy łatwo zrozumieć, co umysły, choćby najbardziej samodzielne i genialne, trzymało w korbach; oto przeświadczenie o nadprzyrodzonej, bezpośrednio od św. Piotra pochodzącej władzy papieskiej; tak bowiem św. Tomasz z Akwinu do papieża Urbana się odzywa: *Hujus igitur (Petri) fidei et confessionis haeres legitime, Sanctissime Pater*. Św. Tomasz, jako prawdziwy scholastyk, tylko zupełnie wyjątkowo puszczając suchy ton szkolny, daje się porywać wymowie i stylowi. Prócz w *Officium Bożego Ciała*, w którym szczyt wiary, tajemnicy i wielkości, tę płomiczną duszę do najwyższego porwał natchnienia, pisze i rozumuje na chłodno; w cytowanych jednak przedmowach czuć to drganie gorącego serca, namiętnego do nauki przywiązania, pod surową, zimną na pozór formą.

Rzeczywiście Bucerus, współczesny i stronnik żarliwy Lutra, taksamo i Bèze, najpierwszy uczeń Kalwina, według zgodnych ówczesnych świadectw, mieli oświadczyć, że gdyby tylko raz doktryny św. Tomasza można się pozbyć, łatwo z innymi Kościola katolickiego szermierzami uporaćby się można¹⁾; to też Papież dodaje, że „błahą to jest nadzieją, ale bynajmniej nie blahem świadectwem“. Wobec niezgody reformatorów, zwłaszcza co do nauki o Przenajświętszym Sakramencie, stanowiącej oś i jądro całego sporu, a która wywołała mnóstwo deklaracyj i kontr-deklaracyj z ich strony, prosta, stanowcza i niewątpliwa św. Tomasza argumentacja musiała być nie lada dla innowierców szkopulem. Rzeczywiście celuje on i między scholastykami stanowczością zdania i zaokrągleniem doktryny. Podczas gdy Aleksander Hales, Duns Scotus, a nawet św. Bonawentura częstokroć ostatniego nie dopowiadają słowa, św. Tomasz nie poprzestaje na argumentacji, niczego w zawieszeniu nie pozostawia, ale zawsze do stanowczej dochodzi decyzji.

Oprócz powołania, oprócz niezłomnej stałości w wykonywaniu tego, co za cel życia swego uważał, bohaterskiego zachowania swego dziewictwa, a tem samem oswobodzenia swych władz umysłowych, celem użycia ich do najgłębszych i najzawilszych badań, zresztą św. Tomasz, jako prawdziwy zakonnik, własnej woli nie miał. Szedł tam, gdzie mu kazano. Nauczał i wykladał, kazał i pełnił obowiązki dusz pasterstwa i jak na zakonnika musiał prowadzić żywot bardzo ruchliwy, by sprostać rosnącym żądaniom wszystkich, którzy jego światła i pracy potrzebowali. Z odległej Sycylii do Kolonii, stamtąd do Paryża, znów do Kolonii, powtórnie do Paryża, do Rzymu i najrozmaitszych miast apenińskiego półwyspu wędrował; rzec można, iż cała niemal Europa zachodnia była świadkiem i polem jego działania. Jeżeli zważymy, czem

¹⁾ O tych dwóch reformatorach por. Bossuet: *Histoire des variations*. (*Oeuvres*, t. II, p. 89). Bèze był reprezentantem Kalwina na *colloquium* w Poissy (1561), wobec Katarzyny Medycejskiej, małoletniego Karola IX i całego episkopatu francuskiego. Balamuctwa i gmatwanina jego ówczesnej deklaracji są wzorem złej wiary i kręactwa. (Bossuet, *ib.* t. II, p. 447 — 448).

były wówczas podróże, z jakimi trudami i przygodami połączone, i jak wiele zabierały czasu, to można ocenić, jak mało mu go do skupienia, do pracy w cichej celi klasztornej pozostawało; a przecież tylko w obrębie ubogich ścian swego zakątka mógł rozwinać orli lot swego geniuszu, bujać po przestworzach filozoficznej spekulacji. Cudownością szafować jest nieostrożnie i zbytecznie, boć po za wyraźnym za wolą Bożą wstrzymaniem praw przyrody, wszystko, co się dzieje, mocą naturalnych odbywa się środków, ale rzeczywistość ogrom umysłowej produkcji św. Tomasza, choćby tylko tej, która niewątpliwie z jego osobistej pochodzi pracy, dzieł równie wielkich pomysłem, jak obszarem rozmiarów, i to w tak niesprzyjających skupieniu myśli warunkach, nabiera cechy jakoby pewnego nieprawdopodobieństwa, zwłaszcza, jeśli zważymy, że mając zaledwie lat pięćdziesiąt zeszedł do grobu.

Szczególniejszym zaś urokiem opromienia tę wyjątkową postać i osobliwego jej nadaje pociągu pokora, o którą nawet między Świętymi Pańskimi w równym stopniu jest trudno. Że puścił mimo siebie wszystko, do czego pochodzenie na oścież mu otwierało drogę, że pogardził wszelkim światowym blaskiem i znaczeniem, a w skutek tego wzbraniał się przyjmowania wysokich godności kościelnych, na które trzech z kolei papieży wysunąć go pragnęło, to można wytłómaczyć nadzwyczajną wyższością i niezależnością duszy. Ale że jako uczony tej miary, nie dał się wzbić w dumę i próżność przez kilkakrotne publiczne uznanie i uświęcenie swej sławy ze strony uniwersytetu paryskiego, takiej powagi naukowej, jakiej przykładu następne wieki nam więcej nie pokazały, to dowodzi, że jego pokora z całym jego rdzeniem i jestestwem była związana. To też biografowie jego zachowali nam najbardziej budujące tej pokory w jego żywocie przykłady, obok tego zaś wyrozumiałości i słodyczy, braku wszelkiej zawziętości, wobec niechęci, zazdrości lub złej woli ludzi, wobec bardzo nieprzyjaznej względem jego osoby akcji właśnie tegoż samego uniwersytetu paryskiego, którą jednakże zwyciężył i rozbroił dwukrotnie, nie czem innym, tylko właśnie tą pokorą, popartą oczywiście swą niespożyta naukową zasługą.

Bossuet dawno powiedział, że „wiedza nadyma“ (grzech pierworodny naszych rodziców w raju jest najstarszym tego dowodem). W każdym razie do św. Tomasza z Akwinu maksyma ta stósować się nie może. Pochodziła li ta niezamącona niczem pokora z przekonania o znikomości wszelkiej ludzkiej sławy, czy z askezy codziennej i surowego życia zakonnego, czy wreszcie, co najbardziej prawdopodobne, z nadzwyczajnej nauki i mądrości, która w miarę, jak rośnie, przekonuje się, że przed nierozwiązanymi zagadkami stoi¹⁾ — w każdym razie stanowi ona osobliwy przymiotowego męża, na tle którego sława jego jeszcze wybitniej występuje.

Mógł też w cudownych i tajemniczych swych widzeniach, o których wspominają jego biografowie, na zapytanie Pana Jezusa, jakiej pragnie nagrody za to, że tak dobrze o Nim pisał, odpowiedzieć: *Domine non aliam nisi Te* („Żadnej innej, prócz Ciebie, Panie“).

XVI.

Nie warto powtarzać, że rozważanie encyklik Leona XIII, każdej z osobna i w oderwaniu, do zrozumienia ich wartości i prawdy nie prowadzi; związek bowiem tak logiczny, jak okolicznościowy i czasowy, zachodzić między nimi musi, tem bardziej, że tak liczne enuncyacye, mimo, iż bardzo rozmaite miały zadania, a taksamo rozmaitych dotyczyły przedmiotów, ponieważ się obracają w kole najwyższych zagadnień wiary i moralności, filozofii i historii, muszą co chwila o te same potrącać myśli. Są jednakże między nimi takie, które, jak to już mieliśmy wskazać sposobność, w skutek swej treści do wspólnego rozważania szczególnie się nadają, i taki też zachodzi związek między encykliką *Aeterni Patris* a „listem do trzech kardynałów“. To samo pióro, niejedna w materji pokrewność — sposób traktowania bardzo odmienny. Nie lubimy w ogóle wszelkiego zachwytu i przesady, a superlatywus tylko nader rzadko trafia nam do smaku i przekonania,

¹⁾ Pascal: *Pensées*, Article VI, 25. „C'est une ignorance savante qui se connaît“.

ale list, o którym mowa, sprawia to głębokie zadowolenie, którego się doznaje po przeczytaniu lub wysłuchaniu rzeczy bardzo mądrej, w taką ubraną formę, że do przekonania, za wyjątkiem złej wiary, trafić musi. Ważniejszą dużo, już to celem, już i rozmiarami przedmiotu, jest encyklika *Aeterni Patris* i w niej tak powściągliwego ściśle z przedmiotem związanego tonu nie znajdujemy. Mało w której Papież tak się dał unieść pewnemu zapałowi, a jakiś gorący koloryt, przywiązanie żywsze do całej sprawy, przenika tę jego enuncyację. Prawda że i przedmiot do tego się nadaje. Stanowi ona rodzaj przeglądu wszelkich usiłowań połączonej z filozofią teologii, celem wyświeślenia i ustalenia doktryny chrześcijańskiej, wszelkie badania, poświęcenia życia całego, by wiarę rozumowaniem, najgruntowniejszą nauką i wysiłkiem poprzeć, *a priori* wobec wszelkich możliwych zarzutów obronić.

Po prostu wrażenie podniosłe sprawia ten wysoki nastrój, powaga, uznanie i podziw, jakie w tych dwóch pismach dla nauki, wiedzy i wszelkiej umysłowej pracy są wyrażone. Spokojnie i z przeświadczeniem prawdy wykazuje Papież, jak Kościół nigdy poszukiwaniom, nauce i badaniu żadnej przeszkody nie stawiał, szanuje ją (taksamo u protestantów, „List do trzech kardynałów“, p. 20), ale zarazem powstaje przeciw złej wierze i przesądom, „które stokroć odparte, stokroć się powtarzają“ (ibid. p. 8). Dowodzi natomiast, że bez cywilizacyjnego wpływu Kościoła, bez mnisej pracy, skarby umysłowe starożytności bezpowrotnie byłyby przepadły. My zaś dodać możemy, że cały humanizm i ruch umysłowy olbrzymi towarzyszący Odrodzeniu nie byłby możliwym, gdyby się w klasztorach przez skrzętną pracę mnichów pomniki literatury starożytnej nie były przechowały. Wszystko atoli rozbija się o dwie sprzeczne zasady, które, acz istniejące od samego początku w zarodku, właściwie dopiero od czasów Reformacy i rewolucyi duchownej wrogo i wyraźnie naprzeciw siebie stanęły. Nauka, t. zw. wolna myśl i badanie (*die freie Forschung*) twierdzi, że z wiarą nie ma do czynienia; jeśli jej nie zaczepia, pomija ją pogardliwym milczeniem; jeżeli się ta ostatnia z wynikami nauki nie zgadza, tem gorzej dla niej, ale pętów żadnych nauka nie znosi, a wsparta wyłącznie na ludzkich środkach i ludzkim badaniu, odrzuca

wszystko, czego własnymi środkami dociec nie zdoła. Stąd zaś pochodzi pogarda i pomiatanie choćby najrzetelniejszej nauki, rachującej się wszelako z pierwiastkiem nadprzyrodzonym. Kościół wierzy w naukę, popiera ją, zachęca do niej (któż to w wyższym nad Leona XIII uczynił stopniu¹⁾, ale ją uważa jako środek poznania, oświecenia, krzewienia wiary; samotnego celu i bytu, przekonania, iż ona może być końcem człowieka, nie przyzna jej nigdy; raz dla tego, że są prawdy nadprzyrodzonego porządku starsze od wszelkiej nauki, których istnienie choćby dla tego jest niewątpliwem, że one właśnie stanowiły substrat do wszelkich późniejszych naukowych badań — powtóre, bo jest mnóstwo takich zagadnień świata i duszy ludzkiej, które, choćby uporeczywie i z dumą odrzucane, powracały zawsze i zawsze powracać będą, a ich istnienie bez wiary w nadprzyrodzony pierwiastek, w stwórcę i objawienie wytłomaczyć się logicznie nie da. Żeby zaś myśl naszą, o ile nas na to stać, jasno wytłomaczyć, powtarzamy istnienie tych zagadnień. Wytłomaczyć ich rozumem, ni dziś, ni później, nie zdołamy; wiara je przyjmuje jako prawdy bez możności sprawdzenia, atoli ich istnieniu zaprzeczyć niepodobna, kiedy ludzkość od czasu swego istnienia ciągle do nich powraca, a wszelkie zakusy niewiary, wszelka złość i zapaleczywość, by się raz tych strachów pozbyć, rozbijają się jak fale o skałę, by odepchnięte, jakby złego ducha podmuchem pędzone, powracać. *Magna iactatus tempestate relabatur.* (Encyklika *Tametsi futura*).

Kościół uczy, strofuje, napomina. Uznaje prawa rozumu, chwali wszelki postęp, gotów się przyczynić i przyczyniał od wieków do wszelkiej jasności i ozdoby umysłowej, podziwia geniusz i pracę, choćby czysto ludzką²⁾; w szeregu wielkich nazwisk wskazuje na sumę tak wyjątkowego światła, ogromu nauki, pracy bez wytchnienia aż do ostatecznego sił wyczerpania, że się śmiało z całym szeregiem obozu przeciwnego zmierzyć może. Wszystko na darmo, nic nie wskóra; niech wskaże na szkoły, klasztory, uniwersytety, całą naukę

¹⁾ *Aeterni Patris*, p. 47. „Nos igitur“.

²⁾ Por. Encyklikę *Tametsi futura*, p. 19. „Innumerabilia genera“...

i sztukę trzynastu z górą wieków, wobec której nauka nowożytna dowodów swego trwania i stałości wcale dać nie może; niech wskaże na szereg najszlachetniejszych oświaty wszelkiej patronów w osobach swych namiestników, biskupów, doktorów, chrześcijańskich królów; wszystko na darmo! Będą mu zarzucać zawsze obskurantyzm, chęć zawładnięcia umysłami ludzkimi, krępowanie myśli, woli i wiedzy; tak dalece, że pod tym względem nie raz i dziesięć wielki uczony, zasłużony skąd inąd badacz, tym samym będzie przemawiał językiem, tą samą się posługiwał frazeologią, jak pierwszy lepszy pismak dziennikarski.

Rozum bowiem naprzeciw prawdy nie staje, on przeciwnym jej nigdy nie będzie ¹⁾; naprzeciw jej, jako wróg odwieczny, staje zła wola i pycha. One to bunt przeciw prawdzie podnoszą. Jak niegdyś wąż w Raju, jak później Mefisto, jak w przyszłości Antychryst, tak szepce zły duch do uszów obalamuconej ludzkości owe złowrogie słowa, które, jak niegdyś naszych projców z Raju wyгнаły ziemskiego, tak i w czasie wyjętym z pod naszego obliczenia pozbawią niebieskiego tych, którzy się pod jarzmo jego woli poddali, słowa, któremi się po raz pierwszy zły duch na świecie objawił: *Eritis sicut Deus!*

¹⁾ Encyklika *Tametsi futura*, p. 21. „Id circo“ etc. „Nec raro“.

Dr. Paweł Popiel.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Anatol France.

STUDYUM LITERACKIE.

(Dokończenie).

VII.

France recenzentem. — Opowiadania dla dzieci.

Gdy hollenderski krytyk Byvanck odwiedził Paryż z początkiem ostatniego dziesiątka ubiegłego wieku, zauważył, że w nim ludzie porozumiewają się półsłówkiem a czasem nawet bez niego. Sztuka wysubtelniała ogromnie a odcienia stały się za przykładem filozofii, w której polecał je Renan, i poezyi, gdzie królował Verlaine, godłem artystów. Rodin powiedział mu, że największym wrogiem artysty jest talent, który zaślepia go i wstrzymuje rozwój; w poezyi widział dążenie do uczucia nieświadomości, wznoszenie się i opadanie nastrojów, wolność formy rozpiętą i szaloną. Myśl i forma poczęły odpowiadać jedne drugiej, a mistycyzm za mglił pierwszą a usymbolizował drugą. Naturalizm gonił już ostatkami, panosząc się zuchwale, zwłaszcza w teatrzykach półświatkowych, rozpusta wzbierała tak cynicznie i otwarcie, jak nigdy dotąd w miejscach zabaw i zebrań publicznych. W górnych sferach literatury mięszwały się kierunki, ale idealizm promieniował wyraźnie, choć szedł różnemi drogami do wspólnego celu. Filozof Fouillée wyraził się słusznie, że niema potężniejszych motywów działania, jak wiara w ideal; to jego zdanie zdawało się przewodzić całej sztuce, a oczywiście i romansowi. Królowały psychologia, idee społeczne,

postulat doskonalenia się moralnego, tendencye mistyczne i humanitarne. A krytyka, w której impressyonizm zdawał się zwyciężać na chwilę, była tak zajmującą i osobistą, że uwalniała od czytania dzieł. Zajmowała się wyłącznie żyjącymi i była w obozie symbolistów oczywiście wojującą. Czy była rzeczą wiedzy i smaku, przyszłość odpowie. France przedstawiał jej tendencyę parnassyjską o nastroju podmiotowym i odnosił się do nowych kierunków życzliwie, ale bez zapалу.

Dar stylu miał zawsze w stopniu wysokim, malowniczość i żywość nie zrównaną, wdzięk i smak pewny i rzadki. Kładł całego siebie w swe krytyki i wcielał się w różne nastroje, jak Proteusz. Obojętnie nie traktował niczego, a po-błażliwie wiele. Swe teorye parnassyjskie wygłaszał często i nie rozumiał apokaliptycznego żargonu nowej sztuki. Jego doktryna odpowiadała temperamentowi. Motylkował przecież koło dzieł raczej, nieumiał dać głębokiego i wyczerpującego studyum żadnego, przechodził bez wysiłku po powierzchni rzeczy, nie miał podstawy dość szerokiej a pewnej. Cechą sceptyków tego rodzaju jest, że czasem brak im odwagi do wypowiedzenia prawdy; mają też zbyt wiele stosunków, krępujących otwartość. Zdeklarowany poeta i bardziej filozof, niż romansopisarz, był zbyt poetą i romansopisarzem jako krytyk. W swych krytykach porzucał czasem zupełnie krytykę. Szczerym był jednak zawsze i z dumą stwierdzał to na wstępie do drugiego tomu swej *Vie littéraire*. Popępiał sprzeczności, ale dlatego, że „trzeba dozwolić biednym śmiertelnikom nie godzić swych maksym z uczuciami“. Każdy umysł popępia sprzeczności, a dusze zawsze logiczne są odstrasające. Jedywym motywem w krytyce może być piękno i nikt lepszego nie znajdzie nad niego. Ludzie wielcy mają wiele podobieństw z ogółem i gdy mówią o sobie, zdają się mówić o wszystkich. Można ich zrozumieć, ale trudno pojąć symbolistów, gdyż są ekstatykami i mają system nerwowy chory. Najtrudniej zdać sobie sprawę z całości dzisiejszej literatury. Trzebaby na to więcej przestrzeni i oddalenia; na razie można tedy stwierdzić tylko pewne objawy i pokazać pewne punkta^ł lasu, którego się nie zna ani rozmiarów, ani głębi. To uwagi ogólne, którym nie brak zachwycającej

trafności i prostoty. Cechują one podobnie i rozbiory szczegółowe ostatnich trzech tomów zajmującej publikacji.

Pierwszy ogień uwag krytycznych wytrzymuje Dumas syn, który przestał wpływać swemi ideami na współczesnych, ale nie jest bez znaczenia dla rozwoju współczesnego teatru. To jest ideolog, który więcej ceni idee, niż życie. W jego duszy są namiętności przeciwne temu, co nazywamy pobłażliwością, wdziękiem, wzniosłością moralną. To jest fanatyk, który nie zna ludzkiej natury i wpływów na nią działających, któremi są wychowanie i dziedziczność. Jeżeli radzi zabić kobietę, nie chce wiedzieć, że religia, ta strażnica moralności, każe odpuszczać wszystkim. Ona rozlewa w naszych duszach spokój i przebaczenie, którego nie znał doktryner Dumas. Sofista udawał, że jest moralistą i zdradził sam własną słabość. Epigonem romantyzmu, jak Dumas, był i Flaubert, którego krytyk porównywa z Don Kiszotem. Żył jak ten ostatni rojeniami, nienawidził swego czasu, wielbił piękno i szerzył pesymizm nieubłagany. A przecież był to człowiek o dobrem sercu, pracowity i sumienny, ale nieco naiwny i ciasny. Czy można zwięźlej scharakteryzować kogo? Kilka kleksów i podobieństwo uchwycone. A podobnie ocenia i Maupassanta, który ma swą teorię romansu, jak lew swą teorię odwagi. Przyznaje mu siłę, giętkość, pewność, ironię, czystość języka, ale zapomina o wielu słabościach. Czy France wierzy, że Maupassant był zawsze głębokim psychologiem? A jego zależność od Flauberta? A nerwoza i chorobliwe wizjonerstwo? O tem nie wzmiankuje nawet, gdyż odpoczywa tylko chwilę przy każdym z pisarzy i biegnie szybko dalej.

Etapami są teraz Sully-Pradhomme, w którym intelligencya panuje tyrańsko nad uczuciowością i wyobraźnią, Merimée, Dostojewski, sceptycy greccy, Lemaitre, Gaston Pâris, Renan, Feuillet i inni. Co cenić wysoko trzeba w krytyku, to zamięłowanie wiedzy, które nie zawsze cechuje zwolenników krytycznego impresjonizmu. W czasie, gdy nic nie pisał, nauczył się najwięcej i pamięć tych chwil pozostała mu jako najmilsze wspomnienie. Pyrrhon z swą obojętnością na wszystko wydaje mu się wzniosłym ascetą, Lemaitre z swą krytyką niedościgłym prostotą i szczerością; nie na-

leży on do żadnej partyi, jest filozofem, lubiącym teatr i widzącym w nim świat w miniaturze; nie nienawidzi nikogo i chciałby widzieć ludzi szczęśliwymi; odkrywa niezbrane strony w każdym pisarzu i dowodzi, że wartość krytyki jest ściśle zależna od krytyka. To rodzaj romansu autobiograficznego, romansu przyszłości. I nie dziwnego, że France ukochał Lemaitre'a. Nie pierwszy raz zauważono, że podobny jest do niego i ma, jak tamten, kulturę religijną i naukową. Jak tamten jest poetą, pisze romanse, nie ma powodzenia jedynie w teatrze. Jak Lemaitre, jest i dużym artystą, o wiedzy większej, niż wielu uczonych. Jak tamten, niema tylko metody, dogmatu, idei. W jednym tylko pomylił się w swej ocenie kolegi po duchu, któremu odmówił umiłowania czegokolwiek. Sceptyk Lemaitre stał się niebawem jednym z apostołów nacjonalizmu i zapomniał prawie o literaturze, gdy France rzucił się w szeregi przeciwnie. Gaston Paris wywoływa w jego duszy zachwyt nieklamany. Nikt lepiej nad niego nie poznał duszy średniowiecznej z jej wiarą silną i prostą, sztuką grubą i subtelną jednocześnie, zawsze sympatyczną i regularną, jak ogrody bez drzew starych miniatur. I jego książka o literaturze średniowiecznej jest miniaturą starej Francji. Jej autor był nie tylko uczonym, ale połączył smak literacki z zmysłem filozoficznym, który dał mu wydobyć linie ogólne. On wykazał, że była to literatura ludowa, a jej rysem przekonanie o niezmienności rzeczy. Nie wierzyła ani w upadek ani w postęp, świat był zawsze dla niej tem, czem był wtedy. Rzecz charakterystyczna, jak krytyk umie swe rozbiory nawiązać do jakiegoś epizodu z własnego życia. Czytanie *Historji Izraela* Renana przypomina mu młodość, o której opowiada zawsze poetycznie i nie powtarza się nigdy. Widać, że młodość jest jego krajem umiłowanym, że różne kultury w nim walczą, że lubi ciągle przerzucać się z jednej do drugiej. Raz jest czarny, raz błękitny, jak wyrzekł ktoś o nim nie dawno. Nie ma jednak wątpliwości, że sceptycyzm, nazywający wszystko złudzeniem, góruje w nim stale. Nie mówi tylko nigdy, że to, co sam twierdzi, może być także złudzeniem.

Ale idźmy dalej. Recenzye, ogłaszane w dzienniku *Temps*, rosły nieustannie i dosięgły w epoce pobytu hollen-

derskiego krytyka w Paryżu szczytu powodzenia. Nie brakło też ich przeciwników. Na ich czele stanął Brunetière, najbardziej utalentowany i oryginalny ze wszystkich. Z temperamentem polemisty, z potęgą argumentacji, z bogactwem erudycji, z wybornym smakiem i darem uogólnienia, walczyć było trudno; przeciwnik zalecał właśnie przedmiotowość w sztuce i nauce i podkreślał potrzebę elementu społecznego i mozolnego w literaturze. Teorię ewolucji umacniał znany zresztą, ale nie dość wyzyskiwany moment wpływu jednego literackiego pokolenia na drugie i mimo przesady i arbitralności niekiedy w rozumowaniu odbijał zbyt mocno swym dogmatyzmem od sceptycznego kronikarza. Wyrzucał mu, że nie ma kryterium w sądzie o literaturze, że idzie za instynktami, że jest sprzeczny z sobą i zbyt podmiotowy, co było prawdą i miało później objawić się drastycznie. Razem z nim otrzymali ciosy Lemaitre i Desjardins. France uznał wybitną zdolność atakującego, ale zauważył nie bez słuszności, że Brunetière, mimo wstrętu do darwinizmu, zapożycza od niego swą teorię ewolucji. Należało zaznaczyć, że posunął ją za daleko, gdyż nie jest wprost niedozwolonym korzystać z teorii nauk innych. Sam France wyrzekał się teraz absolutnego sceptycyzmu i odwoływał się do nauk fizycznych, gdzie dwaj obserwatorowie nie widzą nigdy tak samo zjawiska. W literaturze dzieje się to w nieskończenie wyższym stopniu, gdyż brak nam zasad w poznaniu dzieła ducha. Starożytni stworzyli poetykę, a mimo to dzieła ducha pozostaną „zawsze nieokreślone dla nas i częścią tajemnicze“. Nauka, która je bada, jest jednocześnie sztuką. I tu France nie zna widocznie jej historii, gdy tak się o niej wyraża, i wyników, do których doprowadziła. Podobny jest do człowieka, który lubi swą chorobę i żyje w świecie własnej indywidualności. Tak czynią artyści, ale nie uczeni. Odkrywa siebie i sądzi, że tworzy krytykę, która jest tylko orgią jego intelektualizmu.

Pellissier mówi wprawdzie, że krytyka nie może się obejść, jak sztuka, bez taktu, delikatności, przenikliwości, smaku, ale te przymioty muszą przecież cechować każdego uczonego. Kto ich nie ma, jest uczonego dzieckiem. Kultura literacka musi wyprzedzać działalność krytyczną, która nie

może być jednostronna, jak u artysty. Ten ostatni wydobywa z siebie treść i formę—krytyk znajduje ją, znajduje ją po za sobą i kształtuje ją zgodnie z rzeczywistością mogącą być przez każdego sprawdzoną. Nie prawdopodobieństwo, ale prawda jest celem krytyki, gdy sztuką nie może obejść się bez powiększenia jej i przeinaczenia. Przechodząc do rozbiórów poszczególnych zjawisk literackich po swem rozprawieniu się z krytyką przedmiotową i jej obrońcą Brunetièrem, podnosi France, jako fakt niezaprzeczony, że smutek, cechujący romanse Lotiego i Maupassanta, jest efektem literackim częściej, niż sądzimy. Dawniej żartowano sobie z tego, co my dziś bierzemy tragicznie. Musiało to nastąpić tem więcej, że jesteśmy dziś więcej zdolni do cierpienia, wrażliwi, wydoskonaleni w doznawaniu boleści i rozkoszy. Zjedliśmy jabłko z drzewa wiedzy i został nam w ustach smak popiołu, przekonaliśmy się, że jesteśmy niczem wobec bezmiar. I Baudelaire miał swe efekty, choć był istotnym poetą; cenił dzieciństwa, affektacye, sztuczki, choć olśniewał pełnością i plastyką. Podobnie dziwnym był Barbey d'Aureville, starający się dziwić i bawić głównie siebie; był gwałtownym i delikatnym, brutalnym i wytwornym na przemiany i stale. Rzadki dar ma Bourget, a jest nim zmysł filozoficzny. Umie powiązać idee i rozwijać je dobrze w krytyce i w romansie. Kult filozofii i zamiłowanie zwyczajów światowych zarysowały się u niego od początku i wydały owoce niepospolite. Myślicielem był zawsze i wyobrażał nastrój umysłu ludzkiego, który zawsze pod tą lub ową formą ciąży ku nieskończoności. Mistycyzm, fantastyczność, impressyonizm rozszerzają się dziś nie tylko w sztuce, znać je też w wiedzy, tak ścisłej nawet, jak astronomia. Flammarion obiecuje nam przechadzki z gwiazdy na gwiazdę i przyrzeka, że zachowamy w przyszłości niewiadomość i pragnienie. Prawdą jest w tem tylko to, że istnieje myśl, reszta jest wątpliwą i niewyjaśnioną. Popołniają się dziś wprawdzie rzeczy wprost przeciwne wiedzy, ale źródłem ich duma i brak prostoty; okazem takich maniaków jest Péladan i magowie, zrozumieli tylko dla wtajemniczonych w ich misterya.

Prawdziwie czystym jest Rod i nie ma nic wspólnego z naturalistami. Służy za przykład wpływów obcych, od

których dalekim jest ogół mieszczański i ludowy. Przeciwnictwo jego stanowi Rosny, pochodzący od naturalistów i lubiący drobne fakta do manii. To już epigon naturalizmu, o stylu przeładowanym, niejasnym, mętnym. Najwięcej sobą i najwięcej poetą jest Verlaine. Ma błyski geniuszu, ale i dziwactwa, ma natchnienia czyste a jednocześnie bywa faunem pogańskim. On ma muzykę w duszy i słyszy głosy, których nikt przed nim nie słyszał. Co się tyczy naturalizmu, to jego metoda miała swe strony ujemne, ale stworzyła wielkie rzeczy i nie zupełnie godne potępienia; wadą jego było, że się uważał za jedynie doskonały i niezawodny w badaniu prawdy... Czyżby sąd o Zoli krytyka miał doznać teraz zmiany? Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyż krytyka podmiotowa lubiła zmieniać poglądy i przerzucać się z ostateczności w ostateczność. Wszak była tylko krytyką przelotnych wrażeń. Wszystko jest złudzeniem wedle niej, więc i sąd, wydany w pewnej chwili, być niem mógł. Było zresztą pokrewieństwo między naturalistami i parnassyjczykami, gdyż jeden i drugi obóz głosił przedmiotowość jako zasadę, choć postępował inaczej; pesymizm mniej lub więcej wyraźny, pogarda stylu oratorskiego cechowały jednych i drugich. I w chwili, gdy France stawał się toleranckim względem Zoli, parnassizm i naturalizm upadały bez żalu, choć z hałasem. Idealizm torował sobie drogę śmiało w romansie, w poezji symbolizm odnosił zwycięstwa niepoślednie. A sąd France'a był tylko wyrazem temperamentu i dlatego nie miał w sobie nic naukowego. Są w jego rozumowaniach poglądy głębokie, świetność dowcipu, błyskotliwość stylu, ale i zdania najzupełniej arbitralne i dowolne. Czy France, jak Zola, nie uważa swej krytyki za jedynie dobrą? Skąd ma więc prawo czynić zarzut podobny Zoli? Nie dawno potępił ostro to, co teraz uznawał. Był więc jak Lemaitre, który miał dwa zdania jednocześnie i wykonywał krytyczne piruety z całą otwartością. Jego sąd chwieje się, faluje, ularuje i ma charakter paryskiej literatury, która wedle zdania Lemaitre'a przestrzega niezachwianie *l'usage d'une certaine tournure dégagée, l'habitude de la raillerie, un esprit d'ironie, de tolérance et de détachement aimable...*

Jest on przeciwieństwem dogmatyzmu krytyki Taine'a, przeciwieństwem, które zrodziło tylko roje dyletantów, jeszcze więcej fantastycznych a mniej oryginalnych. Sympatyje i wstręty osobiste dokazywały cudów i rozrastały się bujnie, jak kwiaty na mokrej łące. I ta krytyka miała wszakże swe dogmaty, była i jest krytyką pewnego obozu. Ma swych ulubieńców, których tai wady, i swych znieawidzonych, których bierze za cel swej zjadliwości. Uważa się za sztukę, zapominając, że krytyk mówi o rzeczach, które znamy wszyscy, musi rozbierać wszystko, nie może wybierać, jak artysta. Nie należąc do żadnej szkoły, była sama dla siebie szkołą dyletantyzmu, tem sroźszego, że żadnego przedmiotu nie wyczerpał, o wszystkim chciał mówić, wywoływał zamęt, z którego nie wynurzało się żadne hasło, nie wynikał żaden kierunek. A tymczasem krytyka naukowa poszła swoją drogą i wydawała świetne owoce. France i Lemaitre dali tylko dowód wyjątkowej intuicji, dowcipu i stylu. Bourget, zajmujący stanowisko pośrednie i uznający zdobycze krytyki naukowej, oraz pewne postulaty nowsze, nie mógł być uważany za impressyonistę. Widząc w książce wytwór pewnych stanów duszy, był filozofem w jej badaniu i brał indywidualium za punkt wyjścia. Chciał dojść do dna duszy twórczej i okazał umysł o wysokiej kulturze i bardzo przedmiotowym poglądzie na rzeczy i ludzi. Na prawdę jednak tylko Brunetière dał dzieła trwałej wartości myśl i estetyki, a obok niego Faguet jako monografista, odbudowujący wielkie indywidualności, ich zarys i właściwości nie ma wielu równych w historii krytyki od jej początków. A krytyki kronikarza wielkiego dziennika, dorywcze i pośpieszne nie zawierają jednego portretu skończonego, jednej monografii sumiennej i wyczerpującej, choć są świetnym dowodem jego przenikliwej spostrzegawczości i stylu.

On mianuje je w ogóle opowiadaniem literackim, w czem okazuje skromność godną uznania, ale myli się sądząc, że krytykiem rządzi tylko instynkt i uczucie. Estetyka wedle niego, to zamek w powietrzu, filozofia pozytywna, to prorocstwo. Po tysiącach lat dojdzie się może do wiedzy i do estetyki. Zwykle rozstrzyga dużo moda i zmysł naśladowczy. Więc z kolei ezwarty tom mówi o historyku Barante,

filologu Darmesteterze, pieśniach ludowych, ojcu Didonie, Judycie Gautier, Moréasie, Pascalu, Barrèsie, Boissierze, Weis-sie, pani de la Sablière. Didon, to człowiek dużej energii ducha, przekonujący prędzej, nim zaczął mówić, lubiący rzucać się w wir idei i prądów czasu, jak góral krążący nad brzegiem przepaści. Ma instynkt oratorski i zmysł uczonego, dar opisowości, zmysł obserwatora i psychologa. Moréas, to poganin, ale bez daru krytycznego i filozoficznego; ma styl nieco archaiczny i erudycję humanisty. Czy to wszystko jednak? Nie wiemy, jakie są dążenia artysty, co wniósł nowego do poezyi, na czem polega jego subtelność i ton klasyczny. Takie same braki wykazuje charakterystyka Barrèsa. Wedle krytyka, to preraphaelita romansu. Figury jego są martwe, sceny bez związku, krajobrazy wyszukane jak w gobelinach i niewykończone; naśladuje Bourgeta i ma kult siebie i jednostki, w której radzi szukać pocieszenia. Wszystko to słuszne, ale krytyk znów zapomniał dodać, jak Barrès bywa pretensjonalnym, wysilonym, ciemnym, a choć udają mu się średnio pewne krajobrazy i środowiska, brak mu głębi i plastyki stylu, która cechuje wielkich twórców kierunków. Boissier przenika przez książki w obyczaje i pojęcia epoki, której życie wydobywa z kartek, uchodzących dotąd za zmarłe. Jest cycerończykiem zawołanym i umiał pysznie odmalować konanie pogaństwa. Z cesarza Juliana czyni hellenistę, podszytego taumaturgą i magiem; jego dzieło zginęło wraz z nim. Nie można powtórzyć tego o krytyku, którego uwagi można zalecić każdemu początkującemu w tej dziedzinie, ale które są niższe nawet wartością od spostrzeżeń i wrażeń Lemaitre'a i Bourgeta.

Pierwszy będzie miał zresztą chwałę tego, który kierunek stworzył i określił. Miał ten kierunek jedną zaletę, o której zamilczeć trudno. Oto wyszedłszy od parnassistów, ukochał sztukę i starał się zwalczyć dogmatyzm Taine'a, który bądź co bądź zbyt energicznie domagał się bezwzględ-nego uznania. Starał się wydobyć z dzieła cechy indywidualne, wczuwał w każde indywiduum twórcze, bez różnicy miary i stopnia talentu. Umiał pokazywać dusze najbardziej złożone, rozwijać fałdy umysłów najwięcej nierozwikłanych. Ani Lemaitre, ani France nie ustępują sobie w tym razie,

choć pierwszy miał więcej niekiedy systemu i ciągłości. Bourget śledzi głównie tendencje intelektualne i moralne epoki, gdy tamci zajmują się indywiduami. Szuka praw i genezy zjawisk w przeszłości, czyta z uwagą psychologów angielskich, lubi dusze wyjątkowe i umysły wyrafinowane, tony przyémione, krajobrazy nieco mgliste, nie tylko jako krytyk, ale i romansopisarz. Taine miał umysł więcej pozytywny i dogmatyczny — oni wszyscy marzą dużo i mają nastrój sceptyczny i lubiący półprawdy i niedomówienia. Mimo podmiotowości, umieli być bezstronnymi i nie zaślepiali się żadną doktryną. A stylem olśniewał z nich każdy, stylem, który miał łagodność pastelu i miękkość malowidła na emalii. Brunetièrre jest z całej tej grupy najwięcej uczonym i rozległym jest horyzont, który ogarnia swą myślą filozofa i estetyka. Ma zmysł dogmatyczny, dar syntezy, kult dla pseudo-klassycyzmu, zrozumiały tem bardziej, że tkwi on jeszcze mocno w całym społeczeństwie. Umie wynieść na wyżyny, skąd roztacza się widok na nieskończone skarby poezji francuskiej i obcej. Tę ostatnią zna lepiej, niż tamci, przemawia uroczyście i z pewnością, która napawa zaufaniem i szacunkiem dla jego daru polemicznego, moralności, tonu dalekiego od pesymizmu, który pozostawił po sobie naturalizm, równy co do znaczenia i wpływu romantyzmowi, tak niegdyś wszechmocnemu.

Nie można też zapomnieć, że France uprawiał obok literackich kronik, także opowiadania dla dzieci. Daje niemi dowód nie tylko dobrego serca, ale i giętkości umysłu, który umie zniżać się do maluczkich i bawić ich ciekawe a chciwe nowych wrażeń główki. Przybiera wtedy postawę narratora, który ukochawszy własne dzieciństwo, zna wszelkie słabości i zamilowanie wieku i stara się utrzymać przybrany ton do końca. Mają jego opowiadania naiwność bajek Perraulta, a styl iskrzący brylantami porównań najkunsztowniejszych. Poczyna je *Abeille* (1883), przedstawiające losy dwojga dzieci, z których jedno porwały karły górskie i oddały drugiemu dopiero po latach. Podkreśla w niej autor wartość przyjaźni i jej szczęśliwe wyniki. *Nos enfans* (1886) są szeregiem obrazków z życia dziatwy wiejskiej; poezya wsi i zajęć domowych rozlewa się tu obficie a przystępnie dla mło-

dych umysłów. A jako bohaterka figuruje mała Fanchon, która zdąża do babki na końcu wsi mieszkającej i uważa zwierzęta za istoty, jakby pokrewne a szczerze przyjazne. Autor kocha ten świat mały i ciasny, nie obcy mu też świat zwierzęcy, który śledzi z zajęciem i usiłuje odgadnąć tajniki jego intelligencji i uczucie. Ciekawy jest wszystkiego, wszystko chce tłómaczyć po swojemu, wszędzie rozpacza swój sceptycyzm, który w miarę wczytywania się w niego staje się nieco monotonnym... Krytyk Charles wyraża się nawet złośliwie, że podziw dla tego pisarza jest jedną z ciężkich chorób intelektualnych epoki. Czy w Bourgeoisie jednak nie było sprzeczności i sceptycyzmu przed laty? Romans jest bądź co bądź bajką, mniej lub więcej zbliżoną do rzeczywistości, której rozwoju nie mogą tamować zbyt długie rozprawy. A Bourget, jak France, daje właściwie często rozprawy przeplatane opowiadaniem. Nie jest to zresztą nowością, gdyż znali taki romans romantycy — znali i taką krytykę, która w ich ręku stała się podmiotową i obalała wszystkie konweny. Naprawdę romansopisarzem był Balzac, który nie wprowadzał do romansu niczego, co nie stało w związku z jego treścią i celem, nie pozował na krytyka — gdy dziś wprowadza się do romansu wszystko, na czem cierpi prawda treści i harmonia formy. Chce się wszystko znać i rozumieć i podaje się to publiczności pod firmą romansu lub pogadek krytycznych. Romans, to forma najmodniejsza i dlatego piszą go ludzie, których miejsce jest gdzieindziej a którzy wolą w tej formie wygłaszać sofizmaty, które nie narażą ich na pociski krytyki naukowej. Ta choroba dotyka nawet tak wybitnie zdolnych, jak France.

VIII.

Ostatnie romanse. — Działalność społeczna.

Ostatnie lata nie dały właściwie żadnego romansu, któryby był równy wartością poprzednim. France wyczerpał się, począł się powtarzać, stał się z obojętnego sceptyka, który żyje za gwarem i walkami współczesnymi, jednym z działa-

czy społecznych i bojownikiem w obronie idei, które dawniej wygłaszał tylko jako filozof i artysta bez myśli wprowadzenia ich w czyn. Coś podobnego stało się z innymi. Brunetière podjął się rozwiązywania zagadnień politycznych i społecznych, Faguet omawia również kwestye obecnej organizacji politycznej z całą potęgą analizy i bogactwem erudycji, Lemaitre rzucił się w wir walk nacyonalizmu z prądami kosmopolitycznymi, Sarcey znikł z pola, a krytyka impressjonistyczna, tak do niedawna głośna, kończy swój żywot w reporterskich sprawozdaniach, pisanych pospiesznie i stroniczo. Nie ma dziś doktryny, a postęp informacji dziennikarskiej zabił myśl krytyczną, zdegradował krytykę. „Sceptyczna, nie interesująca się żadną teorią racjonalną — mówi Johannes Gros w *Grande Revue* z 15 czerwca 1904 r. — zazdrosna i buntownicza, cała na usługach koleżeństwa albo reklamy, bez namiętności a więc i bez sposobu działania na temperamenty, które nie umieją już słuchać, krytyka umarła, uniesiona handlowym kierunkiem dziennikarstwa“. Sceptycyzm renowski i dziennikarstwo stworzyły krytykę nową i one ją zabiły, gdyż z jednej strony panuje zamięszanie i brak wszelkiej idei i metody wśród masy reporterskiej, uprawiającej oceny literackie, z drugiej krytyka naukowa zamyka się w murach uniwersyteckich i nie ma tego rozgłosu i uznania, co dawniej.

Co się tyczy romansu, rodzaj, wprowadzony przez France'a, nie znalazł naśladowców. Stanowił on jakby ogniwo pośrednie między upadłym naturalizmem a psychologami. Pierwszy stracił zupełnie uznanie salonów, a drudzy stanęli u szczytu powodzenia wraz z Bourgetem. Gdy naturaliści opisywali szczegółowo strony zewnętrzne bytu — psychologowie szli głębiej, filozofowali i moralizowali przez usta swych bohaterów. Rozegrała się walka między metodą, która uważa formy materyalne za interesujące i dostateczne, a tą, która widzi w nich tylko litery tajemnego alfabetu, służącego do poznania duszy. Wyczuwa ją i notuje jej poruszenia, a w sztuce uważa to tylko za dopuszczalne, co moralnie wyższe i kulturalnie bardziej rozwinięte. Pierwsza, to wynik powierzchownej obserwacji, którą się posługuje zwłaszcza płytki i mało myślący ogół — druga bliską jest tego rodzaju natchnienia,

które stwarza epopeę, lirykę i dramat poetycki. Naturalizm, to upadek wszelkiego idealizmu, zanik myśli w sztuce, zejście na dno rzeczywistości, bez pamięci o tem, co dobre i piękne; idealizm, to wzlot ku wyżynom, może niedostępnym, ale które oczy ludzkie widzą, a serce pożąda w ucisku światowym. Na granicy tych dwóch prądów jest pośredni, który nie zna ani życia ani interesuje się ideami, ale przechodzi między niemi obojętny, znudzony, uśmiechnięty i nie zdolny przejść na żadną stronę. To jedna z dalekich odrośli romantyzmu, który obudził życie indywidualne i dążenie do prawdy za każdą cenę, a daje się odczuć do końca wieku. Zmieniła się forma, uprościł wyraz, znikł ton górny i wspinała grandilokwencya rozpierzchła się jak pył, ale dusza europejska, która za romantyzmu zainteresowała się najwyższymi zagadnieniami metafizyki, przemówiła i za dni parnassizmu, którego wyznawcą France, odzywa się i dziś u symbolistów. Tu źródło romansu filozoficznego, który był zarazem także autobiografią pisarza.

Jak zauważył Lemaitre, są u niego wszędzie wspomnienia osobiste. Odbijają się one w jego opowiadaniach, jak brzegi w rzece, i wpatrzony w nie artysta sądzi, że tworzy życie, gdy wkłada w swe twory głównie własne przejścia i marzenia. Podobny jest w tem do Bonnarda, dla którego życie stanowiła jego biblioteka. Jednakże współczesność bez osłon i trawestacyi przejawiała się u niego wyraźniej, niż dawniej; nie miała jednak pod jego piórem tego życia, ruchu, barwności, które stanowią romans istotny. Niekiedy zdaje się, że to nie romans, ale pogadanka twórcy z samym sobą; niemniej pewne rysy uchwycone były świetnie, choć całość wyglądała nieco szaro i jednostajnie. Filozof, którego widzieliśmy już wielokrotnie pod mianem Bonnarda, księdza Coignard i wielu innemi, prześladowuje nas i teraz i psuje romans, choć sam jest zajmujący i zupełnie podobny do pisarza. Ukazuje się na tle świata lat ostatnich, świata republikańskiego i przenikniętego ideami nowemi, świata każdego, kto spędził nad Sekwaną choćby lat parę. Widzimy go najpierw w *L'Orme du Mail* (1897). Książka Lantaigne nie jest miły arcybiskupowi, gdyż odznacza się zbyt otwartością i szczerością. Jest też zbyt surowym

i obchodzi się nielitościwie z podwładnym, co daje sposobność pisarzowi do obrony nieszczęśliwej ofiary fanatyzmu. Czy wypędzony z seminaryum Piédagnel byłby jednak dobrym kapłanem, nie wiemy; jest podobno tak wiele niegodnych wśród francuskiego kleru, że surowość superyora nie wydaje się zbyt przesadzoną. Natomiast ksiądz Guitrel stanowi typ pojednanego z nowym porządkiem. Uczęszcza do salonu prefekta żyda, słucha bez obrazy wycieczek przeciw religii i wysługuje się pani prefektowej, jest ceniony przez ludzi wpływowych. Będzie biskupem w przyszłości za cenę ustępstw nie do darowania. Nuncyusz z arcybiskupem składają się na jego stronę, gdy Lantaigne'a popiera monarchista, generał de Chalmont. Surowy kapłan nie gardzi przecież przyjaźnią pana Bergeret, sceptyka o sercu dobrem i manierach wytwornych, ale nie wierzącego, że są ludzie dobrzy lub zli. Sprzecząją się często, ale bez zaciętości. Tymczasem upada ministerium, ale nie pociąga za sobą zbyt ostrożnego prefekta; ksiądz Guitrel znosi dalej drwinki ostatniego i zbliża się do swego celu.

Przerażający to obraz miernoty i średniości dzisiejszego świata republikańskiego. Z jednej strony prefekt, manewrujący zręcznie, bez cienia szlachetności i kultury, banalny i płaski w każdym swym kroku, z drugiej wstrętny karyerowiec Guitrel; Lantaigne i Bergeret rzucają nieco światła na ten obraz, który nie przestaje jednak mrozić krwi w żyłach. A jednak Faguet chwali typ prefekta i sądzi, że jest prawdziwy, jak i reszta osób romansu. W jednym nie ma rozumu, w drugich serca, w trzecich żadnego z nich. Prawy, czysty, dumny, niezależny Lantaigne zyskuje tylko sympatię i zaufanie, choć może przesadza w surowości. Przez takich, jak on świat, może się odrodzić, gdyż nie dotknie ich żaden pył czasu, żaden oddech zatruty. Miodowy, miękki, z miękkim karkiem Guitrel nie wybiera środków, by osiągnąć cel ambicyi, choć czuje w duszy niskość swego postępowania i obiecuje sobie naprawić zło później. Wcale nie pociągającym jest też Bergeret. Ten sceptyk, zagrzebany w książkach, żyje w owym świecie i jakby po za nim. Rozmowy między nim a Lantaigne'm przynoszą tylko rozczarowanie. To, co on wygłasza, wypowiedział już ksiądz Coi-

gnard lepiej i zwięźlej. Nie ma, jak mądrze zaznaczył Faguet, podstawy w jego rozumowaniu, nic się nie wiąże i nie spaja, brak mu wiary w cokolwiek. To odstraszący wizerunek człowieka, który nie wierzy w własne wywody, a uderza na przekonanie innych. W cieniu „wiązu“ który słyszy jego rozmowy z kapłanem wielkiej cnoty i stałości, okazuje się jedynie renanista, cierpiącym na gadulstwo, przechodzące dozwolone granice. Tych rozmów jest tyle, że wstrzymują zupełnie akcyę, wlokącą się nieznośnie; osoby rysują się wyraziście, ale, z wyjątkiem wymienionych, nieco za ogólnikowo i od niechcienia. Ton prowincjonalny tego świata uchwycony jest umiejętnie i może dlatego polityka gra tu rolę tak decydującą, polityka, obchodząca ludzi tem więcej, im bardziej oddaleni są od właściwych jej środowisk. Romansowi brak ciągłości, brak układu, brak pozorów romansu, choć France czyni to zapewne świadomie i umyślnie. Depece wszystkie konwencye dotychczasowe i tylko talent jego sprawia, że rzecz pozostaje interesującą, a w pamięci tkwią postaci, nieco niewykończone i wiotkie, ale pełne realizmu i prawdopodobieństwa. Zapomnieć ich nie podobna.

Nie można powtórzyć tego samego o *Le Mannequin d'osier* (1897), który jest niby drugim tomem tej współczesnej historii. Pierwszy mieścił dzieje zabiegów lichego karyerowicza o katedrę biskupią — drugi opowiada o zerwaniu między Bergeretem a jego żoną, stanowiącą „manekin“ w dosłownem znaczeniu wyrazu. Ale i Bergeret przekonywa się za późno, że jego życie było bez radości i szczęścia; po zdradzie żony widzi dopiero, że nie była piękną a miała duszę pospolitą do dna. Czemu dopiero teraz przychodzi mu to na myśl? Czy chciałby, by żona była piękną, wiekuiście? Gdzie jego zapal dla wiedzy i zkad ta zmysłowość u filozofa i móla książkowego? Z takim mężem, jak on, nawet dobra żona mogłaby się znudzić. Że nie brak jeszcze pani Bergeret uroków, dowodzi jej romans z uczniem męża. Ten ostatni przyłapuje wreszcie kochanków na gorącym uczynku, i zamiast zażądać rozwodu, zrywa z nią wszelkie stosunki w obrębie domu i pozbawia jego zarządu. A tymczasem rozmowy pod wiazem przedłużają się w nieskończoność, mając za temat rozluźnienie moralności i skandale finansowe stolicy. Te

same osoby pojawiają się na chwilę, by zamienić parę mniej lub więcej obojętnych wyrazów, a Guitrel i Żyd prefekt znikli z opowiadania prawie bez śladu. Świat prowincjonalny zapadł w głąb, a na scenie pojawia się ciągle Bergeret, klóścący się z służącą, milczący wobec żony, nudny śmiertelnie i pedant, choć istotnie nieszczęśliwy. Faguet przyznaje głębokość pomysłowi całości, co jest stanowczo przesadą, a polega ona chyba na kontraście dwóch wprost przeciwnych sobie natur, które jednak przy istniejącym rozwodzie mogły wcześniej przyjść do przekonania, że nie są dla siebie, a nie czekać, aż córki podrosną i będą widziały niesnaski domowe. Bergeret potępia zmaterializowanie współczesne, brak opinii publicznej, upadek moralności, niepełność położenia i wyraża spokojną pewność, że Europa socjalna będzie niewątpliwie przyjaciółką pokoju. I jak prawy pesymista, mniema, że życie jest „nieskończonym wybuchem nędz i zbrodni“, a życie katastrofą. Czemu jednak nie wskazuje przyczyn obecnego stanu i pragnie innej epoki dla ludzkości? Zrędzi jak starzec, a ma przecież koło siebie człowieka silnej wiary w przyszłość, której podstawy wypróbowane i nie opierają się na utopiach. Nie jest jednak w mocy Lantaigne'a wywrzeć wpływu na nieuleczalnego maniaka. Pesymizm Bergereta jest jednak daleki od krańcowości; to pesymizm, nie pochodzący z głębi duszy, w której zostało nieco nadziei i wiary.

Ten pesymizm sceptyka nie przypomina w niczem nastroju Maupassanta. Więcej, niż on, przeraża nas świat, który się przesuwają w romansie, świat, rządzony tylko poziomymi instynktami i skłonnościami, świat, tak płaski i czezy a pełny tylko żądzy życia i użycia, że nawet wizye Zoli wydają się mniej ponure i bolesne. Skończonym objawem moralnego upadku jest pani Bergeret, kobieta bez poczucia godności, marna w każdym poruszeniu i słowie, ograniczona i winna bez żalu a może i bez świadomości. Takie pojęcie o ludziach miał jedynie La Rochefoucauld, a po nim Voltaire. Nie inaczej wygląda też świat małomiejski, który tu służy za tło. A Bergeret z swym sceptycyzmem wygląda też typowo i charakterystycznie. Stał się dziś postacią, nieomal tak popularną, jak Gil Blas, Figaro, Cyrano de Bergerac

i inni, tem więcej, że imię jego spopularyzował teatr, gdzie jednak nie miał długiego powodzenia, jak wszelkie prze-róbki romansów na scenę. Przypomina nieco molierowskiego Alcesta swą mizantropią, czasem zadźwięczy w nim jakby nuta byronizmu — w gruncie jest to optymista, sceptyczny bardzo i mający zmysł moralny, który razi wszystko, co go otacza. Po czasach młodości, pozostał mu jako spadek ten zmysł, którego zanik widać dziś wszędzie a zwłaszcza w sferach rządzących i decydujących Francyi. Wie, że stoi nad przepaścią, ale zabija strach pozorami wiedzy, którą zaczerpnął z mnóstwa dzieł przeczytanych, a której brak systemu, pewności, przekonania. Renanista odzywa się w nim ciągle i, jak w myśli konającego mistrza, stają mu przed oczyma dwa słowa: twierdzenie i przeczenie. Tacy ludzie są klęską dla siebie i społeczeństwa, gdyż ich katechizmem brak wszelkiego dogmatu, znak upadku i wyjałowienia myśli choroba groźna i znana u nas z mistrzowsko skreślonej postaci Płoszowskiego.

Przeciwnie *Pierre Nozière* (1899) przenosi nas znów w kraj znany poniekąd, a jest nim młodość pisarza. Są tu zwierzenia całkiem osobiste i mimo, że France zdaje się ich nadużywać, książka jest miłą i przypomina pogodę i czystość natchnień dawniejszych. Jak w kinematografie, występują przed nami i znikają pełne charakteru epizody dzieciństwa, opromienione rojeniami budzącej się inteligencji. Chwilami wstaje w pisarzu pesymista, który patrząc na sunące fale Sekwany przypomina nam, że „niema nic boleśniejszego nad upływanie powszechnie rzeczy“. Ale są to tylko zgrzyty przelotne, a przed oczyma naszymi rozwija się chłopak, dla którego świat wydaje się wielką zabawą i dopiero śmierć biednego handlarza książek daje mu pojąć, że życie to nie igraszka. Ma też surową bonę, która zniosła z swym mężem wiele przykrości i to daje mu znów do myślenia. Niestety wątek opowiadania zrywa się prędko i ustępuje miejsca drobnym anegdotom o dwojgu dzieciach, idących na przechadzkę, o biednym chłopcu w lichem ubraniu, o rozumnym antykwaryuszu, o malarzu, który nie umie skończyć wielkiej kompozycji, o rewolucyoniście, a wszystko zamykają uwagi nad manuskrypcem Plutarcha. Wedle nich

złe jest w naszej myśli tylko, a moralność i wiedza rzadko idą z sobą w parze. Kobiety są silami natury, umięającemi z łatwością zapomnieć o tem, co dokonały złego, i o tem, co było kiedyś wszystkim dla nich... Nie brak im niekiedy trafności, a podane są w formie wspomnień osobistych, mogącej zadowolić najwybredniejszych. Jak istotny filozof France nie lekceważy najmniejszej drobnostki, nie pomija niczego, każdą rzecz rozważa dojrzałe i starannie. A zawsze jest naturalnym, unika wszelkiej pozy autorskiej, ma wdzięk i dystynkcyę niepowszednią. Historya małego Nozière wiąże się najgłębiej, a przenika ją słodycz i rezygnacya istotnie zachwycająca. Nie bohater opowiada o sobie, ale fakta go opowiadają i pokazują. To dziecko, jak zwykle jedynak, jest światłem i uśmiechem domu, ale rodzice, kochający się przykładowo, nie dają mu tego poznać. Są surowi wobec niego, choć ich ożywia i uszczęśliwia. Nie ma całego domu pod swemi stopami, jak mała Denyse z romansu Gypa; rodzice nie tracą głowy, by mu dogodzić, on jest panem domu, ale nieświadomym. Mały jest czarujący w swej naiwności i niema jednej fałszywej nuty w jego wyznaniach. I autor jest panem swego przedmiotu i ma rękę pewniejszą, niż kiedykolwiek. Narratorem stał się mistrzowskim i prześcignął wielu najlepszych.

Końcowemi tomami historyi współczesnej są zaś *L'Anneau d'améthyste* (1899) i *M. Bergeret à Paris* (1901). Nazwano ją jednym z najbardziej zajmujących romansów wieku i najprawdziwszych. Być może, że ten drugi przymiotnik jest słuszny zupełnie — drugi dalby się zastąpić przez „interesujący“. Jak poprzednie, te dwie komedye życia republikańskiego, budzą tylko odrazę i każą źle wróżyć o przyszłości Francyi. Mają portrety dość wierne, a raczej uzupełnienia poprzednich nam znanych i mniej lub więcej niesympatycznych. Pani Bergeret gotowa przebaczyć swemu mężowi, ale idąc za głosem dam małomiejskich, którym się zwierza oczywiście z wszystkiego, opuszcza dom, którego odmówiono jej rządu. Cały kraj rozdziera tymczasem nieszczęsna „sprawa“ i dwa prądy, dwie doktryny, dwie partye zwalczają siebie gorzej, niż nieprzyjaciele. Książd Guitrel broni tradycyi, ale zawsze ostrożnie i dyplomatycznie. Tym razem polem jego popisów jest

salon hrabiego de Brécé, gdzie pojawia się też generał Chalmont. Znać w towarzystwie wiekową kulturę, przywiązanie do wspomnień historycznych, formy towarzyskie rozwinięte, ale i brak przewodniej myśli, życie z dnia na dzień, martwość i niezdolność do czynu. Tylko Guitrel ma cel i stara się zdobyć sympatyę wszystkich; tym celem jest biskupi pierścień ametystowy. Nim wyrazi otwarcie, co myśli, obraca siedm razy język w ustach. Natomiast Bergeret zagłębia się jeszcze bardziej w roztrząsaniach tekstów starożytnych, a czasem, co nie zdarzało mu się dawniej, dotyka kwestyj współczesnych, jak armia, finanse, sprawiedliwość. Znalazł nowego towarzysza w psie Riquet i śledzi pilnie najmniejsze objawy jego inteligencji. Uważa się nawet za jednego z jego przyjaciół. Mania bibliofilska rozwija się w nim stale; czasem zagląda też do kościoła, gdyż lubi ceremonie kultu. Może był niegdyś w seminaryum, jak Renan lub Lemaitre. Nie daje mu zaś spać „sprawa“, a jeszcze więcej kampania, którą toczą pewne żywioły przeciw Zoli, obrońcy Dreyfussa i sprawiedliwości. A Guitrel dochodzi wreszcie do celu, dzięki zabiegom prefekta i jego małżonki, nie wahającej się dla protegowanego szukać wcale nie bezinteresownej pomocy szefa gabinetu ministeryalnego. Niespodziewanie jednak i ku zgorszeniu wiernych republikanów Guitrel, jako biskup, zwraca się przeciw rozporządzeniom rządu i ściąga na siebie jego prześladowania.

A pan Bergeret przestaje już tylko na towarzystwie swego psa. Jedna z córek, Paulina, pozostała też przy ojcu, którego powołano na katedrę do Paryża i umiła samotność erudyty wraz z Riquetem. W stolicy odwiedzają stare mieszkanie rodziców profesora i wychodzą ztamtąd jak z królestwa cieni. Na nieszczęście spotykają pana de la Barge, i zaczyna się nieskończona dyskusya, na temat pożyteczności armii i winy Dreyfussa, którego Bergeret, pojednany widocznie z naturalizmem, broni żarliwiej od Zoli. Rozprawia teraz nawet o przyszłości kraju, przestaje z rzemieślnikami, pionuje na kłamstwa i niesprawiedliwości społeczne tak, że zapomina prawie o filologii. Gdy zarzucają wobec niego rewizyonistom, że zniesienie wyroku zasądzonego kapitana może osłabić powagę Francyi, odpowiada, że źle czynią ci,

którzy z złego wyroku robią system rządu. Ignorancya i nienawiść, to klęski kraju. Wszystko dziś upada, konserwatywni republikanie kokietują z monarchistami, nawet prezydent republiki nie jest wolny od podejrzeń. Wychowanie ludu szwankuje bardzo, ale nie należy rozpaczać o przyszłości. Przyjdzie czas, w którym jałmużna stanie się anachronizmem i każdy będzie żył z swej pracy i nie wyzykiwał nikogo. Filozofia zawsze budziła ludzi czynu i zbudzi w przyszłości. Nie wyjdzie ta przyszłość ani z obozu nacjonalistów, ani rojalistów, ale z partyi, która rządzi dziś prawie, z partyi socjalistycznej i międzynarodowej...

Już dawniej skarżył się Faguet, że France włożył w swą historję współczesną za wiele polityki. Znaczy to, że w romansach ostatnich lat jest tyle uwag na temat tego, co dzieje się dziś nad Sekwaną, iż psują one zupełnie romans, uniemożliwiają wszelką akcyę, rozpraszają złudzenie niezbędne w sztuce. Jest to jednak stały objaw u tego pisarza, wyraz jego twórczego indywidualizmu, maniera filozofa, który dawał formę romansu swym rozmyślaniom. Nie brak jego ostatnim tworum nawet scen realistycznych, sylwetek uchwyconych z wiernością fotograficzną, wreszcie pewnego dogmatyzmu, który niespodzianie objawił się wśród ogólnego roznamiętnienia. France sceptyk stał się polemistą, człowiekiem czynu. Literatura przechodzi jakby na plan drugi i artysta, który jeszcze w r. 1896 w swej mowie recepcyjnej na posiedzeniu Akademii Francuskiej głosił się jeszcze „człowiekiem prowadzącym w cieniu i pokoju życie medytacyjne“, wystąpił za przykładem Zoli w szranki walk wewnętrznych. Jak Voltaire, jest dziś France filozofem wojującym i szuka popularności w masach. Bergeret był najpierw renanistą, pełnym słodyczy i pobłażliwości; potem zmienia się w wolteryanina, który neguje już sucho, neguje zawzięcie, neguje dla celów praktycznych, z niecierpliwością i z wytrwałością propagandy. Chce zmienić obecne podstawy społeczne i działać na opinię w kraju, gdzie władza jest słabszą, niż kiedykolwiek, gdzie mimo hasła wolności, równości i braterstwa przesładuje się religijnych urzędników i wojskowych, gdyż ich opinie są w sprzeczności z ateizmem rządzącej partyi. Oto wynik tolerancyi, ogłoszonej niegdyś przez

Encyklopedystów i dziś jeszcze służącej szumnie za dewizę republikańską. Być może, że niedługo zobaczymy niegdyś sceptyka na trybunie parlamentarnej. Dzieją się cuda na ziemi, a Renan, nie lubiący demokracji, starał się przeciwieństwo o cuchnące głosy wszechwładnego ludu, jako kandydat pokoju i zgody, a wróg wojny i rewolucji. Czynił to jednak podobno dlatego, by poledz w zapasach chlubnie i z chwałą. Ani nóż, ani kula nie dosięgły jednak przeciwnika demokracji, której ulubieńcem chce dziś zostać jego uczeń. Historia współczesna jest jednak prawdziwa i przewyższa realizmem podobne plody „wieku oświeconego“, do których dziś zbliża się nawet przez swój optymizm końcowy.

Równocześnie jednak umie France tworzyć cacka, bardzo poetyczne i oderwane od brudów teraźniejszości. Dowodem jest zbiór opowiadań *Clio* (1900), wyprzedzający nawet ostatni tom „historji współczesnej“. Narrator o niewypowiedzianej piękności stylu obudził się w nim znowu. Oto pieśniarz z Kyme gra po miastach greckich, dążąc do rodzinnego grodu. Przyjęty w domu przez niewolnicę Melantho, która nie zaznała z nim rozkoszy, ale i złego traktowania, śni o swych pieśniach i uczy dzieci muzyki i poezji. By nieumrzeć z głodu, musi jednak wędrować do króla Megesa i śpiewa na jego biesiadzie gniew Achilla i zebranie królów. Podczas uczty wszczęły się jednak swary i ranny pieśniarz uszedł ledwo z życiem z zamętu, gdyż sztuka nie jest dla ogółu. Historia Komma Atrebaty przenosi nas znów w czasy podboju Gallii przez Cezara. Komm jest podstępny i działa wallenrodyczenie, by pozyskać względy Rzymian. Podejrzrywany, musi kryć się wreszcie po puszczech i spoztrzegłszy raz nowo zbudowane miasto, wywiera na pomnikach kultury ukradkiem bezsilną zemstę barbarzyńcy. Nasyćwszy ją wreszcie i uchodząc przed pościgiem, z dziwnem szczęściem i zręcznością godzi się w końcu z najeźdźcą. I znów scena z dziejów Florencji, gdzie stary Farinata degli Uberti wie, że go nienawidzą, ale rządzi postrachem i myśli, że „wszystko jest dozwolonem temu, kto działa siłą myśli i siłą serca“. I słusznie wnioskuje mnich Ambrogio, że piekło będzie uważało za zaszczyt posiadać takiego osobnika. Inne opowiadania nie dorównują barwnością

języka, natężeniem stylu, siłą ironii poprzednim. Sztuka opowiadania dosięgła w nich szczytu i stawia twórcę wśród istotnie wielkich pisarzy nadsekwańskich. Sztuka to pełna odcieni i nie łamiąca, za przykładem Goncourtów, ani stylu, ani składni. Narrator lubi przerzucać się w różne nastroje, dotykać wszelkich materyj, nie gardzić nawet płaskością współczesną. Zmysłowym jest, ale nie razi nigdy, prześlizguje się zręcznie tam, gdzie Zola stworzyłby orgię najwyuzdańszą. Okazem wytwornej prostoty i ześrodkowania stylu są jego opowiadania. Czujemy się pociągnięci do tych dzieł, które są raczej płodem poety, a nie prozaika. To klejnoty współczesnego romansu.

W sprawie Dreyfussa stanął France po stronie zwolenników rewizji procesu. Zajmował się nią od lat kilku i pociągnięty może wystąpieniem Zoli, zabierał głos w tej sprawie w romansach, potem w broszurach i w przemowach publicznych. W przedmowie do krótkiej historii procesu, pióra jednego z swych przyjaciół¹⁾, zaznaczył, że partye posługujące się kłamstwem muszą zawsze upaść i obowiązkiem jest bronić prawdy. Znane są poszczególne fazy tego pamiętnego epizodu dziejów Francji republikańskiej. Rozpoczęty w r. 1894 aresztowaniem kapitana z powodu podobieństwa jego pisma z charakterem autora tajemniczego *bordereau*, skończył się na razie degradacją oskarżonego i wysłaniem go do Cayenny. W r. 1896 pułkownik Picquart odkrył istotnego autora *bordereau* Esterhazy'ego, ale rewizya procesu nie nastąpiła. Picquarta, którego odkrycie groziło skandalem dla wielu oficerów sztabu generalnego, odesłano do Tunezji a adwokat Deblon podjął sprawę poszkodowanego. Wiceprezydent senatu wniósł się do sprawy i spowodował interwencyę najwyższych czynników rządu republikańskiego. Ale Esterhazy'ego uwolniono, a w całej mętnej bardzo machinacy odegrał brudną rolę pułkownik Henry. Wtedy Zola zaprotestował gwałtownie przeciw podobnemu zwrotowi sprawy, która stała się odtąd kwestyą polityczną. Zola skazany opuścił kraj, a pułkownika Picquarta usunięto

¹⁾ Docteur Oyon: *Précis de l'Affaire Dreyfus*. (Paris 1903, str. 3 — 7).

prawie z armii. Napróżno starał się ten ostatni udowodnić fałszywość dokumentów przedstawionych przez Henry'ego; wtrącono go do więzienia, gdzie wnet jednak zmuszony do wyznań Henry kończy śmiercią samobójczą. Esterhazy ucieka do Anglii, gdzie uznaje się publicznie autorem *bordereau*. Rewizya procesu, która nastąpiła teraz w Rennes, skończyła się skazaniem kapitana pięciu głosami przeciw dwóm z uwzględnieniem okoliczności łagodzących, a ulaskawienie zwróciło wolność oskarżonemu. Rewizyoniści oskarżali stale rząd o prowadzenie polityki, opartej na udawaniu i ukrywaniu prawdy. Ale po ulaskawieniu wzburzone namiętności uspokoiły się i poczęto dla niej obojętnieć stale i stopniowo.

Te okoliczności wywołały powstanie powtórzonej już w kilku wydaniach głośniejszej *Affaire Crainquebille* (1901). Treść jej krótka i bolesna. Bohater jest handlarzem jarzyn i ciężko skrzywdzony przez sierżanta miejskiego dostaje się do więzienia. Chodzi koniecznie o uratowanie powagi władzy i dlatego skazuje się niewinnego. Po podobnem zajściu nikt nie chce kupować jarzyn u biednego Crainquebille, który czuje, że jest zgubiony. Przychodzi nędza, a nieszczęsny napróżno usiłuje się dostać do więzienia. Zrozumiano jego cel i nie zwracano na niego uwagi. Opowiadanie dało hasło do otwartego wystąpienia pisarza na arenie walk politycznych, które ze sprawy Dreyfussa uczyniły narzędzie agitacji. Nie było ono pozbawione zwykłych zalet stylu, ale cel był zbyt widoczny i jasny. Wnet pojawiły się artykuły polemiczne w peryodycznej publikacji, dotyczącej spraw społecznych p. n. *Cahiers de la Quinzaine* (1902), w których France wzywał nieświadomych do przyswajania sobie oświaty i stwierdzał częstą omylną wyroków sądowych. Z kolei zaszedł fakt nieoczekiwany. Gorący obrońca sprawiedliwości sądowej, Zola zmarł zaczadzony w sile wieku, choć z umniejszonym wielce znaczeniem w literaturze. Jego krytyk France, który niegdyś tak surowo potępił działalność wielkiego naturalisty, a nawet w rozmowie z znanym nam krytykiem Byvanckiem w r. 1891 wyraził się o naturalizmie mniej korzystnie, wznosił teraz pean pochwalny na cześć zmarłego, który wedle mowcy, stojącego nad trumną człowieka tyle razy potępianego, miał czystość i prostotę dusz

wielkich. Był głęboko moralny, malował występki ręką uczoną i enotliwą. Jego pozorny pesymizm, ponure usposobienie, rozlane w wielu utworach, ukrywają istotny optymizm, wiarę nieugiętą w postępek inteligencji i sprawiedliwości. Nie pochlebiał nikomu, wierzył w wiedzę, był idealistą i poetą pracy, gdy Tolstoj jest poetą rezygnacji. Umiał odkryć i fałsz i podstęp, a potępił nie tylko błąd sądowy, ale i sprzysiężenie wszystkich czynników gwałtu i ucisku, zjednoczonych dla zabicia we Francji sprawiedliwości społecznej, idei republikańskiej i wolnej myśli, we Francji, która była dotąd krajem filozofów i miłośników wolności...¹⁾.

Zapomniał widocznie France o braku szacunku dla przekonań religijnych, wypędzaniu zakonów i profanacji nader częstej kościołów, które były dziełem zaślepionych jednostek lub tłumów podburzanych atakami ateistycznej prasy. Przeciw duchowieństwu, antysemityzmowi i militarystyce zwracają się znów *Questions sociales* (1902), które wyszły już otwarcie pod znakiem socjalizmu. A jednak i teraz w zapale polemiki nie porzucał pisarz ulubionej formy romansu. Był on oczywiście współczesny, gdyż udział pisarza w tem, co działo się w około niego, pochłaniał go całkowicie. To *Histoire comique* (1903), przypominająca pod niejednym względem i niestety na niekorzyść ów romans paryski między rzeźbiarzem Dechartre a piękną ministrową Teresą. Tu Felicya Monteuil porzuca dla eleganckiego dyplomaty Roberta de Ligny swego kochanka Chevalier, który grozi jej zemstą. I spełnia swą groźbę, gdyż zabija się w jej oczach, a Felicya słyszy zawsze jego jęk, ile razy jej nowy kochanek zjawia się w buduarze. Zrywa więc z de Lignym, gdyż zmarły nie chce tego stosunku. Co w tej historii jest komicznego, nie umiemy wytłómaczyć, ani się nie kusimy. Dawniej, choć treść romansu była błahą albo żadną nawet, można było podziwiać zachwycającego sofistę, który kazał zapominać o swych brakach i odsłaniał się w sposób wyrafinowany i zajmujący. Tu nie ma i tego. Bohaterowie są światowcami bez wdzięku, który umie dać po-

¹⁾ *Funérailles d'Emile Zola. Discours prononcé au cimetière Montmartre le 5 octobre 1902.* Paris 1902, str. 1 — 7.

dobnym figurom Bourget. Ten ostatni umie też ukryć namiętność pod pozorem towarzyskiej oglady. Tu jest ona brutalniejszą, co stoi w sprzeczności z tradycjami romansu światowego pani Sand i Feuilleta. Stoi też w sprzeczności z prawdą rzeczy.

W przeciwieństwie tedy do Renana, który pod wpływem okropności Komuny zwątpił o demokracji i jej przyszłości, jego wielbiciel i następca popłynął po wartkich falach społecznego przewrotu. Renan przeciwstawił krwawej dyktaturze proletaryatu konieczność supremacji umysłowej elity — France woli utopię, która jest przeciwieństwem ideału Renana. Raj kolektywistyczny nie napelnia go niesmakiem; nie sądzi, jak Renan, że zrobiliby on z ziemi planetę idiotów, grzejących się na słońcu w brudnej beczynności bytu, który ma na celu tylko potrzeby życia materialnego. Woli Calibana, dzikiego rewolucjonistę i barbarzyńcę, który pożąda doskonałego łoża Prospera, i czuje wstręt do Ariela, którym jest poezya, ideał, marzenie. W chwili, gdy na ziemi katolicko usposobionej Bretanii wzniesiono posąg Renana, France zabiera znów głos wielbiący mistrza, który otworzył dla rozumu przestrzenie olbrzymie i miał wiedzę, kult prawdy, znajomość ludzi, poszanowanie wiary, strzegącej moralności. Przyznawał, że nie lubił demokracji, ale wolał ją ostatecznie, niż powrót starego porządku. Jego sztuka, to stateczna prostota, a unikanie deklamacji i retoryki. Przez niego „ludzkość urzeczywistnia marzenia mędrców“ ¹⁾.

Czy jednak mowca nie rozminął się z prawdą, by zyskać poklask tłumów? Wszakże renanowski *Prêtre de Nemi* kończy się bardzo ponurą przepowiednią o przyszłości Alby, która zginie szarpana kwestyami religijnymi i społecznymi. Ustrój demokratyczny będzie zawsze słabszy wobec państw arystokratycznych, gdyż nie może pogodzić się z ofiarą i wyrzeczeniem się, które kwitną w państwach obcych demokracji. Dla państwa, w którym prawie ciągle wyrządza się obelgi broniącym bezpieczeństwa ogólnego i całości ziemi, los renanowskiej Alby nie jest wykluczonym. Wyuzda-

¹⁾ *Discours prononcé à l'inauguration de la statue de Renan.*
Paris, 1903.

nie wolności jest cechą stanu obecnego, który stanowi przedmiot, godny uwagi nie tylko polityka, ale i filozofa. Renan skończył sceptycyzmem, France ogłasza dziś w czasopiśmie, kierowanem przez wodza socjalizmu Jaurès'a, jedynie może logicznego w swem postępowaniu, dyalogi filozoficzne, jak niegdyś mistrz, dyalogi, bardzo odpowiednie naturze jego umysłu, lubiącego sprzeczności a wieszczące nadejście nowej ery ludzkości. ...

IX.

Kilka uwag ogólnych.

Malo jest pisarzów, którzyby w swym temperamencie mieli tyle cech czysto francuskich, co France. A najpierw nosi on w sobie całą swą treść, która jest najdelikatniejszą uczuciowością, odbita w dziełach wyraźnie, która jest ironią zawsze wyrafinowaną i subtelną, która jest wdziękiem pełnym poetyczności i przeskoków niby od niechcenia i swobodnych niepospolicie. On jest sceptykiem, jak Villon, Montaigne, Lafontaine i inni i należy do życia, do form pięknych i zmysłowych życia. W jego talencie jest dowcip, ale i afekt szczery i nieklamany, złośliwość, ale i sympatya, zamiłowanie rzeczy intelektualnych, ale i dar niepośledni obserwacyi. Jego rodzaj umysłu jest delikatnym epikureizmem, który wydobywa z wszystkiego piękno i rozkosz. Ma styl żywy, przenikający, pełen gry słów, zwięzły i płynny; giętkość języka i prostota pełna artyzmu są zadziwiający, choć nie są dziełem nieświadomości, ale obmyślenia rozważnego i cierpliwego.

On zawdzięcza dużo swej lekturze, ale to, czem imponuje, pochodzi od niego. Lubi drobiazgi, szczegóły, dekoracye, zbiera materyał długo, postępuje jak wirtuoz, ale ostatecznie jest sobą. Myśli więcej, niż widzi, i tłómaczy treść swych myśli tak oryginalnie, że sama materyalizacya tej myśli czaruje swym artyzmem. A rzecz to nie obojętna w epoce zbanalizowania stylu, któremu ton nadaje dziś reporter. To intelektualista, który tworzy dzieło, rzadkie

w skupieniu i wytrwałości. Pisarz o frazowaniu tak spokojnym w rytmie, o harmonii tak niezmaconej słowa, o kontrastach tak suggestywnych, a przecież nie wyszukanych, jest wielkim pisarzem. Jego styl ma niepojętą doskonałość i swobodę czarującą, która działa na nas podniecająco i harmonijnie, jak mleczny krajobraz Corota lub pełność plastyczna Falguière'a. Umie on targnąć za nerwy, zbudzić rój myśli, zabawić i upoić, choć miara i dyskrecya są nieprześcignione. Ten styl ma swe tajemnice, które znał chyba Voltaire.

Ale patriarcha fernejski nie miał smaku, poczucia sztuki i wierzył tylko w rozum. France jest artystą i ma inteligencyę bardzo bogatą, jasną i wchłaniającą wszelkie idee z łatwością. Nikt, tak jak on, nie umie wyrażać się krótko, a zostawiać wrażenie długie i piękne. To stylistą lakoniczny, analityczny, sposobny do oddania idei, za mało konkretny i malowniczy. Jako narrator, wydobywa z masy szczegółów drobny fakt, który zawiera treść rzeczy. Jego opowiadania snują się jak nić wąska, ale drogocenna i mistrzowska. Ironia w stylu, ironia w wyborze tematów, które są doświadczeniem dla wykazania tezy. On nie ma namiętności — ma zmysłowość otwartą, choć nie brutalną. Pochodzi tylko od siebie i posiada siebie w pełni. Ma może więcej dowcipu, niż metody, więcej równowagi, niż siły, więcej błyskotliwości, niż pędu, ale ta błyskotliwość jest w wielkim stylu i pierwszego rzędu, jak naiwna lubieżność Boccaccia, lub swawolna zmysłowość narratorów francuskich Renesansu. On jest mistrzem stylu, jak Claude le Lorrain był mistrzem światła, czy ono rozpraszalo się po barwnych obłokach brzaśku czy płomieniało w całym blasku na chmurach zachodu. France pisze w pełni swobody i ironii, jak tamten malował w pełni promieni; jego styl jest stylem tego malarza, który znał jak nikt sztukę odcieni i był poetą spokojnym, majestatycznym i przenikającym do tego stopnia, że daje nam niepokój nieskończoności.

Gdy chce dogmatyzować, staje się jednostajny i traci smak pierwotny. Ale gestów i pozy literata unika, gdyż zbyt jest kapryśny i nie lubi konwencyj. Bourget jest od

niego logiczniejszy, ale on przewyższa go subtelnością myśli i lekkością ekspresyi. Są w jego duszy, na pozór spokojnej, strony ciemne i dalekie od sceptycyzmu. To dusza poety, nie lubiąca więzów, buntownicza i niepewna, wrażliwa i pociągnięta dopiero w ostatnich latach w wir walk, które mącą jej harmonię i psują miarę. Jako psycholog, dał France szereg postaci kobiecych o wdzięku nieokreślonym. One wszystkie są jednak piękne, zmysłowe, idące za popędem instynktów, wytworne, zachwycające, rytmem poruszeń i darem podobania się mężczyźnie. Taką jest Dafne choć nieświadomie jeszcze, taką Helena Haviland, Joanna porwana z pensjonatu przez Bonnarda, aktorka umiłowana przez Serviena, królowa Balkis, Thais, Jabel, Teresa, z wyjątkiem pani Bergeret. Gdyby porównanie miało tu pewne znaczenie, możnaby je zestawić z kobietami Racine'a. Każda jest inną, ale samica pyszna i zmysłowa przeważa w ogólności, kochanka, którą miłość poniża, zamiast uszlachetniać. Gdy się myśli o nich, przypominają się Fedra, Roksana i inne bohaterki pseudoklassycznej tragedyi, która obfitowała przecież w skończone typy kobiecej psychologii. Czy we Francyi nie ma już innych kobiet? Jeżeli są, nie ma ich prawie w romansie France'a.

Mężczyźni są lepsi i głębsi. Dość przytoczyć sceptyka o sercu gorącym, którym jest lekarz zakochany w Helenie Haviland, anielski charakter erudyta Bonnard, sentymentalistę o słabej intelligencji Serviena, poważnego i rozumnego ojca małego Nozière, Baltazara, rzeźbiarza Dechartre, pana Bergeret. Są i typy wyjątkowe, jak ksiądz Coignard, lub poliszynele, operujący wielkimi frazesami, ale w całości świat męski jest godny studyów i przedstawia dużą różnorodność temperamentów i intelligencyj. Filozof, erudyta, sceptyk jest charakterem ulubionym i dowodzi indywidualizmu twórczego pisarza. Jako malarz obyczajów politycznych współczesnej Francyi, nie stworzył France arcydzieł, dał jednak dowody obserwacyi sumiennej, która wynagradza niedostatki formy. Pokazał nam świat dawny i nowy, a szczególnie pokazał nam siebie z swym dyletantyzmem, więcej pozornym, niż prawdziwym, z wielką dozą uczuciowości i prawdziwie potężną ironią, z swym artystyzmem, najbardziej wyszukany

i naturą pełną wprawdzie niepojętych sprzeczności, ale będącą poniekąd wiernym obrazem duszy europejskiej, chwiejącej się między dogmatyzmem pozytywizmu i wiarą, która stanowiła jej podkład najgłębszy umysłowej kultury. Dusza pisarza, to owo renanowskie naczynie, w którym znajdowały się niegdyś wonności czarujące. Gdy ich zapachy miną i rozplyną się bez śladu, nie wiadomo, czem żyć będzie ludzkość i literatura.

Dr. Tadeusz Grabowski.

John Ruskin.

Studia nad powiązaniem i uzasadnieniem jego głównych
pomysłów.

(Dokończenie).

W rozdziale zatytułowanym: *O celu obrazów* (*Of the use of pictures*) (III-go tomu *Malarzy nowożytnych*) wspominając i rozstrząsając własne wrażenia, których doznawał na widok Alp w rozmaitym stopniu i zabarwieniu, w miarę, jak czuł się bądź rozbudzonym, bądź zmęczonym ich wspaniałością, tak, iż w tej ostatniej fazie cieszyły go bardziej partye skromniejsze, sielankowe, czyni Ruskin ogólne spostrzeżenie, że uciecha (w tych wrażeniach) podnosiła się w nim zawsze z tej ilości imaginacyjnej energii, jaką mógł przyłożyć do danego stanu swej spostrzegawczości¹⁾. Przekonał się też, że rzeczywista majestatyczność jakiejbądź rzeczy w jej wyglądzie wobec nas zawisła od stopnia, w jakim my sami posiadamy możność zrozumienia jej, a taki przenikający akt objęcia w posiadanie wykonujemy tylko mocą wyobraźni²⁾. To zaś wnikanie w naturę rzeczy łączy się w działalności wyobraźni ze stwarzaniem czegoś, co w danej chwili i miejscu nie

¹⁾ *M. P.* III, X, § 14. „Enjoyment arose from the quantity of the imaginative energy, I could bear upon it“.

²⁾ *J. w.*, § 7. „The real majesty of the appearance of the thing to us depends upon the degree in which we ourselves possess the power of understanding it... that penetrating possessions taking power of imagination“.

istnieje. Widząc rzeczy, jakimi są, widzi je zarazem *wtedy i tam*, gdzie *nie* istnieją¹⁾. To znaczy: wyobraźnia, odgadując w pewnych znamionach jądra żywotnej siły jestestw, wybiega po za fakt zrealizowania się tej potęgi w poszczególnym wypadku, który dal jej się objawić, i *dotwarza* do tej potęgi wiele innych możebnych jej wcieleni się — widzi uchwycony przez się rys prawdziwy, nie jako coś przykutego w pewnym punkcie czasu i przestrzeni, ale jako coś, co trwać, działać lub poruszać się może wśród najróżnorodniejszych okoliczności podrzędnych, co jest dla ducha realnem jako twórcza siła, a nie jako rzecz indywidualna, fizycznie obecna.

„Wielkich dzieł dokonywać zwykła wyobraźnia wylewami swej energii raczej na rzeczy przeszłe i przyszłe lub zdała od oczu będące, aniżeli na terażniejsze lub z bliska widziane“²⁾. Nie zawsze nawet chciałaby mieć je blisko, bo ich „urok fatalny“ trwa tylko, dopóki ich nie mamy, lub gdy już je straciliśmy. Skutkiem tego kierunku uczuć połączonych z działaniem wyobraźni, jest zawsze dla obrazu (w ogóle przedstawienia jakiegoś przedmiotu) w pewnej mierze korzystnem to, iż „nie jest realnym“, t. j. iż nie jest *całkowitem* urzeczywistnieniem swego przedmiotu, a jego twórca powinien strzedz się takiego wypełnienia bytu (dokończenia = „konsumacyi“), gdyż ściąga nań utratę jednego z najcenniejszych środków podbijania serc³⁾, a każdy sukces miejscowy, przy nadaniu zwodniczego pozoru rzeczywistości, burzyć będzie urok⁴⁾. Wyobraźnia, uczuwszy się znieważoną i pokrzywdzoną, nie da się nakłonić do niesienia jakiegokolwiek pomocy przy powstaniu wrażeń.

1) J. w., § 13. „The imagination, while, as it penetrates into the nature of things, is preeminently a beholder of things as they are, it is in its creative function, an eminent beholder of things, when and where they are not“.

2) „Great function (of imagination) has of course been made to enjoy and spend its energy on things past and future, or out of sight, rather than things present or in sight“.

3) J. w., § 16. „As the loss of one of its most precious claims upon the heart“.

4) J. w. „Local success in giving deceptive appearance of reality will destroy the charm“.

Zatrzymując więc swe naczelne hasła: „Nie po za prawdą“¹⁾, i „Tak wiele prawdy, jak tylko można“²⁾, uzupełnia je Ruskin żądaniem, aby prawdę tak przedstawiano, żeby pomoc wyobraźni była potrzebną do jej urzeczywistnienia. „Rzeczywistość powinna się rozciągać w napięciu między malarzem (w ogóle artystą) a widzem i obaj winni spełniać co do nich należy, a gdy wyobraźnia widza zerwała się i sprawiła co mogła najlepszego, wtedy, z jej pomocą i wśród jej pełnej akcji, potrzeba, ażeby ten widz mógł rzec: *Mam takie uczucie, jak gdybym się znajdował w rzeczywistem miejscu lub widział rzeczywiste zdarzenie — lecz nigdy bez owej pomocy*“³⁾. Tem to prawem nateżonego o ile możliwości współdziałania wyobraźni z siłą faktu w wyższych wizjach piękności tłómaczy się naszemu autorowi zjawisko częste, iż niedoskonale szkice miewają urok, którego nieraz braknie najlepiej wykończonym obrazom. Urok ich nietyle pobudza wyobraźnię, ile imponuje jej na podobieństwo samej natury, większe stawiając żądania i drażniąc zawartą w nich nagana⁴⁾.

Ale jeśli widzenie piękna, mogące dojść do skutku tylko przy współdziałaniu wyobraźni, jest celem utworu artystycznego, to jest ono także, i nie w niższej bynajmniej mierze, jego punktem wyjścia, jego źródłem i rodzicielem, a wobec tego musi utwór w tem wszystkim, czem od przedstawionej rzeczywistości się różni, wyrażać duchową naturę widzenia i ujawniać w grze twórczej wyobraźni potęgę i inteligencję ludzkiej duszy, zdolnej do społecznego pożytku⁵⁾.

1) J. w. „Nothing but the Truth“.

2) J. w. „So much Truth as possible“.

3) J. w. „Between the painter and beholder, each doing his proper part, the reality should be sustained and (as) beholding imagination has come forward and done its best, then with its help and in the full action of it the beholder should be able to say: I feel, as if I were at the real place or seeing that real incident. But not without that help“.

4) J. w., § 18. Takim dłuższem omówieniem sensu należy mojem zdaniem przetłómaczyć wyrażenie: „Excite the imagination less, but like nature itself taxes it more“.

5) J. w., § 19. „Another infinite advantage possessed by the

W wyborze, układzie, przenikającym wejrzeniu i łagodnym rozproszaniu uczy nas dalej Ruskin poznawać „nadnaturalne działanie“ (*supernatural operation*) i postrzegać nie tylko krajobraz lub wydarzenie jakieś, jak w zwierciadle, ale „przytem i obecność najcudowniejszego dzieła, wielkiego ludzkiego ducha, w którego przeźroczu tamte objawiły się nam“ ¹⁾.

Wszystkie te myśli o pokrewnych motywach biegają jakoby ku jednemu wierzchołkowi, ku owej zdaniem naszym nieodzownej, a przez Ruskina jednakże stanowczo i wyraźnie nieprzeprowadzonej syntezie prawdy i wolnego ruchu duszy w pięknych widzeniach. Ruskin odczuwał najwidoczniej tę potrzebę instynktownie, bał się jednakże zamykać w system tkwiącą na ich dnie istotę dążeń ku pięknu. Kto jednak chce poznać a ocenić wewnętrzną spoiłość i uzasadnienie tej całej estetyki, musi wglądać i w te ukryte, bądź nierozwiązane, bądź niedopowiedziane jej założenia i konsekwencje.

Intuicyja prawdy, czynnością wyobraźni dokonywana, różni się zupełnie tak przebiegiem swym, jak przedmiotem, od poznawania w ścisłym znaczeniu, czyli przy pomocy logicznych funkcji i praw. Wrodzonego popędu wyobraźni ku tworzeniu i kształtowaniu nie może do siebie przykuć i uwagi jej zaprzątnąć to, co jest jednostajnem, ogólnem, powszechnem, a więc cała sieć przyczynowych związków między zjawiskami następujących w nieprzerwanych ogniach wedle stałego prawa fizycznego lub psychicznego i nadających rzeczywistości z tego punktu widzenia pozory jednego wielkiego mechanizmu, nie tylko musi być obojętną dla wyobraźni, ale nawet w pewnej mierze przytłumiać jej pracę lub odstręczać od siebie przez brak zmysłowego punktu oparcia i sprowa-

picture, that in there various differences from reality it becomes expression of the power and intelligence of a companionable human soul“.

¹⁾ J. w. „In all this: choice, arrangement, penetrative sight and kindly guidance we recognize a supernatural operation and perceive not merely the landscape or incident as in a mirror, but besides the presence of what most wonderful piece, the great human spirit, through which it is manifested to us“.

dzenie różnorodnych objawów do bardzo prostych i podobnych do siebie składników, jak n. p. w ilościowych stosunkach ruchu, napięcia, skupień lub rozpraszania się elementów i t. p. Natomiast każde dostrzeżenie objawów *indywidualnej twórczej siły*, organizującej kierunki ruchów i kształtów materji według jakiegoś widocznego czucia lub planu, musi na życie wyobraźni działać niezmiernie zapładniająco i podniecająco. Ona sama przenosi się w te stany, odczuwa każde łamanie się i każde zwycięskie przedarcie się owych twórczych energii jak swój własny czyn i swe własne życiowe doświadczenie i w takich to rzutach przystosowuje się do prawdy i zarazem rozwija jej idealną treść, t. j. całą tęczę *możliwych* objawień się i działań, które, jakkolwiek nieurzeczywistnione w danej chwili i miejscu, wydają się wyobraźni niemniej naturalnym i prawdopodobnym wpływem pewnej potęgi kształtującej, a są jej pełniejszym wyrazem. *Przenika* więc taka wyobraźnia i tworzy równocześnie w myśl wyluszczonej wyżej poglądów Ruskina. Chwyta prawdę według przekonania intuicyją nabytego istotną i poruszona nią do najdalszych głębi swych uczuć i wyobrażeń, roztacza jej konsekwencye. Przekonanie o prawdzie musi być mocnem i szczerem, gdyż inaczej brakłoby niezbędnego pierwiastku wzruszeń gorących i głębokich, a gdy nie wyrabia się ono drogą rozumowania logicznego, musi wypływać z innego niemniej wymownego źródła: ze spostrzeżeń licznych, pełnych i jasnych, a zarazem z żywego i wyrazistego poczucia własnych wewnętrznych prądów energii, bo tylko przez podobizny i analogie z temi prądami pragnienia i woli może wyobraźnia rozumieć i ujmować energie kształtujące materję w świecie zewnętrznym.

Tak więc w rozwoju poczucia piękna widzimy ustawiczne wzajemne oddziaływanie i potęgowanie się świadomości dla form zewnętrznych, danych duchowi jako niezależne od niego, ze świadomością własnych wewnętrznych bodźców i poruszeń. Uczymy się rozumieć i oceniać wartość owych form estetyczną, t. j. dla samego ich naszego oglądania, w miarę, jak odnajdujemy w nich wyraz działania sił żywotnych, inteligencyi, czucia, ruchu, podobnych do naszych, względnie objawy potęgi rozumnej a dobrotliwej, u której te

przymioty życia są w niezmiernie wyższym stopniu, niż u nas. Z im większym jednak przejęciem się i zapomnieniem o sobie samych, t. j. o naszych najsilniejszych, przez moc nawyknięcia i najjaśniej nam przytomnych pragnieniach i upodobaniach, zdołamy oddać nasze władze spostrzegawcze na usługi dla delikatnego ujęcia „dróg, któremi rzeczy biegną“, tem obficiej i tem bardziej niespodzianie, z jakąś samorodną świeżością i pierwotnością odsłania się nam ich własne piękno czy to w rozumnym układzie, czy w tętnie życia, a w przeblasku jego wynurzają się z ukrycia strony wrażliwości naszego wnętrza o wdzięku dotychczas niedosłyszalnym, a dopiero teraz wzmocnionym i zabarwionym przez reakcyę uczucia wobec takich subtelniejszych przymiotów rzeczy. W ten sposób wyobraźnia, która trzymała dłużej swą uwagę na uwięzi faktów i całą swą energię umiała na to wyteńczyć, aby wszystkie uchwytnie przejścia, odstopniowania i odcienie w związkach tych faktów odbiły się w pewnych ruchach świadomości i w ich wyjawianiu, niekoniecznie jest skazaną na stłumienie i ostudzenie w swych gorętszych, swobodnych porywach, lecz owszem w takiej twardej szkole najlepiej wyzwolić się może od tego, co ją zacieśnia w ramach uwarunkowanego bytu jednostki ludzkiej, z wszelkiej rutyny, z nawyknień ślepych, z żelaznej obręczy mechanicznie od dzieciństwa w jej soki wpojonych wyobrażeń. Ten postęp jednak ku rozpostarceniu horyzontu tworzenia do możliwie najszerszych granic, zależny jest od jednego ważnego warunku: aby wyobraźnia, wpijając się w stosunki faktów, podawane jej przez spostrzeżenia, przyswajając sobie każdy sposób ich powiązania, który wzbogacić może jej zmysł dla form o nowe dotąd uśpione drgnięcie, przy tem uświadamianiu kształtów i odtwarzaniu ich nie zachowywała się mechanicznie, nie odpowiadała na nie biernem echem, nie przyjmowała ich jako nagi, zmysłowy wyłącznie fakt, ale żeby w każdym z zewnątrz chwyconym, a następnie przez nią odrysowywanym stosunku umiała wyczuć jego *znaczenie pod powierzchnią formy*, wejść w przeszłość i przyszłość przedmiotu, które w danym szczególe jego linii lub powierzchni, barwy lub oświetlenia się objawiają, a przedewszystkiem upatrzeć w nich wyraz stanów, kolei i działań potęgi, która niemi porusza,

albo je ożywia. Takie to ściśle zetknięcie wyobraźni z prawdą wystawiał sobie Ruskin jako ideał i po niem spodziewał się najwyższych owoców dla rozrostu natchnień i mocy twórczej samej wyobraźni. Przyznawał, iż ta czynność duchowa musi mieć w sobie także i pierwiastek nierealny, a to tak co do środków, gdy przywołuje wyobrażenia jednych przedmiotów za pomocą wrażeń z dziedziny innych zgoła odmiennego rodzaju pochodzących, jak i co do samego przedmiotu twórczości, który właśnie tem zwykł zyskiwać na uroku, że rzeczywistość już albo jeszcze mu nie odpowiada. Jednakże to oddalenie od faktu dotykalnego pojmował zawsze jako uzupełnianie prawdy, a nie jako krok zbaczający od niej lub przestępstwo wobec jej nakazów. Wyobrażenia, rozwinięta zdrowo, zgodnie z wyluszczonej wyżej jej własnościami i potrzebami, przepojona głębokim poczuciem głosu prawdy, tak, iż on stał się jej własnym sumieniem, działa u wyobrańców jak odnoga wielkich sił kosmicznych wszechświatowych. Sięgnąwszy aż do krańców bytu określonego, rozwija jego ciąg dalszy, wysnuwa to, co dotąd było tylko możliwym, ale z ducha i treści owych sił niezbiecie wypływa, a będąc wyrazem i, co więcej, ośmielającym bodźcem i początkiem rezultatu dążeń człowieka ku celom bardzo dlań żywotnym, przynosi w skutku swym pomnożenie jednej wielkiej rzeczywistości, obejmującej w sobie świat zewnętrzny wraz ze światem wewnętrznym, o energie, które ją pędzą ku nowym formacyom.

Taka przekonaniem mojem nasuwa się synteza dwóch przeciwległych pierwiastków estetyki Ruskina, prawdy w widzeniu, a twórczości w kształtowaniu piękna, wyobraźni, która odbiera wrażenia i przejmując się wzruszeniami, i wyobraźni, która przenikając pierwsze i wynajdując pobudki dla drugich, rozwija obraz świata realnego i dopełnia swoim idealnym w całokształcie, którego wyższa, pełniejsza, wzniesiona ponad to, co jest „tutaj“ i „dzisiaj“, prawdziwość nakrywać się winna z jego bezwzględną wartością. Okoliczność, że Ruskin sam wyraźnie tej syntezy nie sformułował, nie ujmuje znaczenia podwalinom, które dla niej położył, mieści się ona bowiem ukrycie w samych jego pojęciach o tych czynnikach widzenia i tworzenia i o zachodzących między nimi stosunkach. Możnaaby co najwyższej zauważyć, iż z pobudek prakty-

cznych, jako doradca i krytyk, podkreślał mocniej doniosłość strony przedmiotowej w artyzmie i cenił w nim głównie ujęcie prawdy, nie widział zaś potrzeby w tym kierunku, by osobnemi zachętami hodować bujne indywidualizmy, w ogóle żywioł podmiotowy w sztuce. Niewątpliwie powodowała nim tu trafna myśl, że tylko reguły i rutyna, tak gorąco przez niego zwalczane, mogą krępować i tłumić poddające im się indywidualności, a przeciwnie, wierny posłuch dla prawdy wyrabia najcenniejsze zasoby subiektywizmu, t. zw. jaźni artystycznej: siłę przekonania, rozległość skali nastrojów, ich czułość i branie sprawy ogólnej tak żywo do serca, jak gdyby była własną, osobistą.

Takie upatrując najpewniejsze drogi dla wcielania piękności wykwitłej u samego szczytu władz i dążeń ludzkich, zapragnął Rnskin wychować pokolenie znawców i lubowników, którzyby kierunkiem swych upodobań i żądań działali na rozwój sztuki i indywidualności artystycznych w duchu tych teoryj, a to nie przez mdłe, ogólnikowe frazesy, ale siłą nabytego w praktyce zrozumienia zasad i zadań rysunku, kolorytu i kompozycyi. Ten cel wytknął sobie w niewielkiej książce p. t. *Elementa rysunku (Element of drawing)*, wydanej wkrótce po III-im tomie *Malarzy nowożytnych*, zastrzegając się u wstępu, że nie zamyśla w niem podawać recept samym artystom na powodzenie i wielkość, coby się sprzeciwiało najistotniejszym zasadom jego estetyki, ale iż chce tylko laikom otworzyć źródło mnogich uciech, nauczyć ich przedewszystkiem patrzeć na dzieła sztuki i na subtelności piękna w naturze, a następnie, o ileby poczuli w sobie zdolność i ochotę do odtwarzania prawdy w naturze, wskazać im, jak najbezpieczniej, bez popadania w manierę i najłatwiej, bez szczególniejszych darów talentu, wniknąć zdołają przy odpowiedniej sumiennosci i wytrwałości w najważniejsze arkana sztuki rysunku i kolorowania i zapoznać się w praktyce z głównemi momentami, które składają się na wrażenie osiągniętej prawdy istotnej i o sile i jasności tego wrażenia decydować mają zdaniem autora.

Z pośród tych momentów jeden jest szczególnie znamienny, a tem cenniejszy, że po nitce jego da się śledzić szereg pewnych zmian, które zaszły później w zapatrywa-

niach Ruskina, a więc ewolucya, jednakże nie w samych podwalinach jego estetyki, tylko w jej zastosowaniu do środków i zadań techniki artystycznej. Mianowicie w *Elementach rysunku* nie przywiązuje ich kodyfikator samoistnej wagi do konturu liniowego (*outline*), a to z tego powodu, że tenże już jest owocem pewnej abstrakcyi z bezpośrednio uchwytnych wrażeń masy i powierzchni. W naturze nie widzimy właściwie konturu czystego, t. j. takiego obramienia kształtów, któreby się od reszty pola naszego widzenia odcinało linią matematyczną o jednostajnie natężonej wyrazistości, czyli linią jednakowo ciemną lub jasną i jednakowo wąską. Widzimy tylko jaśniejsze i ciemniejsze części powierzchni, a odstopniowania tych jasności dają nam wyobrażenie o nachyleniu jednej powierzchni do drugiej, o tem, czy są płaskie, czy też wypukłe lub wklęsłe, o ich krawędziach i nierównościach, o stronie, z której na nie pada światło, a wreszcie i różne stopnie jasności barw mogą się wyrażać mniejszem lub większem przyciemnieniem powierzchni widzianej w szarym zmroku, gdy się zaś zważy, że rysownik nie rozporządza innymi środkami do oddania właściwej jakości kolorów i ich wzajemnego stosunku służącymi, należy uznać, że ma on nie tylko prawo, ale i obowiązek w miarę możliwości i tę stronę wyglądu przedmiotów za pomocą odpowiednio delikatnych przejść od jasności ku ciemności objawić. Biorąc za punkt wyjścia owo konkretne wrażenie pewnych mass ocienionych, dobywających się z białego tła, sądzi Ruskin, że usilność początkującego powinna się przedewszystkiem zwracać ku należytemu chwyceniu stosunków, rozczłonkowań i gradacyj między światłem i cieniem. Pierwszym szczęśliwym krokiem na drodze do prawdy jest, według niego, osiągnięta sztuka w jednostajnem i stopniowanem do woli cieniowaniu przedstawianych powierzchni. Przez nią dochodzi się z wolna do uwypuklania rzeczy, względnie uwydatniania ich chropowatości, trafność zaś linii określających kształty, czyli wspomnianego wyżej konturu liniowego, jest już tylko owocem pochodnym, ubocznym niejako, biegłości uzyskanej w uwidocznianiu cieni, czy też światła, które padają na mniej lub więcej ostre krawędzie, czy też brzegi przedmiotów. Takimi bowiem tylko krawędzmi lub brzegami i niczem więcej są

przesadnie w doniosłości swej oceniane przez akademickich mistrzów rysunku kontury i profile form.

Tak więc szukać prawdy przy odtwarzaniu przedmiotu nie znaczy, zdaniem Ruskina, biedz z drobiazgową, trwożliwą dokładnością za liniami jego kształtów, tak, jak je obejmujemy doraźnym rzutem oka, ale raczej posuwać się wszere i wzdłuż na całej płaszczyźnie pola widzenia i starać się nadać jej przez stosowne wzmacnianie i łagodzenie cieniów wrażenie głębokości, odpowiadające wazeniu się i ścieraniu różnych mass, z których całość objętego widzeniem przedmiotu się składa. Wtedy to uwaga musi rozwinąć całą pełnię swych *czynnych* przymiotów. Obok uporeczywej wytrwałości, potrzebnej do tego, by utrzymać ciągłość w postępie natężeń cieniowania od jaśniejszych ku ciemniejszym miejscom, potrzebna jest jej nadzwyczajna czujność w chwyтaniu zmieniających się kierunków i cbyżości każdego takiego potęgowania cieniów, a nadto musi być ona bystrą i subtelną w rozróżnianiu, czy i o ile pewna grupa cieniowań odpowiadać ma jedynie przestrzennym stosunkom danych przedmiotów, nachyleniom, krzywiznom, szorstkości lub innym tym podobnym cechom ich powierzchni, czy też i jakimś silniejszemu ich oświetleniu z pewnych stron i czy jeszcze w dodatku skala barw nie domaga się, by ją w rysunku przełożono na odpowiednie stopnie jasności.

Ten wyższy zasób żądań, zajmujących uwagę, a ściśle połączonych z takim traktowaniem widzialnej formy przedmiotów, jest dla Ruskina najbezpieczniejszą poręką, że rysownik nie ulegnie żadnemu mechanizmowi ani w ruchu swej wyobraźni, ani w pociągnięciach ręki, że nawet w najskromniejszy szczegół swej czynności włoży drgnienie jakiejś dodatniej strony duszy własnej. *Każda bowiem zaleta wykonania artystycznego ma swój ekwiwalent (odpowiednik) w wybitnie moralnych przymiotach wykonawcy*¹⁾. „Jakaokolwiek

¹⁾ *El. of Dr.*, III, 165. „There is no moral vice, no moral virtue which has not its precise prototype in the art of painting... man be illustrated by conditions of lines and colour — the utmost noblenesses of art are concerned in this minute work“.

wielkość lub dobroć możemy sobie wyobrazić w społeczeństwach ludzkich, powstającą z przywiązania lub niezgody, gorączkowego pośpiechu lub spokoju, chwiejności lub stałości, ściśle ten sam rodzaj dobroci lub wielkości spłynie na obraz z tegosamego źródła¹⁾. „Prawa, które rządzą pięknym układem rzeczy widomych, zachowują moc swoją i w świecie moralnym. Można zawsze dokładnie się upewnić o szlachetnych znamionach w utworze malarskim, rozważając, jakie są szlachetne znamiona człowieka w jego pożyciu z bliźnimi — ile korzyści lub szkody może być z szorstkości manier, albo przeciwnie z ich odtajania i delikatnego obycia właśnie i ściśle ten sam stopień dobroci cechuje je jako pierwiastki układu malarskiego²⁾. Czystość kolorytu jest w duchu tych zapatrywań echem wstydlivości umysłu, tak, jak w surowości form przejawiać ma się sposobem naturalnym regularność życia z prostotą obyczaju połączona, a wreszcie symetrii mass odpowiadają równe szale powagi (*balance of authority*)³⁾.

Przytoczone tu zdania miały w późniejszych o lat 13 prelekcjach oxfordzkich „o sztuce“ zostać jeszcze dobitniej i jaskrawiej sformułowanemi, zaród zaś tego przekonania o ścisłym związku cech i pociągów w duchowej organizacyi artystycznej z moralnemi właściwościami charakteru, był już widoczny w *Siedmiu pochodniach architektury*, gdzie Ruskin tak znaczną usilność poświęcił psychicznym pobudkom i różnorakim ich wyrazom w tej sztuce. Wtedy, gdy pisał *Ele-*

1) J. w. „What kind of goodness or greatness we can conceive to arise in companies of men from affection and discord, fretfulness and quietness, feebleness and firmness, precisely the same kind of goodness and greatness may be given to a picture by affection and etc.“.

2) „The same rules in beautiful arrangement in visible things, that hold in moral things... you may always accurately ascertain what are the noble characters in a piece of painting, by considering what are noble characters of man in his association with his fellows... what advantage or harm there may be in sharpness, suggestedness or quaintness, precisely the same characters in them as elements of pictorial composition“.

3) J. w.

menta rysunku, umiał jeszcze ustrzedz się od późniejszego jednostronnego nieco objaśniania zalet artystycznych, moralnemi. Szedł wówczas, jak się zdaje, za światłem przewodniem *prawa ciągłych stopniowań*, w którym zarówno natura, jak każda misterniejsza twórczość ludzka, odsłaniały mu formę uszeregowania zjawisk tak powszechną i codzienną, a w tak wysokim stopniu godną uwagi. Upatruje w niem, obok strony zewnętrznej przejawów, wewnętrzną. Mianowicie wyraża mu ono stopniową zmianę i postęp w duszy ludzkiej¹⁾. Z tej też przyczyny zapewne uważa przestrzeganie tego prawa za podstawę i warunek wszelkiego wyrazu. „Prawie każde wyrażenie formy zawisło od zdolności delikatnego stopniowania“²⁾. Gdy znów ta zdolność i w ogóle przymiot artysty polega na delikatności spostrzeżeń³⁾, przyjął za rzecz pewną, że sztuka prawdziwa nie zna biernych mechanicznych odruchów, któreby były owocem nabytej wprawy lub miały znamionować wrodzony talent i łatwość, ale iż przeciwnie, życie jej tętni w *ciągłym*, t. j. wnikającym w minimalne odstępy czasu i ruchu związku wyobrażeń z czynami wykonawczemi. Każdy taki, choć najdrobniejszy, czyn: pociągnięcie ołówka, rylca, czy pendzla, musi, jeżeli ma być istotnem kształtowaniem, pozostawać nadzwyczajnie czułem a wiernem odbiciem widzeń i intencyj twórczych, które, acz niekoniecznie na każdym punkcie obdarzone jasną i pełną samowiedzą — widzieliśmy już bowiem, jak Ruskin podkreślał ich wielokrotną instynktowność — każdym momentem ruchu fizycznego kierować powinny, tak, ażeby wszędzie w ich różniczkowaniu się drgała dusza, a nie zgoła lub możliwie jak najmniej posunięć było dziełem nawyknienia.

1) J. w. „Gradation is to colours just, what curvature is to lines, both being felt to be beautiful by the pure instinct of every human mind expressing the law of gradual change and progress in the human soul, *universality of the law of gradation* revealed by studying production of mixed tints by interlaced touches“.

2) J. w., III, 175, I, Exerc. 3. „Nearly all expression of form depends on your power of gradating delicately“.

3) J. w. Przedmowa, 7. „Excellence of an artist depends wholly on refinement of perception“.

Jakkolwiek na trafność (*rightness*) linii kładzie Ruskin i w tem dziele swoim znaczny nacisk, jednakże są mu linie wobec całości kształtu czemś pochodnem, „krawędzią cieńa“, a istotnego znaczenia nabierają dopiero wtedy, gdy są „kierowniczymi i rządzącymi liniami“¹⁾, gdy są to linie, „które miały władzę nad minionymi kolejami jakiejś rzeczy“²⁾, charakteryzującą pewną akcyę³⁾, lub wreszcie odpowiadają kierunkom wzrostu, u liści n. p. i drzew, stosując się z jednej strony do ogólnego prawa promienistości (*law of radiation*), z drugiej strony objawiając w ramach tego prawa pewną swobodę i energię żywotną indywidualnych odchyień⁴⁾.

Z przytoczonych ustępów jest widocznem, że Ruskin wówczas, gdy pisał *Elementa rysunku*, nie uznawał pierwotnej i bezpośredniej wartości estetycznej pewnych linii dla oka, ale sprawione przez nie wrażenie tłómaczył jako wypadkową działania takich stosunków zachodzących w układzie mass, w których nam się uwydatniają prądy życia, kierunki energii, cała odporność i miąższość przedmiotów. Brał za punkt wyjścia i podstawę wrażeń pełną, bryłowatą, częścią oświetloną, a częścią zacięną zmysłową rzeczywistość ciał, z uwagi, iż linie, które zdają się ją zamykać i rozczłonkować, wynikają częściej z umieszczenia tych ciał wobec widza, niż z praw rządzących ich powstawaniem i krystalizowaniem się lub organizacją, i że linie te, jak przy perspektywicznych rzutach i skróceniach, nieraz nawet bardzo znacznie oddalają się od obiektywnie prawdziwych rozmiarów i kierunków.

W późniejszym natomiast dziele p. t. *Prawa Fiesolańskie z r. 1877*, żąda Ruskin przedewszystkiem wielkiej ścisłości pomiarów i dokładności w rysunku linii konturowych,

1) *E. of D.*, II, 102. „Leading and governing lines“.

2) *J. w.*, 103. „Lines, which have had power over its past fate“.

3) *J. w.*, 108. „Lines indicative of action“.

4) *J. w.*, 127. „They always in the main tendencies of their lines indicate a beautiful divergence of growth, according to the law of radiation and the second, that this divergence is never formal, but carries out with endless variety of individual line“.

a kwestye dotyczące światłocienia omawia dopiero na szarym końcu. Z pojęcia linii jako przyciemnionej lub rozjaśnionej krawędzi mass, pozostało tu tylko słabe echo w zastrzeżeniu, że nie cała linia, ale tylko jej wewnętrzne ostrze, t. j. strona widziana od wnętrza rysowanego kształtu, winno oddawać wiernie formę powziętą widzeniem oka lub wyobraźni. Tych różnic nie wyrównuje okoliczność, iż Ruskin w *Prawach Fiesolańskich* zajmuje się nietylko zadaniami rysunku i kolorystyki z natury, ale także rysunku czysto ornamentacyjnego i geometrycznego. Raczej w całym jego poglądzie dokonała się ewolucya w kierunku podporządkowania wrażeń formy pewnym bezwzględny i to głównie etycznym punktom widzenia. Opuszczył wątek spostrzeżeń i myśli bardzo płodnych i oryginalnych o przejawach potęg kształtujących w stosunkach mass i o chwytności wyrazistej prawdy tych stosunków przez promienistość i stopniowość natężeń jakiejś cechy, co nam pozwala oglądać rzeczywistość w świetle energii przenikającej i ożywiającej świat materyalny, która go raz jednoczy i zestraja, a raz budzi przeciwieństwa i walk w jego łonie. Ten dramatyczny, czynny żywioł w objawianiu się piękności i jej rozumieniu ustąpił teraz miejsca bardziej biernemu, lirycznemu zachowaniu się ducha, mającego ją odczuć i odtworzyć. „Każda wielka sztuka jest chwalbą“, t. j. „wyrażeniem rozumnej i uporządkowanej uciechy w formach i prawach stworzenia, którego częścią jest sam radujący się niemi człowiek“¹⁾. Ta uciecha przybiera u naszego autora postać w rodzaju religijnego kultu, którego przedmiot jest nietykalny i w szczegółach z osobna wziętych, a *nietylko w ich stosunkach i relacyach* winien być jak najwierniej i jak najściślej uchwytywanym. W doborze zaś tych szczegółów i ich porządku *ma być przewodnikiem zmysł moralny*. „Największa sztuka przedstawiać każdą rzecz z absolutną szczerością, do jakiej tylko jest zdolną. Lecz wybiera rzeczy najlepsze do przedstawiania i umieszcza je w najlepszym porządku, w jakim zgoła mogą być widzianymi.

¹⁾ *L. o. F.*, I, 1. „All great art is praise, is the expression of his rational and disciplined delight in the forms and laws of the creation, of which he (man) forms a part“.

Oceniać, co jest najlepszem, można tylko z postępem czasu, poprawiając własny charakter. Ale nauczyć się tego, co jest prawdziwem, można już teraz, jeśli się chce¹⁾.

Nawet tony barw, których względność i wzajemne po-
tęgowanie się i osłabianie Ruskin ze szczególnym naciskiem
podnosił w *Elementach rysunku* i innych pismach swych
z przed r. 1860, urastają w tej późniejszej fazie jego este-
tyki do wartości bezwzględnych. „Koloryt — twierdzi w przy-
pisku do przedrukowanych w VIII rozdziale *Praw Fiesolań-
skich* ustępów z wyżej wspomnianego dzieła — jest niemniej
pozytywnym, jak linia, można też utrafić w daną barwę, albo
nie utrafić, taksamo, jak się odrysuje lub nie odrysuje danej
elipsy lub kwadratu“. Jako taki n. p. szczególnie godny po-
chwycenia wzór (*standard*) tonu barwnego, zaleca lazur po-
rannego nieba, a jednostajne i szczelne wypełnianie jednym
kolorem wnętrza konturów liniowych uchodzi mu za pierwszy
niezbędny krok w ćwiczeniach około wyrobienia techniki ko-
lorystycznej.

W takim uginaniu się przed odosobnionemi faktami
i przyznawaniu decydującego prawa wyboru między niemi
jedynie nieuchwytnemu moralnemu poczuciu większej lub
mniejszej szlachetności czy dobroci, a nie, jak dawniej, tę
sprawę Ruskin pojmował, poruszeniem całej osobistości du-
chowej w czynach wyobraźni przenikającej i dopełniającej
całość z życia części, nie możemy dopatrzeć się znamion or-
ganicznego rozwoju i postępu teoryj estetycznych wyżej ba-
danych, ale przeciwnie, pewną zaturę ich wszechstronności,
zanik bujnego rozpędu postrzeżeń i idei, danych już nie w za-
rodzie, ale w bardzo jasnych i stanowczych rzutach. Przy-
czyny tego zwięzienia zakresów poglądu na możliwe warunki
i postacie piękności, dadzą się tylko z niejakiem prawdopo-
dobieństwem odgadnąć. Zwróciwszy punkt ciężkości swej

1) *L. o. F.* II, Aph. 1. „The greatest art represents every-
thing with absolute sincerity as far as it is able. But it
chooses the best things to represent and it places them
in the best order, in which they can be seen. You can
only judge of what is best, in process of time, by the
bettering of your own character. What is true, you can
learn now, if you will“.

uwagi na niedostatki ustroju społecznego i gospodarczego według modły teoretyków bezwzględego liberalizmu w ekonomii, widział Ruskin główne źródła złego w nadużyciach wolnej konkurencji i w doktrynerskim sankeyonowaniu egoistycznych pobudek, jako wyłącznie silnych i skutecznych, tam, gdzie codzienne potrzeby mają być zaspakajaniem. Widział też, jak rosnąca bezczelność w głoszeniu wyzysku słabszego przez silniejszego i w lekceważeniu wymagań i pociągów moralnych w dziedzinie ekonomicznej szła w parze z coraz większym oszpeccaniem życia potocznego tak przez masowy, maszynowy i tani sposób wytwarzania środków do egzystencji, jak przez obniżanie artystycznej strony w każdej pracy, jak wreszcie przez przewrotne, jego zdaniem, ocenianie i popieranie konsumpcji, mianowicie nie w tym kierunku, aby zużywane dobra wewnętrzną swą jakością i wartością przynosiły szczerą uciechę lub prawdziwy pożytek — ale tylko w tej czysto zewnętrznej, mechanicznej tendencji, aby zwiększał się obrót dóbr niepożytecznym chociażby zatrudnianiem jak największej liczby ludzi i aby używający mieli w okryciu się blichtrzem zbytku nagrodę za dostarczanie zarobku potrzebującym. Widok tych brzydot, połączonych z ubożeniem zmysłu moralnego, prowadził, jak się zdaje, Ruskina do skrajnych konkluzyj, iż wszelki w ogóle bujny indywidualizm jest szkodliwym zarówno dla piękna, jak dla etycznego dobra, że każda wytwórczość jest tylko o tyle godną poszanowania, o ile poddaje się jakiemuś nieosobistemu prawu lub prawdzie, nie zaś, o ile jest wykwitem subiektywnych zachcianek i że w końcu nie można za żywiół postępu moralnego i estetycznego uważać walki na ogół, a zwłaszcza walki jednostek współzawodniczących o chleb lub pierwsze miejsce, ale jedynie bój za jakąś ogólną sprawę, której ktoś jest wiernym rycerzem-sługą. Te ideały, a głównie ideał powszechnego rycerstwa pracy, któreby wołało zginąć, aniżeli nie wypełnić swoich obowiązków, niż wyzyskać owoc pracy na czyjąkolwiek szkodę lub kogokolwiek co do wartości tego owocu oszukać, ośwładnęły od r. 1860, od wyjścia czterech *essay'ów* pod zbiorowym tytułem *Unto this last (I temu ostatniemu jako Tobie)* tak silnie umysłem Ruskina, że i w obrębie sztuk pięknych pierwiastek osobisty, t. j. wyraz

świeżych, bezpośrednich, indywidualnie zabarwionych wrażeń i uczuć, jako też niemniej podmiotowego działania wyobraźni, utracił w jego oczach znaczenie i wartość, przyznawane mu dawniej.

Nie sztuka, operująca kontrastami i przejściami, masami i stopniowaniem, światłowieniem i tonacją, lub uderzająca oryginalnem ujęciem przedmiotu, wydawała mu się teraz najwyższą, ale ta, w której dostrzegał najwięcej baczności i miłości dla rzeczy samej, najwięcej równowagi i pogody, oznak moralnego zdrowia, sztuka Giotta i „Fiesolańczyka“ Angelica, Belliniego i Luiniego, Carpaccia i Tintoretta — Botticelli zaś i odpowiadający mu zdaniem Ruskina na północy w rytownictwie Dürer, ujmowali go sobie głównie przez symbolikę stanów i prawd moralnych. W pierwszych prelekeyach „o sztuce“, mianych w Uniwersytecie oxfordzkim w lutym r. 1870, świeżo po objęciu ufundowanej przez Slade'a katedry sztuki, najobszerniej i najwymowniej uzasadniać miał te poglądy, streszczając je w tem, że tylko albo prawda, albo pożytek (*use*) czynią sztukę cenną¹⁾, że nią rządzą, taksamo, jak sprawami moralnemi, miłość porządku i miłość dobroci²⁾, a przedewszystkiem, iż niema takiej zalety, ani takiej wady w wykonaniu artystycznym, któreby z pewnych moralnie dodatnich lub ujemnych stron duszy nie wypływały i ich przy bystrzejszem patrzeniu nie dawały na sobie odczytać³⁾. Wierzchołkiem wszystkich w tym

1) *Lect. on Art.* III, 98. „Entire vitality of Art depends upon its being either full of truth or full of use, (II, 31). Fine Arts have for their objects either the support or the exaltation of human life“.

2) *Lect. on Art.* III, 88. „These essential instincts of humanity, love of order and love of kindness deal with: 1-o earth, 2-o surrounding life. *ibid.* 86. Criterium: precise force first of absolute courage and then of the energy in you for the right ordering of things and kindly dealing with persons“.

3) *J. w.*, III, 75. „All good has its origin in good, if there is sterling value in the thing done, it has come of a sterling worth in the soul. III, 67. The fineness of Art an index of the moral purity and majesty of the emotion, it expresses. III, 68, language is clear bonnily, when it is

kierunku padających wywodów i twierdzeń stały się owe sławne lotne słowa, urastające do godności dewizy całej późniejszej filozofii życiowej Ruskina: „Daleko do tego, żeby sztuka była z istoty swej niemoralną, raczej *mało która sprawa po za jej obrębem jest moralną*, bo życie niezapobiegliwe („bez przemysłu“) jest grzechem, a zabiegliwość bez sztuki brutalnością“¹⁾.

W argumentacjach tych należy w każdym razie, bez względu na jaskrawy sposób wyrażenia, uznać trafne odczucie faktu, że zarówno etyczne, jak estetyczne potrzeby i skłonności człowieka osadzone są w najgłębszych pokładach jego natury, że płyną z jednej twórczej i kształtującej całą ludzką kulturę energii duchowej, a tak długo zachowują żywotność i zdolność do wszechstronnego, pełnego i upoczywiewnie ciągłego rozwoju, jak długo niema między nimi rozdwojenia, t. j. jak długo głos upodobań dla kształtów, zaprzatających wyobraźnię lub zmysły, nie zaczyna lekceważyć i przygłuszać głosu sumienia moralnego i naodwrot to sumienie nie staje się zbyt ciasno i krótko widzącem przez to, że dyktuje tylko poszczególne nakazy i zakazy co do pozytywnie określonych czynów i intencji, a nie wzywa człowieka, aby kształcił w swym zmyśle dla piękności ogólną wrażliwość i podatność dla szlachetnych, szerokich lub delikatnych poruszeń duszy. Jednakże, jakkolwiek żywo i trafnie odczuwał Ruskin powyższą prawdę, w późniejszej dobie swej działalności pozostawiał w cieniu to, co jest zapewne najistotniejszym warunkiem harmonii między sztuką a moralnością, pierwiastek *umysłowej* równowagi i obejmowania zjawisk z ich prawami, jedynie zdolny przeszkodzić temu, by twory wyobraźni, osnute dokoła motywów samolubnych, zmysłowych lub demonicznie niszczyielskich, nie przywłaszczały sobie pierwszych miejsc w całości pomyśłów, a zarazem jedynie zdolny rozszerzyć widnokrąg rygoryzmowi etycznemu otworzeniem oczu na piękność absolutną, przenikającą wszystkie dziedziny życia, nietylko jego stronę

sympathetic; no noble nor right style was ever yet founded, but out of a sincere heart“.

¹⁾ *Lect. on Art.* III, 95. „Far from art being immoral little else except art is moral, life without industry is guilt, industry without art brutality“.

moralną, nieprzystosowującą się do niczego i niekrępowaną żadnymi nakazami, a jednak zgodną z ich duchowem źródłem, z ich twórczą ideaą, na piękność, której władanie rozpościera się dalej, aniżeli jakiegokolwiek praktyczne cele woli, bo ona tkwi w każdym układzie cząstek, ruchów lub sił zdrażającym jakiś porządek, jakąś organizacyę z ustrojem naszego umysłu pokrewne i jemu dostępne.

Tego nieodłącznego równoważącego i pogłębiającego moment etyczny momentu umysłowego w pięknie i twórczości, nie uwzględniał Ruskin w należytej mierze od czasu, gdy z właściwą sobie wojowniczą i propagatorską dla powziętych mniemań zaciętością rzucił się na pole zagadnień społecznych, mianowicie ekonomii politycznej i wychowania narodowego. Jednakże jeszcze na krótko przed tym przełomem, przy pisaniu ostatniej części *Elementów rysunku* zbudził się w nim właśnie pewien rozmach ku ujęciu i sformułowaniu praw rozumnego układu w tworzeniu dzieł pięknych, której to próbie tem bardziej warto przyglądać się, że i przy tej sposobności autor stale wierny swej zasadniczej odrazie do reguł, przestrzega, by owych praw, mających jedynie *objaśnić* piękność kompozycyi, nie rozumiano i nie przyjmowano jako zbiór niezawodnych *przepisów* na poprawne i udatne tworzenie.

Zaczyna od słownego określenia kompozycyi, iż jest ona złożeniem różnych rzeczy razem, tak, ażeby z nich zrobić jedną rzecz, około wytworzenia której, jej natury i dobroci, tamte wszystkie mają pewien udział¹⁾, a w tych wszystkich wypadkach musi zamierzona jedność być rezultatem układu (kompozycyi). Następnie podaje definicyę rzeczową: „Istota kompozycyi zasadza się na tem, żeby każda rzecz była w określonym należytem miejscu, odgrywała zamierzoną rolę i w roli tej działała korzystnie dla każdej rzeczy innej, pozostającej w związku z nią“²⁾. Kompozycya

1) *El. of Dr.*, III, 188. „Putting several things together as to make one thing of them, the nature and goodness of which they all have a share in producing“.

2) J. w. „It is the essence of composition, that everything should be in a determined place, perform an intended

w tem czystem pojęciu wznosi mu się do godności „typu“, czyli odbicia lub symbolu rządów Opatrzności nad światem w sztukach ludzkich, jest „roztoczeniem w pełnym ładzie pożytków z doskonałej towarzyskości, karności i zadowolenia płynących“ ¹⁾). Szczególnie uderza go ta właściwość kompozytycy, że podczas gdy *zalety* jej sprawiają silne wrażenie nawet na nieukach lub bezmyślnych, jej *dar* jest wyłącznym przymiotem wielkich umysłów i nie można jej wyuczyć ²⁾), lecz tylko stwierdzić pewne proste jej prawa, które wskazują, jaką dobroć mogą osiągnąć z łatwością dzieła początkującego ³⁾ i jak najlepiej da się oceniać wyobrażenia wielkich kompozytorów w swej zdolności objęcia i władzy nad materiałem ⁴⁾).

Na czele tych praw stawia Ruskin „prawo *pierwszeństwa*“. Prawo to określa, iż w dziele, które ma być jednolitą całością, jeden rys powinien być ważniejszym od innych ⁵⁾), jednakże przestrzeganie tego prawa nie śmie być zbyt bijącym w oczy pod karą banalności, a nawet cechą celniejszych kompozycji bywa to, iż trudno o nich powiedzieć, który ton lub która postać jest dominującą. Innym, delikatniejszym i bardziej odpowiadającym wybrednemu smakowi środkiem wyrażenia jedności, jest prawo *powtórzenia* (*law of repetition*) tego samego motywu w stosownych odstępach czasu lub miejsca. Służą takie powtórzenia do tego, by zaznaczyć pewien rodzaj sympatii między różnymi przedmiotami, a może najmilszym, bo najwięcej niespodzianym

part and act in that part advantageously for everything, that is connected with it“.

- 1) J. w., III, 189. „Type in the arts of mankind of the Providential government of the world is an exhibition in the order, of the advantage of perfect fellowship, discipline and contentment“.
- 2) J. w., III, 192. „The essence of composition lies precisely in the fact of its being unteachable“.
- 3) J. w. „Simple laws teaching, what goodness may be in your work.“
- 4) J. w. „Grasp of their imagination and the power, it possesses over their materials“.
- 5) J. w., 194. „Determining, that one feature shall be more important than the rest“.

objawem sympatii jest, gdy jedna grupa szczegółów naśladowuje i powtarza inną, *nie równoważąc* jej symetrycznie, ale jak dalekie, słabe, przytłumione echo¹⁾. W samej symetrii, czyli w wazeniu się części lub mass przeciwstawionych sobie, jako *w przybliżeniu* równe, widzi Ruskin tylko pewien specjalny wypadek zastosowania prawa powtórzeń, jeden z warunków, w jakich traktowanie przedmiotu w myśl tego prawa może się zuaaleść²⁾ i sądzi, że symetria nie powinna być nigdy w sztuce formalną, ani dokładną, tak jak i w naturze niema tych własności, i że wymaga bardzo usilnych starań, aby się zachowała pewna różnica między odpowiadającymi sobie odwrotnymi stronami, rzeczami lub częściami rzeczy³⁾. Szczególnie zaś potęga i wdzięk postaci ludzkiej wypływają z przeplatania się ruchu i życia z symetrią i z połączenia zgodnego równowagi ze zmiennością⁴⁾. W dobrych kompozycjach ta równowaga w symetrii jest zawsze lekką a niekiedy ledwie dostrzegalną⁵⁾.

Trzeci sposób urzeczywistnienia jedności kompozycyjnej polega, zdaniem Ruskina, na stosowaniu prawa *ciągłości* (*law of continuity*), na tem, iż pewną liczbę przedmiotów mniej lub więcej podobnych do siebie umieszcza się w jakimś uszykowanem następstwie i czyni się to następstwo najbardziej interesującym przez stopniową zmianę w wyglądzie lub charakterze przedmiotów⁶⁾ (n. p. arkad w perspe-

1) J. w., 197. „To mark some kind of sympathy among different objects and perhaps pleasantest because most surprising kind of sympathy is, when one group imitates or repeats another as a broken echo“.

2) J. w., 198. „Symmetry or balance of parts or masses in nearly equal opposition is one of the conditions of treatment under the law of Repetition“.

3) J. w. „Takes greatest care to secure some difference between the corresponding things or parts of things“.

4) J. w. „Interference of motion and life with symmetry and reconciliation of its balance with its changefulness“.

5) J. w., 199. „Always easy and sometimes hardly traceable“.

6) J. w., 200. „Giving some orderly succession to a number of objects more or less similar — this succession most interesting, when it is connected with some gradual change in the aspect or character of things“.

ktywie). Taka zmiana poddaje nam ideę, iż owe przedmioty są indywidualnie wolne i że mogłyby, gdyby wołały, wylać się z pod prawa, które niemi rządzi, a jednak poddają się jemu ¹⁾. To też dobrą jest nawet pewna nieregularność zmiany, n. p. w postępującem zmniejszaniu się pozornej wielkości przedmiotów, gdyż wtedy każdy przedstawi się odmiennym, każdy posłusznym i wszystkie razem w harmonijnej służbie ²⁾.

Jakkolwiek Ruskin omawia osobno prawo *krzywizny* (*law of curvature*), to jest mu ono widocznie tylko zastosowaniem do zmian w kierunkach linii prawem ciągłości. Twierdzi, iż wszystkie piękne przedmioty jakiegobądź rodzaju ograniczone są delikatnie zagiętymi liniami ³⁾, chyba, iż prosta linia jest niezbędna do dopięcia celu właściwego ich naturze, wyrażać ma ich stałość i wytrzymałość, a jeżeli, jak u kryształów, cały system takich linii jest potrzebny, wtedy zdaniem Ruskina piękność zasadza się nie na formach geometrycznych, lecz na przejrzystości i kolorze. Według niego rozmaite rodzaje ciągłości w cechach przedmiotu, w massie, a nawet w kolorycie, powinny, o ile to możliwe, uwydatniać się raczej liniami krągłymi, aniżeli prostymi lub kątowatymi ⁴⁾, wdzięku zaś wyróżniającego nabierają krzywizny takie przez dwie właściwości: najpierw tem, iż są *umiarkowane*, o kierunku bardzo zbliżonym do prostoliniowego (względnie, o ile chodzi o krzywiznę powierzchni, do płaszczyzn), powtóre przez swą *zmiennosc*, t. j. wówczas, gdy w różnych częściach swego biegu odchylają się od linii prostych w niejednakiej mierze, czyli gdy kąt albo stopień ich zakrzywienia nie pozostaje nigdy równym, a przynajmniej nie jest taki

¹⁾ J. w. „Suggests the idea of their being individually free and able to escape, if they liked, from the law, that rules them and yet submitting to it“.

²⁾ J. w., 204. „Each different, each obedient and each in harmonious service“.

³⁾ J. w., 205. „All beautiful objects, what soever, are terminated by delicately curved lines“.

⁴⁾ J. w., 206. „Continuities of object, mass or colour should be, if possible, in curves rather than straight lines or angular ones“.

sam na dwóch dostrzegalnie od siebie różnych, jakąś odległością przedzielonych punktach¹⁾. Z tego ostatniego żądania wynika oczywiście, co też Ruskin jako tegoż konsekwencję uznaje, że linia piękna w jego rozumieniu, na której w całej jej długości tętnić ma stała dążność do zmiany kierunku, nie może być ani ułamkiem koła, ani dawać się wyrysować za pomocą cyrklów w ogóle jakimkolwiek sposobem mechanicznym²⁾. Powinna ona mieć w swym pędzie elastyczność (*springiness*), odpowiadającą działaniu soków żywo-nych, n. p. przy naturalnej formacji liścia.

Do powyższych dwóch żądań umiarkowania (*moderation*) i zmienności (*variation*), których uzasadnienie upatruje Ruskin w „prawie krzywizny“, albo, ogólniej biorąc, w prawie „ciągłości“ zmian, dołącza on jeszcze jedno, które na tem miejscu zdaje się być na pozór samowolnym dodatkiem, w gruncie jednakże wypływa z niemniej zasadniczego wyznawanego przezeń poglądu, że linia, jako składnik formy, jest dla wrażeń naszych tylko krawędzią *mass*, dostrzegalną pod różnemi warunkami, jak oświetlenie, przezroczystość środka, punkt widzenia dla profilów i t. p. Otóż tu wychodzi Ruskin ze stanowiska obserwacyi, jak się krawędzie *mass* formują, czy w rzeczywistości spostrzeganej i odtwarzanej, czy też pod ręką rysownika, i wypowiada twierdzenie, że każda dobra krzywizna jest *falistą*, o ile posuwa się naprzód *miryadami podrzędnych krzywizn*³⁾, które na powstanie jej wrażenia, jako całości u widza, a poniekąd i na powstanie jej w naturze (n. p. pni i gałęzi ze słojuw drzewnych i pierścieni kory) się składają. Tak więc właściwa zasługa i wartość dobrego rysunku, wraz ze wszystkimi jego zaletami, dostępnymi nieuzbrojonemu oku, polegają ostatecznie na szczęśliwym sprężgnięciu najdrobniejszych ruchów ręki, na „ilości

1) J. w., 207. „By two characters: first in its moderation, close approach to straightness, 2-ly by variation never remaining equal in degree at different parts of its course“.

2) J. w., 208. „A steady change through the whole line, that no part is a segment of a circle or can be drawn by compasses“.

3) J. w., 209. „Undulated as it proceeds by myriads of subordinated curves“.

i wydelikaceni małych krzywizn, pozbieranych dobrem dziełem w wielkie linie, ściśle mówiąc, stanowi o rzeczy nie zmienność kierunku w wielkich krzywiznach, ale złożenie wielkich krzywizn z małych, wzrost ilości pięknego pierwiastku a nie zmiana w jego naturze“¹⁾.

W tych krótkich uwagach Ruskina natrafiamy znów na jeden z genialnych rzutów jego daru spostrzegawczego. Schwycił on tu na pół bezwiednie tę prawdę, że wszelka rzekomo zewnętrzna, obiektywna ciągłość, jest w istocie owocem syntezy wewnętrznie kształtujących sił żywotnych, a w pierwszym rzędzie i dla naszej świadomości, aktem jednoczącym naszego ducha i że w następstwie tem, co czyni ową ciągłość różnic i przeobrażeń piękną, bujną i jednolitą zarazem, nie jest jakaś abstrakcyjna prawidłowość, regularność schematu obojętnego dla treści, jedność w różnaitości, jak mawiają jałowe teorye estetyczne o słabym w rzeczy samej pokoście metafizyki — ale iż tem źródłem piękności jest sam puls życia w nas i po za nami, życia, które łączy i organizuje ruchy materyi, i życia, które się każdą uchwytą dlań organizacją cieszy, odnajdując w niej wspólność natury lub pochodzenia z najwyższymi duchowymi potęgami.

Na tem właściwem każdemu prawdziwemu artyzmowi odgadywaniu i uwydatnianiu życia polega czwarte główne prawo kompozycyjne, sformułowane przez Ruskina, prawo *promienistości* (*radiation*), pod którem rozumie powszechną dążność w naturze, zwłaszcza w życiu roślinnem, a także i w sztuce do tego, aby linie kształtów nie przecinały się i nie plątały bezładnie, ale wytryskały z jednego punktu lub zmierzały ku niemu. Rozgałęzienia drzew i wieńcząca je korona drobniejszych pędów z ich ulistnieniem, dostarczają autorowi klasycznego przykładu — ale i najróżnorodniejsze systemy ornamentyki, jak grecki, bizantyński, gotycki, objawiają jego zdaniem tę samą dążność. Skupiają się w niej

¹⁾ J. w. „On quantity and refinement of minor curvatures carried by good work into the great lines, strictly speaking not variation in large curves, but composition of large curves out of small ones, increase in the quantity of beautiful element, not a change in its nature“.

kardynalne cechy życia: wytrysk z jednego żywego źródła (korzenia) i oparcie się na niem, rozprzestrzenianie się siły z jednego danego punktu, swoboda rozdzielonych pędów w szukaniu warunków żywotności i zadowolenie w miarę ich odrębnych potrzeb — wreszcie bratnia ich społeczność, objawiająca się tem, iż promieniejące odnogi nie wybiegają w dal nieokreśloną, ale zatrzymują się w pewnych granicach na obwodzie i tworzą zaokrągloną grupę, n. p. koronę drzewa ¹⁾. To prawo promienistości, najwidoczniejsze w formach świata roślinnego, rządzi także wedle przekonania Ruskina czysto ludzkim pięknem charakterów. „Wyraża ono symbolicznie, że zdrowe ludzkie czyny powinny wytryskać promieniście z jakiejś jednej jedynej pobudki serca, bo najpiękniejsze systemy działalności ziszczają się, gdy ów motyw tkwi w korzeniu całego życia i widzi się jasno, że działanie z niego się rodzi ²⁾, podczas gdy systemy drugorzędne wychodzą z motywów nie tak ogniskowych (centralnych), głębokich zaś tylko o tyle, o ile są w pewnym pięknym związku podporządkowania z motywem centralnym, czyli motywem życia“ (t. j. jako takiego, życia w samym jądrze, *life motive*). To rozszerzone i pogłębione poczucie możliwych ukrytych znaczeń w przestrzennym układzie linii rozwijać się musiało u Ruskina równolegle z pojmowaniem, iż każda piękna forma jest tylko wyrazem stężalych w niej sił i soków żywotnych, bądź całości natury, bądź pewnego jestestwa organicznego.

Czyniąc uwagi o prawie *kontrastu*, odradza Ruskin jaskrawe użycie tego środka, który występować powinien

¹⁾ J. w., 215. „All vegetable form is appointed to express : 1) Support from one living root. 2) Tendence of force from some given point. 3) Liberty of each bough to seek its own liveelihood and happiness according to its needs. 4) Imperative requirement to stop within certain limits expressive of its kindly fellowship and fraternity with the boughs“.

²⁾ J. w., 216. „Typically expresses, that healthy human actions should spring radiantly from some single heart motive, the most beautiful systems of action taking place, when this motive lies at the root of the whole life and the action is clearly seen to proceed from it“.

jego mniemaniem raczej jako niespodzianka (*surprise*), aniżeli jako wstrząśnienie (*shock*) — w przeciwnym razie wyradza się w pospolitość. Kontrast wymaga dla swego złagodzenia i wyrównania nie tylko przeciwległe dopełniającego kompozycję *prawa harmonii*, ale także dwóch pośrednich między nim a harmonią praw: *wzajemnej wymiany* (*law of interchange*) i *skupienia* (*law of consistency*). Pierwsze z nich, gdy jest rozumnie połączone z prawem kontrastu, umacnia zjednoczenie rzeczy przeciwnych przez nadanie każdej z obu części charakteru rzeczy drugiej ¹⁾ (n. p. w wymianie dwóch kolorów między sobą na polach tarcz heraldycznych). Jednym z najciekawszych faktów w naturze są dla naszego autora sztuki, jakich ona umyślnie dokazywać zdaje się, wytwarzając kontrasty w tym rodzaju przeplatań na wymianę ²⁾, przyciemniając n. p. cień drzewa na tle jasnego nieba, a rzucając światło słoneczne właśnie w tem miejscu, gdzie jego kontur odbija od ciemnego wzgórze. Prawo to ma swój „typiczny zamiar“, t. j. swoją symbolikę uczącą, jak przeciwne natury mogą się wspomagać i wzmacniać przez to, iż każda odbiera od drugiej tyle piętn, refleksów lub zapożyczonych potęg, ile tylko przyjąć jest zdolną ³⁾.

Jak prawo wzajemnej wymiany dostarcza najskuteczniejszego ogniwa ku sprzęgnięciu kontrastów, jest więc środkiem w dążeniu do osiągnięcia harmonii w układzie, tak znów prawo *skupienia* (konsystencyi) usuwa ważny niedostatek, wywoływany zazwyczaj przez siłę kontrastu, mianowicie ten, iż kontrast zaostrza wprawdzie wyraziście odrębne charaktery rzeczy, jednakże przytem zwykł neutralizować lub nawet ubezwładniać ich potęgę ⁴⁾. Dlatego równoległe z roztacza-

¹⁾ J. w., 227. „Wisely connected with the law of contrast enforces the unity of opposite things by giving to each a portion of the character of the other“.

²⁾ J. w. „One of the most curious facts in nature, the appearance of intentional artifice, with which contrasts of this alternate kind are produced by her“.

³⁾ J. w. „How opposite natures may be helped and strengthened by receiving each as far, as they can, some impression, reflection, or imparted power from the other“.

⁴⁾ J. w., 230.

niem przeciwieństw powinno biedz zbieranie kolorów i linii na jedno miejsce w formy massywne, chociażby nawet chropawe (*rugged*). Jedność i szerokość charakteru łączą się w ogóle, przekonaniem Ruskina, z dziełami największych ludzi i „natura jest zawsze szeroką“, a jeśli dzieło jest w sobie przelamane i rozprószone, to jest nietylko źle skomponowanem, ale i nieprawdziwem wedle wszelkiego prawdopodobieństwa¹⁾. Takiemu to rozprószeniu, do którego przyczynia się i brak porządku dającego w niem się rozeznąć²⁾, przeciwdziałać ma „konstellacya wielości“ w owem ześrodkowywaniu mass, nadawaniu im jak największej wypukłości i siły przez natężony kolor, rozmiar i inne środki, któremi dla tego celu artysta rozporządzać może.

Harmonia, która w tem wyliczeniu praw kompozycyjnych wspomniana jest naostatku, zasadać się ma raczej *na trafnem odczuciu stosunków prawdziwych*, niż na bezpośredniem wprowadzaniu jakichś nowych osobnych pierwiastków układu³⁾. O harmonii kolorów n. p. w utworze malarskim rozstrzyga zdolność proporcjonalnego pogłębienia tonów bez brukania i zaciemniania ich, gdy takiej siły i blasku, jakie mają w naturze, osiągnąć nie można. Także zależy harmonia od tego, czy ręka pracuje w jednym tempie. Braknie jej, gdy jedną część dzieła wykonywano porywczco i forsownie⁴⁾, a drugą wolno i delikatnie.

Po tych szczegółowych spostrzeżeniach, radach i przestrożach rzuca Ruskin charakterystyczną myśl ogólniejszą o istocie harmonii. „W każdym dobrem dziele mieści się pewien zasób harmonii zbyt subtelny, ażeby go mózdz określić, to, że twórca taki nigdy sobie nie pozwala wyrywać części ze związku na to, by je podkreślać z emfazą, ani też wynosić jedną rzecz na koszt drugiej, ani wreszcie być w jednym miejscu przenikliwie czułym, a w drugim chłodnym... Wszystkie niemieckie dzieła są na pochyłości do zwichnięcia

¹⁾ J. w., 232.

²⁾ J. w., 233. „Order discernible through this scattering“.

³⁾ J. w., 234.

⁴⁾ J. w., 239. „Rapidly and forcibly“.

harmonii przez zbyt często właściwą im affektację i uparte odrzucanie faktów“¹⁾).

Kończąc ten ważny i ciekawy rozdział o kompozycji, wyznaje autor, że oprócz wymienionych w nim praw, są inne, których określić bądź nigdy się nie spodziewa, bądź na razie przynajmniej nie może, a właśnie te są najdonioślejsze i związane z najgłębszymi potęgami sztuki²⁾). Nie uważa też praw wyrazu za dające się wyjaśnić. Jakkolwiek najwyższych zalet artystycznych nie można wytłómaczyć, można się jednak na nie stawać coraz bardziej czułym, a to przez „dyscyplinę charakteru“ i przez wyostrzoną uwagę na dobór szczegółów, który przemawia do głębszych uczuć, wyraża symbolicznie, a zarazem powoduje ich nastrój — jeszcze bowiem więcej w uczuciu regulującym układ szczegółów, aniżeli w ich doborze objawia się dusza kompozytora“³⁾). Sławny obraz Turnera *Datur hora quieti* został tu użyty jako przykład objaśniający, jak z przeciwieństw światła i cieni, z powtórzenia grupy okrętów, a głównie z przedstawienia spoczywającego pługa, symbolu pracy ludzkiej, zakończonej wraz z dniem, rodzi się „podziemny strumień“ różnych myśli o życiu ludzkim i działa na uczucia.

Gdy zechcemy jeszcze raz rzucić okiem na całokształt praw kompozycji artystycznej, a zarazem odpowiadającego im wewnętrznego rozumnego ładu w samej istocie piękna, tak, jak te prawa wykryć i sformułować starał się Ruskin, dostrzeżemy, że w nich wszystkich, acz w każdym z osobnego punktu widzenia, miał na oku dwie biegunowe strony wyobrażeń, mających wartość dodatnią dla zmysłu estetycznego. Tak w prawie pierwszeństwa, jak w prawie powtó-

1) *E. of Dr.*, III, 239. „There is an extent of harmony in all good work too subtle for definition never allowing himself to lean too emphatically on detached parts, or exalt one thing at the expense of the other or feel acutely in one place, coldly in another; all german work is apt to be out of harmony (by) too frequent conditions of affection and its wilful refusal of fact“.

2) *J. w.*, 244. „These the most important and connected with the deepest powers of the Art.“

3) *J. w.*, 244.

rzeń, ciągłości i promienistości, jak wreszcie w bardziej skomplikowanych prawach kontrastu i harmonii z ich pośrednimi ogniwami w prawie wzajemnej wymiany i w prawie konsystencji, widoczne jest wzajemne oddziaływanie między panującą całością a samodzielniemi do pewnego stopnia częściami, zachowuje się coś stałego wśród zmiany, a nawet sama zmiana, nie podlegając mechanicznej jednostajności, odbywa się przeciw z pewną stałą wewnętrzną konsekwencyą. W ten sposób wydobył i uwydatnił Ruskin w każdej formie pięknej, w rzeczywistej, niemniej jak w skomponowanej, jedność ustroju, jedność, która ponad walką napiętych w niej lub poruszających się przeciwieństw, ostaje się w pewnej równowadze i rozwija swą ukrytą siłę przed okiem duszy ogłędającego ją. Zestawieniem wielu różnorodnych, a do zgodnego ogólnego wyniku prowadzących zjawisk, dążeń i praw kompozycyi artystycznej, poparł i szerzej rozświetlił prawdę, ku której ciążyły dotychczasowe jego teorye estetyczne, tę mianowicie, iż między pięknem a życiem duszy zachodzić musi węzeł niezmiernie ścisły, bo piękno samo niezem innym nie jest, jak życiem w najszerszym znaczeniu, ukazującym się i chwytanem w swojej czystej potędze, z duchem pokrewnej, czynnej wśród materji, ale wzbijającej się ponad nią i zdrojami swych impulsów, które ją kształtują, i celami. Cel bowiem piękna i życia, szczęśliwość, ukojenie i zadowolenie energii w harmonijnem zestrojeniu sił, jest czemś zupełnie obcem mechanizmowi natury. Przeciwnie życie form zewnętrznych — nietylko dla wzroku dostępnych, ale wszelkich w ogóle kształtów i stosunków zjawisk — i wewnętrzne życie duszy odpowiadają sobie ściśle i ustawicznie, pobudzają się i wyrażają nawzajem.

Że ten świat form nie jest czystym wytworem duszy ludzkiej, że ma on swoje prawa, swoje normy i fakta, do których raczej ludzka świadomość stosować się winna pod karą zubożenia i stępienia, że w nich ukazuje się Wyższy Prawodawca i Władca, to są wyniki, które, jako metafizyczne przypuszczenia, mogą jeszcze pozostawiać wolne pole do rozpraw i do krytyki. Ugruntowane są jednakże te przekonania w całym długoletnim kierunku szczegółowych, sumiennych i ścisłych dociekań Ruskina nad poczuciem piękna

i tworzeniem artystycznym, są w zgodzie z mnóstwem jego spostrzeżeń i rozbiorów psychologicznych, a to, że wykraczają już po za specjalny obręb estetyki, że dają zarys wysnutego na jej podstawie ogólnego poglądu na świat, podnosi raczej, aniżeli obniża ich wartość i znaczenie, są bowiem jakby kopułą, wieńczącą gmach żmudnie a przecież z oryginalnym zakrojem, z wielką świeżością czucia i obserwacyi zbudowany.

Historia sztuki i znajomość techniki artystycznej mają niezaprzeczone prawo wypowiedzania sądów nie tylko o warunkach dodatniego rozwoju artystycznego, ale i o tem, czem jest piękno dla duszy ludzkiej, co od niej bierze i co jej daje, a nawet jaką może być jego rola w ogólnej ekonomii wszechistnień.

Właśnie w tym samym roku 1857, w którym wyszły *Elementa rysunku*, wygłosił Ruskin w Manchesterze dwa odczyty „o odkrywaniu i zastosowaniu sztuki“ i „o zbieraniu i rozdziale sztuki“, objęte publikacją pod wspólnym tytułem: *Radość na zawsze i jej cena na targu, czyli o politycznej ekonomii sztuki*, w której poraz pierwszy wkracza w dziedzinę zagadnień społecznych, wychodząc od przedmiotu, który go dotąd prawie wyłącznie interesował. Już teraz wydał nieubłaganą wojnę tym teoryom, które chciałyby zacieśnić realną wartość pracy ludzkiej, uznanie dla niej, a tem samem i zewnętrzne jej powodzenie, poddając ją bezwzględniemu rzekomo panowaniu nielitościwego prawa popytu i podaży przy współzawodnictwie niekępowanym żadnymi etycznymi względami. Ruskin stara się tu dowieść, że na społeczeństwie ciąży święty obowiązek chronienia sztuki przed tyranią i samowolą niskich materialnych pobudek, rozpasanych egoizmem i drażnieniem zmysłów, a zwłaszcza chciwości i próżności. Z tym obowiązkiem łączy i prawo interweniowania tam, gdzie skarby artystyczne, zabytki przeszłości, zmysł estetyczny narodu zagrożone są przez wolną konkurencyę i gorączkę w gromadzeniu tego, co spaczonemu lub przytępionemu poczuciu etycznemu wydaje się „dobrem“, bez różnicy jakości, tylko ze względu na ilość. Podaje rady, jak przedewszystkiem ową gorączkę złota należy hamować w ludziach powołanych do rozwijania sztuki, jak w dobrze zro-

zumianym interesie społeczeństwa jest, ażeby zachowywało pewną miarę w honoraryach dla artystów, którzy już sobie zdobyli znaczniejszy rozgłos, a natomiast wspierało młode wybijające się siły, bo nie jest bardziej zabójczem dla prawdziwej twórczości, jak gdy ona przestaje już znajdować główną nagrodę i uciechę w sobie samej i gdy zmęczona nawałem żądań, sztucznie przez nie podniecona, zaczyna się uciekać do nabytej już mechanicznej wprawy i biegłości.

Bliższe rozwinięcie i uzasadnienie tych myśli należy już do społecznych teoryj Ruskina, dla wyłączenia których wraz z ich kolejami, osobna dalsza część niniejszych studyów jest przeznaczoną. Tam też przypada i miejsce dla skreślenia jego społecznej działalności, jak znów działalność jego jako nauczyciela historii sztuki na katedrze oxfordzkiej musi być przedstawioną w tej części, w której rozpatrywanemi być mają jego poglądy na przeszłość sztuki, począwszy od rezultatów badań, które złożył w *Kamieniach weneckich*.

Na tem miejscu pozostaje już tylko podać dla uzupełnienia jego życiorysu kilka dat ważniejszych co do zajęć i publikacyj. Gdy pierwsze jego prace z ekonomii politycznej *Unto this last* i *Munera Pulveris* w latach 1860 — 1863, przeciw manchesterskiej liberalnej szkole zwrócone, wywołały tak wielką wrzawę zaczeponego obozu, że redakcyja czasopisma *Frasers Magazine* przerwała druk drugiej z nich, zwrócił się Ruskin zniechęcony tem do ulubionych mu oddawna poszukiwań geologicznych, których wynik przez specjalistów podobno przychylnie oceniony p. t. *O Alpach Sabaudzkich*, ogłosił w czasopiśmie *The geologist*, a następnie do krystallografii, dając jej popularne przedstawienie wraz z wycieczkami w krainę analogii i przyrównań etycznych w *Etyce pyłków* (świeżo przełożonej na język polski przez p. Wojciecha Szukiewicza). Najgoręcej jednakże umysł jego zaprzątały w owych latach kwestye wychowania narodowego (łącznie z kwestyą kobiecą), w głośniej, niezmiernie poczytnej i popularnej, ale stanowczo przecenionej, chaotycznej w wątku swych myśli książce *Sesam i Lilie*, z r. 1865 (spolszczonej w r. 1901 przez tego samego tłumacza), kwestye polityki angielskiej zagranicznej i wewnętrznej w *Gałązce dzikiej oliwy* (również uprzystępnionej już dla ogółu polskich czy-

telników) z r. 1866. W odczytach o greckich mitach, wydanych w r. 1869 razem p. t. *Królowa powietrza* (przełożone również przez p. Szukiewicza), zastanawiał się nad wyłonieniem pojęć etycznych i psychologicznych z wyobrażeń ludowych o zmianach atmosfery, tudzież o życiu na lądzie i w wodzie. W artykułach dziennikarskich przemawiał z gorącym zapalem za interwencją Anglii w kwestyach: polskiej i włoskiej i oburzał się na politykę wyspiarskiego sobkostwa swych ziomeków. W r. 1867 powraca do zagadnień ekonomicznych i traktuje je w połączeniu z kwestyami dotyczącymi ustroju politycznego i społecznego w książce p. t. *Time and Tide by Weare and Tyne (Wczasy)*, wyróżniającej się od innych jego dzieł z owych lat korzystnie przez większy ład i systematyczność. Powołany w r. 1870 na katedrę historii sztuki, a właściwie „sztuki“ w ogóle, wykładał w Oxfordzie, gdzie się cieszył zawsze bardzo licznym audytorium, za dwoma zawodami: w latach 1870 — 1879 i 1882 — 1885. Coraz częstsze zapadanie na zdrowiu i wyjazdy do Włoch powodowały coraz dłuższe przerwy w tych wykładach. Ostateczną zaś rezygnację wywołało jego wojownicze wystąpienie przeciw wiwisekcyi i wynikły stąd ostry konflikt ze znaczną częścią grona profesorskiego. Większa część wykładów Ruskina wyszła drukiem pod tytułami, z których każdy prawie, wyjąwszy inauguracyjne odezwy „o sztuce“, wspomniane wyżej, potrzebuje szczegółowego wyjaśnienia, dlatego odkładamy je do stosownego miejsca.

Równocześnie niemal z wykładami oxfordzkimi — począwszy od stycznia r. 1871 — wstąpił Ruskin na pole bardzo ruchliwej i do szerokich mass zwróconej propagandy swoich idei gospodarczych, społecznych i etycznych, wydając mniej więcej w stałych odstępach miesięcznych *Listy do robotników (Letters to workmen)*, pod zbiorowym tytułem *Fors clavigera*, o warunkach zdobycia szczęścia, podniesienia moralnego i materialnego, które to dwa zadania łączył najściślej, przyczem z góry zrezygnował z jakiegokolwiek planu lub podziału tych nauk. Listy te wychodziły do r. 1884, pod koniec znacznie rzadziej, odznaczają się mimo zupełnego braku układu świetnymi zaletami stylu, ogniem w bronienu przekonai i zwalczaniu przeciwników, a nadto dowcipem nieraz

gryzącym i czysto angielskim humorem nawet w chwilach najsmutniejszego nastroju. Stosunkowo wiele miejsca poświęca w nich swojej autobiografii, zwłaszcza wspomnieniom młodości, jak i później jeszcze do r. 1889 w książce p. t. *Praeterita*.

Nie poprzestając na głoszeniu w tych listach hasel naprawy społecznej przez powrót do patryarchalnych obyczajów i stosunków, do ręcznej pracy przy roli i w przemyśle, założył Ruskin w r. 1871 osobny związek, „Gildę św. Jerzego“, wyposażył tenże dziesiątą częścią swego podówczas jeszcze milionowego majątku i wytknął temu związkowi za cel najpierw tworzenie osad rolnych w zaniedbanych zakątkach Walii, następnie zaś, gdy się te próby nie udawały, obrócił punkt ciężkości tych starań ku popieraniu rękodzieł i sztuki stosowanej w wielkich ogniskach przemysłowych, jak w Sheffield, gdzie zaopatrzył hojnie własnymi środkami osobne Muzeum Św. Jerzego, mające służyć ku artystycznemu kształceniu robotników.

W ostatnich latach życia, gdy już stan sił nie pozwalał mu na działalność pisarską, ustawicznie się jeszcze interesował losami i rozwojem instytucyj, powołanych przez niego do życia i czynnych głównie w tym kierunku, by podnieść artystyczną wartość każdej pracy, jaka tylko się w ten sposób wyszlachetnić dawała. Miał tę pociechę, że już za jego życia powstał w Anglii cały rój towarzystw jego imienia, oddających się komentowaniu, rozwijaniu i stosowaniu jego myśli, a miarę jego wpływu po za granicami ojczyzny daje ogłoszona w *Cornhill Magazine* z r. 1892 rozmowa¹⁾ z hr. Lwem Tołstojem, w której tenże wyraził się, że „uważa Ruskina za jednego z największych ludzi tego wieku i boli go spostrzeżenie, że Anglicy są na ogół odmiennego zdania, nikt jednak nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie, a najwięksi rzadko spotykają się z uznaniem w swoich czasach z tej prostej racji, iż tak bardzo wyprzedzają swój wiek, że współczesni nie są zdolni ich zrozumieć“.

Nie mogąc tutaj wchodzić w rozbiór i ocenę społecznych poglądów Ruskina i pozostawiając otwartem pyta-

¹⁾ Zacytowana u Collingwooda w t. II, str. 354.

nie co do wykonalności całkowitego ich programu, mamy prawo do twierdzenia, iż może nikt z estetyków dawniejszych, t. j. z przed r. 1860, tak jasno i żywo nie przewidywał i nie torował dróg najnowszym prądom w sztuce, a w szczególności symbolizmowi, jak autor *Malarzy nowożytnych*, *Pochodni architektury* i *Elementów rysunku*.

Dr. Witold Rubczyński.

Sprawy krajowe.

XXIII.

Po Sejmie.

W wrześniowym numerze *Przeglądu Polskiego*, w artykule *Z naszego sejmowania* pisał prof. Michał Bobrzyński, że „zrezygnowawszy z wielkich walk politycznych, wyzbywszy się zatargów i ambicyj stronnicych, unikając wszystkiego, coby sytuację mogło zaognić, Sejm nasz oddał się w zupełności zadaniu podźwignięcia kraju z dawnej niedoli i upadku“. Słowa te — po części mylnie zrozumiane, gdyż upatrywać w nich chciano jakoby rezygnację z wszelkiej szerzej polityki, której to ciasnej interpretacji nie dopuszcza ani sam tekst, ani cała akcja polityczna autora, gorąco za realnemi reformami zawsze występującego, aby tu przypomnieć tylko reformy szkolne i reformę administracji — były stwierdzeniem faktycznego stanu, a potwierdzeniem tych słów ponownem, bardzo stanowczem, była tegoroczna sesya sejmowa. Gorętszy, namiętniejszy ton dyskusyi odezwał się zaledwie kilka razy, mijał szybko, nie znajdując oddźwięku w Izbie, nie mogąc zaostrzenia dyskusyi ni antagonizmów wywołać, był tylko krótkim, przemijającym epizodem. W usposobieniu i w działaniu Izby i komisyj stanowczo panowała chęć nie marnowania czasu, pracy rzetelnej, załatwienia spraw na tegoroczną sesyę przygotowanych. I spraw tych załatwiono wiele. A do załatwienia miał Sejm 142 przedłożeń Wydziału Krajowego, 109 samoistnych wniosków poselskich,

1529 petycyj. Materiał to istotnie ogromny, którego znacznie przeważającą część, wszystko, co wymagało natychmiastowego załatwienia i wiele nie tak nagłych Sejm obecnie załatwił, a dzięki odroczeniu tylko, nie zaś zamknięciu Sejmu, może być pozostała część, i tak już przeważnie załatwiona w komisjach, załatwiona stanowczo na przyszłą sesję Sejmu.

Aby dać pogląd na wyniki sesji sejmowej zaznaczamy, że Sejm uchwalił 12 ustaw, między niemi z dawna upragnioną ustawę o włościach rentowych, o stosunkach prawnych nauczycieli, o nauce obu języków krajowych w szkołach średnich (wniosek hr. Wojciecha Dzieduszyckiego), o Radzie szkolnej krajowej ¹⁾, dalej przygotowano ustawę, ale odesłano do Wydziału Krajowego do opracowania, o zmianie § 42 ustawy wodnej i zmianę ustawy krajowej o nafcie (wniosek Augusta Gorayskiego) a komisja drogowa przeprowadziła obszerną informacyjną dyskusję o zmianie ustawy drogowej, mianowicie o kwestyi zniesienia prestaeyj drogowych, które to trzy sprawy staną niewątpliwie na porządku dziennym najbliższej sesji sejmowej. Do ustawodawczych prac zaliczyć jeszcze trzeba budżet i ustawę finansową, a prócz prac ustawodawczych wysunęły się jeszcze i w dyskusjach sejmowych wybitne zajęły miejsce sprawy podatkowe, nauczanie religii, emigracya, przemysł.

Sprawy ruskie wielokrotnie zajmowały uwagę i pracę Sejmu, ale nie ciążyły nad nim tak, jak w roku zeszłym; Sejm szereg poważnych spraw pomyślnie załatwił bez targów, bez wahania, przyznał gimnazjum stanisławowskie, stwierdził nieuzasadnienie narodowo-ruskiej opozycyi przeciw włościom rentowym, zapewnił im ustawowo szereg miejsc w Radzie szkolnej krajowej, zgodził się na przyznanie znacznej subwencji na koszt budowy ruskiego teatru we Lwowie. Agitatorowie ruscy lubią brać na siebie nieraz pozę prze-

¹⁾ Dalej ustawy: o sadzeniu drzewek przy drogach, zmiana ustawy o konkurencyi kościelnej, o języku wykładowym polskim w gimnazjum w Brodach, zmiana §§ 19 i 42 ustawy o reprezentacji powiatowej, urządzenie służby zdrowia w gminach i obszarach, o procentach zwłoki od krajowych dodatków, o nadwyżkach kas sierocińskich, zmiana statutu miasta Krakowa.

śladowanych, udręczonych, nie wahają się ciągnąć paralelli między swem położeniem a naszym położeniem w zaborze pruskim, a przecież każdy rok w Prusiech odziera nas coraz dalej z przyrodzonych praw, pozbawia równouprawnienia, każdy zaś niemal rok przysparza Rusinom narodowym przez Sejm im przyznanych korzyści. Niechaj więc poważni ruscy politycy powstrzymają rozszerzanie w kraju i po za krajem niesprawiedliwych i krzywdzących dla społeczeństwa polskiego wieści i zarzutów, aby nie podkopać rozumnego, sprawiedliwego, życzliwego usposobienia większości sejmowej. Wszakże podobną radę i przestrogę dał już po Sejmie w parlamencie wiedeńskim prezydent ministrów Dr. Körber. Krzywdzące i niesprawiedliwe oskarżenia i zarzuty nie ułatwiają, ani nie przyspieszają obiektywnego załatwienia spraw.

Nie odmawiając znaczenia żadnej poruszonej czy załatwionej w Sejmie sprawie, można jednak stwierdzić, że doniosłością swą wysunęły się w r. b. na czoło przede wszystkim sprawy finansowe, jako warunek akcyi kraju na przyszłość, i sprawy szkolne — im też poniżej osobne poświęćmy uwagi.

A jeżeli Sejm zdołał pomyślnie tyle spraw załatwić, to wielka część zasługi, jak to słusznie podniósł na ostatnim posiedzeniu Wojciech hr. Dzieduszycki, przypada Marszałkowi krajowemu i Namiestnikowi, których wzajemny stosunek i stosunek do Sejmu wpływał nader dodatnio na cały tok spraw. Daj to Panie Boże, aby tak zawsze było, bo nam bardzo potrzeba skupienia sił, aby stopniowo uchylać dawne zaniedbania i klęski grożące, zyskiwać dorobek.

Wielka liczba poruszonych i załatwionych spraw w ciągu zaledwie kilkotygodniowego okresu trwania Sejmu o ile z jednej strony daje świadectwo nie tylko dobrym chęciom, lecz i dobrej, wytrwałej a rozumnie kierowanej pracy posłów, o tyle jednak z drugiej strony może wzbudzać poważne obawy i wątpliwości. Zbyt szeroka i zbyt wszechstronna inicjatywa przedstawia niebezpieczeństwo rozproszenia uwagi i sił, rozdrabniania środków, gubienia się w drobnych szczegółach, co gotowo utrudni administracyę Wydziału Krajowego, przeladować go drobiazgami, wytworzyć stan, gdzie nie *multum*, lecz tylko *multa* będą zdziałane. Mnogość ta

różnych spraw wytwarza już wśród obrad Izby pewien gorączkowy pospiech, nie dopuszcza do rozwinięcia się poważnej dyskusji, nawet przy doniosłych sprawach, co nie jest pożądanem, a gotowo utrudnić dokonanie większych reform ustawodawczych. Ważne komisye w parlamentach mają dużo dłuższy czas na przygotowanie ustawodawczego sprawozdania dla Izby, tam mogą ustawę zupełnie dobrze przygotować, tam obrady komisji mogą pouczająco i przygotowująco wpłynąć na opinię posłów i społeczeństwa. W Sejmie naszym mają komisye zwykle zaledwie kilka posiedzeń, kilkanaście dni czasu na pracę, mogą się przeto zdarzyć i sprawozdania, wymagające jeszcze korektywy, aby i sankcyę otrzymać i osiągnąć realnie, co zamierzają. Korektywę tę dać może jedynie poważna dyskusya w Izbie, a tej warunkiem, aby nie było za wiele spraw naraz na porządku dziennym, co odbiera ochotę i odwagę — z koleżeńskich względów — do mówienia, bo nie chce się innym sprawom przeskadzać, ale co zarazem niweczy prawie możność dyskusji, bo odbiera możność należytego przejrzenia wszystkich sprawozdań i każdego z osobna. A zadaniem dyskusji szerszej nie jest bynajmniej przysparzanie okazji popisom oratorskim, jałowej gadaninie, ale ewentualna korektywa przedłożenia, a głównie wyjaśnienie doniosłości, celu i środków danej ustawy, pouczenie i przekonanie opinii publicznej. Bierna oporność społeczeństwa niszczy często skuteczność ustaw, reformy mają powodzenie tylko, gdy dźwiga je i popiera stanowcza i jasna opinia publiczna, a tę pozyskać i wyrobić jest zadaniem poważnej izbowej dyskusji. Sejm winien to sam sobie, winien zadaniom, jakie mu powierzono, winien krajowi, aby o jego pracach, o ich doniosłości wyrabiała się w kraju należyta opinia, uszanowanie dla tej pracy. Minęły czasy, gdy tylko mały odłam społeczeństwa interesował się polityką, dziś ogół, a zwłaszcza warstwy szerokie, którym różni tyle różnych naczynili obietnic, chciwe są informacyj politycznych, skłonne wierzyć i najbardziej negacyjnej krytyce, a milczenie Sejmu ułatwia powstawanie wersyj niekorzystnych, krytyk niesprawiedliwych. Prasa i trybuna stały się dziś bronią społeczną, trzeba ich umieć użyć i używać istotnie dla dobra społeczeństwa, dla rozja-

śnienia i pouczenia opinii publicznej. To jest prewencyjną polityką społeczną, a prewencya lepszą jest zwykle, niż represya.

Stosunki te pracy w Sejmie spowodowały na ostatniem posiedzeniu Izby r. 1903 poważną dyskusyę, one dały powód do artykułu p. Bobrzyńskiego *Z naszego sejmowania*, którego myśli przewodnie szerokie echo w opinii kraju i w szeregach posłów znalazły.

Poczucie, że pewna reforma sposobu naszego sejmowania jest konieczną, staje się coraz więcej ogólnem, a to samo już jest faktem korzystnym, bo może ograniczyć balast drobnych spraw przez lokalną inicjatywę na Sejmie nieraz ciężących, bo przygotowuje grunt pod regulaminową reformę, zdążającą do poręczenia wyższej zdolności Sejmu do skutecznej pracy. Wśród rozterki i upadku kontynentalnego parlamentaryzmu objawia się częstokroć wielkie zabalucenie wyobrażeń, mniemanie, jakoby w tej organizacji chodziło przedewszystkiem o prawa indywidualnego posła, a tymczasem *res de qua agitur* to nie prawa posła, lecz prawa parlamentu. Prawa parlamentu wynikają z jego obowiązków, mają tworzyć rękojmię ich spełnienia, wytwarzać i poręczać możność ich spełnienia. Życie społeczne komplikuje się coraz bardziej — to jego prawo rozwoju — wra- stają przez to zadania i trudności prac ustawodawczych, działania parlamentów i sejmów, i stąd kwestya coraz lepszej organizacji pracy izby staje się i tam aktualną, gdzie żadne nadużycia do niej nie zmuszają. O tem i u nas trzeba pamiętać, i czy to na podstawie inicjatywy Wydziału Krajowego, czy też samej Izby będzie trzeba przystąpić do zreformowania sposobu sejmowania celem ułatwienia skutecznej pracy Sejmu. Nie jest to bynajmniej sprawa, którąby można dowolnie z roku na rok odwlekać i opóźniać. Ona warunkuje możność skuteczniejszej, jakościowo lepszej pracy Sejmu, i dlatego należy do spraw najpilniejszych. Kto tu poweźmie skuteczną inicjatywę, ten krajową odda usługę. I nie przeceniamy ani nie przesadzamy kwestyi, kto powinien wziąć inicjatywę, lecz stwierdzamy, że za inicjatywę Wydziału Krajowego przemawia ważna okoliczność, aby z góry uchylić wszelki pozór do przypuszczenia, że to chodzi o sprawę

partyjną, jakiś interes części Sejmu. W żadnym partyjnym interesie i przeciw żadnemu uprawnionemu nie zwróci się reforma sejmowania — ona ma jedyny wyłączny cel: podnieść zdolność Sejmu do poważnej pracy.

I.

Sprawy finansowe.

Jedną z wielkich trosk Sejmu jest położenie finansowe kraju. Jak we wszystkich gospodarstwach publicznych, tak i w naszym krajowym gospodarstwie daje się uczuwać silny wpływ przyczyn, wzrost wydatków wywołujących.

Przyczyny te są natury trwałej, kategorycznej, a mianowicie działa zwykłowo wzrost zakresu uznanych zadań publicznych i wzrost wymogów, co do jakości spełnienia zadań. Wzrost zakresu zadań wynika po części z samego faktu wzrostu ludności, bo im więcej dzieci idzie do szkoły a chorych ubogich do szpitala, tem więcej wzrastają odnośne wydatki. Obok tego powodu wpływa dalej zwykłowo na budżet rozszerzające się przekonanie, że szkoła, szpital i t. p. nie wyczerpują słusznego zakresu koniecznej akcji publicznej, że chcąc trwale sprostać finansowym zadaniom, przyczynić się do wszechstronnego podźwignięcia kraju — co przecież jest najwyższym celem naszej polityki — należy czynnie wesprzeć rozwój gospodarczy przez komunikacye, melioracye, nawet subwencye bezpośrednie pewnych działów produkcji. Liczenie na to, że gospodarcza dziedzina sama z siebie dźwignie się należycie i na czas, zawiodło inne kraje, zawiodło i u nas, pewna pomoc publiczna, jak tam, tak i u nas, jest i będzie coraz więcej konieczną. A jeżeli słuszenie potępiamy wszelkie marnotrawstwo publicznego grosza, to również jednak potępić trzeba i marnotrawstwo krajowych sił, zostawiania pola odłogiem. Wydrenowane pole daje pewniejszy i wyższy rezultat, niż zabagnione; marnotrawstwem jest nieprzeprowadzenie tu zawczasu koniecznej melioracyi. I przypomnieć warto, że i Anglia, i Francya, i Prusy funduszami publicznymi popierały w znacznej mierze takie melioracye, wiedząc, że podniesienie wydajności pro-

dukeyi jest publicznym interesem. A przykładów podobnych z gospodarczego życia możnaby przytaczać całe szeregi; i wszędzie tam akcyi publicznej domaga się prosty interes publiczny, a gdzie jest interes publiczny, tam jest i obowiązek publiczny. Stąd też pomimo najprzezorniejszej gospodarki, pomimo konsekwentnej oszczędności, nie można się ludzi, że oszczędność zdoła wzrost wydatków powstrzymać, bezkłopotliwem nasze położenie finansowe uczynić.

Nie ludząc się sanacyjnym dla finansów wpływem oszczędności, należy jednak z naciskiem zaznaczyć jej doniosłość, zaznaczyć z krytyką rozszerzającą się u nas praktykę, że na ochotnika wrywa się ktoś, podejmuje z zapalem jaką akcyę dobroczynną, kulturalną, humanitarną czy gospodarczą, windykując sobie zasługę inicjatywy i czynu, a oddając troskę finansową budżetowi krajowemu, bo niebawem po założeniu idzie petycja do Sejmu, powstają hojni dobroczyńcy z cudzej kieszeni, z patosem proponują kilkakrotną zwyżkę tego tak humanitarnego wydatku i nieraz uda im się zwieść Sejm z drogi oszczędności, powieść na manowce dobroczynności błędnej. Gospodarstwo finansowe musi opierać się na planie finansowym; uchwały i wydatki na wrywki, na ochotnika, są negacyą tego planu, prowadzą do anarchii budżetowej. Pisał niegdyś O. Maryan Morawski o złem miłosierdziu, dziś wartoby na podstawie doświadczeń Sejmu — i każdego z nas, którym różni projektowicze różne listy składkowe nasyłają — napisać studjum o złej dobroczynności. Słusznie też generalny sprawozdawca budżetu corocznie zwraca się przeciw temu.

Plan finansowy może być konsekwentnie przeprowadzony jedynie, gdy będzie jego układ i przeprowadzenie powierzone jednej odpowiedzialnej ręce. Stąd też do dziś w Anglii ¹⁾ izba gmin nie przyjmuje żadnego wniosku o wzrost wydatków na podstawie inicjatywy poselskiej, nie uchwała go, jeżeli nie jest zaleconym przez rząd. I byłoby u nas do żądania, aby bez wyraźnej zgody Wydziału Krajowego nie uchwalano podwyżek wydatków, bo Wydział ma ponosić odpowiedzialność za stan finansów kraju, stąd musi mieć

¹⁾ Por. J. Milewski: *budżet i kredyt*, str. 140.

prawo układu i zakresu budżetu podług swego najlepszego uznania — pójście inną drogą narusza fakt i zasadę odpowiedzialności Wydziału za budżet. Obawy, że w tym razie mogłoby przyjść do stagnacji w naszej polityce kulturalnej i gospodarczej nie są uzasadnione, bo i Wydział ma przecież poczucie potrzeb kraju, a gdyby w jednym roku nie wstawił dotacyi na pewien cel, to poważna dyskusya w Izbie może go skłonić do uwzględnienia tego w budżecie następnym, jednoroczne odroczenie wydatku wyjątkowo może tylko mieć krajowo ujemne skutki, natychmiastowe zaś uchwalanie zwyczaj za inicjatywą petycji czy poselską przedstawia dwa natychmiastowe niebezpieczeństwa: za wielkiego wzrostu wydatków, niesystematyczności w pokryciu potrzeb i spełnieniu zadań publicznych, bo przypadek rozstrzyga, czy na teatr, na dziedzińców lub na chów drobiu wzrosną wydatki, ginie oszczędność, ginie systematyczność wydatków, powstaje ryzyko błędnego kola, że wspieramy jedną biedę, a drugą tworzymy przez nadmiar obciążenia podatkowego.

Krytyczna oszczędność jest tem więcej wskazaną, że budżetowi naszemu braknie elastyczności dochodów. Rząd centralny, nie bacząc na wielkie i wzrastające zadania związków samorządnych, zagarnął wszystkie podatkowe dochody przedewszystkiem dla siebie; oddając krajom pewien zakres poważny autonomii administracyjnej, nie przyznał im jednak należytej autonomii finansowej. Prowincye w Prusiech mają mniejszy zakres autonomii administracyjnej, mniejsze zadania, a większą swobodę finansową, niż austriackie kraje koronne. I to jest szkopułem, o który rozbijają się usiłowania i prace krajów, to pętami dla ich polityki finansowej, warunkującej skuteczne w ogóle publiczne działanie. Stąd też każdy wzrost wydatków budżetu krajowego grozi zachwianiem równowagi lub natychmiastowem podniesieniem dodatków do podatków, działającym nierównomiernie. A wzrost ten wydatków budżetu jest, był i będzie znacznym w najbliższej przyszłości.

Wydatki budżetu krajowego wynosiły :

r. 1868	kor.	2,323.400
r. 1878	„	4,999.200

r. 1888	kor.	8,835.000
r. 1898	„	17,733.000
r. 1899	„	19,371.412
r. 1900	„	19,953.996
r. 1901	„	21,345.645
r. 1902	„	22,921.689
r. 1903	„	24,043.826
r. 1904	„	25,229.381
r. 1905	„	27,180.721

Coroczny wzrost waha się między 4.6 a 8.4⁰/₀; główne pozycje wzrostu — oświata i sprawy zdrowotne — mają realne przyczyny dalszego znacznego wzrostu, a równocześnie bacząc na układ budżetu widzimy, że wydatki na oświatę czynią 39⁰/₀, na sprawy zdrowotne prawie 12⁰/₀, podczas gdy rolnictwo, górnictwo i przemysł razem dostają tylko 2,416.817 kor. t. j. 8.8⁰/₀ ogółu wydatków. Relatywny ujawnia się w tem brak dostatecznej troski o zawody produkcyjne, którego uchylenie znów dalszy wzrost wydatków spowoduje. A tymczasem dochody okazują mniejszą zdolność wzrostu; wydatność podatków konsumcyjnych wzrasta, ale stosunkowo nieznacznie, około 3⁰/₀, a i wydatność grosza dodatkowych powoli tylko się podnosi, wyniki z ostatnich trzech lat stwierdzają nawet jego faktyczną zniżkę (1901 — 1903: kor. 256.431, kor. 256,295, kor. 254.461), tak że zdobycie nowych dochodów dla skarbu krajowego jest absolutną koniecznością.

W tem przekonaniu wniosła też komisya budżetowa a Sejm uchwalił rezolucye:

1) Sejm wzywa Wydział Krajowy do podjęcia kroków u c. k. Rządu celem zapewnienia nowych dochodów dla skarbu krajowego.

2) Przedewszystkiem zaś poleca Wydziałowi Krajowemu, by bezzwłocznie rozpoczął rokowania z c. k. Rządem co do sposobu zabezpieczenia krajowi, względnie miastom po r. 1910 dziś płynącego dochodu z prawa wyłączności wyszynku t. j. propinacyjnego i by o wyniku tych rokowań zdał sprawę na najbliższej sesyi sejmowej.

Najjaśniejszym dowodem uprawnienia pierwszej rezolucyi jest fakt, że utrzymując dotychczasowe dochody bez

zmiany, miałyby się było w budżecie na r. 1905 deficyt przeszło półtora-milionowy. Stąd też i propozycja Wydziału Krajowego i większość komisji uznały za konieczne podniesienie dodatków do podatków o dalsze 5 groszy. A i to podniesienie zostawiło jeszcze deficyt stu kilkudziesięciu tysięcy, co do których mimo formalnego upoważnienia Wydziału Krajowego do zaciągnięcia pożyczki miano nadzieję, że dochód z nowo uchwalonej ustawy o procentach zwłoki i z podwyżki dodatków dadzą kwoty dostateczne na obycie się bez tej pożyczki.

Stan ten budżetu, jak niemniej fakt pokrycia wydatków z jednej strony normalnymi dochodami własnymi i dawnymi dodatkami wyżej obliczonymi co do wydatności, oraz wstawieniem do dochodów sum pochodzących z kredytów niez użytých na regulację rzek niesplawnych i spłaty długu Rządu za administrację klinik lwowskich, z drugiej zaś wyłączeniem z wydatków zwyczajnych wydatku na regulację rzek karpackich i pokrycie pożyczką, dalej podwyżką 5%, dodatków i deficytem bieżącym 160.000 kor. przeszło, dał powód do bardzo poważnej dyskusji w łonie komisji budżetowej. Zasadniczo i praktycznie wielce doniosła kwestya pokrycia deficytu wyloniła kilka zapatrywań; z jednej strony wystąpiły projekty mniej zasadniczej natury, aby mianowicie podnieść obliczenie wydatności centa dodatków, albo aby pewne pozycje wydatków o inwestycyjnym charakterze wydzielić z wydatków zwyczajnych i pokryć pożyczką; na jedno i drugie nie zgodziła się większość komisji, uznając tak optymistyczną ocenę dochodów, jak wydziałanie z wydatków pewnych pozycji celem uniknięcia czy maskowania deficytu, za fakta wprost niebezpieczne. Z drugiej strony podniesiono myśl pokrycia całości niedoboru tegorocznego pożyczką. Za myślą tą przemawiało tak kilku posłów z lewicy, jak z Koła krakowskiego, a przewodnią myślą ich wywodów było: podniesienie dodatków o 5% wystarcza tylko na jeden rok; bez nowych dochodów na przyszłość to podniesienie będzie już za rok niedostatecznym, coroczne zaś podnoszenie dodatków, coroczne wstrząsanie podatków, jest szkodliwym i błędnym, pogarsza gospodarstwo i społeczne stosunki; będąc niedostatecznym, może równocześnie okazać

się niepotrzebnem, mianowicie, jeżeli kraj otrzyma, jak tego potrzebuje i żąda, nowe dochody; gdybyśmy te nowe dochody otrzymali w najbliższej przyszłości, to łącznie z proponowaną obecnie podwyżką dodatków mógłby kraj mieć dochody chwilowo za wielkie, co łatwo do rozrzutności zamiast oszczędności, do uchwalania niepotrzebnych wydatków, wprost marnowania grosza publicznego — bo niby jest na to — prowadzić może, a sławny Goschen w jednej z swych mów budżetowych słusznie powiedział, że trudniej postępować dobrze przy nadwyżce dochodów, niż przy nadwyżce wydatków. Czy, kiedy i w jakiej wysokości otrzyma kraj nowe dochody, jest dziś rzeczą niepewną, ale wyjaśnienie pod tym względem musi nastąpić w ciągu roku; dopóki nie nastąpi, jesteśmy w epoce przejściowej i w takiej epoce można i należy posłużyć się środkiem przejściowym, t. j. pożyczką, a nie — niedostateczną a może i niepotrzebną — zwykłą podatków; naturalna zasada pokrycia, że „zwyczajne wydatki mają być pokryte zwyczajnymi dochodami“ jest słuszną, ale ona nie wyczerpuje wszystkich zasad polityki skarbowej, bo obok niej równie słuszną jest zasada, aby nie wstrząsać niepotrzebnie, ani też często systemu podatkowego, ona — jak każda zasada — ma być drogowskazem, nie więzami życia, regułą na zwyczajne, nie na przejściowe epoki. Zresztą formalnie tylko pokrywalibyśmy wydatki nie podatkami, zaciągając obecnie pożyczkę, bo kraj płaci więcej podatków, niż potrzebuje, a mianowicie do funduszu propinacyjnego; uznano niegdyś za słuszne spłatę długu propinacyjnego oprzeć na osobnej dotacyi — dochodzie propinacyjnym — i taki jest stan prawny do dziś, ale tak samo można było obowiązek spłaty długu propinacyjnego nałożyć na skarb kraju, równocześnie przekazując mu i dochody propinacyjne; nadwyżka dochodów funduszu propinacyjnego, która wyniesie przeszło 20 milionów koron i która po spłacie długu przejdzie na własność kraju, nie jest niczem innym ekonomicznie, jak *nadpłatą podatków*, której ze względu na konstrukcyę prawną funduszu propinacyjnego obecnie nie możemy wliczać do dochodów skarbu, ale którą moglibyśmy eskontować; podnoszenie zaś podatków celem tezauryzacyi jest błędem finansowym zawsze, zwłaszcza zaś

w kraju ubogim. Te wszystkie uwagi i powody przemawiały za niezmienniem podatków w obecnej przejściowej epoce, za powstrzymaniem stanowczej decyzji do chwili, gdy wiedzieć będziemy, jakie na przyszłość nowe mieć będziemy dochody. W roku bieżącym większość komisji zgodnie z pierwotnym wnioskiem Wydziału Krajowego nie oświadczyła się za pożyczką, lecz za podwyższeniem dodatków — czy słuszenie? to przyszłość okaże. Za stanowiskiem większości komisji przemawiała formalna racja: pokrycie zwyczajnych wydatków zwyczajnymi dochodami, przemawiała obawa znacznego wzrostu wydatków, bo czy pożyczyc 1.5 czy 1.8 czy 2 miliony może się zdawać Izbie faktem bez różnicy. Niemniej jednak poważne argumenty przemawiały obecnie za pożyczką.

Prócz wyżej już przytoczonych, jest takim argumentem zarówno sam tenor rezolucyi, jak również stan faktyczny, który te rezolucye uzasadnia. Rezolucye obie stwierdzają, że dotychczasowe źródła dochodów są niedostateczne, *ergo* że dalej dodatków ponosić nie możemy — czemuż więc podnieśliśmy je obecnie? Stan faktyczny stwierdza, że udział w Galicyi w dochodzie skarbu z egzekucyj podatkowych wzrasta, doszedł do 54^o/_o, przewyższa dochód ten z wszystkich innych krajów koronnych razem wziętych. Cyfry te dowodzą, że podatki dotyczą u nas w znacznej mierze koła, niezdolne do ich ponoszenia, tem więcej zatem niezdolne do ponoszenia jeszcze wyższych dodatków do podatków. Opodatkowanie w miarę możliwości ekonomicznej jest jednym z najdonioślejszych i najtrudniejszych zagadnień finansowej i społecznej polityki; błędy podatkowe wytwarzają różnice podatkowego ciężaru, obciążają nierówno, pozabawiają jednych możliwości kapitalizacji, u innych ograniczają nawet możliwość konsumpcji. Dodatki do podatków powiększają podatki tylko proporcjonalnie, przez co progresywnie obciążają dochody małe, bo im mniejszy dochód, tem większa jego część idzie na potrzeby niezbędne; tu każde podwyższenie podatku grozi wprost pogorszeniem bytu, degradacją trwałą majątkową i społeczną, gdy egzekucya ogalała rodzinę za bezcen niemal z wszystkiego, prócz marnych kilku szmat na plecach. To też uzasadnione są obawy, że

uchwalona już podwyżka niestety gotowa jeszcze podwyższyć nasz udział w kosztach egzekucyi, uzasadnionem twierdzeniem, że innych, nowych nam potrzeba dochodów, że dalej dodatków podwyższać nie możemy. Bo i o tem zapomnieć nie wolno, że dodatki są główną podstawą finansowej gospodarki gmin, powiatów, wielu miast, że kraj złą prowadziły politykę, gdyby, dbając tylko o dochody dla siebie, utrudniał tym ciałom samorządnym spełnienie ich zadań, lokalnych wprawdzie, lecz nie mniej krajowego znaczenia; sam Sejm nie dźwignie kraju, gdyby w owych ciałach lokalnych zabrakło życia i środków do życia.

Świadomość tego stanu przebijają w obu rezolucjach: żądamy przyznania nam nowych dochodów, przedewszystkiem zaś ukrajowienia obecnego dochodu propinacyjnego. Żądamy nowych dochodów od Rządu, bo dalszą podwyżkę, nawet trwale utrzymanie uchwalonej obecnie wysokości dodatków uważamy wprost za niemożliwe, zwłaszcza przy podatku domowo-czynszowym we Lwowie i Krakowie; poza tem nie ma żadnej dziedziny, gdzieby już państwo nie było położyło swej podatkowej ręki, a uznając wielkie potrzeby i trudne położenie finansowe państwa, domagając się od Rządu przyznania krajowi nowych dochodów, nie przepisujemy mu bezwzględnie, które ma nam dać, wskazujemy jednak, że przedewszystkiem byłoby słusznem utrzymanie nadal dla kraju dochodu dziś propinacyjnego, a więc dochodu nie alterującego bynajmniej łącznego systemu dochodów państwa, zależnego w swem prawnem uchwaleniu nie od niepewnego w pracy parlamentu, lecz od zdolnego do pracy i pracującego istotnie Sejmu krajowego.

Ale kiedy w komisji budżetowej i wśród ogółu posłów poczęła krystalizować się programowa myśl, powiadziawszy krótko, ukrajowienia propinacyi, wystąpiła ostra opozycja, krytykująca namiętnie dzisiejszy stan, zarząd propinacyi, myśl jej przedłużenia, stawiająca żądanie: „Precz z propinacją“, odmawiająca Sejmowi, złożonemu rzekomo w przeważnej liczbie z propinatorów, prawa stanowienia o dalszych losach propinacyi. Zarzuty te, słuszne w niejednym szczególe, polegały jednak w znacznej mierze na pewnem niezrozumieniu i nieporozumieniu co do przeszłości

i przyszłości — to też po wyjaśnieniu należytem całej sprawy opozycya ta nie występowała już przeciw myśli zreformowania słusznego i ukrajowienia propinacyi.

Oceniając działanie Dyrekcyi funduszu propinacyjnego, należy pamiętać, że pierwszą jej troską być musiało zapewnienie sobie dostatecznego dochodu, starającego na procent, amortyzacyę i fundusz rezerwowy długi propinacyjnego; było to ogólnym interesem kraju i kredytu kraju, deficyt dochodów funduszu propinacyjnego byłby mógł fatalnie na cały kredyt kraju i na budżet kraju oddziałać. Zupełny brak zaległości rat dzierżawnych, znaczny fundusz rezerwowy stwierdzają, że to swe najpierwsze zadanie Dyrekcyja funduszu propinacyjnego dobrze spełniła. Czy gonitwa za wyższym dochodem byłaby była w stanie i pewnością dochodu poręczyć, to można twierdzić, lecz i wątpić o tem można; zresztą obecny system zarządu trwać jeszcze będzie tylko kilka lat, reform więc tu już nie można podej mować.

Ale czy w naszym położeniu finansowem słusznem byłoby puszczenie tego dochodu zupełnie na marne, utrzymanie tenoru ustawy, że propinacya kończy się z r. 1910?

Jako zabytek średniowieczny, jako pół-privatna instytucya z prywatnym monopolem wyszynku bez kontroli nad jakością trunków, ustać powinna, ustać musi, ale zreformowanie i ukrajowienie jej jest bezwzględnie wskazanem. Zniesienie jej zupełne utopiłoby znaczny dochód w kieszeniach szynkarzy, ludność by na tem nie skorzystała, a wolność wyszynku, mnożąc liczbę szynków, potęgując ich konkurencyę, działałaby źle i moralnie i ekonomicznie; gdy na każdym zakręcie drogi, w każdym zaułku wsi byłaby karczma — jak to i dawniej było, a co się znacznie zmniejszyło w ostatnich kilkunastu latach — to mogłoby wzrastać rozpijanie ludu, a konkurencyja karczmarzy, nie dając im dosyć dochodu z sprzedaży trunków, prowadziłaby ich do szukania dodatkowego zarobku z lichwy, rozpijania ludzi i t. p. Niebezpieczeństwa to nie urojone! Postulat: „Precz z pijaństwem!“ precz z zatrutowaniem ludu moralnem i fizycznym, a rujnowaniem gospodarczem, jest ogólnym postulatem kraju, ale wolność wyszynku nie byłaby drogą jego realizacji.

Skuteczniej te cele poprzeć zdoła organizacya wyszynku przez ukrajowienie propinacyi.

Przemawiają za tem najpierw finansowe powody. Dawna maksyma skarbowa: „Każdy stary podatek jest dobry, każdy nowy złym“ zawiera wiele słuszności; nałożenie nowego podatku wywołuje zawsze trudności administracyjne i trudności gospodarcze, bolesny nieraz proces przerzucania podatku; tych trudności nie byłoby przy ukrajowieniu propinacyi, a płynący w przyszłości z krajowych opłat szynkarskich dochód obciąży zbędną potrzebę ludu, która prędzej może znośić podatek nawet wysoki, niż jego produkcya, czy niezbędna konsumecya.

Ale ukrajowienie propinacyi domaga się reform doniosłych w szeregu kierunków, mianowicie prawnym, finansowym, higienicznym, etycznym. Co było dotąd półprywatnym monopolem, ma być prawem kraju, przyczem udział w dochodzie z tego prawa dla miast przedstawia doniosły punkt do załatwienia; finansowo domagać się trzeba reformy systemu wydzierżawiania, zapewnienia najmniejszych kosztów poboru, zapewnienia, że podatek w tej formie przez ludność płacony nie ugrzęźnie w znacznej części w rękach pośredników, lecz przejdzie istotnie do kasy kraju. Pewne koszta poboru są zawsze — i tu będą, bo być muszą — lecz chodzi o stosunek kosztów do czystego rezultatu, a doświadczenia starożytnego Rzymu z publikanami, i Francyi t. zw. *ancien régime* z dzierżawcami podatków, winny tu działać pouczająco i odstrasżająco. Dalej konieczną jest reforma w celu zapewnienia przynajmniej nieszkodliwej dla zdrowia jakości szynkowanych trunków, a wreszcie powinno równocześnie z ukrajowieniem być przeprowadzonym pełne zastosowanie ustawy przeciw pijaństwu, jak to już w wielu krajach z okazji organizacyi prawa wyszynku podjęto i przeprowadzono.

Ukrajowienie propinacyi przedstawia się przeto jako wielostronnie doniosłe zadanie. Wymaga ono wiele prac przygotowawczych, przedstawia liczne trudności, ale warto im pracę poświęcić, bo o ważny chodzi cel. Sejm polecił tę sprawę Wydziałowi Krajowemu, ale liczył przytem na to, że Koło polskie w Wiedniu gorliwie poprze starania Wydziału Krajowego, a pewnym był, że namiestnik Andrzej

hr. Potocki, jak dla każdej ważnej krajowej sprawy, tak i dla tej udzieli swego gorącego i życzliwego poparcia.

Skoroby kraj uzyskał to nowe źródło znacznego dochodu, możnaby pomyśleć i o lepszej dotacyi w budżecie różnych dotąd niedostatecznie dotowanych pozycyij, i o pewnych ulgach podatkowych. Finansowe, administracyjne, gospodarcze położenie kraju znalazłoby się w lepszych warunkach. Wtedy też możnaby ewentualnie pomyśleć — jak to uczyniła Bukowina — o konwersyi długu propinacyjnego, jakkolwiek wobec wzrostu zadłużenia kraju z innych powodów — kanały! — uczynićby to tylko należało w razie absolutnej konieczności. Nieotrzymanie natomiast tego dochodu przez kraj wytworzyłoby nader trudne finansowe położenie, niezdolność spełnienia zadań, konieczność otrzymania części państwowych dochodów, o czem też rząd przy pertraktacyach z Wydziałem Krajowym pamiętać powinien.

Dr. Józef Milewski.

Kronika literacka.

— Tadeusz Sierzputowski: *Romantyzm polski, jego fazy, istota i skutki*. Próba syntezy, uzupełniona rozbiorem literatury krytycznej, poświęconej temu przedmiotowi. (Lwów, Księgarnia Narodowa, 1905). — „Praca niniejsza jest pierwszą próbą syntezy teoretycznej romantyzmu polskiego. Pomimo bowiem, że w kwestyi tej pisano wiele, nie rozwiązano jej wszakże, ani wyczerpano bynajmniej; przeciwnie: albo wskazywano zaledwie tylko oddzielne rysy romantyzmu i to przeważnie zewnętrzne, albo oceniano wartość jego i to przedewszystkiem pod względem społecznym tylko — albo, nareszcie, próbowano czynić podział prądu na mniejsze prądziki i strumyki, całości jednak i istoty romantyzmu nie ogarnięto“. Oto główna część wstępnego słowa „od autora“, w polskiej literaturze, jeśli się nie mylimy, po raz pierwszy występującego, drukującego podobno dotychczas swe prace (i tę naprzód, jak fama głosi) w rosyjskich czasopismach, autora młodego, jak go nam pokazuje jego własny portret na czele pięknie wydanego tomu. Nawiasem mówiąc, tego portretu wolelibyśmy nie mieć, bo takie zamieszczenie podobizny młodziutkiego autora na pierwszej jego książce trąci brakiem skromności, którego nie godzi się okazywać, nawet gdy jest. Lecz to naturalnie drobnostka — zresztą pierwszym słowom p. Tadeusza Sierzputowskiego niestety słuszności odmówić nie można. Tak jest: nie mamy syntezy romantyzmu polskiego, chociaż mamy wiele o nim mądrych i ciekawych książek, studyów, rozpraw i uwag. Swoją drogą jest tego więcej, niż autor podaje. Wymieniony osobno w tytule książki „rozbiór literatury krytycznej, poświęconej temu przedmiotowi“, jest najslabszą częścią dzieła młodego krytyka. Jeszcze ujdzie pierwszy ustęp o „literaturze współczesnej pierwszym krokiem romantyzmu (do r. 1830)“, mniej już zadowolili drugi rozdział o „literaturze współczesnej romantyzmowi u szczytów powodzenia (do r. 1863)“, całkowicie jednak niedostatecznym jest przegląd (o „rozbiórce“ nawet mowy nie ma) „literatury najnowszej

aposteryorycznej“. Dość powiedzieć, że autor uwzględnia w nim tylko Tyszyńskiego gawędę o *Dwóch Świteziankach*, p. Bełcikowskiego rozprawę o *Romantyczności przed Mickiewiczem*, X. Krupińskiego studjum o *Romantyzmie i jego skutkach* i dwie jej krytyki, Kraszewskiego i Adama Goraya, Chmielowskiego *Pogląd na poezję polską w pierwszej połowie XIX stulecia*, Nehringa *O kierunkach nowszej literatury polskiej*, Prawdosława o *Romantyzmie i filozofii w Dziadach*, p. Tretiaka *O głównych kierunkach poezji polskiej w XIX w.* i odpowiedź Kaczkowskiego, w końcu Wandy (p. Chrzanowskiego) *Ideaty romantycznej poezji polskiej*. I to wszystko! Tak... „Nie uwzględniłem tu wprawdzie poglądów trzech „wielorybów“ (*sic*), że się tak wyrażę, w przedmocie krytyki i historyki literatury polskiej, t. j. Spasowicza, Chmielowskiego i Tarnowskiego; ale uczyniłem to z dwóch, jak sądzę, zupełnie dostatecznych względów: po pierwsze, żaden z nich nie napisał dzieła, mogącego być zaliczonym wprost do t. zw. „literatury przedmiotu“ naszego; powtóre zaś, *compendia* ich poglądów na historję i na poszczególne kwestye literatury naszej zbyt są znane, aby zachodziła potrzeba streszczać je i rozbierać na tem miejscu“. Otóż na taką argumentacyę nie piszemy się. Prawda, u wymienionych „wielorybów“ (pisząc o romantyzmie, możnaby mieć lepszy dobór określeń...) nie ma ani jednej książki czy rozprawy zatytułowanej „O romantyzmie“ lub podobnie, ale ileż w ich — i wielu innych jeszcze estetyków — poglądach na Mickiewicza, na Słowackiego, na kilku innych poetów romantycznych jest sądów o romantyzmie, jako takim, sądów, co najmniej tak ważnych, jak Prawdosława *Romantyzm*. Powtóre zaś nie usprawiedliwia mileżenia względ, że to są sądy znane: ależ gdyby p. Sierzputowski postawił sobie za zasadę w ogóle nie mówić o rzeczach „zbyt znanych“, to — bez urazy — z 260 stronnice studjum zostałoby napisanych może sto. Z tem zastrzeżeniem przegląd ten, aczkolwiek niedostateczny, za pożądany i pożyteczny uważamy. Na wypadek możliwych zarzutów bierzemy w obronę surowy sąd o Brodzińskim, nawet śmiało wyrażenie, że „jego poglądy na prawidło „potrójnej jedności“ żywcem są splagiowane z *Verlesungen* Schlegla“, z dodatkiem: „Innego wyrażenia użyć niepodobna, gdyż Brodziński nie przytacza źródła, z którego czerpie“. Tak jest, Brodziński tak... bezceremonialnie postępuje i gdzieindziej, gdzie n. p. z Schillera i Herdera kawałkami kombinuje „swoje“ wywody.

Przed omówionym rozdziałem jest rzut oka na początki i rozwój romantyzmu europejskiego: niemieckiego, angielskiego, francuskiego; rzecz zasadniczo chwalebna, bo dowodząca, iż autor zdaje sobie sprawę ze związku naszych prądów z obcemi. Wykonanie oczywiście pobieżne, jak być inaczej ostatecznie nie mogło; w jednej części mylne, o czem jednak poniżej dopiero

będzie mowa. Po ocenionym już przeglądzie literatury przedmiotu, idą w trzech rozdziałach właściwe wywody p. Sierputowskiego: o fazach romantyzmu polskiego, o istocie romantyzmu europejskiego i polskiego, wreszcie o jego skutkach i wartości. Wywody poważne, sumienne, a przytem nacechowane serdecznością, bez której, naszym zdaniem, o romantyzmie prawdy powiedzieć niepodobna. A jednak ostateczne wrażenie i pouczenie wcale a wcale oczekiwaniom nie odpowiada; czytelnik po przeczytaniu książki jest — o ile przystąpił do niej uświadomiony już — *so kluy als wie zuvor*. Czemu? czemu zamierzona synteza p. Sierputowskiego nie udała się? Odpowiemy nieco obszerniej, bo to rzecz zasadnicza, a mamy o niej sąd własny.

P. Sierputowski błądzi w jednym, w czym zblądziłi może wszyscy, którzy dotąd o romantyzmie polskim pisali. Bierze romantyzm jako prąd czy ruch literacki wyłącznie, podczas gdy romantyzm był nie poezją tylko, ale *Weltanschauung*, a więc, jak się w Warszawie mówi, „światopoglądem“. Przeniknął on wszystkie, ale to co do jednej, komórki życia jednostki i gromady, i poezję, i politykę, i religię, i naukę, i sztukę, i — wszystko! Wystąpił tak w Niemczech, gdzie nie jedni bracia Schleglowie i Tieck — a tych tylko autor zdaje się znać, jak i wielu jego poprzedników — ale i Novalis (ten przedewszystkiem) i Hölderlin i bracia Grimm i t. d. byli jego przedstawicielami. Schleglowie dali teorię estetyki poezyi, Tieck dał — po części — praktykę poezyi, ale bez rzeszy tamtych innych romantyzmu wiernie odtworzyć sobie niepodobna. Gdy się z tego punktu patrzy, dojrzy się wiele rzeczy w naszej literaturze i w naszym narodowym życiu nawet, w innym świetle, niż dotąd. Wtedy n. p. zrozumie się, że rozwój od Mickiewicza do Słowackiego, od Ballad do *Króla Duchy*, jest koniecznym rozwojem romantyzmu, jako takiego, a nie jakąś przypadkową przemianą. Wtedy rok 1863, rok klęski, może wyda się również koniecznym zakończeniem epoki romantyzmu. Prawda, że w Niemczech do tego nie przyszło; ale bo tam romantyzm jako *Weltanschauung* znalazł schronienie w garstce izolowanych od publicznego życia, co wybornie zgadza się z narodowym charakterem Niemca, który romantyzmu w polityce nigdy nie znosił. Myśmy — a drogo nam to przyszło opłacić! — romantyzm konsekwentniej i obszerniej pojęli: jako naród byliśmy romantykami. I tak byłoby zawsze: i dzisiaj, mimo straszliwej nauki, my neoromantyzmu bać się winniśmy, bo gdy w Niemczech będzie on prądem na ogół tylko literackim, a tylko u jednostek „światopoglądem“, my gotowiśmy znowu jako naród przejąć romantyczny pogląd na świat, zawsze mając pasyę łączenia poezyi z życiem praktycznym. Tylko kto tak pojmuje romantyzm, da jego syntezę, a że jej dotąd nie było, to właśnie skutkiem ciasnego pojmowania romantyzmu, jako prądu literackiego tylko, co znowu po części wynikło z niedokładnej

znajomości niemieckiego romantyzmu. A przecież, jeśli n. p. starsi krytycy, o co autor na nich się gniewa, oceniali wartość społeczną romantyzmu, to czynili to właśnie dlatego, że, chociaż niejasną, mieli świadomość istotnego stanu rzeczy — oni błędzili w tem tylko, że uważali za nadużycie romantyzmu literackiego to, co było konsekwentnem rozwinięciem romantyzmu jako poglądu na świat. P. Sierzputowski pod tym względem oznacza nie postęp od owych bliskich nam czasów, ale cofnięcie się wstecz na stanowisko pierwszych, bardzo powierzchownych znawców romantyzmu. Stąd syntezy nie daje, owszem nieraz aż na drobniejsze atomy jeszcze rzecz sieka, n. p. gdy omawia osobno „inne rysy romantyzmu polskiego“, potem znowu osobno „rysy przypadkowe“, kiedy my ani „innych“, ani tem mniej „przypadkowych“ nie widzimy, ściślej mówiąc, te „inne“ i te „przypadkowe“ równie konsekwentnie, jak t. zw. istotne, z istoty romantyzmu wywodzimy (n. p. nawet Pola admiracya dla przeszłości jest koniecznem dopełnieniem ogólnego obrazu, tak, jak w Niemczech Fr. Schlegel, sługa Metternicha i reakcyi).

Zawiedzeni w ostatecznych wynikach pracy p. Sierzputowskiego, witamy ją jednak życzliwie. Nietylko dlatego, że to należy się każdemu, kto okaże chęć badania ojezystych rzeczy. I nie dlatego tylko, że młody autor w roztrząsaniu polskich spraw nie zapomina o ich związku z obcemi. Ale witamy go życzliwie przede wszystkim dlatego, że ta książka dowodzi, iż p. Sierzputowski ma poczucie potrzeby badań syntetycznych, których nam ogromnie brak, a o ile są, stoją niemal wyłącznie na historycznym gruncie. I chociaż na ten raz o spełnieniu zadania nie można niestety mówić, jak najgoręcej autora do dalszych prac w tym właśnie kierunku zachęcamy.

Dr. J. Flach.

— Z y g m u n t W a s i l e w s k i: *Śladami Mickiewicza. Szkice i przyczynki do dziejów romantyzmu.* (Lwów, nakładem Towarzystwa Wydawniczego, 1905). — Zasadniczo uważamy za pożądane książki, pisane przez ludzi władających piórem, nie będących jednak odnośnie do danej umiejętności t. zw. fachowcami. Brzmi to z pozoru paradoksalnie i zdaje się otwierać na oścież bramę dyletantyzmowi, szkodliwemu w społeczeństwie, zasobnem w skarby nauki, szkodliwшему jeszcze w narodzie, pod tym względem bądź co bądź biednym. A jednak bliżej rozważwszy to twierdzenie, uzna się je za słuszne. Naprzód parafrazując znane słowa:

Und was der Verstand der Verständigen nicht sieht,
Das findet oft in Einfalt so ein kindlich Gemüt,

trzeba zauważyć, że ci niefachowi dostrzegą niejednokrotnie swem świeższem, niezmeżonem okiem, co uszło uwagi tamtych.

A i w formie i nastroju nieraz mają większą, niż tamci żywość i serdeczność. Zastrzeżeń oczywiście i tutaj nie brak: ci niefachowcy muszą być jednak, jak się powyżej rzekło, biegłymi w piórze, muszą mieć świadomość tego, że nie są fachowymi. Więc wielkiej od siebie muszą wymagać sumienności i pracowitości, więc imać się tylko dostępnych dla siebie tematów. Przy zachowaniu tych warunków może powstać dobre dzieło. W Niemczech tego rodzaju literatura dość rzadką jest, bo nauka ma tam wyraźny charakter cechowy; we Francyi natomiast często wykształceni, smakiem i zamilowaniem obdarzeni politycy piszą n. p. o poezyi lub sztuce, a dzieła ich nieraz nieposlednią posiadają wartość.

I p. Zygmunt Wasilewski „dokonywał swoich prac literackich dorywczo, wśród innych zajęć“, nie potrzeba dodać: publicystycznych i dziennikarskich. Jakiemi są te ostatnie, co w nich jest dobrem, co złem, to krytyka książki p. t. *Śladami Mickiewicza* zaiste nie obchodzi; może on tylko stwierdzić, że publiczna działalność autora, jego narodowo-polityczne przekonania rzucają refleksy na niniejszy tom, ale przeważnie tylko w ubocznych rzeczach (n. p. w artykule o *Szkole w obłężeniu* klassyczny frazes: „Nigdy nie groziło większe niebezpieczeństwo pojednania z Rosyą“). Z drugiej zaś strony obecne studia dowodzą, z jakiego gruntu wyrosło to, co w ideach p. Wasilewskiego jest szlachetnem w zasadzie, szkodliwem w praktyce: romantyczna ideologia mickiewiczowskiej ery. Napis książki pochodzi od ostatniego jej szkicu, miłego opowiadania o podróży po wstawionych poezyami Mickiewicza litewskich miejscowościach, jak Święż, Tuchanowicze; czyta się o tem zawsze będąc z ciekawością, to też żałujemy, iż p. Wasilewski dłużej nas po tej okolicy nie oprowadza.

Z głównego zrębu książki usuwamy pierwszy ustęp p. t. *Szkoły w Polsce a twórczość poetycka*, jako nie przynoszący nic nowego, oraz ostatni o *Nowym Konradzie*, mówiący raczej o p. Wyspiańskim, niż o Mickiewiczu. Pozostałe są godne uwagi. Już *Szkola w obłężeniu* świadczy o sumiennności, z jaką autor zabiera się do prac literackich: i tu nie ma nowości, lecz rozprószony po czasopismach i książkach materiał do historii Nowosilcowa wyzyskany jest dobrze. Następne opowiadanie o *Mickiewiczu i Słowackim, jako członkach „Towarzystwa litewskiego i ziem ruskich“*, czerpie z rękopisów rapperswylskiego Muzeum narodowego, gdzie się przechowuje archiwum wymienionego Towarzystwa, założonego w Paryżu w r. 1831, istniejącego do r. 1834. Po dziesięciu założycielach zgłosił swój udział naprzód Lelewel, potem Słowacki, który tu czytał swe poezye. Towarzystwo za pierwsze swe zadanie poczytywało zbieranie i opracowywanie materiałów historii powstania litewskiego i chciało nawet poruczyć to poecie. Lecz on, jak czytamy w protokóle

posiedzenia, wymawia się od przyjęcia tej pracy „raz dlatego, że nigdy w podobnym nie pisał przedmiocie i nawet gdyby pisać miał, to wtenczas, jeśliby mu złożono wszystkich powiatów opisanie ich powstania“. W dalszym ciągu przystąpił do Towarzystwa i Mickiewicz, poczem obaj przemawiali w dyskusji nad odezwą Towarzystwa do ziomek, zostających w kraju. Gdy Towarzystwo podzieliło się na wydziały, Mickiewicza obrano naczelnikiem historyczno-literackiego, gdzie sam miał odczyt p. t. *Gdzie ducha narodowego i jak go szukać należy*, poczem Słowacki mówił o przyszłości prac Towarzystwa, a mianowicie historycznych. Sprawa medalu pamiątkowego poróżniła bardzo gwałtownie Słowackiego z Januszkiewiczem. Ofiarowano medal także i Lafayette'owi, a na uroczystem wręczeniu miał Mickiewicz przemawiać; do zastępstwa rochorowanego uproszono jednak Słowackiego. Wyjechał on wnet z Paryża, a w skutku niesnasek wewnętrznych Towarzystwo rychło upadło.

Studjum o *Psychologii pomysłu „Pana Tadeusza“* przynosi myśl, dowodzącą słuszności przytoczonego we wstępie niemieckiego cytatu. P. Wasilewski z wielką racyą zwraca uwagę na to, że ze znanych słów Wstępu: „O czem tu dumać na paryskim bruku...“, niepodobna wnosić o nastroju poety w czasie powstawania *Pana Tadeusza*, bo przecież „tego rodzaju wstępy literackie poeci robią po napisaniu dzieła“. W dalszym ciągu autor z powodzeniem (choć w wyborze cytatów z Korespondencji nie zawsze jest dość ostrożnym) osłabia przesadne wyobrażenia o rzekomym rozłamie pomiędzy poetą a paryską emigracją, owszem powołuje się na wyłuszczone poprzednio udziały Mickiewicza w Towarzystwie litewskim i z tego srodowiska wydobywa genezę utworu. Dwa dalsze studia odnoszą się do Goszczyńskiego i jego stosunku do Mickiewicza. W pierwszym p. t. *O ton w poezji i w życiu* autor przypomina ten istotnie ciekawy sąd o Goszczyńskim, zawarty w Prelekeyach: „Parmi les poètes polonais, Goszczyński est très souvent Russe. Les sentimens et le ton qui dominant dans ses poésies le rangent entre Dzierżawin et Pouschkine. Il est même quelquefois plus Moscovite que Pouschkine: je parle ici du ton de la poésie“. Wywołało to burzę u zwolenników Goszczyńskiego, Mickiewicz był zmuszonym dodać w jednym z następnych wykładów osłabiający komentarz: „Parmi tous les poètes polonais cette énergie russe, cette force qui glace de terreur ne se voit que dans les poèmes d'un patriote connu, un célèbre écrivain, Goszczyński. C'est pour quoi nous avons dit qu'il appartient plutôt à la Russie par son ton, abstraction faite des choses et des événemens qu'il chante et de ses sympathies patriotiques“. P. Wasilewski zastanawia się nad tem, co Mickiewicz rozumiał przez ów niejasny „ton rosyjski“, podstawia za niego „dziewiczość kultury duchowej“, w końcu daje jakby epilog sprawy, przedstawiając, jak w cza-

sach messyjanizmu Mickiewicz i sam Towiański daremnie domagali się od Goszczyńskiego, by wydobył z siebie ton kozacki, jaki objawił jako poeta, zaparłszy go się jako człowiek. I *Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim* w opowiadaniu p. Wasilewskiego wychodzą żywo, czasem dramatycznie. Więć poznanie się obu w Paryżu r. 1839, spotkanie w obozie Towiańszczyzny, zdolnej wyrównywać nawet tak znaczne, jak tutaj, różnice temperamentów, talentów, życia wreszcie; więć zupełna zrazu harmonia, wspólne mieszkanie, ofiarowane przez bogatszego wiecznie biednemu; więć oziębienie po jakimś nieznanym „upadku“ Słowackiego (może brak pokory?), potem wyjazd tegoż i zerwanie z Kołem, gdzie Goszczyński zastępował Mickiewicza na stanowisku przewodniczącego; więć surowa jego o Słowackim opinia, odczytana na umyślnem zebraniu „braci“, potem Goszczyńskiego ciężkie moralne i cięższe materyalne położenie i nawiązanie w r. 1847 korespondencyi ze Słowackim, który odpowiedział i odtąd i pieniądze dawnego przyjaciela wspierał, a przez niego szukał pojednania z Mistrzem i Kołem, w którym już Mickiewicza nie było; wreszcie Słowackiego śmierć i serdeczne o nim wspomnienie, zanotowane w papierach Goszczyńskiego. Z tych samych zapisek pamiętnikowych p. Wasilewski w „Dodatku“ do zbioru studyów zszeregował chronologicznie szczegóły, odnoszące się do Mickiewicza „dla użytku biografów“ jego. I to jest rzeczą pożyteczną, tak, jak i cały tom, godny polecenia szerszym kołom czytających, i dla nauki nie jest obojętnym.

Dr. J. Flach.

— *La mort de la reine*, par Frantz Funck-Brentano. D'après de nouveaux documents. 2-me edition. (Paris, Hachette, 1903). — Książka ta jest dalszym ciągiem owej strasznej sprawy o naszyjnik, którą omawiano w swoim czasie na tem miejscu, a którą za „początek końca“ tragicznych losów królowej Maryi Antoniny uważać można. Potworna intryga, przeprowadzona z niesłychaną czelnością, zdarła urok z korony wieńczącej królewską głowę i ośmieliła do sięgnięcia po tę głowę.

Gdy się odczytuje tę historię, tak nas bliską i tak znaną, przeżywa się ją poniekąd osobiście. Powiedzmy otwarcie: niepodobna jej czytać bez wzruszenia i zająć przedmiotowego stanowiska. Świat chyba nie zna okropniejszych losów od losów małżonki Ludwika XVI. Typ to niedoli niewieściej. Wszystko tej kobiecie dały nieba w kolebce: wdzięk, urodę, tron, potęgę; mogła rzec o sobie: „Podobna bogom stałam przed wszystkimi“, i wszystko to potem w proch się rozsypało! Spotwarzona przez ulicznicę, osądzona przez zbirów, ginie z ręki kata, doznawszy wprzód nędzy, zniewagi, upokorzenia, wszelkich możliwych tortur moralnych.

Nieszczęścia monarchini francuskiej rozpoczynają się z chwilą, gdy motloch sprowadza królewską parę z Wersalu do Paryża. Wóz posuwa się powoli, otoczony „wyjącemi tłumy“, *des femmes débraillées réclament les boyaux de la reine*, jakiś akrobata Beaulieu bawi publiczność kosztem królowej, dowcipkuje — wiadomo czem są dowcipy plebsu. Królowa siedzi milcząca, nieruchoma, jak gdyby nie widziała i nie słyszała co się koło niej dzieje. Dopiero na głos delfina skarżącego się, że głodny, oczy jej napelnily się łzami.

W kilkanaście dni później pijana tłuszcza nachodzi Tuilerye, straż narodowa uprowadza nieszczęsnych do sali obrad, a jako zaporę między bezbronną matką z dziećmi i rozhukanym tłumem, stawia... stół! „Sytuacya rozbitka, który się chwycił deski i buja na fali morskiej igraszką bałwanów“. Jeden z uliczników pokazuje królowej pęk różg, drugi szubienicę w miniaturze z bujającą na niej lalką; megery lżą ją ohydnyemi wyrazami; ktoś wciska czerwoną frygijską czapkę na głowę Maryi Antoniny i delfina.

Królowa nie spuszcza wzroku przed czernią i odzywa się łagodnie do znieważających ją prostaczków:

— Czyście mnie kiedy widziały? Czy zrobiłam wam co złego?... Oszukano was, mówiąc, że nie kocham Francyi. Byłam szczęśliwą, gdyście mi okazywały przywiązanie“.

I pod łagodnym, poważnym wzrokiem, pod dźwiękiem słodkiego głosu i wyrazów burza się ucisza, lzy się ukazują w oczach, przed chwilą rozognionych.

Santerre burzy się na czarodziejski wpływ królowej i szydząc zbliża się ku niej, rozpiera na stole cyniczny, zuchwały... i nagle sam cichnie, mięsza się pod wzrokiem królowej, który się nań zwrócił spokojny i głęboki. Stara się jednak nadrobić fantazyą, ukryć doznane onieśmienie, i mówi:

— Zdejmcie czapkę z głowy tego dziecka, widzicie jak mu gorąco.

Ale są to krótkie przerwy w rozszalątej burzy.

Nowa napaść tłumów dnia 10 sierpnia zmusza Ludwika XVI do schronienia się z rodziną do sali obrad Zgromadzenia Narodowego.

— Przyszedłem tu — rzecze — by nie dopuścić Paryżan do spełnienia wielkiej zbrodni.

Ktoś w tłumie krzyczy:

— Odbierzcie Austriaczce delfina i oddajcie go prezydentowi. On należy do narodu!...

I żołdak odrywa płaczące z trwogi i czepiające się sukni mateczynej dziecko.

Z dniem każdym niebezpieczeństwo rośnie, prześladowanie się wzmacnia. Pewnej nocy przeprowadzają królewską rodzinę

do starego klasztoru *des Feuillants* — tłum ciśnie się dokoła, śpiewając:

Madame Veto avait promis
De faire égorger tout Paris.

I gdy wreszcie rygle więzienia zgrzytnęły, monarchini słyszy, kładąc się do snu, wrzask *de ce bon peuple de Paris*: „Śmierć królowej! Śmierć królowej!“

Zanim jednak śmierć nadejdzie, mnożą się udręczenia, ukłucia szpilkowe drażniące, wstrętne dla wykwintnej natury, nieznośniejsze może nieraz od boleśniejszych ciosów. Usuwają „patryoci“ oddanych królestwu ludzi, usuwają potem i służbę; cierpią wszyscy nędzę, niedostatek, chłód. Muncypalność odmawia prześcieradeł i kołdry, i królowna słyszy z dnia 20 na 21 stycznia matkę dygocącą z chłodu i żalu przez całą noc. Marya Antonina lubi haftować — muncypalność wzbrania i tej rozrywki! Niektóre z rozporządzeń są... głupie poprostu: rozkaz był formalny, by nikt z wchodzących do królowej nie zdejmował kapelusza z głowy. Pomijamy inne, powtórzyć się nie dające, udręczenia codziennego życia.

Zbliża się nakoniec proces Ludwika XVI. Przez cały ciąg tej komedyi procesowej wzbronionem było małżonkom widywać się z sobą i zezwolono zaledwo na ostatnie pożegnanie. A i to pożegnanie — publiczne, w sali jadalnej; strażnicy cisną się do okien, jak na teatralne widowisko...

Przed wstąpieniem na rusztowanie prosi Ludwik XVI, by oddano żonie ślubną obrączkę, pasmo włosów i pieczętkę, ale Konwent — odzywa się autor — bojąc się, by te przedmioty nie zagrażały krajowi, zatrzymał je u siebie. Jeden z pocziwszych muncypalnych, Foulan, ulitował się nad królową i wykradł dla niej te ostatnie po mężu pamiątki. Został za to zgilotynowany.

Miała jeszcze dzieci przy sobie, jedyną osłodę swej męczarni, ale przeznaczonem było nieszczęsnej przejść całą skalę bóleści ludzkiej. Pewnej nocy budzi ją szczełk odsuwanych ryglów i słyszy — nie pojmując zrazu dobrze o co idzie. Komitet rozkazuje, by „mały Kapet“ został odebrany matce.

— Zabijcie mnie raczej! — woła królowa, porywając syna.

Odpowiadają, że w razie oporu, nie ona, ale syn zostanie zabity.

Wreszcie dnia 10 kwietnia 1793 r. Robespierre domaga się śmierci „zbrodniarki“.

I znów w nocy, by nawet względnego spokoju pozbawić swą ofiarę — przeprowadzają królowę do Conciergerie — i znów prześladowanie na każdym kroku, niskie, brutalne i małostkowe, zwiększa się do ohydli.

Dnia 15 października rozpoczyna się wreszcie proces „Austryaczki“. Co za proces!...

Trzeba było być obecnym — pisze jeden z obrońców, Chauveau-Lagarde — *pour avoir une idée juste du beau caractère que la reine y a développé.*

Całe uliczne śmiecie i błoto rzucono jej w twarz.

Sluchała, stojąc nieruchoma jak posąg, *les yeux fixes, la tête droite, pas un muscle de son visage ne se contractait.*

Znana jest potwarz Fouquier-Thinville'a. Gdy i tę zniosła w milczeniu, jeden z sędziów, rozdrażniony tą wspaniałą, iście królewską pogardą, *l'interpella directement.*

-- Mileżałam—odpowiada królowa—bo natura się wzdryga na taki zarzut. Odwołuję się do wszystkich obecnych tu matek.

Poraz pierwszy głos jej zadźwięczał bólem i łzy polały się po wychudłej twarzy.

Skazana jednogłośnie na śmierć, wysłuchała wyroku spokojnie i wyszła z podniesionem czołem.

Nazajutrz, chcąc się przebrać na śmierć, a mając straż w swej więziennej izbie, skryła się w kącie, między łóżko a ścianę. Stróżujący żołdak zbliżył się *et les coudes sur l'oreiller, la tête dans les mains, la regardait...*

„Jej Królewska Mość — opowiada służebna, Rozalia Lamorlière — okryła ramiona chustką i zwracając się doń, przemówiła bardzo łagodnie:

— *Au nom de l'honnêteté, monsieur, permettez que je change de linge sans témoin.*

— Nie mogę na to pozwolić — odpowiada bydlę — rozkazano mi śledzić wszystkie twoje ruchy...“

Wreszcie na wóz skazańczy wsiąść przyszło.

Związano jej ręce, aż powrozy wpiły się w ciało.

Wstąpiła z trudem, ale zawsze nieugięta, na wysoko przyrządzone siedzenie, aby *ce bon peuple de Paris* nic nie stracił z widowiska. Jakoż mógł widzieć swą monarchinię, wychudzoną do niepoznania, odzianą jak prosta kobieta, w białą spódnicę, biały kaftan i biały czepiec, przewiązany czarną żalobną wstążką.

W przejeździe przez ulicę St. Honoré wóz się zatrzymał. Dziecko małe, które matka jakaś podniosła w górę, zatrzepotało rączkami i przestało pocałunek skazanej.

Królowa odpowiedziała uśmiechem i zapłakała.

Były to jedyne jej łzy podczas tej kalwaryjskiej ostatniej drogi.

Mężnie wstąpiła na rusztowanie. „Lud“ i z tego był nie-rad. A niejaki Hébert pisze: „Największej radości doznał le père Duchesne, widząc własnymi oczyma *la tête du Vêto femelle séparée de son col de grue.*

Podobnie jak w pierwszej części, to jest w *Sprawie o naszyjnik*, tak i w niniejszej, autor opowiada po kolei, w odrę-

bnych biografiach, dzieje bohaterów tego potwornego dramatu. Żaden tragik nie obmyśliłby lepiej — jak to, co w potocznej mowie nazywamy *losem* — charakterów i tła, taka w nich rozmaitość i bogactwo. Obok szlachetnej, wielkiej w swem nieszczęściu, Maryi Antoniny, awanturnica zepsuta do szpiku, pani Lamotte. Uwieczniona po napiętnowaniu, ratuje się ucieczką, przedostaje się do Londynu, gdzie pisze potwarcze pamiętniki *en un style invraisemblable*, a poprawia je były *controleur-général des finances*, Karol Aleksander de Calonne, osobisty nieprzyjaciół królowej i wielbiciel ponętnej szalbierki. Pseudo-baronowa Oliva (właściwie Marie Nicole Legay), o której pani Lamotte mawiała, że była „bardzo piękną, bardzo dobrą i bardzo głupią“, ów sobowtór Maryi Antoniny, nieszczęśliwa w pożyciu z najniegodziwszym mężem, tuła się po szpitalach i umiera w klasztorze, w którym szukała przytułku, natomiast jegomość Beausire, małżonek, pisze proklamacye do narodu, urządza „zgromadzenia ludowe“, denuncjuje swych nieprzyjaciół, za cesarstwa przedzierzga się w gorącego imperyalistę, akkomoduje się Restauracyi, słowem lawiruje z prądem i wychodzi cało z ukropu. Pan Lamotte zostaje policyantem za Restauracyi. Stała posada, stały dochód; zaczyna bywać u „porządnych ludzi“ i... wzorem żony, pisze pamiętniki. Cagliostro, żegnany przez tłumy rozentuzyzmowane, udaje się do Londynu i także pisze pamiętniki — snąc była to ówczesna epidemia. Genialny ten oszust, o którym tyle dziwnych krążyło pogłosek, znalazł w p. Funck-Brentano dobrze poinformowanego biografę. Dobroduszny kardynał de Rohan skończył żywot w spokoju i poszanowaniu. Moralista znajduje w przebiegu życia tych osobistości obfity materiał do rozmyślań, a los, który ułożył ten dramat, prześcignął wszystkich mistrzów w potędze i grozie, w ironii i kontrastach. Powtarzamy — czytać obojętnie tych kart nie można. Nie wiadomo tylko, dla czego autor wybrał biograficzny, ucinkowy sposób traktowania przedmiotu. Jeśli to ma być nową metodą pisania dziejów, nie zaliczymy jej do najlepszych. Ale ważny to przyczynek do biografii Maryi Antoniny, która wychodzi zeń oczyszczoną ostatecznie ze wszystkich potwarzy.

Ledjan.

— Dom Du Bourg: *Le frère Gabriel 1835 — 1897. Du champ de bataille à la Trappe.* (Paris. Librairie Académique Perrin). — Szczęśliwsza od nas Francya, rychło stawia pioniki „swoim świętym, swoim miłym“, nie daje porosnąć trawą zapomnienia świeżych mogił, ale za świeżej pamięci ocala od zatarcia drogie, wybitne postacie, kreśląc ich wizerunki i koleje. Dziś, gdy powiew bezbożności i prześladowania zerwał się nad nieszczęsnym krajem katolickim, ujarzmionym przez garstkę sekciarzy, mnożą się jeszcze bardziej biografie zakonników, nauczycieli, dziewic Bogu oddanych, całej tej rzeszy dobrze czyniącej, a wypartej z własnej ojezyny i w imię wolności pozba-

wionej swobody nauczania, poświęcania się niedolom bliźniego, służenia ubóstwu, umartwiania się i pokutowania za tych, co Boga nie znają lub obrażają. Nie zawsze te życiorysy odpowiadają zakreślonemu zadaniu, czasem grzeszą nadmierną rozwekłością, zawsze atoli w nich odnaleźć przychodzi Boży siew ofiary i poświęcenia.

Surowy zakon Trappistów, dziś pochłonięty z woli Ojca św. Leona XIII przez wielką rodzinę Cysterską, której stał się był kwitnącą odnogą, w szczególniejszy sposób zwykł przywabiać do swej przystani byłych żołnierzy, przechodzących z walk orężnych do walki duchowej. Przełożony generalny Trappistów, O. Sebastyan Wyart, sam zamienił mundur zaawa na białą suknię zakonnika i rad przygarniał rozbitków życia i obozu. Oto pamiętnik takiego żołnierza-mnich, wysnuty z jego listów przez innego mnicha, syna św. Benedykta, który podobnie przechodząc koleje, rycerskie życia początki zamienił na pokutne klasztorne ćwiczenia. On to nam opowiada dzieje brata Gabryela, byłego oficera wojsk francuskich. Bohater tego opowiadania urodził się był w 1835 r. w Auwernii, z chrześcijańskich rodziców i rodziny, która zadawałniała się skromniejszym stanowiskiem, acz niektórzy jej członkowie wybijali się zasługą i zdolnością ponad ogólny poziom. Gabryel Mossier chował się wśród gór rodzimej Auwernii, których bezbrzeżne widnokresy rozwijały w nim zapał, animusz rycerski i żądzę czynu. Po studyach, odbytych w szkołach OO. Jezuitów, wstąpił z powołania w szeregi armii. O tem powołaniu rozstrzygnęły jego zamiłowania osobiste: olśnienie mundurem, upodobanie w zmiennych życia przygodach, oraz przywiązanie do koni. Sam pisze, iż gdy się dosłużył pierwszych galonów oficerskich, szalał niemal z radości. Kiedy zaś wybiła godzina wojny francusko-niemieckiej, Gabryel Mossier znajdował się na pograniczu i odrazu przyszło mu walczyć za ojczyznę, na czele swoich dragonów. Przed bitwą wraz z kilku towarzyszami cwałem dopada do najbliższego opactwa Trappistów, tam spowiada się i przystępuje do Stołu Pańskiego, uczestniczy w nocnym zakonników nabożeństwie, obańsując sobie, iż do nich wróci, jeśli nie zginie. Pod Gravelotte należy do sławnej szarży, którą samiz wrogowie przezwali „jazdą śmierci“. Ranny nie ginie, lecz zdobywa krzyż zasługi. Po kapitulacji Metz, dostaje się do niewoli, naprzód w Królewcu, później w Szczecinie internowany. Za powrotem do Francji otrzymuje stopień kapitana. Żądza odwetu rozpiera mu duszę. Aż oto wśród smutków obecnej chwili wraca mu wspomnienie, iż już w dzieciństwie mawiał, że będzie Trappistą. Nie zwleka, spieszy do pułkownika, żąda dymisyi, dla tego tylko, aby się w inne zaciągnąć szeregi. Pułkownik, wzruszony do żywego, odmówić nie może, żegna kapitana Mossier życzeniem, aby się stał tak doskonałym zakonnikiem, jak był dobrym żoł-

nierzem. Gdy go dochodzi opieczętowana odpowiedź ministra wojny, zwalnająca go ze służby i przyjmująca jego dymisyę, na razie ogarnia go świadomość zrobionej ofiary. A więc precz z bujnym życiem żołnierza, obfitującym w zmiany i niespodzianki, precz z szalonymi jazdami na czele dragonów, precz z wszystkim, co lubił. Kapitan Mossier pada na kolana, czoło w dłoniach ukrywa i spełnia dobrowolną ofiarę, nie targując się z Bogiem, który go woła.

Zanim odejdzie, chce jeszcze matce zostawić pamiątkę po sobie. Własnymi rękoma usypuje w jej ogrodzie taras, skąd może ona patrzeć na łańcuch gór ojczystych. Broń swą oddaje towarzyszowi żołnierzowi; ze łzami w oczach, zapalony myśliwy ubija swe ulubione wyżły, i nie żegnając się z nikim, udaje się do klasztoru Trappistów w Chambarand.

U stóp Alp Delfinatu, rozciąga się przestrzeń ziemi jałowej, zasutej kamieniami, porosłej cierniem i tarniną. Trappiści upodobali sobie to pustkowie, które potem swoim i trudem uprawiają i użyźniają.

Na wstępie Gabryel oświadcza opatowi:

„Masz przed sobą żołnierza, który dawny pożegnał za wód, potrzebuje czynić pokutę i radby jak najostrejszej się imać“. — Opowiada życie swe, z grzechów się spowiada, nareszcie pyta starego zakonnika, który mu przeróżne stawia trudności, ażali mu wolno przed ostatecznym wyrzeczeniem się wszystkiego jeszcze raz wypalić papierosa.

— Choćby i dwa -- mówi opat -- dopóki jesteśmy w ogrodzie.

Były kapitan śledzi obłoczek dymu z ust wypuszczony, nareszcie niedopalaony szczątek zdeptuje nogą, mówiąc:

— A więc i z tem koniec.

Niebawem brat Gabryel rozpoczyna życie Trappisty od upokorzeń postulatu i nowicyatu, od najgrubszych robót, któremi chce złamać w sobie butę żołnierską. Wzdryga się przed dostojenstwem kapłańskim, prosi, aby go zostawiono w pokornych szeregach braci zakonnych. W dniu przywdziania sukni Trappisty, przypomina sobie upojenie lat dawnych wobec mundurów, galonów i oficerskich szlif. Nie żałuje nic, pałając jeno żądzą pełniejszej ofiary. Prosi, aby mu powierzono chodzenie około osiołka klasztornego, co potrafi, choćby dla tego, iż niegdyś był tak zapalonym miłośnikiem koni. Przychodzą na niego dni próby, choroba go powala na łożo boleści, duszę nękają męki zwątpienia, tak ciężkie i częste w pierwszym i ostatnim okresie życia doskonałego. Po dniach walki, nastąpiło zupełne ucieszenie, gdy w lipcu 1878 r. złożył w ręce opata śluby posłuszeństwa, zaprawionego na wojskowej karności. Teraz ostateczność wyrzeczenia ułatwiała mu przrzucanie na coraz inne zajęcia i stanowiska, choćby to najcięższe — dla Trappisty, brata gościnnego, któremu przypada obowiązek oprowadzania przyby-

szów zwiedzających wnętrze osady klasztornej. Ale i to na pozór czeze zajęcie posłużyło mu do rozwinięcia osobnego apostołstwa. Rycerz Matki Boskiej, pragnął on rozszerzyć Jej cześć, nabożeństwo, ukochanie. Korzystał z każdej sposobności i przedlotnego spotkania, aby zagrzewać ludzi do tkliwej dla Najświętszej Panny pobożności. Wyciągi z Doktorów Kościoła odnoszące się do Maryi wydawał, ozdabiając je własnoręcznymi rysunkami i malowaniem, mnożył prace sławiące Maryę, a jednocześnie prowadził studia meteorologiczne, które jednały mu uznanie ministerstwa oświaty.

To pracowite i pokutne życie płynęło na pozór jednostajnie, o ile jednostajnymi być mogą dzieje duszy ludzkiej, walczącej o niebo.

Po długich miesiącach cierpienia, które go przykuło do łoża boleści, brat Gabryel, czując zbliżającą się śmierć, chciał przyjąć mężnie zwiastunkę wyzwolenia. Prosił, aby mu dano Ostatnie Namaszczenie w chórze, pośrodku braci. Odniesiono go ztamtąd do celki, gdzie w sobotę dnia 10 kwietnia 1897 r. w chwili gdy zakonnicy kończyli śpiew officyumu pieśnią: *Ave Regina coelorum*, dobry żołnierz Chrystusowy oddał Bogu ducha.

Z umysłu rozszerzyliśmy się nad tym wizerunkiem francuskiego oficera, który zamienił mundur na suknię zakonną, bo nie samej Francyi należy przypominać, czem są ci pokutnicy, ci pracownicy zakonni, którzy po dziś dzień wznawiają zadania krzewicieli oświaty, obok ćwiczeń pobożnych i ekspiacyjnych umartwień. Nawet w cywilizowanej Francyi nie brak pustkowi, cząstek ziemi niewdzięcznych, nieużyźnionych pracą ludzką. Dziś, gdy zaślepiona Francya precz od siebie wyrzuca rzeszę zakonników, alboż nie godziłoby się zaprosić do nas tych Trappistów, którzy jak dawni Benedyktyni zdobywają kulturze jałowe ugory, kamieniste zagony, wydzielzione ostępy. Takich pustek nie brak u nas, a przykład osobistej niezłomnej pracy zakonników gotówby podnieść całe okolice, rolnictwo kraju całego, podnosząc zarazem i jego poziom moralny. Francya zawdzięcza ostatecznie Trappistom z Staveli pomyslność swych algierskich kolonij. Doczesne korzyści mogłyby zaważyć na szali obok duchowego pożytku, gdybyśmy zaprosili w gościnę wygnańców francuskich. Wszakże już opat z Sept-Fonts objeżdżał Wiśnicz, Kolbuszowę i inne miejscowości, szukając na odwrót zwykłego porządku osadnictwa, ostami tylko, głogami i kamieniami zasłanej ziemi, aby ją własnym trudem uprawić i potem swoim użyźnić. Jakich stąd korzyści, jakiego wpływu na lud okoliczny spodziewaćby się można, nie potrzeba opisywać. Każde społeczeństwo zyskuje na wpuszczeniu doń kropki świętości, jak się wyrażał jeden z mężów stanu francuskich, zachęcając ówczesnego ministra dla Algierji do zaproszenia

tamże Trappistów. Nam zaś krom świętości, potrzeba wzorów pracy, którą żyją, dźwigają się i uszlachetniają ludzie i ludy.

Już po nakreśleniu tej notatki o świeżem wydawnictwie doszła nas wieść o zgonie innego Trappisty-żołnierza, zajmującego wybitne stanowisko generała zakonu. O. Sebastyan Wyart zamieszkiwał w Rzymie od lat czterdziestu. Mając lat dziewiętnaście, zaciągnął się był do zuawów papieskich, na wezwanie Piusa IX, odwołującego się do zapалу katolickiej młodzieży. Uczestniczył w bitwie pod Castelfidardo, później walczył za Francję w heroicznej bitwie pod Patay. Po wojnie, tak samo jak brat Gabryel, zaciągnął się w pokutne Trappistów szeregi, dzieląc czas swój między ćwiczenia zakonne a głębokie studia naukowe. Pius IX kochał go jak syna, Leon XIII temi samemi wyróżniał uczuciami. W miarę jak wielki de Rossi obfitszem światłem oblewał podziemia katakumb, wypadało zapewnić im umiejętnych stróżów i opiekunów. Zaufanie papieży straż tę powierzyło Trappistom. Pierwsi wymierali na malaryę, powoli wytrwałość zakonników zwalczała zrosłe z okolicą Rzymu wyziewy, lasy eukaliptusów oczyszczały powietrze, kultura i kanalizacya zdobywała pięćdziesiąt po pięćdzi wyjałowioną ziemię Kampanii. Gdy ich przywódzca dokonał żywota, złożono go opodal miejsca, gdzie spadła głowa Apostoła narodów, *ad Aquas Salvias*. Trappiści zwykli chować się bez trumny, owinięci w płaszcz chórowy, ostatnim aktem zupełnego ubóstwa. Prawodawstwo włoskie się temu sprzeciwia, miał tedy Ojciec Wyart cztery deski, ubogą trumnę wystawiono w starej bazylice św. Wincentego i Anastazego, niegdyś odnowionej przez św. Bernarda, który na opata nowej osady cysterskiej nazначył zakonnik, później zasiadającego na Stolicy Apostolskiej, jako papież Eugeniusz IV. Przypomnieć się godzi, iż Ojciec Wyart najczynniejszą przyłożył rękę do świeżego zlania się wszystkich odrośli cysterskich, za wyrokiem Leona XIII. W samdzień św. Bernarda pogrzebiono wielkiego Francuza, wielkiego zakonnik na ementarzysku, położonem u stóp wzgórza zarosłego eukaliptusami. Słońce rzymskie złociło zagony zdobyte i użyźnione przez Trappistów, gdy ten ich wódz kładł się do ostatniego spoczynku ¹⁾.

N.

— Dino Mantovani: *Letteratura contemporanea*. (Torino — Roma, Casa Editrice Nazionale Roux e Viarengo, 1904, 418 str.). — Krytyka literacka włoska czyni od lat szeregu zadziwiających postępy. Życie duchowe półwyspu objawiło się dawniej w formie zbyt gorączkowej, nie miało cech dojrzałości, organizowało się dopiero, co było powodem, że krytyka, ten owoc zrównoważonej i świadomej swych celów kultury, stała

¹⁾ Niniejszą książkę wyróżniła też przed kilkoma dniami Akademia francuska znaczniejszą nagrodą i uznaniem. N.

najniżej ze wszystkich europejskich. Przyszedł wreszcie czas pewnego uspokojenia, skupiono się w sobie i poczęto analizować własną twórczość dojrzałej i krytycznej. Ten, którego uważa się ogólnie za inicjatora krytyki włoskiej, okazuje jeszcze pewne ślady dawnej manieri, ale zwolna oswobadza się z pod panowania frazesu, grandilokwencji, deklamatorstwa romantycznego i poczyna sądzić trzeźwo i rozumnie. Mówimy tu o znanym i u nas Francesco de Sanctis, autorze pięknych szkiców i historii literatury, której wartość przetrwała do dnia dzisiejszego. A po nim idą Bartoli, głęboki i bystry umysł krytyczny, subtelny Nencioni, Carducci, nader przenikliwy i ogarniający szerokie horyzonty a stylistą wyborny i prosty, Zumbini, Cesareo i wielu innych. Wśród najmłodszych o zakroju bardziej publicystycznym, niż naukowym, cechuje trafnością poglądów Dino Mantovani, entuzjasta sztuki, jak Venturi, Fredeletto, Molmenti i starający się poznać i zrozumieć jej objawy w każdym kraju i narodzie. Nie można twierdzić stanowczo, że sądy jego są zawsze wytrawne, że dyktuje je rozważa i doświadczenie, że wspiera je znajomość ludzi i społeczeństwa. Krytyk pracuje zbyt pośpiesznie, usiłuje niekiedy sięgać zbyt daleko i głęboko na swe nie dość duże siły, stara się przecież sądzić sumiennie i tylko brak zbyt wydatnego talentu jest powodem, że bywa powierzchownym, a powtarza także sądy znane, które zapewne nieświadomie uważa za swoje. Jest jednak bardzo pożytecznym, a niekiedy zupełnie zadowalniającym i dojrzałym. Zdarza mu się to częściej, niż jego kolegom, nie tak jednak często, by można go uważać za krytyka wyższego rzędu i talentu. Jest pożyteczniejszym od wielu, gdyż usiłuje być bezstronnym i nie czynić z swych sądów tylko echa własnego temperamentu i kapryśków. A to dziś cenić trzeba i podkreślać koniecznie.

Książka jego jest zbiorem artykułów, które znano już z dzienników i czasopism literackich, ale których wartość przewyższa znacznie swą treścią zwykłą fejetonową krytykę. Poprzedzają je uwagi ogólne o dzisiejszem znaczeniu krytyki i głównych prądach literatury przeszłego wieku. Następują sylwetki Carducciego, Edmunda de Amicis, Zoli, Sienkiewicza, Tołstoja, Jana Verga, Anatola France, Maksyma Gorkiego, Pawła Bourget, Antoniego Fogazzaro, Kiplinga, Barrèsa, braci Margueritte, Gabryela d'Annunzio. Pomijamy mniej znanych i głośniejszych. Rzecz szczególna, że spostrzeżenia nad pisarzami obcymi więcej zawierają dowodów samodzielności sądu, niż krytyka własnej twórczości. Że Carducci pogłębił znacznie treść poezji włoskiej, wiadomo na przykład od dawna, że de Amicis jest zdrowy i prosty, wiedzą wszyscy, którzy go czytali choćby w wyjątkach, charakterystyki Verga i Fogazzaro są znów zbyt dorywcze, by mogły być traktowane poważnie. Natomiast Zola występuje bardzo plastycznie i oceniony jest w swych ostatnich twórcach wcale

trafnie. Mantovani nie chce zwalczać ideowej strony roman-
sów, gdyż polemika na tem polu nie do niego należy. Zaznacza
tylko słabość środków literackich, które mają popierać idee
pisarza. Jego figury, społeczeństwo, stosunki są czysto sztuczne
i konwencyonalne. Więc Mateusz Froment w *Pécondité* jest sam
tylko czysty i nieskalany, gdy jego otoczenie składa się wyłą-
cznie z typów zwyrodniałych. Cnota nagrodzona, występki uka-
rany, oto motyw romansu. I cały ten gmach nonsensów byłby
jeszcze do wybaczenia, gdyby bronił go styl dość piękny i ory-
ginalny. Tymczasem jest to gadanina nieznośna i przykra, ma-
niera operująca stale temi samemi obrazami i frazesami, ste-
reotypowość jaskrawa i dowodząca zubożenia talentu i natchnie-
nia. Informacyj jest w jego romansach wiele, smaku i miary
ani śladu. Nie są to dzieła rozumu ani sztuki; fantazyja wybu-
jała i rozwichrzona wielkiego talentu dała w nich dowód, jak
łatwo zejść z drogi prawdy i sztuki. Dla Sienkiewicza nie znaj-
duje krytyk wyrzów uznania, dość godnych ocenić ten euro-
pejski talent. Miara, takt, sztuka odniosły w jego dziełach try-
umf zupełny. Mniej mętny, niż Wiseman, mniej fantastyczny,
niż Bulwer, mniej ciężki, niż Ebers, prosty i głęboki, bezpre-
tensjonalny i na wskrós przenikający dusze, przypomina mistrz
polskiego romansu wielkie kompozycje Siemiradzkiego (??!!), ale
ożywia je uczuciem silnem i pulsującym wyraźnie. Sienkiewicz
zdobył Włochy a w swej trylogii przypomina poetów renesanso-
wych, którzy bogatą materję legendową średniowiecza wtlaczali
w formy proste i piękne. Jest w jego świecie jakaś wielkość,
niezwyczajność, niecodziennność rapsodu, która ludzi zbyt małych
i spokojnych dzisiejszego świata przygniata i drażni. Czyżbyśmy
zatracili już zdolność tworzyć poetycznie, czuć poetycznie, dać
czuć innym poetycznie wiekiuste zjawiska życia? Sienkiewicz
zna świat stary i nowy, myśli i czuje wiele, daje dojrzeć swej
refleksyi i nie traci świeżości uczucia. Jest pisarzem zupełnie
nowożytnym w najwyższem i najszerszem znaczeniu słowa i do-
wodem, że naród polski przeznaczonym jest istnieć i odro-
dzić się.

Dawno nie czytaliśmy tak sympatycznych uwag o wielkim
naszym pisarzu. Krytyki francuskie są zwykle więcej dyskre-
tne i umiarkowane, niemieckie i rosyjskie najczęściej złośliwe
i stronnicze, jak mieliśmy sposobność przekonać się kilkakrotnie,
czytając fejletony wielkiego petersburskiego organu. Tu jest
entuzjazm, jaki daje się spotykać jedynie w Anglii i Ameryce.
W Tołstoju podziwia krytyk prostotę i naiwność stylu, nie spo-
tykaną u Zoli, sarkazm i satyrę, żywość pod pozorami spokoju
i równowagi. Jest coś dantejskiego w jego pojęciu życia i obo-
wiązku, a niektóre sceny mają coś z zwięzłości i grozy Piekła
floreńskiego geniusza. Jego doktryna jest anarchizmem otwar-
tym i powtarzającym stare sofizmata Rousseau i teoretyków anar-

chizmu, apoteozą szczęścia w niewiadomości biernej i ślepej, marzeniem wizyonera, interesującego, ale odosobnionego. Społeczeństwo przejdzie nad myślącym do porządku dziennego, artystę ceni i szanuje. France jest stylistą, filozofem, obserwatorem niepoślednim, ale mniej oryginalnym i nowym, niż tamci. Kipling jest też filozofem przyrody, który znajomość jej wyzyskuje w swych fantazyach, mających charakter dawnego apologu. Jest w tym apologu satyra, alegorya, ale i świeżość, malowniczość, misteryum dziewiczej przyrody imponujące i ciekawe. W Gabryelu d'Annunzio widzi krytyk retora, który dba tylko o piękność słowa. Jest w tem dużo prawdy, ale i generalizowania także. D'Annunzio jest poetą i w poezji tkwi źródło jego sztuki. Niektóre dzieła mają istotnie tylko wartość formalną, inne zawierają treść cenną i pamiętną. Trzeba znać go całego, by zrozumieć i ocenić wartość tego wielkiego talentu. A wadą podobnych książek, jak dopiero omówiona, jest, że podają fragmenty sądów, ale nie sądy, szereg recenzyj, ale nie artykuły, mozaikę krytyczną nie bez wartości, ale względnej wartości tylko. To też objaw naszej kultury, która lubi dotykać wszystkich przedmiotów, ale żadnego nie wyczerpie i radaby drobiazgi nawet przechować w formie książkowej potomości. Książka omówiona jest jednak świadectwem dużego zainteresowania się krytyki włoskiej literaturami obcymi, wielkiej miłości sztuki, znacznej kultury umysłu i podniesienia zmysłu krytycznego wśród literatów półwyspu. *Dr. T. Grabowski.*

Z literatury powieściowej.

— *I. N. R. I. Frohe Botschaft eines armen Sünders*, von Peter Rosegger. (Leipzig, Verlag von L. Staackmann, 1905). — Konrad Ferleitner, sierota po biednych rodzicach, jest zrazu na nauce u stolarza; wydany przez niego, poszedł w świat, do Monachium, Kolonii, Hamburga. Tu wstąpił do stowarzyszenia nazwanego „Obroną przeciw zdrajcom ludu“, będącego związkiem anarchistycznym, oddanym „propagandzie czynu“. Los padł na niego: kazano mu iść i wykonać zamach na kanclerza państwa. Schwytany po wystrzale, osądzony na śmierć, siedzi w kaźni, czekając bądź na potwierdzenie wyroku przez panującego, bądź na monarsze ulaskawienie. Religijnej pociechy nie chce, prosi za to o papier i przybory do pisania. Dostawszy je, pisze w więziennej celi — to, co Piotr Rosegger, sławny styryjski autor niemiecki, wydał pod swoim nazwiskiem, a co jest parafrazą Ewangelii św.

Jeśli się często i dużo mówi o chorobliwości wielu t. zw. modernistycznych pomysłów, to zaiste chorobliwszego nikt nie miał, jak ten pisarz ludowy, przedstawiający w opinii niektó

rych zdrowie, siłę, świeżość, naiwność ludu. Pomijamy już fakt, że realistyczne uczucie współczesne nie znosi fikcji o zamachu na kanclerza niemieckiego, który to czyn w tych warunkach nigdy nie został spełnionym; lecz co powiedzieć o pomysle, by anarchistę robić autorem parafrazy Pisma św.? Prawda; istniały w literaturze powszechnej w wiekach średnich takie książki; wszak u początków literatury niemieckiej stoi t. zw. *Evangelienharmonie* pobożnego Benedyktyna frankońskiego Otfrieda. Ale naprzód, były to czasy inne, kiedy rzeczy święte — w literaturze czy w teatrze — mogły bez profanacji być przedmiotem świeckiego opracowywania i zajęcia, bo pobożność była bez porównania — nie większa, bo wielką i dzisiaj w szczuplejszem gronie jest — ale powszechniejsza. Powtóre zaś weissenburski zakonnik a Rosegger, to dwie indywidualności z sobą niezgodne. Styryjski autor ma pasję do tematów religijnych, to prawda; gdyby się nie wiedziało, że niegdyś był krawcem, moźnaby mniemać, że odzywa się w nim resztką upodobań napędzonego kleryka; ale ile razy porwał się na rezonowanie o religii, tyle razy spotkał się ze stanowczą odprawą z kół w sprawie religii i Ewangelii chyba najkompetentniejszych, z kół duchownych. Lecz może to nie Rosegger, ale Ferleitner pisze tę parafrazę Pisma św.? W takim razie jeszcze gorzej, bo jeśli niebezpiecznym i podejrzanym jest Rosegger, wstępujący w ślady Dawida Straussa i Renana, to anarchista, opowiadający nam w pseudo-religijnym tonie o życiu Jezusa, jest wprost nieznośnym.

Naturalnie nie naszą jest rzeczą zbadać do gruntu religijną stronę utworu; dokonano tego już w Niemczech ze strony, do tego zadania powołanej, a i u nas zapewne odezwie się stamtąd głos, wobec tego, że autor niniejszej książki jest i w Polsce dość czytany, a nawet, jak mieliśmy sposobność przekonać się, młodzieży do czytania polecany. Parę uwag się tu tylko znajdzie, wypowiedzianych przez świeckiego krytyka. Widzi on w utworze, prowadzonym czysto powieściowym sposobem, wiele ustępów, świadczących o pomysłowości autora, niestety bardzo niewłaściwie do nieznoszącego pomysłowości tematu zastosowanej. Tak n. p. dwaj łotrowie, ukrzyżowani razem z Chrystusem, w opowiadaniu Roseggera pojawiają się daleko wcześniej. Gdy święta Rodzina idzie przez puszcę w ucieczce do Egiptu, spotyka dwóch ludzi: Baraba i Dymasa, dysputujących z sobą. Pierwszy gniewa się na swego towarzysza, który nie chciał napaść na przechodzących niedawno tą drogą królów ze Wschodu, dlatego, że szli powitać jakiegoś tam Messyasza. Gdy św. Józef z Maryą i Dzieciątkiem koło nich przechodzą, Barab rzuca się na nich, potem rzuca kośćmi o zdobycz i o dziwo — kości nie mają oczów! I Barab przestraszony cofa się do jaskini, a litościwy Dymas podróżnych wyprowadza na bezpieczny szlak. Podobnie w czasie pobytu św. Rodziny w Egipcie

poeta wymyśla spotkanie Jezusa z Faraonem. Jezus podoba się władcy, przebywa jakiś czas na jego dworze, zraża sobie jednak Faraona, idzie do sławnego sędziwego mędrca, mieszkającego u stóp piramid i dopiero na wiadomość o śmierci Heroda wraca z Matką i Opiekunem do Jerozolimy. Albo wreszcie trzeci przykład uzupełniania Ewangelij poetyckimi fikcjami. W Nazarecie podczas nieobecności Św. Rodziny kuzyn Nathaniel rozpanoszył się w domu, aż Józef wróciwszy musi mu się o swoją własność upominać, „wskazując na literę J, którą wszystkie swoje rzeczy dla porządku oznaczył“.

Może kto powie, że to wszystko są dopełnienia ostatecznie świętości Pisma św. nie ubliżające. Nie sądzimy tak, bo co najmniej niektóre z tych pomysłów, n. p. ostatni, przypominają, choćby tylko z artystycznych względów, modne w XVIII wieku, dla naszego dzisiejszego uczucia niesmaczne trawestacje poważnych motywów w rodzaju trywialnej *Eneidy* Blumauera. Ale są w książce Roseggera ustępy, o których zdrożności już nawet nie może być dwóch zdań. Oto pierwszy publiczny cud Zbawiciela opisuje popularny pisarz tak: gdy już goście w Kanie Galilejskiej zebrani długo siedzą, Matka Najświętsza bierze Syna na bok i tłumaczy Mu, że wypada pójść już do domu, tembardziej, że gospodarstwo będą z tego zadowoleni, bo podobno już wina nie mają. „Co mnie to obchodzi, że oni nie mają wina — odpowiada On (u Roseggera zawsze małą głoską) — ja go nie potrzebuję“. „Ale inni goście go chcą. Zarządca uczyty jest w największym kłopotcie. Myślałam już nawet, czyby kto na to nie poradził“. „Jak mają pragnienie, to niech przyniosą dzbanki na wino — odpowiada On z humorem. — Jeśli tylko pijący jest dobrej otuchy dla czei Boga (*Gott zu Ehren guten Mutes* w oryginalu), to i woda stanie się winem. Niech im wyjdzie na zdrowie“. Albo jak opowiada Łazarz o swem wskrzeszeniu przez Messyasza: „Kładą ci chustę śmiertelną, głowę obwiązują ci szmatami, wyciągają na desce i płaczą, żeś umarł. I tyś umarł, ale to jest inaczej, niż sobie myślałeś. Wiesz o tem, jesteś przy tem, gdy cię do worka biorą i do grobowca zanoszą i z bólu szaty sobie rozdzierają. Jesteś przy tem, gdy twoje ciało zasklepiają w wilgotną wieczną noc i gdy poczyną ono gnić. Twoja biedna dusza kureczy się do okrzyku o pomoc, ale pierś jest martwą i gardło martwe. I w tej trwodze śmiertelnej, która nie chce ustać, przystępuje do ciebie Mąż, kładzie ci rękę na głowę i mówi: Łazarzu, wstań! I puls poczyną bić i członki ciepłeją i ty wstajesz i żyjesz! I żyjesz! Czy ty wiesz, co to znaczy żyć?“ Zatem nie otwarte negowanie cudu, ale dziwaczne połączenie wiary i racjonalistycznego sceptycyzmu: tam w Kanie Galilejskiej ironia: pijani nie poznają, co piją, wodę czy wino; tu w wskrzeszeniu Łazarza wątpliwość, czy też jego śmierć była istotną, a nie tylko pozorną.

Dopełnijmy jeszcze ram opowiadania. Oto Konrad Ferleitner, napisawszy tę parafrazę Ewangelii, zyskawszy za nią uznanie i dozorey więzienia i spowiednika (Rosegger zawsze usiłuje podżyć się pod powagę Kościoła, chociaż często jego władzy nie uznaje), doczekał się w końcu decyzji — smutnej, bo wyrok śmierci potwierdzono. Ale rozpaczać o jego los nie potrzeba. Spowiednik przynajmniej odpowiada spokojnie. „Panie prezydencie sądu! Delinkwent Konrad Ferleitner nie potrzebuje już ani księdza, ani sędziego. On jest ulaskawionym“. Napisawszy *Dobrą nowinę biednego grzesznika*, umarł, raczej zwyciężył życie. Tem kończy Rosegger ostatnią swą książkę, nad którą, jak nad wieloma innemi, słuszniej byłoby może nie w nadużyciu świętych symbolów *I. N. R. I.* pisać, ale ze świeckich spraw wzięte zdanie: *Ne sutor ultra crepidam...* Dr. J. Flach.

— *Le Désastre*, par Paul et Victor Margueritte. (Paris, Librairie Plon bez roku wydania, str. 507). — Smutne dzieje opowiada i smutne wrażenie pozostawia w duszy książka wyszła z pod pióra braci Margueritte, dobrze już zapisanych w historii romansu współczesnego. Paweł Margueritte jest nam w ogóle dość sympatycznym, gdyż on właśnie zerwał otwarcie i głośno z naturalizmem przed laty siedmnastu i poszedłszy własną drogą, umiał być odtąd nie tylko dobrym znawcą wewnętrznych poruszeń duszy, ale i skrupulatnym obserwatorem życia zewnętrznego, co jest pozostałością naturalistyczną, tym razem cenną i godną podkreślenia. Ma z swym bratem Wiktorem fizyognomię odrębną w literaturze, ma głęboką miłość w epoce wznoszącego się kosmopolityzmu i rozdarcia na dwa wrogie obozy, ma tradycje żołnierskie nie bez znaczenia w życiu jednostki w każdym narodzie i czasie. Lekceważy się je dziś, a odegrały one wszędzie, a więc i u nas rolę poważną, i stworzyły mnóstwo cichych poświęceń w epoce walk narodowych, bezmiar ofiar zapomnianych a często zapominanych umyślnie. Kto miał dziada, ojca lub stryja w szeregach bojowych, czuł się jakby obowiązany do ich naśladowania i rumienił się, gdy okoliczności nie pozwoliły mu stanąć tam, gdzie ginęły tysiące. Ojciec obu pisarzy był właśnie żołnierzem i zginął na polu ostatniej walki z Niemcami po bohatersku. Nie dziwnego, że sława jenerała Margueritte okryła też jego synów, że ci ostatni okazali taki zapał dla spraw ojczystych, jaki bije z każdej karty ich dzieła. I zyskali uznanie, choć opowiadanie ich bywa czasem jednostajne i trzeba niekiedy gubić się w masie nader zresztą ciekawych szczegółów. Brak im nieco napięcia, rozpiętu, polotu, ale nie brak plastyki, uczucia, smutku szczerego i tęsknego. Pociągają i zdobywają gwałtem, gdyż wypadki przez nich opisane są początkiem złego dni dzisiejszych i gorszego może jeszcze dni przyszłych.

A celują tem, co jest właściwością pisarzy francuskich, to jest jasnością, wdziękiem, miarą, dowcipem, trudnym do naśladowania i subtelnym niepoślednio. Nie takie to piękne, wytworne, fantazyjne, jak twory Daudeta, ale mile przecież ogromnie i delikatne w ujęciu i wykonaniu. Ich opowiadanie o „klęsce,” to już nie romans, jak twory dawniejsze, ale dokument, dzieje, elegia patryotyczna. wzniosła i szlachetna. Jak to niesłychanie dalekie od świata Zoli, jak rzadkie w dzisiejszej literaturze indywidualistycznej i kosmopolitycznej, jak pocieszające i przenikające liryzmem stylu, czuje się dopiero po odczytaniu całości, która zawiera momenty tem więcej rozdzierające, że kopiowane niejako na miejscu, z żywej tradycyi i wspomnień. A bracia Margueritte mają dobrą tradycyę, tę tradycyę, która uzaenia i chroni od ciasnoty i płaskości ducha. Rozpoczynają opowiadanie sceny, które są niejako prologiem do straszliwego dramatu narodowego, które przygotowują nas do katastrofy ostatniej, to jest kapitulacyi Bazaine'a w Metz. Te sceny, to hałaśliwe i zarozumiiałe demonstracye przeciw Niemcom w Paryżu, podczas których domagano się marszu na Berlin, a które miały za epilog oblężenie Paryża. Bystrzejsze i poważniejsze umysły przewidywały, że wojna bez należytego przygotowania źle się zakończy, i ze strachem spoglądały na zamieszanie rosnące w sferach mających organizować plan kampanii i pomyśleć o każdym szczególe niezbędnym dla pomyślnego obrotu wypadków. Służba wywiadowcza, intendentura, naczelne dowództwo nawet, wszystko zapowiadało klęskę swą bezradnością i brakiem rozmysłu i inicjatywy, gdy z drugiej strony granicy dochodziły wieści złowróbnne i dowodzące znacznej wyższości wroga pod każdym względem i od początku działań wojennych. Brakło nawet map okolicie nadgranicznych, a pewien pułkownik nie wiedział, rzecz niesłychana, czy ma przed sobą Ren czy Mozellę. Podobnych nieporozumień i omyłek nagromadziło się tyle, że wynikały z nich klęski, zrazu małe, potem poważne. Gdy Bazaine objął dowództwo trzech korpusów, sądzono w pewnych kołach, że sytuacja poprawi się odrazu. Tymczasem w Paryżu poczynano wrzeć i zwolna dźwigało się uśpione, jak się zdawało na długo, czerwone widmo rewolucyi.

Bazaine obmyślał zaś dopiero plan i nie dbał, że nieprzyjacieli nie próżnuje i wyzyskuje każdą chwilę, każde zaniedbanie. Cofano się, a bitwy stawały się z dniem każdym krwawsze i mniej pomyślne. Na domiar złego nie było zgody między wodzem a sztabem, rozkazy wykonywano źle, ustępowano zbyt wolno i niewprawnie. A służba szpiegowska wroga była tak wyborną, że uprzedzano prawie każdy krok Francuzów i nie zostawiano im chwili wypoczynku. W szeregi wkradał się bezład, krzyczano na zdradę i podejście. Nieustanny deszcz utru-

dniał zaś odwrót. I przykry był widok zwłaszcza samego cesarza, który widział, jak potęga jego maleje, a wróg rośnie w siły i zagraża na prawdę. On cofał się bez planu i nie mógł zaradzić klęsce. Jakaś fatalność psuła wszystko i wiodła do klęski. Bazaine myślał tymczasem tylko, by nie być odciętym od Metz i opuszczał jakby umyślnie każdą sposobność dokużenia Niemcom, zdawał się chcieć zemścić na szefach korpusów, jak Canrobert, i wystawić ich na pośmiewisko ogólne. Sprawdzał o sobie zdanie swych przeciwników, że brakło mu podniosłości duszy. Chwila była zaś decydująca. Otoczono go w Metz i oficerowie wysilali się na pomysły, jak wydobyć się z niemieckiej matni. Chciano przebić się koniecznie i zagrozić nawet tyłom najeźdźcy, ale Bazaine milczał i nie ruszał się ani o krok. Więc zniecierpliwienie ogarniało gorętszych, gdy widzieli, jak wróg fortyfikuje się w okolo, a blokada zacieśnia się z dniem każdym. Czarny pesymizm zawładnął wrażliwsiymi, a tymczasem nadbiegła wiadomość o klęsce sedańskiej i ogłoszeniu Rzeczypospolitej w zbuntowanym Paryżu. Odwracała się karta dziejów i Bazaine postanowił ograniczyć się po długim namyśle do małych potyczek i czekać rozkazów rządu.

Stał sam na czele armii regularnej wobec przemożnego nieprzyjaciela, który zalewał teraz Alzację i Lotaryngię, zdobył Strassburg, zagrażał Paryżowi. Był wyspą w ogólnym potopie, ostatnią nadzieją, na którą spoglądał zagrożony kraj, Europa, świat cały. Przyszłość otwierała się smętna, ale należało walczyć do ostatka. Bazaine traktował z nieprzyjacielem, korespondował z cesarzową i myślał ogłosić regencyę i wprowadzić rząd legalny. Demoralizowały te układy oficerów, zabijały ducha w wojsku, niszczyły wszelką nadzieję wydobycia się z żelaznego uścisku niemieckiego. Aż wreszcie zbliżyły się niedostatek, wyczerpanie, upadek ducha i układy o kapitulację. Piorunowano na nią zrazu, oburzano się wyniosłe, godzono wreszcie na łagodne warunki, które zwano raz neutralizacją armii, to znów internowaniem jej na miejscu oznaczonym. Przyszła wreszcie, a z nią oddanie wrogowi olbrzymiego materiału wojennego bez zastrzeżeń i ograniczeń. Oddano wszystko skrupulatnie, wykonano żądania zwycięscy z tragiczną dokładnością. Agonia była rozpaczliwą, bolesną, straszną, rozgrywały się sceny rozdzierające, długie kolumny internowanych oficerów znikły w wagonach mknących ku Niemcom, by ozdobić wraz z sztandarami pyszny i brutalny tryumf nowego cesarstwa. Ale książka, która z nadzwyczajną, prawie fotograficzną dokładnością odtworza epizody tego przerażającego widowiska, nie zamyka się pesymizmem.

Autorowie jej podnoszą bowiem, że upadło tylko cesarstwo a z chaosu, który spowodował ten upadek dawno się przygotowujący, wyszła Francya nowa. Ta Francya dokonała dzieła

obrony narodowej i ograniczyła rozmiary klęski, której dzieje opowiedzą dwa następne tomy trylogii. Opowiedzą ją ci sami, którzy dali obraz istotnie przenikający i wierny do przesady, choć kreślony ręką artystów. Wątek romansowy, wprowadzony delikatnie do opowiadania, gubi się prawie i znika, unoszony burzliwym prądem wypadków. Co znaczą zresztą losy indywidualów wobec tego nadzwyczajnego pogromu wielkiego narodu, tej rzeki krwi i nieskończonego chóru jęków bóleści, tej ruiny złudzeń i rozpaczy niepokieszonej osierociałych i zwątpiałych? Intelligencya ludzka zdolna ledwo pojąć cały bezmiar nieszczęścia i wyobrazić je sobie w całej nieskończonej grozie i potędze. Opowiadanie rozdrabnia się wprawdzie zbyt, niestety, cząsteczkami powtarzanymi efektami, do których należy np. przypomnienie ciągle dawnych zwycięstw nad tym samym wrogiem, nie brak mu przecież ogólnego nastroju i spójności, którą utrwała zwłaszcza figura du Breuil'a, symbolu bolejącego patriotyzmu. Czuje się wdzięczność dla autorów, że umieli taką postacią ożywić swe opowiadanie i skupić w niej wszystko, co jest wzniosłego w narodowym charakterze francuskim i co temu charakterowi jednalo od wieków ogólne uznanie i sympatyę.

Dr. T. Grabowski.

— *Sur la branche*, par Pierre de Coulevain. (Paris, Calmann Lévy). — Miarą książki bywa ostatecznie pozostałe z niej wrażenie. Jeśli po ukończeniu rzucasz ją bezpowrotnie, nie worała się niezem w rolę duszy. Jeśli do celniejszych powracasz kartek, jeśli dłuższe echo zostawia w pamięci, musi być coś warta. Otóż niniejszy, ostatni utwór p. Piotra de Coulevain, wciągnął do zawrotów na kartki pełne głębszego znaczenia. A choć odnajdujemy tu niekiedy ów naukowo filozoficzny snobizm, który zwykł zdradzać niewieście pióro, tyle jest stron dodatkich i głębszych w toku tych zapisków, że nie wahamy się na nie zwrócić czytelników polskich uwagi.

Użyliśmy z umysłu wyrazu „zapisków“, bo zachodzi wątpliwość, jest li to powieść, czy też autobiografia powieściopisarza. Osnowa dziwna i dziwaczna. Kobieta młoda, szczęśliwa, rozkochana w mężu, z którym od lat kilkunastu nie zaznała chwili rozczarowania, nagle go traci, i bezpośrednio po katastrofie otrzymuje dowód niezbity, że ten ubóstwiany małżonek zdradzał ją z najbliższą jej krewną i przyjaciółką; ślepa rozpacz, poczucie zemsty, nienawiść do zmarłego i do żyjącej rozpiera duszę owdowiałej pani de Myères. Radaby zniszczyć wszystko, co było dawnem jej życiem, wszystko zerwać, wszystko zatrzeć. Odtąd zamiast w domu, żyć będzie tylko „na gałęzi“, z hotelu do hotelu przenosząc swój żal do ludzi, do życia, do własnej przeszłości. Powoli zgorzkniała dusza zaczyna się na nowo przyglądać zmienionym obrazom, przesuwającym się pod jej oczyma na wielkich drogach ludzkich wędrówek i zabiegów. Pod temi wrażeniami

zaczyna pisać, i to pisać wysnute z rzeczywistości opowieści. Talent niezwykle zjednywa jej ogólną sympatyę. Lecz ona dalej żyć chce w odosobnieniu, jakoby w przelocie, bez dachu, bez ogniska, bez rodziny. Niezlomne jej postanowienie łamie najmniej przewidziany zbieg okoliczności. Spotyka wiarołomną przyjaciółkę, umierającą, zgnębianą poczuciem zdrady i poniżenia własnego. „Nigdy mnie twój mąż nie kochał, pokutuję życiem całym za zapomnienie jednej chwili!“ — i na rękę zdradzonej, przebaczącej, gaśnie biedna Collette'a, zostawiając i polecając sercu pani de Myères syna swego, syna zdrady, kiedy ona sama nigdy macierzyńskich nie doznała radości. Bunt jej przeciw temu narzuconemu, bodaj potwornemu macierzyństwu, powoli się ucisza. Owszem, odnajdując w młodzieńcu wszystkie przymioty i wdzięki dawniej tak silnie ukochanego małżonka, powoli łagodnieje, przebacza, bodaj przeprasza nieboszczyka za długoletnią nienawiść i przeciąglą urazę. Ten syn, który mógł być jej własnym synem, staje się osią jej życia, wraca jej rodzinne ognisko, otacza miłością, godzi z ludźmi — i życiem. I już, już zamiast „na gałęzi“, ma zamieszkać przy młodej parze, która z jej pomocą się skojarzyła, gdy wyczerpane nadmiarem uczucia serce bić przestaje.

Oto kanwa, na której autor dzierga swe poglądy na życie, na wychowanie, na kierunki dzisiejszego świata, na przewroty w pojęciach i zmiany w dążeniach. Pełno tu trafnych, pełniej jeszcze ciekawych spostrzeżeń. Nadmierny modernizm, bodaj amerykańizm, prześwieca z niejednej uwagi; katechizm z pewnością dużo prościej określa nasze powinności i niejedno balamuctwo dałoby się podnieść w religijno-filozoficznych refleksjach autora, przedewszystkiem w uporeczywym twierdzeniu, że wszystkie zagadki życia — i za życia — wszystkie tajemnice ducha — i duszy — z czasem dadzą się wyjaśnić i rozwiązać za pomocą postępów i zdobyczy ludzkiej wiedzy. Złudzenie to ludzkiej pychy pobrzmiwa w tych kartach, jakby dalekiem echem szatańskiej pokusy: *Eritis sicut Deus*. Rażą też uczucie katolickiego czytelnika pewne protestanckie naleciałości, a mianowicie nadużywanie wyrazu *kommunii* w znaczeniu ludzkich wspólności i zjednoczeń. Z temi atoli zastrzeżeniami, chwalić zresztą tylko przechodzi niepospolitą książkę, stanowiącą tak wysoko ideał owego „współpracownictwa z Bogiem“, do którego nas św. Paweł powołuje, nazywając „pomocnikami Bożymi“. Z rzadką podniosłością uczucia i myśli autor określa zadania człowieka z jednej strony, działanie Opatrzności z drugiej; nie trafem, nie przypadkiem, wszystko się składa i układa w życiu do ostatecznego, wyraźnie od Boga zakreślonego celu, do harmonii uniwersalnej. Dla tego, co tak życie pojmuje, staje się ono tem bardziej zajmującym, ciekawem, spotęgowanem poczuciem ogólnoludzkiej odpowiedzialności. Nie dla podrzędnej powieściowej fa-

buły, ale dla bogactwa rzuconych tu myśli, zdań i poglądów, książka ta zasługuje na poznanie i przerasta dotychczasowe autora próby. Nie przynosi ona czezej tylko rozrywki, ale podnieca i pobudza do myślenia, do zastanawiania się, a w następstwie i do gorętszego podjęcia tego „współpracownictwa z Bogiem“, które tak wysoko podnosi ludzkie przeznaczenia. N.

— *Le guide de l'Empereur*, par René Bazin. (Paris, éditeur Calmann-Lévy, 1904). — Oto nowa powieść jednego z najsympatyczniejszych dziś we Francji autorów ze starszego pokolenia, z tego, co za lat młodych przeboleł wszystkie moralne i fizyczne tortury *de l'année terrible* i co z owym dla Francuza tak bolesnym faktem dokonanym zgodzić się nie może, zgodzić się nie chce. Gorący patriota p. René Bazin, za odzyskaniem Alzacyi i Lotaryngii nie tylko tęskni, ale w odzyskanie tych dwóch ukochanych prowincyj niezłomnie wierzy. Wszystkie sprawy jego życia, wszystkie drgnienia jego duszy w tej jednej skupiają się myśli, w tym jednym pragnieniu, w tej jednej, namiętnie oczekiwanej chwili. Do dziś dnia, po przeszło czterdziestu latach, sam widok pruskiego munduru sprawia mu niemal fizyczny ból, ale ból o szlachetnych uczuciach, w którym więcej tkwi żalu i oburzenia, niżeli nienawiści. Smutek zaś, marzenia i nadzieje autora powyżej wymienionej powieści, tak gorąco sympatyzują z uczuciami naszych, wiecznie na te same tortury wystawionych serc, że utwory p. René Bazin powinnyby nie tylko być z zapalem u nas czytowane, ale i na polski język tłumaczone.

Oto z kolei krótka i prosta treść utworu *Le Guide de l'Empereur*. Kapitan Audouin, weteran z prusko-francuskiej wojny, pędzi wraz z córką bardziej niż skromny żywot w małym mieście nad granicą Alzacyi, po francuskiej jeszcze stronie. Bieda, zamiast w sereach ich gorycz wzniecać, uczy ich miłosierdzia i gdy pewnej mroźnej nocy do drzwi ich dzwoni drżąca ręka młodej kobiety, z głodu i rozpaczony na wpół obłąkanej, przytulają ją do siebie na noc, wraz z nowo narodzonem niemowlęciem, ciepłą strawą i szczerem współczuciem ratując ją od zamierzonego samobójstwa. A współzucie to, nie było bez zasługi ze strony kapitana, bo kobieta — po długim wahanii — przyznała się, że będąc Alzatką, wyszła za mąż za Prusaka, który od niej uciekł w dniu urodzenia ich dziecka. Nazajutrz Weronika, córka kapitana, z niemal próżnego woreczka wydobywa kilka franków na zapłacenie zaległego przez kobietę komornego i każe jej wrócić na ciepłe śniadanie, śpiące niemowlę zachowawszy przy sobie aż do powrotu matki. Ale matka nie wraca i jak kamień w wodę wpada. W pierwszej chwili oburzenia i gniewu, p. Audouin chce dziecko do domu podrzutków odnieść, ale Weronika, w której sercu latami tłumiona tę-

sknota za macierzyństwem falą się zrywa, tuli do łona biedne, opuszczone maleństwo i łagodnie, ale z całą siłą nieodwołalnie powziętego postanowienia, oświadcza ojeu, że jeżeli matka po swoje dziecko nie powróci, to ona je za swoje przybierze, że zaś ojeu żadna przez to nie stanie się krzywdą, bo ona postara się o kilka lekcyj więcej, a żona stróża — z samej litości i bez żadnego wynagrodzenia — podejmuje się brać niemowlę do siebie w godzinach jej nieobecności. „Ojczy, czy ty nie widzisz, że biedne dzieciątko to da mi szczęście. Zobaczysz, że nie minie dużo czasu, a i ty się do niego przywiążesz, bo masz dobre i litościwe serce“. Na to wszystko z gniewem odrzeka kapitan: „Zapominasz, że to mały Prusak, ten bęben. Chcesz, żebym małych Prusaków wychowywał“?

— „Przeciwnie, drogi ojczy. Chcę, żebys tego *małego Prusaka* wychował na dobrego, tęgiego Francuza. Zrobisz z niego żołnierza... oficera“!

— „Żołnierza, mówisz, oficera?... Weroniko! masz genialne pomysły! ten mały Prusak będzie Francuzem i będzie Prusaków bił. To będzie mój odwet za Sedan“. Okrzyk radości wyrwał się na to z piersi Weroniki i uściskawszy ojca pobiegła do swego pokoiku wołając na głos: „Niechże mu powiem, że odtąd jest moim synem“.

I Karolek Huber chowa się odtąd między nieco rubasznym, ale z gruntu zaennym i szlachetnym kapitanem Audouin i serdeczną, miłosierdzien, pracą i poświęceniem żyjącą Weroniką. Ma się rozumieć, że Karolek będzie kiedyś żołnierzem. Na to go przecież od głodowej śmierci uratowali. Wojskowe zaś zasady starego weterana streszczają się w następujących, nieraz chłopcu powtarzanych słowach: „Widzisz, mój chłopczy, żołnierz jest uosobieniem wypełnionego obowiązku. Słuchać uważnie, słuchać odrazu, słuchać zawsze. Nie z przywiązania dla zwierzchników, bo ci bywają nieraz szorstcy, czasem i niesprawiedliwi, ale z miłości dla kraju, dla ojczyzny. Gdyby ci kiedy przyszło nie mieć dość wyraźnych rozkazów, zrób tak, jak ja dawniej robiłem, gdy mi przyszło nie wiedzieć, jak postąpić. Wezwij do rady twój honor wojskowy. Jeżeli się stawi, możesz śmiało za nim iść“. Choć innemi wyrażają się słowami, rady Weroniki tę samą co jej ojca mają podstawę: „Powinieneś mieć serce łagodne, Karolku, nawet na wojnie... Dany ci rozkaz wypełniaj dokładnie, ale bez nienawiści. Jedynie złe uczynki nienawidzić się należy. Jesteś wesół, i dobrze robisz. Bądź takim i nadal dla miłości bliźniego, choćby cię to i kosztować miało, bo bliźniego wesołość twoja pocieszyć nieraz może“. „Karolek da się zabić na posterunku i jeszcze gotów na chwilę zbliżającą się śmierć wstrzymać, aby zdać raport z danych rozkazów“ mawiał mu stary weteran, Weronika zaś wtórowała mu pół głosem: „Jestem jego pewna“. Poczucie obowiązku i wojskowej karności

u kapitana a miłości bliźniego u Weroniki, to był grunt wychowania Karola Huber. Miłowali się serdecznie wszystko troje. Aż tu nagle, jak grom z jasnego nieba, spada na nich sądowe wezwanie rodziców Karola, aby syna im zwrócili, i to w chwili, w której piętnastoletni chłopiec po zdanim z odznaczeniem egzaminie miał być przyjęty do szkoły wojskowej. Gdy prokurator republiki, zrozpaczonemu kapitanowi oświadcza, że Karola rodzicom oddać musi: „Jako!“ — z oburzeniem woła p. Audouin, ja, były francuski oficer, miałbym wychowanego przezemnie chłopca, przysłego *naszego* żołnierza wydać Prusakom, ażeby miał potem w ich szeregach przeciwko Francji walczyć“? — „Prawo — prawem, kochany panie. Karol Huber do rodziców swoich należy“. Gwałtowna rozpacz kapitana, cicha, ale serce szarpiąca boleść jego córki zwracają na siebie uwagę Karolka. W pierwszej chwili, gdy się dowiadyuje, że rodzice jego żyją — radosny promień oświetla jego oczy, co nie uchodzi bacznej uwagi p. Audouin i strasznie go boli. Nie mówi mu wszakże, że matka niemowlęciem porzuciła go i uciekła, że ojciec przez lat piętnaście o niego się nie zapytał, a teraz — kiedy jest odchowany — żąda, aby mu go zwrócić. Zaczyna dusza starego weterana wzdrygnęła by się na samą myśl wzbudzenia u tak ukochanego wychowanka uczuć, nie zgodnych z Boskim nakazem: „Czcij ojca i matkę swoją“, mówi mu więc tylko i dodaje: „Masz teraz wybór, Karolku, między niemi a nami — między Francją a Niemcami, bo pamiętaj, że opuszczając nas, zostajesz odrzucając Niemcem. Rozumiesz to chłopcze, *Niemcem*.“

Blady, drżący, do samego dna duszy wzruszony, Karolek milczał. — „No! cóż zrobisz? milczeniem tem zaniekpokojony pyta kapitan“. — „Chciałbym pomówić z chrzestną matką“. — Leczą p. Audouin wie, jaka, wobec obowiązku, tkwi niespożyta siła w tej cichej, na pozór tak łagodnej istocie, i siły tej się obawiał. — „Zobaczysz ją jutro chłopcze — odrzekł stary szorstkim głosem. — Teraz idź spać“.

Nazajutrz rano, nie świtało jeszcze, a już Karolek, bosy i nie ubrany, zapukał do drzwi Weroniki i odrazu wpadł w macierzyńskie objęcia tej, która go tak prawdziwie po macierzyńsku miłowała. Długo i rzewnie nad sobą płakali, ale obawy kapitana nie były płonne. Karolek zrozumiał, że obowiązek nakazuje mu powrócić do rodziców, i nazajutrz wyjechał do Niemiec.

I oto, przynosimy się z kolei w pięć lat później do Strassburga. Godzina 5 z rana. Mroźny wiatr dmie z wszystkich stron, termometr wskazuje 12 stopni niżej zera. Przed głównym dworcem stoją trzy osiodłane wspaniałe konie. Jednego z nich dosiada średniego wzrostu wojskowy. Starannie udrapowawszy fałdy obszernego płaszcza, przybiera wyraz jakby od parady, wyraz poważny — niemal mistyczny — wielkiego wodza, trzymającego w rękach losy świata. „Niech trąbią na alarm — wola

do towarzyszących mu oficerów.— Czekam na wojsko przy poligonie“. Oficerowie z kopyta ruszają spełnić dany rozkaz. Najkrótszą drogą chcąc do zamierzonego miejsca podążyć, wszechniemiecki władca i pan, ujrzawszy biegnącego, młodego żołnierza, daje mu znak, żeby się zbliżył i zapytuje go: „Jesteś Alzateczyk“? — „Tak jest, Najjaśniejszy Panie“. — „Jak się nazywasz?“ — „Karol Huber“. — „Gdzie szedłeś?“ — „Do koszar, usłyszawszy sygnał na alarm“. — „Dobrze. Biorę cię na parę godzin do mojej osobistej służby. Zaprowadź mnie do poligonu najkrótszą drogą“.

Jakkolwiek Karolek od lat pięciu nie był widział kapitana Audouin, miał go przecież w tej chwili jakby przed oczami i rzekł sobie w duszy: „Gdyby mnie teraz widział, wskazującego cesarzowi drogę w stronę, gdzie się odbywać będzie bezkrwawe przedstawienie przyszłej wojny, zapłakałby rzewnie, ale rzekłby zarazem: „Wypełnij swój obowiązek“. I Karol zdyszany, umęczony, ostatnich dobywał sił, by zadaniu sprostać. A cesarz? Wilhelm II, dumny, że na jego zawołanie stanie przed nim w przeciągu godziny szesnaście tysięcy wojska strzegącego przemocą zdobyte miasto, nie może przecież nie widzieć, że na jego widok mieszkańcy tego miasta spiesźnie ukrywają się w bramach domów, że kobiety czempredzej okna zamykają, aby dzieci ich na zdobywcę nie patrzyły. A Karol myśli o p. Audouin, o jego córce, o tej skromnej izbie, gdzie był tak szczęśliwym i tak kochanym.

„Powiedz twemu kapitanowi, że ja cesarz, zwalniam ciebie od dzisiejszej rewii. Bądź zdrow“.

W tydzień potem p. Audouin odbierał telegram od Karolka: „Jestem bardzo chory. Przyjeździe oboje“.

Przyjeżdża tylko stary weteran, bo na bilet dla Weroniki nie starczyło funduszków; przyjeżdża, i o mało że go nie zabija widok umierającego, tak gorąco miłowanego wychowanka.

— „Poznajesz mnie Karolku?“ — „Poznaję. Ale dlaczego nie przyjechała i chrestna matka?“ — „Przyjedzie później“. — *Później!*...“ — „Moje dziecko drogie, trzeba mi było ciebie nie puszczać od nas... Uciec z tobą na koniec świata... To ten wasz cesarz wszystkiemu winien“. I biedny stary na głos szlochał. — „Nie... on był dobry... zwolnił mnie od rewii... Wskazując mi drogę, myślałem o tobie, chrestny ojciec... Wszak mi zawsze mówiłeś: *Obowiązek przedewszystkiem*“.

Na cmentarzu strassburskim w parę dni później wiatr kołysał na prostym, drewnianym krzyżu trzy wieńce: jeden z pięknych cieplarnianych kwiatów z wstążką o barwach niemieckich, i dwa bardzo skromne z napisem: „Karolowi Huber, dumny z niego chrestny ojciec“ a na drugim „Weronika“. Ile na te dwa skromne wieńce gorących spłynęło łez, Bóg jeden wiedział.

A. M. L.

— *Pervenche*, par Gyp. (Paris, éditeur F. Juven, 1904). — Autorka niniejszej powieści, wicehrabina de Martel, ma tak ustaloną — i bądź co bądź zasłużoną już dziś — reputację, że niemal wszystkie jej twory są mocno dekoltowane, iż może znajdzie się który z czytelników naszych, co ze zgrozą od recenzji tej twarz odwróci — a potem przecież poleconą książkę w sekrecie, drzwi na klucz zamknąwszy, przeczyta. I dobrze zrobi, bo ostatnia powieść Gypa jest pełna dowcipu i wesołości. Z właściwą sobie biegłością autorka porusza znów ludźmi, nie szczędząc im — zwłaszcza młodemu pokoleniu — gryzącej ironii za ich zupełny rozbrat z wszelkimi tradycjami dawnych towarzyskich obyczajów, z wszelkiem poszanowaniem prostego *decorum*. Ironia to słuszna i zasłużona, a pytanie tylko, czy i sam Gyp nie przyczynił się piórem swoim do tego rozluźnienia towarzyskich obyczajów we Francyi, bo bądź co bądź, nawet gdy rzecz samą krytykuje, zapoznaje nas z nią, a młode umysły z chciwością w lot chwytają dowcipy i wyrazy, najczęściej rażące, a zawsze nie ładne, widząc w nich postęp, oraz wyzwolenie z pętów konwencyonalizmu.

Mamy więc przed sobą trzy siostry z bretańskiej arystokracji, panny de Châtillon, z których dwie młodsze obrazowo i zabawnie przedstawiają nam ewolucję, jaką przebywają od lat kilku — z przerażającą szybkością — towarzyskie obyczaje we Francyi, najstarsza zaś, Pervenche, odważnie walczy z fatalnym tym prądem, chcąc w rodzinie uratować to, co od wieków stanowiło wdzięk i wyższość szlachty francuskiej. Do walki tedy w pełnym rynsztunku stają aż trzy pokolenia, żywcem wzięte z dzisiejszego francuskiego towarzystwa. Jest więc naprzód stara hrabina de Châtillon, *la douairière*, babka wyżej wymienionych panien, jest dalej syn jej i tegoż dzieci, t. j. Pervenche, Yvonne i Clairette i brat ich, Alain. Babka wzdryga się, gdy młodsze wnuczki używają wyrazów, którychby się był wstydził lat temu trzydziestu prosty ulicznik, ale przytem kocha namiętnie te dziewczęta po zmarłej córce i jest w ciągłej przez to kollizyi między tradycjami, w których była wychowana, a wybrykami wnuczek, trochę ją za nos wodzących. Ojciec ich, niemniej od matki, stoi po stronie dawnych obyczajów, ale jest egoistą: przedewszystkiem jest mu miły spokój i gdy go proszą, żeby córki połajał, daje upust gniewowi, trzasnąwszy drzwiami, i ucieka do klubu. Mniej więcej to samo czyni jego syn, z czego, nie bez chytryści, korzystają nie dość strofowane panienki, oddając się zapamiętałe wszystkim ekscentrycznościom *modern style*. Dziwnie obok nich odbija Pervenche, która umiała zachować zalety dawnych panien z dobrego domu. Postępowanie siostr razi ją; one o niej mówią: *Elle est vieux jeu* — ale ona je przed światem zasłania powagą niezrównanej dobroci i wielkiej prostoty.

Pierwsza część powieści polega na takich bezustannych starciach, w ciągu których Yvonne i Clairete, na złość siostrze, używają owej ohydnej mowy zwanej *l'argot*, tak ohydnej, że czytając te dyskusye, ma się instynktownie ochotę uszy zatykać. Dla młodszych siostr spokojna i nie lubiąca świata Pervenche, jest rodzajem Kopciuszka i to się w rodzinie uciera. Idzie więc „kopcieszek“ ten dnia jednego do zamku Des Algues z jakimś poleceniem od babki do tamtejszego ogrodnika. Właściciel wspaniałej siedziby tej, margrabia de Lanillis, po trzydziestoletnim pobycie w Ameryce, dokąd będąc dzieckiem z rodzicami pojechał, po śmierci tychże ma wrócić do Francyi. Mając do likwidowania milionowy majątek w różnych stronach Ameryki, wysyła naprzód pełnomocnika swego i przyjaciela, p. Loquenolé (iście gallickie nazwisko) do Bretanii, aby się zajął odświeżeniem zamku na jego przybycie. A nadto drugie jeszcze daje mu zlecenie, mianowicie każe mu się rozpatrywać między wszystkimi pannami na wydaniu w okolicach Des Algues, ponieważ ma zamiar. wróciwszy do kraju, zaraz się ożenić i to tylko z Bretonką. Chce ją mieć z dobrego, starego rodu, ładną i wychowaną *nie na dzisiejszą modłę*. Będąc sam milionerem, o majątek nie stoi.

Pervenche, dowiedziawszy się za przybyciem do zamku, że pełnomocnik margrabiego jest łąda chwila oczekiwany, nawraca czempredzej ku domowi i obiera najkrótszą ku temu drogę. Pokazuje się wszakże, że w skutek rannej ulewy strumyk wezbrał i kładka się zapadła. Chcąc nie chcąc musi się więc dziewczyna nieco rozebrać i przez wodę przeprawić. W pół drogi nagle czuje się porwaną przez dwa silne ramiona, przeniesioną na drugi brzeg wody, złożoną na trawniku i zanim miała czas myśli zebrać, wysoki, piękny mężczyzna, schyliwszy się, śliczną, obnażoną nóżkę panny de Châtillon do ust przyciska. Oburzona taką śmiałością, Pervenche sili się na gorzkie wyrzuty, ale winowajca taki jest pokorny i taki przytem miły, że zamierzone wyrzuty jakoś topnieją. Przedstawiwszy się jako pełnomocnik margrabiego de Lannilis, p. Loquenolé uniewinnia się tem, że ją wziął za jedną z młodszych jej siostr, o których słyszał w wilię w hotelu różne szczegóły, mogące dzisiejsze jego postępowanie usprawiedliwić. Przy rozstaniu prosi o pozwolenie przedstawienia się nazajutrz pani de Châtillon. Intelligentny, wykształcony, wesoly z młodymi, a ze starszymi pelen jakiegoś serdecznego uszanowania, zaskarbia on sobie odrazu życzliwość babki naszych trzech panien. W mgnieniu oka rozechodzi się w mieście i w okolicy wieść, że p. Loquenolé ma sobie powierzony przegląd panien na wydaniu, z których jedną ma margrabia wybrać sobie za żonę. Stąd niemałe w całej Bretanii wzruszenie. Tymczasem nieznacznie, niemal nieświadomie, panny Pervenche i p. Loquenolé serca zbliżają się ku sobie, na co

nikt wszakże uwagi nie zwraca. Jakż się więc będzie ogólny popłoch i zdziwienie, gdy na wieczorze u p. de Châtillon stara pani de Fréhel, chrzestna matka margrabiego de Lannilis, oświadcza, że odebrała co dopiero od niego list, w którym donosi, że wieczorem przyjeżdża i że zarazem prosi ją, aby się zapytała pani de Châtillon, czy pozwala mu starać się o rękę panny Pervenche. Nikt z obecnych uszom wierzyć nie chce, żeby margrabia na niewidziane, z własnej woli i jedynie za poradą swego pełnomocnika, z trzech panien de Châtillon tę właśnie wybrał. Ale nie na tem koniec ogólnemu zdziwieniu. Stokroć się ono jeszcze zwiększa, gdy Pervenche blada i wzruszona oświadcza babce, że ani za p. de Lannilis, ani za nikogo za mąż nie pójdzie. I to powiedziawszy, wychodzi do ogrodu, gdzie siadłszy na oddalanej ławce, płakać zaczyna, rękę położywszy na głowie wiernego psa. Po chwili na ręce tej uczuła pocałunek gorących ust i ujrzała u stóp jej kłęzącego, rozpromienionego p. Loquenolé, czyli margrabiego de Lannilis.

Powie kto może, że taki koniec zakrawa nieco na komedję. Być może. Ale i w życiu ludzkim rzeczy tak się nieraz złożą, że wygląda to na piąty akt komedyi — jeśli nie tragedyi. Tymczasem cieszymy się, że się ta dobrana, a tak sympatyczna para, pobierze.

Ale po komplementach, kolej teraz i na krytykę powieści. Wysiliwszy się na utwór, nie rażący tym razem przyzwoitości, autorka tak przecież nawykła do używania przyjętej dziś ohydnej gwary, *l'argot*, że uniknąć jej nie umie nawet tam, gdzie jest w sprzeczności z charakterem i obyczajami osoby, której pozwala tą mową się posługiwać. Pervenche, uosobienie dystynkcyi i dobrego wychowania, odzywa się takimi n. p. wyrazami, jak (z przeproszeniem) *Fiche moi le camp!* Wprawdzie mówi to do psa, ale której z dobrze wychowanych u nas kobiet przyszłyby takie słowa na myśl? który z naszych psów by się na to zgodził? A potem druga jeszcze krytyczna uwaga. W chwili kiedy się p. Loquenolé-Lannilis w gorących słowach oświadcza, *idealna* Pervenche prosi go, aby suto wyposażył jej siostry. To jest fałszywa nuta. Nam się to wydaje szczytem niedelikatności, dla Gyp'a zaś jest może dowodem osobistej bezinteresowności i poczucia miłości rodzinnej. A. M. L.

TEATR KRAKOWSKI.

Oby tak zawsze było, żebyśmy mogli poznawać z naszej sceny co miesiąca jaki utwór oryginalny, któryby miał w sobie coś niecoś godnego uwagi! Utwory doskonałe będą zawsze należały do rzadkości; rozsądek każe być zadowolonym, gdy „sztuka“ jako tako dopisze, a zmysł krytyczny każe się cieszyć, gdy chociaż jedną z zalet potrzebnych dramatycznemu pisarzowi dostrzeże się w wyższym stopniu w nowym utworze. Poważna krytyka musi być surową, to znaczy, że nie może się wyrzec rozpatrzenia dzieła wszechstronnie i gruntownie i zmierzenia go według miary najlepszej, a zatem i najsurowszej, wobec której nie ukryje się żaden błąd; inaczej abdykowałaby i nie byłaby też do niczego potrzebną... literaturze, gdyby się chciała stosować do... literatów, schodząc do roli reklamowego herolda, podczas gdy porządek rzeczy wymaga, żeby była sumiennym przewodnikiem dla czytających, a czasem nawet (jakkolwiek tylko wyjątkowo) drogowskazem dla piszących. Nie można tedy za żadną cenę rzekać się tej t. zw. surowości, która właściwie jest tylko dokładnością w służbie *całej* prawdy; wystarczy bowiem część prawdy zataić, żeby krytyka sama stała się kłamstwem, a pierwsi na tem poznają się literaci, sami autorowie i śmiać się będą w duchu z bruchomóstwa, choćby im ono dogadzało. W krytyce nie można być oportunistą; bezwzględność jest w niej zawsze obowiązkiem. Jest też rzeczą jasną, że tylko surowej krytyki pochwała coś warta, a reszta jest dziecinnem oszukiwaniem się nawzajem, trochę dla wzajemnej wygody, a trochę może z braku istotnego przekonania i tego zapału do sprawy, który daje ochotę do myślenia, a odwagę do mówienia. Między prawdziwą literaturą a prawdziwą krytyką, choćby najsurowszą, stosunek będzie zawsze dobry, gdyż zawsze zrozumieją się strony, z których każda traktuje swój zawód na seryo.

Wystąpił przed nami w listopadzie p. Tadeusz Rittner z trzechaktową „sztuką“ p. t. *W małym domu*. Śledzącym pil-

niej piśmiennictwo nazwisko autora już znane. Odznaczył się, jako fejletonista i w tym zakresie pióra olśniewał nowością formy, świeżością pomysłu, oryginalnym, niebywałym jeszcze u nas zacięciem, a nie było to czeze tylko niepisywanie się stylizycznymi sztuczkami, bo w każdym fejletonie była i myśl istotna i artystyczne odczucie rzeczy; czytając je, czuło się też za stylem — człowieka. Gdyby pozostał przy fejletonie, przeszedłby niezawodnie do literatury; jeżeli jednak ma zdolności do utworów większych, czemużby ich nie miał pisać? Próbuje tedy i wystawia u nas we wrześniu 1902 r. *Sasiadkę*, jednoaktówkę symboliczną, która zjednała mu dużo tanich pochwał, znacznie ponad zasługę. Potem zdarzyło mu się nieszczęście, że dostał nagrodę konkursową (w Łodzi) za dramat p. t. *Maszyna*, w którym przedstawia niedolę wyższego umysłu, zmuszonego nałożyć na siebie dla chleba biurokratyczną obróżę. U nas go nie wystawiono, a szkoda, bo wartoby to bliżej poznać; zapewne Dyrekcya bała się powszechnego (a niestety słusznego) uprzedzenia publiczności do sztuk konkursowych. Teraz jednak, gdy nie polecone przez żaden komitet jurorów *W małym domu* odniosło sukces, możeby się odważyć i na ową *Maszynę*? Znam jej fabułę i rozkład aktów i z tego wydała mi się dyalogowaną powieścią; ale nie można orzekać niczego stanowczego, nie znając dobrze tekstu. Zrobiła się zaś luka w znajomości z talentem autora, przez to, że się nie zna utworu pomiędzy *Sasiadką* a *W małym domu* i nie można sobie zdać przez to należyte sprawy z całej jego indywidualności, bądź co bądź godnej uwagi. Prosimy o *Maszynę* tem śmielej, że bez zalet ona być nie może, i (o ile w literaturze da się rozumować deduktywnie) domyślać się w niej można przynajmniej zalet charakterystyki.

Nowy utwór, co dopiero wystawiony, godzien jest bowiem wielkiej pochwały właśnie za charakterystykę swych postaci. Autor zdobył sobie nawet zasługę wobec literatury dramatycznej, bo wprowadził do niej charaktery nowe, dotychczas (na polskiej przynajmniej scenie) jeszcze nie widziane. Najbardziej popisał się zaś postacią „Maryni“, gospodyni „małego domu“. Jest to sobie osóbką niemądra, zupełnie niemądra, a jednak — materyał na kobietę! Posiada zasadniczą cnotę kobiecości: szczerłość i wyznaje ją, chociaż nieświadomie, aż do bohaterstwa, do męczeństwa. Historia Maryni trywialna: Los poskąpił jej daru starszannego wychowania domowego, rosła, jak płonka, pomiędzy lokatorami i stołownikami u matki, bezmyślna, ale poczciwa, pozwalająca sobie tylko na jedną niewinną kokieteryę według własnego gustu, żeby zawsze mieć w ubraniu swem coś — czerwonego. W zupełnej nieświadomości dobrego i złego żyła z dnia na dzień, bierna i o bożym świecie wyobrażenia nie mająca, aż ją uwiódł jeden z mateczynych lokatorów, lecz „uczciwy“, a więc „poświęcił się“ i poślubił, gdy już nad dziewczyną wybić miała

stanowcza godzina hańby. Był to medyk, następnie doktor medycyny, młodzieniec zdolny a przedsiębiorczy, przed którym rozkwierała się karyera akademicka i stosownie do tego „większe domy“ ze stosownemi pannami. Marynia stała się... dumną, że jej uwodziciel porzucił wszystkie „dobre partye“ i tak się w niej zakochał, że aż się z nią ożenił! Ale karyera młodego lekarza zapieczętowana; trzeba było szukać jakiegokolwiek miasteczka, jakie się nadarzy, żeby mieć utrzymanie dla rodziny. W małej mieścinie stał się pierwszą figurą i słusznie, bo wiele zdziałał dla dobra gminy i okolicy, czynny a rozumny i dobro publiczne miłujący; zaśniedział tylko cokolwiek, a oszczyony w małym polu niedużych ambicyj, zmalował też duchem i już mu do szczęścia wystarcza, że będzie burmistrzem. Ona nie dorosła nawet do tych małomiasteczkowych wyżyn. Wytwarza się szczególnie stosunek. W ambicyach mężowskich nie bierze udziału, bierna nadal wobec wszystkiego, co się nie dzieje tuż koło jej fartuszka, w granicach własnego pomieszkania. Nie umie się znaleźć w towarzystwie pani sędziny, rejentowej i t. d. Lekceważona przez całe „towarzystwo“ i przez własnego męża, dobra tylko do rądl i zmiotki, zaniedbała się nawet w ubiorze: chodzi umorusana, w postrzępionej sukni, nie czesana, obejuje tylko ze służącą, której pozwala się poufalić, a poza gospodarstwem nie jej nie obchodzi. Od dawien już przestała istnieć dla miasteczka! Piękną jest, ale żadnemu z miejscowych donżuanów nie postoi nawet w myśli, żeby się do niej zalecać, bo ona, jak mówi prowizor, „nie liczy się“. Mąż wszędzie bez niej, a gdy do siebie gości sprosi, nawet jej nie uprzedzi; w mieście wybory, mąż kandyduje na głowę miasta, a ona nawet o tem nie wie. I tak przeszło lat dziewięć, Marynia stała się stosownie do wieku jeszcze głupszą, niż była przed zamęściem, a przytem nudzi się śmiertelnie i wspomina z utęsknieniem lepsze czasy, „kiedy była u matki w Krakowie“. Stanowisko jej społeczne jest tego rodzaju, że obcy biorą ją za służącą, ona zaś robi sobie ze służącej powiernicę; i taka to Marynia zostaje pewnego dnia panią burmistrzową. Na dobitkę wszyscy wiedzą, jak to małżeństwo powstało z przygody, doktora szanują i żalują, a z doktorowej sobie dworują, o ile jej nie ignorują zupełnie. A jest ona kobietą zawsze poczciwą. Inna piętaby się i dęła, ona w poczciwej swej nieśmiałości trusią pozostała, nikomu nie dokuczy, nie intryguje po miasteczku, nawet w ploteczkach udziału nie biorąca. Nie przewróciło się jej w głowie od wielkości męża, nie popadła w żadne pretensje, lecz coś wręcz przeciwnego, a (w literaturze) dotychczas niesłychanego: maleje z roku na rok nietylko w oczach świata, ale nawet własnych. Typ prawdziwy, a podobno tak częsty, że nie można się nadziwić, że go literatura nie wyłowiała już dawno, dawno przed

p. Rittnerem; ależ to właśnie największa pochwała dla pomysłu, że się prostym wydaje!

Mąż, biorąc te rzeczy ściśle, posiada umysł nie o wiele głębszy od żoninego, jest tylko „wykształconym“. Człowiek-to pospolitej średniej miary, poprzestający na tem, co po wierzechu. Poślubił uwiedzioną, ale się nie zajął kształceniem w niej umysłu, serca, charakteru; zostawił ją samej sobie, chociaż pod wspólnym dachem. Na tyle intelligencyi się nie zdobędzie, żeby zrozumieć, że ślubem spłacił tylko stare długi, a wziął na swe barki obowiązek nietylko wyżywienia tej kobiety i jej dzieci, ale też odpowiedzialność za dalszy duchowy jej rozwój. Ona nie ma jednak do niego żadnego o to żalu, bo nawet nie przypuszcza istnienia jakich względów wyższej miary. Przywykli zresztą do tego życia, ona do brudnej służki i brudnej sukni, a on do tego, że ma żonę, „która się nie liczy“; oboje wiodą życie zgodliwe i porządne i niema w nich zgola żadnego dramatycznego nastroju, lecz przeciwnie, jest w nich i koło nich, a zawsze przez nich, dużo materiału na komedję.

Jest też druga para: Siostra doktora, zwykła panna, która „skończyła pensję“, osiadła, po tem oficjalnem skończeniu edukacyi, przy bracie i jest sobie panną na wydaniu. Dobra-to dziewczyna, nie daje bratowej odczuć swej wyższości, a nawet nabywa przekonania, że brat żonę zaniedbuje i nie pojmuje, jak można nazywać miłością stosunek pozbawiony wszelkiego łącznika duchowego. Kocha się w pannie Wandzie miejscowy nauczyciel, profesorem zwany, ideolog, zastanawiający się głęboko nad światem, którego nawet powierzchownie nie zna, mający kompletny własny system socyologiczno-filozoficzny; typ pomiędzy nauczycielstwem tak pospolity, że znaleźć go można niemal w każdej większej szkole, a do literatury — o dziwo! — znowu teraz dopiero wprowadzony! Widocznie p. Rittner lepiej od nas umie patrzeć na ludzi, skoro sobie zdaje sprawę z tego, na co patrzy, a my dopiero dzięki jemu przypominamy sobie, ilu-to znało się już takich! Panna Wanda profesora nie chce, bo co to za mężczyzna? Szanuje go z tem odcieniem szacunku, który wypływa z tolerancyi, ale zalicza go do takich, „których się nie liczy“. Szkoda, że autor nie wyzyskał należycie tej okoliczności, a panna Wanda poprzestaje tylko na stwierdzeniu, że jej brat, to „cały mężczyzna“. Dopelniają obrazu małomiasteczkowe matadory, w których niema jednak już nic nowego; to zresztą tylko sztafaże; podobnież inżynier, całkiem szablonowy tuzinkowy donżuan.

Jest wyraźne stopniowanie w opracowaniu charakterystyk. Marynia wyczelowana jak najstaranniej, doktor opisany bardzo dobrze, nauczyciel rysowany w konturze, lecz wyraźnie, Wanda niedociągnięta i wymaga już poprawek, uzupełnień. Nie jednaki sposób przedstawienia tamtych trzech figur, od szczegóło-

wego traktowania do konturu, nie szkodzi wcale wartości utworu; możnaby nawet dopatrzeć się w tem zalety pewnej perspektywy, skoro tylko charakterystyka nauczyciela jest dostatecznie wyrazista; przy Wandzie jednak zachodzi właśnie brak wyrazistości. Inżynier ma się stać sprężyną, która poruszy wszystko do akcji; szablonowy jest, ale tym razem to właśnie dobrze, bo taki właśnie potrzebny do tem silniejszego podkreślenia przewodniej myśli utworu.

Akt pierwszy zachowuje doskonale artystyczną proporcjonalność wszelkich a wszelkich pierwiastków, powołanych przez autora do literackiej retorty. Dzięki wybornej fakturze, mamy w niedługiej wcale odślonie scharakteryzowany cały ten światek, jego stan umysłowy i materyalny, troski i zabawy, ambi-cye i obawy; podane, co go łączy i rozdziela, wykazane podobieństwa i różnice. Tło podmalowane tak doskonale, że dzisiaj nikt z naszych pisarzy scenicznych nie potrafiłby lepiej; pod tym względem autor już wszystkich prześcignął! Marynia zabija czas, stojąc w oknie i wyglądając na każdy przejeżdżający koło ogrodu pociąg, a zabawia się rozmową ze służącą, która ze śmiechem potrafi powiedzieć jej impertynencyę; po meblach porozrzućane rozmaite domowe gałganki, białe i kolorowe, a na pani fartuszek malowany plamami, chociaż bez secesyonistycznych tendencyj, nie malarskiemi, lecz zastarzałemi gospodarskiemi. Oto „mały dom“, w którym pana prawie nigdy niema w domu, a wiecznie go szukają, bo wziętym jest lekarzem. Dworek lekarza za obszerny na jego „dom“ i jest w nim pokój do wynajęcia. Przychodzi lokator (zgodzony bez wiedzy żony) inżynier, który przybył na kilka tygodni stawiąc jakiś most; Marynia sama mu otwiera, on ją muśnie i poklepie, sądząc, że to służąca, a potem przeprosi, chociaż nawet niepotrzebnie, bo ona się nie gniewa i z całą naiwnością pocieszy obcego przybysza, że takie pomyłki zdarzały się jej już nieraz; a cóż kto winien, skoro jej nikt nie zna?! Ani jej w głowie obrazić się! Zaniedbaną, towarzysko upośledzoną, ignorowaną, weźmie łatwo na lep pierwszy lepszy głupiec, jeżeli pochlebstwem zdobędzie jej zaufanie. Pochlebstwo inżyniera nie jest nawet zręczne, przeciwnie, jak najbardziej banalne i szablonowe: powiedział jej: „królowo“. Ta banalność jest właśnie pomysłem doskonałym w tej sytuacji. Niczem można zdobyć taką kobietę, jak Marynia, opuszczoną i wciąż upokarzaną. Ona właśnie potrzebowała tego, żeby ją podnieść w jej własnych oczach; nie zrobił tego mąż, zrobi za niego wąż; nie dano jej złota, da się sama złowić na szych. Ona matką dwojga dzieci, ale nie znalazła tego, co lekkimi kwiatami tak silnie żłobi drogę do powołania kobiety, a ściele ją jedwabistą tkaniną słodczy, której upojeniem dojrzewają one; tego rozdziału brak w jej życiu, biednej, uwiedzionej nawet bez miłości; mąż nie dostarczył jej

tego puchu życia, który życiem sam nie jest, ale bez którego żadne życie pięknem być nie może, a więc ani zupełnem i dlatego do życia nieodzowny, a zwłaszcza kobiecie. Ona tego nie dostrzegła, bo taka już ograniczona, że niczego w ogóle nie dostrzega; ale gdy puch ten, kwiat, jedwab, na drodze życia znajduje, poczuwa instynktowo, że oto to, czego jej trzeba i ani chwili nie badając, czy to prawdziwe, rzuca się na to, jak głodny na chleb. Jej jeszcze nikt nie powiedział „królowo“, a to brzmi tak pięknie! I weźmie ją, jak swoją, najgłupszy, najbanalniejszy z uwodzicieli, odkrywszy jej głupotę, gdyż ona zachowa się wobec jego impertynenckich komplementów tak, że służąca jej umiałaby sobie lepiej poradzić. Cała jej bezbronność wychodzi odrazu na jaw.

Sytuacja nasuwa poważne refleksje, bo nasuwać je może każda sprawa ludzka, badana dokładnie. Sami mieszkańcy jednak „małego domu“ wcale tych refleksyj nie mają, ani też autor z nimi jeszcze nie występuje. Rezoner sztuki, profesor Sielski, mówi na razie tyle tylko, ile potrzeba, żeby samego siebie scharakteryzować, a mówi po doktrynersku nie do rzeczy i ta najpoważniejsza w sztuce postać krojona jest na figurę komiczną, jakkolwiek nie w trywialnem znaczeniu tego wyrazu. Wszystko w ogóle, od pierwszej sceny pani ze służącą, aż do ostatniej, gdy nadchodzi miejscowe „towarzystwo“ z gratulacjami z powodu wyboru doktora na burmistrza, tak sceny zasadnicze, jak scena doktorowej z inżynierem, jakoteż pomocnicze, n. p. rozmowa inżyniera z prowizorem, czy to sytuacyjne, jak ostatnia, czy to psychologiczne, jak rozmowa doktora ze siostrą, wszystko a wszystko trzymane jest w tonie lekkim. Na afiszu napisano według nowej mody ogólnie tylko „sztuka“; po pierwszym akcie nabywamy przekonania, że to komedia. Wszystko w tym światku odpowiednio małe; niema ani głębszych uczuć, ani silniejszych napiętości, ni gorętszych ambicj, sytuacje tylko zabawne, a sposób traktowania ich zupełnie komedypisarski. Cieszymy się przeto, że po długim zastoju zjawi się nareszcie znowu dobra polska komedia.

Akt drugi utwierdza nas w tem miłym mniemaniu. Sytuacja jest ogromnie komiczna, gdyż inżynierowi stało się to, co Tartarinowi z Tarasconu z wielbłądem. On chciał się tylko pobawić, a tymczasem ona ściga go swoją miłością na każdym kroku, zakochana po uszy nie zważa na nic, chce go mieć zawsze i wszędzie przy sobie, a gdyby wyjechał (most się już kończy), pojedzie z nim choćby na koniec świata; zachowuje się przy tem tak, że ślepy chyba nie dostrzeże, na co się zanosz. Głupota pani burmistrzowej jeszcze się pogrubila pod wpływem miłości, tańczy, śpiewa, stroi się i ani myśli ukrywać swego kochania! Cóż będzie, gdy wróci mąż, który wyjechał był na dwa tygodnie? Maryni wystarczył jednakże tak krótki

czas do zupełnego upadku! To już traci przesadą, skoro poznaliśmy ją w I akcie, jako pocziwą osobę, a głupota nie może służyć za wymówkę, bo nie jest już nieświadomą i naiwną, jak to było przed dziewięciu laty. Tak prędko upadają tylko te, które właściwie nie ponoszą już przez to żadnego szwanku. Prawdopodobieństwo tem mniejsze, że w tym małym domu mieszkają prócz nich jeszcze trzy osoby: bratowa, służąca i dziewięcioletni synek. O to już mniejsza, ale w każdym razie musiała Marya stoczyć jakąś walkę z sobą; o tem ani słówka, a to właśnie byłoby najciekawsze w dramacie, a nawet stanowiłoby jego istotę. Widocznie przeto pisze autor komedię, a w takim razie po co ten zbyt nagły upadek? Takie nasuwają się uwagi, podczas gdy patrzymy na coraz nowe zabawne sceny, zawsze dobrze pomyślane, wybornie ułożone i pełne charakterystyki. Ona przekonana, że uszczęśliwia inżyniera, on myśli, jakby jej się pozbyć; nauczyciel wychwała przed Wandą szczęśliwe życie małżonków, nie wiedząc, że mimowoli zdradza Maryę, bo inżyniera wziął za doktora; goście nadchodzą w chwili, gdy doktor chce wymusić na żonie pocałunek; Marya umizga się do kochanka przy mężu i gościach, inżynier w opałach nie może sobie z nią dać rady, a widząc, że w mężu budzą się podejrzenia, wyjeżdża bez pożegnania najbliższym pociągiem; sędzina, której umizgów nie chciał doktor niegdyś odwzajemnić, rada, że może mu teraz przypiąć łatkę, dolewa oliwy do ognia, pobudzając i tak już rozbudzoną podejrzliwość i t. p. Wszystko dotychczas stanowi bardzo dobrze napisaną komedię.

Po wyjściu gości mąż chce pociągnąć żonę do odpowiedzialności za niewłaściwe zachowanie się i zapytać, co to wszystko ma znaczyć? Spostrzegł bowiem zmianę w żonie! wygląda tak, jak wówczas przed dziewięciu laty, kiedy przygoda namiętności miała ich sprządz na całe życie; żąda wyjaśnień. Zabiera się do tego brutalnie, jako jej pan i władca. Rozmowa ta nie da się opisać, trzebaby przytoczyć ją całą dosłownie. Jestto niepospolity popis artystyczny autora. Ona zapłakana, zachowuje się jak dziecko i wyrzeka tylko na męża: „Poco ty mnie wzięłeś?” — to zamęcie było jej nieszczęściem, bo było dla niej niestosowne, a że wyjść za doktora musiała, on winien, bo wyzyskał jej nieświadomość, dał się unieść namiętności, której ona nawet nie podzielała, lecz bierna i głupia, uległa chwilowemu oszołomieniu. Szczerością, dzieciennym żalem, głębokim smutkiem, a wszelkim brakiem najmniejszego nawet cienia przewrotności, Marya nie tylko rozbaja, ale nawet pozyskuje sympatyę i teraz, w tej to chwili budzą się w widzach owe refleksye, od których rozpoczęliśmy jej charakterystykę. To takie proste, że jej się tamten podobał! Ale czem bardziej podkreśla autor u Maryi prostotę serca, tem trudniej zrozumieć, że już wszystko za późno, że ona tak łatwo i prędko upadła.

Scena-to kulminacyjna utworu, a tak świetnie napisana, że po niej nie może już być najmniejszych wątpliwości o wybitnym talencie autora. Pogłębia się też w jednej chwili wartość całego utworu, okazuje się niepospolita zdolność nietylko do zwykłej komedii charakterystycznej, ale do tak zwanej komedii wyższej, poważnej. Nasuwają się jak najpochlebniejsze dla autora myśli, bo szukając w pamięci ostatniego chronologicznie utworu, od którego nie było u nas dobrej komedii, trzeba się cofać aż do — Blizińskiego; budzą się tedy radosne nadzieje, że przecież nareszcie zdarzył się ktoś, kto zerwał z przesądem, jakoby słaby dramat był czemś lepszym od dobrej komedii i to ktoś taki, kogo trzeba będzie brać bardzo na seryo... gdy w tem... doktor strzela do żony, zabija ją... i z dobrej, z bardzo dobrej komedii robi się nieszczególny dramat.

Strzał z rewolweru nie wystarczy, żeby komedię zamienić na dramat, a zmusza autora pisać dalej zgoła z innego tonu. A strzał ten również za mało jest umotywowany, jak przerażająca szybki upadek Maryi. Doktor nie był nigdy passyonałem, żeby miał działać pod wpływem pierwszego impetu, a jeżeli grzech żony tak nim wstrząsnął, że nie może nad sobą zapanować, dziwna to rzecz, że nie skierował zaraz drugiego strzału przeciw sobie samemu. Okazywał też doktor tyle lekceważenia dla żony, tak ją zawsze traktował, jakby tylko sprzęt jakiś w swym domu, a przy tem nigdy jej na prawdę nie kochał, że trudno wobec tego uwierzyć w to zabójstwo; byłby żonę raczej wypędził z wyrazem najwyższej pogardy. Zabicie żony tem dziwniejsze, że uwodziciela jej nawet nie próbuje ściagać!

Trzeci akt musi już być pisany dramatycznie. Doktor, uwolniony przez sąd przysięgłych, wyjeżdża w dłuższą podróż, poczem wraca, ażeby zacząć na nowo czynne życie wśród dawnych współobywateli. Czuje wyrzuty sumienia, bo przejrzał już i rozumiał, że „zabił dziecko“, że żona jego zgrzeszyła dlatego tylko, że on nie rozwinął w niej należyte charakteru, że nie podniósł jej w poźyciu ze sobą, że się nigdy nie troszczył o jej duszę i pozostawił ją w tym samym stanie zaniedbania, w jakim ją poznał i dał jej pozostać dzieckiem; czuje, że on najpierw zawinił i bardziej może od niej, bo jej wina była skutkiem jego win. Zmieniło go nieszczęście. I on dojrzał bardziej i nie sądzi już rzeczy po wierzchu; uniewinniający werdykt przysięgłych nie uspił w nim zgryzot i on sam wcale się nie rozgrzeszył. Takim go autor przedstawia i doktor sam tak sobie mówi w rozmowie z sędzią. A równocześnie twierdzi autor co innego: że doktor jechał do domu w tem przekonaniu, iż rzuciwszy się w wir życia publicznego i zawodowych obowiązków, otoczony uznaniem obywateli (którzy podczas śledstwa i procesu jawnie stawali po jego stronie) i powodzeniem zewnętrznym, stłumi w sobie rozdźwięk wewnętrzny i będzie żył na

nowo po dawnemu! Jak jedno z drugim pogodzić? Jeżeli doktor nauczył się już myśleć samodzielnie i sięgać do głębi rzeczy, a nabrał przekonania, że jest winnym i upadku i śmierci żony, w takim razie przekonanie to nie może uleść zmianie pod żadnym wpływem zewnętrznym i obojętnym będzie pod tym względem, jak się wobec niego zachowają jego współobywatele. U człowieka tak już głęboko myślącego, dziecinne się niemal wydaje wyczekiwanie, czy przyjdą poskladać mu wizyty; on ponad takie rzeczy już wyższy. Ile razy autor próbuje motywu tragicznego, zawsze mu coś nie dopisze, dla tej prostej przyczyny, że utwór jego nie jest dramatem, lecz komedią na dramat wypaczoną. Dopisuje mu jednak zawsze zręczna faktura i zdolność określania sytuacji krótko a nader jasno; pod względem scenicznym jest też i trzeci akt całkiem dobry. Osamotnienie doktora, którego wszyscy uniewinniają, lecz nikt z nim żyć nie chce bliżej, wykreślenie go zupełne z „towarzystwa“, a nawet opuszczenie przez dawnych pacjentów, przedstawione jest scenicznie prostymi środkami tak zręcznie, że nikt z naszych nie potrafiłby lepiej. Gładko wybrnął też autor z trudności przeprowadzenia fabuły drugiej pary: nauczyciela i Wandy. Wanda zmieniła zdanie, Sielski już jej się podoba, bo głębokie jego poglądy na życie dają rękojmię, że nie będzie w pożyciu z nim niespodzianych burz i przewrotów. Właśnie, gdy się porozumieli i są po słowie, rozlega się z sąsiedniego pokoju znowu strzał: doktor odbiera sobie życie. Ludzie obesзли się bez niego, ale on bez nich nie zdołał żyć.

W porównaniu z *Sąsiadką* postęp znaczny i można już śmiało powiedzieć, że mamy w osobie p. Tadeusza Rittnera do czynienia z pierwszorzędnym talentem scenicznym, a mianowicie komedyopisariskim; czekamy więc na pełne, dojrzałe jego owoce, a takie rodzi tylko drzewo sadzone na właściwym sobie gruncie. Dobry komedyopisarz byłby w tej chwili prawdziwym orzeźwieniem dla naszej literatury.

W kronice naszego teatru zajęło przedstawienie *W małym domu* znaczące miejsce przez to, że w roli Maryi ujawnił się talent p. Ordonówny w całej pełni. Zyskała w niej sposobność rozwinięcia wszystkich swych zalet i pokazało się po raz niewiedzieć który, że z każdego aktora, byle choć trochę zdolnego, a bardzo sumiennego, można wykrzesać artystę: cały sekret w tem, żeby role stosownie obsadzać. Tym razem atoli zaszło jeszcze coś więcej: artystka wzniosła się w swej grze tak wysoko, że nie można mieć dosyć słów na jej pochwałę. Takie istne zrośnięcie się z rolą należy do nadzwyczajnych wypadków, nawet u najlepszych artystek! W scenie końcowej drugiego aktu w stanowczej rozmowie z mężem, grała p. Ordonówna tak znakomicie, że nikt a nikt nie zdołałby się w tym ustępie bardziej od niej popisać. Rzewność, szczerość, naiwość jakaś szczerólna,

ból serdeczny a przy tem jasnowidzenie istotnego przebiegu całego swego życia i zrozumienie samej siebie, cała ton uczuć i ciężar myśli, a serce proste, gołębie, oto jej Marya! Taką ona być może na podstawie tekstu, lecz nie musi; tekst temu się nie sprzeciwia, lecz nie wszystko z tego w sobie mieści, a przynajmniej nie bezpośrednio. Artystka rozwinęła tę postać, uszlachetniła i utworzyła grą swą coś tak poetycznego, że tej Maryi nie zapomni się już, a chwila ta należy do najpiękniejszych, jakie się wogóle w teatrze przebyło, bo jest jednym z najdoskonalszych popisów lirycznej gry, na jakie stać cały teatr polski. Miała artystka jakąś czarowną chwilę natchnienia, jedną z tych, których nikt dużo w życiu mieć nie może. Zrozumiała Maryę na wskróś, — męczennicę.

Partnerem jej był w roli doktora p. Sosnowski, który nigdy nie gra źle, zawsze sumiennie przygotowany do każdego występu; lepszy do dramatu, niż do komedyi, grał najlepiej w trzecim akcie. Wandę opracowała p. Mrozowska bardzo starannie, naginając się do roli refleksyjnej, może nawet zanadto, z obawy zapewne, żeby nie grać za lekko; tekst jednakże nie robi z Wandy wcale filozofki, ostrożność była tym razem zbyt uczona. Profesora Sielskiego grał p. Mielewski poprawnie, ale nie wybitnie; znać było, że studyując rolę, rozumował o niej, lecz nie wyobrażał sobie plastycznie tej postaci, nie widział jej w wyobraźni, tylko złożył ją z literackich rozmaitych reminiscencyj; żywi Sielscy nie należą wcale do rzadkości, a wyglądają całkiem inaczej. Zręcznie ujęli charakterystyczne typy, p. Rutkowska sędziny, p. Jednowski sędziego, prowizora p. Zawierski, a służącej Kasi p. Sokoliczowa. Przy roli inżyniera nasunęła się obawa, czy też młody p. Leszczyński nie wyczerpał się już? grał bowiem zupełnie tak samo, jak wszystkie inne poprzednie swe role.

Druga „premiera“ nie udała się. *Bogaty człowiek*: komedia w 4. aktach A. Najdienowa (przekład Frączkowskiego) może być bardzo dobrą lekturą; na scenie nudził śmiertelnie. Luźne epizody, a długie i bez nerwu scenicznego; temat zaś powieściowy: jak bogactwo może człowiekowi przeszkadzać do szczęścia, a nawet do rozumu. Powieścią mógłby też ten utwór być bardzo dobrą i wielce zajmującą; na scenie przeszedł bez najmniejszego echa i znikł z afisza po jednym przedstawieniu. Czy nie szkoda czasu dla szesnastu aktorów, bo aż tylu trzeba było wprawić w ruch, żeby się uczyli ról na jeden jedyny wieczór i to ról nie łatwych, choćby dlatego, że rzecz dzieje się w obcym nam całkiem środowisku! (wśród członków rosyjskiej „artiele“)

Listopad wypełniały przeważnie gościnne występy i to na dwa zawody: p. Morskiej i p. Kamińskiego. Obydwa miały jedną zasadniczą wadę, że — gościnnymi były. Witano dawnych a miłych znajomych z zapalem, a przytem z owem uczuciem,

z jakim się uśmiechamy do pamiątek i wspomnień dobrych czasów. Szczerłość, ta zasadnicza cecha gry p. Morskiej, podbiła nas więc na nowo po starem. *W świetle nudy* nie straciła jej Zuzanna przez ten czas nie na wartości, a Klara ze *Ślubów paniieńskich* poprawiła się, a jakkolwiek były jeszcze niedostatki, trzeba się jednak liczyć z faktem, że na dziś w całej Polsce jedna tylko p. Morska umie tę rolę zagrać bez ujmy dla czci Fredry. Nową dla nas rolę grała p. Morska tylko jedną: Salusi w *Hardych duszach* i popisała się w całym znaczeniu tego słowa. Szkoda, że były tylko trzy występy, bo p. Morska ma dar prawdziwie artystyczny, że jeżeli tkwi gdzieś choćby odrobina poezyi, choćby iskierka, rozdmucha ją swą grą; cóż dopiero, gdy ma do czynienia z poetycznym tekstem! A z tem właśnie coraz mniej umieją sobie radzić. Jedną jeszcze zaletę dostrzeżono w grze p. Morskiej: że wyraźnie mówi. Zaleta u niej nie nowa, tylko u nas (niestety) nowem jest, że to dostrzegamy; nie chwalono dawniej w Krakowie p. Morskiej za to, bo uważano to za rzecz, która rozumie się sama przez się, jako elementarny obowiązek sceniczny. Skoro już wyraźne wymawianie wybija u nas aktora ponad przeciętny poziom, dobrze się stało, że Dyrekcyja przyjęła na stałe p. Stanisławskiego, który występował równocześnie z p. Morską jako Roger w *Świecie nudy* i w *Ślubach paniieńskich*, jako Albin. Grał tak starannie, że już to samo musi mu zjednać sympatyę; nie umie jeszcze zacierać śladów roboty, gra trochę jeszcze, że się tak wyrażę, po szkolnemu, ale skoro lubi pracować, czemużby nie miał się wyrobić? W każdym razie nie wyszedł jeszcze z tego stadyum, które się zowie „początkującym artystą“ i z tem zastrzeżeniem, w tem ograniczeniu, można powiedzieć, że występ w trudnej roli Albina powiódł mu się.

Występy p. Kamińskiego są właśnie w pełnym toku, gdy sprawozdanie niniejsze idzie do druku. Odклада się więc do następnego numeru to, co i bez sprawozdania wszyscy wiedzą: że p. Kamiński jest wirtuozem polskiej sceny.

Dr. Feliks Koneczny.

Muzyka w Krakowie.

Towarzystwo muzyczne — któremu zawdzięczamy wszystkie dotychczas słyszane produkcye, z wyjątkiem koncertu p. Friedmana, stara się, trzeba przyznać, o dobór i urozmaicenie koncertów. Jeżeli przewaga znalazła się po stronie fortepianu, to może wina i *signum temporis* epoki, w której żyjemy. W czasy Liszta trzebaby sięgnąć, chcąc przeciwstawić ostatniemu dziełatkowi lat epokę równie obfitą w wybitne fortepianowe talenta,

a rozwój techniki i wykształcenie poczucia tonu przedewszystkiem, czyni popis fortepianowy wcale nie tak jednostajnym, jak dawniej sądzono. Wirtuoz współczesny rozporządza prawdziwą orkiestrą z kości słoniowej i palisandru, a wydobywa z niej takie subtelności barw, że z małym nakładem fantazyi można sobie dopowiedzieć instrumentację. Czasami to wrażenie dochodzi do napięcia aż przykrego. Słyszałem kilkanaście razy poloneza *as-dur* Chopina w instrumentacji, jeżeli się nie mylę, Schulz-Beuthena. Ilekroć interpretuje go Śliwiński, nie mogę oprzeć się myśli, iż Śliwiński dokładnie tę instrumentację wystudował i tonuje swoje barwy według niej. Jest to, oczywiście, złuda, świadczy jednak i przedewszystkiem o barwności, jaką zyskał współczesny fortepian dzięki współczesnemu wirtuozowi. Pamiętam wszyscy zeszlóroczny koncert Józefa Hofmana i uwerturnę z *Tannhäusera*, odegraną przez niego. Był to tryumf tej ukrytej orkiestry, jaka tkwi w fortepianie, tryumf, świadczący o uderzeniu, doprowadzonym do ostatnich granic perfekcyi.

W ogóle istnieje pewne uderzenie współczesne, elastyczne, miękkie, a zarazem bardzo stanowcze, przebiegające w sekundzie przestrzeń między wietrzykiem a huraganem, zawsze jędrne, nigdy drewniane, jednym słowem zawsze żywe. Zwłaszcza uczniowie Leszetyckiego wyróżniają się pod tym względem od wszystkich innych. Każda ręka zachowuje pod tym mistrzem swoją indywidualność, lecz każda nabiera kultury tonu. Po za *Leschetizky-Hand*, jak powiadają krytycy niemieccy, istnieją wszakże inne, również bardzo ciekawe; wspólnem znamieniem wszystkich wielkich wirtuozów naszego czasu pozostaje jednak uderzenie. Jakiś tajemny związek zachodzi — możnaby powiedzieć — między przychyleniem się muzyki orkiestralnej ku barwie, a wydobyciem tej samej barwy na plan pierwszy w grze fortepianowej. Po uderzeniu możnaby niemal z po za zasłony określić wiek wirtuoza, a przedewszystkiem jego współczesność.

Uwagi te nie mogły nie przyjść na myśl po koncercie Eugéniusza d'Albert. Słynny ten artysta sprawiał wrażenie wirtuoza, który przez dziesięć lat nie otwierał fortepianu. Wszystko, co grał, powlekało się jakąś szarą barwą, w której tonęły nawet kontury fraz muzycznych. Pierwsze numera programu były poprostu kłopotliwe. Trudno było uwierzyć, że to gra d'Albert, gdyż nawet Beethoven nie ziscił oczekiwań. Sonatę Waldsteińską słyszeliśmy rok temu w wykonaniu Paderewskiego. Istotnie trzeba tylko słuchać innych pianistów, aby przekonać się, jak wielkim jest Paderewski. Pierwsza część, wzięta przez d'Alberta za szybko, przeleciała, prawie nim się można w niej było zorientować. W drugiej, cudowny śpiew brzmiał urywanie i nie wiązał się tak, jak należy. Chyba d'Albert był silnie zdenewrowany? Z tej szarej mgły wylatywał od czasu do czasu wspaniały frazes, jak rakieta, ale też jak rakieta krótkotrwały;

znać też było w dyspozycyi całości ową logikę dramatu, która cechowała zawsze Beethovena w interpretacji d'Alberta, lecz to jedna dopiero z wielu kwalifikacyj, które ongi posiadała tego artysty. Dopiero polonez *as-dur* Chopina rozgrzał i zainteresował naprawdę. Była w tem siła i temperament, godny d'Alberta. Dawny lew jest wszakże dzisiaj barankiem, okazało się to w drugiej części programu, skoro najpiękniej wypadły miniaturowe *Impromptus* Schuberta. To były istotnie małe arcydzieła. Wspaniale też wypadła *Fantazya* Schumanna, która roztoczyła się przed słuchaczem jasno i poetycznie.

Pierwszem wrażeniem jednak było, że w tej grze trzeba się do czegoś przyzwyczaić, mimo jej bezsprzecznej potęgi. Tem czemś jest koloryt. D'Albert — aby mówić z malarzami — używa stałego „sosu“ i to szargo; to różni go od współczesnych wirtuozów, którzy nie uznają takich stałych sosów, a przedewszystkiem koloryzują inaczej. D'Albert maluje w atelier, tamci w *plein airze*. Trzeba nastawić ucho na jego skalę barw, godzić się z nią i dopiero podziwiać mistrzowski często rysunek.

Józef Śliwiński, którego oczekiwano z dłońmi złożonymi do oklasków, nie dał się również spracować swym wielbicielom. Był nieusposobiony, a może i nieszczególny fortepian przyprawił go o uronienie niejednego efektu barwy. Ogółem, wchodzenie w szczegóły byłoby niesprawiedliwością wobec znakomitego artysty, który niewielu ma równych w świecie, lecz jak inni podlega wpływom dni dobrych i złych, kiedy to zawodzi temperament, liryzm mąci się nerwością i artysta jest innym człowiekiem. Następną gościna wynagrodzi to z pewnością. Na razie nie pozostaje nic innego, jak naśladować subtelny takt publiczności, która prawie nie dała poznać pewnego zawodu i żywymi oklaskami przyjmowała zawsze ulubionego artystę.

Z własnym koncertem wystąpił p. Ignacy Friedman, którego obiecujący, silny talent zapełnia zawsze salę. Tegoroczny egzamin wypadł jeszcze pomyślniej od tego, który artysta składał w roku ubiegłym przed zawsze życzliwym sobie audytorjum. P. Friedman zdąża szybkim krokiem ku znacznym wyżynom. Główną wadą, jaką posiada, jest młodość, nie zawsze zdolna poskromić wybuchy temperamentu. Stąd pewne nerwowe dowolności w tempach, kontrasty piano i forte zbyt jaskrawe w niejednym przypadku i drobne niedokładności, świadczące o niedoszlifowaniu. Ale jest za to talent muzyczny tak wybitny i głęboki, zapęd dramatyczny tak lotny i środki techniczne tak potężne, że dość jeszcze bardziej organicznego złączenia tej trójcy, aby p. Friedman stanął istotnie w rzędzie najpierwszym. Jeszcze parę lat pracy, a wybujałości znikną niezawodnie i gra artysty będzie metalem bez śladu żużłu. Rzecz naturalna, że przykładam tutaj najwyższą skalę, bo do tego uprawnia mnie

rodzaj talentu. Dla mniejszych wymagań, gra p. Friedmana może być już dziś świetną, stosując wszakże tę niższą miarę, czyni się niezawodnie krzywdę sile talentu. Świadczy o niej chociażby Beethoven, jakiego nam p. Friedman przedstawił w *Appassionacie*. Ten Beethoven miał ośmnaście lat, prawda, lecz łatwiej zgodzić się z takim, niżeli z innym, który ma lat dziewięćdziesiąt i uwiad starczy. A i takich często się słyszy. Nie raz idzie się na Beethovena, aby obcować z tytanem, a znajduje się tytana na emeryturze.

Był jeszcze jeden pianista, p. Schwab, towarzyszący skrzypkowi Kocjanowi. Publiczność przyjęła go chłodno, mimo że podejrzanie wirtuozowski repertoar starał się dokonać wymuszenia oklasków. Krytyka była gorętszą. Mojem zdaniem słuszność była po stronie publiczności. Młodociany ten pianista wraz ze swą paprykowaną rapsodyą nieznanego autora i oburzającymi transkrypcjami Chopin-Rosenthal, złożył jedynie dowód płaskości gustu i dużych zadatków techniki. Dzisiaj wszakże, technikę w całym rozkwicie przyjmuje się jako coś obowiązkowego, coś co nie jest zaletą, bo zbyt powszednie i nie wyróżnia. Cóż dopiero zarodki techniki, dzisiaj jeszcze zamazanej i bardzo często nieporadnej. Dla tego występ p. Schwaba był przedczesnym i pozostawił wrażenia najzupełniej mięszane, tak, że gdyby nie dyssonans między publicznością a krytyką, nie zasługiwały w ogóle na wzmiankę.

Jest to zresztą zwykły los pianistów, towarzyszących skrzypkom lub śpiewakom, skazanych na akompaniament i parę numerów solowych, tak wymierzonych, aby „główny“ artysta miał czas odpocząć i przygotować się do dalszych tryumfów. P. Kocjan z pewnością nie zamierzał fatygować publiczności oklaskami dla p. Schwaba. Za to sam postanowił zagarnąć jak najwięcej. Świadczy o tem nietylko program czysto wirtuozowski, ale i dodatki, między niemi ów słynny sekstet z *Lucyi*, na same skrzypce, bez akompaniamentu. Jest to coś w rodzaju małej kwadraturki koła i jako popis techniki wprost zdumiewające. P. Kocjan wyszedł jednak z tej przedziwnej, tajemniczej prawie fabryki wirtuozów, jaką jest szkoła Szewczyka w Pradze, przeto techniczne trudności dłoń nie istnieją: paganiniowskie fortece, najeżone oktavami i podwójnymi chwydami, otwierają mu się bez strzału i poddają bez walki. A przytem gra muzykalnie bez zarzutu, tonem łagodnym, o barwie nadzwyczaj subtelnej, jak gdyby popielato-srebrnej. Gdyby nie program, poznalibyśmy w nim niezawodnie interesującego artystę-muzyka; tak znamy tylko niepospolitego skrzypka-wirtuoza.

Najczystszej rozkoszy estetycznej dostarczył, jak dotychczas koncert Gemmy Bellincioni. Nie dla tego, aby niepospolita artystka znajdowała się u zenitu głosu, albo dla tego,

aby estrada była dla niej polem najpewniejszych tryumfów. Przeciwnie, Gemma Bellincioni jest wokalnie zmęczoną bardzo, a estradową śpiewaczką nie była nawet za najlepszych czasów. Mimo to indywidualność jej artystyczna czaruje dzisiaj tak, jak poprzednio, temperament porywa, głos zachwyca wyrazem. Bellincioni jest żywym przykładem, że głos dobrze uczony zachowuje zdolność ekspresji nawet wówczas, gdy świeżość znikła bezpowrotnie. Znakomita metoda sprawia zawsze, że ten, kto sły-
szy starszego śpiewaka po raz pierwszy, nie przypuszcza, aby głos jego mógł kiedyś brzmieć inaczej, jak brzmi obecnie. Nie słysząc żadnej wady zasadniczej, godzi się odrazu z barwą nieco szarą, i wkrótce zapomina się o niej, szukając tylko ekspresji. Tę zaś posiada Bellincioni w stopniu, który pasuje ją na jedną z największych śpiewaczek współczesnych. Ani cienia w tem popisie, wszystko przez sztukę i dla sztuki. To też wrażenie było potężne i czyste.

Witold Noskowski.

Przegląd polityczny.

Kraków, 30 listopada

W Warszawie był rozruch, padły strzały. Partya socjalistyczna, która to przygotowała i urządziła, chwali się w swoich pismach, że dopięła celu. „Okazała swoją siłę, i rząd rosyjski nadal będzie musiał z nią się liczyć“, to jedno; a drugie, że „po tej *potężnej manifestacji* branka w Warszawie stała się niemożliwą, rząd się na nią nie odważy.“

To ostatnie jest nędzną fanfaronadą. Gdyby (co daj Boże!) do branki nie przyszło, to nie strach tej demonstracji i tych strzałów wstrzymałby rząd rosyjski od jej nakazania i wykonania. Dla okazania zaś swojej imponującej siły liczebnej, partya wpadła na pomysł, więcej śmiały, jak godziwy: urządziła swoją demonstrację przed kościołem, w chwili, kiedy parę tysięcy ludzi wychodziło z niego po nabożeństwie, i ci niby należeli do demonstracji i do partyi!

Należeli o tyle, że byli ich ofiarami, że do nich strzelano, że z nich jedni padli zabici, drudzy ranni, inni wepchnięci do kościoła byli otoczeni, szarpani, bici, rewidowani, uwięzieni. Ten ostatni akt był już barbarzyństwem wojska, czy policyi; pierwsza demonstracja i jej skutki są wyłącznie winą tych, co rzecz urządzili.

Niegodziwość idzie tu w parę i o lepsze z niedorzecznością. Gdyby równocześnie wybuchła jakaś rewolucya socjalna w miastach rosyjskich, możnaby dopatrzyć się

w niej jakiegoś wyrachowania, jakiegoś celu; ale rozruch w Warszawie nie jest ani groźbą, ani postrachem, ani żadnej zmiany, żadnego zamieszania, wywołać nie może. Nie mógł spowodować żadnego skutku, któryby dla tej partii był pożądany, a więc był bez celu, był niedorzecznością. Był zaś niegodziwością, bo narażał ludzi na śmierć, na rany, na więzienie i wywiezienie, a kraj cały, Polskę, narażał na nowe zamachy i wściekłości, był łatwym do użycia, dogodnym pretekstem dla całej zgrai spakobierców Milutyna, Czerkaskiego i Katkowa, dla wszystkich dzisiejszych Apuchtinów i Pobiedonoscewów wszelkiego stopnia i znaczenia.

Jedną rzeczą ta demonstracja wydemostrowała na prawdę, to tę, jak tym panom, czy tej partii, chodzi o Polskę.

Że nie o nią chodziło, nie o jej dobro, nie o jej sprawę, dowodzą najlepiej te szczegóły, które wychodzą na jaw coraz liczniej i coraz wyraźniej. Z ludności warszawskiej, z Polaków, byli tam ci, którzy wychodzili z kościoła, albo tacy, którzy przypadkiem przechodzili przez ulicę i o zamierzonym pochodzie nie wiedzieli. Zastęp tych, co szli z czerwonymi sztandarami, składał się przeważnie z żydów, i to żydów po większej części przybyłych z różnych miast rosyjskich. Żydzi też stanowią ogromną większość uwięzionych. Uczniów uniwersytetu uwięzionych jest siedmiu, z politechniki ani jeden. Pierwszy strzał — bo nie wojsko strzeliło pierwsze — dał student, przybyły z Petersburga. Wszystko to wskazuje, że cała ta sprawa nie wyszła z łona ludności warszawskiej, ani polskiej, nie wśród niej się poczęła. Tego samego dowodzi usposobienie i zachowanie się tej ludności po rozruchu. Jest współczucie dla ofiar, dla tych, co ponieśli śmierć albo rany, sami nie wiedzieli jak i dla czego, bo przypadkiem znaleźli się na ulicy; jest żal i smutek; nie ma żadnego sympatycznego związku między demonstrantami a ogółem ludności; niema u niej tego uczucia, że to jej sprawa, że to coś polskiego i swojego. Takie uczucie ożywiało tę ludność podczas strzałów z roku 1861; ożywiało nawet tych, co przeciwni byli demonstracyom. Dziś jest inaczej: żal dla ofiar, obojętność dla rzeczy.

To uczucie jest trafne. Jak dalece cały ten rozruch nie ma nie wspólnego z uczuciem polskim, wskazuje dobrze jeden fakt ciekawy. Policya robiła rewizye po różnych domach. W jednym zastała i uwięziła dwudziestu siedmiu Niemców i zabrała stopy odezów rewolucyjnych w polskim języku, przeznaczonych do rozrzucenia między lud. Nie ręczymy za tę cyfrę, którą nam podano, ta może nie być zupełnie dokładną, choć nie mamy powodu o niej wątpić; ale fakt, że Niemcy, zajęci rewolucyjnymi proklamacyami polskimi, to jest pewne.

Komitet centralny Ligi Narodowej po tem wszystkim uznał za dobre wziąć udział przez jakichś reprezentantów w wielkim zjeździe różnych partyj socjalistycznych i radykalnych. Swoim poddanym, to jest nam wszystkim, obwieszcza w manifeście, że łączy się ze wszystkim, co dąży do osłabienia Rosyi, i że dlatego przystąpił do tego zjazdu i do jego uchwał. Dotychczas polityka tej Ligi i jej poprzedników, miała tę własność, że osiągała cel, przeciwny temu, jaki zamierzała. Zamierzała zawsze wzmocnienie i odrodzenie Polski, a wszystko, co zrobiła, wychodziło na osłabienie Polski. I tym razem skutek będzie podobno przeciwny zamiarowi. Rozruchy takie, jak ostatnie w Warszawie — a i do tych *post factum* przyznaje się ów komitet, iżby się nie zdawało, że cokolwiek dzieje się w kraju, bez jego woli lub wbrew jego woli — rozruchy takie Rosyi nie osłabią, będą zawsze od niej słabsze. Za to mogłyby wzmocnić Prusy; wpływ niemiecki w tych wypadkach dowodzi, że one były dla Prus pożądane. Winszujemy sprzymierzeńców i głębokich wyrachowań politycznych, Lidze Narodowej i jej komitetowi centralnemu.

Że w polityce p. Koerbera przygotowały się pewne zmiany, to zdawało się po zdarzeniach ostatnich miesiący prawie pewnem. P. Koerber odbył podróż po Galicyi, p. Koerber powołał do ministerstwa czeskiego uczonego, p. Randę, p. Koerber, odbywał, co publiczną było tajemnicą, konferencyę z przywódcami Czechów — jednym słowem widzialne było ze strony p. Koerbera usiłowanie zbliżenia się do klubów słowiańskich. Pytanie zachodziło, czy ta zmiana,

na zewnątrz może ze zbytnią ostentacją okazywana, dotyczyła zasad samego systemu, czy też tylko formy rządu p. Koerbera. P. Koerber uważany był dotychczas za reprezentanta Niemców, jego ministerstwo było ministerstwem biurokracji⁴ niemieckiej, która znachodziła uznanie nawet u żywiołów radykalnych niemieckich. Wszystko, co p. Koerber dotychczas czynił, polegało na zasadzie, że nie wolno było niczego przedsięwziąć bez zezwolenia Niemców i że ich sławny *naziomaler Besitzstand* ma pozostać na wieki wieków nie zmienionym. P. Koerber był mężem zaufania Niemców austriackich, jeżeli o zaufaniu u tych, zawsze podejrzliwych ludzi, w ogóle mówić można; w każdym razie był on mężem zaufania prasy niemieckiej austriackiej, która, przyznać to trzeba, nigdy tak nie była dobrze zorganizowana i nigdy tak nie słuchała hasła, z góry dawanych, jak właśnie za ministerstwa p. Koerbera. Pomimo, a może z powodu tego wyjątkowego stanowiska u Niemców, p. Koerber dotychczas nie odniósł na polu parlamentarnem żadnych zasadniczych sukcesów: obstrukcja czeska trwała, parlament, który miał teraz rozstrzygać o żywotnych sprawach monarchii a którego wotum było przedewszystkiem potrzebne dla zasięgnięcia pożyczki na cele wojskowe, ten parlament tracił dzień za dniem bez rzeczowych rozpraw i bez widoków poprawy na przyszłość. Jako człowiek rozsądny, musiał sobie p. Koerber powiedzieć, że skoro nie może iść naprzód na jednej drodze, musi spróbować drugiej.

W Austrii są stosunki polityczne tak ciekawe, że stronnictwa uważają za swojego nieprzyjaciela nie tego, kto ich nieprzyjaźnie traktuje, ale tego, kto jest ze strony ich przeciwników przyjaźnie traktowany. *Les amis de nos ennemis sont nos ennemis*. To też staranie p. Koerbera jeżeli już nie pozyskania dla siebie Czechów, ale przynajmniej ich uspokojenia, wychodziło z zasady, że potrzeba przedewszystkiem usunąć to ogólnie rozpowszechnione przekonanie, jakoby p. Koerber był mężem zaufania Niemców. Temu staraniu wypadało zapewne było przypisać nagłą zmianę w tonie prasy niemieckiej, która zaczęła nagle uderzać na p. Koerbera, temu staraniu także wypadało zapewne przypisać wydanie

rozporządzenia dopuszczającego uczniów, którzy skończyli studia w Zagrzebiu, do dalszych studiów na uniwersytecie wiedeńskim, mianowanie morawskich biskupów wbrew oporowi Niemców, utworzenie wydziału prawniczego włoskiego oddzielnie od uniwersytetu w Innsbrucku, a w części może także i załatwienie sprawy gimnazjum w Cieszynie. Wszystkie te kroki rządu były — z wyjątkiem może wydziału prawniczego włoskiego w Innsbrucku — rzeczowo zupełnie usprawiedliwione, ale jeżeli się zważy, że w Austrii nigdy prawie nie rozstrzyga potrzeba lub sprawiedliwość jakiegoś rozporządzenia, ale zawsze chwilowy cel polityczny, to łatwo pojąć, że tego rodzaju równoczesne kroki rządu dowodziły dążenia do pewnych celów politycznych. Jeżeli p. Koerber chciał w ten sposób pozyskać sobie, albo przynajmniej rozbroić Czechów, to nie ulega wątpliwości, że przez to samo ryzykował wywołanie gniewu ze strony Niemców. Polityka p. Koerbera musiała więc zapewne polegać na tem, ażeby, uspakajając Czechów zapomocą pewnych kroków, nie rozogniać zbyt znacznie podejrzliwości Niemców. Stąd więc zapewne pochodziło, że wszystkie te kroki p. Koerbera, z wyjątkiem mianowania ministrem p. Randy, nie dotyczyły wprost Czechów, ale Kroatów, Włochów, Polaków i t. d. *W ten sposób starał się więc zapewne p. Koerber zbliżyć do Czechów, nie dotykając właściwego pola walki między Czechami a Niemcami.*

Ta polityka zdawała się doprowadzać do pożądanego wyniku, albowiem Czesi zaczęli przyzwyczajać się do myśli zaprzestania obstrukcyi, a po stronie Niemców dawało się wprawdzie uczuć niezadowolenie, ale nie było właściwych ataków na ministerstwo p. Koerbera. Pod temi też auspicjami miała się rozpocząć sesya parlamentu, gdy na krótki czas przed jego otwarciem zaszły znane sceny w Innsbrucku. Otwarcie wydziału prawniczego włoskiego, oddzielnie od uniwersytetu niemieckiego w Innsbrucku, doprowadziło do krwawych zajść, wojsko musiało interweniować, jeden Niemiec został przytem zabity, i tak radykalizm niemiecki miał do dyspozycyi trupa, którego krew miała wołać o pomstę do nieba — pomstę na ministrze Koerberze. Przywódca rady-

kalnych Niemców w Innsbrucku, wiceburmistrz p. Erler, który sam zapomocą agitacyj najwięcej się przyczynił do ostatnich zajść, stanął na czele chóru, wołającego o pomstę. Nie ulega wątpliwości, że p. Erler myślał przytem o czemś, podobnem do rewolucyj ulicznych w dawnych czasach, kiedy to noszono trupa po ulicach, a tłumy ludzi pod tą krwawą chorągwią się gromadziły. Jak się jednak czasy zmieniają! Dzisiaj trup młodego malarza Pezzeya w Innsbrucku miał dotychczas tylko ten skutek, że przy otwarciu parlamentu w Wiedniu kluby niemieckie zażądały od p. Koerbera uspokojenia co do kierunku, w jakim zamysła iść, że p. Erler wypowiedział kilka mów, p. Koerber również kilka mów, że znane kollegium, reprezentujące cztery kluby złączone niemieckie *Deutsche Volkspartei*, *Deutsche Fortschrittspartei*, *Verfassungstreuer Grossgrundbesitz* i *Christlich-Sociale*, odbyło z p. Koerberem kilka konferencyj, po których ogłoszono kilka znanych komunikatów. Ostateczny wynik polegał na tem, że Rada państwa straciła kilka posiedzeń na mowach, bez celu i bez właściwego rezultatu, że Niemcy nie wiedzą, co mają począć, że Czesi toż samo nie wiedzą, w jakim mają iść kierunku.

Widzialne wyniki wszystkich tych zajść są: 1) zniszczenie budynku, w którym umieszczony był wydział prawniczy włoski w Innsbrucku; 2) zabicie młodego malarza Pezzeya; 3) Włosi w Austrii nie mają tak dzisiaj żadnego uniwersytetu, na którym mogliby odbywać studia, a ci, którzy zapisali się na studia w Innsbrucku, nie wiedzą, co się z nimi dalej stanie, tem więcej, że na żadnym uniwersytecie niemieckim nie chcą ich przyjąć. To się nazywa państwem, uorganizowanem według norm sprawiedliwości!

Jeżeli się szuka właściwej przyczyny tego stanu rzeczy, to rekryminacye na rząd i na Słowian nie wiele pomogą. Rząd bezsprzecznie niepraktycznie postąpił, kiedy, zamiast utworzyć osobny uniwersytet włoski, zadowolił się połowicznym krokiem, który rozdrażnił i Włochów i Niemców, ale, pomimo to wypada podnieść, że spokoju nigdy w Austrii nie będzie, jak długo Niemcy austriacycy żądać będą od każdego rządu, ażeby utrzymywał ich „faktyczny narodowy

stan posiadania“ i jak długo odgraniczać się będą murem chińskim od reszty narodowości. Niejednokrotnie to już podnosiliśmy, że jak wszystko na świecie podlega zmianie, jak wszystko tylko zapomocą walki się utrzymuje, tak i narodowościowy stan posiadania. *Nationaler Besitzstand* nie da się utrzymać *in statu quo*. Ten *nationaler Besitzstand* jest co chwila inny, zmienia się on z każdym faktem śmierci jednego z członków narodowości, z każdym urodzeniem innego. Tego *nationaler Besitzstand* nie potrafi utrzymać żaden rząd, ani żadna ustawa. Niemcy austriaccy muszą raz zrozumieć, że ich prawo, którego nikt nie przeczy, ani nie atakuje, nie może być przywilejem. Swoją tak zwany „stan posiadania“ uważają Niemcy jako zakaz dla wszystkich innych narodowości, żeby się broń Boże nie rozwijały, a z rozwojem nie nabywały potrzeb, którym się zadośćuczynienie należy. Dawniej, nawet za czasów Schmerlinga, Giskry, Herbsta i t. d., Niemcy nie byli tak namiętni i zaciekli w tem uczuciu. Kto w nich tę wściekłość wyrabia i podnieca? Nie trzeba domysłu, bo wszyscy to widzą i wiedzą. Ale że Tyrol, katolicki i niegdyś tak austriacki Tyrol, śpiewa *Wacht am Rhein*, to dowód, że te plany i starania robią postępy.

Jak dalej się rozwinią stosunki w parlamencie austriackim, trudno dzisiaj przewidzieć. Po stronie Czechów widać chęć do zawarcia, jeżeli nie pokoju, to choćby zawieszenia broni, po stronie Niemców byłaby także chęć do spokoju, gdyby nie było żywiołów radykalnych, które żyją *dla* walki, albowiem żyją tylko z walki. Ponieważ jednak i ci radykalni boją się rozwiązania Izby, albowiem ich większość straciłaby w tym razie mandaty, przeto można przypuszczać, że i po tej stronie umysły się uspokoją. Nie małą rolę odgrywa przytem zawisłość dzienników od rządu. Przez pozyskanie większości dzienników otrzymał rząd p. Koerbera sposobność łagodzenia lub wzbudzania fal politycznych wedle potrzeby. Można o prasie w Austrii mieć najgorsze przekonanie, ale faktem jest, że ludność austriacka czerpie swoją namiętność polityczną głównie z dzienników. Bez dzienników nie ma oburzenia, a co najmniej, nie utrzymuje się ono

przez dłuższy czas, jeżeli dzienniki go nie podniecają. Już teraz widać skutek oliwy rządowej na falach, wzburzonych agitacją w Innsbrucku.

Jeżeli w Austrii rząd dotychczas jeszcze próbował za pomocą sztuczek parlamentarnych, bez zmiany regulaminu Izby, dojść do spokoju, to na Węgrzech ministerstwo p. Tiszy postąpiło znacznie radykalniej. Zmiana regulaminu Izby została przez większość Izby przyjętą i, natychmiast po tem przyjęciu, tego samego wieczora sesya parlamentu zapomocą reskryptu królewskiego została zamkniętą. To przyjęcie zmiany regulaminu nastąpiło oczywiście po silnej walce, w której opozycja została — wyznać to trzeba — zgwałconą. Wypada jednak wziąć na uwagę, że zmiana jakiegokolwiek regulaminu parlamentarnego nie mogłaby właściwie nigdy nastąpić, gdyby większość chciała przeprowadzić tę zmianę, trzymając się ściśle postanowień tego istniejącego, ale mającego być zmienionym, regulaminu. Jest to rodzaj *circulus vitiosus*, albowiem istniejący regulamin daje właśnie wszystkie prawa mniejszości, która ich używa dla terroryzowania większości. Jeżeli więc większość chce przeprowadzić jego zmianę, to musi oczywiście nie trzymać się jego zasad, które zawsze przemawiają na rzecz tej mniejszości, albowiem, trzymając się tych zasad, nigdyby nie doszła do zmiany regulaminu. Kto stawia zasadę, że zmiana regulaminu Izby może nastąpić tylko na podstawie i przy ścisłej obserwacyi tego starego regulaminu, ten oświadcza właściwie, że regulamin Izby jest nie do zmienienia, że musi on pozostać takim, jakim jest, że jest *sacrosanctus*.

To też nie podzielamy zdania tych polityków, którzy czynią p. Tiszie zarzut, że zmienił regulamin Izby, nie trzymając się ściśle formułek tam przepisanych. Inaczej on postąpić nie mógł. Jemu chodziło o przełamanie terroryzmu mniejszości, a skoro za nim znalazła się większość, to oczywiście terroryzm mniejszości musiał ustąpić przed wolą większości, wyrażoną w sposób jedynie możliwy.

Inne zachodzi pytanie, czy to, co osiągnął p. Tisza zapomocą tego zgwałcenia starego regulaminu, warte było tyłu zachodów? — czy wygrana warta była stawki? O ile

sądzić można, nie osiągnął p. Tisza i dzisiaj jeszcze niezależności większości od terroryzmu mniejszości i na pewien tylko czas zapewnił funkcyę maszyny państwowej. Z drugiej strony dało to zgwałcenie starego regulaminu niektórym niezadowolonym żywiołom w stronnictwie liberalnem najlepszą sposobność do przejścia w opozycyę, tak, że po zmianie regulaminu zbiera się przeciwko p. Tiszy silna falanga możnych nieprzyjaciół, którzy mogą mu zgotować podobny los, jaki spotkał swojego czasu prezydenta ministrów p. Bánffy, także w chwili pewnego tryumfu.

Obrzydliwy jest widok tych wszystkich ludzi i partyj, łączących się mimo wszelkich przeciwieństw i niechęci, nie dla ratowania Węgier, ale dla ich szkody, jeżeli nie zguby, łączących się nie w miłości zasad i spraw, ale w zawiści do człowieka. „Niech dyabli biorą pomyślność i przyszłość Węgier, byleby Tisza nie okazał się tęższym, dzielniejszym, lepszym od nas.“ Oto stanowisko polityczne hr. Appony'ego. Tisza, który słusznie, choć na nasze upokorzenie, porównał ich obstrukcyę z naszym *Liberum veto*, szkoda, że tego pana nie porównał z Polakami, jacy na nieszczęście byli, a za cały swój cel mieli nie dopuścić do niczego, co nie oni wnosili i robili, choćby to było najlepsze. Od tego typu *patryoty* chyba jeszcze wstrętniejszy baron Bánffy, bo z bezczelnością, prawdziwie imponującą, zarzuca Tiszy to samo, co chciał sam zrobić, tylko w większej mierze. Pod tymi wodzami dopiero szeregi tchórzów, którzy przyznają ministrowi słuszność, podziwiają go w rozmowach, ale ze stronnictwa występują, bo się boją narażać na niepopularność.

W polityce po za granicami Austrii wywoływało publiczną uwagę w pierwszej linii zebranie przedstawicieli ziemstw w Petersburgu, z którego wyciągano wnioski, jakoby w Rosyi przygotowywało się zaprowadzenie konstytucyi. Konstytucya w Rosyi! Te słowa brzmią tak dziwnie, że trudno się do nich przyzwyczaić. Dotychczas wiadomo tylko tyle, że w mieszkaniu marszałka szlachty orelskiego powiatu zebrało się, jak twierdzono, 98 przedstawicieli ziemstw. Obrady nosiły cechę prywatną. Nad czem się naradzano i do jakich rezultatów narady doprowadziły, nie wie się

o tem autentycznie; dzienniki rosyjskie nie przyniosły o naradach żadnej wiadomości, jedynie zagranicą wolno było o tych naradach pisać i telegrafować. Obecny nowy prąd w Rosyi, jeżeli o takim mówić można, charakteryzuje się tem, że zniósł on cenzurę dla telegramów i listów korespondentów dzienników, wysyłanych za granicę, utrzymując ją dla wiadomości ogłaszanych wewnątrz Rosyi. Mówić o konstytucyi dla obecnej Rosyi, o konstytucyi w znaczeniu zachodnio-europejskiem tego słowa, to dowodzi nieznamomości stosunków rosyjskich i w ogóle podstaw życia rosyjskiego. Na tym ogromnym obszarze dla tej ludności tworzącej zdała tylko osady, ludności bez nauki, dla tych miast, również bardzo zdała od siebie leżących, trudno wytworzyć system reprezentacyjny w utartem znaczeniu słowa, ale już to byłoby nieocenionym zyskiem, gdyby się udało na podstawie obecnych konferencyj przedstawicieli ziemstw wytworzyć jakąś prawdziwą i praktyczną reformę, kładącą kres wszechwładzy biurokracyi i poddającą administracyę i sądownictwo pod kontrolę publiczną. Już to byłoby znakomitą reformą, gdyby podstawa państw, t. j. pewność, że los obywatela państwa, że jego życie, jego byt i mienie, nie jest zależnem od samowoli, ale podlega przepisom prawa, weszła w Rosyi w życie. Dotychczas rozstrzygają w Rosyi na wsi gmina i czynownik o losie chłopca, w mieście policya i gubernator o losie mieszkańca; zasada nietykalności osoby i majątku nie istnieje w Rosyi pomimo wszystkich ukazów reformatorskich. Reforma w tym kierunku byłaby epoką w życiu Rosyi, ale taka reforma skuteczną i praktyczną byłaby tylko pod kontrolą publiczną. Wytworzenie takiej kontroli, wprowadzenie zasady obrad i krytyk publicznych, oto pierwszy krok, do którego wypadałoby tam dążyć.

Już sam fakt jednak, że w Petersburgu pod okiem cara odbywają się takie narady, jest symptomem uwagi godnym. Pytanie tylko zachodzi, czy ten symptom jest rzeczywiście oznaką stałego niezmiennego zamiaru zwrotu w innym kierunku, czy też tylko próba, albo może manewrem taktycznym dla uspokojenia umysłów, przez obecną wojnę rozognionych i dla uzyskania lepszej reputacyi zagranicą,

do której rząd rosyjski zmuszony jest dzisiaj się udać w sprawie pożyczki wojennej. Niedaleka przyszłość okaże, czy Rosya wejdzie na nowe tory, na których może osiągnąć rezultaty cywilizacyjne, lub czy zapanuje w niej chaos. Ale to zdaje się pewnem, że ona przebywa kryzys, która może da się przewlekać, ale nie da się odwrócić.

Zatarg Anglii z Rosją o bombardowanie statków rybackich zakończył się gładko i uprzejmie. Przed miesiącem Wielka Brytania była obrażona i rozszokowana, zdawało się, że nie przepuści płazem tej sprawy, ale zażąda rzeczywistej i widocznej satysfakcyi. Pokazało się, że choć dziś niema Bismarcka i sprawy księstw nadelbiańskich, to Anglia tak samo jak przed czterdziestu laty umie urazy schować do kieszeni. Nie Katarzyna i Mikołaj I, jak przypuszczaliśmy wtedy, ale może przewrócą się w grobie Elżbieta, Cromwell, Wilhelm III i Pitt.

We Włoszech wypadły wybory do parlamentu na korzyść stronnictw umiarkowanych, co było tryumfem dla ministerstwa Giolitti. Dwie były tego przyczyny: raz oburzenie z powodu niedawnego ogólnego strejku, powtórne uczestnictwo katolików w wyborach. Chociaż Ojciec św. dotąd formalnie nie zniósł zakazu dla katolików brania udziału w wyborach, *ne eletti ne mettori*, to przecież wiadomo było, że nie występował przeciw temu uczestnictwu. Pomimo tego wyniku wyborów, nie może p. Giolitti zbyt się spuszczać na nową Izbę. Nowoobrane parlamenty podlegają rozmaitym prądom i nigdy nie są pewne.

We Francyi toczyła się dalej walka między Kościołem a państwem, która coraz większe zatacza kręgi. Już znowu armia francuska, która, w walkach wewnętrznych Francyi, zawsze główną odgrywała rolę, zaczęła być przedmiotem dyskusyi publicznej. Biada państwu, o którego armii piszą ciągle dzienniki i o której mówią deputowani! Biada zwłaszcza takim, które na swoim czele znoszą podłość. Podłem jest każde szpiegostwo, każdy szpieg. Ale wojskowy, który szpieguje kolegę, ale władza, która mu to nakazuje, ale rząd, który tego broni, ale Izba, która tę obronę znosi i approbuje, to jest jedna z głębin najgłęb-

szych w bezdennej otchłani dzisiejszych podłości. Czy się kiedy zdarzyło za rządów monarchicznych, żeby duchowni kontrolowali przekonania i nabożeństwa oficerów? żeby wstrzymywali awans tych, co nie chodzili na mszę i do spowiedzi? Nie: to się nie zdarzyło. To republikańska wolność, to masońskie rządy wprowadziły ten postęp dezorganizacyi, ten wstyd armii i Francyi. Straszna rzecz i bolesna, że w tym kraju, tak niegdyś tęgim i dzielnym, nikt dziś nie może mieć dość siły, nikt nie ma odwagi strząsnąć i strzepnąć z Francyi to śmiecie, które ją przywaliło, to robactwo, które ją obsiadło i toczy.

O odbytej sesyi sejmowej mówimy na innem miejscu.

* * *

NOWE KSIĄŻKI

nadestane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Stefan Gacki: *Rokoko*. Obraz romantyczny w jednym akcie. (Kraków, D. E. Friedlein, 1904, 8-o, str. 39).

Kazimierz Woyczyński: *Poezye*. Tom II. (Kraków, D. E. Friedlein, 1904, 8-o, str. 192).

Wincenty Poray Chrzanowski: *Pani Żanicia*. Powieść współczesna. 2 t. (Kraków, D. E. Friedlein, 1904, 8-o, str. 343).

Marya Konopnicka: *Poezye*, w nowym układzie. VI. *Przekłady*. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904, 8-o, str. 276).

Marya Konopnicka: *Na normandzkim brzegu*. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904, 8-o, str. 205).

Jan Lemański: *Proza ironiczna*. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904, 8-o, str. 282).

Arthur Eloesser: *Literarische Porträts aus dem modernen Frankreich*. (Beckue. Herrieu. Lavedan. Donnay. Courteline. Curel. Porto-Riche. Rostand. Sarcey. Balzac. Zola. France. Barrès. Huysmans. Bloy). (S. Fischer, Verlag, Berlin, 1904, 8-o, str. VII i 300).

Peter Camenzind von Hermann Hesse. Fünfte Auflage. (Berlin, S. Fischer, Verlag, 1905, 8-o, str. 260).

Aus dem mitteleuropäischen Reiche der Kulte. Ein Kulturgemälde in 8 Bildern von einem Deutschen Sklaven. I—V Tausend. (Moderner Verlag, Wien, 1904).

Maryan Gawalewicz: *Dla ziemi*. Powieść w dwóch tomach. (Warszawa, nakładem Jana Fiszera, 1904, 8-o, str. 246 i 263).

Hanna Krzemieniecka: *Fatum*. Studium psychologiczne. (Warszawa, 1904, Jan Fischer, 8-o, str. 241).

Ausgewählte Werke von P. J. Möbius. Band V *Nietzsche*. Mit einem Titelbilde. (Leipzig, Verlag von Joh. Ambr. Barth., 1904, 8-o, str. XI i 194).

Selma Lagerlöf: *Christuslegenden*. Berechtigte Übersetzung aus dem Schwedischen von Francis Maro. (Albert Langen, München, 1904, 8-o, str. 264).

Die vernarrte Prinzess. Ein Fabelspiel in drei Bildern. Von Otto Julius Bierbaum. Mit einer Vorrede über das musikalische Bühnenspiel. (Albert Langen, München, 1904, 8-o, str. XXXVI i 56).

Deutsche Rundschau.

Inhalt des Juli-Heftes, 1904.

I. Der goldene Ring. Erzählung von Ernst Heilborn. (Schluss). — II. Kaiser Wilhelm I. und Leopold von Orlich. Mit Benutzung ungedruckter Briefschaften aus dem Besitze der Familie von Orlich. Von Hermann Freiherrn von Egloffstein. (Schluss). — III. Goethe und Strassburg. Festrede nach der Enthüllung des Denkmals am 1 Mai 1904, gehalten von Erich Schmidt. — IV. Die deutsche Südpolar-Expedition. Von Dr. Friedrich Bidlingmaier. (Charlottenburg). — V. Die Revolutionierung Tirols im Jahre 1813. Nach neuen Quellen. Von Eduard Wertheimer. — VI. Francesco Petrarca. Zur sechshundertsten Wiederkehr seines Geburtstages. Von Heinrich Morf. — VII. Eine Galavorstellung im römischen Amphitheater zu Vindonissa. Von S. Heuberger. — VIII. John Ruskin. Von Alma von Hartmann. — IX. Aus dem Berliner Musikleben. Von Carl Krebs. — X. Politische Rundschau. — XI. Ein vergessener Korrespondent der Frau von Staël. Von E. Platzhoff-Lejeune. — XII. „Der Offiziermangel“. Zur Richtigstellung. Von Polemarchos. — XIII. Literarische Notizen. — XIV. Literarische Neuigkeiten. — XV. Inserate.

Inhalt des August-Heftes, 1904.

I. Grundlsee. Novelle von Otto Frommel. — II. Aus dem Tagebuche des Grafen Joseph Alexander von Hübner. I. — III. Die Revolutionierung Tirols im Jahre 1813. Nach neuen Quellen. Von Eduard Wertheimer. (Schluss). — IV. Ein Epilog aus Goethes Archiv, zur Enthüllung von Goethes Standbild in Rom. Von Bernhard Suphan. — V. Mechanische und organische Staatsauffassung. Von Ludwig Stein. (Bern). — VI. Der russische Kriegsschatz und die russischen Finanzen. Von Georg Tantzsch. — VII. Briefe des Kanzlers von Friedrich von Müller an Wasily Andrejewitsch Joukowsky. Herausgegeben von Adelheid von Schorn. — VIII. Der Pelikan. — IX. Graf Gobineau. — X. Politische Rundschau. — XI.

Neue Musikkultur. Von Carl Krebs. — XII. Helmolts Weltgeschichte. Von Gottlob Egelhaaf. — XIII. Literarische Notizen. — XIV. Literarische Neuigkeiten. — XV. Inserate.

Inhalt des September-Heftes, 1904.

An unsere Leser. — I. Christofora. Novelle von Helene Raff. — II. Eduard Mörike. Zu seinem hundertsten Geburtstag. Von Bruno Golz. — III. Aus dem Tagebuche des Grafen Joseph Alexander von Hübner. II. — IV. Der russische Kriegsschatz und die russischen Finanzen. Von Georg Tantscher. II. — V. Entstehung und Wert von Zeugenaussagen. Von Dr. Fr. Mohr. — VI. Mechanische und organische Staatsauffassung. Von Ludwik Stein. (Bern). (Schluss). — VII. Erinnerungen an W. W. Wereschtschagin. Von Eugen Zabel. — VIII. Ungedruckte Gedichte Lenaus an Emilie Reinbeck. — IX. Römischer Frühling. Von E. Steinmann. — X. Politische Rundschau. — XI. Ein neues Geschichtswerk. Von Lady Blennerhassett. — XII. George Meredith. Von Reinhold Steig. — XIII. Literarische Notizen. — XIV. Literarische Neuigkeiten. — XV. Inserate.

Inhalt des Oktober-Heftes, 1904.

An unsere Leser. — I. Glückliche Menschen. Von Wilhelm von Polenz. — II. Im Hauptquartier der kaiserl. russischen Armee in Polen unter dem Oberkommando des Generalfeldmarschalls Grafen Berg. September 1863 bis November 1865. Persönliche Erinnerungen von J. von Verdy du Vernois. — III. Die Paradieseserzählung (1 Mose 2, 4^b — 3). Von Hermann Gunkel. — IV. Nach dem fernen Osten auf der transsibirischen Bahn. Von Msgr. Grafen Vay von Vaya und zu Luskod. — V. Das Wirtschaftsleben der Völker und der Seekrieg. Von Curt Freiherrn von Maltzahn. — VI. Die französischen Primitiven. Von W. von Seidlitz. — VII. Entstehung und Bedeutung der deutschen Kaisersage. Von Ernst Bernheim. — VIII. Ungedruckte Gedichte von Conrad Ferdinand Meyer. — IX. Friedrich Ratzel. Von Hans Helmolt. — X. Thiers. Notizen und Erinnerungen. Von M. von Brandt. — XI. Politische Rundschau. — XII. Kardinal Newman. Von G. Pfeilschifter. — XIII. Zur Heidelberger Schlossfrage. Von Reinhold Steig. — XIV. Literarische Notizen. — XV. Literarische Neuigkeiten. — XVI. Inserate.

Inhalt des November-Heftes, 1904.

I. Glückliche Menschen. II. Von Wilhelm von Polenz. — II. Grossherzogin Maria Paulowna und die Tätigkeit der Frauen

in der Wohlfahrtspflege. Von P. von Bojanowski. — III. Im Hauptquartier der kaiserl. russischen Armee in Polen unter dem Oberkommando des Generalfeldmarschalls Grafen Berg. September 1863 — November 1865. Persönliche Erinnerungen von J. von Verdy du Vernois. (Schluss). — IV. Die Erforschung der altindischen Religionen im Gesamtzusammenhang der Religionswissenschaft. Ein Vortrag von H. Oldenberg. — V. Das Wirtschaftsleben der Völker und der Seekrieg. Von Curt Freiherrn von Maltzahn. (Schluss). — VI. Der Herzog von La Rochefoucauld-Liancourt. Erinnerungen an einen Menschenfreund 1747—1827. Von Lady Blennerhassett. — VII. Politische Rundschau. — VIII. Die Amerikaner. — IX. Der Mithraskult. Von Otto Seeck. — X. Alfred von Reumont. Von Richard M. Meyer. — XI. Literarische Notizen. — XII. Literarische Neuigkeiten. — XIII. Inserate.

RIVISTA d'ITALIA.

Maggio 1904.

SOMMARIO:

A. Salandra: Manfredi nel canto III del „Purgatorio“. — B. Labanca: La Bibbia e la filosofia cristiana. — O. Malagodi: L'immobile pellegrino. — F. Santangelo: La relazione austriaca della battaglia di S. Martino. — G. Monaldi: I cantanti di ieri. (Dal gorgheggio al grido). — R. Ottolenghi: Pomponia Grecina e le prime albe cristiane. — P. Segato: Le memorie di un lavoratore. — L. Ratto: I contratti agrari e di lavoro nel codice di Hammurabi.

RASSEGNE: A. Avena. Rassegna archeologica: „Ara pacis Augustae“. — A. Galimberti. Rassegna della letteratura inglese. — N. R. D'Alfonso. Rassegna scientifica: „L'economia del calorico nell' educazione dell'organismo. Caloriferi e tisi“.

BOLLETTINO BIBLIOGRAFICO.

L'ITALIA NELLE RIVISTE STRANIERE.

Giugno 1904.

SOMMARIO:

L. Gamberale: Il processo e l'estetica di Oscar Wilde. — E. Romagnoli: Dalle „Tesmoforiazuse“ d'Aristofane. — B. Labanca: La Bibbia e la filosofia cristiana. — G. Bernardini: I dipinti italiani nella Galleria di Vienna. — G. Agnoli: Il Foscolo comentatore di Dante. — V. Tonni-Bazza: Un matematico del XVI secolo.

RASSEGNE: D. Lomonaco. Rassegna scientifica: „Sui processi di distruzione dei microrganismi contenuti nelle acque potabili“. — G. Bandini. La letteratura italiana contemporanea: „Romanzi e novelle“.

BOLLETTINO BIBLIOGRAFICO.

L'ITALIA NELLE RIVISTE STRANIERE.

Luglio 1904.

SOMMARIO:

A. Farinelli: Francesco Petrarca. — P. Savj-Lopez: La morte di Laura. — P. de Nolhac: Pétrarque et la gloire. —

C. Appel: I „Trionfi“ del Petrarca. — G. Mazzoni: Due sonetti e una canzone del Petrarca. — H. Cochin: Pourquoi nous aimons Pétrarque. — C. de Lollis: Petrarchismo leopardiano. — F. Wulff: La prima crisi del Petrarca. — I. della Giovanna: Per l'incoronazione di Petrarca. — F. Brisset: Les poésies de Pétrarque et l'amour de sa Donna. — F. Novati: Petrarca ed i Visconti. — F. Flamini: Presso la tomba di Arquà.

Agosto 1904.

SOMMARIO:

M. Rosi: Appunti di politica guerrazziana. — A. Chiappelli: La Rosa mistica nel Paradiso di Dante. — S. de Sanctis: Pensare e conoscersi. — I. Sigismondi: Il naviglio da guerra ed il costo delle navi. — G. Radiciotti: Teatro e musica in Roma dal 1825 al 1850. — R. Forster: Sonetti. — G. Galatti: L' „Amphitryon“ e l' „Esther“. — G. Leti: Miracoli e superstizioni.

RASSEGNE: V. Monti. Rassegna meteorologica: „Il tempo nel presente e nel passato“. — Roncagli. „L'invisibile“ (A proposito del conflitto russo giapponese).

BOLLETTINO BIBLIOGRAFICO.

L'ITALIA NELLE RIVISTE STRANIERE.

Settembre 1904.

SOMMARIO:

G. Lisio: „Lo bello stile“ nelle „Rime“ e nella „Commedia“. — F. Campolongo: La delinquenza in Basilicata. — A. Marenduzzo: Della toeletta femminile nel rinascimento. — G. Picciòla: Urbino e la sua gloria. — A. Stoppoloni: Il nuovo ordinamento scolastico in Inghilterra. — L. A. Villanis: Beethoven e le sonate per pianoforte. — E. Barbarich: Castelfidardo e la campagna delle Marche e dell'Umbria. — M. Savj-Lopez: Il maestro Erwin.

RASSEGNE: E. Romagnoli. Rassegna di letteratura classica. — G. Dainelli. Rassegna geologica.

BOLLETTINO BIBLIOGRAFICO.

L'ITALIA NELLE RIVISTE STRANIERE.

Ottobre 1904.

SOMMARIO:

E. Haeckel: Le basi di una lega fra i monisti. — L. Mortara: La Corte di Cassazione in Italia. — H. Denis: Le dogme et la sociologie. — A. Mochi: La posizione antropologica dei giapponesi. — C. Pascal: Il libero pensiero. — G.

Bandini: Un popolo primitivo dell' India centrale.— M. Levi-Bianchini: Amore e morte nella psicologia calabrese. — G. Hauptmann: Rosa Bernd (dramma in 5 atti).

RASSEGNE: F. Giolitti. Rassegna di chimica: „I profumi artificiali“. — H. Giglioli. Rassegna d'arte: „Arte pisana“.

BOLLETTINO BIBLIOGRAFICO.

L'ITALIA NELLE RIVISTE STRANIERE.

Novembre 1904.

SOMMARIO:

A. Graf: Dante in Santa Croce del Corvo.— G. Sergi: Le illusioni dei psicologi. — E. Butti: Il Cuculo (commedia in tre atti).— C. Barbagallo: Il congresso dei professori.— C. Marchesi: La poesia sepolcrale nelle elegie properziane. — L. Venturini: Per la coltura regionale ed artistica. — A. Rossi: Il cenobio basiliano di Grottaferrata. — C. Torta: Il periodo preparatorio della rivoluzione piemontese (1821).

RASSEGNE: A. de Giovanni. Rassegna scientifica: „La predisposizione alla tubercolosi e la cura preventiva“. — C. Antona-Traversi. Rassegna della letteratura francese: „Gli ultimi romanzi“. — A. Mori. Rassegna geografica.

BOLLETTINO BIBLIOGRAFICO.

L'ITALIA NELLE RIVISTE STRANIERE.





Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030001062925



II 4501/39/2/1904